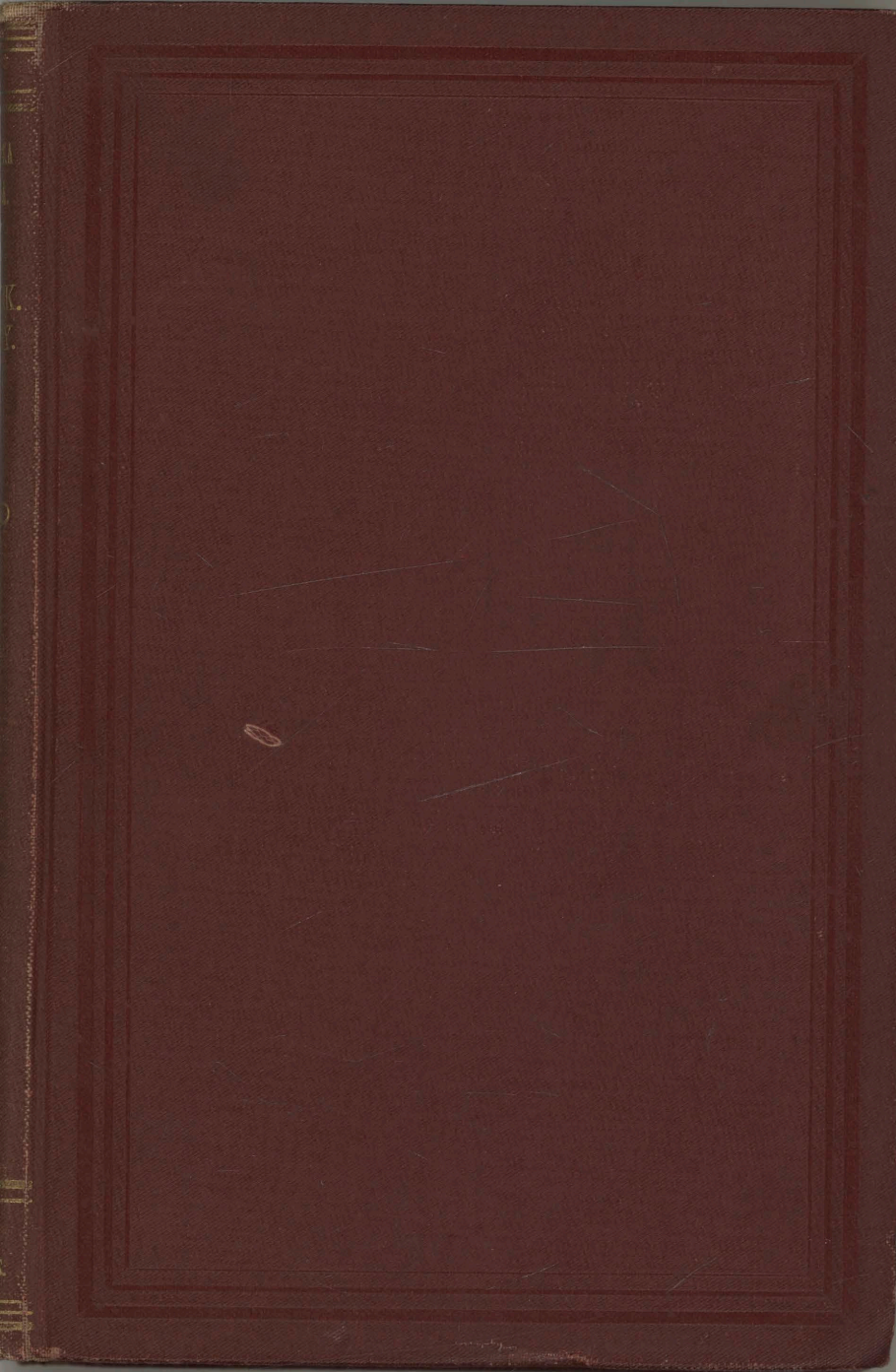




BIBLIOTEK

POLSKA



X. PUR

KARTY

II.



LIPSK

FA. BROCKHA

10

2362 / II

lnul I

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXV.

LUŻNE KARTY
PAMIĘTNIKA ZBIEGA
Z SYBIRU.

PRZEZ

X. PURK.

TOM DRUGI.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1877.



CZYTELNIKA KSIĄŻEK

94(438). 041: 94(47+57) "18": 314.151.1 (-162)
323-051 (438) "18"

Jeszcze o Sybirze.

Mówiąc o rozmaitych typach moskiewskiego bytu w Syberji, nie podobna pominąć milczeniem osiedlonych tu i owdzie po siolach Polaków, którzy po wysłużeniu lat w wojsku pozostali tam dobrowolnie, poženili się z Sybiraczkami i założyli gospodarstwa. Często są to żołnierze byłych wojsk polskich, wysłani po r. 1831 do odległych kończyn ziemi carskiej na służbę w bataljonach. Nie rzadko trafiają się i tacy, co później już zostali pobrani do wojska.

Mimo że żaden z tych, których zdarzało nam się spotykać, nie należał do wykształceńszych warstw społeczeństwa i był albo wieśniakiem, albo mieszczaninem, nim go wysłano na służbę; nie można jednak powiedzieć, aby brak przywiązania do zakątka rodzinnego był tego dobrowolnego wygnania i osiedlenia się w obczyźnie przyczyną. Owszem, każdy z nich czuł i głośno wyznawał wyższość Polski i jej mieszkańców nad Sybirem i Sybirakami. Dawał nawet uczuwać przy każdej wydarzonej sposobności nowym współobywatelom swoim tę wyższość, porównując ich obyczaje i zwyczaje z rodzimymi i wyprowadzając stąd niższość pierwszych. W końcu okazywał zawsze pewien rodzaj dumy z tego, że nie należy do narodu, między którym żył, i z którym przez ożenienie się zbratał niejako; a często nawet gardził i lekceważył dość jawnie wszystko, co się działo około niego. Postępowanie więc takie, które jest zresztą wspólne wszystkim silnie do ziemi swej przywiązanym, a znajdującym się na obczyźnie, świadczy dowodnie o niewygasłej miłości kraju tych nieszczęśliwych kolonistów.

Co innego było przyczyną, że pozostali w Sybirze na zawsze. Trudy i mozoły długoletniej służby wojskowej, służby z czasów, kiedy nakazywano dziewięciu zabijać, a jednego wyuczać; zahukana, zabita i poniekąd skrzywiona besprzykładnie barbarzyńskim obchodzeniem się starszych przyroda; rutyna na koniec, lodowacąca wszelkie gorętsze uczucia, której przez długie podlegali lata, sprawiły, że zachciało się

biedakom po tak straszem życiu wypocząć co rychlej, odżyć, rozprostować się swobodniej. Mniemali więc, że daleko łatwiej będzie to uczynić w Syberji, gdzie i życie tańsze i własność nabyć nie trudno, i zarobić prędzej można, jak w ojczyźnie, w której ich czekało sieroctwo i ciężka praca, albo głód i nędza o chlebie żebraniem.

Ktoby tedy chciał tych Polaków potępić za to, że mogą wrócić, zostali na wygnaniu, połączyli się z Moskalami i oddali im na łup potomstwo swoje, popełniłby według naszego zdania wielką niesprawiedliwość.

W pierwszych dniach stycznia r. 1863 byliśmy świadkami następnego zdarzenia, dowodzącego prawdziwości naszych twierdzeń. Pewien urzędnik, Polak, wysłużywszy lat 23 na Sybirze, wracał z rodziną do kraju. Potrzeba mu było do usług w drodze człowieka, na którego mógłby się spuścić. W tem samem miasteczku mieszkał także dymisjonowany żołnierz Polak, podstarzały już, nadwątłonego zdrowia i zdaje się wdowiec bezdzietny. Miał się nie źle, mógł żyć wygodnie, nie potrzebując być ciężarem dla drugich. Dowiedziawszy się jednak, że ów urzędnik szuka służącego do drogi, pośpieszył oświadczyć mu swoją do tego obowiązku gotowość. Ale cóż, urzędnik szukał człowieka jeśli nie młodego, to przynajmniej silnego i zdrowego... schorzały był dlań nie przydatnym. Otrzymał więc żołnierz zrazu odmowną odpowiedź. Owoż trzeba było słyszeć gorące prośby i błagania biedaka, aby mu dano sposobność wrócić do kraju i złożyć choć kości między swoimi... Trzydzięci z górą lat przeżył w Syberji, żonę tu pochował i zawsze uważał się za cudzego, zawsze tęsknił do swoich... Prośby jego były tak rzewne i tak serdeczne, że urzędnik nie zdołał im oprzeć się, mimo oczywiście wypływającej stąd dla siebie niewygody.

Trafiło się tedy, że zbiegowie zajechali przed Tomskiem na noc do jednego z takich dobrowolnych kolonistów. Chata jego stała niedaleko końca wsi, jako zwykłego miejsca dla nowych posiedleńców. Różniła się ona tak bardzo od innych, że tę różnicę można już było zauważyć na pierwszy rzut oka. Najprzód nie posiadała tyle okien; potem brakło jej podwórza i tych licznych szalasów i ambarów, jak po moskiewsku zowią śpichlerze, któremi Sybiracy lubią otaczać swe domostwa; nakoniec wjeżdżało się do niej przez bramę, która prowadziła do obszernej sieni, znajdującej się pod jednym dachem z izbą mieszkalną. Tylną część tej sieni zajmowała stajnia; tuż koło izby mieściły się zasieki i inne gospodarskie schowki. Wszystkowięc było pod ręką, podobnie jak u naszych wieśniaków.

Podany tu opis sadyby jednego z naszych kolonistów nie może być zastosowanym do wszystkich. Owszem nie zdarzało nam się widzieć dwóch zupełnie do siebie podob-

nych. Ale nie spotykaliśmy i takich, któreby nie nosiły na sobie jakiegokolwiek charakterystycznej cechy, i bodaj w czemkolwiek nie różniły się od sadyb sybirskich. Te ostatnie są z bardzo małemi odmianami wszędzie do siebie podobne, i to tak doskonale podobne, iż Oleś poznawszy raz dokładnie rozkład chaty i obory sybirskiej, chodził już potem na noce swoje po owies dla konika wyprawy na oślep, t. j. nie oglądał nawet w dzień położenia.

Na pierwszą zaraz prośbę, zanesioną przez Olesia skłonił się wiarus do udzielenia podróżnym przytułku na noc. Nie pytał nawet co zacy byli, skąd i dokąd jechali. Izbę zaś miał wcale ciasną.

Wyszedłszy na ulicę, gdzie czekał Władysław z ekwipażem, Oleś rzekł:

— Wiesz Władku, gospodarz jest Polakiem... poznałem to po mowie. Czy nie lepiejby było poszukać gdzieś indziej noclegu.

— Alboż nie chce nas przyjąć?

— Owszem, pozwolił zajechać, lecz obawiam się, żeby nas nie poznał.

— Nie bój się, nie mogą Moskale poznać, tem trudniej odgadnie Polak, który jak mówisz, kalectwo po moskiewsku. Zajedziem, kiedy pozwala... Otwieraj wrota! —

Oleś usłuchał, a ogierek bez poruszenia lejąco zawrócił do sieni. Władysław pośpieszył do izby, zostawiwszy konia jak zwykle na opiece Olka. Wnętrze jej różniło się tylko tyle od izb Sybiraków, że było ciemniejsze i nie miało pałatek. Piec, jak wszędzie, zajmował z przypieckiem trzecią część przestrzeni. Były i ławy do koła ścian pod oknami, i police nad niemi, a w węgle domu honorowym wisiały moskiewskim zwyczajem bohomyzy. Lampy tylko wiszącej przed nimi z pułapu brakło i nie było wyciętych z papieru gołąbków, czy jak je Sybiracy nazywają duchów świętych.

Pokłoniwszy się obrazom i obecnym w izbie, Władysław rozebrał się i usiadł niedaleko drzwi na ławie. Pod drugą ścianą także na ławie siedział gospodarz. Po minie, krótko strzyżonych włosach i ogolonej brodzie poznał zaraz dawnego żołnierza. Ze składu zaś twarzy choć suchej, zwiedłej i pomarszczonej, wypadało wnioskować, że nie jest Moskałem. Jakaś uprzejma, pociągająca ku sobie łagodność była rozlana po okragłym jego licu, a siwe oko, pozbawione zupełnie owego wyrazu przebiegłości i niedowierzania, co w każdym spostrzeżesz Sybiraku-Moskalu, przemawiało w spojrzeniu serdeczną dobrocią. Przytem cień smutku i zniekania jakiegoś, jakby ciągle obecne w myśli przypomniał minionych cierpień, które odbijały się na twarzy, nadawały mu powierzchność bardzo sympatyczną i kazały przeczuwać dobre

szlachetne i współczujące serce. Władysław patrząc nań z podębą, uczył jakiś nieprzeparty pociąg do niego. Czy to dla tego, że wiedział od Olesia, iż jest Polakiem, czy też że postać jego posiadała rzeczywiście wiele ujmującej serdeczności, mniejsza o to; dość, że gdyby nie było nikogo w chacie, przemówiłby był doń najniezawodniej po polsku.

Gospodyni krzątała się przy piecu około smażenia alad-jów i nie zwracała uwagi na nowoprzybyłego. Gospodarz rzucał nań wprawdzie od czasu do czasu wzrok ciekawy, choć całkiem pogodny, lecz nie śmiał widocznie zaczepić. Władysław zaś nie wszczynał rozmowy, bo porównywał w myślach przyzwoite i skromne zachowanie się swego obecnego noclegodawcy z natarczywą i niespokojną ciekawością, zakrawającą zawsze na podstępne badanie Sybiraków. Tak więc dobrą chwilę trwało milczenie.

Nareszcie przerwał je gospodarz.

— A ostrą zimę zesłał nam Pan Bóg tego roku!

— Tu na Sybirze zawsze pono tak bywa. Od lat pięciu, nie widziałem jeszcze łagodnej — odparł Władysław, a w duszy pomyślał:

— Z tego jednego powiedzenia, kochanku, poznałbym żeś nie Moskal. Ten zacząłby zaraz od pytań, kto, skąd, dokąd, po co i t. d., ty od pogody...

Nie zdaje się, a jednak cała przepaść rozdziela te dwa sposoby zaczęcia rozmowy.

— Wy nie tutejszy? — zapytał wiarus.

— Nie, przybyłem z ojcem z Kijowa. Mój ojciec Niemiec i rzemieślnik; pracuje w Tiumeniu w gorzelni, ja zaś jadę na służbę do fabryki w Tomsku.

— Wy z Kijowa!... — rzekł gospodarz i uśmiech zadowolonia przebiegł mu po ustach. — Więc z moich stron — dodał i zbliżył się do Władysława.

— Wy także z Kijowa?

— Wprawdzie nie z samego miasta, ale z Polski. A Kijów przecież także w zabranym kraju, także Polska...

— Jest tam u nas wiele Polaków.

— I kościoły są pewnie.

— Jest pono jeden; cerkwi za to mamy wiele w naszym mieście.

— Mój Boże! — prawil wiarus dalej — zawsze lepsze tamte strony, jak tutejsze. Tam co wiesz, co miasteczko, to plebanja i kościół, tu zaledwie raz na lat kilka zjawi się ksiądz z Tomska. Dwa lata już minęły, jak się spowia-
dałem... ej... ej. —

Serdecznie chciało się staremu wiarusowi wywnętrzyć przed Władysławem, pożalić, poskarżyć. Już dla tego, że myślał, iż jest z Kijowa, ze stron bliskich jego rodzimej ziemi,

uznał go godnym zaufania, sposobnym podzielić troski i tęsknotę jego. Chłód jednak i brak współczucia, któremi Władysław nacechował umyślnie swoje odpowiedzi, powstrzymały go w zapędach. Urwał więc cisnące się z głębi piersi słowa, zamilkł i zadumał się.

— Czy was tu przysłali stamtąd na posiedlenie? — zapytał Władysław po chwili.

— E gdzietam! Byłem ci ja wysłany po r. 1831, do wojska. Teraz jestem już wolny, wysłużywszy lata...

— A czemuż nie wracacie?

— Czemu nie wracam?... ha... tak jakoś zrobiło się, że tu zostałem. —

I wiarus machnął ręką, usiadł znowu na dawne miejsce i odwrócił twarz do okna. Niebawem zdjął z policy białe własnej roboty skrzypce, schwylił je silnie i zaczął grać mazurą. Ni instrument, ani grajek byli potemu, żeby gra wypadła świetnie. Jednak w samym jej wykonaniu przebiegało się dobitnie przepelnione i wzburzone serce. Każde pociągnięcie smyczka dobywało ostrych i silnych tonów, takt był prędki, przyspieszony, jakby gniewny. Łatwo było pilnie słuchającemu Władysławowi odgadnąć w tem rzempoleniu cały obecny stan umysłowy gospodarza. Biedak sarknął, że nie ma się komu zwierzyć, że mu brak pokrewnej, współczującej duszy — gniewał się i na siebie, że doprowadził do tego, iż mu potrzeba teraz żalić się i tęsknić.

Wszedł do izby Oleś.

— Czy nie dostałbym u was owsa? — spytał gospodarza.

— Jest... czy zaraz wam trzeba? — odparł tenże, kładąc skrzypce na policy.

— Wezmę teraz, po nocy źle mierzyć. — I obaj wyszli do sieni.

— Teraz rozumiem, dla czego Oleś nie chciał u Polaka nocować... — pomyślał Władysław. — Żał mu było pieniędzy za owies, który u Sybiraka wziąłby darmo... Mateczko! — dodał głośno do gospodyni — czy nie macie tam czego ciepłego?

— Znajdziemy... czy zaraz wam podać?

— Przyjdzie towarzyszy... przekąsilibyśmy. —

Poprawiwszy jeszcze garnków u ognia, zaczęła sybiraczka przyrządzać do jedzenia dla zbiegów na jednym końcu długiego stołu, co stał koło pieca. Ten stół należał także do właściwości chaty Polaka. Sybiracy bowiem używają zazwyczaj małych stołów, które po skończonym posiłku uprzątają na police nad obrazami. Podczas zajęć gospodyni wrócił Oleś z gospodarzem. Władysław poprosił ostatniego, aby się

popatygował przynieść półkwarty wódki, co tenże zaraz uczynił, wzięwszy od Olka pieniądze.

Kabak musiał być niedaleko, bo gospodarz wrócił prędko. Obmywszy ręce, Władysław wziął się do flaszki, pił sam i częstował obecnych. Poczem zasiedli obaj zbiegowie do obiadu, a raczej wieczery, bo dzień miał się już dobrze z południa. Z powodu, że do drugiej wsi było dosyć daleko, zajechali dziś byli prędzej jak zwykle na nocleg.

— Co to u was za praznik dzisiaj, że gospodyni tak się krząta koło kuchni? — zapytał Władysław gospodarza, który wypiszący sporą szklankę siwuchy, usiadł był napowrót przy oknie.

— At — machnął wiarus ręką — córkę wydaję za mąż, ta zięcia czekam... ma dziś przybyć w odwiedzin...

— Czy tę, co tu siedzi pod oknem? — zapytał Olek.

Gospodarz kiwnął tylko głową w odpowiedź.

Na ławce pod oknem niedaleko obrazów siedziała dziewczyna, lat najwyżej dziewiętnastu. Głowę oparła na dłoni, wzrok utkwiała w dziureczkę, umyślnie zrobioną w pęcherzu, który zastępuje szyby podczas zimy w największej części mieszkau sybirskich. Od czasu, kiedy Władysław wszedł do izby, siedziała milcząc i nie zmieniając postawy i nie okazywała najmniejszej chęci przypatrzenia się bliżej nieznanym przybyszom. Znak to był głębokiego zatopienia się w dumkach, kiedy ciekawość nawet nie zdołała jej od nich oderwać. Władysław dawniej już dostrzegł jej, a kiedy gospodarz poszedł był po wódkę, oglądał ją dokładnie.

Mówią że krzyżowanie podnosi rasy, są atoli, którzy przeczą temu, przywołując za dowód daremne usiłowania Anglików około podniesienia rasy koni przez krzyżowanie. Mimo długoletnich zabiegów i ogromnych kosztów nie zdołano tam nie utworzyć, prócz pięknych na oko dziwolągów nie zdolnych do uciążliwej pracy. Jakkolwiek się ta rzecz ma, zdaje się jednak być pewnem, że pierwsze potomstwo rodziców, należących do dwóch różnych ras bywa zazwyczaj silne, a często urodziwe i kształtne. Mogą być wyjątki, lecz dziewczyna, o której mowa, córka Polaka i Moskiewki, nie należała do nich.

W porównaniu z rówieśniczkami, Moskiewkami czystej krwi, była piękną i strojną. Nie dorównałyby może naszym krasawicom; obok nich zostałyby nawet pewnie niepostrzeżoną; jednak w braku takowych żywo je przypominała.

Niskie, białe czoło oceniał bujny, kasztanowaty włos, ujęty w jeden długi warkocz, który na grzbiet spadał. Taki warkocz długi i bujny jest prawdziwą rzadkością w Syberji. Czerwona wstążeczka wpleciona weń wydawała się bardzo dobrze. Wielkie, niebieskie, a nasze, nie sybirskie niebo przy-

pominające oczy, tem piękniejsze i powabniejsze, że powleczone lżą obecnie, świeciły smętnem i łagodnem światłem z pod cudnie narysowanych łuków czarnych i wąskich brwi. Twarz miała formę owalu. Z pod białej i delikatnej skóry przebijał się jak z pod cieniuchnej gazy dziewiczy rumieniec, świadczący dowodnie, że wody krynicy Pallady nie byłyby się cofnęły wstecz, gdyby się w nich umyć pragnęła. I wiele, bardzo wiele uroku miałoby było to oblicze, gdyby nie grubo zaokrąglona, stosunkowo wielka broda, przywołująca zbyt żywo na pamięć niekształtne Moskiewek rysy. Przy tej brodzie mały noszek rzymski szpecił bardziej niż zdobił. Ładniejby już tam wyglądał rozsiadły nos Tatarek, zwłaszcza że przy wysmukłym wroście, także rzadkiem u kobiet moskiewskich zjawisku, formy ciała były okragłe, pełne, rozrosłe raczej niż kształtne, rokoszne bardziej niż piękne. Dwie wyraźne smugi, powstałe z łez niestartych, przecinały obydwie jagody i czyniły to z wielu względów Rubensowskie postacie przypominające dziewczę, jeszcze bardziej sympatycznym.

Była smutną, bardzo smutną. Coś bliskiego rozpacz rozlało się po twarzy i zasepiło trosk chmurą białę jej czoło. Nie jej w tej chwili nie obchodziło; była niby obcą dla świata otaczającego, głuchą i niemą w obec prowadzonej dotąd rozmowy. Lecz skoro ta została skierowaną na przedmiot bliski jej sercu, t. j. skoro ojciec przemówił o zięciu, biedna zakryła twarz dłonią, pochyliła jeszcze bardziej głowę na dół i kilka stłumionych szlochów dobyło się z piersi.

— Przestań raz, przestań, głupia ty głowo; myślałby kto, że doprawdy masz czego płakać! — mówiła matka, zlewając do cebrzyka wodę z ugotowanych kartofli.

Córka stłumiła westchnienia, lecz lży pociekły tym obficie przez szpary wcale zgrabnych palców.

— Radbym też słyszeć, co byś ty powiedziała, gdyby ci kazano iść gwałtem za takiego trutnia! — rzekł gospodarz, ale tak cicho, jakby nie mówił do żony, lecz sam do siebie.

— Przestałbyś ją podjudzać, stary polski durniu!... wolałbyś się ubrać w białą koszulę i spodnie... nie siedzieć jak chachoł zasmolony, kiedy ludzie mają do nas przyjechać...

— No, no, nie krzycz tylko... będzie jeszcze dosyć czasu na to.

— A! tu widać pani rej wodzi; nasz biedny wiarus pod pantoflem! — pomyślał Władysław.

I rzeczywiście tak się rzecz miała. Sybiraczka była, co to u nas zowią hic mulier, i panowała w domu wyłącznie. A wypadku tego nie można policzyć do wyjątkowych. Ilesmy

tylko małżeństw widzieli podobnie skojarzonych, jak to, o którym mowa, a mieliśmy sposobność przypatrzeć się wielkiej ich liczbie, zawsze żona dzierżyła w ręku wodze gospodarstwa. W niższych stanach nie zdarzało nam się napotkać wyjątku z tej reguły.

Jest to zresztą łatwe do wytłumaczenia. Moskiewka do srogiej w zamęściu przygotowana niewoli, widząc w mężu — Polaku skłonność do podzielenia się z nią prawami gospodarza i zupełną nieumiejętność odgrywania roli męża — despoty, upatruje w tem słabość charakteru i nieudolność, i uzurpuje powoli całą władzę. Nim się mąż ogładnie, już siedzi pod pantoflem, który o tyle bywa różnym od zgrabniutkich jedwabnych cicholasek naszych pań, ile się różni trzewiczek warszawski żeńskiej nóżki od czerka*) potężnej i gruntownej Moskiewek łapy.

— Cóż to? — zapytał Władysław — córka wasza nie życzy sobie iść za mąż?

— At! — machnął stary ręką.

— Jak zwykle głupie dziewczę... — pawiła gospodyni przynosząc drugą strawę na stół. — Narzeczony jest chłopak, co się zowie: młody, dostatni, ubiera się jak frant i na sto wiorst w koło nie znajdziesz mu równego, a jej siadło coś na nos, i ociaga się niby...

— Jak się nie ociagać, kiedy tylki! — dorzucił gospodarz, robiąc ruch ręką, mający oznaczyć bardzo niski wzrost przyszłego zięcia.

— Co z tego, że mały, ale bogaty, a przytem syn untiera!**)

— Co mi za wielki ptak untier, ja sam byłem gifrąjtem!

— Ale wiecie mateczko — wtrącił Władysław — choćby nie wiedzieć jak był bogatym, nie godzi się dziewczyny przysmuszać. Wszak to na całe życie, nie na jeden dzień.

— Znajdzie się ochota po ślubie... zresztą kto wie, jak się jeszcze stanie; pop nie chce dać świadectwa, że narzeczony jest pełnoletnim, a bez tego i ślubu nie dadzą.

— Już tam ojciec jego w tem poradzi — pawił gospodarz — wsunie popu szary papierek (50 rubli) i świadectwo będzie.

— Dawał... lecz tęczyowy (100 rubli) chce psia wiara — zakończyła gospodyni.

Nastąpiła chwila milczenia. Zbiegowie zjadłszy, pomodlili się i usiedli koło gospodarza. Władysław nachylił się do jego ucha i szepnął.

*) Rodzaj ogromnych ciężkich i niezgrabnych trzewików.

**) Podoficera.

— Słyszałem ja w Kijowie polskie przysłowie: na frasunek, dobry trunek! wypijcie jeszcze czarę ojca... — Tu wylał do szklanki resztę wódki. Wiarus lyknął i pokiwał głową. Podczas tego Olek zdjął był z policy skrzypce i zaczął stroić.

— Czy umiecie grać? — zapytał gospodarz.

— Trochę...

— Ano, wesołego co! Z was widać majster, i skrzypce inaczej trzymacie od nas samouczków...

— Zamiast płakać, przysłał byś mi pomódz trochę. Ażem się spociła przy robocie... samej trudno dać rady wszystkiemu — mówiła cierpko matka do siedzącej jeszcze ciągle córki.

— Idź Kasiu! idź — dorzucił łagodnie ojciec, którego dwa spore kieliszki zaczynały w dobry wprawiać humor. — Nie smuć się moje dziecko, jakoś to będzie! —

Dziewczyna usłuchała milcząco. Oleś tymczasem wpadł po krótkiej przegrywce na tór i zagrał skoczną kołomyjkę. Po niej skoczniejszy jeszcze nastąpił krakowiak. Przy pierwszych zaraz dźwiękach, twarz wiarusa dotąd nieco jeszcze posępną, wypogodziła się zupełnie, ożyła, rozweselała. Wyprostował się, oko błysło ogniem, noga i ręka zaczęły wybijać takt, tak jakoś same od siebie.

— Oho! — krzyknął — wy i po naszymu umiecie!

Oleś nie nie odpowiedział, lecz z większym jeszcze życiem zaczął wodzić smyczkiem po strunach. Nie wytrzymał wiarus. Zerwał się z ławki, stanął, przytupnął i puścił się w tany po izbie, przyspiewując, głaszcząc wosą i bijąc bosc pięty jedną o drugą, jakby ognia chciał z nich wykrzesać. Przypomniały mu się widać dawne czasy, bo rozochocił się poczęściwać na dobre. Władysław zachęcał go klaszcząc w dłonie pod takt.

Obie Sybiraczki patrzyły z zdziwieniem przez kilka chwil na pływającego i nie mogły sobie zdać sprawy, co by była za przyczyna tak naglej jego wesołości.

— Czy ty zwariował, czy co ci takiego? — zawołała w końcu żona.

— Cicho babo! — odparł zdyszany wiarus, zatrzymując się na środku izby. — To nasze, polskie!... tobie tego nie pojąć, choćbyś sto lat żyła na świecie — dodał, siadając na ławce i zwrócił się do Olesia. — Niech wam Bóg da zdrowia, żeście mi przypomnieli lepsze, o dalibóg lepsze czasy, jak dzisiaj. Tak mi się jakoś dobrze zrobiło na sercu, jakbym tam był u swoich... Ach Boże mój, Boże! i kości ziemia cudza pochłonie... A skąd wy, Moskał, nauczyliście się krakowiaka? — dodał po chwili.

— Chodziło się za młodu po świecie... nauczyli ludzie... — odparł Olek.

Wiarus zadumał się. Zdaje się że nie dowierzał słowom Olesia, bo i na niego i na Władysława spojrział kilka razy z podejba. Jednak ani słowem ani miną nie zdradził niedowierzania.

Właśnie był Oleś zaczął rzepolić triepaka i starał się, aby zniszczyć w gospodarzu domysły spowodowane krakowiakiem, wlać w dźwięki taki ogień, jakiego tylko zdolnym jest ten monotonny taniec, gdy wszedł do izby 15 letni chłopak w niedzielny Sybiraków stroju i w czapce na głowie.

— Czemuż nie ubraliście się Ojcz? — zapytał. — Trofim Pietrowicz jadą już!

— Aś? jedzie?... jadą już? — krzyknęła Sybiraczka, wpadając nagle w zapał, jak spłoszona kokosz. — Ach ty oczeńki!*) ja do stołu jeszcze nie nakryłam! Ach ty oczeńki, ja nieszcześliwa! Prędzej, prędzej Katinka, podaj siny obrus z komory, by nie powiedział, żeśmy go nie czekali, nie wyglądali... gotów się jeszcze zgniewać... A ty co sobie myślisz głupia głowo? — dodała zwracając się nagle do męża — grzech mi dzisiaj z tobą, nakazanie**) boskie, czy co takiego?... on i ślipie jeszcze na mnie wywalił!...

— Albo co? — spytał gospodarz, który dziwił się teraz skakanu swej połowicy podobnie, jak ona nie mogła pojąć przed chwilą przyczyny jego płasów.

— Tiu***) na ciebie, stary czorcie, przebac Boże grzechy! nalizał się siwuchy i do ładu z nim nie przyjdiesz. —

Wiarus popatrzył kolejno na wszystkich, jakby domagał się od nich wyjaśnienia niezastużonych tych pocisków złego humoru swej żony.

— Ubierzcie się ojcz! — mówił śmiejąc się wyrostek. — Trofim Pietrowicz lada chwila przybędzie!

— A gdzież go widział? — zapytał stary, podnosząc się z ławki.

— Jamszczyki, co przywieźli pocztę, zostawili go na 10 wiorście, więc musi być niedaleko.

— Na dziesiątej wiorście... no, jeszcze będzie dosyć czasu do ubrania się. —

I wyszedł powoli do sieni, gdzie zapewne w jednej z komórek znajdował się skład bielizny.

Młodzieniec co wniósł taki zamęt do izby, był synem Polaka. Wysmukły, hoży, o rumianem licu i burych, żywych

oczach, z długimi «w polku» (à l'enfant) według zwyczaju sybirskiego strzyżonymi włosami, nie przypominał wprawdzie Tatarzyna, ni żyda, ale też i nie różnił się tak bardzo od pierwszego lepszego młodego Sybiraka, aby go zań od razu wziąć nie było podobna. Trzeba mu się było dłużej i baczniej przypatrzeć, by dostrzedz w rysach oblicza tych odcieni, których braknie zazwyczaj rówieśnikom jego tuziemcom, korenny, jak mówią Moskale.

Jakieś bujniejsze życie, jakby większa radość z bytu, jakaś żywsza gra uczuć zastępowała ową bezwyrazistość, gapowatość i senną twarz Sybiraków. Miejsce zaś przebiegłości, podstęp, zimnego, z wszystkim rachującego się rozumu, jako też szyderstwa, nazwanego przez uczonych moskiewskich humorem, które tak widocznie tryska ze wzroku sybirskiego chłopca, zajmowały spryt, dowcip i pojętność, budzące sympatię u każdego, kto go pierwszy raz widział. Raziła tylko przejęta i przez niego, a właściwa młodym Sybirakom zarozumiałość, która wyradza się często w nadętą lekceważenie wszystkiego i graniczy o besczelność, a okazuje się nawet w postępowaniu z rodzicami i starszymi.

Nieuszanowanie tych i tamtych przez wyrostki i młode dziewice natrafisz wszędzie w Syberji. Nie pochodzi to jednakże z silnie rozwiniętego poczucia osobistej godności, ani jest oznaką niezawisłości charakteru. Odnieść to wypada do tych samych przyczyn, które sprawiają, że i zwierzęta nie troszczą się wcale o tych, co im życie dali, skoro bez nich obejść się mogą; że i dzikie narody zabijają bezsilnych starców, skoro ci do niczego nie są przydatni.

Urządzenie rodziny moskiewskiej w ogóle, jest bezspornie patriarchalne. Ktoby chciał jednak patriarchalizm moskiewski mierzyć miarą zachodnią, zbłądziłby fatalnie. Jeśli gdzie, to w rodzinie wykluwa się tu najbardziej Wschód ze wszystkimi zwyczajami swojemi. Spójnią jej nie bywa miłość, którą odznacza się patriarchalizm zachodni, gdzie takowy utrzymać się jeszcze zdołał — ale despotyczna przewaga głowy domu nad wszystkimi domownikami. Stąd brak ciepła rodzinnego, wielkie rozwolnienie węzłów pokrewieństwa, chłód wstrętny dla każdego, co serce ogrzał przy ognisku domowem, wzajemna obojętność nakoniec pojedynczych członków są cechami charakterystycznymi, które mniej więcej wybitnie występują w każdej moskiewskiej rodzinie. Gdyby ten egoizm Moskali, który rozprzega najświętsze nawet związki i czyni naród niezdolnym do ofiar i heroizmu, nie był powszechnie znanym i dawno przez zdolniejsze pióra skreślony, nie zabrakło by nam na stwierdzenie go mnóstwa dowodów, poczerpniętych z codziennego życia mieszkańców.

Młokos, czy jak Sybiracy mówią paręń, miał na sobie

*) Wyraz zastępujący u sybiraczek miejsce wykrzyknika przy wzruszeniu, przeleknięciu, zadziwieniu i t. d.

**) Nakazat znaczy u Moskali skazać nakazanie zatem równa się karze. Jest to jedno z tych mnogich słów słowiańskich, które Moskale po swojemu tłumaczą.

***). Chcąc podać kogoś w pośmiewisko Moskale krzyczą: tiu tiu, na ciebie!

blado-żółty, z wielbłądziej szerści sporządzony chałat, czy armiak*) t. j. rodzaj wierzchniej sukni bez kołnierza i stanu, sięgającej niżej kolan, której wyrobem trudnią się najwięcej Kirgizi. Brzegi rękawów, część zastępująca miejsce kołnierza, cały dół sukni jako też i kraje na piersiach były obszyte to węższą, to szerszą listewką aksamitną o czerwonych, zielonych i niebieskich esach i floresach włózkowych. Na końcach pól znajdowały się nadto większe kliny aksamitne z obfitszemi wyszywaniem. Długi jaskrawy wełniany pas, którego końce wisiały po bokach ściśkał biodra, a ciemno fioletowa czapka z grubego manszestru, podobna do wywróconego do góry dnem kubka, okrywała głowę.

Kiedy ojciec wyszedł, młokos odwiązał pas, zrzucił chałat, ściągnął znajdujący się pod nim kożuszek, zwany półszubkiem i stanął w pstrej koszuli o wąskim kołnierzyku z rozporkiem małym na boku piersi. Z rozporka wyglądał zawieszony na zatłuszczonej sznurowadło krzyż miedziany z nieodstępną łyżeczką do czyszczenia uszu, którą Moskale noszą zawsze na szyi obok świętości. Koszula spadała na szerokie sine spodnie, z tak zwanej duby, gubiące się w obszernych, nisko spuszczonej cholewach potężnych butów kongurskich, i była ściśnięta w pasie wąskim jedwabnym sznurowadłem o dwóch sutych kutasach. Z tyłu wisiał na tym sznurowadle miedziany grzebyk.

Ten strój, pochodzenia niezawodnie wschodniego, wspólny jest Moskalom na całej przestrzeni carstwa z tą różnicą, że w Moskwie zamiast wielbłądziej noszą sukienne chałaty. Jest on pojedynczy, ale bardzo malowniczy.

Zdjawszy czapkę i poprawiwszy włosów przed kawałkiem zwierciadła przyczepionego do ściany, wyrostek zbliżył się do zbiegów, siadł na ławce i zapytał bez ceremonii.

— Wy co za ludzie?

— Przejezdni, zajechaliśmy na noc — odparł lakonicznie Władysław.

Kilka ciekawych spojrzeń, rzuconych przez wyrostka na obu zbiegów zakończyło na teraz rozmowę.

Wrócił gospodarz przebrany w bieliznę. Jak niebo od ziemi różnił się ubiór jego od ubioru zsybiraczonego syna. Biała koszula zapięta pod brodą, wetknięta była do płócien-nych wąskich spodni, a te do bótów o krótkich cholewach. Nic nie mówiąc usiadł pod oknem. Wtem ozwał się w pobliżu odgłos dzwonka i uciekł koło domu. Czujna Sybiraczka rzuciła się obces na zadumanego męża i krzyknęła, podając mu zrzucony przed chwilą przez syna kożach:

*) Czytelnicy nam przebaczą, że tak często wprowadzamy tatarsko-moskiewskie wyrazy. Chcielibyśmy pokazać, ile czysto po słowiańsku mówią Moskale.

— Idźże... prędzej! przyjmij go u wrót... przyjechał... słyszysz? Ach oczeni, ja nieszczęśliwa z tą głupią głową — dodając widząc, że wiarus nadto powoli zabierał się do wyjścia. — Petinka! gołąbku mój — zwróciła się do syna — idź ty z nim!

Ojciec i syn wyszli z izby. Córka stała smutna koło pieca, sparlży brodę na rękę i czekała pojawienia się przysłego swego męża w ponurem milczeniu.

Niebawem wszedł tenże wprowadzony przez wiarusa. Pod pachą miał spore zawiniątko. Pomodlił się przed obrazami, oddał ukłon obecnym i przystąpił do dziewczyny, aby ją wedle zwyczaju w twarz pocałować.

Trudno sobie przedstawić coś bardziej komicznego nad to pachole, usiłujące przybrać minę i postawę poważnego człowieka. Był to chłopak z pozoru zaledwie lat 13 liczący; wzrostem nie przechodził stóp czterech. Twarz blada, ściągła, pomarszczona, jak dłoń golutienka, czyniła go o wiele starszym i nadawała mu podobieństwo do karla. Oczy miał ruchliwe, małe, wątpliwej barwy; brwi tak rzadkie i nieznaczne, iż zdawało się, jakoby ich nie było. Cały skład głowy, niskie czoło i ciągle ściśnięte, jakby zasznurowane usta, znamiłowały istotę niskich umysłowych zdolności — coś nakształt idioty. Szeroki, długi, widocznie nie na niego robiony tułup z baranów moskiewskich, pokryty ciemnozielonym suknem i podwiązany wełnianym pasem tak, że na plecach potężny zdawał się wyrastać garb, okrywał go całego razem z nogami. W długich rękawach gubiły się ręce, z poza kołnierza z czarnej merłuszki (młodych owiec) wystawała mała główka jak lepek gronostaja z nórki. Wyglądał raczej jak pieszczoszek przez troskliwą matkę do podróży w ojcowskie futro ubrany, niż jak narzeczony, czyli jak Moskale mówią sużenyj (sądzony), który przyjechał do swojej «niewiasty».

Aby pocałować dziewczynę musiał nieborak stanąć na palcach, lecz i tego jeszcze było mało; strojna Kasia musiała się nagiąć do niego.

— Zdrastwuj Ekaterina Stanisławowna! — rzekł pieszczonym głosikiem.

— Zdrastwuj Trofim Piotrowicz! — była monotonna odpowiedź teje.

Ani cienia uczucia nie było w tem ceremonialnem przywitaniu.

— Szkoda, że mu kto nie poradził, aby sobie sprawił drabinkę — szepnął Oleś do Władysława.

Trofim Pietrowicz zaczął się tymczasem rozbierać. Odwiązał pas, ściągnął kożuch i stanął w sukiennej kapocie, tak zwanej poddiowce, którą używają wieśniacy szczególnie w Moskwie. Ta część ubrania nosi także nazwę kazakin,

jeśli bywa zapinana z przodu na haftki i ma stojący kołnierz. Jest bowiem wtedy podobną do wiecznego ubrania kozaków. Z pod poddłogi wyglądała czerwona koszula, spuszczone na szerokie sukienne szarawary.

— Byłbym już dawniej przyjechał odwiedzić was — prawil konkurent — lecz tatińska nie mogli skończyć z popem... Dopiero dziś rano dobili targu...

— Napisał świadectwo? — zapytała Sybiraczka.

— Napisał.

— Ale kazał sobie pewnie dobrze zapłacić.

— Szut*) z nim i z pieniędzmi, skoro tylko przysłał...

Tatińska byliby dali jeszcze raz tyle, byle tylko dopiąć swego. Oni tak z rodu mają: kiedy na co ważą, i pieniędzy nie za lim.

— Wiadoma rzecz, kto ma za co, ten może być charakterny.**)

— Chwała Bogu znalazłoby się u nas zapłacić czem i dziesięciu takich długogrzywych — dorzucił zadowolony z siebie malec. — Tu Katarzyna Stanisławowno — rzekł, zwracając się do narzeczonej i podając jej zawiniątko — przywiozłem dla was mały podarek, zanim tatińska przyjdą z wianem.

— Dziękuję pokornie, Trofimie Pietrowiczu.

— Idźże zobacz! — pouczała matka.

Dziewczyna usłuchała jak automat i rozwinęła zawiniątko, w którym znajdowała się sztuczka perkaliku na suknię.

— Jakież to ładne! — zawołała stara — będziesz wyglądać jak barinia!***)

Podczas kiedy kobiety oglądały podarunek, malec, który go przywiózł, usiadł na ławce, skrzesał ognia i zapalił fajkę. We wszystkich jego ruchach, nawet w sposobie mówienia przebiegała tu widocznie chęć uchodzenia za dojrzałego człowieka. I właśnie to przesadne przejście się ważnością swego stanowiska czyniło go przy niefortunnej powierzchowności tak śmiesznym, że zbiegowie nie mogli się wstrzymać od chichotania.

— Już go widzę w okropnie długich rogach! — szepnął Oleś.

— I wtedy powinien być wdzięcznym Kasi... będzie się przynajmniej wydawał wyższym — odparł Władysław.

*) Znaczy właściwie trefniś, błazen. W powyższym jednak zwrocie używają Moskale tego słowa jako zmiekczenia zamiast czort. Pojęcia diabła nie łączą Moskale z najwyższą brzydotą i z największym złem, jak my — a nadają go raczej przymiotem chytryści, uciechy z wyrządzania psikusów i t. d.

**) Butny.

***) Pani.

Nadeszło kilka dziewcząt z sąsiedztwa, rówieśniczek Kasi. Pochwałam przywiezionego perkaliku nie było końca. Każda oglądała, przymierzała, zazdrościła, co schlebiało bardzo napuszonemu dzieciakowi.

Wiarus, nie chcąc się okazać zupełnie podrzędną w domu osobistością, zaproponował przekąskę i herbatę. Gospodyni wzięła się zaraz do sporządzenia takowej. Podczas fetowania musiała biedna Kasia siedzieć przy boku narzeczonego, i polykać lzy, które cisnęły się do ocz. Oboje atoli mieli tak sztywne postawy, jak gdyby po kiju byli połknęli. Sybiraczka za to mówiła za wszystkich, nagląc przytem co chwila do jedzenia opierającego się gościa.

Po dwugodzinnym może pobycie, zaczął się tenże wybiegać do domu. Tym razem wszyscy domowi wyprowadzili go do sieni i nie wrócili do chaty, aż odgłos dzwonka zamartł w dali. Przybyłe dziewczęta zostały jeszcze w chacie. Smutna Kasia poweselała przy nich i zaczęła im naprzód towarzyszyć w śpiewie a potem w igraszkach z młodym Petią i ochoczym do podobnych wieczorynek Władysławem. Postawiła także na stół kopiasty talerz cedrowych orzeszków, uciechę wszystkich młodych Sybiraczek, które w biegleści gryzienia takowych, czyli jak mówią szczółkania, dorównują wywiórkom.

Podczas kiedy młodsze grono było zajęte rozmową i żartami, gospodyni domu udała się na piec do spoczynku. Oleś przegrywał czas jakiś na skrzypcach, warus zaś siedział przy nim zadumany.

— O czym myślicie ojeze? — zapytał Oleś, kładąc skrzypce na bok.

— O ojcu mego przyszlęgo zięcia — odpowiedział. — I nie pracował, nie handlował, a przecież bogaty, co się zowie.

— Jakżeż to być może?... musiał przecież skądś wziąć pieniądze... może mu się dostały po ojcu, lub krewnym jakim.

— Gdzie tam, nie ma on tu żadnej rodziny; do wojska przysłał jako najomszczyk, więc nie musiało to tam i dawniej być dobrze. Tak oto widać, ślepe szczęście sprzyja niektórym ludziom.

— Przecież muszą sąsiedzi wiedzieć, skąd mu się wziął taki dostatek.

— Jużci wiedzą... Mówią że poratował go jakiś włóczęga fałszywymi pieniędzmi.

— Plotki pewnie...

— Jakie tam plotki. Pożyjecie dłużej w Syberji, sami się przekonacie, że tu każdy większy bogacz zaczynał od tego. Wszyscy dostatniejsi, co ich jeno znam, przez fałszywe ban-

knoty poszli w górę. O tym untierze zaś bają jeszcze ludzie, że kiedy mu ów włóczęga narobił wielką kupę banknotów, to bojąc się, aby się kiedykolwiek nie wygadał, spalił go wraz z chatą na stepie, w której go przechowywał.

— A!...

— Oj tak, tak przyjacielu, nie rzadka to rzecz u nas... I cóż mu się stało? żyje, wszyscy go szanują, poważają, choć wiedzą o jego sprawkach... Z naszych miejsc, jak to mówią, sprawiedliwość na Sybir wypędzono... I mnie trafiała się raz w życiu sposobność łatwego z bogaceniem się... głupi, opuściłem. Nie byłbym ci ja tu teraz siedział, gdybym był umiał z niej korzystać.

— Jakżeż to było?

— Jakoś w dwa czy trzy lata po mojem tu przyjściu, będzie temu lat teraz... tak z trzydzieści, przeznaczono mnie do garnizonu tobolskiego. Czy byliście kiedy w Tobolsku?

— Bywałem zeszłego roku, kiedy służyłem na parowcu.

— Musieliście widzieć tamtejszą tiurnię. Otóż do owej tiurny chodziliśmy na wartę. Jest tam korytarz, na którym siedzieli podówczas stiennyje, t. j. złoczyńcy przykuci łańcuchem do ścian.

— Do ściany!...

— Tak przyjacielu; dziś, jak słyszałem, znieśli już tę karę, ale wtedy istniała dla zbrodniarzy, co podczas ucieczki z katorgi dopuścili się zabójstwa. Jest tam w każdej komnacie kółko wpuszczone do muru, do niego przyczepiano łańcuch cztery kroki długi i dwadzieścia funtów ciężki i przykuwano za nogę człowieka. Otóż na tym korytarzu przyszło mi raz stać na warcie. Chodzę.. chodzę.. od jednych drzwi do drugich, zaglądam do dziurek, które są umyślnie wywiercone we drzwiach... i bardzo mi się żal zrobiło tych więźniów. Przechadzać się żaden z nich nie mógł, raz że łańcuch nie puszczał go daleko, po drugie, że ciężkie było to psiarstwo i nogę tarło. Leżeli więc prawie wszyscy na łóżkach. Widząc, że spoglądam przez dziurkę, przystąpił jeden z nich jak mógł blisko do drzwi i zaczął ze mną rozmawiać. Choć to srodze było zabronionem, nie zważałem na to i zapuściłem się w gawędkę. I on człowiek, myślałem, i jemu miło, kiedy ludzki głos posłysz. Mówiliśmy otem i owem z ćwierć godziny:

— A co służysz, nie chciałibyście sobie zarobić kilka rubli? — zapytał mnie wtedy.

— Jak? — odpierłem.

— Pójdziecie, powiada, do takiego to i takiego kupca i kupicie, co wam napiszę na karteczce. Będzie to kosztować nie więcej jak dwa ruble, dam wam pięć. Trzy weźmiecie sobie za fatywę. Kiedy tu przyjdziecie znowu na wartę, podacie mi to przez dziurkę, i wtedy wynagrodzę was sowiciej. —

— Myślałem sobie dla czego nie zrobić, kiedy człowiek prosi, i powiedziałem mu, że uczynię za darmo, bez żadnej nagrody. Lecz on nie chciał na to przystać. Dał mi karteczkę i pięć rubli. Poszedłem tedy tego samego dnia do wskazanego sklepu. Kupiec przeczytawszy karteczkę, zawinął kilka farb i dał mi je. Jakoś w tydzień wypadło mi znowu odbywać czaty na owym korytarzu. Podałem mu tedy farby i prosiłem, aby je dobrze przechował. Rewizja nam bowiem bywała ścisła dwa razy na tydzień, a gdyby znaleziono i dowiedziano się, że to ja przyniosłem, niezawodnie zostałbym był oddany pod sąd. Patrzę tedy, gdzie on je będzie chował i co z niemi zrobi. Aż on ci, mój drogi, oskrobał gwoździem w jednym miejscu ścianę i wyjął całą cegłę. Za nią był urządzone obszerny schowek i w nim ukrył farby. Potem siadł na łóżku, dobił z poza cegły papieru i piórek jakichś i zaczął robić pieniądze. Oczom swoim nie chciałem wierzyć z początku, lecz przekonałem się, że tak w rzeczy samej było. Gdy już nadchodziła pora zmiany mojej, dał mi dwie dziesiątki za moją, jak mówił, fatywę. Były tak doskonale zrobione, że m je na drugi dzień zaraz rozmieniał u chłopca, co przywiózł mąkę na targ. Prosił mnie także, żebym zaniósł sporą paczkę banknotów do jakiegoś kupca i obiecywał trzy sta rubli, lecz nie chciałem się na to zgodzić... bałem się, by nie popaść w biedę... Gdybym był usłuchał i wziął trzy setki, nie byłbym takim charlakiem... E, co! i na Sybirze nie byłbym został... Tak to nieraz szczęście, co samo do rąk lezie, człowiek odrzuca od siebie... Lecz późno już, jak widzę — kończył wiarus — i wam pora odpocząć i mnie coś sen morzyć zaczyna. —

Poczem oddalił się na pościel, którą urządził na ławie z kozuchów. Oleś także położył się; dziewczętom tylko jakoś spać się nie chciało w towarzystwie Peti i Władysława. Dawno już chrapał wiarus i kury już na północ zapiały, kiedy postanowiono rozejść się. Odchodząc, każda z dziewcząt żegnała stojących w izbie słowami: k'nam w gosti gulajtie! (prosimy do siebie w gościnę). Jest to zwykle pożegnanie Sybiraków używane każdym razem, choćby dziesięćkroć na dzień przyszło im z jednego i tego samego wychodzić domu.

*

Od samego Tiumenia aż po rzekę Czuiłym, która stanowi granicę między tomską a jenijską gubernją, rzadko można natrafić po wielkiej drodze na miejsca, któreby zasługiwały na nazwę pięknych okolic. Tak są sporadycznie rozrzucone, że pamięć ich ginie na podróźnego pod wrażeniem ciągłych, nudnych i nieprzerwanych stepów z odwiecznie jednemi i temi sa-



memi ostrówkami brzozy płaczącej. Za Aczyńskiem dopiero, miasteczkiem leżącym na wyniosłym lewym Czulymu brzegu, kraina zmienia się widocznie. Dotychczasową nieprzebraną płaszczyznę stepową zastępuje okolica pagórkowata, lesista, z urozmaiconemi, niekiedy pięknymi widokami. Pagórki są prawie wszystkie do siebie podobne, i jednakiej niemal wysokości, droga zaś przechodzi jak po falach z jednego na drugi. Rzekłbyś skamieniałe na morzu podczas wiatru balwany.

Na dnie gęstych jarów, po bokach drogi tu i owdzie najeżonych skałami, wiją się rzadka rzeczulki i szemrzac po kamykach spieszą przez dziewicze puszcze do Czulymu lub Jeniseju. Na wiosnę i w jesieni wznoszą się w szumiące strumienie, które unoszą wszystko z sobą, co im leży na drodze. W zimie przemieniają się w bryłę lodu od powierzchni aż do dna, a łoża i jary, przez które cieką, okrywają zaspy nierazko kilkanaście sążni głębokie. Brzegi ich tworzą bądź wapienne lub krzemienne urwiska, bądź cieniste lasy cedrowe i modrzewiowe, bądź łąki, bujną w lecie pokryte roślinnością. Tam zaś, gdzie jar dostatecznie się rozszerzył, gdzie okolica sprzyjała osiedleniu, znajdziesz i wiejską osadę, albo przynajmniej letni futor sybirskiego rolnika.

Jedno z takich prawdziwie uroczych miejsc znajduje się o 47 wiorst na zachód od Krasnojarska. Leży ono w puszczy nad rzeką Kaczą, która przerzyna tu wielką drogę, o tysiąc kroków na lewo od tej ostatniej, pośrodku gęstego lasu modrzewi i sosen, u stóp pagórka, którego grzbiet rości się daleko po obu stronach gościńca. Znanie jest w tamtych stronach pod nazwą Konowałowskiej zawod t. j. fabryka Konowałowa. Kilkanaście chat, fabryczne zabudowania, dom drewniany właściciela w dziwacznym wystawiony stylu i muirowana cerkiew na pagórku w niejakim oddaleniu od osady, stanowią całą wioskę, która mieści w sobie hutę szklanną i fabrykę fajansów. Mimo że lat 20 nie upłynęło od czasu jej założenia, już widoczne tam są spustoszenia ślady. Z niektórych chat sterczą tylko szkielety zrębu, a dziury okien wyglądają jak otwory czaszki trupiej. Główne fabryczne zabudowanie, na poły zniszczone, grozi lada chwila zupełnym zawaleniem. Most wiodący przez strumyk, który wpada opodal do Kaczy, a przeznaczony pierwotnie tylko dla przejazdu znakomitych gości i samego pana i w skutek tego odpowiednio zbudowany, pochylał się na jedną stronę, zarósł grzybami i trawą, spróchniał i stał się nie do przebycia wozem. Służbę jego pełnił tuż obok postawiony mościk, bez poręczy i słupów latarnianych wprawdzie, bez ławek do siadania, ale za to trwałe i mocny. Sam nawet dom mieszkalny, z wieżyczką na kształt altanki lub gołębnika na dachu, po-

trzebuje gruntownej w każdej części naprawy i świadczy o upadku tego świetnego niegdyś zakładu. Jedna tylko cerkiew na pagórku oparła się wpływowi ciężkich czasów, które widocznie zawisły nad fabryką. Trzy stopniowo nad białe mury wznoszące się kopuły i tyleż krzyżów pozłacanych błyszczą od słońca jak nowe i cerkiew wydaje się jednym zachowaniem od zniszczenia miejscem na zepsutym zresztą obrazie.

Tło zaś, t. j. otaczająca kraina, została nietkniętą i wiecznie świeżą i uroczą w lecie, a dzika i oryginalna w zimie świadczy o niespożytej dłoni mistrzyni-przyrody.

Na dziesięć wiorst jeszcze przed tem miejscem zaczął Władysław opisywać Olesiovi wszystkie pagórki i jary, które ich dzielą od noclegu.

— Więc znasz te miejsca doskonale — rzekł tenże, widząc że wszystkie przepowiednie towarzysza ziszczają się.

— Jak dłoń swoją, przyjacielu! tu spędzałem pierwsze chwile wygnania...

— W lecie musi tu być przyjemnie.

— Bardzo! — mówił Władysław tonem, którym się prawi o lubych wspomnieniach. — Puść konia stępem, Olku. Zimno popuściło trochę, nie wiem czy będzie 25 gradusów, nie zmarzniemy... A miło mi będzie rozglądać się po okolicy, w której każdą ścieżynkę znałem niegdyś dokładnie. Dziwna... — ciągnął dalej po chwili zadumki — tak daleko te miejsca od oczystej ziemi, a dla tego, że niejednej mi błogiej dostarczyły chwili, że były świadkami dumek moich i tęsknoty, patrzeć na nie powtórnie z uczuciem bliskim tego, z jakim zbliżałbym się do domu rodzinnego.

— Ileż to lat będzie, jak wyjechałeś stąd?

— Trzeci rok nieboże kłoni się ku końcowi. Przyjechałem do Tobolska z żandarmami w ostatnich dniach r. 1861. Stamtąd wysłano mnie etapem. Nie będę ci opisywał tej ciężkiej podróży, trwającej pół roku, bo sam jej zakosztowałem. Dodam tylko, że była daleko trudniejszą do przebycia jak obecnie, kiedy się ma przynajmniej ziomków około siebie na etapie. Ja szedłem sam w gronie 300 zbrodniarzy, a zbrodniarzy takich, których opowiadania włosy mi podnosiły na głowie... Strach, strach pomyśleć Olku, do jakiego stopnia zbestwienia dojść może człowiek, któremu od młodości wpajano, iż powinien być tylko narzędziem w rękach drugiego... Wychodząc z Tobolska miałem i pieniądze i odzienie, a przyszedłem do Krasnojarska w aresztanckim ubraniu i bez grosza. Kradziono mnie w drodze i oszukiwano na każdym kroku. Szczęściem znalazłem tu ziomków wygnańców, co mi podali najprzód dłoń bratniej pomocy, a potem zajęli się losem moim dalszym. Wiedzieli dawno

z papierów nadeszłych z Tobolska, iż jestem w drodze i oczekiwali mnie.

Zastąpił tu pana Rabcewicza, wysłanego jeszcze z czasów Konarskiego do katorgi, i księdza Zakrzewskiego, wywiezionego w roku 1861. Obaj zasługują na to, aby ci o nich powiedzieć słów kilka.

Pana R. wysłano w roku 39 do katorgi na kilkanaście lat. Zostawił on w kraju narzeczoną, która mu przyrzekła była towarzyszyć na Sybir i dzielić z nim los tułaczy. Po ogłoszeniu wyroku jednak rodzice nie chcieli zezwolić na ślub i zatrzymali pannę w kraju, uważając zamęście z katorżnikiem za despekt dla swego domu. Wcale inne pojęcie miała o tem dziewczyna. Jej się zdało że splamił przed jej swój honor, gdy nie dotrzyma danego słowa i uważać będzie wyrok despoty jako hańbiący. Przytem miłość jej nie była płochą i wzrosła w miarę, jak wzrosły przeszkody. Usłuchała rozkazu rodziców, lecz przez siedm lat odmawiała stale ręki wszystkim konkurentom, których jej podsuwano. «Dałam słowo, nie zmienię go», była jej odpowiedź na wszystkie namowy i przedstawienia krewnych, kuzynek, matki i ojca. Pojmij Olku, ile to hartu i szlachetności trzeba było, aby wytrwać w swoim przedsięwzięciu przez lat siedm, mimo tyłu i tak silnie demoralizujących wpływów. Wreszcie przekonali się rodzice, że nie zmiękczą uporu córki i zrzekłszy się buty szlacheckiej, zezwolili na związek z potępionym przez cara wygnańcem, który ciągle jeszcze pracował w Nerczyńskim okręgu. Dali pieniądze, wyrobili paszport i wyprawili samą jedną w podróż na drugi kraniec świata. Nie mało tam odwagi musiało być w tej dziewczeczce, kiedy nie dała się odstraszyć nawet tak daleką, trudną i niebezpieczną przeprawą. Bez czyjejkolwiek opieki, nie umiając po moskiewsku prócz: łoszadiej! i skarej! (konie! przedzie!) przebyła śmiała Polka przestrzeń tysiącmilową i dopięła swego zamiaru nakoniec, wzięwszy ślub z panem R. w Irkucku, jeśli się nie myle. Siedm lat jeszcze była z nim potem w katordze, bo uwolniono go najpóźniej ze wszystkich. W Syberji została matką dwojga dziewczątek i w r. 1858 wróciła wraz z mężem do kraju. Nie mogąc jednak znaleźć w ojczyźnie odpowiedniego dla siebie zajęcia, wrócił pan R. dobrowolnie na Sybir, zostawiwszy żonę w kraju, by dzieci kształciła. W Krasnojarsku trudnił się adwokaturą, która mu znaczny przynosiła dochód. Teraz będzie zapewne w Jenisejsku, gdzie miał prowadzić interesa jakiegoś właściciela złotych kopalń.*)

Księdzu Zakrzewskiemu wytoczono proces za kazanie, które miał na jakimś odpuszcie. Należał on do najulubieńszych kaznodziej w r. 1861. Był w Kongresówce gdzieś probosz-

*) Dziś pan R. wrócił już do kraju.

czem i wspomagał liczną rodzinę. Kiedy się znajdował pod śledztwem, powstał w jego probostwie pożar i zniszczył wszystko co posiadał, bo Moskale otoczyli wojskiem pogorzelisko i nie pozwolili ani gasić ani ratować cokolwiek z płomieni. Ze zgryzoty nad tą stratą i nad niewolą syna umarła i staruszka matka, do której tkliwy ksiądz był bardzo przywiązany. Wkrótce po tych dwóch ciosach zapadł wyrok na wygnanie. Możesz sobie wyobrazić w jakim stanie umysłu udał się biedny księżyna w podróż. Sam mi opowiadał, że był ciągle w jakiejś dziwnej gorączce i czuł nieprzerwanie straszne jakieś pragnienie wychylenia kielicha goryczy aż do dna. Pędził żandarmów i jamszczyków pocztowych tak, że robiąc po 350 do 400 wiorst na dobę i nie nocując ni razu, przybył z Warszawy do Krasnojarska coś w dwiętnastu dniami. Tu zamieszkał u proboszcza katolickiego, jakiegoś Niemca, urodzonego w Polsce, który mu ciągle robił wyrzuty, iż się miewał do spraw politycznych, czego jako kapłan nie powinien był czynić. Roszczarowanie, jakiego doznał na swoim koledze, prędką jazdą i wstrząśnieniami podczas niej, nakoniec anormalny stan umysłowy, którego się nie mógł pozbyć w pierwszych czasach wygnania, wprawiły go w słabość, którą uznano za zapalenie mózgu. Tylko nieustanne czuwanie kilku wygnańców Polaków i zabiegi ich koło chorego, sprawiły, że został przy życiu. Po słabości, która dość długo trwała pojawił się w księdzu nieszczęsnym inny niebezpieczniejszy daleko objaw. Zaczął szukać rostargnienia i zapomnienia smutków w trunku. Starano się wszelkimi siłami odciągnąć go od tego, czuвано by nie zostawał nigdy sam, robiono co tylko było można, lecz daremnie. Ksiądz potrafił znaleźć dogodną chwilę dla dogodzenia nieszczęśliwemu nałogowi. Nareszcie przeniósł go rząd do Moskwy i naznaczył za miejsce pobytu Saratow. Tam biedaczysko dostał powtórnego zapalenia mózgu i umarł.

Trzeci kolega wygnania, o którym muszę ci także powiedzieć słów kilka, był Karol Nowakowski z Warszawy. Podczas demonstracji pochwycił on krzyż z rąk ubitego księdza i prowadził dalej tłumy, co się wybrały na procesję. Gdy go żołnierz ranił bagnetem w nogę, połamał krzyż na jego głowie. To odważne zachowanie się zjednało mu nazwę «kochanka Warszawy». Był on uczniem warszawskiej szkoły sztuk pięknych i poświęcał się malarstwu. Na wygnaniu dawał lekcje rysunków i mieszkał u pewnego pułkownika, który go bardzo lubił. Pułkownik był Polakiem. Odwiedzając go bardzo często, widziałem precudny obraz narysowany przez niego kredką na ścianie pokoiku. Rysunek ten przedstawiał Prometeusza przykutego do skały, któremu sęp wnętrzości wyjada. Boleść na twarzy Prometeusza była tak wiernie

oddaną, iż bez wzruszenia nie można było patrzeć na obraz. Roznaitemi tajemnymi drogami utrzymywał Nowakowski ciągłą korespondencję z Warszawą i posiadał zawsze świeże wiadomości. Jeszcze w listopadzie 1862 r. wiedzieliśmy, iż na wiosnę wybuchnie powstanie. Ja postanowiłem uciec, jemu obiecano wyrobić pozwolenie powrotu do mniej odległych od kraju miejsc. Jakoż udało się warszawskim jego przyjaciółom wyrobić u żony księcia Konstantego, iż wyjednała dlań u męża ulaskawienie. W skutek tego powrócił wkrótce po mojej ucieczce z Krasnojarska do Puławy, a stamtąd zemknął do powstania w Ukrainie. Niestety chciano, że go zaraz w pierwszej bitwie pojmano. Nie przyznał się oczywiście do swego nazwiska, i pod obcym idzie teraz po raz drugi na Sybir.*)

Kiedym przybył do Krasnojarska udzielili mi pomocy rodacy, jak ci to już mówiłem. Uzyskawszy swobodę po 18 miesięcznej srogiej niewoli, nie miałem nic pilniejszego do roboty, jak użyć jej należyście. Kupiłem sobie strzelbę i przez trzy dni bujałem bez celu po wzgórzach, lasach, dolinach i wioskach okolicznych, nasycając się przyrodą, która mi się po tak długim więzieniu wydała precudowną. Byłbym się wałęsał, dokądby mi zasobów pieniężnych było starczyło, gdyby nie wypadek, co mnie zapędził nazad do miasta.

Jednym z celów moich wypraw było polowanie na kaczki, których wielka ilość żeruje po jeziorach stepowych. Wszelkie jednak usiłowania, żeby ubić choć jedną, spełzały zawsze na niczem. Pojedynka była do niczego, w lot strzelać nie umiałem, a na wodzie trudno było zwierzyne podejść. Otóż raz, wracając z wyprawy nad brzegi Jeniseja, spostrzegam blisko wsi, w której miałem nocować, jezioro, a na nim parę kaczek. Podsuwam się, czołgam, przybliżam... nie uciekają jakoś. Staję na kroków dwadzieścia od nich, siedzą. Oho, myślę, znamienity ze mnie myśliwy, kiedy tak blisko umiem podejść dzikie ptastwo. Mierzę, palę, i zabijam jedną. Druga zamiast wlecieć, zakrzyżła, wypłynęła na brzeg, i trzęsąc ogonem i kołysząc się poszła najspokojniej w świecie ku wsi.

— Zabiłeś tedy domową kaczkę — przerwał Oleś śmiejąc się.

— Tak; wziąłem ją z barwy piór za dziką. Na strzał wybiegła jakaś Sybiraczka z najbliższej chaty i zaczęła krzyczeć w niebogłosy, żem jej kaczkę zabił. Wyleciał i mąż i jeszcze kilku Sybiraków i chcieli mi odebrać strzelbę. Żadne wymówki nie pomogły; musiałem zapłacić rubla, choć kaczkę można kupić za 10 kopiejek. Zniechęcony tak niefortunnym

*) Karol Nowakowski, o którym opowiada niektóre szczegóły autor «Czarnej Księgi» i autor Tunelu więziennego w Kijowie, umarł w turmie Irkuckiej, gdzie siedział za sprawę zabajkalską.

wypadkiem i zwątpiwszy o moich zdolnościach myśliwskich, wróciłem tego samego dnia jeszcze do Krasnojarska. Znamy byli już niespokojni o mnie, bojąc się, by mnie gdzie na stepie nie zabili Sybiracy, lub nie odarli. Nazajutrz odprawili mnie do Konowalowskiego zawodu, do którego niebawem dojeżdżem; tam objąłem obowiązek domowego nauczyciela. Pan, którego dzieci uczyłem, jest Polakiem, i oraz zięciem Konowalowa. Po śmierci tegoż został współwłaścicielem fabryki. Płacono mi nie źle; prócz wszelkich wygód miałem miesięcznie 25 rubli, zajęcia zaś przez cztery godziny dziennie. Stąd też i uciekłem w listopadzie po czteromiesięcznym pobycie.

Podczas tych opowiadań Władysława konik postępował stępem i dowieźł saneczki do miejsca, gdzie po obu stronach drogi ciągnął się jar głęboki. Gęste zarośla sterczały z pod śniegu między olbrzymimi modrzewiami. Władysław rzucił okiem w około i uśmiechnął się.

— Czegoś tak naraz poweselał? — zapytał Oleś.

— To miejsce przypomina mi figiel, który wyrządziłem gubernatorowej Krasnojarskiej. Jest ci to baba tak nieznoszna, tak nieprzyjemna ma powierzchowność i rażący sposób mówienia, żem powziął do niej od pierwszego razu jakąś szczególną antypatję. A miałem ją sposobność widzieć podczas gdy się przedstawiałem jej mężowi jako wygnaniec polityczny, oddany jego straży i pieczy. Żyła ona w przyjaźni z rodziną Konowalowa, który był wysokim gubernialnym urzędnikiem. Pewnego razu dawała zabawę u siebie i poprosiła listownie żony mego chlebobdawcy, by jej przysłała świeżych malin, których w Krasnojarsku trudno było dostać na targu. W liście dotyczącym pisała wyraźnie, że umyślnie na te maliny sprosiła towarzystwo i że życzy sobie, aby były świeżo zerwane i nie zgniecione. Te krzaki, co tu widzisz po bokach, są malinowe. Tu więc wysłano wszystkie służące na zbiór żądanych malin. W kilku godzinach narwano coś pięć koszyków i miano je odesłać przez umyślnego posłańca. Na takowego ja ofiarowałem się. Zaprzęgli mi tedy konia do wózecka o dwóch kółach, umieścili koszyki we mchu, by się mniej trzęsły i poruczyli jechać jak najwolniej. Skoro wyjechałem na gościniec, puściłem konia galopem, wybierając najniebezpieczniejsze miejsca po drodze. Po kilku wiorstach zrobiła się naturalnie z malin formalna mamałyga, nad którą unosił się sok wyciśnięty. Koszyki bowiem były szczelne z kory brzoźowej. Zacząłem jechać wolniej, a że było bardzo gorąco, gasilem pragnienie sokiem. Nim dojechałem do Krasnojarska z pełnych przedtem koszyków ubyła większa połowa. Możesz sobie wyobrazić jak się baba złościła, że jej w taki sposób wieczorek popsuto...

— Jak widać, nie źle ci się musiało powodzić na wygnaniu, kiedyś miał czas i usposobienie myśleć o figlach — rzekł Oleś.

— Daleko lepiej, jak sobie z początku wystawiałem. Nie źle nam tu było wszystkim pod materialnym względem, dokąd nas mało było i dokąd wygnańcom nie zabroniono udzielać nauk. Każdy mógł znaleźć miejsce, które mu dostarczało aż nadto środków do życia. Wiesz że tu wszystko tanie, bo pieniądź drogi. Za 10 rubli możesz cały miesiąc żyć wybornie i mieszkać wygodnie. Gdyby nie tęsknota i nie żal za swoimi, która cię chwilami tak opanowuje, że nie wiesz co z sobą robić, i tak dokucza, że na świat boży nie miło ci patrzeć, możnaby się z posileniem pogodzić jeszcze.

— Tylko nie obecnie — dorzucił Olek — kiedy tylu jest wygnańców, i wszystkim nie wolno im się zajmować.

— Mówię też o czasach dawniejszych... Obecnie naszym posilencom po wsiach gorzej jak katorżanom. Jeśli nie ma funduszu, to musi za strawę i mieszkanie pracować jak wół u Sybiraka.

Opowiem ci jeszcze jedno wspomnienie z owych czasów. Przez pana R. zostałem wprowadzony do kół arystokratycznych Krasnojarska. Wszystkich nas w ogóle widziano w moskiewskich towarzystwach bardzo chętnie i zapraszano na wszelkie zabawy. Uprzejmością i poważaniem chcieli niejako Moskale naprawić niesprawiedliwość wyrządzoną nam od ich rządu. Gubernialnym poczmistrzem był wtedy Polak, który ożenił się w Petersburgu z Moskiewką wysokiego rodu; o jej obyczajach atoli rozmaicie opowiadano. Otóż raz zostałem zaproszony na dację t. j. willę pod Krasnojarskiem, która należała do pewnego urzędnika Moskale. Był to ładny i zgrabny domeczek w guście szwajcarskim, stojący śród ogrodu, któremu się starano nadać pozór parku. Miałes tam i trawniki, i gaiki i krzaki, nawet małe strumyki z mostkami i stawek uwieńczony zaroślą. Nad tym ostatnim panował pagórek, na którym wznosiła się chińska altanka.

Gości zjechało się mnóstwo; między nimi i poczmistrzem z żoną. Przy herbacie posadzano mnie koło pani poczmistrzowej. Po moskiewsku wtedy nie umiałem, więc niezbyt tam bawiłem swoją sąsiadkę. Ile razy jednak podałem jej wody lub przysunąłem konfitury albo koszyczek z ciastkami, tyle razy dziękowała mi tak lubym uśmiechem, tak miłym spojrzeniem, że mnie to wreszcie zaczęło ambarasować. Nadto czułem niejednokrotnie podczas podwieczorku, że jej wzrok ciąży na mnie.

Była to bardzo okazała kobieta lat średnich. Piękności na twarzy szukałbyś darmo, ale za to pełne, okrągłe formy ciała, rokoszne jakieś spojrzenia, prześliczna kibić i pul-

chniutkie rączki mogły cię na chwilę oczarować. Przy herbacie wydarzył mi się mały komiczny wypadek, który rozśmieszył całe towarzystwo, zaś od sąsiadki przysporzył mi czarowny uśmiech. Jest zwyczaj po większych domach sybirskich, według którego gość, który nie chce pić więcej herbaty, powinien łyżeczkę zostawić w szklance. Ja o tem nie wiedziałem i kładłem ją po wypiciu zawsze na spodku. Pani, która pełniła obowiązki gospodyni, wdowa i właścicielka kopali złotych, zarazem kochanka gospodarza, nalewała mi ciągle świeżą szklankę. Widząc że nie podołam, podziękowałem przy piątej, wymawiając się, że więcej pić nie mogę.

— Czemuż pan kładziesz łyżeczkę na spodku? oznacza to przecież, że pan żąda, by mu znowu nalano — rzekła wdowa z uśmiechem.

— Przepraszam — odpowiedziałem — nie wiedziałem o tym tajemniczym znaku; byłbym go użył jeszcze po pierwszej szklance. Przy tej sposobności ośmieliłem się zapytać, czy są jeszcze inne podobne naki.

— Jakto pan rozumiesz?

— Naprzykład jeśli kto cukru pragnie więcej, czy także ma znakiem to okazać?

— Natenczas roztwiera usta jak do ziewania — odrzekł p. R. śród ogólnego śmiechu.

Po szampanie i czarnej kawie wyszliśmy do ogrodu. Sąsiadka powisała na mojem ramieniu. Wieczór był prześliczny, wiosenny, miliony gwiazd migały z błędnego sybirskiego sklepienia, zorza nie gasnąca tu w nocy jaśniała na połowie zachodnich niebios, a księżyc dwórożny płynął jak łódka po tej toni, co na północy osobiłwie tak przyjemnie do marzeń nastraja. Lekki wietrzyk szeleścił w błyszczących młodych listkach drzew i krzaków, że ci się zdawało, iż słyszysz szelest sukni zbliżającej się kochanki. Strumyk mruczał jakby do snu cichutką piosenkę, i gdyby jeszcze słowik zabłąkał się był w te miejsca i ożywił je swojemi trelami, byłbym zapominał, że mam na Sybirze. Postępowaliśmy z towarzyszką na samym końcu. Szła milcząca, coraz zwalniała kroku, i po chwili byliśmy daleko od towarzystwa.

— Chódź pan do altanki nad stawkiem... tam tak pięknie — rzekła skręcając na ścieżkę, co we wręcz przeciwną stronę wiodła od tej, którą udali się goście z gospodarzem.

Usłuchałem.

— Pan zdajesz się być zamyślonym. Milczysz ciągle... o czem myślisz pan teraz na przykład, jeśli wolno spytać?

— Ja pani?... prawdziwie... jeżeli jestem nudnym towarzyszem, pochodzi to stąd, że nie umiem dobrze mowy krajowej.

— Przeciwnie pan wyrażasz się dość zrozumiale; ale winienesz mi pan odpowiedź.

— Czy pani pytała o co?

— O czem pan myślisz obecnie...

— Myślę... myślę, że bardzo piękny mamy dziś wieczór. —

Wyszliśmy na pagórek. Altankę ocieniały gęste krzaki brzoźowe. W jej głębi była ławeczka, na której usiedliśmy. Widok był na stawek, którego powierzchnia wyglądała jak zwierciadło srebrne, gdzie całe niebo się odbijało. Kraje tylko przy brzegach, na które padał cień z wianka krzaków, były ciemne, i zdawały się przedstawiać ramy mahoniowe. Chwilę tylko trwało milczenie. Podczas niego starałem się skupić rozpierzchłe myśli, by wyjść raz z tej roli milczącej, która coraz więcej mi ciążyła.

— Prawda, że śliczny wieczór... — rzekła pocztmistrzowa. — Czy i w pańskiej ojczyźnie są takie?

— O ładniejsze, pani, stokroć ładniejsze. Szafr nieba tam ciemniejszy, blask gwiazdek jaskrawszy, woń przyjemniejsza w powietrzu, a słowiki, pani, jak śpiewają!... O gdybyś je słyszała, pokochałabyś tak kraj ów, jak my Polacy go kochamy. —

Musiałem mówić ognisćie, bo towarzyszka z uśmiechem zadowolenia patrzyła mi w oczy.

— Czy i kobiety piękniejsze? — dodała ciszej, przybierając ton filuterny.

— Tak pani, są tak piękne, jak nigdzie indziej... — zawołałem niebacznie. Spostrzegłem jednak błąd swój i dorzuciłem natychmiast — choć tu naprzykład w Krasnojarsku, są także bardzo ładne kobiety. —

Ukąsiłem się w język, ujrawszy że do jednego głupstwa dołączyłem drugie. Pocztmistrzowa się uśmiechnęła.

— A któż z kobiet przypomina panu najwięcej Polki w dzisiejszem towarzystwie naprzykład? — zapytała.

W nie lada ambaras wprowadziło mnie to pytanie. Prawdę trudno było powiedzieć, bo wypadłaby nie zbyt korzystnie dla dam sybirskich. Odpowiedziałem tedy:

— Gdybym się nie bał obrazić pani, to powiedziałbym.

— Mów pan śmiało — rzekła, kładąc mi rękę na ramię.

— Pani! — szepnąłem.

— Gdyby to nie komplement, mogłabym nie wielkie mieć wyobrażenie o piękności Polek... Ale dobrze mi tak, sama do tego doprowadziłam... Czy pan kochałeś kiedy?... —

— Ja?... Tu zaciąłem się. Pytanie było tak niespodziane, a zarazem tak wymowne, że mi się zmieszało.

Wtem na zakręcie dróżki ujraliśmy gości dążących także do altanki. Odgłos ich słów przypominał nam gdzie jesteśmy.

— Jaka szkoda, że mi nie pozwolili usłyszeć pańskiej spowiedzi — rzekła ściskając mi rękę. — Ale odwiedzisz mnie pan kiedykolwiek, to skończymy zaczęłą rozmowę.

— Dziękuję bardzo za zaszczyt, nie omieszkam korzystać z pozwolenia pani — odpowiedziałem, całując na przedce jej rękę. —

Tu zamilkł Władysław.

— I korzystałeś później z tego pozwolenia? — zapytał Oleś.

— Gdzie tam... Poznałem młodsze, ładniejsze Sybiraczki, o niej zapomniałem... Wyrzucała mi to nieraz, gdyśmy się spotykali w towarzystwach, ale wzrok jej nie robił już tego wrażenia na mnie, jak w ów wieczór. Za starą mi się wydawała. —

Zbiegowie dojechali do miejsca, w którym z gościńca wiodła dróżyna na bok do opisanej na wstępie wioski. Śnieg zaczął padać rzęsiściej, drzewa lasu szumiały, chmury leciały strzalać po niebie, a koń co chwila parsknął.

— Zbiera się na burzę — mówił Oleś, oglądając się w koło,

— Nie to, za kwadrans będziemy na noclegu — odrzekł Władysław. — Za fabryką o dwie wiorsty jest wieś w której odpocznimy. Zwróć na dróżynę.

— Widzisz oto, w tym pokoju mieszkałem — dodał, gdy wjechali do wioski i pokazał na jedno okno domu mieszkalnego.

— Czy ta fabryka już podupadła, że tak wszystko zniszczone? — zapytał Oleś.

— Jest to jedyna wioska w Syberji, w której mieszkali poddani. Konowałow zakupił 300 dusz w Moskwie i przypędził je tutaj z rodzinami. Obchodził się z niemi po moskiewsku, bił, katował co się zmieściło i przeciążał robotą do upadłego. To też po zniesieniu pańszczyzny wynieśli się wszyscy i nie mógł dostać robotnika. Ci co się zostali, nie podolali w tak obszernej fabryce, musiała więc podupaść. Teraz toczy się proces o nią między jego prawymi dziećmi, a nieprawą córką, którą wydał za urzędnika. —

Wiatr tymczasem wzmagał się coraz bardziej i zanosilo się na uragan. Zbiegowie popędzali konika, a w kilka minut później byli już pod dachem jednej z chat przyległej wioski.

*

O trzysta wiorst na północ od Krasnojarska leży miasto Jenisejsk. Droga doń wiedzie po największej części przez szpilkowe lasy, które coraz bardziej stają się większemi, im więcej zbliżasz się do miasta. Na kilkadziesiąt wiorst przed

niem tu owdzie poprzerywane bory łączą się już w ogromną puszcze, która nakształt ciemnej szaty pokrywa całą północną przestrzeń tej wielkiej gubernji. Jak biały wapienny ostrowek wygląda Jenisejsk śród tego ciemno zielonego morza cedrów, modrzewi, jodeł i sosen, które wiecznie szemrzą jakiś śpiew tajemniczy. Srebrną wstęgą wije się śniegiem zasypane szerokie łożysko Jeniseja po tej bezmiernej lasów przestrzeni i wygląda jak przepaska, której kłamrę stanowi miasto błyszczące kopułami monasterów i cerkwi.

Przyjeżdżającemu z południowych stepów do tej puszczy, czy jak ją Sybiracy zwą tajgi, sięgającej jednym ramieniem aż po Ural, drugim aż do lasów Kameczatki, dziwno się jakoś widzi. Mały widnokrąg, szmer tajemniczy, uroczy półcień, właściwy lasom aromat powietrza i wzniosły widok wielkich drzew wiekowych, nastrojają umysł na ton uroczysty i czynią go sposobnym do marzeń. Zdaje mu się, że mu coś ciągle ciąży na piersiach i obawa przed czemś nieznanem i niewytłumaczonym niepokoi go wiecznie. Wyobraźnia zapępnia gubiącą się w dali głąb boru najrozmaitszemi widziadłami, a w łagodnym szmerze drzew słyszy głosy nadziemskich istot...

Kto ten wpływ lasów na umysł ludzki śledził na sobie, porównując go z wpływem stepów, temu zrozumiałą będzie pełna tajemnic religja pogańskich Litwinów i pierwotnych Germanów, co się po lasach tulała.

Z tej to części Syberji ciągnie rząd moskiewski wielką część owych bogactw, których obszerny kraj mu dostarcza, i które przy nieco lepszym gospodarstwie i rzetelniejszym zarządzie snadnie mogłyby się podwoić. Tajga jenisejska mieści bowiem w swoim łonie wiele rzeczulek o złotonośnym piasku, nad którymi znajdują się tak zwane żółotyje przyski t. j. kopalnie, raczej wymywalnie złota. Odkryto je naprzód między 1830 i 1840 rokiem. Wielka korzyść, jaką obiecywało pomnożenie się podobnych odkryć, pobudziła rząd do powściągnięcia w tym wypadku swej łapy fiskalnej, i do wydania ukazu, w skutek którego wszystkim urzędnikom, dworjanom i kupcom pierwszej i drugiej gildji (klasy) wolno było wysyłać ekspedycje w głąb tajgi, czy jak ją zwą jeszcze, tundry, dla odszukania miejsc, kryjących złoto. Szczęśliwiec, którego ekspedycja natrafi na takie miejsce, staje się wyłącznym jego właścicielem; wolno mu ogrodzić je, wznosić potrzebne budynki, sprowadzać maszyny, kopać piaski i dobywać z nich złoto. Jednego mu tylko rząd ojcowski zabrania, t. j. korzystania według woli z owocu swojej pracy i zabiegów. Złoto bowiem dobyte w ten sposób nie śmie komu innemu sprzedawać, jak rządowi, który mu płaci raz na zawsze ustanowioną cenę trzech rubli za dółę, co za funt

moskiewski zawierający 96 dół wynosi 288 rubli. Faktycznie więc jest rząd właścicielem wszystkiego złota, które Sybir po tajgach kryje pod torfami, a imienni posiadacze stanów t. j. miejsc złotonośnych, są tylko jego robotnikami płacnymi od sztuki.

Aby zapobiedz możliwym nadużyciom posiadaczy takich wymywalni i ich urzędników, jako też utrzymać karność między kopaczami rekrutowanymi z ludu, ustanowiono na stanach kozackie oddziały, których obowiązkiem jest nadzorować roboty, kontrolować wymytą ilość złota, strzedz takowej przez czas trwania robót i pilnować porządku. Złoto przechowuje się u zarządcy wymywalni, ustanowionego z ramienia właściciela i potem pod eskortą przewozi się do Barnaulu, miasteczka na południu w Tomskiej gubernji, oddalonego od Jenisejska o jakie półtora tysiąca wiorst. Tam dopiero wypłacają ustanowioną zań należność, przetapiają je w sztaby i odwożą corocznie dwa razy do Petersburga, tego zamrożonego serca, w którym wypróżniają się wszystkie żyły ogromu, nazwanego Moskwą.

Prace na przyskach sybirskich trwają od 15 marca do 15 września. Ani zaczynać nie wolno przed terminem, ani przedłużać zajęć poza takowy. Piętnastego września następuje rozszczęt, t. j. obrachunek i wypłata robotników.

Mimo srogie kary naznaczone za kradzież złota, mimo ustanowiony umyślnie na to osobny sąd wojenny, który znajduje się w Krasnojarsku, mimo ustawiczną nakoniec kontrolę kozacką, nadużycia, jakie się ciągle dzieją na przyskach, graniczą o potworność. Posiadając złoto, które rocznie bywa skradzionem w bliskiej i dalszej tajdze jenisejskiej, możnaby snadnie myśleć o wystawieniu aureae domus Nerona.

W samych początkach mieli właściciele wymywalni wiele do walczenia z brakiem ludzi do roboty. Ta niedogodność była tem trudniejszą do pokonania, ile że wypływała z miejscowych stosunków, t. j. z niedostatku ludności i zadaniami administracyjnymi środkami nie mogła zostać usunięta. Istnieje ona i obecnie, a sposób, w jaki się wzięto do pokonania jej, czyni ją niebezpieczną dla przedsiębiorstw.

Na dwa miesiące przed rozpoczęciem robót w tajdze, wysyłają właściciele wymywalni w rozmaite Sybiru strony swoich pełnomocników, którzy zatrzymują się we włościach i starają się pozyskać między mieszkańcami potrzebną ilość rąk roboczych. Zadatki, które wyliczają każdemu najmującemu się natychmiast po oświadczeniu, iż chce pracować w tajdze, i po złożeniu paszportu swego w zastaw, są w tym wypadku ową wędką, na którą łowią się niezbędni robotnicy. Pieniądże są drogie w Syberji, azatem i pożądane. Pozorna

łatwość z jaką ich można dostać przy podobnem zaprzęczeniu się do pracy i nieogłębność Sybiraków na przyszłość, którzy zdają się nie myśleć w chwili gdy biorą zadatek, że gorzko zań trzeba będzie odrobić, sprawiają, iż każdy z pełnomocników już w kilku tygodniach dopina swego celu. Ta okoliczność przypomina owych dzikich w Ameryce, co to sprzedają swoje wiszące łóżka rano, nie pomni że wieczorem będą ich potrzebować. Z płaczem przychodzą oni za nadejściem nocy do kupca, żądając by im wrócił sprzęt niezbędny i muszą podwójnie oczywiście go opłacać.

Dla przynęcenia robotników używają pełnomocnicy innych jeszcze środków, co przywodzą na myśl owe świecidełka i błyskotki, za pomocą których zwabiano niegdyś murzynów na wybrzeżach Guiney do sprzedania swoich dzieci w niewolę. Sybiracy lubią błyszczeć przed drugimi — paszczegolat, jak mówią. Hołdując tej słabostce w celu wyzyskania jej na swoją korzyść, pełnomocnicy wiozą ze sobą cały kram towarów ulubionych w Syberji. Znajdziesz w ich tłumokach czarny manszester na spodnie, zwany tam plusz, czerwony aleksandryjski perkal na koszule, buty kongurskie, czapki z aksamitnym wierzchem i z opuszką z grubego manszestru, które dla swej oryginalnej formy, podobnej do uciętego wywróconego ostrokąta, noszą nazwę przykatsielskich, skórzane rękawice i należące do nich wełniane warezki, (także rękawice o jednym palcu) chustki wełniane i jedwabne, harmoniki, kożuszki, materje na suknie dla kobiet i t. d. Wszystko to roskładają oni w mieszkaniach, które zajmują po włościach, i naznaczają na nie cenę nieco mniejszą jak przekupnie wiejscy. Skoro tedy nastąpi umowa z robotnikiem, dają mu połowę zadatku pieniędzmi, drugą towarem. Wieśniak myśli że dobry zrobił interes, przyszedłszy małym względnie kosztem do pięknego według jego pojęć odzienia, i nie wie, że odebrał tylko trzy części rzeczywistego zadatku; czwarta, jako zysk za narzucony towar płynie do kieszeni pełnomocnika. Jest to poboczny tylko dochód tych ostatnich; za każdego najętego człowieka dostają oni prócz tego od właściciela po 5 i więcej rubli.

Zwykle po takiej ugodzie każdy robotnik odbywa kilkodniowe gulanje, traci część a nie rzadko i cały zadatek na pijatyce i przypomina zachowaniem się podczas niej opisaną już postać najomszczyka. Mało bywa tyle rozumnych i oględnych, coby nie hołdowali temu powszechnemu zwyczajowi.

W zastaw za wzięty zadatek zostawia robotnik, jak już powiedzieliśmy, swój paszport w rękach pełnomocnika. Na pewny oznaczony dzień ma stanąć w Jenisejsku swoim kosztem, skąd z innymi robotnikami udaje się na stan do tajgi.

Ci co nie wypełniają tego punktu umowy, bywają ścigani przez policję i jako aresztanci dostawiani drogą etapową na miejsce przeznaczenia. Rząd udziela w tej mierze właścicielom kopalń wszelkiej możliwej pomocy, leży to bowiem w jego interesie, by jak najwięcej było rąk do pracy.

Wyżej opisany sposób, w jaki zawierają się te układy, naraża pełnomocników, po części i samych właścicieli na dotkliwie nieraz straty. W zastaw bowiem dostają im się niekiedy fałszywe paszporta, według których tego, co wziął zadatek niepodobna wynaleść i ściągnąć do tajgi. Dawniej robiono z takich oszustw prawdziwe rzemiosło. Włóczęgi, zbiegi z katorgi i inni łotrzykowie najmowali się przy pomocy podrabianych paszportów u kilku pełnomocników razem i zabrawszy zadatki znikali bez śladu. Ostrożności przedsiębrane później przy układach zrobiły jednak w nowszych czasach mniej częstszemi te oszustwa.

Uważaliśmy za potrzebne te pobieżne uwagi dla lepszego zrozumienia opowiadania, które ma stanowić przedmiot szkicu niniejszego.

Po odbytej w Krasnojarsku naradzie zbiegowie postanowili udać się do Nerczyńska, aby zmówiwszy się tam z katorżnikami politycznymi, między którymi wiele posiadali znajomych, dokonać ucieczki w liczniejszem gronie przez rzekę Amur, morze i Amerykę. Śmiały ten plan uważali oni za wykonalny, skoroby się udało pozyskać dlań kilkudziesięciu wygnańców. Nie wątpił o tem szczególnie Władysław, który oddawna nosił się z zamiarem ogólnej Polaków ucieczki, i rozwijał go nieraz na etapach przed towarzyszami podróży. Ani wielka przestrzeń, która ich dzieliła od Nerczyńska, (2150 wiorst), ani niebezpieczeństwa podróży, ani trudności, któreby niewątpliwie nastąpiły, gdyby przyszło do wykonania tej ucieczki, nie odstraszyły ich od powzięcia powyższego postanowienia. Długie waleśanie się po stepach sybirskich, oswoiło ich z niemi, a ciągła walka z trudnościami podczas podróży dotychczasowej sprawiła, że z większem na nie spoglądali lekceważeniem. O setkach wiorst mówili jak my o milach, o oszukiwaniu policji miejskich i wiejskich, jak my o niewinnym żarcie. Ze zaś przyjechaliby byli do Nerczyńska w zimie jeszcze, gdyby natychmiast doń wyruszyli, a plan ich wymagał, aby tam zjawić się z pierwszą wiosną, udali się dla zmarnotrawienia czasu do Jenisejska, gdzie Władysław miał dobrych znajomych.

Zdarzyło się w drodze, że musieli zająć na nocleg do wioski, która o całą wiorstę leżała z boku gościńca i nie liczyła nad chat kilkanaście. Kilka już zagród przeszli, nigdzie ich nie chcieli przyjąć. Zostało się tylko parę lichych domczków, do których radzi nie radzi zmuszeni byli

udać się. Skoro tedy zatrzymali się przed jednym z nich, rostorwżono wrota zagrody, nim jeszcze Oleś poszedł zapytać gospodarza, czy pozwoli zajechać. We wrotach stanął człowiek średniego wzrostu, lat około czterdziestu, chudy, blady, słabowity, z wzrokiem nienaturalnie błyszczącym. Z radością miną zapraszał on zbiegów do nawidzenia jego progów. Zdawało się, że oczekiwał ich dawno, że wiedział, iż mają zamiar zajechać do niego. Władysław obejrzał go bacznie a nie widząc w nim nic, coby złe jakie znamionowało zamiary, dał znak Olesiowi, aby zwrócił na podwórze.

— Chcieliśmy was poprosić o nocleg, ojcze, lecz, wyście się sami tego dorozumieli, widząc, żeśmy się zatrzymali przed waszym domem — mówił Władysław zrównawszy się z gospodarzem.

— Tak, tak, miłościwi panowie, wiedziałem i wybiegłem na wasze przyjęcie, skoro was zobaczyłem. Zajeżdżajcie, proszę... chata nie wielka wprawdzie, lecz miejsca starczy w niej. Musicie być zdrożeni — dodał zamykając wrota — z daleka zapewne jedziecie.

— O, z daleka!... z daleka... ojcze!

— Z Petersburga niezawodnie...

— Bywaliśmy i tam, przyjacielu! — odparł Władysław, który nie pojmował wprawdzie postępowania Moskala, lecz sądził, iż go prędzej przywiedzie do wygadania się, skoro potwierdzi jego domysły.

— Ja natychmiast to poznałem i oświadczyłem żonie, że wy z Petersburga, kędy car nasz ojciec... nie chciała mi wierzyć... Tu... tu miłościwy panie, postawcie konia — mówił do Olesia, ukazując krytą stajenkę — bezpiecny będzie... ja pobiegnę tymczasem do chaty przygotować miejsce.

I oddalił się pośpiesznie do izby.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Oleś.

— Sam jeszcze nie wiem... musi coś być w tem, że nas bierze za Petersburczyków; może spodziewa się kogo stamtąd...

— Byleśmy tylko nie wpadli w jaką łapkę, bo tu koło Jenisejska lud mi się widzi drapieżny.

— Na zbójcę on nie wygląda; zresztą zobaczymy... Postaw konia w uprzęży do stajenki i pójdziemy obaj do izby. —

Oleś zrobił jak Władysław radził i udał się z nim do wnętrza chaty. Prócz gospodarza, który ich przyjął u wrót i który obecnie zajęty był ścieraniem stołu i ławek, zastali zbiegowie w izbie jeszcze wieśniaczkę, co z zafrasowaną miną siłała się nanieść co rychłej ognia w piecu. Widocznie przyjazd zbiegów sprawił taki ruch i krzątanie. Mąż i żona

zdawali się obawiać, aby goście nie znaleźli czego nie po myśli swej w ich ubogiem mieszkaniu.

— Witajcie nam, witajcie, miłościwi panowie — rzekła sybiraczka w odpowiedź na pozdrowienie zbiegów. — Nie chciałam wierzyć z początku mężowi, żeście z tak daleka, ale teraz samam się przekonała, że tak jest. Widać, sen czasem prawdę powie.

— Bywają sny i od Boga zesłane! — zauważał Władysław, ściągając wierzchnią odzież.

— Mnie sen nigdy nie omyli!... — mówił gospodarz. — Mówilem, że widziałem we śnie, jak zajeżdża do nas dwóch panów z Petersburga, i oto przyjechali...

— A gdy się teraz przypatruję ich twarzom, to jak raz podobne do tych, które ja pozawczoraj widziałam — prawila znów Sybiraczka. — Kropla w kroplę, jak ci, co stali na twojej górze, i ważyli srebro, które im podawałeś.

— Pan Bóg jest wielki na niebie, a car wielki na ziemi! Nikt jeszcze nie został opuszczony, kto się do nich udawał — odparł Sybirak, do którego żona zwróciła ostatnie swe słowa.

— To warjaci jacyś. Pójdę rozebrać konika i napoje go — szepnął Olek i wyszedł na dwór.

— Nasz biały car jest prawdziwym ojcem dla swoich poddanych i szczęśliwy ten, kto w nim nadzieję pokłada — mówił poważnie Władysław siadając na ławce.

— Mam tego świeży oto dowód... Trzeci miesiąc dopiero upływa, jak do niego, rodzzonego naszego, posłałem prośbę, względem srebrnej góry, którą odkryłem, a już jest odpowiedź.

— Dostaliście na piśmie?

— Nie... ale lepiej, się stało... wy przyjechali, miłościwi panowie.

— Skądżesz wy wiecie, że my od cara wysłani?

— Ej panie, skąd ja wiem... przecież i sny moje i żonine nie kłamią, i człowiek widzi kogo ma przed sobą. Choć to wy miłościwy panie po chłopsku ubrani, jednak przysiągłbym, żeście jeneralskie dziecko...

— Być to wszystko może, ale być także może, że się mylicie.

— Jużci wy mnie nie powiecie, kto wy, bo wam tak kazano. Ale ja wiem!... Ha, róbcie jak sami znacie... ja wam opowiem serdecznie i szczerze wszystko, jak było. Żona moja poświadczy, ona także wie wszystko...

— Wysłuchamy was ojeze cierpliwie i poradzimy, jeśli będzie można, co robić dalej. Teraz prosilibym tylko, byście stawili wodę, mamy herbatę z sobą... mleka i chleba znajdziemy pewnie u was.

— Jest wszystko, miłościwy panie: znajdzie się i mąka i masło na oładki — mówiła uradowana Sybiraczka, która w postępowaniu Władysława widziała tylko jawne potwierdzenie swoich i swego męża domysłów.

Po tej rozmowie nie wątpił już Władysław, że ma do czynienia z fiksatami, którzy uroili sobie coś, co stanowi jedyne tło ich życia, główny przedmiot myśli i wyłączny cel zabiegów i dążeń. To ciche i z gwałtownymi wybuchami nie złączone pomieszanie na umyśle, nie wróżyło im niebezpiecznego. Wyszedł tedy na dwór, opowiedział towarzyszowi, jak się rzecz miała i zalecił mu odpowiednio zachować się.

Podczas posiłku, do którego Sybiraczka zastawiła wszystko co miała najlepszego w domu i co na przedce mogła sporządzić, usiadło dziwne to małżeństwo przy stole i oczekiwało spokojnie, ze czcią niejako, póki goście pierwszego nie zaspokoją głodu. Mąż spoglądał zadumany w ziemię, jakby ważne jakieś przemyślał sprawy i wyglądał jak ten, co stanawszy u kresu swoich dążeń zastanawia się dojrzałe, co mu robić wypada, by pośpiechem sprawy nie zwiechnąć. Żona zaś, na której licu wryte były także ślady cierpień umysłowych i przebytych wielkich walk w życiu, patrzała z uwielbieniem na męża jak w zwierciadło, i odrywała oczy od niego tylko wtedy, kiedy chwilowy i ukradkowy wzrok rzucić chciała na zbiegów.

Wcale różne były powierzchownie postacie tego stadła, jednak od razu mogłeś w ich obliczach dostrzedz czegoś, co ich nieskończenie pokrewniło. To coś, co się opisać nie da, co jednak łatwo widzieć można było w rzeczywistości i odgadnąć na pierwszy rzut oka, było przejęcie się jedną wspólną, wyższą w ich przekonaniu, myślą, było wytknięcie jednego i tego samego celu życia, do którego wspólnymi dążyli siłami.

Tej samej harmonji dusz dostrzeżesz także w podniosłym wzroku i na pogodnych czołach garstki bohaterów, o swobodę kraju walczących, mimo że składa się ona z ludzi różnego wieku, charakteru, wychowania i stanów, kiedy stany jeszcze istnieją. O tak, wszędzie i zawsze pozostaje w człowieku iskra, po której poznasz, jak po napisie, że jest człowiekiem. Czemu ona jest? niech sobie łamią nad tem głowy filozofowie.

Po dobrej chwili milczenia, kiedy goście po trzeciej już czarce nalewali herbaty, zaczął Sybirak swoją sprawę w następnym sposobie.

— Lat temu będzie z dwanaście, kiedyś się pierwszy raz najął na pryiski. Pracowałem u Zotowa, na stanie w dalnej tajdze, gdzie około 500 ludzi staowało codziennie do roboty. Wtedy jeszcze złoto szło obficie jak teraz. Bywało i półtora do dwóch funtów namyjesz dziennie. Na większych

stanach więcej jeszcze namywali. — Rzadko dzień mijał, żeby się nie trafiła samorodka*) jak gołębie jajko, albo i większa. Zarabiała się też daleko więcej pieniędzy, jak obecnie, bo i właściciele byli bogatsi, i robotników trudniej jakoś w owe czasy dostać było. Cztery lata przepędziłem w taki sposób na puszczy, nie wychodząc z niej prawie; na zimę najmowałem się za stróża stanu. Żonę miałem ze sobą, dzieci i domostwa nie było, pocóż więc wychodzić na świat boży? Zdarzyło i się, że w ciągu czwartej zimy przyszedł był do naszego stanu Tunguz, który polując na sobole i czarne lisy, rozbił był swój namiot niedaleko. Że ci poganie często tam koło nas się kręcili, przychodząc to po herbatę, to po mąkę, i po wódkę niekiedy, więc nauczyłem się z nimi rozmawiać. Dobrzy to ludzie, choć nie chrzczeni i do naszych obrazów się nie modlą. Spokojni, łagodni, a nie ukradnie żaden niczego, żebyś go nawet zostawił samego w carskiej kasie. Od niego to dowiedziałem się, że tam w głębi tundr, dokąd prócz Tunguzów, soboli, wiewiórek i lisów niebieskich nikt nie dochodzi, znajdują się miejsca napełnione takimi bogactwami, jakich ani ludzkie oko widziało, ani umysł ludzki poścignął. Mówił mi także, że wszyscy Tunguzi wiedzą o nich, lecz nie mówią Urusom, tak nas nazywają, aby pojawieniem się swoim w głębi puszczy nie spłoszyli im soboli i lisów, które wyżej cenią jak złoto, srebro i drogie kamienie...

— Czemuż sami nie korzystają z owych bogactw? — przerwał Władysław.

— Cóż im panie mój, po pieniądzach, kiedy ich cenić nie umieją. Dla nich polowanie wszystkim. Oni dziwią się nam i nie mogą pojąć, że tyle trudów, pracy nie szcędzimy, aby dobyć z ziemi trochę świecącego piasku. Otóż gdy się o tem dowiedziałem, miłościwy panie, tak sobie to wzięłem do głowy, że dzień i noc myślałem, jakby tu dojść do świadomości owych miejsc. Zdawało mi się, że gdybym je odkrył i objawił carowi, zrobionoby mnie dworzaninem i ordier dano. A miło było pomyśleć, że mógłbym choć na starość żyć tak swobodnie, jak ci kapitanowie i pułkownicy, co to zjeżdżają czasami do tajgi na rewizję. I zima przeszła i roboty na stanie zaczęły się; ja ciągle jeszcze nosiłem się z swoimi myślami, że muszę koniecznie odkryć bogactwa, o których Tunguzi nie chcą powiedzieć....

Dawniej bywałem ja przy robocie pilny i miałem zachowanie u naczałstwa, później gdy Bóg nasłał mi owe myśli, zleniwiłem jakoś i ociągałem się od pracy. Coś jakby mnie wypychało w głąb puszczy, a głos tajemniczy szeptał zawsze,

*) Większe ziarno piasku złotego.

że znajdę, byłem zaczął szukać. Lenistwo moje wpadło w oczy dozorcóm, zaczęto mnie prześladować i bić nielitościwie, naganiając do roboty. Rządca stanu był bardzo srogim człowiekiem, nabrałem się też bicia, że wspominać gorzko i ciężko... Tyle włosów pewnie nie mam na głowie, ile palek odebrałem w ostatnim czasie mego pobytu w tajdze...

Nareszcie zjawił mi się anioł we śnie, biały jak śnieg, twarz miał, pamiętam jak dzisiaj, jaśniejącą jak słońce... I pocieszył mnie, i kazał zabrać żonę, uciec ze stanu i udać się do tundry... Dodał, że Bóg mnie od młodości już naznaczył do wynalezienia bogactw, jakich świat nie widział. Nazajutrz postanowiłem nie sprzeciwiać się dłużej jawnej woli boskiej, i odkryłem się żonie, przed którą dotąd tailem wszystko. Wiele miałem ja od niej do zniesienia, nim ją na swoją stronę przeciągnąłem. Nareszcie zgodziła się i uciekliśmy ze stanu pewnej nocy.

Mieliśmy zamiar udać się najprzód do Jenisejska, do którego trzeba było iść tajgą wiorst trzysta. Tam, chcieliśmy się zaopatrzyć w potrzebne do poszukiwań narzędzia i sprzęty. Nieco pieniędzy mieliśmy uskładanych z dawniejszych lat; tych zaś, które zarobiłem był ostatniego pół lata, nie odbierałem nawet z kancelarii, by się nie domyślano, co zamierzam. Doszliśmy wprawdzie do miasta, ale tego samego dnia zatrzymano nas; wiadomość o naszej ucieczce już nas była wyprzedziła. Wiedziałem, że gdy powrócę pod strażą do tajgi, czeka mnie straszna chłosta i podwójnie ciężka praca. Postanowiłem tedy odkryć wszystko rządcy i dodać, że gdybym miał i śmierć ponieść, nie odstąpię od swego zamiaru i woli boskiej sprzeciwiać się nie będę.

Przyszedszy tedy na stan, opowiedziałem wszystko i nie przemilczałem nawet o aniele, który mi się we śnie był pojawił. Rządca zamiast mnie kazać obić kozakom, rozporządził, że mam pójść do szpitala. Był u nas doktor bardzo poczciwy. Nie nasz pono, lecz z Polaków, jak mówili. Rozmawiał on ze mną długo, opatrywał głowę, lał na nią zimnej wody i napisał potem świadectwo, że dłużej robić nie mogę. Codzień modłę się do Boga za jego zdrowie, bo w skutek tego świadectwa wydano mi paszport, zapłacono com zarobił i pozwolono odejść. Wróciliśmy więc z żoną do Jenisejska, nakupili potrzebnych zapasów i udali się do tajgi na poszukiwania. Przez trzy lata blakaliśmy się po tundrach i urmanach, nie mogąc niczego znaleźć. Od czasu do czasu tylko wychodziliśmy między ludzi, by odpocząć trochę i świeżych nabyć zapasów. A cośmy przez ten czas wycierpieli, to niech wam już żona, miłościwi panowie, opowie, ona mi wszędzie towarzyszyła. —

Tu Sybirak westchnął głęboko, gospodyni zaś zaczęła drżącym głosem dalej opowiadać.

— Ciężkie to były dla nas czasy, miłościwi panowie! Prawdziwie Bóg nas doświadczał przez te trzy lata. Lecz za łaską jego wytrwaliśmy jakoś, i w końcu nas pocieszył. Z początku blakaliśmy się bez celu po tajdze, nie wiedząc czasem po całych tygodniach w której stronie się znajdujemy. Dopiero gdyśmy spotykali Tunguzów, ci nas objaśniali. Wszędzie gdzie miejsce nam się zdawało po temu, zdejmowaliśmy torfy i grzebali w piaskach. Złoto znajdowaliśmy w małych ziareczkach, lecz zawsze to nie było to, czego nam było potrzeba. Pierwszej zimy nie odważyliśmy się przebyć w tajdze i wrócili do domu. Potem gdy nas duch Boży coraz bardziej przez sny naglił, zostawiliśmy i na zimę w lesie. Bywało, drapiemy się po skałach i urwiskach na górę, tam kopimy dół w śniegu, ogniem odmrażamy ziemię, on wchodzi potem i grzebie, grzebie biedaczysko, aż ręce mu kostnieją, ja zaś pomagam ziemię wyciągać z dołu. Taż jama służyła nam także za schronienie w nocy; pod śniegiem miłościwi panowie ciepło, jak pod kożuchem, choć burza z mrozem buszowała nad nami. A cośmy się nieraz głodu nacierpieli, gdy Tunguzów nie można było spotkać... Niekiedy żyliśmy po całych tygodniach sucharami i wodą tylko... Mnie najbardziej było jego żal, bo pracował nieborak ciężko, i wygod nie miał, jakichby mu potrzeba było. O siebie nie tak dbałam; gdybym była i z woli Boga umarła, to cóż? Kobietam... nie wiele by ludzie na mnie stracili. —

Tu wstrzymała się i otarła łzy z oczu, patrząc niejako z uwielbieniem w oblicze głęboko zadumanego męża.

Dziwaczna ta para zaciekawila zbiegów; przysłuchiwali się jej z uwagą. Było to jakby studjum psychologiczne, czego zdolny człowiek, gdy silną ma wolę. Wprawdzie przebiegało się w tem wszystkim więcej fanatyzmu jak rozsądnej woli, ale był to już błąd więcej z rasowych czy klimatycznych wynikający przyczyn.

Gdy gospodyni zamilkła a gospodarz nie budził się z zadumki, przerwał milczenie Władysław zapytaniem:

— I cóż dalej?

— Trzeciej zimy dopiero naszych poszukiwań, będzie jak raz temu lat cztery — prawil Sybirak — ujrzeliśmy zmilowanie Boże nad sobą. Czegośmy szukali daremnie w głębi tajgi, znaleźliśmy tuż niedaleko samego Jenisejska, dokąd i przystęp łatwy i gdzie wody jest pod dostatkiem. Wracając już do domu z wyprawy, zobaczyłem ja pierwszy górę, która zdała mi się wydała jakby olśniona blaskiem słonecznym, choć słońce wtedy za ciężkimi chmurami spoczywało. Pokazałem ją żonie, i jej się tak samo wydało. Wdrapaliśmy

się więc na nią i odgrzebawszy śnieg, zaczęli odmrażać ziemię. Nim ognia w takich wypadkach nanieciłem, zwykłem był odmawiać krótką modlitwę. Zaledwie pierwszych dokończyłem słów i płomień zaczął trzaskać w suchych gałęziach sosny, usłyszałem huk podziemny, jakby się góra miała zapadć do wnętrza ziemi. To przed błogosławionym ogniem zły uciekał, co strzegł zawartych w górze skarbów przed ludzkim okiem.... Zaczęliśmy kopać i pod pierwszymi już razami żelaza zatętniła ziemia jakby srebro. W pierwszej bryle odłamanej z powierzchni znalazłem kamień, którego nigdzie jeszcze dotąd nie postrzegłem. Przedłożył go oczom waszym, miłoścy panowie, byście się sami raczyli przekonać o jego wartości, i donieść o wszystkim, coście słyszeli i widzieli, dokąd należy. —

To mówiąc wstał, otworzył skrzynię i wyjął z niej przedmiot, który położył na stole. Był to kamień czerwonej barwy, z gąbczastymi otworami, po którym przebiegały w dość wielkiej ilości bladobiałe pręgi. Polysku nie miał żadnego, i był za lekki na swoją obojętność, która się równała małowartości chleba.

— To srebro, miłoścy panowie! — mówił podniesionym głosem — tak, srebro! Cała góra taka. Jest go tam tyle, że miałby car dosyć na zawojowanie całego świata, i jeszczeby wszystkiego nie zużył... Ja, ja tylko wiem, gdzie i jak go dobyć, i powiem, kiedy przyjdzie czas na to! —

Podczas tej mowy blada twarz Sybiraka rozgorzała, rysy nabrały niezwykłego wyrazu energii, głos zmienił się z cichego w donośny i dzwięczny, a oczy świeciły ogniem zapału. Krótko trwało jednak to uniesienie. Jakby zmęczony wysileniem usiadł wnet na ławce i spuścił głowę na piersi. Twarz przybierała stopniowo dawny chorobliwy wyraz, i w końcu bladejszą się jeszcze stała, jak przedtem.

— Donieśliścież naczałstwu o tem odkryciu? — zapytał Władysław Sybiraczka.

— Donosiliśmy panie nie raz, lecz...

— Chodziłem, błagałem — przerwał gospodarz — pisałem prośby, u nóg leżałem gubernatorowi... wszystko darmo. Wysłali byli raz komisję na górę, i powiedzieli, że tak mało w niej srebra, iż praca by się nie opłacała... Mało im... mój Boże! i mówią to mnie, któremu sam Bóg we śnie powiedział, że cała góra jest srebrna!... Ale widziacie, miłoścy panowie, oni czynią to z zazdrości, nie chcą mnie podać do cara jako odkrywcy tych bogactw. Czekają tylko sposobnej chwili, aby sami się mogli ogłosić za takich. Lecz daremne ich trudy... car już wie o mnie, i przyjdzie czas, dowiodę wszystkim, iż góra srebrna!... Niech tylko zjedzie komissja z Petersburga wysłana od sa-

mego cara... Kiedy mnie tu w żadnym urzędzie nie chciano słuchać i do kancelarji nawet nie przypuszczono, postanowiłem być pójsć do samego cara, upaść mu do nóg i błagać o wysłuchanie. Poradził jednak dobry człowiek, Bóg mu zapłać, napisać prośbę, co też zrobiłem... Bo ja, miłoścy panowie, nie dla siebie się starałem... nie! cobym ja począł z tak wielkimi bogactwami. Wszystko to będzie dla cara, dla ojca naszego, do którego należy cała ziemia i powietrze, którem oddychamy... Jeżeli łaska jego będzie dla mnie, obdarzyć mnie czemkolwiek, carskaja wola zakończy!*) — zakończył moskiewski ten patrijota.

— Teraz wam nic nie wypada robić, gospodarzu — rzekł po chwili Władysław — jak czekać cierpliwie odpowiedzi z Petersburga. Jeżeli trzy miesiące już, jakieście prośbę podali, myślę, odpowiedź niebawem nadejdzie.

— Cześć my będziemy, miłoścy panie — wtrąciła bojaźliwie Sybiraczka — boli nas tylko że ludzie zwą nas warjatami i leczć się każą...

— Niech sobie, co nam do nich — mówił gospodarz. — Panowie przekonali się sami, czy ja mówiłem co takiego, coby wyglądało na warjata. Jeżeli nie wierzycie, pytajcie mnie o inne rzeczy. Zobaczycie, czy nie będę rozprawiał jak się patrzy — dodał zwracając się do zbiegów.

— Wierzmy wam, wierzymy — zapewnił Oleś — wy wcale nie podobni do warjata.

— Nie dla tego, żebym wam nie ufał — dodał Władysław — lecz tak, dla skrócenia czasu i z ciekawości poproszę was gospodarzu, byście nam opowiedzieli, jak to tam na pryiskach złoto myją.

— Opowiem wam panie, opowiem chętnie. Wszak mi tam wszystko znajome. Na tydzień przed połową marca zbierają się robotnicy w Jenisejsku i dzielą się na partje, z których każda ma odejść na inny stan do tajgi. Pełnomocnik, co ich najmował po wsiach, prowadzi ich tam. Jedni idą pieszo, drudzy mają konie i telegi — jak kto może. Na stanach zaczynają się roboty w samą połowę marca. Są tam już nadzorecy, wybierani zwykle z takich robotników, którzy po kilka lat u jednego i tego samego kupca pracowali i pisać umieją. Ci przeznaczają jednych do czarnej pracy t. j. do kopania piasków, drugich do lekkiej t. j. do koni, do cieślarki i innych mniejszych posług. Jeśli kto zna zwyczaj tamtejsze dobrze na tem wychodzi. Umówi się zawnazas z nadzorcą, da mu kilka rubli i będzie całe lato lekko pracował.

Roboty ziemne odbywają się na urok, t. j. wyznaczają

*) Carska wola prawem!

pewnej ilości robotników pewną ilość sążni kubicznych do wykopania. Piaski wożą na maszynę do mycia. Zwykle musi być na każdym stanie rzeczka, której woda płynie na maszynę. Piasek jako lżejszy spływa z wodą, złoto jako cięższe zostaje się na blasze, umyślnie do tego przyrządzonej. Są tam przy maszynie ludzie, którzy mieszają piaski, aby woda wraz z niemi nie porwała jakiego ziarenka złota. I tym to najtrudniej, bo cały dzień boży stoją w wodzie. Jest tam i kozak i dozorca ze strony rządzczy, co uważają by nikt złota nie ukradł. Ale i bez tej warty by się obeszło, bo co robotnik zrobi z ukradzionem złotem? Bywały wypadki, że kradli mimo straży i dozoru. Lecz cóż? chciał potem sprzedać w Jenisejsku i wzięli go do tury i pod sąd wojenny oddali. Bo za kradzież złota na pryiskach wielkie są kary naznaczone; daleko srożej sądzą jak za zwykłą kradzież. I tak też być powinno... złoto należy do cara, więc i grzech za kradzież większy.

Jeżeli który z robotników znajdzie przy kopaniu piasków samorodkę, zapisują mu w kantorze nagrodę stosownie do wielkości ziarenka. I car płaci kupcom za samorodki więcej pieniędzy, bo w nich pono złoto czystsze. Prócz kilku świat znaczniejszych, nie dawali przedtem spoczynku. Pracowano i w niedziele i w mniejsze święta. Teraz pono zostawiono do woli, kto chce może świętować, kto nie, ten pracuje.

— A skądże żywności dla tych ludzi biorą w puszczy? — zapytał Oles.

— Rządca dostarcza wszystkiego. Robi zapasy od czasu do czasu w Jenisejsku i ma wszystko w śpichlerzu co potrzeba — od herbaty i cukru aż do mąki i krup. Robotnicy łączą się w article*) i gotują w umyślnie na to postawionej kuchni. Jest i piekarnia osobna. A są i tacy, co się godzą na wikt gospodarski. Za wszystkie żywności, które robotnik bierze, potrącają potem z zarobku. Odzienia nawet całego można u rządcy dostać od rękawic aż do brodni**). Prócz tego jest także na każdym stanie szpital i felczer; niekiedy objężdża stany doktor z Jenisejska.

Piętnastego września następuje rachunek i wypłata wszystkich przez lato zarobionych pieniędzy. Poczem wracają robotnicy przez Jenisejsk do domów. Na stanach zostają tylko stróże przez zimę. Dawniej każdy robotnik wynosił z tajgi po 150—200 rubli; kto był pilny mógł zarobić więcej. Dziś nie płacą już jakoś tak dobrze; o robotnika nie tak trudno, jak przedtem. To też i w Jenisejsku nie hulają tak robotnicy dzisiaj, jak to przed laty bywało.

*) Grona.

**) Sybirskie buty.

Mój Boże, kiedy sobie przypomnę, co to się przy powrocie do miasta działo niegdyś, a widzę jak dzisiaj jest, dziwię się, że się tak wszystko zmieniło. Bywało wyjdzie młody i niedoświadczony jaki, albo taki co to już z młodu do hulania przywykł i nuż hulać wo wsium iwanowskują. Nigdy jeszcze w życiu nie posiadał tyle pieniędzy, co ich ma po obrachunku, więc pieką go w kieszeni, i nie wie, co z niemi robić. Pochwyć go między siebie mieszczuchy, którzy czekają tylko na podobnych gachów i wodzą od kabaku do kabaku, od gościnicy do gościnicy, piją, w karty grają, z dziewczkami hulają, których jest pełno podtenczas w mieście. Widziałem tam jak jeden z takich głupców rublowemi papierkami fajkę zapalał, drugi zaś ciskał srebrne pieniądze garściami w błoto i śmiał się, gdy hołota uliczna biła się o nie. Inny znów kupił sobie kilka łokci drogiej jedwabnej materji, najął człowieka, by mu ją ścielił pod nogi, i stapał środkiem ulicy, gdzie największe błoto, zataczając się od pijaństwa i krzycząc: Znaj, kak naszy chodiat.*) A jeszcze jeden kazał się dziewczkom na poduszках nieść przez miasto do łaźni... Tak to, miłościwi panowie, robili prości robotnicy, i nie jeden z nich zmarnotrawił wszystko w dni kilka, na co gorzko przez całe lato pracował. Widzieć potem można było takich żyganów w kabakach, gdzie prosili pijących, by im na dnie szklanki choć kilka kropel wódki zostawiali. Każdy wysłuchiwał ich, i do południa z tych zlewków znówu bywali pijani... Inni zgrawszy się, chodzili w nocy kraść i rozbijać; to też w Jenisejsku w owych czasach wieczerem nie można było chodzić samemu po ulicach.

Co zaś wyrabiali dozorczy i sami rządzczy po przybyciu do Jenisejska, to już wypowiedzieć trudno. Pamiętam panie, że tej samej jesieni, w której ja byłem w mieście, nasz rządca poił raz swoje konie szampańskim winem... Niech i one, mówili, wiedzą, że ich pan hula! Teraz nie słycać już jakoś o podobnych pirach, choć nie jeden wraca do domu z próżnemi kieszeniami, straciwszy wszystko w Jenisejsku. —

Tyle naopowiadał zbiegom fiksat, który w potocznej rozmowie zupełnie rozsądnie się zachowywał.

Nazajutrz gdy wyjeżdżali, odprowadził ich za wrota i poźegnawszy rzekł:

— Nie wiercie tam panowie gubernatorowi, który pewnie będzie wam rozpowiadał, że ja warjat. On mi zazdrości, dalibóg zazdrości. —

Biedny, jeśli nie umarł, do dziś oczekuje pewnie komisji, która miała zjechać z Petersburga na jego srebrną górę w skutek starań Władysława i Olesia.

*) Wiedź, jak nasi chodzą.

Wiadomości, których znajomi Polacy, przebywający w Jenisejsku, udzielili zbiegom o nerczyńskich kopalniach i położeniu pracujących tam wygnańców politycznych, znie- wolili ich do wyrzeczenia się zamiaru ucieczki przez Amur i Amerykę. Było to w samych początkach 1865 r. kiedy naszych bardzo srogo strzeżono za Bajkałem. Już dla samej trudności skomunikowania się z politycznymi katorżnikami nie można było marzyć o udaniu się powyższego planu. Kopalnie bowiem, w których pracowali ostatni, były rozrzucone po ogromnym obszarze nerczyńskiego okręgu i znajdowały się prawie bez wyjątku w miejscach nie zbyt gęsto osiedlonych. Sam wybór więc punktu, z którego by można było działać bez podejrzeń i zawiązywać stosunki, podlegał nie- przezwykłętym trudnościom w stronach, gdzie każdy po- dróżny, każda nowa postać ogólnej mieszkańców ciekawości staje się przedmiotem.

Postanowili więc zbiegowie wrócić na Zachód i przez Rosję przedrzeć się do domu. Kilku miesięcy straconych na błakaniu się prawie bez celu po Syberji nie mieli czego żałować; zatarli bowiem tym sposobem wszelki ślad po sobie i dali czas tobolskim władzom do zupełnego o nich zapomnie- nia. Dalszy przebieg opowiadania pokaże, że im to wyszło na dobre.

Wracając, nie trzymali się dawniejszych szlaków. Bo- cznemi i głuchemi drogami przez puszcze zdążyli wprost do Tomska, zostawiając Krasnojarsk, Aczyńsk i Maryninsk w stronie. Z Jenisejska wyruszyli w podróż tak zwanym staroaczyńskim traktem, który będąc mało uczęszczanym większe przed policją przedstawiał bezpieczeństwo. Ujechawszy zaś trzy ćwierci tej drogi, której cała długość wynosi około 350 wiorst, udali się wprost na południowy zachód mniejszą jeszcze i głuchszą drożyną, wijącą się przez puszcze czu- łymską wzdłuż rzeki Czułymu, która wpada do Tomu.

Miejsca te zimą tylko są do przebycia; latem inaczej jak łódka do nich dotrzeć nie można. Na około puszcza, która południowym obszarem łączy się z inną, tak zwaną maryninską, sięgającą pod Kuźniekiem do samych stóp Altaju, północnym zaś trąca o brzegi lodowatego morza. Po środku wije się Czułym, który na wiosnę i w jesieni zatapia ogromne obszary tego zakątka, tu i owdzie tylko zostawiając jak wyspy wolne od zalewu, wyżej nieco leżące miejsca.

Na tych to wyspach, które znajdują się po obydwu rzeki stronach w pięcio, ośmio i dziesięciowiorstowych od- stępach i tworzą szereg dwustuwiorstowej długości, osiedlili się Ostjacy, a raczej osiedlono ich przemocą, ohrześciwszy. Rząd chciał bowiem uczynić próbę, ażali mu się uda przero- bić na stałych mieszkańców koczownicze plemię. Zwią ich

w tamtych stronach pospolicie jesacznyimi, dla tego że nie placą poduszkiego pieniądza, lecz dań w skórach ubitych zwierząt, która zowie się jesak.

Do tego rodzaju poddanych moskiewskich należą w Sy- berji wszystkie pierwotne plemiona, jako to: Samojedzi, Ostjacy, Mongołowie, Tunguzi leśni, pastuszy i rolniczy, Jakutowie, Dolhanie, Burjaci, Kameczadałowie, Kirgizi. Jak wysoką jest ich liczba, tego trudno dociec, ponieważ większą ich część nie posiada stałych siedzib, lecz wałęsa się po tajgach na północy, a po stepach na południu, zmieniając w każdej niemal porze roku swoje siedliska.

Ci, o których tu mowa, stanowią wyjątek dla wyżej wspom- nianej przyczyny. W rozmaitych stronach Syberji kilkanaście a może i więcej jest takich wyjątków. Wszakże rząd prze- konawszy się o niemożności przeistoczenia natury tych ludków, na tych tylko poprzestał próbach, dalszych zanie- chawszy.

Wioski czułymskich Jesacznych składają się zwykłe z pięciu do dziesięciu chat drewnianych, pobudowanych na wzór wiejskich domów rosyjskich. W środku tylko tego długiego rzędu osad znajduje się większa wioska z jedyną w tych miejscach cerkwią i włościańskim urzędem. Liczba tych osiedlonych (Ostjaków nie przynosi dwóch tysięcy. Trudnią się oni polowaniem i rybołówstwem i tylko ci z nich, którzy zbliżeni się do Rosjan, t. j. ostatnie kilka osad od strony Jenisejska i Tomska, uprawiają także rolę na wy- karczowanych wśród puszczy polanach.

Godnem uwagi jest i to, że mieszkańcy tych rolniczych osad powierzchownością nie różnią się prawie niczem od Moskali. Tak mężczyźni jak kobiety przedstawiają typy, które napotykasz wszędzie w Syberji zamieszkałej przez Rosjan i mówią czysto po moskiewsku z obcymi, choć w życiu codziennem i między sobą używają języka ostjac- kiego. Im głębiej w puszczy tem wybitniej występują na jaw znamiona rasy mongolskiej jako to: czarny włos, małe, kose oczy, rozsiadłe nosy, wystające policzki, niski wzrost i t. d. mowę zaś moskiewską kaleczą od biedy mężczyźni tylko, kobiety mówią nią bardzo rzadko. Ten bardzo wybitnie występujący rozdział ma swą przyczynę w tem, że końcowe tego szeregu osady pomięszają się przez małżeństwa z mo- skalami i w krótkim stosunkowo czasie, w przeciągu lat kilkudziesięciu bowiem, zmoskwicili się zupełnie nie tylko zewnątrz lecz i wewnątrz. Dziś pogardzają mieszka- jącymi w głębi puszczy braćmi, uważając się za więcej wykształconych, choć wspólnego z nimi nie wyrzekają się pochodzenia i przyznają istniejące pokrewieństwa związki.

Zbyteczna dodawać, że puszcza pełna jest zwierzyny,

dostarczającej Ostjakom obfitego połowu. Przebywa tu osobny rodzaj wiewiórek, znanych na jarmarkach w Irbicie i Niżnym pod nazwą «czułymek» i pojawiających się w puszczy perjodycznie milionami. Prócz tego pełno jest gronostajów, soboli, czarnych lisów, łosi, burunduków i t. p. Głuszcze dochodzą dwudziestu funtów wagi. Na północno-wschodnim jej krańcu, t. j. od strony Jenisejska znajdują się nadto rzadkie w Syberji pamiątki historyczne, o których niech nam wolno będzie słów kilka nadmienić.

Tradycja miejscowa niesie, że przed laty mieszkał w tych okolicach koczowniczy naród Czut. Miał on być bitny i bardzo zręczny na polowaniach. Mieszkał w lasach, stałych siedzib nie mając, miejscem zaś wspólnych zgromadzeń były tak zwane gródki. One to właśnie, a raczej ich gruzy są owemi historycznymi pamiątkami, o których mowa. Znajdują się zwykle na pagórkach u krawędzi puszczy i musiały służyć za świątynie, poświęcone bożkom szamańskim, ile wnioskować można z dzisiejszego ich stanu. Wielki dół na szczycie pagórka i rozrzucone po nim jakoteż i na wale, który go otacza, kamienie, których forma atoli nie daje żadnego wyobrażenia o kształcie gmachu dawniej z nich pobudowanego, oto jedyne pozostałości zamierzchłych czasów. Wnosić jedynie można, co też i twierdzą tamtejsi mieszkańcy, iż świątynie na wół były ukryte w ziemi na wół zaś z kamienia budowane. Mówi dalej podanie, że przy pojawieniu się Moskali w początkach siedemnastego wieku naród ten istniał jeszcze i kwitnął. Wieści wszakże, które go doszły o srogości i barbarzyństwie nowych zdobywców, niszczących wszystko mieczem i ogniem, jakoteż przemocą na swoją nawracających wiarę, przeraziły go do tego, że nie chcąc popaść w niewolę i wyrzec się religji, własną ręką do szczytu się wytypił. Gródki właśnie służyły mu za groby; w nich bowiem miały się zbierać tłumy i śród modłów i pieni waliły na siebie sklepienia i ściany. Czytelnicy wiedzą już, że podobne gródki i podobne podania przechowały się także około Tobolska...

Ze staroaczyńskiego traktu skręca się do osad Jesacznych nie dojeżdżając siedemdziesiąt wiorst do miasteczka Aczyńska. U wstępu do puszczy, w ostatniej moskiewskiej włości zdarzył się naszym zbiegom wypadek, który ich nie mało strachu nabawił. Naprzeciw samego urzędu gminnego zatrzymano ich oto z nienacka i jednemu z nich kazano się udać do pisarza, nie objaśniając przyczyny, ani powodu. Nadto przy saniach zostało kilku chłopów na straż, z których jeden trzymał konika za lejce. Władysław, który powodował się wezwaniu, był pewny, że chodzi tu o paszport; łatwo sobie więc wyobrazić, co się działo w jego duszy, kiedy szedł do

urzędu. Paszport wprawdzie miał napisany, lecz pieczęci na nim nie było, ponieważ nie był jej w stanie wyrznąć jeszcze. Na noclegach uczynić tego nie mógł, na dworze zaś podczas jazdy ręce jeszcze zbyt marzły od chłodu.

— Dokąd jedziecie? — zapytał go pisarz, kiedy stanął przed nim w towarzystwie chłopą, który mu od sani był towarzyszył do kancelarji.

— Do Jesacznych po rybę i skórki wiewiórcze.

— Coście za jedni?

— Polacy, niedawno na posiedlenie przybyli do sąsiedniej włości.

— Macie wódkę z sobą?

— Wódkę?... — pówórzył zdziwiony Władysław, który zupełnie innego oczekiwał pytania. — Nie, wasze pocztowanie wódki nie mamy... wieziemy trochę cukru i herbaty... Chcielibyśmy je wymieniać na skórki i suszone ryby... otworzyliśmy bowiem w naszej wiosce handel drobiazgami.

— To mnie wcale nie obchodzi — mówił pisarz — chodzi tu o to tylko, czy nie wieziecie z sobą wódkę.

— Kaźcie opatrzyć sanie, wasze pocztowanie! — rzekł Władysław, któremu stofuntowy ciężar spadł z piersi po tem oświadczeniu pisarza.

— Wierzę wam, wierzę! możecie jechać z Bogiem... Puścić ich! — dodał do chłopą, który ciągle jeszcze stał koło Władysława.

Ten wybiegł czempredzej na dwór, aby uspokoić Olesia, który siedział na saniach, otoczony chłopami i truchlejącymi z obawy.

— Puskaj jedut! eto Polaki!*) — zawołał towarzyszy Władysława z ganku budynku, poczem chłopci odstąpili natychmiast od sań. Zbiegom było tak spieszo opuścić te miejsca, że nie dowiadywali się nawet o przyczynie tego przytrzymania.

— Skoroś ty poszedł do pisarza, chłopci zaczęli szukać czegoś w saniach; czego oni chcieli? — zapytał Oles, kiedy wioska była już w tyle.

— O wódkę mnie pytali... dla czego, na co, po co? dalibóg nie wiem... — odparł Władysław. — Wódkę przecież wolno każdemu wozić...

— Lecz jakże ty mogłeś mówić, żeśmy Polacy... a gdyby nas byli przytrzymali?

— Skutek pokazał, że dobrze zrobiłem. Gdybym się był inaczej tłumaczył, mogliby byli podejrzewać, boć ja przecież nie wyglądam na Moskala... Nazwałem wieś niedaleką,

*) Niechaj jadą! to Polacy!

w której niby mieszkamy, i powiedziałem, że jedziemy po ryby. Nie w tem dziwnego, więc uwierzyli. —

Dopiero na pierwszym noclegu dowiedzieli się zbiegowie, dla czego ich przytrzymało i o wódkę dopytywano. Rząd rosposciera bowiem szczególniejszego rodzaju opiekę nad wszystkimi jesaczynymi ludami. Tak Ostjacy, jak Samojedzi, Tunguzi i inni mają nadzwyczaj słabe głowy. Kieliszek wódki wystarcza, aby ich upoić. W stanie zaś pijanym stają się jakby szalonymi. Cisi i łagodni po trzeźwemu, przekształcają się na kłótliwych, bitnych, srogich, kiedy mają w głowie. Czasem mordują się między sobą. Moskale twierdzą, że usposobienie to zawdzięczają tej okoliczności, iż mało chleba jedzą i mącznych potraw prawie nie używają, lecz karmią się przeważnie rybami i mięsiwem. Rząd tedy zabrania pod srogiemi karami dowozu spirytusowych napojów do osad Jesacznych, graniczne zaś wioski moskiewskie obowiązane są do czuwania nad tem, aby to prawo wykonanem było. Wioska, w której zbiegów przytrzymało, była właśnie graniczną. Zbyteczna nadmieniać, że zakaz ów złego wcale nie usuwa, i sprawia chyba to, że Jesaczni płacą za wódkę dwa i trzy razy tyle, ile Moskale, i bardziej jej pożądają jeszcze... Następujący szkic objaśni zresztą czytelników, co robią, aby i prawo ominąć i nie dać się zdziierać niemilosiernie moskiewskim przemysłnikom, którzy po największej części są zarazem mieszkańcami onych strażniczych wsi i dla tego tylko tak pilnie strzegą obcych przejezdnych, aby ich monopol nie poniósł żadnego szwanku.

Trzeciego dnia podróży brzegiem Czułumu, a często i samą rzeką, kiedy ta nie wypisywała zbyt krętych zygzaków, zbiegowie znaleźli się dość wcześniej przed wieczorem o kilka wiorst tylko od wioski, w której im zanoć wypadało. Jechali lasem drogą nadzwyczaj wąską, jakby wyżłobioną w śniegu, który w tych miejscach dosigał dwuokciowej niemal wysokości. Z krzewów boru widać było tylko wierzchołki. Mimo dnia pogodnego, któremu zimową porą w Syberji towarzyszy zwykle mróz trzaskający, ciepło było względnie w gąszczu. O wietrze tu oczywiście ani mowy być mogło, nadto zaś sianie posuwały się naprzód jakby w korycie wazutkiej rzeczulki o wysokich brzegach, co bardziej jeszcze przyczyniało się do utrzymania temperatury w równowadze. Oleś i Władysław zdjęli nawet byli wierzchnią odzież z siebie i w kożuszkach tylko siedzieli na saniach, aby tem swobodniej po obu mogli się rozglądać stronach.

I było też czemu przypatrywać się. Od rana już jechali samą głębłą puszczy. Cały jej dziki, pustyński, tajemniczy majestat rozwinął się w pełni przed zdumionym ich wzrokiem. Jak daleko po obu stronach drożyny oko zapuścić mogli

wystrzelały z pod śniegu smukłe, proste, wysokie, jakby toczone pnie modrzewi, jodeł i cedrów, dochodzące nierzadko wielkiej grubości. W górze wieczno-zielone ich gałęzie, spletając się razem, tworzyły jakby sklepienie olbrzymiego jakiegoś budynku, ciemne, nieprzeniknione, w którym się wzrok gubił jak w poszarzałych sklepieniach odwiecznego gotyku. Złudzenie było tem doskonałsze, ile że pnie drzew wydawały się jak istne kolumny, co łuki podtrzymują, i że panował w puszczy ten półmrok, który myśl unosi w rozległe marzeń przestrzenie i wewnątrz starych tumów tak porażającą nadaje powagę. Cisza uroczysta, nie cisza stepów, co pochłania i głuzy wszystkie odgłosy, lecz cisza lasów, co w dwójnasób każdy szmer i szelest potęguje, dodawała jeszcze więcej uroku i tajemniczości tym ustroniom i zdawało się zbiegom, że błądzą wśród ogromu zakłętej jakiejś świątyni, w której lada chwila cud im się jaki objawi.

Milczeli obaj. Oleś puścił konia stępą. Spieszyć nie było po co, a widoku takiego nie godziło się pomijać, nie nasycałszy nim wzroku i umysłu. W tem śród tego głębokiego milczenia dało się słyszeć jakieś trzeszczenie, jakby łamanie suchych gałęzi, które echo, odbijając je od drzewa do drzewa, potęgowało niezwykle.

— Niedźwiedź! — zawołał Oleś, chwytając za długi obojętny nóż, który w podróży zbiegowie chronili zawsze przy sobie w saniach.

Władysław dobył pistoletu z za pasa, nie zdając sobie zrazu sprawy, o co rzecz chodzi, lecz tonem Olesiego wykrzyku o zbliżającym się niebezpieczeństwie jakimś ostrzeżony. Po chwili dopiero trwożnego oczekiwania, podczas której trzeszczenie trwało ciągle, zbliżając się widocznie, rzekł spuszczać odwiedziwny kurek pistoletu.

— Co ci się śni?... niedźwiedź w zimie!

— To wilk! — odparł Oleś nie zmieniając tonu. — Patrz, jak koń uszami strzyże...

— Ani wilk... ten nie głupi błąkać się po puszczy, gdzieby musiał z głodu zginąć...

— Więc cóż to takiego? same gałęzie przecież nie trzeszczą...

— Człowiek, albo łoś, z których żadnego obawiać się nie mamy powodu — mówił Władysław, zatykając broń napowrót za pas. —

Tymczasem trzeszczenie odzywało się w kilku nie zbyt od siebie oddalonych miejscach, a między drzewami pojawiła się mała, dziwna postać, na której widok Oleś znowu jął się noża, który był postawił u nóg swoich.

Czytelnik musiał widzieć kiedykolwiek na rysunkach owych karłów, co to wedle podań niemieckich strzegą skarbów

ukrytych w górach i zwą się gnomami. Kropla w kroplę podobne zjawisko przedstawiło się oczom zbiegów w głębi boru o jakie sto kroków z boku drogi. Śród wysokich drzew postać owa wydawała się jeszcze mniejszą, jak była rzeczywistość. Na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć czy do człowieka należy, czy do zwierzęcia, choć widocznym było, że na dwóch tylko naprzód posuwa się nogach. Rzekłbyś z gruba ociosany kamień, któremu rzeźbiarz pierwsze dopiero kontury nadał, mając w pracowni wykończyć go i podobniejszym uczynić do pierwowzoru.

Niekształtną tę powierzchowność zawdzięczała postać ona odzieniu, które miała na sobie. Głowę okrywała kapuza, stanowiąca jedno z tą częścią odzienia, w której skrywał się tulób. Nogi tkwiły w obszernych spodniach, co zachodziły na wierzchnie odzienie i obciskały je u pasa. Z pod brody na piersi aż poniżej pasa spuszczało się coś czarnego, czego z początku zbiegowie rozróżnić nie mogli i co za potworną przyjęli brodę. I właśnie dziwaczna ta, a do tak małej postaci należąca broda, czyniła ją tak podobną do karłów z niemieckich baśni. Nadto, dla Olesia przynajmniej, trudno było zrazu wytłumaczyć sobie, jakim sposobem stworzenie to po tak głębokim śniegu, tak prędko naprzód się posuwa, zwłaszcza że nie widział, aby nogi podnosiło do góry, jak przy chodzie.

Niebawem w głębi lasu pokazało się jeszcze kilka tak samo ubranych, choć trochę wyższych od pierwszej postaci.

— To Ostjacy... wracają zapewne z tajgi do domu — rzekł Władysław, zabaczwszy je.

— A broda, broda?... — pytał niedowierzający jeszcze Oleś.

— Skórki ubitych soboli... przypatrzyć się teraz lepiej, sam zobaczysz! —

Młody Ostjak, on to był bowiem owym karłem idącym na przedzie, zbliżył się był już na kilkanaście kroków do brzegu drogi. Do nóg miał przywiązane długie, cienkie i wąskie deszczulki z przodu jak koturn, a raczej jak płozy sanek zagięte, znane w Syberji pod nazwą łyżew i w zimie powszechnie tam używane. One to dozwalały mu się utrzymywać na powierzchni śniegu i posuwać się po niej daleko szybciej, jakby to idąc mógł być uczynić. Obecnie Oleś mógł doskonale rozróżnić, że miał około szyi owiązany sznurek, na którym z przodu wisiało kilka jak heban czarnych, długowłosych a połyskujących skórek sobolich, z tyłu zaś nierównie więcej skórek gronostai i wiewiórek.

Ujrawszy sanie, konia i dwóch ludzi, Ostjak zatrzymał się, pokąd nie nadeszli starsi jego towarzysze. Było ich pięciu, uzbrojonych w gwintówki. Każdy prócz tego niośł w rękę woreczek lub sagan z kory brzozowej. Jeden miał

zawieszoną przez plecy przesłoniczną skórę czarnego lisa. Wszyscy spuścili się tuż przy saniach na drogę i odwiązawszy łyżwy postępowali ku wiosce, gwarząc po swojemu i żadnej prawie na podróży nie zwracając uwagi. Władysław zaprosił najbliższej przy saniach idącego młodego Ostjaka, by usiadł na nie, co tenże bez namysłu uczynił.

Po chwili przystąpił do zbiegów jeden z dorosłych i zagadnął ich czysto po moskiewsku:

— Dokąd Bóg niesie? —

— Do Tomska... chcemy się nająć na pryiski do marynińskiej tajgi — odparł Władysław, nie bez zdziwienia, że w pytającym poznaje moskala. — Wy z polowania, jak widzę, wracacie? — dodał, chcąc zacząć rozmowę.

— Tak, polowaliśmy w tajdzie dni kilka na lisy i sobole, lecz jakoś ich tego roku mało w tych stronach, i do tego Tunguzi wylawiają nam wszystko z przed nosa.

— Jednak nie próżno wracacie! — wtrącił Oleś, ukazując skórki zawieszone u szyi młodego Ostjaka.

— Cóż to znaczy na czterech strzelców? — odparł Moskal. — Zresztą pierwsza to dopiero grubsza zdobycz tej zimy i więcej zapewne nie będzie.

— Jak to na czterech? — zapytał Władysław — przecież was pięciu!

— Mnie nie liczcie... ja robotnik u ojca tego malca. —

Władysław teraz dopiero wytłumaczył sobie obecność Moskala w tych stronach. Przypomniał on sobie, że mu po więzieniach nieraz opowiadali włóczęgi o pewnych głuchych zakątkach w Syberji, dokąd czasem zdążają zbiegowie z katorgi, którym sprzykrzyły się wałęsania po stepach i więzieniach, aby u mieszkańców tamtejszych nająć się za robotników i spokojnie pracując, wieść dalszy żywot przykładnie i bez nuzającej niepewności o jutro. Oddaleni od środka administracyjnego, kontroli przeto mniej obawiający się mieszkańcy miejsc takich, chętnie przyjmują ich, zwłaszcza, że każdy ze zbiegów prawie posiada czy to rzemiosło jakie, czy też inne wiadomości, których im nie dostaje. I zdarza się bardzo często, że przekonawszy się o jego zdolności i pracowitości, jako też o przykładowym prowadzeniu się, pomagają mu po kilku leciech do uzyskania obywatelstwa, czyli jak tam rzecz tę nazywają, do legalnego przypisania się do włości. Rzecz to wcale zresztą nie tak trudna, jakby się na pozór zdawało. We włościach sybirskich, obejmujących zwyczajnie najmniej kilkanaście wsi, na ogromnym czasem rozrzuconym obszarze, liczy się zawsze kilku lub kilkunastu ludzi bez wieści przypadłych. Nie łatwiejszego, jak przekupiwszy pisarza włościńskiego, samowładnego zazwyczaj pana w tych oddalonych miejscach, postąpić na miejsce jednego z takich

przepadłych — zwłaszcza jeszcze, kiedy się ma protekcję kilku osiadłych we włości wieśniaków. Przykłady podobnego zmartwychwstania politycznego — każdy zesłany bowiem na Syberję uważany bywa z mocy prawa za politycznie umarłego człowieka — nie są wyjątkowymi ani rzadkimi faktami w stronach Syberji, które leżą daleko od «wielkiej drogi». Władysław nie wątpił więc, że ma przed sobą jednego z takich nawróconych zbiegów.

— Będziecie musieli chyba zanocować w naszej wiosce — prawil moskal po chwili milczenia — do najbliższej będzie wiorst około piętnastu, przed nocą nie zdążylibyście.

— My też zamierzamy tak uczynić, jeżeli nas przyjmą.

— O to nie ma obawy. Tu noclegu nie odmówi żaden gospodarz... Tylko dzisiaj noc będziecie mieć niespokojną.

— Dla czego?

— Po każdym większym polowaniu, które się jako tako powiodło, Ostjacy zwykli hulać trochę... zaś krzykliwi oni są bardzo, kiedy hulają.

— O krzyki mniejsza... byle nie pobili człowieka...

— Tego nie lękajcie się... gość u nich święta osoba!

— Skądżeż oni wódki wezmą, kiedy tu nie masz nigdzie kabaków i dowozić nie wolno? — zapytał Oleś.

— Dowożą przecież... Zresztą sami oni ją sobie warzą także. Wódka to już gorsza od najgorszej śmierdziuchy... gęsta jak braha... człowiek do innej przywykł, szklanki by nie mógł wypić bez oddania na powrót... oni jednak piją i upijają się nią, jak się patrzy.

— Toż do warzenia trzeba mieć osobne przyrządy — mówił Władysław — których nie tak łatwo ukryć w razie rewizji. A tę, jak nam mówiono, odbywa tu często zasiedatel.

— Alboż oni głupi je trzymać u siebie?... A tajga od czego?... tam zasiedatel nie pokaże się, bądźcie pewni! — objaśniał Moskal.

Zostawało jeszcze cztery wiorsty do wsi, więc około godziny drogi. Władysław zszedł z sanek i zaprosił na nie Moskala, który widocznie był pochodem znużony i zaproszenia na dół sobie powtórzył. Zdjął z plec gwintówkę i usiadłszy postawił ją koło siebie. Dziwnego też rodzaju była to broń. Lufa gruba na półtora palca przynajmniej, długa zaś na dwa łokcie, mieściła w sobie dziurkę nie większej jak groch cukrowy objętości. Łoże dochodziło do samego jej końca i ukrywało żelazny ladsztok. W połowie miało przymocowane widelki, tak, że strzelec mógł na nich broń oprzeć, strzelając. Przyrząd ten przy tego rodzaju broni jest dla tego nieodzowny, że z powodu ciężkości utrzymać jej swobodnie w ręku podczas mierzenia niepodobna. Najdziwacz-

niejszym był zamek. Prócz sprężyny bowiem, która była na wierzchu i pokrywki na panewkę cały był z drzewa. Nawet krzemień przymocowany był do osady drewnianej. O broni pistonowej wyobrażenia tu nie mają — zaledwie który z Ostjaków słyszał o niej.

— Nie dziw, że wam się polowania nie udają, kiedy tak złej broni używacie — rzekł Władysław, ukazując gwintówkę.

— Lepsza od tej na nic by nam się tu nie przydała — odparł Moskal. — Co w lesie między drzewami po daleko-nośnej broni? Zbliża zaś z niej strzelać do zwierzyny, znaczyłoby rozszarpać futro i umniejszyć jego wartość. Tutejsze gwintówki biją celnie na pięćdziesiąt kroków najdalej i to jest dla Ostjaka zupełnie dostatecznie. Do soboli rzadko strzelać się zdarza, bo tej zwierzyny nie podejdiesz tak łatwo. Jeżeli zaś uda się to czasem, trzeba mierzyć w oko; skórka bowiem gdzie indziej kulą przedziurawioną połowę wartości swej traci. Lisy bije się z tego samego powodu w główkę tylko. Nie inaczej i wiewiórki, jeżeli do nich się strzela, choć te zwierzęta łowią tu po największej części w łapki. Owoż chcąc godzić tak celnie, trzeba zawsze jak najbliżej podejść. Dla tego też i kulki tak małe się nabijają, aby we futrze jak najmniejszą dziurkę zrobić.

— Czy na łosie także z tą bronią polujecie?

— Z tą samą. Chodzimy na nie zwykle po pierwszej odwilży, kiedy na śniegu robi się lodowa skorupa. Łoś ciężki, zapada w bieg i nie może szybko uciekać. Dopędzamy go na łyżwach i powalamy o trzydzieści, czterdzieści kroków. W lecie zaś urządzamy samostrzały. Zwierz ten ma zwyczaj chodzenia gromadnie do wody, zawsze jedną i tą samą ścieżką. Wytropiwszy taką, zastawiamy na niej taki samostrzał. Jeżeli nań który nastąpi, tedy pada ugodzony strzałą, która z tego przyrządu z wielką siłą wylatuje. Kopymy także doły przy styrtach siana, w które łosie często wpadają.

— Soboli jakżeż dostajecie? — zapytał Oleś.

— Polowanie na nie bardzo trudne i żmudne. Zwierz to chytry jak rzadko, płochliwy, że nie ma sobie równego pod tym względem. Przebywa zaś tylko w najnieodostępniejszych i oddalonych ostępach tajgi. Trzeba więc wyszukać taki ostęp, który rzadko znajduje się bliżej mieszkań ludzkich jak o trzy, cztery dni drogi. Skoro się podejrzewa, że się dotarło do takiego miejsca, trzeba się jak najciszej zachować, inaczej choć by tu był, umknie, zanim tropu dopatrzysz. Zwykle robi się tak, że wszyscy zostają o jaką wiorstę drogi od ostępu, i wysyłają doń jednego tylko. Ten spostrzegłszy świeży trop na śniegu daje znać towarzyszom,

poczem ci przybiegają co rychlej i otaczają pewną przestrzeń lasu siecią. Do tej sieci są dzwonki przywiązane w odstępach dwóch lub trzech-łokciowych. Wtedy wchodzą wszyscy do środka, krzyczą i hałasują ile mogą, poczem oddalają się o kilkadziesiąt kroków i ukrywają dobrze za drzewa. Sobol przebywa zwykle na drzewach między gałęziami, gdzie go nadzwyczaj trudno dopatrzeć. Podczas krzyku i hałasu wcale on się nie rusza w kryjówek; skoro jednak wszystko uciszy się, stara się co rychlej opuścić te miejsca. Z drzewa na drzewo nie przeskakuje on nigdy, ucieka tylko po ziemi. Oczywiście musi takim sposobem wpaść w sieć, w której się wika. Dzwonki dają znać o tem natychmiast. Na odgłos ich trzeba śpieszyć rychło, aby sznurków nie poprzegryzał. Wtedy to ubija się go, uderzając drzewkiem po głowie. Żywego wiać nie podobna, kasa bowiem okropnie i drapie pazurami, gdzie popadło...

— Gronostaj musi być także wiele w tych stronach? — pytał Oleś dalej.

— Zależy to od roku... czasem pojawia się ich niezmierna ilość, równie jak wiewiórek; bywają jednak lata, w których nie ma ich wcale. Tak gronostaje jak wiewiórki, a równie i klonki łowią się na łapki — objaśniał dalej Moskal. — Możemy tu nie ma żadnej prawie. Każdy Ostjak sporządza sobie latem kilka tysięcy takich samolówek, rozstawia je zimą niedaleko domu w tajdze; na wiewiórki kładzie trochę łoju, na gronostaje mięsa lub główki ptaszków, i zbiera potem, co się złowiło.

— Nie zabierz mu kto jego zdobyczy z samolówek? — zapytał Władysław.

— To się nigdy tu nie zdarza... istnie boży ludek mieszka w tych miejscach. Łapki bywają zwykle znaczone, i tego dosyć, aby nikt inny prócz właściciela nie tknął się ich. Latem przyjeżdżają tu zwykle kupcy w łodziach, które napełnione są różnym towarem. Mieniąją nań futra. Otóż łodzie te zostawiają na noc zwykle u brzegu bez wszelkiego dozoru, sami zaś nocują we wsi czasem wiorst kilka od rzeki oddalonej. Nie było nigdy wypadku, żeby im cokolwiek zginęło... Ostjacy, równie jak i wszyscy Jesacczni znani są zresztą ze swojej nieposzlakowanej rzetelności. Skoro co przyrzeką, można liczyć na nich, jak na cztery tuzy...

— Widać to ze wszystkiego — dorzucił Oleś. — Domy ich wcale nieogrodzone, jak nasze; konia zaś z sankami zawsze nam dotąd na ulicy stawiać kazali na noc, i śmieli się z nas, kiedyśmy się obawiali, aby nam czego nie ukradziono... I nie można powiedzieć, żeby to chrześcijańska religja sprawiała; chociaż chrzczeni są oni, chrześcianami przez to nie stali się. Wczoraj zajechawszy na noc do jednej zagrody,

zastaliśmy gospodarzy przy obiedzie. Jedli z mięsem mimo postu. Skoro nas zobaczyli, zaczęli co rychlej sprzątać ze stołu, myśląc, żeśmy urzędnicy jacy i karać ich będąmy za niedotrzymanie wiary... Zdaje mi się także, że modlą się oni przed obrazami tylko wtedy, kiedy kto z ruskich na nich patrzy.

— Nie inaczej! — odparł Moskal — przymuszono ich do chrześcijaństwa... nie z własnej woli dali się ochrzcić, więc i pożytku z tego nie masz żadnego. W sercu są oni Szamani, jak ich pradziadowie. Juźci, popu płacą za chrzty, pogrzeby i małżeństwa, co należy; raz dwa razy na rok jeżdżą także do cerkwi; obrazami ściany u nich zawieszono, jak u nas; wszystko to jednak dla pozorów tylko, aby się nie nabawić biedy i kary od zasiedatela... Swoją drogą i szamańskim bogom oni się modlą w tajgach... tę zaś wiarę przechowują wiernie i szczerze, oczywiście w tajemnicy od ruskich... Wierzcie mi jednak, moi przyjaciele — kończył swoje objaśnienia moskal — ludzie ci choć poganie, dziecięćroć... ba, co mówię, stokroć lepsi od chrzczonych sybirskich czołdonów!... Pięć lat dobiega, odkąd z nimi żyję... lepszego bytu do śmierci nie pragnę... Ja niby robotnik u mego gospodarza, ale nigdy on mi jeszcze złego słowa nie powiedział; obchodzi się ze mną jak z bratem, z towarzyszem... dzieli troski i uciechy. Do takich ludzi mimowoli przyłgniesz duszą i sercem, choć nie swoi... I życie, życie jakie tu swobodne, przyjemne! Latem cały dzień na rzece, łowimy ryby... zimą polowanie i polowanie... Czasem potrwoży zasiedatel, daje się jednak udobruchać kilkunastoma skórkami. —

Słońce dobiegało właśnie kresu, tonąc w ciemnym puszczy morzu, kiedy całe grono weszło do wioski, składającej się z pięciu domostw, które tem tylko różniły się od moskiewskich wiejskich mieszkań, że nie miały zagrody ni zabudowań gospodarskich. Moskal zszedł z sanek i zatrzymał się wraz z Władysławem na drodze, czekając gospodarza, który z innymi Ostjakami szedł o kilkadziesiąt kroków z tyłu. Rozmówiwszy się z nim po ostjacksu, którym to językiem dosyć płynnie władał, rzekł do Władysława, iż może bez obawy na noc zajechać do jego domu.

— Zajeżdżaj, zajeżdżaj znajomy, z Bogiem! — dodał sam gospodarz, potakując głową dobrodusznie.

Tymczasem zmówił się był już i Oleś z malcem Ostjakiem, który go także na noc zaprosił; nie czekając więc powrotu Władysława zajechał przed dom i zaczął konia rozbierać.

Razem z gospodarzem i moskalem wszedł i Władysław do wnętrza izby, które zupełnie niczem nie różniło się od

wnętrza mieszkań Sybiraków — Moskali. Nawet połatek nie brakło. Trzeba wiedzieć, że domy te rząd własnym kosztem pobudował dla Ostjaków, aby ich tem łatwiej zachęcić do osiedlenia się. Oczywiście cięśle rządowi nie zwrócili najmniejszej uwagi na odrębne zwyczaje i potrzeby mających w nich przebywać mieszkańców.

W izbie krzątania była wielka od chwili, kiedy pojawił się młody Ostjak, który wyprzedził wszystkich. Gospodyni nieciła corychlej ogień w piecu, jedna z córek nastawiała samowar, druga spieszyła do bliskiej przerebli Czulymu po wodę. Widocznie przygotowywano sutą wieczerzę. Jakoż w godzinę później zeszli się także Ostjacy z sąsiednich chat, tak ci, którzy towarzyszyli gospodarzowi w wyprawie do tajgi, jak kilku innych wraz z żonami i dziećmi, tak, że w izbie nabrało się osób płci obojga do dwudziestu kilku. Tłem gwarliwej ich rozmowy, w której żywy brały udział także kobiety, mające tu widocznie daleko więcej swobody i niezależności jak u Tatarów, były, jak Moskał zbiegów objaśnił, rozmaite przygody wyprawy i projektu do bliskiej nowej wycieczki. Ogromny samowar córka gospodarza musiała najmniej cztery razy dolewać, nim zaspokoili pragnienie strzelcy wraz ze zbiegami, którzy sami tylko pili herbatę.

Podano wreszcie na stół sporą misę mięsiwa. Gospodarz wyszedł z izby i wrócił niebawem z ogromnym saganem z brzozonej kory w ręku. U wszystkich zgromadzonych w izbie, tak kobiet jak mężczyzn, podlotków i chłopców zaśmiały się oczy na widok naczynia, pod którego ciężarem, gospodarz ugiął się prawie. Zawierało ono bowiem najmniej pięć garncy. Usiadłszy na swoim miejscu, otworzył je ostrożnie, zacerpnął filiżanką od herbaty płyn, który się w niem znajdował, wychylił go duszkiem kiwnąwszy wprzód głową do Władysława, jakby w znak, że do niego pije. Potem podał mu napelnioną powtórnie filiżankę, wskazując palcem Olesia, jako tego, do którego powinien był pić Władysław.

— Pij znajomy! — Dogadywał zarazem — to nasze piwo... bardzo, bardzo dobre... — Tu cmoknął ustami.

Władysław przyłożył do ust filiżankę. Mimo najlepszej chęci jednak i ćwierci nie zdołał przelknąć. Był to płyn gęsty, szary, nieco kwaskowaty, lecz tym kwasem, który posiadają płynne potrawy, kiedy kilka dni w ciepłym i zamkniętym miejscu stały. Woń miał nadzwyczaj przykłą, daleko więcej przykřejszą od nieocyszczzonej wódki, którą zresztą smakiem i zapachem nieco przypominał.

— Musicie nam wybaczyć, gospodarzu! — rzekł Władysław, podając niedopitą czarkę Olesiewi — myśmy do tego

napoju nie przywykli, więc i towarzyszyć wam nie będziemy mogli...

— Pijcie, ile możecie! — odparł Ostjak dobrodusznie — wasza wódka lepsza, wiem to, lecz my jej tu nie mamy. —

Tu odebrał od Olesia czarkę także niedokończoną, wychylił sam resztę, przemawiając kilka słów ostjackich do jednego z towarzyszy wyprawy. Czarka obeszła potem kolej po całej izbie, nie mijając nawet niedorostków. Jeden tylko młody Ostjak nie tknął się jej. Siedział on na uboczu przy kominie, cmił z potężnej sybirskiej fajki, i mało się wtrącał do rozmowy, która po pierwszej już czarce nierównie więcej ożywioną się stała jak przedtem. Moskał, którego Władysław zapytał o przyczynę tej wstrzemięźliwości, objaśnił, iż podczas każdorazowej hulanki, w której bierze zazwyczaj udział cała wioska, jeden z jej dorosłych mieszkańców zostaje zawsze trzeźwym; jego to obowiązkiem jest nie dopuszczać do kłótni pijanych, zważać by z ich nieostrożności nie powstał pożar, odprowadzać do domów zbyt podchmielonych, słowem bezpieczeństwa przestrzegać i możliwego porządku. Oczywiście, nie zawsze jeden i ten sam Ostjak pełni ten urząd; wszyscy mężczyźni stróżują kolejno, podobnie jak i nie zawsze w jednym i tym samym domu odbywa się hulanka, lecz po kolei u każdego z gospodarzy.

Po trzeciej czy czwartej czarce, towarzyszącej każdej potrawie wieczerzy, która prócz mięsa, składała się z ryb i oładków pływających w maśle — Ostjacy nadzwyczaj tłusto jedzą — skutki napoju dawały się już dobrze uczuwać. Powstał w izbie gwar, że trudno było, jak to mówią własnego słowa dosłyczeć. Blade, a raczej smagłe lica Ostjaków i Ostjaczek nabrały rumieńców, ożywiły się; kose oczy dziwnym, namiętym jakimś jaśniały blaskiem; nogi chwiały się poczęły. Ten śpiewał, tamten rozpowiadał coś, trzeci krzyczał, jakby życzył, żeby go wszyscy słuchali, nikt przecież nikomu posłuchu nie dawał, nikt nie zważał na nikogo — istna wieża Babel. Dzieci rychło napój powalił na ziemię. Trzeźwy Ostjak poukładał ich bądz na piecu, bądz na tapczanie. Kobiety także więcej pijane się wydawały od mężczyzn. Rzadko u której była chustka na głowie w porządku, włosy nieodwiązane i nierosplecione. Ostjaczki bowiem noszą się zupełnie po moskiewsku, chociaż tyczą się to tych tylko, które mieszkają nad Czulymem. Zresztą całe towarzystwo przedstawiało nadzwyczaj odrażający widok, i trudno wyszukać porównania, któreby mogło uzmyslić obraz tej hulanki. Lica pijanych tak dziwnie były pokrzywione od jakiegoś glupkowatego, do ust jakby przykutego uśmiechu, że myślałeś, iż masz idiotów przed sobą. Ogień znów w oczach, niesamowite głosy, drepcące bez ustanku nogi, wymachujące

ręce, nieład w całej postawie, przypominały ci nieraz orangutanów lub innych małp stado. Oczywiście wesołość podochocho-nych, ani jednego wspólnego rysu nie miała z tą ochotą, z którą przywykliśmy się spotykać przy podobnych okolicznościach u nas.

Władysław i Oleś posiliwszy się wieczszą, przy trzeciej już czarce wynieśli się na pałatki, skąd jak z łoży przypatrywali się oryginalnemu widowisku. Moskał pił zarówno jak i Ostjaki, lecz trunek nie zdawał się działać na niego; był też w porównaniu ze zwykłą wódką bardzo słaby. Ostjacy wyrabiają go z żyta i owsa, zachowując główne reguły pędzenia wódki — nie przepuszczają go tylko przez alembik, nie mając do tego odpowiednich przyrządów.

Po dobrej godzinie krzyków i hałasów, gospodarz, jakby przypominając coś, zwrócił się do moskała z jakimś roszkazem. Ten dobył z policy bałałajki o trzech strunach i zaczął na niej wygrywać moskiewskiego triepaka. Skutek, jaki wywarły te dźwięki na całe towarzystwo, nie da się opisać. Każdy urwał na słowie, które mówił i puścił się w tany, jakby tajemna jakaś sprężyna go do nich popchnęła. Że zaś ciasno było w izbie, więc obracano się i skakano na jednym prawie miejscu, tupając nogami, bijąc rękami po powietrzu, przysiadując, podrygując, i najśmieszniejsze w świetle stojąc grymasy. Odnaczały się w tej zabawie szczególnie kobiety, na decorum oczywiście najmniej uwagi. Tej spadła chustka z głowy i włosy w nieładzie zsunęły się na plecy a potem i na twarz; tamtej odpięła się koszula pod szyją, że piersi było widać nagie; innej jeszcze śród podrygów odwiązała się spodnica... Patrząc na to przypomniła ci się scena z Fausta Getego, w której opisany bal czarownicy na Łysej górze.

Późno w noc przeciągnęła się ta hulanka. Młody Ostjak, starszy syn gospodarza, kilka razy musiał opuszczać dom, nim wszystkich gości poodprowadzał do ich mieszkań. Niektórych, co nie mogli już stać na nogach, zostawiono na noc w izbie, ułożwszy ich pokotem na podłodze. —

*

Koniec marca 1865 roku zastał naszych zbiegów w okolicach Kuźniecka, t. j. w południowej części Tomskiej gubernji. Dotarłszy do tego ostatniego miasta gubernialnego, spieniężyli niewielką ilość skórek lisich, wiewiórczych i gronostajowych, które u Jesacznych wymieniali byli na cukier i herbatę kupione w Jenisejsku, a zysk stąd otrzymany pozwalając im śmiało puścić się na południowy zachód, gdzie Władysław miał kilku znajomych Warszawiaków, od których

spodziewał się tyle pieniężnej pomocy, iżby mógł dotrzeć przez Omsk napowrót do Kurganu; stąd zaś przez Orenburską gubernję zamierzał udać się do Rosji i Kijowa.

Wszakże człowiek strzela, pan Bóg kule nosi, jak to mówią.

W Kuźniecku, dokąd przybyli bez szwanku po kilkunastodniowej podróży przez tak zwane Zawodskoje Wiedomstwo, czyli przez okręg barnaulski, który zamieszkują wieśniacy, należący jako poddani do licznych w onych miejscach rządowych żelaznych fabryk i kopalń, poszło zbiegom wszystko po myśli. Tak się już byli wdorożyli do niebezpieczeństw ich wolności ciągle zagrażających, w miasteczkach zaś nierównie większych, jak we wielkich miastach i we wsiach, że omijali je z prawdziwym rzec można artystem. W Kuźniecku np. gdzie się zatrzymali przez dwa dni, zajęci byli, nie wiedząc z kim mają do czynienia, do sierżanta straży policyjnej, która znajduje się w każdym powiatowym mieście; umieli jednak tak dobrze upozorować powód swego przybycia, że ten najmniejszych nie powziął podejrzenia i w nadziei, że będzie głównym agentem dostawy zboża dla jednego z głośniejszych kupców tomskich, z którego przykaszeków uchodzili zbiegowie, sowicie ich wódką i czajem z ołatkami uraczył. Nie chciał nawet przyjąć wynagrodzenia za dwódniove zbiegów i konia karmienie, czemu jednak Władysław się sprzeciwił. Dodać wypada także, że myśl poprotegowania go na agenta zbożowego sam sierżant podał Władysławowi, któremu nie nie pozostawało, jak tylko zastósować się do jego życzeń.

Z Kuźniecka nie ma prostej drogi do Omska. Między temi dwoma miastami leżą wielkie stepy, na których zrzadka tylko znajdują się wioski, połączone między sobą polnemi drożynami. Na wiosnę i w jesieni przebyć ich niepodobna; topniejący śnieg i deszcze przemieniają te miejsca w jedno prawie olbrzymie bagno. Ustaje też wtedy tam wszelka komunikacja. Zbiegowie spodziewali się jednak, że przed zupełną odwilżą dotrą jeżeli nie do samego Omska, to przynajmniej do tej stepów części, która gęściej jest osiedloną i bardziej uczęszczaną, więc lepsze posiada drogi.

Ciągnęła ich jeszcze w tę trudną do przebycia stronę następną okoliczność. Sierżant kuźniecki, omawiając z Władysławem najdogodniejszy sposób zakupywania tanio wielkiej ilości pięknego zboża, wspominał był o pewnej włości, leżącej na południowo-zachodnim krańcu kuźnieckiego powiatu, na pograniczu omskich stepów kirgiskich, która składała się z kilkunastu, czy więcej nawet wsi, zamieszkałych przez Polaków. Ci Polacy, wedle upewnienia sierżanta, służyli w całym okręgu z umiejętnej uprawy roli, tworząc niejako wyspę,

gdzie najpiękniejsze i najobfitsze zawsze rodziło się zboże. Oczywiście wzmianka ta żywo zainteresowała zbiegów. Zręcznemi pytaniami dobył Władysław z sierżanta wszystkiego, cokolwiek ten o tych Polakach wiedział. Mieli oni przybyć w te strony jeszcze za czasów Katarzyny i osiedlili się zdala od mieszkań moskiewskich w najżyźniejszej, podówczas zaś pustej części okręgu. Ze względu na różnicę ich obyczajów, pozwolono im rządzić się autonomicznie, t. j. odrębnie od sposobu, w jaki rządzone bywają włości sybirskie. Autonomia owa, której opowiadacz bliżej określić nie umiał, pozostała im dotychczas. Dotąd żyli oni zupełnie oddzielnie od moskali; przestrzegali pilnie, aby żaden z nich nie żenił się z moskiewką; zupełnie inaczej mieli domy pobudowane. Ba, sybirak ich podejrzewał, że dawniejszej trzymali się wiary i odmiennym między sobą rozmawiali językiem, mimo że i cerkwie były u nich prawosławne, i w stosunkach z moskalami bardzo czysto po moskiewsku mówili. Chwalił dalej sierżant błahorodnuju jak się wyrażał t. j. szlachetną czyli pańską ich powierzchowność, dla której łatwo ich można było odróżnić od moskali, mimo że odzienie nosili podobne do tego, którego używają ci ostatni. Opowiadał także wiele o piękności i odrębności typów kobiecych; wynosił czystość i schludność w domach mieszkalnych, porządek w oborach i zamożność, która była udziałem wszystkich bez wyjątku mieszkańców. — Lud bo też to pracowity — dodawał — jak w naszych stronach nie spotkasz nigdzie. —

Wszystkie te szczegóły, jakkolwiek były niedokładne i wiele do życzenia pozostawiały, kazały się zbiegom domyślać w onych Polakach rodaków, wywiezionych na Sybir prawdopodobnie za czasów barskiej konfederacji, lub też z powodu kościuszkowego powstania. Zbyt uczciwa dodawać, że rozgorzała u nich chęć naocznego przeświadczenia się o prawdzie zapewnianій sierżanta, tem bardziej, kiedy je i inni potwierdzili Sybiracy. Ku owej też stronie skierowali swą podróż, mało sobie ważąc, że im to trochę było z drogi. Zresztą oddalona część Syberji, którą obecnie przejeżdżać musieli, miała jeszcze i tyle dobrego, że nie narażała ich wolności na żadne prawie niebezpieczeństwo. Im dalej od wielkiej drogi, tem mniej podejrzliwi bywają mieszkańcy Syberji, i mając rzadziej do czynienia z sądowymi i administracyjnymi urzędnikami nie lękają się tak «biedy i śledztwa» jak Sybiracy z nad wielkiej drogi. Nadto nie było w tych stronach zesłanych za ostatnie powstanie Polaków, prawdopodobnie dla tej przyczyny, że rząd lękał się ich wysłać w sąsiedztwo barnaulskiego okręgu, gdzie, jak mówiliśmy, mieszkali tylko fabryczni poddani, którzy z położenia swego wcale nie byli zadowoleni, tak dla uciążliwej pańszczyzny, jak

i dla ucisku, jakiego doznawali ze strony urzędników fabrycznych, i których, jak rząd przypuszczał, łatwo było podburzyć. Owoż nie było także obawy, że będzie w nich ktokolwiek podejrzawać zbiegłych politycznych wygnańców. Posuwali się też przez pewien czas przeciwciąg naprzód bez najmniejszych przygód, wydając się za mieszkańców południowej Rosji, wysłanych przez pewną wieś, celem wybrania miejsca dla osiedlenia się. Wierzono im wszędzie tem bardziej, że pod ową porę rzeczywiście wiele Małorosjan całemi wsiami dobrowolnie się było do Syberji przesiedliło, pociągnięci wielkimi obszarami przydatnej do uprawy roli, którą rząd daremnie takim posiadłościom i to wedle ich wyboru oddawał. Zwykle wsie, przesiedlić się mające, wysyłały wprzód na zwiady dwóch trzech ludzi, którzy, wybierawszy miejsca, układali się z rządem, a wróciwszy nazad, całemu taborowi służyli za przewodników w drodze.

W tem stało się to, czego zbiegowie obecnie najwięcej się obawiali. Powietrze nagle pociepleło tak, że śnieg na dobre topnieć zaczął. O wzmożeniu się mrozów ani mowy być nie mogło więcej; wszystko wskazywało na zbliżanie się wiosny, a z nią i na przerwę komunikacji przynajmniej przez przeciąg czterech do pięciu tygodni. Jużci zbiegowie mogli by się byli zatrzymać w pierwszej lepszej wiosce na wiosnowkę — jak taką przerwę zwą w Syberji — lecz pominawszy już tę okoliczność, że paszportu ich nie byłoby wytrzymały dokładniejszej krytyki, któraby niewątpliwie nastąpiła przy dłuższem zatrzymaniu się w jakiej miejscowości, pieniężne ich środki byłyby się przez to wyczerpały do tego stopnia, że nie mieliby potem za co kupić potrzebnego do dalszej podróży woska, ni też o czym ją odbywać. Kłopot to był nie mały, i tem bardziej dolegał, że nie było sposobu mu zaradzić. Jedyne wyjście, które się przedstawiało, było z tyloma niedogodnościami na przyszłość połączone, że zbiegowie z wykonaniem go czekać postanowili aż do ostatniej chwili. Polegało ono zaś na tem, aby sprzedać sianie i konia i dalszą do Omska a może i Kurganu drogę pieszo odprawiać. Gdy zważywszy niezmierne trudności tego sposobu podróżowania, mozoły z nim połączone, jak również i tę okoliczność, że każdy pieszo idący daleko częściej bywa narażony na stykanie się z policją jak jadący, dla którego sam koń w tych miejscach świadectwem bywa niejako uczciwości i ochroną od podejrzeń, dziwił się nie będziemy, że zbiegowie z głębokim smutkiem myśleli o chwili, kiedy się będą musieli rozstać z swoim ekwipażem, który im tak często większe od paszportów oddawał usługi. Chwila ta olbrzymiami jednak zbliżała się krokami; już bowiem płozy saneczek wrzynały się głęboko w śnieg na drodze, i z trudem

tylko mimo dnia długiego ujeżdżać było można wiorst trzydzieści.

Dni kilka przecież jeszcze wytrwali zbiegowie w takiej podróży, aż pewnego popołudnia zmuszeni byli zastanowić się w jednej wiosce. Do Omska było jeszcze kilkaset wiorst stepami; włość Polaków rościagała się o sto pigędziesiąt. Na każdym prawie noclegu sprowadzał Władysław rozmowę na nią; wszędzie potwierdzano opowiadanie sierżanta, nigdzie jednak bliższych szczegółów podać nie umiano. «Oni stronią od nas, mawiano o tych Polakach, i żyją jakoś po swojemu.» Oczywiście bardziej to jeszcze podniecało pragnienie zbiegów bliższego zbadania tych stosunków. Teraz jednak musieli odłożyć to na później.

Pod wieczór tegoż dnia, w którym zbiegowie zatrzymać się byli zmuszeni, Władysław został sam na sam w izbie z gospodarzem, człowiekiem młodym, który był się niedawno ożenił i nowe zaprowadził gospodarstwo. Uchodził on zawsze za prawosławnego Niemca, którego przodkowie od dawna osiedli byli w Rosji. Swobodniej mu z tem było daleko na noclegach, jak gdyby był udawał Moskala. Miał on zwyczaj, jeżeli sposobna ku temu nadarzyła się pora, spisywania wrażeń podróży w małej książeczce, czem zwykle wzbudzał wielką cześć dla siebie u Sybiraków, w mniemaniu których każdy umiejący pisać i czytać, gramotnyj, jakby wyższą jest istotą. Obecnie siedział także przy oknie i kreślił. Młody Sybirak długo przypatrywał mu się z uwagą, jakby nie mógł się nadziwić rączności, z jaką pomykał piórem po papierze. Wreszcie Władysław schował książeczkę, kałamarz i pióro do podróźnej torebki, usiadł na powrót przy oknie i spoglądał smutnie na tu i owdzie ze śniegu już zupełnie obnażony step.

— Tak małej i zgrabnej ręki, jak wasza, pocztienniejszy, jam nigdy nie widział jeszcze! — przemówił Sybirak. — Śnać nie czarną wy robotą się zajmujecie w domu...

Nie pierwszy to raz spotykał Władysława ten komplement od Sybiraków; odpowiedział więc, jak zwykł był to czynić w podobnych razach:

— Macie słuszność gospodarzu! ojciec mnie uczyć kazał, na kupca sposobil; do czarnej więc roboty nie przywykłem i ręce stąd wydelikatniały...

— Ręce takie, to bogactwo! — prawil dalej Sybirak.

— Nie zawsze... o sobie naprzykład tego ja powiedzieć nie mogę...

— Bo nie chcecie sobie... gdybyście zachcieli, ho, ho, tysiące moglibyście posiadać...

Władysławowi przez myśl nie przyszło, do czego Sybirak

zmierza. Ze zdziwieniem więc popatrzył na niego, a potem rzekł:

— Któżby w dzisiejszych czasach nie chciał bogatym zostać?

— Oj tak, tak... każdy chce, lecz nie każdy może — odparł Sybirak i zamilkł na razie.

Władysław nie mając ochoty przedłużania rozmowy z głupim jak mniemał Sybirakiem, odwrócił się znowu do okna i z niewypowiedzianą boleścią patrzył na konia, którego Oleś właśnie prowadził do wody, a z którym jutro najdalej miał się rozstać.

— Okropnie ciężkie czasy teraz jakoś nastały — zaczął znów gospodarz — wszystko poszło na wymysły... biednemu zaś człowiekowi życia nie masz... Dawniej lepiej było, jak mówią starzy ludzie...

— Wy przecież, gospodarzu, nie macie jeszcze tak wiele przyczyn do utyskiwania — odpowiedział Władysław — młodzieńcze, zdrowie, dzieci nie macie, zagroda nowa, była dosyć, czegoż wam więcej potrzeba?

— Tak to się wam zdaje, pocztienniejszy... poduszkiem do śmierci znużyli... płacisz a płacisz i zawsze piszą, żeś winien... Teraz właśnie znowu żądają coś kilka-naście rubli, a ja, Bóg mi świadkiem, rubla nie wiem skąd wziąć...

— Alboż to tak wielką sumę podusznego na rok płacicie?

— Nie wielkać ona, wprawdzie, lecz kiedy przyjdzie płacić za kilka dusz umarłych, jak mnie, to wtedy i z niszczycie może człowieka...

— Jak to za umarłe dusze?

— A tak, pocztienniejszy. Z całej rodziny liczącej sześć dusz został się tylko ja i ojciec. Jeden brat przepadł gdzieś bez wieści, trzech umarli; my we dwóch teraz musimy wszystko płacić, bo choć tamtych już nie ma, zapisani są oni zawsze w książkach, jako żywi, i trzeba za nich płacić aż do nowego spisu ludności, który może za kilka lat dopiero nastąpi... Ojciec zaś stary już, robić nie może, ledwie za siebie poduszne oddaje; ja więc za pięć dusz muszę się opłacać... wszystko też co zarobię idzie na to, i ciągle liczą się za mną niedoimki... Już starosta wiejski mówił mi, że jeżeli nie uiszczę się z długu, zaprzędadzą mnie na pryiski.

— Zaprzędadzą?... alboż to można, jeżeli wy nie zechcecie?

— U nas pocztienniejszy, wszystko można... Bóg wysoko, car daleko... Poduszne ściągają mir*), on bowiem

*) Gmina, komuna.

jest przed naczelstwem odpowiedzialnym za nie. Jeżeli tedy kto długo nie płaci, i wiedzą że nie ma skąd, tedy zaprzęda go mir na pryiski, i zatknięciem pokrywa niedoimki... oto jak u nas się dzieje... A na pryiskach życie straszne, gorsze jak w katordze... i Bóg wie kędy trzeba iść, by się do nich dostać... Zameczą robotą...

— Toć możecie sprzedać kilka sztuk bydła.

— Nie starczy!... zresztą kto kupi tu?.. Każdy ma swego dosyć... Za krowę nie wiem czy dostałbym pięciu rubli, za konia nie dadzą więcej jak dziewięć, dziesięć; zostać zaś bez sztuki bydła w gospodarstwie nie podobna żadną miarą...

— Teraz wierzę, że macie czego narzekać — rzekł Władysław po chwili milczenia.

— Oj mam, mam pocziennijszij... nieraz nie wiem, gdzie mi głowa stoi... i wiecznie do skończenia życia modliłbym Boga za tego, ktoby mi poradził, dopomógł...

— Tu prawdziwie trudna rada...

— Przecież pocziennijszij, gdybyście jeno chcieli, moglibyście...

— Ja? — zapytał Władysław z zadziwieniem — jakimże sposobem? Pieniądzy i ja nie mam tyle, abym wam mógł dać, ile potrzebujecie.

— Tego ja od was i nie żądam... lecz wy tak zgrabną macie do pisania rękę... możnaby...

— Prosbę napisać? — przerwał Władysław — chętnie wam to uczynię...

— Ej, nie o prosbę tu chodzi... — ciągnął Sybirak dalej, skrobiąc się w głowę... — prosba na nic się nie przyda... lecz moglibyście... tego... wiecie... moglibyście napisać mi pieniądze — wyjąkał wreszcie, i nie dając przyjąć Władysławowi do słowa, rzucił się przed nim na kolana, złożył ręce, jak do modlitwy, zwrócił wzrok błagalny na niego i rzewnym głosem tak dalej przemawiał:

— Uczynicie, pocziennijszij boskie, zmiłowanie nademną... Boga za was i za waszych rodziców do skończenia żywota modlić nie przestanę... ulitujcie się mnie nieszczęsnego!

— Czyście oszaleli, gospodarzu? — zawołał Władysław, wstając z ławki — wstaniecie! przed Bogiem się tylko kłękajcie... ja nie ten, za kogo mnie bierzecie! — dorzucił z oburzeniem. — Nie mam ochoty kłaść szyi w stryczek za innych. —

Sybirak wstał na nogi, lecz z miejsca się nie ruszył.

— Boga wiecznie za was modlić będę! — powtórzył dawniejszym tonem.

— Ależ mówię wam, że ja nie ten, za kogo mnie bierzecie... pieniądze ja robić nie umiem!

— Przecież tak pięknie i tak drobno piszecie; kropla w kroplę jak na rublach...

— Ależ ruble drukowane nie pisane! co ci się śni człowiecze...

— Dwa lata temu był u sąsiada oto naszego, którego dom stąd widzicie, majster, który samem piórem tylko napisał mu aż kilkaset dziesięcio-rublowek. A był ten sąsiad biedny, więcej odemnie, dziś najbogatszy gospodarz we wsi... Majstra zaś trzymał na stepie w izbuszce przez całe pół roku...

— I spalił go potem wraz z izbuszką, by go nie wydał, jeżeli się dostanie w ręce sądu... czy tak gospodarzu? — zapytał Władysław.

Sybirak milczał, błędny wzrok zatrzymawszy na zbiegu.

— Powtarzam wam, że nie ten, za kogo mnie bierzecie — prawil tenże dalej — mogę wam to zresztą udowodnić paszportem... lecz gdybym i był w rzeczy samej majstrem, nie wdaliłbym się z żadnym Sybirakiem... Nasłuchiłem się ja dość, jak oni postępują z tymi, co ich z bogacają. —

Sybirak ukląkł znowu tym razem zwrócony twarzą do obrazów, złożył wskazujące palce na krzyż, pocałował je i podniósł w górę jak do przysięgi.

— Wot tie Christos*)! — zawołał uroczystym głosem — wszystko, wszystko uczynię jak przykażecie pocziennijszij, byście byli pewni i bezpiecni... W gornicznej was pomieszczę w swoim domu... macie paszport, możecie więc być na widoku wszystkich... choćbym chciał, nie zlego wam nie będę mógł zrobić... a karmić was będę, jak grafa... wot tie christos, prawdę mówię... Zechciejcie tylko zdziałać boże nademną zmiłowanie, bądźcie dobrodziejem, chlebobawcą! —

Z początku tej sceny Władysław nie wiedział, czy ma się złościć, czy śmiać. Patrząc jednak na Sybiraka, jak ukorzony przed obrazami wtpiał w niego wzrok błagalny, modlił się prawie do niego w tem głębokiem i niewzruszonym przekonaniu, że może zadość uczynić jego serdecznym życzeniom i pomódz mu do uzyskania bogactw, których chęć posiadania napelniała całą jego duszę, przyszła mu myśl do głowy, że może zużytkować tę zdrożną słabość dla wydobycia siebie i towarzysza z trudnego położenia, w którym się znajdowali. Żalu nad biedą Sybiraka nie czuł żadnego; wiedział bowiem doskonale, że ta nie była tak wielką, iżby z niej wyjść nie mógł. Wiedział, że Sybirak umyślnie przesadzał, aby tem łatwiej wzbudzić litość i Władysława tem prędzej uczynić sobie

*) Oto tobie Chrystus. Formułka przysięgi u ludu.

powolnym. Jużci bez porady Olesia niczego nie chciał przedsięwziąć.

— Wstańcie, gospodarzu, wstańcie! — rzekł mniej ostrym, jak dawniej tonem — mnie takie komedje nie wrzuszają... ja pieniędzy robić nie umiem... a choćbym i umiał i zechciał mieć z wami do czynienia, tedy innych rękojmi, nie przysięgi od was wymagałbym. —

Wtej chwili weszła Sybiraczka do izby. Zdaje się, że wiedziała ona, o co rzecz chodzi, bo nie zdziwiła się bynajmniej, widząc męża wstającego z przed obrazów.

— Wszystko uczynim, jak zachcecie! — zapewniał gospodarz dalej — oto żona moja niech wam powie, jak my nieraz ponosili między sobą sąsiada, za jego zbrodniczy postępek z majstrem... Mybyśmy się nigdy czegoś podobnego nie dopuścili... mybyśmy byli chuchali nad nim, warzone, pieczone mu na stół zastawiali, na poduszkach do łaźni nosili... Coby dusza jego zapręgnąła, wszystko by miał... —

— A więc to prawda, że ten sąsiad wasz majstra spalił w izbuszczce? — zapytał Władysław.

— Mówią że do przyrębli jeziora go wrzucił, uwiązawszy kamień u szyi — wtrąciła gospodyni — od własnej jego córki ludzie dowiedzieli się o tem... Ale na nas, pocztienijczyj, nie podobnego nie pokazało by się... Zdziałajcie miłość bożą! bądźcie chlebodawcą, przymuście nas, byśmy się za wami do Boga modlili do skończenia żywota naszego... Chodźcie będę koło was, jak koło rodzonych; opierę, omyję, nakarmię, napoję... i wszystko, wszystko, co dusza wasza zapagnie... Tu Sybiraczka spojrziała na Władysława takim wzrokiem, że ten, mimo że miał czas otrzaskać się na Sybirze z rozmaitemi okazami niewieściego zepsucia i moralnej nicości odwrócił oczy od objawu takiego opodlenia... A scena ta, niech czytelnicy wierzą, skopjowana z natury, nie należy wcale do najbardziej oburzających...

— Zostawcie mnie w pokoju! — rzekł Władysław, nałożył czapkę i wyszedł z izby.

Oleś wracał właśnie z koniem od jeziora. Wieczór był ciepły dnia tego, pochmurny; w nocy można się było spodziewać deszczu i zupełnego dróg popsucia. Władysław udał się drożyną do przyrębli, odległej od domu o jakie tysiąc kroków, a zszedłszy się na niej z Olesiem wezwał go by wrócił, kiedy konia postawi w stajni.

— Zdaje się, przypadek przychodzi nam w pomoc, Olesiu! — rzekł on, kiedy towarzysz wrócił.

— Nie trzeba będzie sprzedawać konia? — zapytał tenże skwapliwie z trwożną radością w głosie.

— Sprzedamy go, bo stary... lecz nie stracimy nic na nim i będziemy w stanie po wiosnowce kupić innego

i wózek i na drogę nam się zostanie... Przewiosnujemy darmo.

— Jakim sposobem?

— Jako majstrowie fałszywych rubli.

— Oszalałeś?... Władziu!... mamyż się do tego zniżyć?... Lecz nie... musi to być coś innego... przecież ani ty, ani ja nie umiemy rysować nawet, cóż dopiero rytować!

— Właśnie też... udawać jednak przez jakiś czas fałszerzy potrafimy; tego zaś tylko trzeba.

— Udawać nie sztuka... Udajemy przecież od pół roku najrozmaitsze zatrudnienia... lecz to Władku niebezpiecznie... gorzej jak iść piechotą. Z jednej strony sąd, z drugiej sami Sybiracy... Przypomnij sobie, cośmy się nasłuchali we więzieniu jeszcze o postępowaniu ich z włóczęgami-fałszerzami; prawo zaś naznacza jedenaście lat katorgi.

— Mówię ci, o fałszowaniu mowy nie masz i być nie może... toć nie umiemy... Lecz oto, jak się rzecz ma.

Tu Władysław opowiedział Olesiu scenę z Sybirakiem i Sybiraczką i wyluszczył sposób, w jaki z tego wypadku bez najmniejszego dla siebie niebezpieczeństwa skorzystać można.

— Nam chodzi o przewiosnowanie bez wydania zostających się nam pieniędzy, bez pozbycia się ekwipażu i bez pokazywania paszportu w urzędzie. Dziś to kwestja naszego bytu. Sam nigdy nie byłbym wpadł na tę myśl; bo i jakże zacząć o niej z Sybirakiem bez rzucenia podejrzeń na siebie i narażenia się na dostanie do kozy... Skoro jednak on sam zaczął i o szczerości jego zamiarów zбоgacenia się najmniejszej nie masz wątpliwości, można nam bez namysłu skorzystać z tego, zabezpieczwszy się oczywiście na wszystkie strony. A plan mój, jak widziałeś, dosyć daje rękojmi — i kosztować będzie Sybiraków tyle tylko, ile wydadzą na przekarmienie nas przez sześć, siedm tygodni... Weźmiemy więc od nich to tylko, do czego jako wojująca strona w kraju nieprzyjacielskim najzupełniejsze mamy prawo.

— O tem nie ma co mówić... rzecz to jasna jak słońce... nasza ucieczka wojna, którą my fortelami tylko prowadzić możemy... Mnie chodzi o to, czyś dobrze obrać chował, ażali ten fortel nie zanadto obosieczny.

— Zważ wszystko, com ci powiedział, raz jeszcze i wydaj sąd. Bez twego zezwolenia nic nie uczynię. Ryzyko tu jest, ani słowa, jak przy każdym fortelu; przyznać jednak musisz, że ryzyko bardzo małe w porównaniu z tem, co zyskujemy. —

Kilka minut trwało milczenie.

— Ani słowa — rzekł potem Oleś — ryzyko małe, wygrana prawie pewna... mnie tylko przykro pogodzić się z myślą, że mamy grać rolę fałszerzy...

— Wszakże sami jej sobie nie wybraliśmy — odparł śmiejąc się Władysław — Sybirak tak przekonany, że ja umiem pisać, jak on mówi, pieniądze, iż mu tego żadną miarą z głowy nie wybijesz. Chcemy czy nie chcemy, w jego mniemaniu zostaniemy zawsze fałszerzami.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Oleś — oto ludek!

— Przytem wiesz, i ta jeszcze mnie pociąga okoliczność, że będę mógł skontrolować sam opowiadania, jakich się nasłuchiwałem o tej sprawie po więzieniach. To ciekawe...

— Byłeś nie chciał kontrolować i spalenia lub utopienia w jakim jeziorze.

— Tak daleko ciekawość moja nie sięga... wierzę pogłoskom na słowo! —

Więcej jak półgodziny trwała narada. Sybirak i Sybiraczka widzieli ją z okna i dobrze sobie z niej wróżyli. Kiedy zbiegowie wrócili do izby, na kominie przyskała żwawy ogień; gospodyni zabierała się do smażenia ołatków. Szumiał także ogromny samowar w sieniach, dokąd go wyniesiono, by snać ugaru nie było w izbie od węgla. Widocznie przygotowywano suty dla zbiegów posiłek. Zauważył też Oleś, kiedy wyszedł do stajni, że i jęczmienia koniowi podsypiano, i siana sporo za drabinę nad żłobem rzucono, i osobno go od gospodarskich koni ustawiono...

— Ja Dmytrze Iwanowiczu ośmieliłem się konia waszego postawić osobno od moich — rzekł gospodarz do Olesia, kiedy tenże wrócił ze stajni. — Nie będziecie się na mnie gniewać za to?

— Przeciwnie, dziękuję wam, przyjacielu! I jęczmienia przybawiliście i siana!... dziękuję! Chciałem was właśnie prosić, byście nam przedali... co wam się będzie należyć zapłacić.

— Nie troszczcie się o to, Dmytrze Iwanowiczu! —

Władysław milczał, spoglądając w okno, jakby nie słyszał tej rozmowy.

— Będziecie mieli dla nas cokolwiek na wieczór? — rzekł on po chwili, zwracając się do gospodyni.

— Jakżeż nie, Karolu Karolowiczu? będzie... — odrzekła spiesznie — raczyście czaju napić się z nami... oto smażę ołatki... jest i pieczeń.

— Tego wszystkiego zanadto! — odparł Władysław — myśmy zadowolili się garnuszkiem mleka i chleba... wszak obiadowaliśmy już dzisiaj.

— Zróbcie nam łaskę... nie odmawiajcie pocziennij-szyj! — prosił gospodarz.

— Lecz do takiej wieczery trzeba by wódki... Dmytrze Iwanowiczu, zajdźcie do kabaku i przynieście pół sztofa czyszczonej — rzekł Władysław do Olesia, dobywając kieski

— Nie trudźcie się, Karolu Karolowiczu — pośpieszył Sybirak — przyniosłem sztof nalewki!

— Oho, gospodarzu! czy praznik jaki dzisiaj u was?

— Nie... tak... chciałbym was ugościć — prawil gospodarz.

— Z jakiejże to przyczyny?... toć to kosztuje... wolilibyście schować na poduszne...

— Ej, Karolu Karolowiczu!... podusznego ja tem nie oplacę... pozbędę się tej biedy dopiero wtedy, kiedy łaska wasza będzie. —

Nie dokończył i poskrobał się w głowę.

— Wam znowu głupstwa w głowie... — odparł Władysław. Chciał dalej coś mówić, lecz mu przerwała gospodyni.

— Petia! — zawołała, zwracając się do męża — przynieś no samowar... już musi kipieć... zalej herbatę i filiżanki ustaw. Będzie czas rozmawiać przy wieczery. —

Mąż powodował się spiesznie temu wezwaniu.

Po chwili usiedli wszyscy do stołu, pomodliwszy się przy obrazach. Sybiraczka nadskakiwała jak mogła Władysławowi, dolewała śmietanki, podsuwała olatki pływające w maśle, podczas gdy gospodarz częstował wódką. Pierwsze czarki herbaty i wódki przeszły w milczeniu. Podczas gdy gospodyni nalewała świeże, Władysław zwrócił się do Sybiraka z zapytaniem:

— Tak wy Piotrze... nie wiem jak was zwą po ojcu...

— Afanasjew! — odparł gospodarz.

— Piotrze Afanasjewiczu, tak wy zawsze trwacie w przekonaniu, że ja majster?

— Ręce wasze Karolu Karolowiczu zdradzają was...

— Hm... I chcielibyście, żebym was zбогаcił fałszywymi banknotami?

— Do Boga nie przestanę się modlić za was, Karolu Karolowiczu!

— Co, gdybym ja tak, wziąwszy Dmytra Iwanowicza na świadka, poszedł natychmiast do starosty wiejskiego, i rospowiedział mu, do czego to wy namawiacie mnie? —

Sybirak osłupiał, rozwarłszy jak mógł szeroko oczy; żona jego zapomniiała z przestrachu zakręcić rurkę od samowara i woda zaczęła się lać na stół.

— Zasiędatel ostatnią skórę by z was ściągnął, zanimbyście się potrafili wypłatać... czy tak? — prawil Władysław, zawierając rurkę.

— Zmiłujcie się Karolu Karolowiczu... nie gubcie!... puście grzeszną duszę na pokutę! — wołała ręce składając Sybiraczka...

Sybirak tylko chłypał oczami, to czerwieniejąc, to bladejąc.

— Hm... nie gubić... ale któż mnie zapewni, czy wy sami, jeżeli ja się nie zgodzę na wasze żądania, co też oczywiście nastąpi, bo nie jestem majstrem, nie oskarżycie mnie przed starostą przez zemstę i jeżeli nie biedy, przynajmniej nieprzyjemności nie nabawicie?

— Panie Boże nasz!... wot tie Chrystos... przecież my ludzie chrzczeni... Boga się lękamy... gubić nikogo nie chcieliśmy i nie chcemy! — mówił Sybirak błagalnym tonem.

— Ach ty oczeni!... ja nieszczęśliwa! — zawodziła gospodyni.

— Nie myślcie sobie, że my włóczęgi jacyś bezdomni — mówił dalej Władysław — starosta musi nam uwierzyć, skoro zobaczy te oto dokumenta. —

Tu Władysław wyjął z kieszeni pulares, roztworzył go na stole, rozwinął znajdujące się w nim paszporta i ukazał na pieczęcie i rządowe stemple.

— Puście grzeszną duszę na pokutę! — szeptał Sybirak, składając ręce jak do modlitwy.

— Gubić ja was nie chcę, choć mógłbym łatwo, jak widzicie... ale mnie potrzeba rękoi.

— Wieleż? — bąknął gospodarz.

— Nie chodzi tu o pieniądze... waszych pieniędzy my nie potrzebujemy! —

Sybirak i Sybiraczka odetchnęli swobodnie.

— Musicie jednak przysiąc przed obrazami, że ani wy sami mścić nam nie będziecie, ani innych do tego nie pobudzicie, jeżeli wam odmówimy, czego od nas żądacie.

— Z ochotą! — odparli razem prawie gospodarz i gospodyni i postąpili ku obrazom. Tu ukłękli i pewnym, uroczystym głosem wykonali przysięgę według roty, jaką im podał Władysław.

Chciał on tem porazić Sybiraka; chciał mu dać uczuć głęboko, że ma do czynienia nie z pierwszym lepszym przybłądą, że w razie, gdyby zamierzał coś złego, może się spodziewać silnego i skutecznego z jego strony oporu; chciał wreszcie powolniejszym go w swoich rękach zrobić narzędziem. Komedja, którą z nim i z jego żoną odegrał, dopięła tego celu zupełnie. Po niej mógł Sybirak i Sybiraczkę jak bawelnę na palec okręcić.

— Teraz kończmy zaczęta wieczerzę i pogawędźmy jak przyjaciele! — mówił Władysław, kiedy gospodarz i gospodyni wstali z przed obrazów.

Sybiraczka pośpieszyła podać herbatę; gospodarz siadł machinalnie na dawnym miejscu, nie mogąc się jeszcze opamiętać ze strachu.

— Powiedźcież nam kochany Piotrze Afanasjewiczu — ciągnął Władysław dalej — jakbyście to urządzili, gdybyśmy się na przykład zgodzili na waszą propozycję. —

Sybirak podniósł błędny wzrok na Władysława i patrzył nań przez chwilę z niewymowną melancholją. Potem rzekł smutno:

— Co mówić Karolu Karolowiczu?... nie nam biednym zawodzić z wami spółkę. Wy śnać przywykli mieć do czynienia z wielkimi tylko panami.

— Przecież powiedźcie!... może się to na co przyda... kto wie!

— Ech! gdybyście zechcieli raczyli wasze błahorodie!...

— Nazywajcie mnie, jak dawniej Karolem Karolowiczem — przerwał Władysław.

— Wasza wola, Karolu Karolowiczu... ja wiem teraz kogo mam przed sobą!

— Raczcie wypić naliwki! wy tak mało pijecie... — dorzuciła gospodyni, przymilając się Władysławowi, który tym razem powodował się jej wezwaniu.

Sybirak nowej nabrał otuchy. Wychylił i on czarnekę wódki i nalał Olesiovi.

— Nie dziwcie się Karolu Karolowiczu — prawil on — że mi przyszła taka myśl do głowy. Ile jest tu w okolicy bogatych ludzi, wszyscy z bogactwami się pisaniem, wszyscy bez wyjątku. Dla czegoż, myśleliśmy sobie z żoną, i my nie mogliśmy pójść w górę w ten sposób. Od roku wypatrujemy już majstrów, lecz jakoś ich teraz mniej przechodzi tędy, jak dawniej. Wreszcie Bóg was zdarzył... Rzecz ta w naszych stronach wcale nie jest niebezpieczną. Płochu nawet pisane banknoty można zbyć z łatwością u Kirgizów, którzy się na tem nie nie znają. Najprawdziwszego banknotu Kirgiz nie weźmie, jeżeli trochę podarty; daj mu zaś fałszywy, choć trochę podobny do prawdziwego, weźmie, byle mu szeleścił w rękę i nowy był. I nie ma obawy, aby to wyszło kiedykolwiek na jaw. Te pieniądze bowiem krążą tylko między nimi, póki się nie zedra do szczętu. Zwykle zakupuje się u nich konie i barany bardzo tanio i sprzedaje potem z wielkim zarobkiem na barabińskim stepie, w Omsku lub Tomsku... Rachunek pewny, jak widzicie i prosty...

— Tak, prosty i pewny — odparł Władysław — lecz jakże wyście chcieli z nami na przykład tę rzecz urządzić?

— Czterdzieści wiorst stąd mam na stepie izbuszkę, nową, z oknami i piecem. Tam byłibyście bezpiecznie...

— Gdzieżby ci oni pojechali do izbuszki... gdzie? — wtrąciła Sybiraczka — im potrzeba pielegnowania, dobrej

strawy, czystej bielizny, pięknego posłania... Oni nie pierwsi lepsi... sami sobie jeść gotować nie będą... Nie lepiej oddać im świetlicę tu w domu, gdzie i łóżko wygodne z nową pościelą i widno, jak się patrzy, i przysługa być może jak należy?... Paszporta mają, drogi obecnie nie do przebycia, przez wiosnowkę mogliby więc zostać bez najmniejszego podejrzenia...

— Macie słusność, mateczko... o izbuszce mowy być nie może — rzekł Władysław — ale i świetlica nie byłaby dogodnym dla majstra pomieszczeniem... mógłby ktokolwiek przez okno zobaczyć. Zresztą żaden majster — majster rozumie się prawdziwy, rzetelny, co robi pieniądze nie dla Kirgizów, lecz takie, które przyjmie rządowy nawet kassjer — nie zgodzi się za nic w świecie mieszkać i pracować we wsi, w której takie wieści krążą, jak w tutejszej... A jakżeż rzeczy stoją z farbami, z papierem?... macie wy to wszystko?

— Skądże nam mieć? — odpowiedział Sybirak — myślałem, że się to znajdzie u was, Karolu Karolowicz... papier, na którym dziś pisaliście, tak cienki...

— Widzicie Piotrze Afanasjewiczu, gdybym nawet był majstrem, z wami nie chciałbym mieć spółki... wy za młody, niedoświadczony... Jakż majster wozi z sobą farby, papier?... Czy ten, który pracował dla waszego sąsiada miał je z sobą?

— Jeździli kupować do Omska — wtrąciła Sybiraczka.

— Gdybym był majstrem, miał farby i papier i co do tego potrzeba, a co nie mało kosztuje, nie potrzebowałbym przecież z nikim wchodzić w spółkę... sam sobie narobiłbym i pewnie nie gorzej od was potrafiłbym je zmieniać.

Sybirak smutno opuścił głowę na piersi.

— Wam Piotrze Afanasjewiczu trzeba przybrać współników z sąsiedniej naprzykład wioski — prawil dalej Władysław — majstra u nich umieścić, wspólnie z nimi kosztą ponosić... wtedy i tylko wtedy rzecz mogłaby się urządzić.

Nastąpiła chwila milczenia. Sybiraczka pierwsza przerwała ją.

— Nazar Trofimicz z Reszetówki! — rzekła, zwracając się do męża.

— Możliwy — odparł tenże — gdybym wiedział pewnie, że Karol Karolowicz zechce.

— Kto on jest, ten Nazar? — zapytał Władysław.

— Mój wój rodzony... trudni się sprzedażą drobiazgów... tegi człowiek!

— Daleko do Reszetówki?

— Wiorst dwadzieścia.

— Więc przed rankiem można tu być z powrotem?

— Bez natężenia nawet.

— Więc posłuchajcie Piotrze Afanasjewiczu, oto ostatnie moje słowo — mówił Władysław. — Mieszkanie musimy mieć wygodne, światłe, nie od ulicy; w domu, jeżeli można na ustroni położonym. We wiosce nikt, prócz spółników, nie powinien wiedzieć o naszym przybyciu. Konia i sanki sprzedacie mi tak, abym na nich ani kopiejki nie stracił; muszę dostać za nie 20 rubli; sama uprząż warta pięć... Usługa i jedzenie dla nas obydwóch winne być jak się patrzy. Wódki nie pijamy, za to powinniśmy mieć dobry tyton. Wszystkiego, co potrzeba do roboty, wy dostarczycie. Że robota będzie dobra, o tem wiele słów tracić nie myślę. Odpowiedź musimy mieć jutro rano. —

Sybirak popatrzył na żonę; ta jaśniała radością.

— Cóż tu myśleć długo? — rzekła — siodłaj konia i jedź natychmiast. Trofimicz z pewnością w domu... przed świtem wrócisz!

— Tak!... nie ma co zwlekać, gdy Bóg przysłał tak znacznych ludzi... wiecznie się za was modlić do Boga będziemy... — prawil Sybirak, poczem wstał od stołu, nalał wódki do czarki, wychylił, podał Władysławowi i Olesiovi i wyszedł do stajni. Po chwili wrócił, aby się ubrać.

— Jedźcież z Bogiem... ale tak, aby was we wsi nie widziano — ostrzegał Władysław.

— Stepem pomknę! — odparł ochoczo gospodarz.

W parę minut później można go było widzieć prowadzącego konia do wody niby, poczem znikł w cieniach nocy, co nad stepem rozesała już była płaszczyzna swój czarny.

*

Władysław nie wątpił ani chwili, że gospodarz przywiezie przychylną odpowiedź. Nie masz Sybiraka-Moskala, któryby nie przyjął z radością podobnej propozycji, oburącz nie chwycił nastroczającej się sposobności. I chęć zbgacenia się za pomocą fałszywych banknotów jest tak powszechną w tym kraju, że śmiało powiedzieć można, iż żywi ją każdy niemal mieszkaniec, nie posiadający majątku. Rzekłbyś, choroba, której zarodki unoszą się w powietrzu i która nakształt grypu dotyka od razu tysiące ludzi. Można też iść o zakład, że jak Sybir szeroki, nie znajdziesz bogacza-wieśniaka, o którymby między samymi najbliższymi jego sąsiadami i krewniakami nie krążyły pogłoski, że fałszywymi pieniędzmi wzniośł podwaliny swego dobrobytu.

Pragnienie to, które często przybiera wszelkie cechy namiętności, podsycane bywa z rozmaitych stron. Umożliwia je najprzód ciemnota ludu, która z jednej strony nadzwyczaj ułatwia przemianę fałszywych pieniędzy, z drugiej zaś temu, co

je mienia, nie pozwala wznieść się do pojęcia tej ekonomicznej prawdy, iż zubożenie się jednych kosztem drugich jest główną ubóstwa wszystkich przyczyną. Bezkarność, mająca swe źródło w niemocy praw, bezsilnych tak z powodu przekupstwa urzędników, jak w ogóle wadliwego ustroju społecznego, jest drugą tego potwornego objawu przyczyną. Do tych dwóch, samych przez się dość potężnych czynników dodać wypada jeszcze trzeci najpotężniejszy, t. j. wielką łatwość zaopatrzania się w podrabiane znaki pieniężne.

Jedynymi źdźbłami wszelkich w tym rodzaju w Syberji popełnianych fałszerstw bywają tak zwani brodiagi, włóczęgi, którzy zbiegłszy z więzień w każdej porze roku snują się tysiącami po kraju. Do rzemiosła tego przygotowują się oni zwykle w więzieniach, które są prawdziwymi wszechnicami dla moskiewskich zbrodniarzy. Większa ich część to dopiero uczy się czytać i pisać od zdolniejszych towarzyszy w tym jedynie celu, aby kiedyś mogli trudnić się majsterstwem. I z taką zwykle pilnością i wytrwałością oddają się nauce, że po kilku nieraz miesiącach wcale dobrze igiełką na miedzi wyrzynają rządowe pieczęcie i piórem na listowym papierze wykonują tak dokładnie banknoty, że wieśniakowi trudno je rozróżnić od prawdziwych. Niektóre też więzienia w Rosji i w Syberji można nazwać istnemi mennicami. W latach sześćdziesiątych słynęła pod tym względem przed innemi permska tiumna. Było w niej wtedy około dziesięciu majstrów, którzy, skoro tylko po wieczornej powierce zamknięto kaźnie, zasiadali przy łójwce do rysowania dziesięciu-rublowek i nad rankiem je zwykle wykańczali. Kilka piórek wronich, tusz i karmin służyły im za narzędzie. Wykończony banknot smarowali łożem i kładli go pod nogę w bucie, by się tam zabrudził i nabrał powierzchowność takiego, który przez wiele rąk przechodził. Mówiono, że jeden z urzędników więzienia skupował te fałszowane pieniądze po rublu za sztukę, sprzedawał je potem pewnemu permskiemu kupcowi po trzy ruble, ten zaś wydawał je jako prawdziwe za zboże, skóry, łój i t. p. w oddalonych gubernji zakątkach.

Owoż wyuczony zbrodniarz taki, skoro przybędzie na miejsce przeznaczenia w Syberji, ucieka przy pierwszej zdarzonej sposobności i stara się w podróży wyszukać Sybiraka, któremu by mógł ofiarować swoje usługi. Oczywiście, długo nie szuka nigdy. W domu lub na stepie w izbuszce przepędza u takiego gospodarza kilka lub kilkanaście miesięcy na robocie, rokoszując przytem jak sybaryta. Względem bowiem, któremi Sybiracy otaczają majstrów, równają się, ba przechodzą nawet one, których, jak to widzieliśmy, nie szczegdzą najomszczykom. Z swojej znów strony majstrowie wcale nie lepiej obchodzą się z nimi od najomszczyków. Bywają

oni istnymi dla nich tyranami. Takiemu robotnikowi chlebowodawca nie śmie niczego odmówić, nawet własnej nie poszczędzi mu córki, własnej żony; i wszystkie te ofiary składa on bez wstępu, bez szemrania na ołtarzu żądzy przedniego i łatwego zubożenia się. Zwykle cała rodzina bywa zajęta usługami dla majstra, który musi być dobrze karmiony, obficie pojony i ubierany po niedzielnemu. Sam gospodarz zaś dalekie nieraz i kosztowne odbywa podróże dla zakupienia farb, papieru i innych do fałszowania potrzebnych przyrządów. Im zdolniejszy majster, t. j. im większą o swoich zdolnościach umiał gospodarzowi wpoić opinię, tem bardziej mu dogadzają, uprzedzając wszelkie jego kaprysy. We więzieniach nasłuchać się można najdziwniejszych pod tym względem opowieści. Jednego majstra np. nosiły dwie córki gospodarza co sobotę na pierzynie do łaźni...

Dość często jednak spółka włóczęgów z Sybirakami ku fałszowaniu banknotów wychodzi pierwszym na złe. Z obawy bowiem, aby majster, ukończywszy robotę i odprawiwszy się na dalszą włóczęgę, nie zdradził, jak to nie raz się zdarzało, byłego chlebowawcy, kiedy się dostanie do więzienia — los, który spotyka z małemi wyjątkami prędzej lub później wszystkich włóczęgów — Sybirak zabija go, lub upoiwszy pali wraz z izbuszką, w której przebywał: «chroni konce do wody», jak się w tych i tym podobnych wypadkach wyrażają moskale. W więzieniach i w Syberji krąży pełno wieści o tego rodzaju zabójstwach. Doświadczeni też majstrowie bronią się takich zamachów rozmaicie. To starają się wciągnąć do spółki kilku gospodarzy, którzy kontrolując się wzajemnie czuwają także pośrednio nad ich bezpieczeństwem, to nie oddają prędzej nafabrykowanych pieniędzy gospodarzowi, jak w dniu, w którym opuszczają dom jego lub izbuszkę.

Nasi znajomi dobrze jeszcze spali, kiedy gospodarz wrócił z nocnej wyprawy. Przywiózł oczywiście przychylną odpowiedź. Krewny jego przystawał na wszystkie warunki i w ciągu dnia bieżącego przyrzekł porobić wszelkie przygotowania do przyjęcia zbiegów. Umówiono się, że Władysław i Oleś przybędą za dnia do wioski, zajądą do postojalohu dwora i objawią chęć pozbycia swego okwipażu, aby dalszą podróż mogli odbywać na koniach najętych. Podstawiony kupiec, zapłaciwszy im żadaną sumę, zgodzi się w dodatku odwieść ich do najbliższej stacji. Odprawiwszy się zaś z nimi w dzień w obliczu wszystkich, wróci w nocy pokryjomo i zawiezie ich do gospodarza, u którego mają mieszkać.

Z wielkim trudem po zupełnie zepsutej drodze dotarli zbiegowie dnia tego do Rieszetowej. Na noc stanęli w umó-

wionym poprzednio domu zajezdnym. Tu przypadkiem niby znajdował się handlarz drobiazgami, który skoro usłyszał o zamiarze podróży sprzedania konia i sanek, oświadczył się z gotowością ukazania im kupca. Oleś i Władysław udali się z nim bezzwłocznie.

W świetlicy domu, do którego weszli, było zebranych kilku Sybiraków, bliskich handlarza krewnych. Wszyscy mieli należeć do spółki. Powierzchność ich świadczyła dowodnie, że należą do zamożniejszych wioski mieszkańców; dom też, w którym się zebrali na naradę, był jednym z przestronniejszych i piękniejszych na tej ulicy.

Po zwykłych ceremonjach przywitania, Władysław, spozostregłszy że powierzchownością swoją, która nie pozwalała się w nim domyślać zwykłego włóczęgę, jakiego Sybiracy prawdopodobnie ujrzyć się spodziewali, zafrapował do tego stopnia zebranie, że rozpoczęcie rozmowy stawało się trudnem, przystąpił wprost do rzeczy, zapytując handlarza, czy Piotr Afanasjewicz objaśnił go, w jakim tu przybyli celu.

— Właśnie dla tego zebraliśmy się tu, wasze pocztienje, aby się z wami rozmówić i ułożyć — odparł tenże — zgadzamy się na wszystko, i prosilibyśmy was tylko, abyście nam raczyli dokładniej opowiedzieć, jak się do dzieła wziąć zamysłacie.

— Z góry wam muszę oświadczyć — prawil Władysław, zwracając mowę do całego grona — że ja i towarzyszy mój nie należymy do rzędy tych majstrów, jakich przywyklicie widzieć. Myśmy nie brodiagi ani zbiegi; mamy prawdziwe paszporta, możemy mieszkać gdzie nam się podoba. Owóż nie myślimy się bynajmniej narażać na niebezpieczeństwo dostania się w ręce władzy, coby bardzo łatwo mogło nastąpić, jeżelibyśmy robili takie pieniądze, jakich wam zwykle dostarczają tutejsi majstrowie. O pisanych więc banknotach mowy być nie może. Co od nas wyjdzie, musi być takie, żebyście je mogli rozmienniać choćby i w rządowej kasie.

Handlarz tryumfującym wzrokiem spojrział na zebranie, którego żaden członek dotąd ani słowa przemówić nie śmiał.

— Rozumi się samo przez się, że do robienia takich pieniędzy trzeba rozmaitych przyrządów, farb jak najlepszych i jedwabnego umyślnie do tego przyrządzonego papieru. Z sobą my tego nie wozimy, lecz wiemy gdzie można dostać.

— Czy drogo to będzie kosztować, wasze pocztienje Karolu Karolowiczu? — zapytał nieśmiało jeden z Sybiraków.

Władysław podniósł głowę do góry, jakby w myślach rachował, potem wyjął z kieszeni książeczkę do notatek, po-

kreślił na niej kilka pozycji, zsumował je, pomyślał jeszcze chwilę, dodał jeszcze coś i rzekł:

— Trzydzieści pigię rubli z kopiejkami, nie rachując oczywiście drogi do Omska. —

Oblicza Sybiraków poweselały po tem oświadczeniu Władysława, jak po jakiej bardzo przyjemnej niespodziance.

— Nie warto mówić o tem! — zawołał handlarz — drobnostka... dostarczymy. Skoro tylko droga się ustali, sam mogę pojechać do Omska i przywieźć wszystko wedle waszego rozporządzenia.

— Wam samym kupiec tego nie wyda — rzekł Władysław — takich rzeczy, widzicie, nieznanym się nie sprzedaje. Mógłby was wziąć za donosiciela i oddać do twrny. Innej rady nie ma, prócz tej, że my z wami pojechać musimy. —

Ta okoliczność widocznie nie przypadała zebrany do gustu.

— Innej rady, powtarzam, nie ma! — mówił Władysław, widząc niezadowolenie Sybiraków. — Wybierzcie kogośkolwiek z pośrodku siebie; ten nas obydwóch zawiezie do Omska; stamtąd wrócimy, kupiwszy co potrzeba. Powrotu naszego możecie być pewni; nie mamy przecież przyczyny was oszukiwać... tak nasza w tem korzystać, jak wasza... pieniędzy zaś od was nie potrzebujemy żadnych.

— Nie chodzi tu o pieniądze, wasze pocztienje — odparł gospodarz domu. — My się lękamy, abyście opuścili nas, z innymi nie weszli w spółkę. My widzimy, jakich ludzi nam Bóg zesłał, nie chcielibyśmy się z nimi rozstać...

— Skoro się z nami będziecie obchodzić uczciwie i szlachetnie, nie będziemy mieli powodu zrywać stosunku. Nam wszystko jedno, komu robić będziemy... byleśmy wyszli przytem na swoje. Od was więc zależy utrzymać nas przy sobie. Zaś bez naszego wyjazdu do Omska pracy rozpocząć niepodobna.

— Ja poradzę, jak zrobić najlepiej! — ozwał się starzec, ojciec jednego z Sybiraków, który zdala od innych przy piecu był zajął miejsce. — Was dwóch jest przecież; jeden niech jedzie, drugi niech przy nas zostanie.

— My się nigdy nie rozłączamy! — odparł sucho Władysław.

— Ja, wasze pocztienje, mówię tak, bo wiele w życiu swoim widziałem... — prawil starzec dalej. — Wy mnie przebaczone, lecz wam opowiem, co się lat temu trzydzieści w naszej tu wiosce stało. Przybył oto do mego sąsiada — już nie żyje, niech z Bogiem spoczywa — majster także z Rosji skądś; człowiek zdawał się poważny, mądry, pisarz, jakich mało. Obiecował także pieniądze, które będzie można

mieniać w kasie, i także wieść się kazał po farby i papier do Omska. Rzecz działa się zimową porą. Przez trzy dni przed odjazdem hulał na nasz koszt, jak najomsczyk; prostej wódki nie pił, tylko nalewki. Dawaliśmy, bo człowiek zdawał się być umiętny. Na drogę ubraliśmy go, jak pana; koszula czerwona, spodnie mianszestrowe, buty kongurskie; poddiewka sukienna. Ja dałem futro nowiusienkie suknem kryte. Sanie poduszkami wysłaliśmy, bo na słomie nie chciał siedzieć. Mówił nam zawsze, że jest rodu wysokiego, że był urzędnikiem przy carskiej mennicy w Petersburgu. Sąsiad mój powoził go do miasta, mając przy sobie około sto rubli na farby i papier. Przyjeżdżają tedy przed sklep, który majster ów wskazał. Sąsiad mój dał mu pulares z pieniędzmi i poszedł z nim do sklepu. Tam on sobie kazał podać jedwabne chustki, wybrał jedną, zapłacił i wyszedł. Sąsiad już ci za nim... pyta, czemu farb nie kazał podać? — Jakie farby? — odpowiada majster. — Wy sami wiecie, jakie... przecież przyjechalibyśmy tu, by je kupić... — Farby? — mówi znowu majster, jakby o niczem nie wiedział — może na fałszywe banknoty? za takie sprawki, bracie, sadzają do tiumny! chcesz tam pójść? — Mój sąsiad struchlał. — Od-dajcież — mówi — przynajmniej pieniądze! Ale gdzie tam... tyle ich widział... Jeszcze mu dać poduszkę musiał z sań, bo ciągle się odgrażał, że go do policji zaprowadzi... I tak my wtedy na tego majstra około dwieście rubli stracili, a fałszywego banknota nie widzieli.

— Jeżeli tak — rzekł na to Władysław, powstając z siedzenia — więc my tu nie mamy co robić... Pójdziem Dmytrze! — dodał do Olesia i ku drzwiom się zwrócił.

Sybiracy zerwali się z ławek.

— Co wam? co wam? wasze pocztienie! za co zagniewaliście się? przebaczcie na Boga!

— Ja się nie gniewam — odparł Władysław — lecz nie chcę mieć nic do czynienia z ludźmi, którzy mi nie do-wierzają.

— Przebaczcie na Boga! rzecz się ułoży... zostańcie!

— Ja wam innych znajdę! — szepnął handlarz podchodząc do Władysława.

— Jakież wy ojcze znaleźli podobieństwo między nami a tamtym majstrem? — pytał Władysław, zwracając się do starca, który się z miejsca nie ruszył. — Czyż my się do was napraszali? czy żądamy od was czego naprzód? Wódki my nie pijemy, hulać nie zamierzamy, odzienia chwała Bogu mamy swego dość... a na one trzydzieści pięć rubli mój ojcze ja nie mam żadnej ochoty. . w tym oto pularesie jest może pięć razy tyle... jedź ty z nami do Omska, sam będziesz płacił; lub też ja ze swoich zapłacę, a ty mi zwrócisz...

— On tak Karolu Karolowiczu, z głupoty... stary widzicie... nie wie co mówi!

— Przebaczcie dla Chrystusa! — odezwał się starzec, pokłoniwszy się do nóg Władysławowi — istotnie z głupoty mówiłem... nie zważajcie! słabą mam już głowę. —

Żona gospodarza wniosła samowar. Władysław i Olesiusiedli znowu na swoje miejsca.

— Mówilem wam z początku, że my nie to, co drudzy — zaczął znowu pierwszy — skoro nam wierzyć lekacie się, lepiej sprawy nie zaczynać. Czy zgoda na to, że obydwaj do Omska pojedziem, skoro drogi się ustalą?

— Zgoda, zgoda! Karolu Karolowiczu... teraz proszę was, napijcie się herbaty! — przemówił gospodarz.

Po załatwieniu najważniejszego tego punktu, reszta nie przedstawiała żadnych trudności. Władysław jał potem zadawać ciekawość Sybiraków opisami sposobów, jakich myśli użyć do fabrykacji. Powtarzać ich tu nie będziemy, dodamy tylko, że jako nowe, nigdy nie słychane, a główna, nie prawie nie kosztujące, zachwycały one Sybiraków. Przysunął się także i staruszek do stołu, słuchał z uwagą i przypominał sobie w końcu, że przed laty dwudziestu pięciu, jeden dobry majster w takiż sam sposób wyrabiał w sąsiedniej wsi tak doskonale pieniądze, że je odwożono do kasy za podatki i kasjer ich poznać nie mógł... Ale, dodał, wszystko to wiele, wiele prawdziwych pieniędzy kosztowało. Samej wódki majster ów przez rok całą beczkę wypił. Papier robił on także sam. Trzy dni bez ustanku gotował w kotle kawałki jedwabnych i wełnianych materji, i drugie trzy dni kłócić potem kazał płyn w umyślnie do tego sporządzonem naczyniu. Kłócenie nie mogło ani na chwilę ustawać; wszyscy też, co byli w domu, musieli pomagać... a wiele to razy mu się zepsuło! —

Staruszek rozgałał się potem na piękne. Ile było wsi na okrąg, o każdej wiedział jakąś historję; w każdej bowiem za jego już pamięci po kilku przebywało majstrów. Byli i tacy, co nie banknoty, lecz srebrne robili pieniądze. Jeden z nich, zebrawszy kilku gospodarzy do spółki, namówił ich do skradzenia z własnej cerkwi dzwonów, które miały służyć za materiał do fałszywych dziesięciokopiejkowych monet. Przywieziono mu je też rzeczywiście do oddalonej na stepie izbuszki pewnej ciemnej nocy, i potłuczono na drobne kawałki. Nad rankiem Sybiracy wrócili do wsi zostawiwszy konia i wóz na stepie, aby nie wzbudzić podejrzeń. Kiedy zaś po kilku dniach wrócili do izbuszki, nie zastali w niej ani majstra, ani konia, ani wozu, ni dzwonów...

Nazajutrz w nocy Oles i Władysław znajdowali się już w domu, w którym mieli przepędzić wiosnowkę. Oddano im

do rozporządzenia świetlice, z której był tajemny wychód do stodoły i na step, tak, że w razie niebezpieczeństwa mogli się łatwo ratować ucieczką do pobliskich krzaków. Wychód ten podziemny urządził gospodarz, budując dom; wtedy już bowiem, jak mówił, nosił się z myślą pomieszczenia w świetlicy majstra... Zapewniał także, że urządzone w tym samym celu kryjówki znajdują się, w tej okolicy przynajmniej, w bardzo wielu domach zamożniejszych gospodarzy. Ponieważ mieszkańcy tej wsi nie palili tytoniu, Władysław musiał, ilekroć chciał palić fajkę, wychodzić onym podziemnym przesmykiem do stodoły, która zresztą była pustą. Inaczej odwiedzający gospodarza sąsiedzi mogliby byli łatwo zwąchać woń dymu tytoniowego w domu i powziąć podejrzenie.

Przez całe dwa tygodnie szło wszystko jak z płatką. Handlarz obchodził wszystkie domy we wsi, podsłuchiwał, badał, pytał, nikt najmniejszego nie miał o pobycie zbiegów podejrzenia. Wypoczywali też oni z całą swobodą, jaką nadaje bezpieczeństwo, po trudach tak ogromnej podróży, podczas której nigdy dłużej nad jedną noc nie zatrzymywali się na jednym i tym samym miejscu. Spólnicy byli z nich nadzwyczaj zadowoleni; prócz porządnej strawy nie musieli im bowiem niczego dostarczać. «O tak mało wymagających majstrach, jak wy, w naszych okolicach nigdy nie słyszano. Istnie Bóg nam was zesłał!» mawiali każdym razem, kiedy późnym wieczorem schodzili się na pogawędkę.

— Wiesz Władku — rzekł raz Oleś po takiej wieczornicy — mam trochę niespokojne sumienie, że my tych głupich, w gruncie rzeczy jednak poczciwych ludzi, okpiwamy i objadamy...

— Nie są oni ani tak głupi, ani tak poczciwi, jak ci się zdaje... wszystko to robią, aby się nam przypodobać... Oczywiście, i ja nie z upodobania gram tę komedję, lecz można było inaczej?

— Nie o komedję tu chodzi... bez niej bylibyśmy już może we więzieniu... za tyle względem nas dobroci wypadałoby jednak pokazać im przynajmniej, że myślimy na serio zadość uczynić ich pragnieniom.

— Alboż ich w tem nie upewniam każdym razem?

— Słowami...

— Jakżeż mogę inaczej?

— Mógłbyś im kazać robić jakie przygotowania; deszczulki np. na suszenie niby papieru pokrajać i wyheblować. Jabym znów narobił rączki niby do ryłców, poosadzał w nich i wyostrzył igły... widzieliby przecież, że nie darmujemy... Zważ prztem — prawil Oleś dalej — że tym sposobem daleko gładziej wyjdziemy z całej sprawy. Masz przecież zamiar po upływie wiosnówki, kiedy pora będzie jechać, po-

kazać się niby niechący na ulicy, co nas zmusi do wyjścia z kryjówki.

— Nie inaczej — odparł Władysław. — Wytlumaczę im, że aby rzecz naprawić, trzeba nam samym jechać do Omska. Odkupimy naszego konia, sprzedadzą nam tanio wózek i pojedziem z Bogiem. Nie wielka bieda, że potem będą czekać daremnie naszego powrotu. Na odjazd zaś przystaną chętnie, bo przysięgnę im kupić narzędzia za własne pieniądze.

— Zgódź się jednak, że łatwiej ich namówisz, aby nas samych puszcili, jeżeli będą widzieć, że dzieło niby już zaczęte. —

Rada Olesia była wcale rozsądną, Władysław też postąpił według niej i przekonał się ile to Sybirakom dodało otuchy. Robota kipiała w ich rękach. Zamiast pięćdziesięciu, jak im powiedziano, we dwa dni sto deszczulek przygotowali... Tak przeszedł trzeci tydzień. Zdaje się jednak, że podczas niego uspokojony bezpieczeństwem Władysław, nie zachował zwykłych ostrożności przy paleniu fajki, albowiem handlarz doniósł mu w niedzielę, że dziewczyna sąsiada rozpowiadała rodzicom, iż w domu, w którym ukrywali się zbiegowie, uderzył ją podczas odwiedzin zapach tytoniu. Dodała nadto, że świetlica zawsze zamknięta... że w tem wszystkim coś niezwykłego być musi. Wieczorem tegoż samego dnia już zdarzenie to opowiadano w trzech czy czterech domach.

Oczywiście ani chwili nie było do stracenia. Na ogólnej radzie spółników postanowiono zbiegów odwieść do sąsiedniej o czterdzieści wiorst oddalonej wioski; Władysław bowiem żadną miarą nie chciał się zgodzić na wyjazd do izbuszki. Postanowienie wykonano tejże nocy pod przewodnictwem handlarza, który wyprzedziwszy zbiegów o dwie godziny, przed ich przybyciem jeszcze zdołał uformować nową spółkę, do której wszedł i pisarz urzędu gminnego... Tu bezpieczeństwo było absolutne. Zbiegowie zamieszkali u brata pisarza w osobnej, dla majstra umyślnie przeznaczonych komnacie na strychu. Nawet w razie odkrycia pisarz był by ich pokrył swoją powagą. Trzy tygodnie też, które tu przepędzili, przeszły im daleko weselej i swobodniej, jak w pierwszej kryjówce.

Tymczasem wiosna po długiej i mozolnej walce pokonała zupełnie zimę. Rzeki zaczęły bystro opadać, step się zazielenił, brzozy liśćmi się pokryły; nadszły zórawie i gęsie; powietrze zaś przepelnione było tą wonią, co to piersi tak rokosznie zwykła rozszerzać. Władysław nie mógł wytrzymać w ciasnej izdebce. Pewnej gwiazdzistej nocy wyłaził on z Olesiem przez okno na dach i długo, długo obaj lubowali się widokiem melancholijnego w półcieniu jasnej nocy spowitego stepu i gwiazdami, przeglądającymi

się w szybie jeziora, nad którym wioska leżała. Za tydzień mieli opuścić te miejsca. Władysław, zjednawszy zaufanie pisarza, potrafił go przekonać, że najlepiej będzie, jeżeli swoim ekwipażem sami pojadą do Omska i wrócą stamtąd, porobiwszy sprawunki. Spółka tem chętniej na to przystała, ile że żaden z jej członków nie potrzebował się przytem narażać na niebezpieczeństwo, które jest zawsze połączone z takiego rodzaju zakupnami, zaś za konia i wózek Władysław zostawiał w ich rękę całą wartość pieniężną. Nadto miał narzędzia z swojej opłacić kieszeni i z powrotem dopiero należność za nie odebrać. Taką niesłychaną bezinteresowność zbiegów byłaby niezawodnie wzniciła podejrzliwość Sybiraków, gdyby Władysław nie był im zarazem wykazał, iż podejmuje się roboty zarówno na swoją jak i na ich korzyść. Trzecia część bowiem dochodu miała wedle umowy przypaść na zbiegów.

Oleś był szczególnie rad z tego obrotu sprawy; względy Sybiraków, ich zabiegi około dogadzania zbiegom we wszystkim, szacunek którym ich otaczali, ujęły go do tego stopnia, iż nie chciał żadną miarą podać im przyczyny do podejrzeń, iż postępowano z nimi nieuczciwie. Daremnie silił się Władysław przekonać go, iż moralna wartość uczynku nic a nic na tem nie zyska.

— Tu nie chodzi o to — odpowiadał — ich namiętność prędkiego zbgacenia się była dla nas zbawieniem. Wyleczyć ich z niej nie w naszej sile. Jeżeli ich zaś zostawimy w przekonaniu, żeśmy wedle ich wyobrażeń uczciwi ludzie, to nie oddadzą się po nas tak prędko w ręce pierwszemu lepszemu włóczędze i szukać będą majstrów, którzy by nam byli podobni. Zaś na takich długo będą musieli czekać... Chciałbym oto nasz postępek, który wyjątkowem tylko położeniem naszym i okolicznościami da się wytłumaczyć, w taki przynajmniej naprawić sposób. Skoro od Polaków wrócimy do Omska, musisz nawet napisać list do pisarza; wytłumaczysz mu w nim niemożebność naszego powrotu...

Wspomniane odwiedziny we włości Polaków, od której oddzielało zbiegów tylko kilkadziesiąt wiorst, i dokąd zwrócić mieli z połowy drogi do pierwszej po omskiej drodze stacji, i tym razem nie miały przyjsć do skutku. Noc owa bowiem, przepędzona z Olesiem na dachu fatalną była dla Władysława. Miejsca, w których przebywali, były błotniste, niezdrowe. Zanadto długo poddał się on wtedy działaniu jadu Malarji, którym powietrze przepełnione bywa na wiosnę w tych stronach; zachorował więc na ciężką febrę, która go zaczęła napadać co drugi dzień, i po kilku paroksyzmach tak osłabiła, że o dalszej podróży ani mowy być mogło. Sybiracy z podziwienia godną pieczołowitością chodzili teraz koło

niego i wszelkich używali środków, aby mu zdrowie przywrócić. Wyprawiali oni najrozmaitsze gusła, szeptali różnorodne nad nim modlitwy, poili go ziołami, które zbierali o północy, w lesie, o pięćdziesiąt wiorst oddalonym i dokazali wreszcie tego, że po trzech tygodniach febra jawiała się już tylko co cztery dni. Oczywiście, byłoby to prawdopodobnie nastąpiło i bez ich leków.

Wreszcie nabrał Władysław tyle sił, iż czuł, że będzie mógł przenieść niedogodności podróży. Zaczął więc naglić do niej, mniemając, że majowe powietrze orzeźwi go i wyleczy zupełnie. Wyszli też zbiegowie z kryjówki i tegoż samego dnia byli już w posiadaniu konia i wóska. Z sprzedaży zimowego odzienia przybyło im trochę pieniędzy, tak, że śmiało mogli się puścić w drogę, którą bez straty czasu na Omsk do Tary skierować postanowili. Sybiracy na trzy dni zapatrzyli ich w żywność i czule ich pożegnali w nadziei, iż wkrótce ich znowu powitają.

Rachuba Władysława nie ziściła się jednak; powietrze i step nie wyleczyły go wcale. Nocy chłodne musieli przepeścić pod gołym niebem, wsi bowiem nie było na kilkadziesiąt wiorst w okół czasem, to zaś nie przyczyniało się bynajmniej do osłabienia febrzy; owszem wzmocniło ją tylko. Po tygodniu nie mógł się już utrzymać na nogach. Mimo to naglił Olesia do posuwania się naprzód, obiecując mu dłuższy wypoczynek w Tarze. W Omsku nawet nie zatrzymał się zbiegowie ani chwili, wiedząc zresztą, że u Polaków tu przebywających, bez narażenia ich, dłuższego nie mogliby znaleźć przytulku.

Zapytają może czytelnicy, jak sobie radzili zbiegowie podczas tej podróży, aby nie zbłądzić w stronach, gdzie nie było ani bitej drogi, ani drogowskazów i kędy wiodła tylko drożyna polna, łącząca oddalone wioski między sobą? Na to odpowiedź łatwa. Sybiracy podróżują często; każdy z nich zna jak najdokładniej swój powiat przynajmniej. Powiat zaś sybirski równa się prawie zawsze przestrzeni całej prowincji europejskiej. Owoż każdy z nich mógł z jak największymi szczegółami objaśnić zbiegów co do kierunku podróży, i czynił to zwykle z taką jasnością, iż omylić się nie było podobna. Oto niektóre z takich objaśnień. «Do takiej a takiej włości trzymajcie się zawsze prawej ręki...» albo «dwa razy zwróćcie na prawo, raz na lewo i dojdziecie do takiej a takiej wsi...» albo «jedźcie prosto, prawe i lewe drożyny omijając...» i t. p. Rozumi się samo przez się, że w obec takich objaśnień nie podobna było zbłądzić w kraju, który posiada tak mało krzyżujących się dróg komunikacyjnych, i gdzie takowe po większej części ciągną się wzdłuż brzegów rzek. —

*

Kilkanaście dni upłynęło, odkąd znajomi nasi puścili się w drogę ku zachodowi przez gołe stepy nad Omem i Irtyszem. Niemoc w nogach i rękach wzmogła się u Władysława. Niemoc tego stopnia, że stał się niezdolnym do najmniejszego ruchu. Febra opuściła go wprawdzie po kąpieli w jakimś słonem jeziorze i po sporej porcji świeżego mleka, ale osłabienie całego ustroju przybierało z każdym dniem coraz bardziej zastraszające rozmiary. Władz umysłowych nie przestał dotąd ani na chwilę używać. Kierował jak przedtem podróżą, oznaczał noclegi i udzielał w wątpliwych wypadkach rad towarzyszowi; lecz czuł zarazem, jak siły fizyczne z każdym dniem słabiały i przewidywał, że może nadejść chwila, w której pogmatwa się i pojęcie. Ulżyć temu oplakanemu stanowi nie było podobnem w obecnej chwili. Lekarza, gdyby takowy i był pod ręką, z łatwych do pojęcia przyczyn zbiegowie radzić się nie mogli, a zupełny brak wygód na tu i owdzie tylko zaludnionym stepie, nieodpowiednie pożywienie, jakoteż przejmujące chłodem i wilgotne nocy letnie, które pod gołem trzeba było przepędzać niebem, raczej wzmocnić słabość mogły, jak ulgę jej przynieść. Zostawała jedynie nadzieja, że przyroda Władysława wytrzyma przesilenie, i jej też wszystko poruczyć wypadało wśród takich okoliczności.

Wszakże ten stan niepewny niecierpliwił słabego. Bolał on jeszcze i nadtem, że właśnie kiedyby mógł swobodnie rokoszować w bujnej i letniej przyrodzie sybirskiej i używać wszelkich przyjemności, których tam lato dostarczyć jest w stanie, musiał stękać i kawęczeć, leżąc jak drewna kawał, to na ziemi przy ogniu podczas noclegu, to na wosku śród skwaru i spiekoty podczas jazdy. Nieprzyjemne te uczucia, które słabość zresztą każda za sobą pociąga, podziały także i na humor jego. Stał się zrzędnym, zgryźliwym, przykrym. Oleś, który z całą sumiennością pełnił przy nim obowiązki siostry miłosierdzia, który karmił go jak dziecko, umywał, zdejmował z telegi i na nią wsadzał, ciężkie miał nieraz chwile do przeniesienia. Błaha na pozór przyczyna stawała się bardzo często powodem do gorzkich wyrzutów czynionych mu przez Władysława. Były one tem bolesniejsze, że niezaskłuzone. Wszystko znosił jednak z rzadką cierpliwością i podziwienią godną wyrozumiałością, nie ustając ani chwili w pielegnowaniu towarzysza i w dogadzaniu wszelkim jego zachciankom. Uprzedzał takowe nawet. I było coś prawdziwie wzniosłego w tem ciąglem zapieraniu się siebie podczas zachodów Oleśia około słabego, który go w przystępie złego humoru dziesięćkroć na dzień obrażał. Ale swoboda myśli i wesołość, które przedtem niejedną ciężką umilały zbiegom chwilę, uleciały i z jego czoła. Pytanie, co będzie robić sam

na nieznanym stepie, kiedy towarzysz bardziej zasłabnie, jak wybrnie z Sybiru i Moskwy, gdy go zupełnie nie stanie, nasuwało mu się coraz częściej i zasepiało czarnemi chmurami troski i tak dość ciemną przyszłość. Trzeba było nadzwyczaj silnego charakteru i wiele energii, by nie uledez rozpacz w tak trudnych okolicznościach. Szczęściem wytrwały Litwin posiadał oboje, czerpiąc je, kiedy zapas się zmniejszał, w gorącej modlitwie.

Przeprawa przez Irtysz odbyła się bez trudności. Paszport, którego zażądano od zbiegów we wsi leżącej nad rzeką, został uznany za legalny. Ale wilgotne powietrze na wodzie, gdzie strawiono kilka godzin czasu, tak niekorzystnie podziało na stan zdrowia Władysława, że i mówić już nie mógł. Osłabł zupełnie, nogi i ręce pokureczyły się bardziej, usta, jakby od paralizu, przekrzywiły się na jedną stronę, wzrok zmartwiał. Po opuszczeniu promu Oleś czem prędzej starał się oddalić od rzeki, by uprowadzić słabego od złego wpływu wilgoci. Niekuta telega skakała po grudzie i kamieniach drogi, ale z piersi Władysława żadna już skarga się nie dobywała. Śnać i ból przestał już uczuwać. Cichym, z trudnością wygłoszonym szeptem objaśnił tylko Oleśia, że o kilka wiorst dalej prowadzi z głównego gościńca na prawo drożyna, na którą zwrócić powinien. Na pytanie jak się czuje, nie dał żadnej odpowiedzi. Dopiero gdy słońce przygrzało nieco, podnosząc się na sklepieniu, zaczął wolniej odychać i życia w oczach nabierać. Brak zupełny sił trwał jednak ciągle. Gdy stan takowy i po kilkugodzinnej nie polepszył się podróży, wypadało się domyślać, że chwila przesilenia słabości nadejdzie niebawem. Z trwogą nie do opisanania wyglądał jej Oleś. Władysław czuł także jej przybliżenie, pragnął go nawet, lecz dziwnie przy tem był jakoś spokojnym. Nawet niezadowolenie, które od kilku tygodni malowało się ciągle na wynędzniałej twarzy, znikło obecnie, ustępując miejsca łagodniejszemu wyrazowi potulnego poddania się cierpieniom. Tej zmiany umysłowej dostrzegł wnet Oleś, który pilnie śledził za każdym objawem na licu towarzysza.

— Czy lepiej ci Władziu? — zapytał, puściwszy konia stepem i krocząc pieszo obok woska.

— O tyle, że czuję bliższe przechylenie się wagi na tę lub ową stronę — odrzekł słabym głosem Władysław.

Nastąpiła przykra dla Oleśia chwila milczenia. Rozważał on nieraz już możebność śmierci towarzysza i miał czas oswoić się z myślą osamotnienia; jednak teraz, kiedy stanowcza godzina zdawała się być niedaleką, prawdopodobieństwo katastrofy zastraszało go, jak gdyby ta zaskoczyła go miała niespodzianie. Smutne przypuszczenia cisnęły się rojem w skołatany umysł i przekształcały się w wyobraźni na rząd

ponurych obrazów, co stanowiły jakby orszak pogrzebowy świętych niegdyś nadziei oswobodzenia i powrotu do rodzinnej ziemi. Żal za towarzyszem, z którym tyle przeniósł, i którego całem sercem kochał, tak jak to się zwykle kocha towarzysza niedoli, cisnął mu łzy do ocz; zaś przeczucie bliskiego uwięzienia, sądu, kajdan i min nerczyńskich budziło wątplenie i rozpacz. Uchwycił ręką drążek od drabinki wozu i kroczył ze spuszczoną na piersi głową w milczeniu i smutku, jak gdyby do grobu już odprowadzał zwłoki Władysława.

Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej na bezchmurnem sklepieniu. Upał stawał się coraz nieznosienszym i groził jednym z tych skwarnych południ sybirskich, podczas którego ziemia i powietrze zdają się ogniem buchać. Jak nieprzejrzane pogorzelisko wyglądał cały nie ruchomy krajobraz, a lekka mgła unosiła się nad nim, jak dym niedawnego pożaru. Brakowało tylko piasku pod nogami, i porównanie z puszczą afrykańską byłoby dozwolone. Konik spotniał jak mysz i zwracał coraz częściej głowę ku Olesowi, jak gdyby mu chciał rozumnym swoim wzrokiem przypomnieć, że czas już wypocząć.

— Nie widzisz w pobliżu jakiej chatki? — szepnął Władysław tak cicho, że Oleś musiał nachylić się ku niemu i jeszcze raz zapytać, czego sobie życzy.

— Gorzej ci pewnie? — odrzekł, oglądając się do koła.

— Telegę strasznie trzęsie... oddechu brak mi często... trzeba nam się koniecznie zatrzymać...

— Tam na krańcu lasu stoi porządna jakaś chatka. Dymu nie widać... musi być pustą; tylko czy nie za blisko drogi to będzie?

— Zwróć do niej, Olku; ta okolica nie jest ożywioną. Czuję, że dalej nie mógłbym jechać. Może po wypoczynku polepszy mi się trochę. —

Westchnął Oleś, jakby nie dowierzał ostatnim towarzysza słowom; ujął lejce i zwrócił do upatrzonego miejsca. W pół godziny potem stanął zbiegowie przed zagrodą polnej chatki, która rzeczywiście stała pustką. Pierwsze roboty w polu były już ukończone, więc sybiracy wrócili do wsi ze stepów, czekając sianokosów i żniw, by znowu na nie na czas jakiś wyjechać. Uwiązawszy konia do płotu, Oleś udał się do wnętrza i wrócił po dobrej dopiero chwili. Zdjął potem Władysława z wozu i wniósł go do chatki, gdzie łoże już było przygotowane.

— Nie mogliśmy wybrać lepszego miejsca na dłuższy odpoczynek — rzekł on, kładąc towarzysza na siano, które nagromadził był w kacie. — Mamy i wodę blisko, i drzewa jest dość narąbanego i pasza dla konia wyborna na około. Byłe tylko Sybiracy nas odwiedzić nie zechcieli...

— Postaw telegę tak, aby jej z drogi nie było widać... konia odpędź daleko... potem możesz być pewny, że nikt tu nie zaglądnie, choćby i przejeżdżał tędy.

— Myślałem już nad tem — odrzekł Oleś i pośpieszył na dwór.

Przez cały czas, kiedy krzątał się po za chatką i wróciwszy naniecił ognia w kominie, aby dla słabego herbatę, dla siebie trochę kartofli uwarzyć, Władysław leżał bez ruchu, niekiedy tylko głęboko wzdychając. Tak był osłabionym, że ledwie mógł połknąć kilka łyżek napoju, który mu towarzysz podał. Ręką dał znać, że ma dosyć i zapadł na nowo w dawną nieruchomość. Nie trudno pojąć, co się działo w umyśle Olesia na widok cierpień towarzysza. Usiadł na progu niskiej i ciemnej chatki, wlepił wzrok w dogorywający ogień i w ponurem dumaniu pograżony ani myślał o jedzeniu, które na miseczce dawno już było wystygło. Gasnące jedna po drugiej iskry, tak mu żywo przypominały coraz bardziej ulatniające się zdrowie Władysława, że czekał tylko, póki i tegoż władze umysłowe nie zabłysną żywiej na chwilę, przed zupełnem zgaśnięciem. Upłynęła może godzina czasu na takiej dumce. Na dworze upał coraz się zwiększał; z lasu wyciągnęły roje komarów, owa po upale najstraszniejsza w lecie plaga sybirska. Poczul ich wnet Oleś w przedśionku po brzęczeniu i bojąc się, by nie wleciały do wnętrza chatki rzucił na ognisko garść pruchna. Dym stąd powstały napelnił wnet nie wielką przestrzeń izby i trzymał zdala nieproszonych gości. Jest to jedyny sposób, w jaki się od nich uchronić można. Wziął potem gałuskę brzoową i usiadłszy u głowy słabego, zaczął opędzać go od owadów, które mimo dymu pojedynczo z przedśionku niekiedy zalatywały.

— Dziękuję ci — rzekł po chwili Władysław bardzo słabym głosem, starając się zwrócić wzrok na towarzysza. — Sucho mi w gardle... chciałbym pomówić z tobą, drogi Olku. Daj mi wody i zwróć mnie twarzą do siebie. —

Słowa te były wymówione urywkowo i z wielkiem wytężeniem, które mimo skrzywienia uwydatniało się na bardziej jak zwykle zarumienionem licu. Ostatnia ta okoliczność przepowiadała gorączkę, w rozumieniu Olesia rostrzygającą. Chęć pomówienia przypominała mu gasnące iskry i tak mu się w owej chwili żal zrobiło towarzysza, że od łoża nie mógł się wstrzymać. Nie uszły one uwagi Władysława, gdy Oleś wody mu podawał i obracał go na drugą stronę.

— Usiądź jak najbliższej i nachyl się trochę ku mnie... Daj mi także twą rękę. —

Oleś uczynił zadość tym żądaniom, drugą ręką zaś ocierał łzy obficie z ocz płynące.

— Ty płaczesz?... — zapytał Władysław.

— Czyż nie mam czego, patrząc na ciebie? Powiedz że mi, jak się czujesz teraz...

— Złe, bardzo złe... dla tego chciałem pomówić z tobą. Przesilenie nadchodzi... kto wie czy stanie mi sił do przezwyciężenia. —

Łkanie Olesia zmusiło Władysława umilknąć na chwilę.

— Przesłań Olku — ciągnął potem dalej — twój smutek i mnie zaraża, a chciałbym być jak najspokojniejszym w tej chwili. Jesteśmy ludźmi, co przeszli nie mało na świecie i którym szczęście rzadko się kiedy uśmiechało... mnie przynajmniej... Czegoż więc żałować życia? Nie warto tego... Muszę, drogi mój, dać ci teraz radę, jak się masz zachować, gdyby umarł... znam lepiej od ciebie te kraje... Nie przerywaj, proszę cię... mówię na przypadek, gdyby mnie śmierć zaścigła; jeśli to nie nastąpi, tem lepiej; rada ci moja nie zaszkodzi pewnie. Wiesz sam, jak mocno Sybiracy lekają się ciała martwego z powodu śledztwa, które wykrycie takowego zawsze za sobą pociąga. Powinieneś więc ukryć mnie po śmierci jak najostrożniej. O jakimś pogrzebie, który by może twój umysł pobożny nakazywał, ani się waz myśleć. W pierwszej wiosce, gdziebyś chciał go wyprawić, aresztowano by cię niezawodnie. Najlepiej zrobisz, gdy wywieziesz mnie stąd nocą na bagna, które tu wzdłuż Irtysza się ciągną. Zanieś daleko — po kępach możesz stąpać bezpiecznie — tam zaś złóż w jak najgęstszym szuwarze. Rzeczy wszystkie ściągnij ze mnie — zdadzą ci się w drodze... przytem nagiego trupa owady prędkiej zjedzą jak odzianego. Mówię ci to, by cię uchronić od pogoni, którąby na wszystkie strony rozesłano, gdyby odkryto martwe ciało nieznanego. Teraz lato, roboty w polu bliskie, więc zasiedateli poruszyli by wszystkie wioski okoliczne, niby dla odszukania przestępcy, w rzeczy zaś, aby od chłopów więcej wyciągnąć pieniędzy. Pojmiesz, że podczas takiej gorączki łatwo by cię mogli przytrzymać. Jeśli byś przydybał gdzie na bagnie jezioro, wrzuć mnie doń. W takiej wodzie trupy nie wypływają na wierzch, lecz gniją na dnie. Pamiętaj Olku, że tu o ciebie chodzi; mnie po śmierci niczem już nie pomożesz, zaś im lepiej ukryć zdołasz, tem bezpieczniejszy sam będziesz. Jeżeli bym wiedział, że usłuchasz mej rady i wykonać ją potrafisz, radziłbym ci spalić ciało moje tak, żeby się tylko popioły zostały, lecz przy twojem miłym sercu nie podobna od ciebie tego wymagać... Rzeczy ukryj dobrze we worku i nie pokazuj ich nigdzie po wsiach. Sybiracy podejrzliwi są, jak sam to wiesz dobrze, mogliby się więc przyczepić do ciebie, skąd je masz. Sprzedaj je dopiero w Tarze i to nie sam, lecz za pośrednictwem którego z naszych. Niech

ci tam także napiszą paszport świeży, bo temu, który masz teraz, termin skończy się niebawem. A staraj się do Tary dojechać jak najprędzej, szczególnie z tych tu miejsc oddal się jak najrychlej. Nie zapomnij, gdy się ułatwisz, odwiedzić Teodozego... to pocziwy moskal. Pożegnasz go odemnie i opowiesz mu, co się ze mną stało. Stamtąd do Kurganu droga ci wiadoma... trzymaj się tej samej, którąśmy już raz jechali. Nasi cię dalej wyprawiają na Czelabę i złotoustowskie huty. Najlepiej zrobisz, jeżeli się będziesz trzymał naszego planu: przez Woroneż, Puławę i Kijów do Poczajowa i Galicji. —

Tu Władysław zatrzymał się, jakby odpocząć pragnął po tak długim przemówieniu. Wprawdzie mówił on z przestankami po każdym prawie zdaniu i nadzwyczaj cicho, lecz i tego już było dosyć, aby uczuł wielkie znużenie. Oles z uwagą łowił każde słówko, ścisnął niekiedy rękę Władysława, którą trzymał w swej dłoni i odwracał się na bok od czasu do czasu, aby pozwolić niedostrzeżenie spłynąć łzom po zarośniętem obliczu. Nie przerwał jednak milczenia żadną uwagą, kiedy Władysław przestał mówić, tak jakby spodziewał się jeszcze coś posłyszec od niego.

Testament zbiega rzeczywiście nie był skończony. Po kilku minutach odpoczynku westchnął on głęboko, i tak znowu zaczął:

— W Kurganie odwiedź Marię... oddaj jej pierścionek, co mam na palcu i fotografię, którą znajdziesz w pularesie. Między bielizną jest gdzieś batystowa chustka. Dała mi ona ją po ślubie, do którego ją zmuszono. Była mokra od łez jeszcze. Są w pularesie i dwa listy jej. Wszystko oddaj i powiedz, żeby zapomniała o mnie i starała się być szczęśliwą z mężem... Jedyna to istota na świecie, która mi czyni śmierć trochę ciężką... Ty zaś Olku mój drogi daruj, com przewinił przeciw tobie podczas słabości... strasznie byłem cierpiący, stąd i zgryźliwy... Pocałuj mnie w dowód, że nie pamiętasz uraz... Szczerze, szczerze pragnąłem cię wprowadzić z Sybiru; będziesz musiał prawdopodobnie sam się przebić teraz. —

Oles z głosem, nietajonem już łkaniem rzucił się na szyję Władysława i uwiśł długo na jego ustach.

— Nie, nie! to być nie może — zawołał — ty przetrwasz przesilenie, nie umrzesz!

— Jeśli to jednak nastąpi, przyrzecz mi że uczynisz wszystko, jak ci radziłem.

— Przyrzekam — odparł Oles tak cicho, jakby mu z trudem było wymawiać to słowo.

— Kiedy powrócisz do kraju, pocałuj tam ziemię rodziną i za mnie... Ach, jakże ja od lat kilku tęskniłem

do niej... straszne, straszne chwile przeżywałem nie raz w więzieniu... Obróć mnie, proszę cię, do ściany, w głowie mi coraz bardziej gorąco i światło mnie razi. —

Uczyniwszy zadość prośbie towarzysza, Oleś nie odstąpił od łóża. Widać było, że chciał coś mówić, tylko brakowało mu odwagi. Po chwili wreszcie zdobył się na nią.

— Władziu! — rzekł, nachylając się nad słabym — pozwól, abym ci jedną jeszcze rzecz przypomniał.

— Mów, czy zapomniałem o czym?

— Tak, zapomniałeś drogi Władziu... zapomniałeś o Bogu. —

Władysław milczał i lekkim poruszeniem ręki zdradził niezadowolenie z tego zwrotu rozmowy.

Kiedy przeczuwasz zgon — prawil Oleś dalej błagalnym głosem — wypada ci przecież pojednać się z tym, przed którego sądem masz stanąć. Tyś mało pamiętał o nim za życia! Nie widziałem cię nigdy modlącego się. To był grzech, wielki grzech Władziu! —

Władysław milczał ciągle.

Gdybyś się udał do niego szczerze, może by się ulitował jeszcze nad tobą; możeby nie dopuścił, byś marnie zginął na stepie sybirskim... Posłuchaj mnie Władziu, zaklinam cię na wszystko, jam nieraz doświadczał łask jego wielkich... Patrz, oto różaniec, poświęcony kilkakrotnie przed obrazem najświętszej Panny Ostrobramskiej. Mam go od dziadka w puściznie, zawieszę ci go na szyję i pomodłę się w raz z tobą. Jeśli mi co dobrego życzysz, jeśli ojczyznę kochasz, posłuchasz mnie... —

Obróć mnie do siebie! — przemówił w końcu słaby.

Oleś uczynił to. Twarz Władysława była mocno już zaczerwienioną, oczy błyszczały chorobliwym blaskiem, usta były prawie sine, oddech częsty i ciężki.

— Wody! pali mnie w piersiach. —

Zimny napój, który Oleś łyżką podawać był zmuszony, ulżył widocznie cierpieniom na chwilę.

— Żeby ci dowieść, że tobie dobrze życzę i ojczyznę kocham... kocham nad wszystko... pozwalam, uczyn jak pragnąłeś — mówił Władysław drżącym, lecz daleko mocniejszym jak dawniej głosem. Śnać gorączka podnieciła w nim trochę siły. Oleś z widocznym zadowoleniem powiesił na szyi słabego kokosowy długi różaniec z wielkim srebrnym medaljonem, przedstawiającym Matkę Boską Ostrobramską z jednej, a Chrystusa upadającego pod krzyżem, jaki jest w Wilnie na Knipiskach, z drugiej strony.

— Teraz pomodlisz się ze mną, nie prawda? — zapytał błagająco.

— Ty wierzysz w Boga? — była odpowiedź Władysława

tak dźwięcznie i głośno wyrzeczona, że Oleś uszom swoim nie dowierzał.

— Wierzę, mocno wierzę!

— Jesteś przekonany że jest sprawiedliwy i mnie sądzić będzie?

— Tak!

— A więc, kiedy przyjdę przed jego trybunał, tak mu powiem: panie! znasz całe moje życie, wiesz, że jeślim błędził, to nie ze złego serca, nie jako zbrodniarz i podły. Niczyje, nieczyje nieszczęście nie ciąży na mojem sumieniu! Nie wierzyłem w ciebie, bom Polak, a przychodzę tu ze stepów sybirskich, gdzie tysiące moich braci podobnie jak ja gina!... Czy myślisz Olku, że potępi, jeśli sprawiedliwy?

— Władziu! przestań na Zbawiciela! ty bluźnisz w ostatniej godzinie!

— Nie potępi, nie potępi, mówię ci... inaczej musiałby być carem...

— To okropność — wołał Oleś, łamiąc ręce. Ukłękł potem przy łożu, łzwaw oczy wznosił w górę, ręce złożył do modlitwy i wyrzekł, jak gdyby chciał, żeby słowa jego niebiosą przebiły:

— Panie Wszechmogący, Zbawicielu i Matko najświętsza ulitujcie się nad nim! on nie wie co mówi...

— Słuchaj! — ciągnął słaby już w widocznej gorączce — tam brzęczą kajdany... jęk, płacz się rozlega, tętnią w minach o skałę żelazne drągi, chłost knuta nad robotnikami chochoce... i car się śmieje pijany... a Bóg milczy... nie potępi, nie potępi nie wierzącego weń! —

Oleś płakał i szeptał modlitwy. Jeszcze raz słaby otworzył powieki, z pod których błyskała suchym ogniem źrenica i głosem coraz słabiejącym wyrzekł:

— Bądźcie przeklęci... despoci... tyrany, co dla głupiej żądzy świata panowania narodom wkładacie na ręce kajdany, i... — reszty już nie było słyhać, usta się tylko poruszały.

Oleś położył rękę na sercu towarzysza i pilnie się przysłuchiwał jego tętnom, które były, jak by je kto pędził. Całe ciało było jak w ogniu. Powieki się zwarły, ze spiekłych ust buchał żar gorączki. Twarz jednak mimo skrzywienia miała wyraz spokojny; ni rozpacz, ni nadziei rysy jej nie zdradzały. Owszem sarkazm, co został jakby przykuty doń po wyrzeczeniu słów ostatnich, nadawał jej znamię uporu i zuchwałości. I gdyby śmierć była teraz nastąpiła, a lice z owym wyrazem zastygło, nie można by było powiedzieć, że ten człowiek umarł na łożu boleści, tak byłby był podobnym do poległych w boju.

Długo klęczał Oleś u boku konającego, jak myślał, to-

warzysza i lada chwila spodziewał się usłyszeć ostatnie jego westchnienie. Pewność to była straszna dla niego, więc łyzy nie przestawały płynąć. Od rozpacz i zupełnego zwątpienia broniła go jednak modlitwa, do której często tego popołudnia się uciekał. Dobra godzina upłynęła już, odkąd Władysław mówić przestał, a stan słabości jeszcze ani na tę, ani na ową stronę się nie przychylił. Gorączka nie wzmagała się wprawdzie, lecz i nie ustawała. Przyłożywszy rękę do czoła słabego, Oleś uczył, że było bardzo gorącem. Błysnęła mu więc myśl, czy nie możnaby ulżyć cierpieniom za pomocą zimnych okładów. I bał się to uczynić, i czuł znowu jakby wyraźny pociąg do tego. Przeżegnał się tedy i pobiegł z naczyniem po świeżą wodę. Za trzeciem czy czwartem przyłożeniem chustki zmoczonej z piersi Władysława dobyło się przeciągle ach! które Olesiovi wydało się jakby znak ulżenia. Z niewysłowioną radością w sercu, z nadzieją odżyta w piersiach jał pocziwy Litwin nie tylko czoło, ale i piersi zimną wodą okładać, i mógł po kilku godzinach zauważyć, że i oddech stał się regularniejszy i serce nie tak mocno biło.

Na dworze dawno już spiekota ustała, słońce utonęło w drzewach lasu, co na widokregu czerniało, a Oleś zawsze jeszcze krzątał się koło słabego. Dopiero późno w noc, gdy wszystko kazało się domyslać, że niebezpieczeństwo minęło, rzucił się obok słabego na gołą ziemię i zasnął snem twardym po dniu tak ciężkim i strasznym.

Spali jeszcze obaj zbiegowie, gdy przed chatkę zajechał Sybirak. Był to właściciel kurzenia. Złazłszy z wozu, udał się wprost do przedsionka i wyciągnął z pod słomianej strzechy uzdeczkę na konia, którą tu podczas robot w polu zostawił. Widać, że dla tej tylko przyczyny do izbuszki wstąpił, chciał się bowiem natychmiast oddalić. Przypadkiem wzrok jego padł na wpółotwarte drzwi chatki. Głowa Olesia sięgała do progu, tak że ją z przedsionka widzieć było można. Sybirak rozwarł tedy drzwi i nachyliwszy się trochę do wnętrza, patrzył przez chwilę zdziwiony na śpiących. Skrzyp drzwi obudził Władysława, a wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Sybiraka.

— Kto wy tacy? zapytał ostatni. —

— Posieleny — odrzekł zbieg, w którego obliczu od wczoraj wielka już zaszła zmiana na lepsze. Czuł się pokrzepiony i daleko silniejszy jak wczoraj; skrzywienie twarzy zmniejszyło się znacznie, chorobliwy ogień oczu przybrał blask łagodniejszy.

W tej chwili obudził się i Oleś, a ujrzawszy nad głową brodą twarz Sybiraka, zerwał się na równe nogi.

— Co? zląkłeś się bracie? — zapytał ostatni, wchodząc do wnętrza.

Oleś jednak już się był opamiętał; stan zdrowia zresztą towarzysza, o którego polepszeniu się przekonał go jeden rzut oka, tak go ucieszył, że lekceważył niebezpieczeństwo, które wyniknąć mogło z niespodziewanych odwiedzin wieśniaka.

— Trochę! — odrzekł z uśmiechem — wydało mi się, że chcecie stąpić mi na głowę. Jesteście pewnie gospodarzem tej chatki?

— Tak... a wy kto tacy?

— Posieleny z niedalekiej wioski... towarzysz zanie-mógł bardzo, wiozę go do Tary do szpitala.

— Na czym wieziesz?

— Czy nie widzieliście telegi, co stoi za chatką? I koń także gdzieś musi być blisko na stepie... chciałem wczoraj dojechać do wsi, ale towarzysz mocno był słaby... musieliśmy tutaj zanocować; teraz, jak widzę odpoczął dobrze.

Sybirak jeszcze raz badawczo spojrzął na zbiegów, nie dopatrzawszy jednak nic podejrzanego w ich osobach, zmiękł i ze współczuciem prawie zapytał.

— Cóż mu takiego?

— Febra, bracie, zamęczyła mnie do śmierci — wtrącił Władysław słabym głosem. — Ręce i nogi mi odjęło, tak że ruszyć ich nie mogę.

— Dawno już tak chory jesteś?

— Od pięciu tygodni — odpowiedział Oleś.

— Ty nie do szpitala powinienbyś go odwieść, lecz do znachora jakiego — począł Sybirak, zwracając się do Olesia. — Co dochtór wie? każe sobie tylko zapłacić, pomódz zaś nie pomoże... Wiorst dwadzieścia stąd po drodze do Tary mieszka sławny na całą okolicę znachor, Trofim Piotrowicz... zna go każdy... on wszelką chorobę potrafi odmówić i nie wiele sobie za to każe płacić... Do niego to powinienbyś zajechać po drodze; zobaczysz, i do Tary jechać nie będzie potrzeba.

— Trofim Piotrowicz, mówicie... dwadzieścia wiorst stąd... dobrze, wstąpimy! — odpowiedział Oleś.

— Co dochtór wie? oni tylko na to, aby z naszego brata łupić pieniądze — dorzucił Sybirak. — A czy nie umrze on ci w drodze? — zapytał po chwili.

— Bóg uchroni... nie jestże przecież niebezpiecznie słabym... febra!

— Ty bracie patrz! inaczej od sądowi śledztwa nie opędzisz się... zaś jeżeli tu w chatce nie daj Boże skończy, i mnie się z twojej przyczyny dostanie.

— Pojedziem natychmiast... towarzysz, jak sami widzi-

cie wypoczął należycie... nie potrzebujecie się tedy niczego obawiać.

— Tak bardzo znowu śpieszyć się nie masz czego... nie wyganiam was; zostańcie z Bogiem do wieczora... wszak my ludzie chrzczeni. Mówię to tylko, bo wiesz, nie łatwiejszego, jak w biedę popaść... nasz zasiedateliśny faraon, skórę by z nas ściągnął, jeżeliby mógł... Cóż mu pić dajesz? — zapytał w końcu, zwracając się do drzwi.

— Wodę... kwas nam wyszedł.

— Mnie tam żona dała coś na drogę... jadę do Omska... chodź, dam ci trochę dla słabego. Woda tutejsza nie zdrowa dla niego.

— Dziękuję wam! — rzekł Władysław do odchodzącego gospodarza. Wyszedł za nim i Oleś z saganem z brzozowej kory i wrócił niebawem z wielkim pirogiem sybirskim i czarą pełną kwasu, który z wody i pieczonego chleba wyrabiają.

Można sobie wyobrazić uciechę pocziwego Litwina z poplepszenia się zdrowia Władysława, którego po powrocie tyśnięciem pytań osypał. Nadzieje obydwóch odżyły, dawna wesołość pojawiła się znowu na obliczach. Kiedy po południu w dalszą ruszyli podróż, cała przyroda zdawała się do nich uśmiechać, tak lekko, rokosznie im było po przebytem, jak mniemali, niebezpieczeństwie.

*

Czytelnikom znane już miasteczko Tara z jednego dawniejszego ustępu niniejszego opowiadania. W kilka dni po opisanych w izbuszce zdarzeniach znajomi nasi zbliżali się doń tą samą drogą, którą przed pół rokiem z górą wyjechali zeń byli do Omska. Była może czwarta godzina rano. Słońce, które świeciło już od półtorej godziny na bezchmurnem sklepieniu — lecz z powodu, że się unosiło w ukośnym kierunku, nie było jeszcze zbyt odstało od widnokręgu — nie mogło ocieplić powietrza na tyle, aby chłód minionej nocy dobrze się czuć nie dawał. Promienie jego stają się tu ciepłymi dopiero około szóstej godziny. Władysław drżał też na wozie, choć go Oleś owinął był we wszystko odzienie, jakie posiadał w zapasie.

Trzy dni powolnej jazdy przy nieustającej pogodzie, wśród stepów przyodzianych nadzwyczaj bujną roślinnością, podziały tak dobrze na niego, że nie podlegało wątpliwości, iż z ciężkiej choroby przeszedł w stan rekonwalescencji. Wyraz oczu i oblicza, opromienionego tą smętną wewnętrzną radością, którą każdy przychodzący do zdrowia uczuwa, zdradzał to dostatecznie. Poweselał też znacznie i Oleś. Szedł przy wozie, odmawiając ranne modlitwy, których nigdy nie

opuszczał i tak lekkim się czuł, jakby mu z bark spadł był ciężar stofuntowy.

Zbiegowie umyślnie tak się urządzili, aby przybyć jak najraniej pod miasto, i dzień cały poświęcić załatwieniu interesów, które ich były tu sprowadziły. A nie małej to dla nich wagi były sprawy. Wypadało dostać cokolwiek pieniędzy na dalszą podróż i odnowić paszport, którego termin był na schyłku, i których Władysław dla zupełnego braku władzy w rękach napisać nie mógł.

Mieliśmy już sposobność nadmienić, że w obec niebezpieczeństw, na które swoboda naszych podróżnych zawsze i wszędzie była narażoną i których wymijanie bezustannej z ich strony wymagało ostrożności, każdy nocleg, każda zmiana kierunku drogi, każde dłuższe zatrzymanie się na jakimem miejscu, stawały się przyczyną długich i wszechstronnych narad, w których zdanie Władysława przemagało najczęście. Nie inaczej było i tym razem. A choć już dnia poprzedniego cały plan postępowania został ułożonym ze wszystkimi szczegółami, Władysław skierował nań znowu rozmowę, skoro tylko ujrzał, że Oleś schował różaniec do kieszeni i przeżegnał się raz ostatni.

— Nie uwierzysz Olesiu — mówił — jakbym ja rad był, gdybyśmy Tarę mieli po za sobą!

— Alboż wydaje ci się niebezpieczną? — zapytał Oleś.

— Nie więcej od innych miasteczek... niebezpieczeństwo dla nas wszędzie jednakie... coś mi jednak jakby szeptem, że byłoby dziś mniejszem, jeżelibyśmy stanęli po tamtej stronie miasta...

— W pobliżu Tary zatrzymać się musimy koniecznie, czy zaś uczynimy to po tej, czy po tamtej stronie, rzeczy nie a nic nie zmieni. Sam przecież mówiłeś wczoraj, że prędzej zwrócilibyśmy na siebie uwagę budników, jeżelibyśmy o tak rannej porze przejeżdżali przez miasto. I ja się zupełnie zgadzam z tobą. Po południu, da Bóg doczekać, będziemy to mogli uczynić bez najmniejszej obawy. Konik odetchnie i przemknie kłusem po ulicach... może i ty nabierzesz tyle siły, że będziesz mógł siedzieć na wozie... Nikt przeto nie zwróci na nas uwagi. —

Władysław zamilkł, lecz dla tego tylko, aby jeszcze raz rozważyć, czy nie opuszczono, coby bezpieczeństwo pewniejszem uczynić mogło. Taka troskliwość nie miała nic dziwnego w sobie; była ona naturalnym wynikiem położenia zbiegów. Wolność posiadała dla nich obecnie wartość nie równie większą, jak kilka dni temu; szczególnie zaś dla Władysława, który czuł, że każdy dzień zbliża go do zdrowia, i że za dni kilkanaście najdalej będzie jej mógł użyć należycie. Niczego też nie opuszczał z uwagi, co mu to używanie

zapewnić mogło. Zresztą, terazniejsza ich podróż miała cel stale wytknięty i każdy krok uczyniony naprzód zbliżał ich do ojezyny, do której wzdychali jak do końca wszystkich trudów i mozołów. Nie też dziwnego, powtarzamy, że z taką drobiazgową troskliwością starali się uniknąć wszystkiego, coby, wedle ich mniemania, mogło koniec ten oddalić.

— Przynajmniej nie dojeżdżamy do miasta na kilka wiorst — odezwał się Władysław po dobrej chwili namysłu — zatrzymajmy się w krzakach o jakie tysiąc kroków od drogi, tak, żeby wozu z niej widać nie było.

— Oczywiście — odparł Oleś — bądź tylko spokojny!... upatrzymy miejsce, gdzie będziemy zupełnie bezpieczni.

W sieni dali pokazały się kopuły cerkwi. Niebawem też boczna droga, którą zbiegowie jechali, złączyła się z głównym sybirskim traktem, wiodącym z Tobolska przez Tare do Tomsku przez tak zwany barabinski step bezwodny. Słupy tu umieszczone pouczyły zbiegów, że ich dzieli od miasta przestrzeń tylko pięciowiorstowa. Ujechawszy więc dwie i pół wiorsty, Oleś zwrócił konia w lewo na step, na którym w niewielkiem od drogi oddaleniu rosły gęste krzaki brzozone. Za nimi widny był znowu step goły. Udało się je przerznąć z łatwością i wóz na tamtym brzegu tak ustawić, że Władysław, leżąc w cieniu, łatwo mógł widzieć, kędy się obróci koń na paszę puszczony. Jak na szczęście i owadów tu nie było, które w pewnych miejscach pobyt na stepie dla ludzi i zwierząt czynią niemożliwym w lecie.

Oleś jeszcze raz musiał wysłuchać instrukcji, jak się ma zachować w mieście, a przyrzekłszy, że czasu jak najmniej straci i postara się wszystko jak najlepiej ułatwić, udał się szybkim krokiem do Tary. Cztery godziny, które tam strawił na odszukaniu Teodozego Platonowicza, na rozmówieniu się z nim i odwiedzeniu kilku Polaków, wydały się Władysławowi wiecznością; bo też nieznośna jest rzecz czekać, nie mogąc się niczem rozerwać, nie mogąc się ruszyć nawet. Wreszcie dały się słyszeć hopkania, od dwóch jakby pochodzące ludzi. Z głosu Władysław poznał Olesia i przyjaciela Moskala. Choć się spodziewał przybycia tego ostatniego, pewność, że nadchodzi wraz z Olesiem taką go napoiła radością, iż podniósł się z ziemi, i trzymając się wóska wstał na nogi. Było to po raz pierwszy od kilku tygodni. Oleś, który pierwszy pojawił się z krzaków, klasnął w dłonie z radości na widok stojącego towarzysza; świadczyło to bowiem o znacznym polepszeniu się jego oplakanego stanu.

— Tędy, tędy! Teodozy Platonowicz! — zawołał, zwracając się do krzaków i poskoczył do Władysława. — Wszystko idzie doskonale! nad wieczorem będziemy mogli pojechać dalej — rzekł ściskając jego rękę.

— Czemuż tak daleko od miasta stanęliście? — zapytał nadchodzący Teodozy. — No, zmieniłeś się nieboże nie do poznania... — dodał, podając rękę Władysławowi — widać febra nie żartowała...

— Nie sądziłem już, że cię obaczę Teodozy! — odparł Władysław, opuszczając się powoli na ziemię. — Kilka dni temu źle, bardzo źle było ze mną.

— Ale przeszło... to najważniejsza... nie ma o czym mówić teraz... za kilka dni będziesz zdrow zupełnie! Czemużeście tak daleko stanęli od miasta?

— Tu bezpiecznie.

— Nie masz i pod miastem niebezpieczeństwa żadnego... u nas wszystko cicho. O tobie oczywiście zapomnieli już dawno, jak mi pisał Aleksander. Twój towarzysz musi jeszcze raz przyjść do mnie po paszportu, lepiej więc będzie, gdy podjedziecie bliżej.

— Jam już i miejsce upatrzył koło mostu! — dodał Oleś. — Koczuj tam tabor cyganów; na nas nikt nie zwróci uwagi.

— Cóż porabia Aleksander? jak tobie się powodzi?... opowiadaj! — naglił Władysław.

I Teodozy zaczął opowiadać wszystko, co mogło interesować przyjaciela. O Marji ani słowa nie wspominał, choć o jej stosunku do Władysława dobrze wiedział. Ten ostatni zauważył to, lecz nie zaspokoił swej ciekawości żadnym pytaniem. Po półgodzinnej gawędce Teodozy oddalił się, obiecując przybyć wieczorem na tamtą stronę miasta i przeprowadzić zbiegów wiorst kilka. Oleś tymczasem sprowadził konia, zaprzęgił go do wóska i ruszył bliżej ku miastu.

Niestety drogo przepłacili zbiegowie tę niewczesną zmianę miejsca...

Tuż przed miastem, opasując je z jednej strony, wije się w głębokim jarze mała rzeczulka, która wpada do Irtyżu, co płynie o kilka tysięcy kroków dalej. Na tej rzeczulce postawiony most kamienny. Zbiegowie nie minęli go, lecz rozłożyli się taborem w krzakach na pagórku, u którego podnóża obozowali cyganie. Oleś zapalił ogień, zgotował rosół z mięsa, które kupił w mieście, nakarmił Władysława, który sam jeść jeszcze nie mógł i po godzinnym odpoczynku udał się napowrót do miasta dla ostatecznego spraw załatwienia. Władysław schronił się był od spiekoty pod wózek i drzemać zaczynał właśnie, kiedy go przebudził szelest gałęzi. Podniósł oczy do góry i ujrzał przed sobą stojącą młodą cygankę, zaledwie pokrytą łachmanami.

— Dajcie dziesięć kopiejek... powrózę! — rzekła, wyciągając dłoń ku niemu.

— Nie trzeba mi wróżki... ja w żadne wróżby nie

wierzę — odparł Władysław cierpko. — Zresztą jam słaby... odpocząć pragnę... daj mi święty pokój z twojemi gusłami.

— Więc podarujecie mi obołówek... chustkę oto, którą macie na szyi... jam biedna, jałmużny proszę w imię Chrystusa.

— Znalazłaś nieboże bogatego we mnie!... jam biedniejszy może od ciebie, sam przyjąłbym, jeżelibyś mi co dała.

— Miejcie miłosierdzie... dajcie!

— Mówię ci, że nie nie mam... idź z Bogiem, skądś przysła...

— Dajcie chustkę! — nastawała cyganka wcale nie głosem proszących jałmużny, lecz jakby się domagała czegoś, co się jej słusznie należało.

Natarczywość ta rozniewała Władysława. Zwymyślał ją grubemi słowy i oświadczył stanowczo, że nic jej nie da.

— Jeżeli mnie zaś nie zostawisz w pokoju, zacznę krzyczeć tak, że drogą jadący ludzie usłyszą — dodał, chcąc się pozbyć natrętnicy.

Dziewczyna odstępiała, mrózcąc i znikła w krzakach.

Niebawem nadszedł Oleś ułatwiwszy wszystko pomyślnie. Władysław opowiedział mu wypadek z dziewczyną i naglił, aby jechać natychmiast dalej, na co też Oleś zgodził się. Już koń był ubrany, kiedy z za krzaków pojawił się cygan.

— Co wy za ludzie? — zapytał, zwracając się do Olesia.

— Tobie co do tego? — odparł tenże, nie widząc przyczyny wdawania się w długie objaśnienia z cyganem, który najmniej zdawał się mieć prawo do zadawania podróżnym podobnych pytań.

— Mnie gorodniczy tarski polecił mieć baczność na takich, jak wy podróżnych... śnać ludziescie nie dobrzy, kiedy nie chcecie powiedzieć, co wy za jedni.

— Dla czego nie chcemy? My z pewnością mniej przyczyn mamy ukrywać się, jak ty!

— Więc powiedźcie, kto wy tacy... tak was stąd nie puszczę!

— Myśmy posieleńcy... do doktora jeździliśmy.

— Russcy?

— Russcy!

— I paszport macie.

— Mamy!

— Więc paszport fałszywy! wy nie russcy, lecz Polacy! jam was słyszał rozmawiających po polsku... Chodźcież ze mną do gorodniczego! —

Latwo sobie wyobrazić, co się działo w duszy zbiegów. Targować się z cyganem było niebezpiecznie, albowiem poznał by był natychmiast, że mają przyczynę obawiania się, i prawdopodobnie wolałby zaskarbić sobie względy gorodni-

czego, jak wziąć od nich kilka rubli, które mu ofiarować mogli.

— Jeżeli tak chce koniecznie, idźcie z nim Wasylu, zobacz, że się pomylił na nas... — rzekł Władysław, starając się zachować zupełną spokojność. — Przerób go drogą! — szepnął po polsku.

— Chodźcie, chodźcie! — mówił cygan — zobaczymy kto praw. Teraz ja was już nie puszczę! —

Oleś poszedł. Władysław zostawszy sam, opuścił się bezwładnie na ziemię. Żał trudny do opisanego ścisnął mu serce, jak kleszczami. Wszystkie okropności więzienia, sądu, drogi w kajdanach stanęły żywo przed umysłem, i tem straszniejszemu mu się wydawały, im dotykalszszą była rokosz swobody wśród stepu, na którym się znajdował. Tyle trudów, tyle mokołu, wszystkoż, wszystko na nic się przydało?... Znowu więzienie, niewola?... i to wtedy właśnie, kiedy do zdrowia zaczął przychodzić... kiedy czerwiec roztaczał wszystkie bogactwa lata w czarodziejskiej panoramie?... Okropność!...

Słabą miał bardzo nadzieję, że Olesiovi się uda przeprosić cygana; ten ostatni bowiem trwał widocznie w przekonaniu, że wysledziwszy, iż podróżni są Polakami, niezmiernie ważne zrobił odkrycie, za które mu rząd sowiecie wynagrodzi. Bliskiem więc było przypuszczenie, że skoro sprawa dojdzie do gorodniczego, paszporta na nic się nie przydadzą. Prawdopodobnie Oleś ich nawet nie pokaże... Wszakże wiadomo, że w podobnych wypadkach i słaba nadzieja staje się oną desczułką, na której rozbił życie unieść usiłuje. Chwytał się jej i Władysław, a prócz rozpacz, miotła nim i niepewność, zdwajająca męczarnię moralną. Potrzebaż dodawać, że brak sił fizycznych czynił to położenie jeszcze nieznośniejszem? Więcej jak pół godziny trwał ten stan okropny, kiedy w krzakach dały się słyszeć głosy kilku ludzi. Władysław poznał, co to znaczy; skłonił głowę na piersi i szepnął z nieopisanym żalem: Miałoby to być koniec? Sarkastyczny uśmiech zaigrał mu potem na ustach, jakby w upor i naśmieszkę prześladowającemu go losowi, znikł jednak natychmiast, ustępując miejsca zupełnej apatii. Cierpienia ustały, jakby ręką odjął; w piersiach straszna jakaś zapanowała próżnia, jakby tam serca, uczuć, duszy zabrakło. Zdawało mu się, że w nicość pada głęboką, bezmierną, bezbarwną i gdyby mu kto był wtedy powiedział: rusz palcem, inaczej umrzesz! nie byłby poruszył palca, tak mało w onej chwili życie miało dla niego powabu i wartości. Cios był tak silny, że nastąpił po nim letarg umysłu: czczość...

Stanął przed nim kwartalny nadzieratiel z dwoma policjantami; przewodziła im zaś owa cyganka, którą nie-

dawno był złał. Lecz ani widok czerwonego policyjnego kohnierza, ani złośliwie uśmiechająca się twarz cyganki nie zbudziły go z ciężkiego odrętwienia duchowego. Bez oporu, nie rzekłszy słowa, dał się posadzić na wózek, do którego wprzagnięto ubranego już konia. Ruszono: on ani zapytał dokąd. Przez całą drogę leżał jak drewna kawał. W sieni mieszkania gorodniczego spotkał się z Olesiem, który stał między dwoma strażakami z głową spuszczoną, smutny, ponury, zrospaczony. Jemu teraz dopiero przedstawiło się nieszczęście w całej rościągłości. Widok towarzysza z elektryzował trochę umysł Władysława. Na ustach zaigrał znowu on uśmiech sarkastyczny, którym w chwili pojawienia się nadzieratiela bluźnił losowi, zaigrał i został tamże przez przeciąg całej poniżej opisanej sceny.

Wniesiono go do pokoju gorodniczego i posadzono tak na sofie, która stała u drzwi, że plecyma opierał się o ścianę. Gorodniczy siedział w szlafroku i koralikami wyszywanej czapeczce przy biurku, długi cybuch trzymając w ustach. Kragła twarz, kragły brzuszek, kragłe ręce kazały się w nim domyślać człowieka, który posadę swoją uważa za wygodny szeszłag dla odbywania słodkiej po trudach młodości siesty; widać było także z jego powierzchowności, że nie pogniwałby się, gdyby mu tej siesty nigdy nie przerywano. Okoliczność ta wielce uspakajając podziałała na Władysława, był bowiem pewny, że się obędzie tym razem bez onych brutalstw, których urzędnicy moskiewscy dopuszczają się zwykli przy indagacji świeżo złowionych zbiegów. Gorodniczy tarski rzeczywiście nie był ich zdolny; przeszkadzały by mu one bowiem w spokojnem trawieniu, na co narażać się nie miał ochoty. Słyszał też za bardzo pocziwego człowieka tak w mieście jak w więzieniu, o czem zbiegowie nasi oczywiście później się dopiero dowiedzieli.

— Widziałeś towarzysza w sieniach? — zapytał on Władysława, przypatrzwszy mu się z uwagą.

Ten kiwnął głową w odpowiedź.

— Cóż to? czy pysk masz zamknięty?... ty miły mój odpowiadaj, jak należy, kiedy cię pytają!... ja się nie rozumiem na znakach... a zresztą, jakże ich napisać w protokóle.

— Słaby jestem, mój panie! — odparł Władysław.

— Jam także nie zdrows, przecież pytać cię muszę... więc ty nie żartuj mój miły, lecz odpowiadaj! Towarzysza widziałeś w sieniach?

— Widziałem.

— On wszystko powiedział, co wiedział o tobie... kłamać na nie się nie przyda... ja wiem wszystko; więc prawdę mi mówić... igać nie wolno, rozumiesz?... Prawdopodobność prawo uwzględnia... słyszysz?

— Słyszę, mój panie!

— Tyś Polak? — pytał urzędnik dalej.

— Nie, panie! ja Iwan!... tak mnie zawsze dobrzy ludzie zwali.

— Nie pytam o nazwisko... pytam, czyś Polak? rozumiesz?

— Nie rozumiem, Panie... wiem tylko, że mnie Iwanem zwali, odkąd zapamiętam.

— A po ojcu jak się nazywałeś?

— Ja nie mam ojca, mój panie!

— Nie masz ojca?... hm... ale miałeś pewnie?

— Może i miałem, lecz ja o tem nic nie wiem!

— Musiałeś mieć, ośle!... inaczej nie byłbyś na świecie.

Mów, jak się nazywał?

— Nie wiem, panie! nie przypominam!

— Więc tyś Iwan Niepamiętający?

— Tak panie, Iwan Niepamiętający.

— Z której fabryki uciekłeś?

— Nie uciekałem nigdy nikąd, tak sobie chodziłem po bożym świecie...

— A matkę miałeś?

— Przypominam coś, jak przez sen... nazywała się Eudotja... była poddanką... mówili ludzie, że służyła za młodu we dworze...

— Potem?

— Potem poszła ze mną w las i umarła.

— Wieleż masz lat?

— Nie pamiętam, mój panie!

— Skąd jesteś?

— Nigdy mi tego nikt nie powiadał, i ja także nikogo nie pytałem nigdy oto... powiedzieć nie umiem.

— Gdzieżeś przebywał po śmierci matki? Kto ci jeśd dawał?

— Karmili mnie dobrzy ludzie... przebywałem zaś to w lesie, to na stepie... różnie się zdarzało, czasem tu dłużej, czasem tam...

— A w zimie?... ale prawda, ty zimy nie znasz! — dodał urzędnik, uśmiechając się.

— Istnie tak, mój panie... o zimie nigdy nie słyszałem... znam tylko step i las!

— Zdaje się więc, że ty prawdziwy włóczęga... niepamiętający niczego!

— Tak panie, Iwan Niepamiętający. —

Gorodniczy ścisnął ramionami, położył pióro na bok i zapalił świeżą fajkę u świecy, która stała na stole. Potem wstał i zbliżywszy się do Władysława, zaczął mu się uważnie przypatrywać.

— Coś mi to oczy twoje za mądre nieboże na prostego włóczęgę, i twarz nie zdaje mi się podobna do chłopskiej... ty nie z prostego stanu!

— Nie wiem tego, mój panie!... matka służyła we dworze... mówili ludzi, że pan był młody, bezżenny...

— Tak, tak!... rzeczy wiadome... słyszałem takie tłumaczenie ze sto razy... A pokaż-że gołąbku rękę, czy nie ma tam znaku kata?

Władysław z trudem podniósł prawą rękę. Urzędnik odwinął z niej odzienię i pilnie się przypatrywał temu miejscu, na którym wedle dawniejszych praw rosyjskich piętnowano włóczęgów głoską B, jako początkową słowa brodiaga, włóczęga. Miejsce to okazało się czystem.

— Pod sądem nie byłeś nigdy?

— Nigdy panie!

— Cóż to u ciebie na szyi? — zapytał gorodniczy, ukazując sznureczek.

— Wiadomo co, panie! Krzyż... jam chrzeczony!

— Russki?

— Tak panie, russki.

— A rozmawiałeś z towarzyszem po polsku... cygan słyszał...

— Skłamał on panie... chciał mi odemścić, że jego córce nie dałem jałmużny... zresztą on sam przecież nie rozumie po polsku, jakże mógł słyszeć, żeśmy rozmawiali po polsku? Ja russki, panie; zawsze byłem russki.

— Lecz towarzysz twój polak, przyznał się!

— Nie wiem tego, panie! on niedawno do mnie przyszedł. Zdybaliśmy się na stepie... byłem już wtedy słaby... musiał sam tak zeznać przed panem, jeżeli prawdę powiedział.

— Oczywiście... namówić się nie trudno wam było... choć to widać, żeś go ty wszystkiego nauczył... gdzie Polakowi zmyśleć coś podobnego! Ty widać, gołąbku bywały ptaszek... A paszporta, skąd wzięliście?

— U kobiety na jarmarku kupiłem za dwa ruble... zapewniała, że z nimi łatwiej chodzić... dałem się namówić, bom ja nie piśmienny... Miała ich pełny kosz i sama wybrała dwa odpowiednie...

— Tak, tak!... nie ma co mówić... skończony z ciebie włóczęga... A no... poszukamy jeszcze w listach gończych; może znajdziemy, skąd ty zemknąłeś ptaszku! —

I usiadł znowu przy stole, dobył pliku papierów i zaczął przewracać jeden po drugim. Władysław odetchnął swobodnie. Wiedział on, że listu gończego, opiewającego na jego i Aleksandra osobę gorodniczy nie znajdzie, albowiem takowy oddawna już spoczywał w aktach. Dwa miesiące zwykle szukają zbiega w tej gubernji, w której uciekł, po

tem zaniechują wszelkich poszukiwań. Gorodniczy przerzucając cały fascykuł, zamknął go też rzeczywiście, i tonem człowieka, który spełnił wszystko co do niego należało, rzekł do Władysława.

— Na dziś dość... pójdziesz do tury... tam cię jeszcze doktor opatrzy! — i klasnął w dłoń.

Na ten znak wszedł strażak.

— Odprowadzić obydwóch do więzienia... posadzić w sekretnej!

— Słucham, panie! — odparł i wyniósł Władysława na rękach.

Podaliśmy mniej więcej dosłownie tłumaczenie się Władysława. Nie różniło się ono wcale od tych, których używają moskale, zbiegli z min nerczyńskich lub kopalń. Starał się też Władysław naśladować ich we wszystkim; wiedział bowiem, że im dokładniej to uczyni, tem pewniej w błąd wprowadzi gorodniczego. Na tem zaś zależało mu obecnie najwięcej.

Jakkolwiek dziwnem może się wydać to niepamiętanie ni imienia ni nazwiska, to zapieranie się wszystkiego, jest ono jednak zwykłym zjawiskiem w Syberji, przynosi bowiem wielką korzyść dla zbiegów. Prawa zawierają nadzwyczaj srogie kary dla tych, którzy uciekli z robót i posiadlenia. Dla pierwszych nierównie ostrzejsze, jak dla ostatnich. Względem «Niepamiętających» zaś są one daleko łagodniejsze. Ci posyłani bywają tylko na posiadlenie, odkąd piętnowanie i różgi zniesione zostały w Rosji. Dawniej otrzymywali piętna na łokciu i trzydzieści różeg, więc i wtedy o wiele mniej, jak zbiegli z katorgi, których piętnowano na plecach i bito knutami publicznie. Owóż w skutek takiego tłumaczenia się, zbieg, któryby został wysłany do robót na kilkanaście lat, gdyby prawdę powiedział, staje się po krótkim czasie wolnym człowiekiem i znowu może uciekać. Nic więc dziwnego, że używają go wszyscy, którym to czynić pozwala brak znaków i piętna na ciele. Trzeba bowiem wiedzieć, że skutek jego jest wtedy tylko pomyślny, jeżeli sądowi nie uda się dowieść, iż zbieg posiada na ciele piętna, lub znaki od kijów, albo szpicruty, t. j. ślady odbytych już nad nim sądów. W takim razie bowiem na zbiega zapada wyrok, jak gdyby się przyznał, iż uciekł z katorgi.

Dla naszych zbiegów przedstawiał ten sposób postępowanie także nie małe dogodności. Byli oni obaj do robót skazani. Tłumaczenie takie uwalniało ich od nich, i otwierało nowej i łatwej ucieczki możność. Prawda, używając go, tracili oni prawnie charakter przestępców politycznych, to jednak nie mogło wchodzić w rachunek. Władysław stracił go bowiem już dawniej, z powodu pierwszej ucieczki. Oleś zaś

byłby został go pozbawionym obecnie. Prócz tego sprawa przy takim tłumaczeniu się zbiega nierównie prędzej bywa kończoną, jak w innych wypadkach. Nie potrzeba tu ani sprawdzać, ani długiej pisaniny, ani innych formalności, które tyle czasu zwykły zabierać. Dwa, trzy miesiące bywają dostateczne, aby wydać wyrok na «Niepamiętającego». Radzi też bywają urzędnicy takim zbiegom; oswobodzeni są bowiem od nudnych i długich korespondencji z miejscami, w których zbieg przebywał. W obec tego nie będzie się wydawać dziwną ta okoliczność, że gorodniczy tarski, przyjął jakby za dobrą monetę tłumaczenia się Władysława i Olesia, które nie różniły się w gruncie rzeczy między sobą. Nie przyszło mu też na myśl badać zbiegów powtórnie, ani przedsiębrał niczego, coby go mogło na właściwy trop naprowadzić. Kazał ich tylko opatrzyć doktorowi powiatowemu, świadectwo tegoż załączył do akt, i na tem sprawa była skończoną. Sąd powiatowy miał wydać wyrok, który wedle zwyczaju w tym powiecie przyjętego, byłby nastąpił po upływie pół roku...

*

Z mieszkania gorodniczego odwieziono Władysława na własnym jego wosku do więzienia, które się wznosiło na przeciwnym miasta krańcu tuż przy drodze, wiodącej z Tobolska. Olesz wyprzedził go był już dawniej. Praca umysłowa podczas indagacji, choć nie była uciążliwą, wyczerpała siły jego do ostatka. Zapadł był znowu w dawniejsze odrętwienie, nie pamiętał nawet jak i kiedy przewieziono go przez miasto. Zatrzymawszy się u wrót więzienia, strażnik, który mu towarzyszył, potrząsł go silnie ręką, chcąc obudzić ze snu, jak mniemał, i rzekł szorstko:

— Wstawaj bracie!... dość tej komedji... złał!

— Nie mogę! — odparł Władysław.

Kilku żołnierzy od straży więziennej przystąpiło do wozu.

— Kto to? — zapytali strażnika.

— Włóczęga... pod miastem go uchwyciono... upił się szelma, że iść nie może!... Złał, mówię ci! —

Władysław poruszył się na wozie.

— Chodź, chodź!... wytrzeźwisz się w sekretnej!...

— prawil jeden z żołnierzy i posunął Władysława na kraweńd wozu, podnosząc zarazem głowę jego do góry. Strażnik trącił go ręką silnie, tak, że stracił równowagę i na ziemię się powalił.

— Nażłopał się bestja wódki, że stać nie może! — Tu kopnął leżącego nogą. — Wstawaj, psia ci mać... nie mam czasu wodzić się tu z tobą! —

Lecz Władysław się nie ruszał, co w śmiech wprawiało obok stojących żołnierzy. Wreszcie przybliżył się jeden z nich do niego, wziął go za ręce i zaczął ciągnąć ku bramie więziennej, tak że nogi wlokły się po ziemi. Stojący na czatach przy bramie otworzył ją. Na podwórzu przechadzało się kilkunastu więźniów. Jeden z nich, spostrzegłszy brutalstwo żołnierza, przyskoczył doń i zatrzymał go słowami.

— Cóż ty, faraonie jakiś, pastwisz się tak nad człowiekiem. Nie możesz go wziąć na ręce, skoro widzisz, że iść nie może?

— Ty nie laj mnie... on pijany! będę na rękach nosić włóczęgę... jeszcze czego nie stało!... nie zdechnie, nie bój się!

— Przecież widzisz, że on nie pijany, lecz słaby... zbity, jak się zdaje... gdzież ty masz serce?

— Nie wielka szkoda, jeżeli zdechnie... i tak was za wiele na świecie! —

I znowu chciał dalej ciągnąć zbiega przez podwórze.

— Nie rusz go! — zawołał więzień — ja go wezmę na ręce!

— Weź, jeżeli ci się to podoba... nieś go do sekretnej! —

I pocziwy zbrodniarz podniósł Władysława z ziemi, obtarł mu krew z czoła, które był zranił lekko, padając z woska, i poniosł do oddzielnego budynku, w którym mieściły się tak zwane sekretne cele. Tu złożył go w jednej z nich na gołym tapczanie i oddał się; żołnierz zaś zamknął drzwi na zamek. Trzask zamku i skrzyp ryglów głucho ozwały się w piersiach słabego, i rozbudziły najprzykrzejszych i najcięższych chwil w życiu wspomnienia...

I znowu gołe, pleśnią pokryte ściany, rdzawe w wysokim okienku kraty, powietrze odrębną więzień wonią zaprawne i twarde, robactwa pełne kaźni posłanie... Mamyż opisywać co na widok ich uczuł Władysław? czego doświadczył Oles? Ci, którzy nie byli nigdy w takim położeniu, nie pojną, nie zrozumią. Dla tych zaś, co go doświadczały kiedy w życiu, opisy zbyt czernymi są. Zresztą ogrom męczarni, jakie z powodu straty wolności przenosili w pierwszych uwięzieniach chwilach nasi znajomi, już z tych trudów i mokołu można ocenić, które dla jej odzyskania i zabezpieczenia przenosili w ciągu ubiegłych ośmiu miesięcy...

Przez całe dwadzieścia cztery godziny leżał Władysław na tapczanie tak, jak go na nim był litościwy współwięzień położył. Stan jego pogorszył się znacznie, nie tylko pod wpływem strasznej dla niego katastrofy, lecz także od wilgoci, która w tej części więzienia panowała. Gorodniczy, który wieczorem na drugi dzień odwiedzał turmę, poruszony był

widocznie tą niemocą więźnia; wykpał bowiem dozorcę za to, że go nie kazał odnieść do szpitala, i natychmiast mu to uczynić poruczył.

Czas wszystko leczy. Pod wpływem jego zmniejszyły się także znanych naszych cierpienia, zwłaszcza gdy Władysław powrócił zupełnie do zdrowia po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu. Z siłami przybyła i dawniejsza energia, dawniejsze pragnienie wydostania się na swobodę. Zbiegowie nowe zaczęli snuć plany ucieczki, a gdy ta okazała się zbyt trudną do wykonania, przemysłiwali, jakby przynajmniej położenie swe polepszyć, które nie było wprawdzie tak straszne, jakby mogło być, gdyby innego użyli byli tłumaczenia się, zawsze jednak nie zasługiwało na miano znośnego.

Wrzeczy samej, na wyrok wypadło im czekać pół roku; po nim zostawała długa droga etapami na Amur, dokąd «Niepamiętających» jak oni, wysyłano wtedy. Rok cały najmniej iść by musieli, zanim by doszli do miejsca przeznaczenia. Stamtąd znów uciekać, znów się przez cały przerywać Sybir, znowu podobne, jakieśmy widzieli, przenosić trudy... nic z tego zbiegów nie pociągało.

Czwartego, czy piątego tygodnia ich pobytu we więzieniu tarskiem rozeszła się wieść o mającym wkrótce nastąpić przyjeździe urzędnika dla osobnych zleceń, któremu tobolski gubernator polecił był inspekcję kilku powiatów. Ta chwila wydała się najstosowniejszą Władysławowi do wykonania zamiaru, który miał zmienić na lepsze los jego i Olesia. Po wyjściu Władysława ze szpitala obaj zbiegowie zajmowali jedną celę. Wieczorem dnia tego, w którym dowiedziano się we więzieniu, że urzędnik ma wkrótce przyjechać, Władysław ułożywszy się jak mógł wygodnie na tapczanie, postanowił główną w tym celu odbyć naradę z towarzyszem.

— Chciałbyś ty Olesiu Litwę zwiedzić? — zapytał z nienacka.

— Ho, ho!... nie tak to pono prędko nastąpi!...

O Boże! czego by ja nie dał za to...

— Leży to w naszej mocy... tego lata jeszcze...

— Dałbyś pokój żartom... nie pora nam śmiać się!

— Wcale nie żartuję... jestem pewny, że skoro zechce-my, pojedziem! —

Oleś ścisnął ramionami i milczał, przekonany był bowiem, że Władysław pożartować pragnie w przystępie dobrego humoru, który mu się wcale niewczesnym zdawał.

— Posłuchajże przynajmniej mego projektu, a potem osądzisz go — mówił tenże.

Oleś położył się także na tapczanie i rzekł:

— Jeżeli ci to przyjemność sprawi, słucham!

— Jutro postaram się o papier i pióro i napiszę prośbę

do urzędnika następnej osnowy. Myśmy nie włóczęgi, nie moskale, lecz Polacy. — Po pewnej bitwie w grodzieńskiej gubernji, nie chcąc, aby nas wzięto do niewoli, przez lasy i puszcze dotarliśmy do Rosji. Pragnieniem naszym było dostać się nad Czarne morze i uciec do Konstantynopola. Kiedy wszelako nie udało nam się to mimo usilnych starań, postanowiliśmy osiedlić się gdziekolwiek na czas jakiś, póki tam u nas rwetes nie przędzie. Poczem chcieliśmy napowrót wrócić do domu. Lecz i osiedlenie nie było tak łatwe, jak myśmy sobie wyobrażali. Zdecydowaliśmy się tedy przepędzić czas na podróżach po Rosji i Syberji i takim oto sposobem przybyliśmy aż do Tary.

— I cóż potem? — zapytał Oleś.

— Po tem poszła oczywiście pismo z zapytaniem do grodzieńskiej gubernji, czy tacy a tacy istnieli tam rzeczywiście. Stamtąd odpowiedzą, że istnieli, ponieważ my podamy imiona dwóch poległych w boju. Powiemy, jak się nazywali rodzice, siostry bracia i t. d. Wszystko to wiem już od naszych, którzy są w tutejszym szpitalu. Skoro zaś nadejdzie wiadomość, że nasze zeznania prawdziwe, wyszła nas do Wilna i tam będą sędzić za udział w powstaniu. Wyrok zapadnie najwyżej na posiedlenie, i odprawia nas w drogę jako więźniów politycznych. Zrozumiałeś teraz?

— Byłoby to dalibóg wcale nie źle!... pytanie tylko, czy się uda.

— Cóż szkodzi spróbować?... Co do mnie, najmocniej jestem przekonany, że się uda. Zważ Olku, co za roskosz zmusić rząd do tego, żeby nas swoim kosztem odwiózł z Sybiru na odwiedzin do kraju! Już to samo coś warto, nie biorąc w rachubę tego, że i od Amuru się oswobodzimy i może nawet od Syberji. Teraz bowiem, za udział w powstaniu, już nie tak srogo sądzą jak dawniej...

— Wiesz, byłby to nie lada kunsztik! spróbujemy, Władku, dalibóg spróbujemy... Litwę zobaczyć! O Boże! toż to szczyt szczęścia... Ale że tobie to dopiero teraz na myśl przyszło...

— O tym sposobie wiedziałem ja dawno, lecz niestety, zapomnieliśmy się dowiedzieć o dwóch jakich poległych, za których byśmy się mogli byli wydać w razie potrzeby. Teraz jednak nie późno jeszcze; zobaczysz, jak to gładko pójdzie. —

Władysław miał zupełną słusność. Urzędnik przeczytawszy wyjaśnienia, rozmawiał długo ze zbiegami, wypytując ich rozmaicie, był nadzwyczaj grzecznym, uprzedzającym i kazał ich przenieść z sekretnej do izby przeznaczonej dla szlachciców. Przrzekł przyjść jeszcze raz dla spisania z nimi formalnego protokołu i kazał im być dobrej myśli. Oleś nie

posiadał się z radości, ścisnął Władysława i całował co chwila.

— Nie zapomnij Olku jutro przy protokole prosić urzędnika, aby nas do Tobolska kazał odstawić.

— Toż nas tam poznają!

— Nie lękaj się... któż nas tam znał?... Polacy tylko, których już nie ma.

— Lecz ciebie zna gubernator osobiście, i za permską twoją sprawkę nie będzie ci wdzięcznym... popsujemy tem wszystko!

— Ja zupełnie inaczej tę rzecz pojmuje Olku! Gubernatora my nie minimy tak, czy owak... prawdopodobna i to może że mnie pozna; wszak widział mnie i rozmawiał ze mną parę razy... lecz i to pewna, że jeżeli pozna, mimo przejdzie...

— Skądże ta pewność, Władku?

— Wewnętrzne, głębokie przekonanie... Alboż ty myślisz, iż urzędnik nie wie, że w tem, cośmy powiedzieli, nie ma słóweczka prawdy?... Cóż jemu to szkodzi, że my sobie los poprawiamy, nie narażając go na żadną odpowiedzialność?... On będzie się trzymał litery prawa, które w podobnych okolicznościach tak a tak działać nakazuje. Śledzić, nie jego rzecz... on nie jest członkiem śledczej komisji, ani żandarmem... Tak samo, zobaczysz, postąpi gubernator... ja go znam... na tyle on jest wyrozumiałym!...

— Zważ dobrze Władku, co robisz, byś się nie przerażował! — rzekł Oleś po chwili namysłu. — Przypuszczam, że gubernator nie czuje do ciebie urazy...

— Za cóż miałby ją czuć? — przerwał Władysław — Czyż mu to co zaszkodziło, żem permskiemu gubernatorowi powiedział, iż go wierniejszym sługą cara mienię, jak tobolskiego? Nie lękaj się, wie on czego się trzymać; wszystkie moje zeznania czytał, bo mu z Kazania całą sprawę posłano wraz ze mną.

— Bez wątpienia... lecz czy poznawszy ciebie, wstrzyma się, jak ty myślisz?

— Mówię ci, że znam go jako, wyrozumiałego człowieka... wszak nie zabiłem nikogo, zbrodni żadnej nie popełniłem... co go to może obchodzić, że korzystając z głupich praw moskiewskich los swój poprawię... Zresztą powtarzam, nie minimy go, prędzej czy później zobaczy nas... Może i to być łatwo, że nie pozna wcale.

— To ostatnie trudno przypuścić... Wszakże, kiedy tak chcesz koniecznie, uczynię. —

W trzy dni potem zbiegowie już byli w drodze do Tobolska. Odstawiono ich wprost do gubernatorskiej kancelarii. Urzędników była pełna izba; w przyległym pokoju zaś sam

gubernator siedział i czytał papiery, które mu wręczył kozak, co zbiegów z Tary przywiózł. Po kilkunastu minutach rozwarły się drzwi z trzaskiem, wysoka postać Zenowicza pojawiła się w progu, w biurze zrobiło się cicho, jak makiem posiał.

— Łajdaki! lamparty! urwisze! ja wam dam włożyć się po Syberji! — zawołał donośnym głosem po polsku, wpadając jak bomba na zbiegów. — Natychmiast mi powiedzieć, skądście uciekli! Żartów nie cierpię! Z Jenisejska... nieprawda? co?

— Znikąd nie uciekaliśmy, wasza Ekscellencjo! myśmy jeszcze nie byli sądzeni! — odpowiedział spokojnie i stanowczo Władysław. —

Gubernator zwrócił nań przeszywający wzrok... zatrzymał go dobrą chwilę na jego twarzy, popatrzył także na Olesia, który stał smutny i ponury obok towarzysza i rzekł daleko już łagodniej.

— A!... wy nie byli sądzeni... to dobrze! Lecz jeżeli wasze zeznania okażą się w czemkolwiek kłamliwe, wtedy gorzej wam będzie, daleko gorzej.

— Wasza Ekscellencja może sprawdzić.

— Oczywiście sprawdzę... teraz pójdziecie do turmy... jutro was zawołam raz jeszcze. —

I wszedł na powrót do swego pokoju, pozawszyszy jednego z urzędników.

W turmie, dokąd zbiegów odprawadzono, nikt oczywiście uwagi na nich nie zwrócił. Od czasu, kiedy stąd uciekli setki tysięcy nowych przesunęło się twarzy; zmienili się i strażnicy i dozorczy i mieszkańcy. Dano im osobną celę na kajdannym dworze.

— I cóż? dobrze rachowałem? — zapytał Władysław, kiedy drzwi celi zamknięto na klucz.

— Kiedy on tak długo wpatrywał się w ciebie, byłem pewny, że pozna — odparł Olek.

— Ja zaś przeciwnie... byłem pewny, że nie pozna. —

Nazajutrz pozwano Władysława i wprowadzono go do samego gubernatora. Biuro jego zajmowało obszerną salę, z wielkimi na taras wychodzącymi oknami. Na jednej ze ścian złocistymi pokrytych tapetami wisiał portret cara w szerokich złotych ramach. Na środku stał długi stół zielonym zasłany suknem. Na nim mnóstwo leżało aktów. U górnego jego końca we wielkim wygodnym fotelu siedział gubernator i czytał rozłożone przed sobą na stole papiery. Kiedy Władysława wprowadzono, podniósł głowę, zajął pozycję wpołu leżącemu w fotelu i zmierzył zbiega znowu swoim przenikliwym wzrokiem. Władysław nie wytrzymał tym razem tego wzroku; spuścił oczy na dół; bał się bowiem aby

mięśnie twarzy nie drgnęły do śmiechu... W sali prócz gubernatora i zbiega nie było nikogo.

— Więc tyś nie był sądzony za udział w powstaniu? — zapytał gubernator.

— Nie byłem, wasza Ekscellencjo!

— Jeżeli się to okaże prawdą, będę cię musiał odesłać do Wilna...

— Wasza Ekscellencja zrobi, jak Jej się będzie podobowało.

— Nie!... lecz tak, jak prawo nakazuje... rozumiesz?

— Rozumiem.

— Wszakże muszę mieć dowody, bo ty zdajesz mi się kłamać.

— Nie kłamię, Wasza Ekscellencjo!

— Czemże możesz poprzeć twoje zeznania?..

— Mój towarzysz poświadczy...

— A ty poświadczysz znowu prawdę słów twego towarzysza?... czy tak?... to bardzo wygodne, wiem to!

— Obaj mówimy czystą prawdę...

— Którę i ja uwierzyłbym może, gdyby kto trzeci poświadczył.

— Mój towarzysz był niegdyś nauczycielem domowym u pana H., który, ileśmy słyszeli, mieszka obecnie w Kurganie. Wasza Ekscellencja może kazać fotografować mego towarzysza i portret posłać do pana H. On go pozna niezawodnie. —

Gubernator znowu popatrzył długo na Władysława.

— Dobrze! — rzekł — uczynię to! teraz idź do przyległej kancelarii i napisz jeszcze raz zeznania po polsku. Wszystko żeby mi było jasno, szczegółowo, podrobnie i nie kłamane... rozumiesz? czystą chęć wiedzieć prawdę! Jutro pozwę towarzysza. —

Władysław skłonił się i wyszedł ze sali do przyległego pokoju. Tam mu dali papier i pióra. Prócz zeznań napisał on i list do Kurganu, który wróciwszy do więzienia wyprawił na pocztę przez jednego z Polaków, wychodzących codziennie do miasta za sprawunkami.

Nasza opowieść kłoni się ku końcowi. Towarzysząc zbiegom w ich peregrynacji, chcieliśmy dać poznać czytelnikowi Sybir i jego różnorodnych mieszkańców, tychże zwyczajów i życie. Czego tu brak, niech inni dopowiedzą.

Co do zbiegów, ich życzenia zostały spełnione...

We dwa tygodnie po opisanych powyżej zdarzeniach zjechały dwie kibitki z czterema żandarmami przed więzienie. Zawołano zbiegów z celi, dano im ubiór aresztancki

i wyprowadzono za bramę. Dwóch żandarmów wzięło Olesia między siebie, dwóch Władysława. Usiedli do furgonów, i konie ruszyły drogą ku zachodowi, wioząc stęsknionych za krajem wygnańców, na krótkie do lubej ojczyzny od-wiedziny!

W następnym dziale, reszty ich losów dopowiemy.

W następnym dalsze, może i nie będzie
wielu!

Asiety wyjechał, na kolnie do laty
iżony, który był zadowolony, wiesz, że
niektórzy nie, tylko widać, że
i wprawdzie, że białe, białe, białe, białe

DZIAŁ DRUGI.

WIEZIENIE U BOSACZEK W WILNIE.

OSTATNIA UCIECZKA.

PAMIĘCI

JERZEGO STRUWE

ZMARŁEGO PRZEDWCZEŚNIE PRZYJACIELA

POŚWIĘCAM.

I.

Pewnego dnia w drugiej połowie października r. 1864, w tej sali starego więzienia u Dominikanów w Wilnie, która przeznaczoną była dla posiedzeń śledczej komisji, siedziało u długiego stołu, pokrytego zielonem suknem, dwóch wojskowych, jeden w fotelu prezydjalnym, drugi nieco niżej, z boku, na zwyczajnem krześle. Pierwszy z nich mógł mieć lat około pięćdziesiąt. Mundur i epolety świadczyły, że piastował wysoką godność pułkownika żandarmów; z długiego rzędu tasiemek zaś, przyszytych na piersiach u surduta i służących do zawieszania orderów, wypadało wnioskować, że wielkie miał u rządu zasługi. Widać było nadto z miny i całego zachowania się, że się uważał za wszechwładnego tych miejsc pana; siedział bowiem w rospiętym mundurze, z rękami spoczywającymi na poręczach fotelu, z głową w tył zarzuconą, nogi wygodnie pod stołem przed siebie wyciągnawszy, i słuchał z przymronionemi oczyma, co mu drugi wojskowy czytał z drobno zapisanego arkusza, który trzymał w ręku.

Pułkownik był wzrostu wysokiego i dobrej tuszy. Twarz miał szeroką, czysto wygoloną, nieco nalaną; wiek mu ją poorał zmarszczkami, które zwiędłe jakoś na dół obwisłszy, budziły podejrzenie niezbyt przykładnej przeszłości ich właściciela. Niepochlebne to wrażenie zacierał jednak w części ciemny i dobrze utrzymany wąs, który z pod rozdętego nosa spadał na grube usta i przydawał obliczu marsowaty wyraz. Gęste brwi, tejsze co wąs barwy, zawsze najeżone, jakby od dawnego przyzwyczajenia, uwydatniały bardziej jeszcze ten wyraz, przydając mu cechę srogości, dumy i ciągłego jakby zagniewania i kazały się domyślać w pułkowniku człowieka, u którego wydawanie rozkazów stało się poniekąd drugą naturą.

Młodszy wojskowy w mundurze sztabskapitana artylerji przedstawiał jak najzupełniejszą ze starszym sprzeczność. Liczył lat nie więcej, jak dwadzieścia kilka. Mundur miał

nowiusieńki, prześlicznie zrobiony, na wszystkie guziki zapięty, tak że leżał jak ulany, co nadzwyczaj korzystnie uwydatniało strojną i giętką jego postać. Kształtną, drobną główkę otaczały krótkie, kędzierzawe jak heban czarne i z pretensją modnisią uczesane włosy. Dwóch wąskich, kruczych, powabnie zagiętych brwi nie powstydziła by się była żadna kobieta, a z czarnych, świecących i bardzo ruchawych oczu tryskał życia taki nadmiar, jakby go w piersiach całe mieściło się morze. Młody oficer rad był widocznie z bytu, ze stanowiska, które zajmował, ze wszystkiego słowem, co się jego osoby tyczyło. Widać było z całego jego zachowania się, że cieszył się światem, jak dziecko i patrzył w przyszłość, jak ono, bez najmniejszej troski, t. j. nie myśląc o niej wcale. Młodociana, trochę niewieścią twarz jego, o którą widocznie wielkie miał staranie, zdołał zgrabny nosik i mały, czarny wąsik, kokienniczo w górę podkręcony, a gdyby nie uśmiech jakiś szyderski, prawie szatański, który zdawało się przyrósł był do obydwóch kątów wąskich ust, sztabskapitan byłby osobą w wysokim stopniu sympatyczną i ujmującą. Ten uśmiech szpecił go, odręczał od niego poniekąd i naprowadzał na inny jeszcze błąd bujnej tej natury, którego z razu nie tak łatwo było dostrzedz. Chwilami oto wzrok jego przybierał taki wyraz, jakby się chciał w wiercić, wpiąć w głąb duszy tego, na kogo był zwrócony w nieszlachetnym zamiarze podstępnego zbadania wszystkich jej tajemnic. Więc tylko na pierwszy rzut oka ośniewał sztabskapitan blaskiem swojej osoby, tracił zaś wiele, kiedyś mu się bliżej przypatrzył.

O ile postawa pułkownika była zewnętrznie niedbała, lekceważąca i pewną siebie, o tyle młodszy wiekiem i stopniem wojskowy umiał zachować wszelkie formy, które przystoją podwładnemu wobec starszego. Szacunek, poważanie i skwapliwe wyczekiwanie rozkazów z gotowością wypełnienia ich, cechowały wszystkie jego ruchy i zdradzały się w głosie.

Pułkownikiem był Kosiew, prezes wileńskiej «osobnej, śledczej dla politycznych spraw komisji», która za czasów Murawiewa i później jeszcze zajmowała się rozbiorem co najważniejszych wypadków. Słyszał on w Wilnie jako prawa ręka Murawiewa. Sztabskapitan nazywał się Gogiel i był członkiem tejże komisji. Wszyscy dwudziestu siedmiu powieszeni na Łukiszkach, wszystkie co główniejsze figury litewskiego powstania, wysłane do sybirskich kopalń, ocierali się o te osobistości. W chwili, o której mowa, komisja nie rozwijała już tak gorączkowej działalności, jak niedawno przedtem. Powstanie było uśmierzone, główni jego kierownicy wykryci i ukarani. Ofiara leżała na pozór martwa, bez ruchu. Od czasu do czasu tylko tygrys, co ją do ziemi przyginał swo-

jemi łapami, podsłuchiwał, czy serce w niej bije, a jeżeli mu się wydało, że kołatanie jest silniejszym, jak tego pragnął, przykładał paszczę do zranionej piersi i powoli, wyrachowanie ssal krew z niej. Tą paszczą była właśnie komisja, do której należeli ci dwaj panowie.

Gogiel przestał czytać i położył arkusz przed sobą, wczekując w milczeniu uwag pułkownika. Minęło kilka minut, nim ten oczy otworzył i dźwignął się z półleżącej postawy. Potarł ręką czoło, ziewnął i zapytał, ciągnąc wyrazy.

— Jak dawno on już siedzi?

Gogiel zaglądał do teki, która leżała przed nim.

— Czterdzieści pięć dni — rzekł, szczebiocząc. — Zaliczam tu także te kilka dni, które był w Kijowie pod aresztem, nim go tu przywieziono.

— Powiadasz pan, że z własnej inicjatywy przysłał nam te bajki? — pytał pułkownik dalej.

— Wczoraj sam prosił papieru i pióra.

— Widać, zaczyna mu być ciężko... nudno... dobry znak... trzeba się będzie wiać lepiej do niego. Proszę mi zawołać Siergieja.

Gogiel wyszedł do przedpokoju i wrócił niebawem z żandarmem, który stanął przy drzwiach, wyciągnąwszy się jak struna.

— Na dwudziesty trzeci numer mieć mi pilną baczność... jeżeli spostrzeżesz coś osobliwego, dasz mi znać natychmiast! — rzekł mu pułkownik krótkim, rozkazującym tonem.

— Słucham! — odparł żandarm niewolniczo.

— Dotąd nic nie zauważałeś?

— Wczoraj, nim zażądał papieru, chodził długo po celi bardzo smutny... zdawało mi się, że płakał.

— A!... płakał, mówisz?... czemuż bałwanie natychmiast o takich rzeczach nie donosisz?

— Mówilem, wielmożny panie, panu kapitanowi, kiedy papier oddawałem — odparł żandarm, ukazując wzrokiem Gogiela, który skinieniem głowy potwierdził jego słowa.

— Przyprowadź go tu i zatrzymaj się w przedpokoju, póki ci znać nie dadzą.

— Słucham! — odparł żandarm i wyszedł z sali.

— Oddał się do drugiego pokoju — mówił pułkownik do Gogiela — pan się tu rozmów z nim... odczytaj mu zeznania Mi...wskiego... Możesz go całą godzinę i dłużej potrzymać... zmięł on prędzej, jak się spodziewałem. Trzeba kuć żelazo póki gorące. Staraj się pan przekonać go, że podobnemi bajkami, jak mi tu przysłał, nie zbędzie nas... dla niego nie masz innego ratunku, jak odkrycie wszystkiego i serdeczny żal... Naczelnik kraju już dwa razy mnie pytał o niego... musimy spieszyć. Bez jego zeznań Ohryski nie-

Tadrowsk

Witold

podobna przyaresztować. W Petersburgu nie chcą wierzyć, że poszlaki, które posiadamy, są prawdziwe... domagają się jasniejszych dowodów...

— Lękam się, żebyśmy nie natrafili na większy opór, jak się spodziewamy — zauważał Gogiel nieśmiało.

— Z czyjej strony?

— Ze strony K...wskiego... dotąd nic na niego nie podziało...

Pułkownik się uśmiechnął.

— Juhan i ja, jak pułkownikowi wiadomo, kilkakroć już używaliśmy całej naszej wymowy, aby go skłonić do zeznań... dawaliśmy mu do zrozumienia, że wiemy więcej, jak przypuszcza... obiecywaliśmy łaskę...

— Cierpliwości, cierpliwości kapitanie!... ja się nie mylę na ludziach... on zaczyna już mięknąć... wyspiewa wszystko, nim dwa tygodnie miną. Szubienica w perspektywie wśród więziennej samotności, wierzaj kapitanie, to nielada środek do zmiękczenia stalszych i twardszych ludzi, jak ten panicz. Alboż nie przypominasz sobie, jakich tuzów tu kruszyliśmy? Proszę mu tylko odczytać zeznania Mi...wskiego tak, jakby to była tylko mała część tego, co posiadamy.

— Rozumiem pułkowniku... zdaje mi się, że go przeprowadzono — rzekł Gogiel, przysłuchując się szmerowi, który słychać było w przedpokoju.

— Zostawiam więc pana... na razie proszę mu nie nazywać Mi...wskiego... lepiej, gdy nie będzie wiedział, kto nam te wiadomości podał; zupełniejszą sam złoży spowiedź... inaczej gotów się tylko przyznać do tego, co wiemy, a to mało! —

To rzekłszy, pułkownik wyszedł do bocznego pokoju i zamknął drzwi za sobą. Gogiel uporządkował w tece papiery, zamknął ją, zapalił papierosa i klasnął dwakroć w dłoń.

We drzwiach sali, które żandarm otworzył, pojawił się młody, niewiele lat trzydziestu liczący więzień, w szarym oficerskim płaszczu, z kepi w ręku. Twarz miał bladą, wychudzoną, od kilku jak widać tygodni nie goloną. Głębokie wewnętrzne wzruszenie malowało się na niej, rzekłbyś bojaźń czegoś, nużące jakieś wyczekiwanie... przecucie niepomyślnych nowin. Szare oczy patrzyły nieco wystraszone przed siebie i wtedy dopiero nabrały trochę otuchy, kiedy się obejrzały, że w sali nie masz nikogo, prócz Gogiela. Na obliczu widać było także wielkie znużenie, skutek ciężkich, moralnych cierpień. Wysoką, strojną niegdyś postać przygnębiło widocznie więzienie.

Więziem tym był Władysław K...wski, porucznik gwardyjskiej konnej artylerji, były profesor chemji w wojsko-

wej akademji w Petersburgu, przyjaciel i towarzysz Józafata Ohryski.

Widząc go tak znękanego, upadłego na duchu, złamanego prawie, Gogiel niezmiernie się ucieszył. Radości jednak przez małą tylko chwilę można się było dopatrzeć na jego gladkiem obliczu i w błyszczących oczach. Potem przybrał wyraz głębokiego i szczerzego współczucia, podniósł się skwapliwie z krzesła, postąpił kilka kroków naprzeciw K...owskiego, wziął go za rękę i poprowadził do stołu, gdzie go obok siebie posadził.

— Strasznie się pan zmieniłeś, odkąd ostatnim razem widzieliśmy się — rzekł, nie wypuszczając ręki więźnia i z serdecznem, jak się zdawało, politowaniem na niego spoglądając. — Czy nie słabyś? — zapytał po chwili z takim ciepłem w głosie i wzroku, że mógłby być i najbłagiejszego znawcę fizjonomji ludzkich w błąd wprowadzić.

K...wskiego odrazu ujęła ta dobroć i łaskawość członka śledczej komisji. Chwycił obydwoma rękami dłoni jego i rzekł z głębokim wzruszeniem i nieklamana wdzięcznością w głosie.

— Serdecznie, serdecznie panu dziękuję za tyle współczucia... jam w rzeczy samej słaby... a główna, bardzo, bardzo nieszcześliwy! —

Tu łzy mu nabiegły do oczu i zakrył je rękami.

Twarz Gogiela zajaśniała znowu radością, niezrównanie większą, jak niedawno przedtem. Była to radość strzelca, kiedy nabiera pewności, że mu się zwierz nie wymknie.

— Wszak doktor Fawelin był u pana? — zapytał troskliwie, przywodziwając na oblicze dawniejszą maskę współczucia.

— Był, i zapisał medycynę — odparł K...wski, odejmując ręce od poczerwieniałych oczu. — Leczyć coś to wszystko pomoże?... moralnych cierpień nie usunie, a panowie wszelkich starań dokładacie, aby ich miara stała się jak najpełniejszą. —

Gogiel westchnął głęboko w odpowiedź.

— Miałem się żenić... wszystko było do ślubu gotowe... strącono mnie z nieba do piekła...

— Nie uwierzysz pan, jak głęboko czuję jego boleść... jak mocno ubolewam nad jego losem, który... rzeczywiście... bardzo... ach, bardzo jest smutnym... smutniejszym może, jak to sobie pan wyobrażasz. Nikogo mi tak jeszcze żal nie było, jak pana... parole d'honneur... i czegobym nie dał, gdybyś mi pan chciał dać sposobność wyratowania go od... vous ne croirez pas, ce qu'il me coûte de vous le dire... od niechybnej zguby...

— Jeżeli ona mnie czeka, możesz kapitan być pewnym,

że niewinnie zginę — odparł K...wski słabym, drżącym głosem, oczy na dół spuściwszy. — Lecz ja nie mogę przypuścić, aby sąd wojenny mógł mnie osądzić bez dowodów... bez mojego przyznania się do jakiegokolwiek winy... kodeks wojenny...

— Laissons cela, poruczniku! — przerwał kapitan — gdybym go tak zaklął na słowo honoru, abyś mi powiedział, że tyle tylko masz do zeznania, co tu napisałeś do pułkownika w liście, który mi kazał oddać mu na powrót, jako zbyt cenny... enfin, byś mnie upewnił, żeś niewinnie uwięziony, sądzę, żebyś tego nie uczynił. Je vous crois trop d'honneur pour cela. Mais je vous assure, et vous m'en pouvez croire, mnie wcale nie chodzi o wydobycie z pana tajemnic. Pan wie, ja nie żandarm... i ach! — tu zniżył głos i nachylił się do K...wskiego poufnie — z jaką radością widziałbym się przeznaczonym do innej służby!... Porucznik nie wyobraził sobie, co to za wstręt dla niego obowiązek, ten udział w śledczej komisji... Narzucono mi go... kazano przyjąć... wymówić się nie było podobna. A jaka odpowiedzialność!... Pan pozwolił, pójdę zobaczyć, czyśmy sami — dodał i zaglądając do przedpokoju, zamknął na klucz drzwi, które zeń do sieni prowadziły. — Czasem — ciągnął dalej, powróciwszy — zdaje mi się jakoby i nas młodszych oficerów tu szpiegowano, a nie chciałbym, żeby się pułkownik dowiedział cokolwiek o treści naszej rozmowy, wtedy odjęta by mi została wszelka możność zrobienia czegokolwiek dla pana... a to bardzo by mnie smuciło. —

K...wski uściśnął mu rękę w milczeniu i wzrokiem podziękował. Słowa i zachowanie się kapitana przydawały mu widocznie otuchy; najmniejszej wątpliwości zdawał się nie mieć o ich szczerości i prawdzie. Potrzeba mu było opory; ciężaru położenia sam dźwigać nie mógł, nie dorósł do niego; więc brał pierwszą lepszą, która się nadarzała, zwłaszcza że Gogiel w rzeczy samej po mistrzowsku wywiązywał się z tej roli, którą nie raz już wypadało mu odgrywać przedtem.

— Nie dziękuj, poruczniku! — mówił — dziś zawczasem jeszcze... dziś ja nie a nie zrobić nie mogę dla ciebie... Jam słaby tu, bez znaczenia, i to mi daleko serce rozrywa! Wiem ja, co musisz cierpieć, będąc tak nagle i niespodziewanie rozłączony z narzeczoną... J'aime, moi aussi, une fille adorable, un ange... zamierzam się żenić po bożem narodzeniu... Ah, ça doit être affreux...

— Nie do zniesienia czasem... chwilami od zmysłów odchodzę, kapitanie! — rzekł K...wski, znowu ręce do oczu podnosząc.

— Biedny, biedny, poruczniku!... A jeszcze do tego ta

niepewność losu... ten strach okropnych rzeczy... położenie w rzeczy samej bardzo trudne...

— Strachu nie czuję, kapitanie... nie lękam się wyroku, bo się nie poczuwam do żadnej winy...

— Wszakże pan wiesz o coś oskarżony... i wiadomo mu, co to w obecnych czasach, tu u nas, przy tak srogim naczelniku kraju, znaczy być podejrzanym tylko o należenie do składurządu narodowego... a pan, panie K...wski, nie tylko jesteś podejrzanym o to... są poszlaki, dowody, których połowa tu wystarczała do... do zupełnego zgubienia ludzi... Więcej panu, daleko powiedzieć nie mogę...

— Panie kapitanie — rzekł K...wski przekonywającym głosem — dawałeś mi i dajesz ciągle tyle dowodów niekłamnego współczucia i szczerości, że uważam cię nie za mego śledczego sędziego, lecz bardziej za przychylnego kolegę i jak do takiego w tej chwili rozmawiam. Otóż upewniam pana, że nikt mi tego nie dowiedzie, o co mnie tu nie wiem kto oskarżył... nikt w świecie, kapitanie, ponieważ to jest zmyśleniem a ja niewinny zupełnie...

— Nie tak, poruczniku, nie tak!... ponieważ ci się zdaje, żeś zatarł wszystkie ślady winy... wszelako nie zapominaj, że to ci się tylko zdawać może. —

K...wski potrząsł głową w znak zaprzeczenia i chciał coś powiedzieć, lecz mu Gogiel do słowa przyjść nie dał i tak dalej rzecz ciągnął.

— Ja nie współczuję waszej sprawie... tego panu, zdaje mi się, nie potrzebuję powtarzać. Jestem Rosjaninem... moskałem, jak wy mówicie... duszą i ciałem, lecz jestem także człowiekiem, i jak sobie pochlebiam nie złym człowiekiem. Wolałbym więc, je vous le jure, tysiąc razy walczyć z bronią w ręku przeciw powstańcom, jak być instygatorem... Nie moja wina, że mnie do tego urzędu przeznaczono, a jako wierny poddany staram się sumiennie pełnić obowiązki, które starsi na mnie włożyli. Dla tego całego położenia pańskiej sprawy nie mogę panu powiedzieć, znaczyłoby to zdradzać urzędową tajemnicę, a tego pan sam odemnie żądać nie będziesz. Wszakże odkryję jedną rzecz, z której pan wiele będziesz mógł wnioskować. Uczynię to li tylko dla tego, że czuję dla pana pewną, mnie samemu niewytłumaczoną sympatię i szczerze, szczerze chciałbym go odciągnąć od przepaści, nad którą stoisz... Pan wie, że władza tutejszego naczelnika kraju nie sięga do Petersburga, że on tam posiada nawet możnych i wpływowych przeciwników. Dotąd zawsze tak bywało, że przestępstwa polityczne, mające związek z polskim powstaniem, lecz w Petersburgu popełnione, tam były także sądzone... Pan właśnie znajdujesz się w podobnym wypadku, a jednak sprawa rozbiega się

tu w Wilnie i tutaj także sądzoną będzie... Czy wiesz pan, kto tak rozporządził?

— Któż? — zapytał K...wski nieśmiało.

— Najjaśniejszy Pan własnoręcznym gabinetowym ukazem na żądanie naczelnika kraju, który wysłał był po to umyślnego kurjera do Niemiec, gdzie car wtedy przebywał. —

K...wski opuścił głowę na piersi. Gogiel rzucił nań wzrok przenikliwy i tak dalej ciągnął, głos zniżwszy.

— Wiedzano, jakie tam macie związki w pewnych sferach, przewidywano, że połowa winnych uszłaby bezkarnie, że śledztwo prowadzono by bez energii... Naczelnik zaś chce się dobrać do kłębka... wyrwać zło z korzeniem... Czy pan sądzisz, że Najjaśniejszy Pan zgodziłby się być na to, gdyby nie było dowodów... jasnych, niezbitych dowodów? —

Gogiel mówił prawdę. Murawiew, zrobiwszy doświadczenie, że w Petersburgu nie tak ściśle biorą doniesienia wileńskich komisji i ich żądań nie spełniają ze zbytnią gorliwością, a zwłaszcza też nie tyle wagi przydają pozorom i domysłom, które powzięto z niejasnych zeznań strwożonych więźniów, w powyżej opisany sposób wyłudził od cara rozkaz przeniesienia śledztwa w sprawie Ohryski do Wilna. K...owski pojął całe znaczenie tego rozporządzenia i smutno milczał.

— Teraz pan rozważ dobrze, jak masz postępować... — prawil Gogiel dalej, widząc zamyślenie się K...wskiego. — Co może serdeczna przychyłność i szczere ubolewanie nad jego losem, wszystko uczynię, abyś nie był do końca zgubionym... lecz musisz rzec się dotychczasowego uporu... on się na nic nie zda, je vous assure, na nic!... I zresztą, co za nierozsądek!... rząd warszawski powieszony... wileński wysłany do katorgi... powstanie z kretelem upadło... Cóż pan z tej ogólnej katastrofy wyratujesz milczeniem? Pojmowałbym jeszcze, gdyby sprawa wasza stała się świetnie, albo była jaka nadzieja, że się podniesie... Ale tak, jak rzeczy dziś stoja... c'est, ma foi, de l'entêtement pur... i daremne, dalibóg daremne...

— Żadasz kapitan odemnie rzeczy prawdziwie niepodobnych... Przypuściwszy nawet, co nie jest, wierz mi kapitanie, że wiem cokolwiek, czyż szlachetnie postąpiłbym, gdybym zdradził zaufanie we mnie położone i ludzi w nieszczęście wprowadził?

— A pana nie wtrąconoż w nieszczęście?

— Czy kapitan podałbyś rękę temu, co to uczynił? — zapytał K...wski śmiało.

Gogielowi zaczęła ciężać rola szlachetnego i współczującego doradcy.

— Hm... c'est selon... savez-vous... — rzekł nieco

zaambarasowany — w czasie rozbicia okrętu, a w tym stanie panowie się znajdujecie, nie można brać za złe ludziom, że się ratują od zguby, wydzierając sobie wzajemnie deskę zbawienia... Zresztą cokolwiek byś nam pan powiedział, nie będzie dla nas nowiną. My tyle, tyle rzeczy wiemy!

— Na cóż wam jeszcze moich zeznań, przypuściwszy, że mam co do zeznawania? —

Taki zwrot rozmowy niecierpliwił widocznie Gogiela. Zauważył on, że K...wski w tej chwili zamiast mięknąć, umacniał się tylko w uporze. To mu cale nie było na rękę. Bał się, aby sprawy tak dobrze zaczętej nie pogorszył. Przybrał więc wyraz niezadowolenia i rzekł, jakby się czuł obrażonym.

— Pan ciągle widzisz we mnie śledczego sędziego... za współczucie płacisz mi szyderstwem...

— Ależ kapitanie! — przerwał K...wski.

— Pozwól pan... daj mi skończyć... inny na mojem miejscu vous planterait là i obmył by ręce... ja się tem nie dam jeszcze zrazić... wchodzę w pańskie położenie... są i pomiędzy nami ludzie, niech mi pan wierzy! Do tylu dowodów życzliwości dla pana dodam jeszcze jeden, lecz ostatni... proszę pana tylko, byś się kiedy nie wygadał przed pułkownikiem z tem, co teraz usłyszysz... miałbym ogromne nieprzyjemności. Pan powątpiewasz, że my wiele rzeczy wiemy... tu w tej tece leżą rozmaite zeznania osób, dziś już pod sądem się znajdujących, lub nawet na Sybir wysłanych. Wszystkie dotyczą się pańskiej i pańskich towarzyszywo spraw...

— Towarzyszów?... ja ich nigdy nie miałem, kapitanie!

— Posłuchaj pan, jedno z nich odczytam — ciągnął Gogiel dalej, nie zważając na przerwanie K...wskiego. Zarazem otworzył tekę, wyjął z pomiędzy papierów w niej ukrytych jeden i odstąpiwszy do okna zaczął czytać:

«Głównych osób myśmy nie znali, zaś jako petersburski komitet uważaliśmy porucznika gwardyjskiej konnej artylerji Władysława K...wskiego, porucznika inżynierji Emanuela Jundziłła, urzędnika Witalisa...»

— Lecz mniejsza o nazwy — przerwał sobie i spojrział na K...wskiego, który głowę znowu był opuścił na piersi, aby ukryć pomieszanie — jest tu więcej osób wymienionych... pan je znasz dobrze... idźmy dalej.

«W mieszkaniu Jundziłła zgromadzali się w przeznaczone na to godziny ci, którzy mieli jakikolwiek interes: jedni np. przynosili zebrane pieniądze, drudzy przychodzili po kwity, które wydawano na zapłacone podatki, inni poprostu dla odebrania jakichkolwiek roszczeń. Zwykle schodziło się kilka osób, często z sobą nieznanomych. Zatrzymywały się

one w pierwszej izbie. Jundziłł zwał każdą z osobna do drugiego pokoju i tam każdy z nim mówił, co było potrzeba. Zwłaszcza zaś w ostatnich czasach, kiedy zaczęto wyjeżdżać do powstania i potrzebne były świadectwa, paszporty, rządowe «podorożne»*) a niemniej i pieniądze na przejazd i zakupno rewolwerów, przychodziło wiele osób do Jundziłła, którego rzadko zastawiali w domu. Każdego razu jednak znajdowały karteczkę, w której była oznaczona godzina powrotu. Wtedy wszystkie schodziły się znowu...

— Pan widzisz, jak szczegółowo tu wszystko opisane... a dalej...

«W skutek tego kilka osób przygotowywało w mieszkaniu Jundziłła fałszywe świadectwa... Pieczęcie robiono zdaje mi się w następujący sposób...»

— I sposób ten szeroko i długo opisany... galwanoplastyka... męczyć pana nie będę jego odczytywaniem. Teraz zaś co się tyczy owych głównych osób, o których ten wiezień nie wie, odczytam drugie zeznanie. —

Tu przystąpił znowu do stołu, schował do teki arkusz, z którego czytał i szukając długo między papierami, wyjął inny.

K...wski ledwie ukrywał pomieszczenie; podtrzymanie jakiego takiego spokoju na twarzy ogromnie wiele go kosztowało, i wewnętrzna ta walka, aby się nie zdradzić przed instygatorem, nie dozwalała mu dostrzedz, że tenże pilnie go śledził. Zakłopotanie też więźnia nie uszło uwagi Gogiel. Dawniejsze współczucie na jego twarzy zastąpił teraz ów szyderczy, szatański uśmiech, który mu był właściwy i z którym tem mniej się ukrywał, ile że K...wski nie śmiał podnieść oczu na niego. Od czasu do czasu rzucał on także tryumfujący wzrok na szklane drzwi pokoju, w którym pułkownik był ukryty. Okna tych drzwi zasłonięte były wprawdzie z wewnątrz ciemno-zielonemi firankami; gdyby jednak K...wski, który siedział bokiem do nich zwrócony, był w stanie zwracać na wszystko, co go otaczało jakakolwiek uwagę i spojrzął był choć raz w stronę tych drzwi, byłby mógł dostrzedz niezawodnie, jak pilnie z nim śledziła z po za podniesionej nieznacznie zasłony para siwych, przenikliwych oczu.

— Oto choćby następujące miejsce — rzekł Gogiel, odstepując znowu do okna i przewracając arkusz, jakby czegoś w nim szukał.

«Po przybyciu do Petersburga miałem się postarać wyjść pierwszy z wagonu, tak żeby mnie łatwo można było zau-

*) Urzędowy, drukowany rozkaz na wydawanie koni na pocztowych stacjach.

ważyć i dopatrzeć umówionego znaku. Znak ten zaś na tem polegał, iż miałem trzymać chustkę u nosa. I wtedy to powinien był przystąpić do mnie mężczyzna lat 40, średniego wzrostu, i utkwic wzrok we mnie. Ja zaś...

— Słuchaj pan dobrze!... to miejsce ważne... — rzekł Gogiel, zatrzymując się w czytaniu.

«Ja zaś miałem powiedzieć do niego: «I. O.» prawdopodobnie początkowe głoski jego imienia i nazwiska...»

— Rozumiesz pan?... I. O... głoski imienia i nazwiska... mężczyzna średniego wzrostu, lat około czterdziestu... — dorzucił wzrok zwróciwszy na K...wskiego, który nie wiedział, jak mu było, kiedy posłyszał zeznanie i widział, jak Gogiel nań nastaje.

«... On zaś miał się mną zając — czytał ostatni dalej — i postarać, abym corychlej mógł wyjechać za granicę...»

— Czy wierzysz pan teraz, że my więcej wiemy, jak się panu zdaje? — zapytał głosem pewnym siebie, chowając arkusz do teki.

— Boże!... Ohry... — szepnął K...wski z rozpaczą w oczach tak jednak, że Gogiel tego słyszeć nie mógł. Kiedy ten ostatni przystąpił do stołu, K...wski już się był nieco opamiątał.

Obydwa przytoczone urywki autentyczne, dosłowne. Były one poczerpnięte z zeznań Mi...wskiego, porucznika wojsk moskiewskich, który przyjechawszy z Petersburga na Litwę, dowodził oddziałem powstańców, nie pamiętamy w którym powiecie... w trockim zdaje się. Po rosproszeniu swoich towarzyszy ukrywał się długo w nowogródzkim powiecie, wyczekując sposobnej do wyjechania za granicę chwili. Że zaś w owych czasach cała Litwa urządzona była, jak więzienie, i nikt z miejsca ruszyć się nie mógł, aby o tem nie dowiedzieli się żandarmi, w ogromnej liczbie po kraju rozsiadani, lub też inni urzędnicy policyjni, których także na każdym kroku było pełno, to i sposobność nie nadarzała się i paszportu żadną miarą nie było można dostać. Wreszcie też otrzymał takowy z Petersburga wraz z instrukcją, jak na dotrzeć do tego miasta. Wyjechał, lecz w drodze przytrzymał go, czy dla niedopełnienia jakichś formalności na paszporcie, czy dla innej jakiejś przyczyny, powiedzieć nie umiemy. Odesłano go do Wilna, gdzie po przewróceniu śledztwie okazało się, że paszport fałszywy. Wzięto się wtedy na ostro do Mi...wskiego i obszerne wyludzo zeznania. «Raskajał się czystoserdiecznie»... Wedle prawa czekała go szubienica, ulaskawiono go i wysłano tylko na wygnanie. Utrzymywano jednak, że w Wilnie jeszcze dostał pomieszczenia zmysłów, widząc jakie skutki przyniosło jego «czystoserdiecznie raskajanie».

Prócz przytoczonych, niedokładnych napomknien Mi...owski, śledcza wileńska komisja posiadała wówczas o Ohryse jeszcze jedną, bardzo ogólnikową, wzmiankę, która była wprawdzie drogocenną wskazówką, lecz prawnego, do aresztowania go w Petersburgu dostatecznego dowodu stanowić nie mogła. Jeden z onych «czystoserdecznie» za swoje przewinienia żałujących więźniów, krótko przed wyprawą na wygnanie, żegnając się z inkwizytorami, którzy go zjednali sobie zmiekczeniem kary, rzekł im był: «Podczas pobytu mego w Petersburgu, gdzie uczęszczałem na wszechnicę, oddany byłem Ohryse pod opiekę. Znam go i mówię: jeżeli chcecie wyrwać zło z korzeniem, jeżeli chcecie dojść do źródła, szukajcie w okolo petersburgskiego Ohryski. Posiada on swoją drukarnię i wy tam znajdziecie więcej, niżeli się spodziewacie. Szczegółów nie znam, lecz stamtąd zaczęła się robota. Jeżeli mnie usłuchacie, wyrwiecie zło, którego ja padłem ofiarą...»

Oczywiście, na podstawie takich urywkowych i w gruncie rzeczy niczego nie dowodzących wiadomości, które nadto mógł podyktować strach, zemsta lub tym podobne uczucie, nie można było rozpocząć rzeczywistego śledztwa przeciw człowiekowi, który mieszkał w Petersburgu i wysokie tam rządowe zajmując stanowisko, cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Komisja była moralnie o jego winie przekonana i gdyby był we Wilnia, aresztować by go nie zaniechano. Sięgnąć jednak do Petersburga po niego, nie mając nic innego, jak to cośmy przytoczyli, w rękę — nie śmiano. K...wskiego więc zeznanie, którego aresztowano w skutek zeznań Mi...wskiego, stawało się arcypożądanem.

— Vous voyez, poruczniku! — ciągnął kapitan dalej, widząc, że nie otrzymuje odpowiedzi na pytanie — w obec takich zeznań, a posiadamy ich więcej i dokładniejsze, nam, jako komisji, jest absolutement indifférent, czy się pan przyznasz, czy nie... je vous le repète, absolutement indifférent... dowodów dość dla moralnego przekonania... to zaś jak najzupełniej wystarcza, aby pana oddać pod sąd i... i...

— Upewniam kapitana, że nic a nic z tego nie rozumiem, co mi czytałeś przed chwilą — rzekł K...wski, który miał czas przyjść nieco do siebie po smutnych wrażeniach, jakie lektura kapitana na nim wywarła. Mówił jednak tak słabym i niepewnym głosem, że Gogiel mimowoli się uśmiechnął. — Ja znalazłem Jundziłła... nie przeczę... lecz nie wiązały mnie z nim takie stosunki... wszystko to zmyślane... przez człowieka prawdopodobnie, który albo się chciał zemścić na mnie za coś, albo też ze strachu mówił, co mu ślina na język przyniosła... Kapitan musisz przecie wiedzieć już z niejedno-

rotnego doświadczenia, co i jak to czasem ze strachu się gada...

— Panu widać nie pozwala opamiętać się uwaga, czemu ja, członek komisji, nastaje tak usilnie na to, abyś się pan sam przyznał, skoro mam tak jasne przeciw niemu w rękach moich dowody. Mais enfin, pojmij że pan, że ja w tej chwili nie rozmawiam z nim, jako inkwirent... ah, non! monsieur K...wski, je vous le jure, que non!... ja się domagam tylko zeznania, bo mi szczerze żal pana... bo wiem, co go czeka, jeżeli pozostaniesz upartym... Powiedz mi pan, czy pułkownik Łosiew i kapitan Siemionow, nastawali kiedy na niego, jak ja i Juhan?... Aucunement!... z górą miesiąc pan już siedzisz, lecz żaden z nich ani jednym słowem nie namawiał go do ustąpienia... c'est parce que vous ne les interessez point... im to wszystko jedno. Ja tylko i Juhan zainteresowaliśmy się pańskim losem... wiemy z kilkakrotnego doświadczenia, jak łaskawie naczelnik kraju postępuje z tymi, którzy szczerze swoich przekroczeń żałują... oto jedyny powód, dla czego jeszcze raz... ostatni, wierząc mi pan... postanowiłem próbować, czy mi się nie uda rozsądniejszym go uczynić... Et faut-il tout dire — dodał, wstając do krzeselka — to wiedź poruczniku, że nam obu masz tylko do zadowięczenia, że sprawa dotąd jeszcze nie została oddaną pod sąd wojenny... sans cela... pan wiesz, jak prędko się odbywają podobne rzeczy w obecnych czasach... Enfin, ja i Juhan nie jesteśmy żandarmi... młodsiśmy... samiśmy się molekali... pojmujemy... i wielką niesprawiedliwość byś nam pan wyrządził, gdybyś nas posądził o jakieś udawanie, o jakąś chęć wyciągnięcia pana na słowa... Fidone... ça n'est pas de notre metier! —

K...wski milczał. Co się w onej chwili w jego duszy działo, nie tak łatwo określić. On sam prawdopodobnie nie był by mógł zdać sobie z tego jasnej sprawy. Tak zręcznie wymierzone razy ogłuszyły go... upadał pod niemi, chwając się, jakby mu naraz ziemia z pod stóp zaczęła się usuwać. Jedna jeszcze nitka: bojaźń i wstyd zdradzenia i wtrącenia w nieszczęście tych, którzy mu niegdyś byli zaufali, powstrzymywała go od ostatecznego upadku. Lecz niestety, nitkę tę szarpała ciągle żądza zbawienia siebie od niechybnej, jak mniemał, zguby. Że zerwanie jej nie miało dać na siebie czekać długo, dziś stało się jasnem dla inkwizytorów.

Gogiel też osądził za pożyteczne przerwać posiedzenie, aby więźnia zostawić zupełnie pod wrażeniem tego, co mu powiedział. Perspektywa szubienicy wśród męczącej więzienia samotności zrobi swoje i dokończy dzieła tak pięknie zaczętego — myślał on, wspominając słowa pułkownika. Zatrzy-

mał się więc przed K...wskim i nadając głosowi znowu ów ujmujący za serce ton, którym tak doskonale władał, rzekł:

— Widzę, że pan zmęczony tem posiedzeniem... Ne m'en veuillez pas, je vous en prie... uczyniłem to wszystko w najlepszej myśli... et peut-être... j'ai du moins l'espoir... podziękujesz mi pan później kiedyś za to... Wróć pan teraz do swojej celi, reposez-vous un peu, cher Monsieur... pomyśl, rozważ i opamiętaj się... jeszcze czas!... Ah oui, je sais, jak to trudno dla człowieka de votre caractère spowiadać się z tego, o czem obiecał milczeć. Mais puisque vous ne sauriez nous dire rien de nouveau et comme tant d'autres ont parlé bien avant vous, j'ajaz tu może być zdrada, proszę pana?... Ach, mój panie, mój panie! gdybyś wiedział jakie osoby i co mówiły!... nie miałbyś, zaręczam, tyle skrupułów... nie upierałbyś się być cet insensé, qui se tient debout sur la brèche, quand tous les autres l'ont abandonnée... Quel honneur, je vous prie, et surtout quelle chance, d'être le défenseur d'une cause irrévocablement perdue?... No, pożegnaj pana teraz... pozwól mi mieć nadzieję, że moje zabiegi około uratowania mu życia — bo o nie tu chodzi — nie będą daremne... Idę po żandarma. —

I wyszedł po tych słowach do przedpokoju.

K...wski, będąc przekonany, że jest samym, wstał z krzeselka, wzniosł wilgotne oczy z rozpaczą do góry i rzekł półgłosem:

— Boże! wskaż mi drogę... podtrzymaj! o własnych siłach nie ustoję. —

I zakrył twarz obiema rękami. Zasłona u drzwi szklanych bocznego pokoju poruszyła się, jakby ją kto był opuścił.

Gogiel powrócił z żandarmem, który zatrzymał się w progu. Podeszedł do więźnia i wzięwszy go za rękę, przemówił w tonie zaufania:

— De tout cela pas un mot devant le colonnel et Sionionoff... je vous en prie! —

Potem odprowadził go do drzwi.

K...wski w odpowiedź ścisnął mu dłoń i pożegnał wzrokiem przepełnionym wdzięcznością... W przecieczu upadku on niejako rad był, że znalazł się człowiek, który mu podścielał poduszkę, aby mu oszczędzić zbytniego potłuczenia się... Powziął też wielkie do Gogiela zaufanie. Gdybyż choć mógł był zobaczyć twarz jego, z jaką po jego wyjściu zwrócił się ku drzwiom bocznego pokoju, w których właśnie pojawiła się promieniejąca postać pułkownika!

— Brawo, brawo, kapitanie! — rzekł ten ostatni, śmiejąc się i podając rękę Gogielowi — myślałem, że wytrzyma jeszcze ze dwa tygodnie, dziś jestem pewny, że jutro, najdalej

pojutrze wypowiada się ze wszystkiego... Dziarsko się wzięłeś do niego kapitanie! winszuję ci!

— Trzymałem się tylko wskazówek pułkownika i miałem sposobność jeszcze raz się przekonać, że są niemyślne — odparł Gogiel skromnie, komplement za komplement oddając.

— Główna rzecz, nie tracić cierpliwości! — mówił Łosiew, siadając na swoim miejscu. — Na niecierpliwość, której nie mała dozę posiadają ci panowie, najlepsze to lekarstwo... doświadczone... dotąd ani razu mnie jeszcze nie zawiodło. Gdybyśmy byli od razu na niego nacierali, byłby się domyślił, że mało wiemy... a tak, zostawiony sobie tak długo, dziś już przyszedł tu na wpół skruszony i złamany... To kobietka, co chętnie się podda, byle zachować pewne ceregiele... Muszę przyznać, że kapitan to umiesz doskonale... wybornie. —

Gogiel się uklonił.

— Jednak ciągle się jeszcze opiera — rzekł po chwili.

— Ale słabo... bardzo słabo!... patrzyłem ciągle na niego, strasznie nerwowo panicz... chował się widać między babami. Największe nasze szczęście, że Polacy głupcy... wybierali sobie na przodowników, na filary ojczyzny, jak ich nazywają, słabiuchne trzciny, mazgajów... no!

— Pułkownik daruje, że wystąpię w ich obronie... — odparł Gogiel uśmiechając się. — Mielśmy dotąd z wielką z nich do czynienia, wszystkiego od żadnego nie dowiedzieliśmy się... A i to, cośmy wydusili, ileż trudu kosztowało?

— Im większy tuz, tem większa baba, tem doskonalszy tchórz... mało wyjątków... Pomnisz kapitanie tutejszych matadorów, jak się pięknie poprzyznawali, aby ująć szubienicy? — Rozśmiał się. — Z żandarmami i powstańcami dziesięć razy więcej mieliśmy do czynienia... Ci wierzyli przynajmniej w sprawę, za którą poszli do lasu. Tamtych nęciła łatwa i bezpieczna sława, lecz kiedy przyszło za nią płacić, nie stało im odwagi...

— Trudnoż im się było oprzeć pułkownikowi!... inna komisja tak łatwo nie była by sobie z nimi dała rady.

— Tak, nie przeczę... obchodzić się z nimi umiem... lecz wszystkie środki moje obrachowane są po większej części na słabe charaktery i tchórzów, a to nie wielki zaszczyt dla tych panów... Prawda i to, że niejeden, co zginałby odważnie na polu bitwy, nie oprze się długiemu więzieniu i sposobowi badania, jakiego używamy... W takich wypadkach nie ma jak terroryzm!... Z wystraszonymi zrobisz co chcesz, i dobrze mówią, że strach ma wielkie oczy.

— Ja nigdy nie przypuszczałem, aby K...wski dał się tak prędko skruszyć — rzekł Gogiel po chwili milczenia. — Do niedawna był niby niedostępnym.

— W pierwszych chwilach każdy z nich taki... Ja? zdradzić?... nigdy!... Ale wpływ samotności więziennej, bojaźń kary, rozgorączkowana wyobraźnia z czasem zawsze prawie swoje zrobią... Łowić ich potem można, jak muchy. I to im wyżej z nich który stał, i bezpieczniejszym się mnie-
mał od więzienia, tem łatwiej się daje podejść... Na K...owski-
skiego zaś działa jeszcze miłość, tęsknota za narzeczoną...
brak wygód wreszcie, do których przywykł... z nim naj-
mniejszych już trudności mieć nie będziemy... Powiesz
kapitan dziś dozorcę, aby skoro zażąda papieru do pisania,
dostarczyć mu go bez żadnej zwłoki. Ja pośpieszę do naczelnika
kraju donieść mu, co zaszło — dodał, powstając i patrząc
na zegarek.

Pułkownik chciał już brać płaszcz na siebie, który wisiał
w przedpokoju, kiedy na wschodach dały się słyszeć prędkie
kroki i we drzwiach zjawił się zadyszany i wylęknięty
żandarm.

— Dwudziestemu trzeciemu zdarzył się jakiś przypadek,
wielmożny panie! — odraportował — upadł na ziemię w celi,
pianę z ust puścił, zaczął śmiać się, to płakał znowu...
ledwieśmy go na łóżko położyć mogli we trzech, tak się
rzucił... Teraz dozorca jest przy nim. —

Wiadomość ta niespodziewana widocznie nie podobała
się pułkownikowi; zamyślił się przez małą chwilę. Potem,
jakby sobie nagle coś przypominał, wybuchnął głośnym śmie-
chem i zwracając się do Gogiela, który mu towarzyszył był
do przedpokoju, rzekł:

— Spazmy!... doskonale!... otóż to mi członek rządu
narodowego... aż miło! A z jakiejże przyczyny właściwie
ten przypadek mu się wydarzył... nie wiesz? — zapytał
żandarma.

— Nie wiem, wielmożny panie! — odparł tenże — Spro-
wadziłem go stąd i zamknąłem w celi zupełnie zdrowego.
Potem jak zwykle, popatrzyłem cichutko przez okienko, co
robi. Stanął przy oknie, patrzył długo na dwór; przeszedł
się ze dwa razy po numerze, nareszcie rzucił się na łóżko i po
chwilu zaczął głośno płakać i śmiać się na przemian... jakoś
tak dziwnie, że strach było słuchać. Otworzyłem znowu
drzwi i wszedłem do celi. Tu zerwał się z łóżka i upadł
jak długi na ziemię, bijąc rękami i nogami...

— Żeby mu się tylko co nie stało — zauważył Gogiel.

— Spazmy, proste spazmy... — odparł Łosiew. — Po-
śląc po doktora! — rzekł potem do żandarma.

— Już posłano dorożkę, wielmożny panie.

— Nic, to nic... przejdzie! — upewniał Łosiew, wcią-
gając przy pomocy Gogiela płaszcz na siebie — zwykle ko-
biecie spazmy, tylko trochę silniejszy napad... on tak uczucio-

wy! To najlepszy dowód, że dzisiejsza rozmowa poskutkuje...
Zresztą odwiedź go kapitan, zobacz czy nie ma niebespie-
czeństwa, i daj mi znać, co doktor powie. —

Wszyscy trzej opuścili przedpokój. Gogiel z żandarmem
udali się do wnętrza więzienia, pułkownik pośpieszył zaś do
miasta.

Cela K...owskiego stała otworem. Kiedy Gogiel i żan-
darm nadeszli, służący-żołnierz wynosił z niej właśnie wysokie
blaszane naczynie, które wydawało z siebie nieznośny smród
amoniakowy. Dozorca-oficer, męszczyzna lat średnich, brunet,
z wygolonym podbródkiem i bokobrodami à la car, w któ-
rym na dziesięć kroków można było poznać burbona, t. j.
człowieka, co się dosłużył oficerskiego stopnia od prostego
żołnierza, pracował nad otworzeniem wapnem zamazanego
okna, aby odświeżyć stęchłe powietrze celi. Szło mu to
z trudem, ponieważ okno, jak widać, od lat wielu nie było
odmikanem. Na łóżku, pokrytem szarym kocem, leżał K...ow-
ski, zmieniony nie do poznania. Ręce i nogi konwulsyj-
nie miał skurczone, twarz do śmiechu, zmieszanego z płaczem
skrzywioną, z posiniąłych ust toczyła się piana, oczy w ślup
postawione. Od czasu do czasu pierś wysoko i szybko się
podnosiła i wydawał wtedy jakieś niesamowite krzyki — szlo-
chał i śmiał się razem. Oczywiście o tem, co się działo około
niego, nie miał żadnego wyobrażenia; nie poznawał nikogo.

Gogiel zobaczywszy to wszystko przeląkł się... prze-
raził. Usiadł na łóżku, wziął chorego za rękę, przemówił
słów kilka... daremnie. Parokyszem następował po parok-
szymie, nie zostawiając chwili wytchnienia.

— Co się z nim stało? — zapytał dozorcę, który wre-
szcie z trzaskiem oderwał nabrżekle od wilgoci ramy okna
i dał przystęp świeżemu powietrzu, co z siłą wciskało się
z zewnątrz, powiewając i przerywając gęste pajęczyny, roz-
wieszzone na kracie. — Przed chwilą rozmawiał ze mną, jakby
mu nie nie brakowało... zmęczony był tylko...

— Nie wiem! — odpowiedział dozorca — Skoro mi
dano znać, przybiegłem i zastałem go w takim stanie, jak
teraz. — Prócz szlochów, nie mogłem ani słowa dobyć z nie-
go... żeby tylko wytrzymał i nie umarł nam, nim doktor
przybędzie. —

W tej chwili dały się słyszeć szybkie kroki na korytarzu.
Do celi wszedł człowiek średniego wieku, w oficerskim płas-
zczu, bardzo sympatycznej powierzchowności. Ledwie pozdro-
wiwszy obecnych, przystąpił do łóżka, wziął słabego za rękę,
i badał puls podczas parokyszmu, który właśnie był się
powtórzył po dłuższym nieco przestanku. Zarazem wyjął
z bocznej kieszeni małą fiaszeczkę i odkorkowawszy, przyło-

żył ją K...wskiemu do nosa. Długo tak stał, wzroku nie spuszczał z oblicza kurczącego się i wijącego chorego.

— Jak dawno znajduje się w takim stanie? — zapytał.

— Minut dwadzieścia, nie więcej — odpowiedział dozorca.

— Naczynie odchodowe stoi w celi... oczywiście... na przechadzkę nie chodzi... okna zawsze zamknięte... czytak? —

Dozorca potwierdził skinieniem głowy.

— Jaki powód tego przypadku? —

Dozorca opowiedział, co mu było wiadomem, dodając że paroksyzm nastąpił wkrótce po przybyciu więźnia z sali śledczej komisji.

— Ja z nim tylko rozmawiałem... zupełnie spokojnie — pośpieszył objaśnić Gogiel.

Tu nastąpił nowy napad. Doktor znowu przyłożył flaszeczkę do nosa.

— O tak... spokojnie... znamy to! — rzekł cierpko, prawie gniewnie, nie darząc kapitana nawet wzrokiem. — Panowie jesteście bez litości... nie macie za grosz serca. W waszych oczach każdy więzień to przedmiot, na którym robicie doświadczenia waszych inkwizytorskich zdolności... znamy to... mieliśmy przykłady!

— Zaręczam pułkownika, nie takiego nie było!

— Mam dowód przed sobą!

— Czy jest niebezpieczeństwo? — zapytał Gogiel.

— Niech mi żandarm spieszy, co może, do najbliższej apteki... żadna sól się tu nie przyda... trzeba go chloroformować... Oto recepta! — rzekł doktor, nie zwracając uwagi na pytanie kapitana. I wręczył dozorecy wydartą z pugilaresu kartkę, na której napisał słów kilka. Żandarm otrzymawszy ją od tego ostatniego, wybiegł z celi.

— Trzeba go będzie przenieść do szpitala... tu w tym lochu nie biorę na siebie jego wyleczenia — mówił dalej.

— Niepodobna, pułkowniku! — odparł Gogiel.

Doktor spojrział na niego wzrokiem, w którym przebijało się zdziwienie, a jeszcze więcej oburzenie.

— Niepodobna! — powtórzył kapitan sucho.

— Poproszę naczelnika kraju! — odparł doktor gniewnie.

— Pułkownik Łosiew nie zgodzi się na to...

— Więc chcecie, żeby umarł?... nerwy jego zupełnie rozstrojone... jeden, dwa takich ataków jeszcze i po nim... tu, w więzieniu, za nic ręczyć nie można...

— Oto, widzisz pułkowniku! już mu lepiej... kurcze go opuszcili... czy nabierają blasku. —

K...wski zaczął rzeczywiście przychodzić do siebie po krótkim wytchnieniu. Spojrzął na dozorcę, na doktora, ujął tego ostatniego za rękę i długo jej nie wypuszczał.

— Co ze mną doktorze? — zapytał słabym głosem.

— Leż pan cicho... nie mów wiele... atak nerwowy... przejdzie! —

Gogiel, który stał za doktorem, zbliżył się także do łóżka. K...wski zobaczywszy go, chciał coś przemówić, lecz wzdrygnął się, skurczył i znowu nerwowo śmiać się począł i szlochać. Doktor był przekonany, że obecność kapitana, nieprzyjemne na więźnia sprawiając wrażenie, stała się przyczyną tego nowego paroksyzmu.

— Opuść pan celę! — zawołał ostro do Gogiela. — Widzisz pan przecież, że nie może znieść jego widoku... Proszę wyjść... rozkazuję, na moją odpowiedzialność... inaczej rady sobie nie dam. —

I zaczął się krzątać około chorego. Gogiel usłuchał w milczeniu.

Człowiek, który w ten sposób opiekował się więźniem i tak szorstko i bezceremonialnie obchodził się z członkiem śledczej komisji, był przybocznym lekarzem Murawiewa, pułkownik Fawelin. Dzięki stanowisku, które zajmował i nadzwyczaj ludzkiemu usposobieniu, które go od innych urzędników murawiewskich bardzo korzystnie wyróżniało, wiele dobrego robił dla więźniów, których był lekarzem. Urząd ten wyprosił sobie sam ponoś u naczelnika kraju, który go wielce poważał. Znał go też wszyscy, co u Dominikanów podówczas siedzieli, jako człowieka szlachetnego. Z komisją ciągle prowadził wojnę o więźniów. Nie czekał, póki go do słabego zawołają. Sam, przynajmniej raz w miesiąc odwiedzał wszystkich, wypytywał ich o zdrowie i jak mógł łagodził cierpki ich los. Temu wyjednał pozwolenie przechadzki po ogrodzie, tamtemu czytania książek, innemu palenia tytoniu i t. d. Był istną dla dręczonych opatrnością. Pułkownik Łosiew, wiedząc jak go wysoko Murawiew cenił, rzadko mu czego odmawiał.

— Czy pan możesz kazać przenieść chorego do lepszej celi, jeżeli tego zażadam? — zapytał dozorecy.

— Bez poprzedniego uwiadomienia komisji nie, pułkowniku! — odparł tenże.

— Więc zapytaj pan kapitana; powiedz, że to konieczne... od tego nie odstąpię! —

Dozorca wybiegł na kurytarz. Po chwili wrócił, i oświadczył, że mu wolno postąpić według żądania doktora. Nadbiegł i Sergiej z medycyną, za pomocą której udało się wkrótce Fawelinowi usnąć K...wskiego i przywieść nerwy do spokoju. Natychmiast potem przeniesiono go do czystszej i widniejszej celi. —

Upłynęło dni kilka, nim K...wski przyszedł do siebie, dzięki głównie staraniom Fawelina, który go codzień, czasem dwakroć, zawsze oczywiście w towarzystwie dozorczy odwiedzał i wymógł, że go przez ten czas zostawiono zupełnie w pokoju. Bardzo niechętnie zgodził się na to pułkownik. Odmówić jednak nie było sposobu, ponieważ Fawelin wręcz oświadczył, iż nie ręczy za życie więźnia, skoro jeden jeszcze atak nastąpi, tego zaś z pewnością spodziewać się należy, jeżeli więźnia przed czasem męczyć zaczął badaniami. Chciał nawet, kiedy się Łosiew zbyt formalizował, wyjednać u Murawiewa odpowiedni rozkaz, i Łosiew wiedział, że byłby to był do skutku doprowadził. Ustąpił więc, zwłaszcza, że i jemu chodziło o to, aby K...wski rychlej do zdrowia przyszedł. Ale wytargował to przynajmniej, iż zamiast trzech tygodni, których Fawelin z początku żądał, postanowiono go zostawić w pokoju tylko dni dziesięć.

W lepszej celi, przy odpowiedniej dyecie i codziennej po ogrodzie klasztornej przechadzce, której mu za staraniem doktora pozwolono, K...wski już przy końcu tygodnia dawniejsze odzyskał zdrowie, zwłaszcza, że skracając sobie czas czytaniem książek, których mu także doktor dostarczał, i robótkami z chleba, do których go zachęcił, odrywał się od smutnych myśli, na jakie go naprowadzało wspomnienie ostatniej z Gogiem rozmowy.

Długo jednak ten względny spokój trwać nie mógł. Coraz częściej wieczorami, kiedy się kładł do spoczynku, przedstawiała mu się okropna alternatywa szubienicy, albo zdrady... coraz dłużej zastanawiał się, rozmyślał, kombinował na ten straszny temat. Im szczegółowiej przypominał sobie treść rozmowy z kapitanem, tem mocniej się przekonywał, t. j. tem silniej wmawiał w siebie, że wobec dowodów przestępstw jego, które komisja posiada, zaprzeczanie i upór na nic się zdadzą. Nie wątpił także, że kara, która go czeka za te przewinienia, mniejszą od szubienicy być nie może... Był wojskowym i zarazem członkiem tajnego komitetu rewolucyjnego w Petersburgu; dla Murawiewa tego aż nadto było dosyć, aby na śmierć konfirmować. Wszyscy wojskowi dwakroć srożej byli karani, jak cywilni.

Czasem, prawda, przypominając sobie urywki zeznań, które mu Gogiel odczytał, nie mógł w nich dopatrzeć jawnych dowodów. Nie domyślał się, kto zeznania owe pisał, widocznym dlań było przecie, że uczynił to nie we wszystko wtajemniczony. I wtedy to przychodziły mu na myśl owe zabiegi, jakie czynił razem z towarzyszami, aby ukryć i zatrzeć wszystkie ślady, i zdawało mu się istnie niepodobnem, aby rząd, prócz nie określonych, dowodami nie popartych domysłów i podejrzeń, mógł posiadać inne jakie dane, w sku-

tek których mógł by go być potępić. Tego dowodziło poniekąd i postępowanie komisji. Czyż nie domagano się przedewszystkiem jego zeznań? Dla czegoż, jeżeli winą jego nie podlegała wątpliwości, zwlekano przedstawienie mu dowodów? Wszakżeż to była najprostrza droga do zmuszenia go do przyznania się... Gogiel wprawdzie mówił o innych dokładniejszych zeznaniach, tłumaczył, dla czego go namawia do wyznania winy — lecz można mu wierzyć? Stanowcze, wytrwale zapieranie się więc, dotąd przynajmniej, dokąd będzie możebnem, zdawało mu się w takich chwilach jedynem możliwym i rozsądnem postępowaniem, jedyną bezpieczną drogą do wyjścia zwięzłego z tej matni. Nadto zachodziła i ta jeszcze okoliczność, że dwaj wymienieni w owych zeznaniach spółnicy, Jundziłł i Witalis Opocki zdołali się ukryć; pierwszy bowiem uciekł ze szpitala w chwili kiedy go miano z Petersburga, gdzie był przyaresztowany, odwieść do Wilna, drugi znikł z miejsca, gdzie przybywał. K...wski wiedział o tem. Był niemal pewnym także, że i ów I. O. t. j. Ohrysko nie był jeszcze uwięzionym, albowiem w takim razie komisja zupełnie inaczej była by postępowała. Wszystko to mówiło za tem, aby milczeć, wypierać się, nie przyznawać...

Ach, i on nie potrzebował by był siedzieć obecnie we więzieniu, gdyby był usłuchał w porę mu przez Ohryskę z Petersburga przysłanego ostrzeżenia i wyjechał za granicę z Kijowa... nieszczęsna miłość go przykuła do miejsca... Sądził, że wszystkie ślady tak doskonale zatarte, iż gdyby go nawet uwięziono, dowieść mu niczego nie potrafia. Ostrzeżenie więc puścił mimo uszu, został, czekał i doczekał się samochcą nieszczęścia. I jakżeż było można zresztą przewidzieć, że Murawiew ściągnie sprawę do Wilna, do komisji, która uchodziła za pierwszą w całym państwie i o której zręczności cuda opowiadano... W Petersburgu, gdzie były znajomości, plecy, wpływy, byłoby się można łatwo wytłumaczyć i wywinąć... ale tu...? Będą męczyć, więzić, dręczyć... złamiają, zdrowie odbiorą... I pożytek wytrwałości w zapieraniu się znowu mu się tu wydał arcy-problematycznym... Rozstrząsał zachowanie się kapitana, rozważał jego współczucie, które mu zawsze okazywał, jego narażanie się nawet na nieprzyjemności... Wszakże mu Gogiel zdradzał tajemnice, których on, jako więzień, nigdy nie powinien był wiedzieć, jak np. sposób, w jaki cała sprawa do Wilna ściągnięta została... Nie byłoż to jasnym dowodem, że komisja wie wiele i posiada pewne dane?... Nie, nie, Gogiel zacny człowiek, on do takiego piekielnego podstęp nie zdolny... za młody... nie żandarm... to prawda, co mówił... mają dowody, oddadzą pod sąd... powieszają...

Powiesz... i narzeczonej-aniola nigdy nie zobaczy!... okropna!

Tu już jako jedyny ratunek, przedstawiał mu się sposób, który mu podsuwał i do którego zachęcał Gogiel: przyznanie się do winy... odkrycie wszystkiego... zdrada... Wzdragał się na wspomnienie tego słowa, odpychał od siebie, odwracał się od niego, lecz też natychmiast spotykał się oko w oko z innym nie mniej mu wstrętnym przedmiotem: szubienicą... i jużci wracał do pierwszego. Rady i namowy Gogiela stawały się tym magicznym wzrokiem gadziny, co ptaszkę zmusza do mimowolnego oddania się na pastwę... i tem większa była ich siła przyciągająca, ile że przyćmiony bojaźnią strasznej śmierci wzrok K...wskiego fałszu w nich dopatrzeć nie mógł.

W rzeczy samej, cóż uratuje, gdy wszystko stracone? co zdradzi, gdy wszystko wieść? Będzie to można nazwać zdradą, jeżeli powtórzywszy im rzeczy wiadome, uda żal, będzie prosić przebaczenia, łaski? Wszakże sam do nich nie przyszedł... aresztowano go w skutek doniesienia podłego jakiegoś zdrajcy... rozsądzać rzecz gubić się dla fałszywego punktu honoru?... Gdyby się to było jeszcze zdarzyło, kiedy powstanie było potężne, ha!... jako przywódzcy, członkowi komitetu, łaski i przebaczenia prosić nie było by wypadało... Wtedy trzeba by było umrzeć odważnie, pokazać, że idea, którą się szerzyło, wartą była ofiary, zostawić dobry przykład innym... Ale teraz, komu i na co się przyda śmierć jego? Nie lepiej zachować się na przyszłość?

I tysiączne tym podobne sofizmy jawiały się jak na zawołanie, aby mniej obydnym uczynić, uniewinnić, rozsądnym nawet przedstawić postępek, do którego go bojaźń przed szubienicą i chęć ominięcia tej śmierci ciągnęły...

Śród tej wewnętrznej walki, grubemi oczwiscie tylko linjami narysowanej, upłynął dzień jeden i drugi. K...wski wahał się. Szala czasem na tę, czasem na ową stronę się przeważała. Późnemi wieczorami godził się już z myślą, podsunęta mu przez kapitana; rano, po pokrzepieniu snem nerwów, odrzucał ją stanowczo. A tak sprzecznymi uczuciami miotany dnia dziewiątego nie jeszcze nie był postanowił.

Łosiew słowa dotrzymał; w przeciagu całego tego czasu ani razu go nie trwożył. Dozorca tylko, pod sekretem, powiedział mu, że Gogiel i Juhan ciągle bardzo troskliwie się o zdrowie jego dopytują i byłiby go z pewnością już odwidzili, gdyby nie usilne domagania się Fawelina, aby tego zaniechali.

Dziesiątego dnia wreszcie wieczorem zjawił się w jego celi Gogiel. K...wski leżał na posłaniu. Chciał powstać i powitać kapitana.

— Leż pan, proszę go... zaklinam! — rzekł tenże, chwytając go za ręce i zmuszając do zostania w dawniejszej postawie. Usiadł zarazem na łóżku i rąk K...wskiego ze swoich nie wypuszczał. — Nie mogłem dłużej wytrzymać, aby pana nie odwiedzić... dozorca powiedział mu zapewne przyczynę, dla której dotąd tego nie uczyniłem... doktor tak dziwny człowiek... robi mi, wyobraź pan sobie wyrzuty, że to ja przyczyną nerwowego ataku... Czyżby tak było, panie K...wski?

— Cóż znowu, kapitanie?... bynajmniej... czyż i bez pana nie ma dość przyczyn?... Położenie moje smutne... więzienie... — pospieszył odeprzeć K...wski.

— Bylbym prawdziwie w rozpacz...

— Ale bądźże kapitan spokojny... owszem, ja nieskończenie wdzięcznym mu jestem za ową chwilę rozmowy...

— N'en parlons pas, je vous en prie!... Zabiegłem dziś do pana, najprzód żeby się upewnić, że nie masz do mnie żalu, potem żeby mu doręczyć dwa listy, które nadeszły na ręce komisji nieco dawniej już, które jednak dopiero dzisiaj udało mi się u pułkownika wyprosić... Nie uwierzy pan, jak mi to trudno było — mówił podając mu dwa rozspieczowane listy. — Chciał je koniecznie zatrzymać, póki ze sprawą razem nie odeszle do audytorjatu...

— Do audytorjatu? — zapytał K...wski z trwogą w głosie, kładąc listy, na które ledwie spojrział, obok siebie. — Wszakże śledztwo nie skończone...

— W jego mniemaniu już... lecz na Boga, nie mówmy o tem... pana to widocznie dręczy... na co to?... jam nie dla tego przyszedł... Listy od ojca i narzeczonej... odczytaj pan je, to mu pewnie ulgę przyniesie.

K...wski westchnął.

— Ja nie będę dłużej przeszkadzać, odejdę... mam po uszy do roboty! — Tu wstał i podał rękę K...wskiemu.

— Dla czegoż tak krótko kapitanie? — zapytał tenże smutno.

— Choćby już dla tej przyczyny, że nie chcę mówić z panem o sprawie, do czegobyś mnie niezawodnie zmusił... a panu potrzeba spokoju... Żegnaj, żegnaj serdecznie... nie wstawaj proszę! —

I wybiegł co rychlej z celi, ścisnąwszy raz jeszcze rękę K...wskiego.

Odwiedziny te, jak się łatwo domyślić, nie były przypadkowe. Komisja wiedziała o stanie umysłowym, w którym się K...wski znajdował. Sergiej, żandarm, godzinami szpiegował przez okienko drzwi celi, które, zasłonięte zewnątrz, z korytarza każdej chwili nieznacznie było można odsłonić, i o całym zachowaniu się K...wskiego jak najbardziej

szczegółowe zdawał raporta. Że zaś więzień, mniemając się samym, nie ukrywał ani na twarzy ani w zewnętrznym zachowaniu się tego, co się w duszy jego działo, to nie trudno było pułkownikowi czynić wniosków o każdorazowym jego usposobieniu i stósownej wybierać chwili do interwencji, jak powyższa.

— I ten człowiek miałby mnie chcieć podejść?... Nie... nie! on za młody, za szczery i za otwarty, aby tyle wyrafinowanego posiadał fałszu... — rzekł K...wski do siebie po oddaleniu się kapitana. Wstał z łóżka, spojrzął na listy, przycisnął jeden z nich do ust i zaczął niespokojnym krokiem przechadzać się po celi.

Na dworze już ciemniało, światel jeszcze słudzy nie byli poroznosili po celach.

— Do audytorjatu... stamtąd za kilka dni do sądu wojennego... a potem?... potem, rzecz wiadoma... Łukiszki! — szepnął z rozpaczą w oku, usiadł na łóżku i twarz gorącą do poduszki przycisnął... Płatało mu się w głowie... w uszach szumiało... przed mokrzymi od łez i w poduszkę wciśniętymi oczami iskry biegały.

Leżał tak z dziesięć minut.

— Tak młodo ginąć! — to była fraza, którą w duchu ciągle powtarzał.

Po chwili przewrócił się na znak, ręce pod głowę założył i wzrok utkwiał w powale. Porysowana jej powłoka wapienna wydała mu się dziwnymi jakiemiś figurami pokryta. Zaczął je odgadywać, chcąc się pozbyć strasznych myśli. Daremnie... ciągle wracały... i na powale odkrył szubienicę...

Podniósł się znowu, chodził, siadał, do okna przystępował... miejsca sobie znaleźć nie mógł. Czyżby to mogło być, aby go bez śledztwa prawie pod sąd oddano?... Do niczego się nie przyznał z tego, co mu zarzucano w komisji, niczego mu nie dowiedziono, nikogo do ócz nie stawiano... słowem żadnych form, prawem przepisanych, nie spełniono... na jakichże danych sąd oprze swój wyrok?... Na jakich danych?... na moralnem komisji przekonaniu! Alboż takie rzeczy nie powtarzały się za rządów Murawiewa?

Próbował nawet pogodzić się z myślą kary śmierci. Tyle mu ludzi przychodziło na myśl, co z godnością życie za sprawę oddali. Przypominał sobie, jak ich w towarzystwach, do których uczęszczał, chwalono, wynoszono, świętą czią bohaterów i męczenników otaczano. Powtarzał w duchu, co sam o nich mówił, co trzymał, i jak się o tych wyrażał, którzy nie umieli wytrwać. Miałżeby obecnie tym ostatnim stać się podobnym, niedorównawszy pierwszym, z których kilku było jego kolegami? Zwierżdowski (Topor),

Sierakowski, Podlewski!.. Co powiedzą znajomi? jak go osądzą ci, w których piersiach sam rozgrzewał patryjotyzm i do ofiar pobudzał? jak się o nim odezwie historia, która uniewinni i wytłumaczy słabość ducha tego lub owego powstańca, nigdy jej jednak nie będzie mogła przebaczyć temu, który w organizacji narodowej tak wysokie zajmował stanowisko.

Na bladym więźnia licu cała ta straszna walka malowała się jak najwyraźniej. W oczach i rysach twarzy to się rozpacz odbijała, to błyskał ogień męstwa — niestety, nienaturalnego...

Przyniesiono światło i mały miedziany samowar. K...owski zalał herbatę i jał odczytywać listy. Nie zawierały one nic oczywiście, prócz ogólników, ubolewań, współczucia. Narzeczona tęskniła, opisywała swą rozpacz i swoje nieszczeście; wyrażała przekonanie o jego niewinności i nadzieję rychłego zobaczenia go.

Zobaczenia!... mogłoż to nastąpić inaczej, jak po spodleniu się i zdradzie?... czyż nie wyrzekłaby go się w takim razie?... Nie, nie! on się nie spodli... niech co chce nastąpi, on się nie przyzna, nie wyda nikogo...

Coś jednak wypadało mu uczynić, aby wyjść z okropnej niepewności. Wszak on dotąd nie wiedział, o ile silnie były dowody, na podstawie których go obwiniano, że był członkiem centralnego komitetu. Komisja zostawiała go co do tego punktu w kompletnej niepewności. Dawano mu nieraz do zrozumienia, że wiedziano wszystko, lecz bliżej nie objaśniano. Tymczasem nie podlegało wątpieniu, że Ohrysko jeszcze nie aresztowany, a prócz Jundzilla i Opockiego, którzy uciekli, innych wskólników nie wspominano... oczywiście nie wiedziano. Tak, tak... z tej niepewności trzeba było wyjść koniecznie!.. Postanowił więc nazajutrz rano już prosić, aby go zaprowadzono do komisji. Chciał od niej zażądać, aby mu sformułowała pytania, na które on szczerze i otwarcie odpowie. Jużei te pytania dadzą mu najlepszą miarę tego, co komisja wie o nim.

W tych myślach usnął, a przebudziwszy się i rostrząsnawszy jeszcze raz w duchu zamiar, uznał, że jest całę rozsądnym i jak najodpowiedniejszym położeniu sprawy. Z niecierpliwością więc oczekiwał dozorczy, który codzień rano odwiedzał wszystkich więźniów. Ten oczywiście bez najmniejszej zwłoki zakomunikował pułkownikowi żądanie K...wskiego.

K...owski był pewnym że go wezwą natychmiast. Omylił się. Łosiew zanadto doświadczoneym był inkwirentem, aby nie wiedział, że wyczekiwanie spełnienia życzeń w wysokim stopniu drażni i denerwuje więźnia. Żądanie K...wskiego

było jasnym dowodem, że opór mięknąć poczyna. Mała zwłoka mogła go więc tylko lepiej jeszcze do upadku przysposobić, ponieważ dawała mu poznać, że komisja nie bardzo się kwapi dowiedzieć się cokolwiek od niego. Dopiero na drugi dzień o godzinie dziesiątej wezwano go.

Prócz pułkownika i Gogiela siedział przy stole jeszcze jeden wojskowy, który zajmował miejsce naprzeciw kapitana. Był to porucznik Teodorów, mężczyzna lat około czterdziestu. Całą jego zaletą było, że pisał kaligraficznie. Niczem on też w komisji nie zajmował się, prócz przepisywania i powierchowność jego dostatacznie już zdradzała, że do niczego więcej nie był zdolnym. Był to typ moskiewskiego, bezmyślnego przepisywacza urzędowych papierów, jak go wydały mikołajewskie czasy. W danym razie odkopiowałby on własny wyrok śmierci, nie domyślając się o co rzecz chodzi. Na nieruchomej, wszelkiego charakteru pozbawionej i żółtej twarzy, życie zdaje się zastężyło w skutek długoletnich, mechanicznych zajęć; nie mogły go jej dodać i oczy bez blasku i wyrażenia, co rzadko kiedy podnosiły się z papierów, nad któremi i teraz śleczął. Istna, rzekłbyś, chodząca maszyna do kopjowania, trochę już od nadmiaru pracy skrzypiąca. Porucznik bowiem pokaszliwał, był zgarbiony i suchy, a raczej zasuszony jak mumia. Pisał powoli, z uwagą, jakby sztychował każdą głoskę i dziwacznie przytem wykręcał usta, to w tę to w oną stronę język posuwając. Mundur miał strasznie wytarty, na wszystkie guziki zapięty. Spodnie na suchych nogach wyglądały jak worki na tykach. Włosy nosił strzyżone podług formy, t. j. krótko, jak je żołnierze nosili; zaczesywał je naprzód na skroniach, co obliczu przydawało cechę niezwyklego pedantyzmu. Kiedy skończył stronnicę i czekał, póki nie wyschnie, aby ją na drugą stronę przewrócić, wpatrywał się w nią uważnie i gładził ręką to ten to drugi kosmyk włosów na skroniach.

Gdy K...wski wszedł do sali, nikt nie wstał na jego powitanie. Pułkownik niemym gestem wskazał na stojące u szarego końca stołu krzesło i poprosił go usiąść. Gogiel, jakby ukradkiem wzrokiem tylko uprzejmie go pozdrowił, poczem twarz jego przybrała natychmiast wyraz urzędowej powagi, co w wysokim stopniu malowała się także na obliczu pułkownika.

Chłodne to urzędowe przyjęcie zaniepokoiło K...owskiego. Spodziewał się, że pułkownik rad będzie jego dobrowolnemu przybyciu do komisji, tymczasem znalazł go obojętnym i zimnym. Nie dobrego sobie z tego nie wróżył i byłby pewnie zamileczał o powodzie, który go tu sprowadził, gdyby to było można.

— Żądałeś pan widzieć się ze mną — przemówił Łosiew

poważnym, przeciągłym głosem — uczyniłem zadość jego prośbie. Co masz nam do powiedzenia?

— Blisko już dwa miesiące siedzę tu pułkownikowi — odrzekł K...wski, głosem człowieka, który nie jest pewnym siebie — a dotąd dokładnie jeszcze nie wiem, jakie właściwie na mnie ciężą zarzuty.

— Ale za to my jak najdokładniej o tem wiemy... zresztą przejdź pan w myśli swoje postępowanie w Petersburgu, a będziesz także wiedział.

— Sumienie moje czyste, pułkowniku.

— Czy tylko to objawić nam pan przyszedłeś?... w takim razie mogłeś nam oszczędzić czasu, którego nie mamy za wiele... jużes pan pisał o tem w liście, który przed kilkunastu dniami wystosowałeś do mnie i który mu zwrócić kazalem.

— Ja chętniebym na wszystkie zapytania dał jak najszerszą i najzupełniejszą odpowiedź, gdyby świetna komisja chciała je sformułować. Bez tego nie wiem, co mam mówić, co pisać. Cały bieg życia mego już miałem zaszczyt przedstawić, jeżeli niedokładnym się wydaje komisji, prosilibym o szczegółowe wskazówki w czem i jak go mam dopełnić.

— Nic łatwiejszego, jak tej prośbie zadość uczynić — odparł Łosiew, uśmiechając się znacząco. — Opowiedz nam pan, albo lepiej opisz wszystko, coś dla ostatniego powstania robił w Petersburgu wraz z innymi w przeciągu ubiegłych lat kilku.

— Pułkowniku! jak Bóg na niebie, nie sprzyjałem powstaniu, tem mniej cokolwiek dlań sam lub z innymi robiłem! —

Łosiew ścisnął ramionami.

— Prawda — ciągnął dalej K...wski — słyszałem o niem wiele, lecz największa część tych nowin wyszła mi z pamięci. Jeżeliby pułkownik raczył dać mi pytania, w czem chcesz być objaśnionym, możebym jedną i drugą rzecz przypomnieli sobie kto, kiedy i jak mi o niej opowiadał.

— Nam objaśnień żadnych nie potrzeba... nam w ogóle od pana niczego nie potrzeba... Śledcza komisja pańska sprawę skończyła, niebawem audytorjat rozstrzygnie i wtedy pan się dowiesz prawdopodobnie o szczegółach. My zaledwie mamy do roboty, abyśmy się mogli zajmować drobnostkami... Wiadomo panu, żeś obwiniony, iż byłeś członkiem komitetu petersburskiego. Rzeczą komisji było dobyć niezbitych tego dowodów... osądzeniem całej sprawy zajmą się inni.

— Ależ na te dowody, które mnie w oczach komisji potępiają, a których ja nie znam i nie domyślam się, ja posiadam, pułkowniku, może inne, które mnie uniewinnia. —

Łosiew uśmiechnął się niedowierzająco.

— Przynajmniej chciałbym je znać; jako obwiniony mam wszelkie prawo do tego.

— Poznasz je pan, poznasz! — odparł pułkownik, brwi marszcząc — tylko nieco później... niezadługo zresztą i nie tu. Główny punkt obwinienia wiadomy mu; zapierasz się go; my składamy dowody, a będą tacy, którzy rozstrzygną komu z nas wierzyć... Więcej nie pan nie masz do żądania?

— Słowo honoru, pułkowniku — zaczął był K...wski.

— Ja panu krótko i wczelowało powiem, jak sprawa stoi — przerwał Łosiew. — Dla mnie rzecz najzupełniej obojętna, czy się pan przyznasz, czy nie... Jednak szczere, zupełne, szczegółowe wyznanie, serdeczny żal, poparty dowodami, t. j. nieukrywaniem nikogo i niczego, i pokorna prośba o przebaczenie winy, mogłyby być może w pańskim interesie... Są przynajmniej przykłady, że to wpływało na wyrok... Jeżeli więc pragniesz z tego korzystać, pozwalam... pod warunkiem jednak, że to nie później nastąpi jak... — tu zwrócił się do Teodorowa. — Poruczniku! kiedy skończysz sprawozdanie, które obecnie przepisujesz?

— Pojutro wieczorem — odparł tenże, podniósłszy się nieco na krzeselku.

— A więc nie później, jak za dwa dni — dokończył pułkownik. — Teraz zaś możesz pan odejść! — dodał stanowczo.

K...wskiemu ciemno się zrobiło przed oczyma. Musiał się chwycić stołu, by nie upadł z krzeselka. Powstał potem, skłonił się i chwiejnym krokiem zwrócił się ku drzwiom przedpokoj, gdzie go żandarm oczekiwał.

— Trzepie się, jak piskorz w sieci — rzekł Łosiew z szyderczym na ustach uśmiechem, skoro drzwi przedpokoj, prowadzące na korytarz, zamknęły się — lecz się nie wyśliznie... trzymamy go... nasz on... bo zaczął się targować. A mądry, nie ma co mówić... daj mu pytania, aby się mógł z nich dowiedzieć, co wiemy... — Rozśmiał się. — Sam ty nam kochanie wprzód wyśpiewaj, co wiesz, a potem ja cię już o dopełnienia grzecznie poproszę... Będziesz musiał teraz, kapitanie, przez parę dni popołudniu tu przesiadywać... prawdopodobnie nie długo to potrwa... temu paniczowi umierać się nie chce... zawezwiesz go natychmiast, skoro tego zażąda. Sergiejowi dasz odpowiedź roszkazy. —

Gogiel uklonił się.

Na tem posiedzenie komisji skończone zostało.

*

Mamyż opisywać walkę, jaką K...wski przetrwał w ciągu dwóch dni, które mu Łosiew nazaczył jako ostateczny i nieodwołalny do wypowiedzania się termin? Należała ona do najstraszniejszych, jakie kiedykolwiek wrzały w pierśiach ludzkich między pocuciem obowiąsku, a przywiązaniem do życia... Świadkiem tego był opłakany stan, w którym się K...wski znajdował popołudniu dnia trzeciego, po opisanem powyżej posłuchaniu w komisji.

Leżał na łóżku z rękami pod głowę założonemi i patrzył bezmyślnie na sufit. Oczy miał krwią i żółcią nabiegłe, bez blasku, jakby szklanne, głęboko w czaszkę zapadłe, wielkimi podkowami okolone. Twarz schudła nad wyraz, a zwątpienie, złamanie i niezwykle znużenie nadawały jej pozór raczej widma, jak ludzkiego oblicza. Łzy, które jak widać często i obficie płynęły, zaschły nieocierane, i zostawiły jawne ślady na poślódkiej skórze... Męstwa, woli, odwagi, nie a nie... Chleb i bułki na stole złożone, nie dopita w szklance herbata, zastygły kawałek mięsa na talerzu, świadczyły, że i o jedzenie się nie troszczył, a z pomiętego odzienia można było wnioskować, że się przynajmniej od wczoraj nie rozbierał.

Cała zewnętrzna postawa K...wskiego dowodziła, że walka była skończoną. W chwili obecnej był on już podobny do okrętu, którego żagle burza rozdarła, maszty i ster zламала, i który majtkowie zdali zupełnie na wolę balwanów... Wyperswadował sobie, że wszelki opór zbyteczny; nie chciał, a właściwie, jak on sobie rzecz przedstawiał, nie mógł dłużej walczyć... Życie mu zahadło było miłym, żeby go nie miał okupić zeznaniem tego, co według terazniejszego jego przekonania doskonale było wiadomem komisji. Prawda, i to przekonanie jego było wynikiem przywiązania do życia, nie zaś skutkiem oczywistych danych, które owszem przy chłodnej rozwadze przeciw niemu mówiły; lecz w onej chwili okoliczność ta już żadnego nie miała wpływu i nie mogła zmienić biegu rzeczy. K...wski przebył już w myślach straszny upadek w głęboką przepaść, leżał potłuczony, zbity, znużony tuż u samego dna jej, od którego krok jeden go jeszcze przedzielał; mógłże zdobyć się na to, pomyśleć nawet o tem, aby własnymi siłami znów się wydrapać po pionowej spadzistości na górę, gdzie go nadto — jak był pewnym — czekała szubienica? Po tylu i takich walkach, które jego siły moralne zupełnie zniszczyły, w obec takich pokus, co mu ocalenie obiecywały, przy charakterze, który mu pozwalał wybór czynić między obowiązkiem a bezczecią, nie można było wątpić, że gnuśny odpoczynek na dnie przepaści milszym mu będzie, jak ciężki trud na drodze obowiązku.

Jeden krok pozostawał mu, jak powiedzieliśmy do zro-

bienia: zawołać żandarma i oświadczyć, iż życzy sobie widzieć się z Losiewem lub Gogiem. Resztki lepszych, szlachetniejszych uczuć nie pozwalały mu go uczynić. Sądził, że zmniejszy winę, jeżeli nie pozwie żandarma, lecz zaczeka, póki tenże sam w celi się nie zjawi... Właśnie też zbliżała się pora roznoszenia światła po celach, w czym żandarmi pomagali służącym.

Wreszcie klucz w zamku zaskrzypiał. Krew napłynęła K...wskiemu do twarzy, serce mocno w piersiach zakolało. Osmolony, obdarty, ponury żołdat, który używany był w więzieniu do najniższych posług, przyniósł światło i milcząco postawił je na stole. We drzwiach otwartych stanął Sergiej, i przenikliwym wzrokiem wodził po celi, jakby w niej szukał materiału do nowego raportu.

Była to ważna figura w więzieniu. Jużemy nadmienili, jak wielce on był pomocnym pułkownikowi przy śledztwie. A względy, jakimi się cieszył u pułkownika dla swego sprytu, dla swej zmyślności i przebiegłości, stawały go wysoko w oczach całego personelu więziennego, który mu zresztą także był posłusznym jak samemu dozorczy. I ten ostatni, choć stopniem wyższy, wielki miał przed nim respekt. Więźniowie instynktownie jakoś go nienawiedzili. Ci, którzy otrzaskali się już byli z życiem więziennem, poznawszy je bliżej — co rzadko jednek prędkiej następowało, jak po przepełnieniu kilku miesięcy w więzieniu — bez prawdziwego oburzenia nań patrzeć nie mogli. Powierzchność jego w istocie nie była tego rodzaju, aby wzbudzić mogła w kimkolwiek zaufanie. Ciągłe słodziuchno uśmiechnięty, niezgrabnie jakoś grzeczny, półgłosem mówiący, na palcach zawsze chodzący, przy oczach skończonego szpiega, które rzadko na jednym zatrzymywał przedmiocie, przy twarzy, na której zdawały się być wyrtytemi: fałsz, podstęp, szelmstwo i złośliwość, miał niezmierne podobieństwo do kota, zaczajonego na wróble. Nic nie uchodziło jego uwagi, a jeżeli spostrzegł, że więźniowie jakiś ulżył starą się samotności, bądź to rozmawiając przez ścianę za pomocą pukania z sąsiadem, bądź w okno spoglądając przez nieznacznie od wapna oswobodzoną szybę, bądź innym jakim, po więzieniach zabronionym sposobem, donosił natychmiast pułkownikowi i sprowadzał przez to na więźniów tysiączne nieprzyjemności. Uprzejmym i pobłażliwym był tylko dla tych, którzy u komisji mieli łaskę; stawiających jej upór prześladował i drażnił jak mógł. A ileż do tego w więzieniu bywa sposobności!

K...wski, zobaczywszy go we drzwiach, podniósł się nieco, chciał coś powiedzieć, zająknął się i zdobył się tylko na prośbę o świeżą wodę... Sergiej kazał służącemu zabrać flaszkę i zamknął drzwi celi, kiedy tenże z niej wyszedł.

Twarz więźnia zadrgała od strasznego wysilenia, wstał z łóżka, palce wpił w roszochrane włosy, westchnął przeciągle i głęboko. Przymknął potem oczy i szeptał, starając się zarazem wskazujące palce uderzyć po ciemku jeden o drugi:

— Pójść... nie pójść... pójść... nie pójść... —

Palce zetknęły się przy słowie «nie pójść», ale nie dość akuralnie. K...wski nie zadowolnił się tym niedokładnym wyrokiem przypadku; próbował dalej, zmieniawszy porządek słów.

— Nie pójść... pójść... nie pójść... pójść. —

Teraz palce uderzyły o siebie jak najdoskonalej przy słowie «pójść», co K...wskiego widocznie uspokoiło. Podstąpił ku drzwiom, w których klucz zaskrzypiał niebawem powtórnie. Służący przyniósł flaszkę wody, Sergiej zaś popatrzawszy na więźnia, który oparł się był o ścianę, i głowę na piersi opuścił, zapytał go słodziuchnym głosem.

— Czy więcej nie panu nie potrzeba?

— Jest jeszcze pułkownik, albo kapitan Gogiel w komisji? — wygłosił tenże po chwili.

— Zdaje mi się, że kapitan jeszcze nie wyszedł. Pułkownika już nie ma...

— Mam pilny interes do kapitana, chciałbym się z nim widzieć — rzekł K...wski, którego wiadomość, że tylko z Gogiem będzie miał do czynienia, uspokoiła trochę.

— Doniosę natychmiast — odparł żandarm i oddalił się szybkim krokiem, drzwi zamknawszy.

K...wski rzucił się na łóżko i twarz do poduszki przycisnął. Dało się słyszeć ciche, stłumione, konwulsyjne szlochanie... żał nad zgonem czci, szlachetności, honoru...

W dziesięć minut później Gogiel prowadził już z wyrazem dobrze odegranego współczucia do krzesła przy stole chwiejącego się na nogach więźnia.

— Jakie szczęście, żeś się pan opamiętał... namyślał... sam, dobrowolnie! — mówił czule, serdecznie — w pół godziny później byłbyś mnie już nie zastał... kończyłem oto porządkować papiery, dotyczące pańskiej sprawy. Pułkownik dziś je chce jeszcze przedstawić naczelnikowi kraju... Zwlekałem aż do tej chwili, w nadziei, że rozsądek weźmie u pana górę. Nie uwierzysz pan, jak rad jestem w jego interesie, żem się nie zawiódł. Gdyby nie wyraźny zakaz pułkownika, byłbym go nawet wczoraj jeszcze w celi odwiedził... Cóż mam teraz donieść pułkownikowi, panie K...wski?

— Przyznaję się do winy... — szepnął więzień.

— To jest, żeś pan był głównym członkiem komitetu petersburskiego? — zapytał Gogiel.

— Nie głównym, kapitanie... — pośpieszył poprawić K...wski.

— Więc pomocnikiem czym? —

K...wski się zawahał.

— Przebaczone pan moją natrętność — mówił Gogiel, biorąc go za rękę — pan wiesz, czego pułkownik żąda od niego jako dowodu szczerego żalu... samo przyznanie się do winy nie zmigieczy go... Nieznanego nie nam pan nie powiesz... tyle razy już to powtarzałem. Czy pan sądzisz, że ja nie mógłbym nazwać imienia, o które przed chwilą pytałem? Nie czynię tego jedynie, aby z większym prawem żądać od pułkownika względów dla pana za jego dobrowolne wyznania. —

Na słowo «dobrowolne» położył nacisk.

— Kapitanie! — rzekł K...wski, błagalny wzrok podnosząc na inkwizytora — widzisz w jak okropnym dziś stanie znajduję się... oszczędź mnie w tej chwili, proszę, zaklinam!... nie byłbym w stanie objaśnić szczegółów.

— Wchodzę w położenie, pojmuję... jednak potrzeba koniecznie, abys się pan zdołał na tyle przynajmniej, iżbyś mógł, to co mi dziś powiesz, jego ręką napisane odnieść do pułkownika razem z papierami... Więc pan nie byłeś głównym członkiem komitetu petersburskiego.

— Nie kapitanie!

— Był nim?

— Ohrysko... — szepnął K...wski ledwie słyszalnym głosem.

— Widzisz pan... czyż nie miałem słuszności, mówiąc, że nam nic nie powiesz, czegośmy już wie wiedzieli od innych? Nie czytałem panu początkowych głosek tego nazwiska przed kilkunastu dniami? I tak to będzie ze wszystkim, do czego się przyznasz, croyez moi! —

Słowa te Gogiela dodały nieco otuchy K...wskiemu. «Więc nie popełniłem zdrady!» powtarzał w duszy i lżej mu się o wiele zrobiło na piersiach. Pokrzepiony spełnił żądanie Gogiela co do napisania krótkiego listu do pułkownika, do którego wstęp sam kapitan mu podyktował. Zawartem tam było przyrzeczenie obszerniejszych zeznań, jako dowód serdecznego i prawdziwego żalu...

Gogiel pożegnał go potem z jak najuroczystszym zapewnieniem, iż użycie całego swego wpływu u pułkownika, by go tenże od zguby chronił. Tej nocy K...wski mógł doświadczyć na sobie prawdziwości twierdzenia katolików, iż spowiedź uspakaja, zasnął bowiem zaraz po powrocie do celi i całe nocy się nie przebudzał.

Oczywiście nazajutrz wezwano go znowu do komisji. Pułkownik potwierdził zapewnienia Gogiela, był nadzwyczaj uprzejmym, łaskawym, ludzkim; rękę mu nawet podał, co

było znakiem niezwyklej łaski i prosił go już, nie żądał — zawsze koniecznie we własnym K...wskiego interesie — aby napisał wszystko co wie, i złożył przez to dowód prawdziwej skruchy i rzetelnego nawrócenia się.

— Im większą pan okażesz względem nas prawdomówność — mówił — co nam łatwo będzie sprawdzić, tem pewniejszym być możesz przebaczenia... Pochlebiam sobie, że moje słowo znaczy cośkolwiek u jego ekscelencji naczelnika kraju; użyję go niezawodnie dla złagodzenia pańskiego losu... Mógłbym kilku przytoczyć, równie winnych jak pan, którym życie uratowałem. —

Krótką walkę miał K...wski jeszcze do stoczenia z sobą, kiedy w celi zasiadł do pisania zeznań. Lecz mógłże się już cofnąć?... Sidła były zanadto zrećznie zastawione, aby się nie miał w nich zaplatać przy charakterze, który posiadał. W przypuszczeniu, że komisja wie wiele, napisał tyle, że ta była od razu zadowolona, co rzadko się jej zdarzało. Nie utulił rodzzonego brata Michała, sekretarza petersburskiego rządu gubernialnego, który pełnił urząd kasjera przy komitecie; a prócz Jundzillę, Opockiego, porucznika Makrzeckiego, którzy dawniej już ukryć się zdołali, nazwał także wyższego przy jakimś urzędzie sekretarza Baranieckiego i porucznika Waskowskiego. Odkrył nadto stosunki polskiego komitetu z rosyjskim; wydał Pantilejewę, byłego studenta petersburskiej wszechnicy i kilku innych.

Pierwsze to zeznanie, jakkolwiek obszerne i dokładne nie zawierało tyle szczegółów, ile komisji trzeba było wiedzieć. Nastąpiły więc formalne pytania, osnute na podstawie tychże zeznań. Wtedy to K...wski miał sposobność przeświadczenia się, że komisja przed jego spowiedzią niczego dokładnie nie wiedziała, i ani jemu ani jego towarzyszom, z których żaden jeszcze nie był aresztowany, nie by dowieść nie była potrafiła, gdyby on był wytrwał... Wtedy dowiedział się, w jakie się dał upłatać sidła i zmuszonym był wyznać przed sobą, iż dopuścił się ni mniej ni więcej, jak haniebnej zdrady. Doznawał on z początku gorzkich wyrzutów sumienia i mógł się ich pozbyć tylko po wmówieniu w siebie, że sprawa, w której brał udział, nie była tak świętą, jak mu się kiedyś przedstawiała, że tedy wykrycie jej przed legalnym rządem, któremu jako oficer na wierność przysięgał, nie miało w sobie nic niehonorablego... W tem uniewinnianiu siebie pomagał mu szczerze Gogiel, który wszelkiem sposobem starał mu się dowieść swego współczucia i przyjaźni; i przytem — samo przez się rozumi się — coraz głębiej go spychał. Do jakiego stopnia mu się to udało, pokaże następujący wyjątek z zeznań K...wskiego. Wypisujemy go, jak i inne w tem opowiadaniu przytaczane zeznania, z bro-

szury, ogłoszonej przez tegoż Gogiola r. 1866 w Wilnie p. t. «Jozafat Ohrysko i petersburski rewolucyjny rząd w sprawie ostatniego powstania.»*)

«Zastanawiając się nad swoim życiem, znajduję, że główną przyczyną moich przestępstw było: 1) pierwotne wychowanie w gimnazjum i na wszechnicy, gdzie kształciłem swój umysł czytaniem polskich historycznych książek, po większej części tendencyjnych (prystrojonych), opowiadających o byłej samodzielności Polski, jako dobrze urządzonego politycznego organizmu, który upadł nie w skutku wewnętrznej słabości, lecz z powodu politycznych widoków ościennych państw; 2) zupełna niezajomość warunków i potrzeb kraju, który dzięki przewrotnym pojęciom uważałem za dawniejszą moją ojczyznę**); 3) wpływ ludzi jak Ohrysko, Sierakowski i inni. Przytaczam wszystkie te przyczyny dla tego, aby rząd przez usunięcie ich mógł się uchronić następstw, które, kiedy się już wykują, pokonywać trudno; przytaczam je jeszcze i dla tego, że rząd jedynie zaprowadzeniem radykalnych reform w wychowaniu polskiej młodzieży w podlegających jego władzy prowincjach, może uchronić się politycznych intryg, które knują się zewnątrz przeciw niemu...»

*

Rezydencja Murawiewa, zwykle gubernatorów wileńskich mieszkanie, choć w ludnej części miasta położona, była dla mieszkańców, jak pałac wschodniego jakiego despoty, nieprzeniknioną tajemnicą osłoniętą. Budziła ona w nich także nieokreśloną jakąś trwogę; unikano jej bliskości, a jeżeli droga koniecznie tamtędy prowadziła, obawiano się spojrzeć na nią, aby snać nie wzbudzić podejrzeń u licznych szpiegów i stróżów, którzy nieznacznie w sąsiedztwie rozstawieni dnem i nocą czuwali nad bezpieczeństwem jej mieszkanki, a w gorliwości swojej spędzali przechodniów, skoro blisko niej zatrzymywali się na ulicy. Zdarzyło się nawet, że kilku uwięziono za to jakoby, że się zbyt uważnie jej przypatrywali...

Dziwne też pogłoski krążyły po mieście o tej rezydencji, a właściwie o życiu, jakie się w niej wiodło. Zdrowy zmysł ludu nie przypuszczał, aby człowiek mógł śnić około siebie postrach i grozę i otaczać się tajemnicą z innej przyczyny, jak dla tego, że się sam okrutnie obawiał; nie wyobrażał on sobie Murawiewa inaczej, jak drżącego przed zemstą Polaków,

*) Jozafat Ohrysko i petersburski rewolucyjny rząd w dziele poślednio miazeza. Sostawil czen wileńskiej osoboj sledstwennoj po politiceskim dielam komisij, tretiej artillerijskoj brigady sztabskapitan N. W. Gogiel. Wilna, w typografii K. M. Romma, 1866.

**) K....wski był rodem z zabranych prowincji — z Ukrainy czy Wołynia.

którym tyle krzywd wyrządzał i tak okropne zadawał ciosy. Opowiadano też sobie na ucho najrozmaitsze rzeczy o tej obawie jego przed zamachami. Zapewniano np. między innymi, że z bojaźni otrucia, wszystkie zapasy żywności dla swego stołu, kazał sobie codzień z Petersburga przysyłać przez żonę, która tam mieszkała; że jadła same tylko pojedyncze stawy, które mu przyrządzała prosta chłopka, starszka, niegdyś jego niańka, umyślnie dla tego z głębi Rosji, z jego dóbr sprowadzona. A i jej tak mało miał wierzyć, że niczego się wprzód nie dotknął, póki ona sama, lub też córka, którą miał przy sobie, nie skosztowała. Chciano wiedzieć także, że razu pewnego uczeń kominiański, który czyszczyć kominy dostał się był jakimś sposobem do pokoju Murawiewa, tak go zjawieniem się nagle przestraszył, iż zaczął w niebogłose krzyzczeć o pomoc i z trudem tylko dał się przekonać, że stało się to przypadkiem nie zaś w celu zabicia go, jak mniemał. Biedny kominarczyk, który się nie mniej przeląkł, jak sam Murawiew, miał przepłacić ciekawość czy niezręczność swoją kilkoma tygodniami więzienia u Dominikanów. Odtąd strach Murawiewa miał się wzmódzić do tego stopnia, że przy każdym niespodziewanym szeleście zrywał się z krzeselka i chwycił za rewolwer, który leżał koło niego na stoliku; stalowej zaś koszulki nigdy z siebie nie zrzucał. Rozmaite późniejsze, nadzwyczaj śmiałe wykonania rewolucyjnych wyroków, jak np. zamach na życie wileńskiego marszałka szlachty Domejkę, miały go tak przerazić, że przez pewien dość długi czas przeciąg sypiać nie mógł i całe noce przepędzał na szeszlągu w kabiniecie, gdzie się mniemał najwięcej bezpiecznie i dokąd wstęp wolny był tylko dla niańki i córki. Wiecznie ponury, ciągle rozdrażniony, nikomu nie ufający, wszystkich i wszystko podejrzujący, niespokojną drzemką tylko mógł siły pokrzepić, a otoczenie jego miało wczas istne piekło do znoszenia. Opowiadano jeszcze, że Murawiew, chcąc odemścić za niepokój, jakiego ciągle doznawał, miał zawsze na stole przygotowanych do konfirmacji kilkanaście wyroków sądu polowego, i że skoro cokolwiek na przestrzeni jego prowincji lub też w samym Wilnie się zdarzyło, co go niemile dotknęło i obawę zwiększyło, jak np. zwycięstwo jakiegoś oddziału powstańców, jakaś nowa odezwa rządu narodowego, powieszenie lub zabicie jakiegoś szpiega i t. p. natychmiast wyroki one potwierdzał, w skutek czego znowu kilku Polaków szło na szubienicę, kilkunastu, a czasem więcej do robot w kopalniach sybirskich.

Takim oto przedstawiali sobie Wileńczycy Murawiewa, a wiele było faktów zewnętrznych i powszechnie znanych, które w zupełności wyobrażenia te potwierdzały.

Wieczorem tego samego dnia, o tej samej nawet porze, kiedy K...wski przed Gogiem przyznał się do winy i Ohryskę wydał, Murawiew siedział pogrążony w miękkim fotelu w przestronnym, bogato umeblowanym gabinecie, którego okna jedwabnymi kotarami zasłonięte wychodziły na ogród pałacu, wysokim murem otoczone.

Któż z Polaków nie zna z opowiadań albo rycin tego starca, barczystego, trochę wiekiem zgarbionego, o wielkiej głowie, pokrytej szczecinowatą, krótką siwizną, o twarzy obwisłej, grubej, na której upór, nienawiść, ponura srogość i tym podobne charakterystyczne cechy despoty-tyrana miejsca dla ludzkich uczuć żadnego nie zostawiły; o rozdętym nosie, z pod którego siwy wąs na usta nabrzmiał spadał, o wzroku, co z zapadłych oczu złowieszczym blaskiem świecą, przypominał drapieżne zwierzę? Nieco przyćmiony blask lampy, wiszącej nad długim stołem, który stał na środku pokoju założony papierami, pozostawiał twarz moskiewskiego satrapy w cieniu. Nie można było odgadnąć czy drzemie, czy tylko duma z przymkniętymi oczami.

W tem boczne drzwi zaskrzypiały i pojawiła się w nich postać kobieca. Skrzyp był tak cichym, pochodził bowiem tylko od lekko trąconej klamki, że Murawiew go nie dosłyszał. Kobieta zatrzymała się na progu, wahając się widocznie, czy ma wejść czy nie.

Jej zewnętrzna postać wcale nie pociągała ku sobie. Nie była ona starą, lecz i do młodych jej zaliczyć nie można było. Sprawiała wrażenie poczynającej wędznąć panny. Średniego wzrostu, koścista — dla czego nie przedstawiała tych zaokrąglonych kształtów, gwoździ których oko męskie tak chętnie się zatrzymuje na każdej młodej dziewczynie, lecz jakieś kąty, co je od siebie odpychają — w stanie nad miarę cienka, tak że ci się wciąga osy przypominały; ręce niezgrabne; palce długie, suche; szyja wyciągnięta, cienka; głowa, jakby z karykatury zdjęta, raczej czworokątna, jak okrągła. Na twarzy chorobliwie bladej ani cienia rumieńca nie było; natomiast wiele nienaturalnej sentymentalności obok głębokiej melancholji i jakiegoś znużenia; wszystko to sprawiało wrażenie, jakby się miało przed sobą istotę, której stan paniński okrutnie ciąży. Siwe oczy, okolone znacznymi podkowami nie nie mówiły osobliwego, potwierdzały tylko wyraz twarzy. Jedyna rzecz, co jako tako korzystnie się wydawała na tej postaci, były gęste, długie, ciemno-blond włosy, co w dwóch potężnych splotach jak wiankiem otaczały niskie, wypukłe i trochę żółtawe czoło, na którym żadna myśl głębsza się nie przebiegała.

Panna Nadzieja, córka Murawiewa — nią była bowiem ta kobieta — była ubrana w pojedynczą domową suknię

z szarej materji bez najmniejszych ozdób i świecidełek. Trzymała w ręku zwinięty karton, który widocznie chciała ojcu pokazać. Zastawszy go pogrążonym w fotelu i myśląc, że drzemie, zamierzała się cofnąć, gdy tenże szelestem jej sukni z zadumy zbudzony powiódł głową po twarzy i bystro ku drzwiom twarz powrócił. Nadzieja weszła więc do pokoju i drzwi za sobą przymknęła.

— Czy nie przeszkadzam ci ojciec drogi? — zapytała miękkim głosem.

— Bynajmniej... a co tam? — odparł Murawiew, tłumiąc ziewnięcie.

— Chciałam ci pokazać dwa rysunki, które dziś skończyłam. —

Murawiew pocisnął sprężynę zegarka leżącego na stoliku, który stał przy fotelu. Repetier wydzwonił pół do szóstej.

— A dobrze, dobrze — rzekł — możemy zobaczyć. Losiew za pół godziny dopiero nadejdzie. —

Nadzieja położyła zwój na stoliku, podkręciła lampę, tak że jasno się zrobiło w pokoju i stanęła u boku fotelu. Murawiew rozwinął karton, na którym kredką narysowany był jakiś obraz i zaczął mu się przypatrywać.

— Ho, ho! — zawołał po chwili — to coś polskiego!

— Procesja! — tłumaczyła córka najprzód smętnym jakimś, bezdźwięcznym głosem, potem coraz bardziej się ożywiając. — Polacy w kontuszach, przy karabelach, w litych pasach, w kołpakach z kitami i konfederatkach... tu chorągwie... na czele tłusty bernadyn z krzyżem... w głębi tłum mieszczan i kobiet w żałobie. Twarze butne, pełne ufności w siebie, krnąbrne... jakby byli panami świata. Tytuł tego obrazu: Prosim do lasu!

Murawiew śmiał się głośno.

— Wybornie... wybornie! — wołał — Prosim do lasu!... Tak, tak... najprzód demonstracje, procesje, chorągwie, karabele, kontusze... potem do lasu! Piękny, bardzo piękny pomysł, moje dziecko! A ten drugi? — zapytał, kładąc pierwszy rysunek na stoliku i przypatrując się drugiemu — tu, jak widzę, inaczej już wygląda.

— To krawędź lasu i dolina pokryta śniegiem. Ci sami Polacy w podartych kontuszach, bosi, bez czapek i broni, po dwóch powiązani... Bernadyn, jak widzisz, schudł... ledwie się wlecze... krzyż połamany. —

Murawiew zatrzęsł się od śmiechu.

— Bernadyn... bernadyn, Nadzio, cudowny!... nie równego nie widziałem.

— Mieszczan już nie widać — ciągnęła dalej córka — sama tylko szlachta. Koło niej jako straż, wiejskie baby,

z widłami, motykami, kociubami; prowadzą one panów z lasu, do domu. W głębi kilku chłopów śmiejących się i sztychających. Tytuł zaś: Prosim z lasu!

— Niezrównanie!... Prosim do lasu, prosim z lasu!... co za genialny pomysł! — wołał, ciągle się śmiejąc Murawiew. — Dajże się uściśnić Nadzio za to! —

Córka nachyliła czoło do ust ojca, który na niem złożył przelotny pocałunek.

— Polacy pękają ze złości, skoro to zobaczą!... Prosimy do lasu, prosimy z lasu! — ciągnął dalej, śmiejąc się i trzymając przed sobą obydwie kartony. — A pokażemy im to, o pokażemy! Dobra myśl mi do głowy przychodzi. Każę to odlitografować w niezliczonych egzemplarzach i rozesać po wsiach. W każdej karczmie, w każdym szynku i po gminnych urzędach musi wisieć ta para obrazów... jeden przy drugim... To podziela dobrze na lud. A tobie moje dziecko za ten pomysł prawdziwie artystyczny wypłaci kasa pięć tysięcy rubli! —

Nadzieja skłoniła się do ręki ojca i pocałowała ją.

— Jam dość nagrodzona, ojcze drogi, skoro ciebie widzę zadowolonym — rzekła.

— Tak, tak, Nadzio, otrzymasz pięć tysięcy rubli... zasluzowałaś na tę nagrodę. Położ moje dziecko rysunki na stół, jutro wręczę je Paniutynowi. Za dni dziesięć każdy zakątek Litwy będzie posiadać ich litografie. —

Córka uczyniła, jak ojciec żądał, a widząc, że tenże znowu spojrzął na zegarek, pożegnała go i wyszła.

Murawiew zadzwonił. We drzwiach znajdujących się w głębi kabinetu ukazał się dyżurny oficer, wystrojony, wymuskany, opięty jak na paradę.

— Skoro pułkownik Łosiew nadejdzie, proszę mu powiedzieć, że go czekam — rzekł Murawiew, nie spojrzawszy nawet w stronę drzwi.

Oficer uklonił się i wyszedł.

Każdy z wyższych urzędników codziennie Murawiewowi zdawał raporta. Osobne na to dla nich były przeznaczone godziny. Łosiew zwykle wieczorem przybywał, po ukończeniu zajęć u Dominikanów i o każdym ważniejszym więźniu szczegółowe składał sprawozdania. Dziś z radością minął wszedł do kabinetu i po pierwszych przywitaniach przemówił:

— K...wski przed chwilą przyznał się do winy, wasza ekscelencjo... wicedyrektor ministerstwa finansów może być aresztowanym. —

Murawiew nie ruszył się na swoim miejscu, lecz widać było z wyrazu, który przyjęło oblicze jego po tej wiadomości, jak mile ona wrażenie uczyniła na nim. Wskazał

pułkownikowi na krzesło obok siebie, wziął z jego rąk arkusz, zawierający zeznanie K...wskiego, odczytał je i położywszy na stoliku zapytał:

— Jesteś pułkownik pewny, że dotrzyma przyrzeczenia?

— Najzupełniej... dziś w rzeczy samej więcej pisać nie mógł, był w okropnym stanie. Jutro, pozajutro będziemy mieli jak najdokładniejsze o wszystkim wiadomości... innej drogi nie ma dla niego... Sądzę, że dziś jeszcze możemy telegrafem żądać uwiezienia Ohryski.

— Znaczyłoby to podać mu sposobność do ucieczki — odparł Murawiew. — On za wiele i za możliwych przysięg miał w Petersburgu... Telegram byłby wprzód w jego ręku, jak u tego, do kogobyśmy go adresowali... Trzeba się inaczej wzięść do rzeczy. —

Pułkownik milczał, czekając dalszych rozkazów.

— Od K...wskiego trzeba jak najprędzej dokładniejsze otrzymanie zeznania. Każesz je potem pułkownik przepisać, wysłemy z niemi osobnego do naszych znajomych... Ci postarają się, aby cios nie minął tego, przeciw komu wymierzony. —

Tu wstał z fotelu i wolnym krokiem zaczął się przechadzać po pokoju, ręce w tył założywszy. Pułkownik podniósł się także z siedzenia i stojąc na miejscu, powracał głowę za swoim panem, jak słonecznik za słońcem.

— Ohrysko musi upaść... zupełnie... tak, żeby się nigdy już podnieść nie mógł — ciągnął dalej Murawiew. — Ślady swoich przestępstw on oczywiście ukrył doskonale... końce w wodzie... zanać długo jest w naszej służbie, aby tego nie umiał. Materjalnych dowodów nie znajdziemy... sam się nie przyzna... K...wskiemu zaprze w oczy.

— Nie ulega wątpliwości, że prócz K...wskiego i Ohryski byli jeszcze inni w Petersburgu — przerwał Łosiew. — Dowiemy się o nich, wasza ekscelencjo... Niepodobna żebyśmy i z nich którego do zeznań nie skłonili. W obec dwóch świadectw...

— Wszystko to niepewne — odparł Murawiew — a mnie pan Józafat zanaćto miły, abym mógł się narażać na to, że mi się z rąk wymknie. Czy wiesz pułkowniku do czego mnie raz ten buntownik doprowadził? — zapytał, zatrzymując się.

— Nic nie wiem, wasza ekscelencjo.

— Zmusił mnie, wyobraź sobie... mnie Murawiewa, on Ohrysko... do zdania rachunków nie pamiętam już z jakiej tam administracji!

— O...! — odparł pułkownik, udając oburzenie.

— To bestyjka na wszystkie cztery kuta!... Z nim wypadnie ostrożnie postępować, inaczej się wywinie. Przyjaciele

jego w Petersburgu należą do naszych przeciwników, będą nam patrzeć na ręce djabelnie... najmniejsza nieformalność wywoła krzyk taki, że dojdzie do uszu jego carskiej mości. —

Usiadł znowu i zamyślił się.

— Jak się to ten członek warszawskiego podziemnego rządu nazywa, którego trzymają jeszcze w warszawskiej cytadeli i tyle rzeczy się od niego dowiadują? — zapytał po chwili.

— A...da — odpowiedział Łosiew.

— Nie może być, żeby Ohrysko nie miał być w Warszawie stosunków. A...da niezawodnie wie cokolwiek o tem. Napisziesz więc pułkownik zaraz jutro, aby go zapytali. Jeżeli się tak stanie, jak się spodziewam i bez przyznania się Ohryski pokażemy naszym liberałom, czym był ich przyjaciel...

— Stanie się według rozkazu waszej ekscelencji!

— Oj te liberały nasze... liberały... to drugi tom buntowników! — prawil Murawiew dalej. — Przyniósł mi dziś Racz list, który dostał z Paryża, ze sfer naszej ambasad... charakterystyczny... odczytaj-no pułkowniku podkreślone miejsce. —

Tu wskazał na list, który leżał na stoliku. Pułkownik wziął go i zaczął głośno czytać.

«Jak na wiernego poddanego przystoi, jestem zupełnie oddany jego imperatorskiej mości, mam także nieograniczone poważanie dla osoby Michała Mikołajewicza Murawiewa, co wszystko ośmiała mnie do niniejszego listu. Jestem jak najmocniej przekonany, że po rozwinięciu takiej energii, jaką Michał Mikołajewicz okazał przy uśmierzeniu rokoszu — przez co na wieczną wdzięczność Rosji zasłużył — pobłażanie i miłosierdzie nie tylko dla niewinnych lecz i dla najbardziej przestępnych osób przyniosłoby obecnie niezawodną korzyść; dowiodłoby bowiem niesprawiedliwości zarzutów, które czyni partja nieprzyjazna matuli Rosji i rozgłasza za pomocą rewolucyjnych dzienników. Załączam dwa wycinki z «Opinion nationale» która omawiając bullę papieską i ustępy mowy tronowej Napoleona, powiedzianej na nowy rok w ciele prawodawczym, znalazła sposobność do skarcenia Rosji i generała Murawiewa. Nie chcąc zabierać czasu temu ostatniemu, błagam go przez pośrednictwo Wasze, aby zamienił gniew na miłosierdzie, przypominając sobie rosyjskie przysłowie: leżącogo nie biją...»

— Jakżeż się to pułkownikowi podoba? — zapytał Murawiew, kiedy Łosiew skończył i list na stoliku położył.

— Nie pojmuję, jak można być tak krótkowidzącym — odpowiedział tenże.

— Miłosierdzie... łaska... przebaczenie... żeby pano-

wie Polacy za dwa lata znowu mogli zacząć powstanie... Widzimy dzisiaj, do czego ta głupia rosyjska dobroduszość i łagodność doprowadziły. Gdyby był Nazimow pół roku jeszcze został na Litwie, nie pomógłbym i ja tu był wiele. Rosja dotąd nie będzie miała spokoju, dokąd wszystkich Polaków nie wykorzeni, dokąd nie zagłodzi wspomnienia nawet, że tu była Polska kiedyś... Jabym tego dokonał, gdyby mi dano czasu dosyć... Niestety, na carskim dworze, jak mi to donoszą, jak tego zresztą i list ten dowodzi, inne wpływy zdają się przeważać. Suworow, Wałujew...

— Przecież nic się jeszcze nie stało takiego, z czego by można wnosić, że zaufanie jego imperatorskiej mości do waszej ekscelencji zmniejszyło się — rzekł Łosiew nieśmiało.

— Przeczuwam przecież pułkowniku, że nie długo zostanę w Wilnie... Poruszone są wszystkie sprężyny, aby mnie stąd usunąć. Emigracja polska zalewa świat opisami naszych, jak je nazywa, barbarzyństw, a opinia zagranicy oddziałuje na czułych naszych liberałów. Przedsięwziąłem już kroki, aby na wypadek mego odwołania, nie posłano na moje miejsce liberała; jestem niemal pewny, że mi się to uda... oprócz tego potrzeba mi i waszej pomocy, pułkowniku!

— Jestem na usługi waszej ekscelencji — odparł Łosiew skwapliwie — proszę wierzyć, że zawsze tem będę, czym byłem dotąd.

— Moją prawą ręką... nieprawdaż pułkowniku?

Łosiew uklonił się.

— Waszej ekscelencji podobało się zaszczyścić mnie zaufaniem — rzekł z wzruszeniem — robiłem co było w mojej mocy, aby się okazać godnym takich względów. Będzie tak i nadal, wasza ekscelencjo!

— Dziękuję ci, pułkowniku! nie wątpiłem o tem ani chwili — odparł Murawiew; podając mu rękę, dla której uściśnięcia Łosiew podniósł się z siedzenia.

— Byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdyby po moim odejściu, dzieło moje miało runąć i sprawy poszły dawniejszym trybem. Polacy naród żywotny, elastyczny... pofolguj im w ucisku, a nie obejrzą się, jak ci nad głowę wyrosną. Złamiemy, przerobimy ich tylko wtedy, kiedy wypędzimy stąd tyle, ile się da, resztę zaś przynajmniej przez lat kilkanaście w takim rygorze trzymać będziemy, jaki ja zaprowadziłem... Dla przeprowadzenia tej myśli pragnąłbym kochany pułkowniku założyć towarzystwo z tych, którzy mi wiernie przy uśmierzeniu rokoszu pomagali... postaram się aby nikogo z nich stąd nie usunąć. Towarzystwo to i po moim wyjeździe działałoby tak, aby kraj przedstawiać ciągle nieuspokojonym; najmniejsza sprawa podnosiłoby do

znaczenia ważnych, dobywałoby winnych z podziemi, w razie braku tworzyłoby ich — słowem byłoby tem dla Polaków, czem ich czerwoni chcieli być dla nas... rozumiesz mnie przecież pułkowniku?...

— Mnie tylko podziwiać przystoi jenjalne pomysły waszej eksceleńcy! — odparł Łosiew.

— W Petersburgu będziecie mieli poparcie od naszego stronnictwa. Tu duchowieństwo prawosławne, niżsi urzędnicy w powiatach zrobia, co każecie, zwłaszcza kiedy patrzeć będziecie na ich zdzierstwa przez palce. O zachodnią Europę zaś nie ma się czego troszczyć... na serjo tam się o Polaków nikt nie upomni. Zresztą mamy każdemu z tamtejszych rządów czem gębę zamknąć... każdy z nich ma swoją Polskę... Pułkownik oczywiście będzieś duszą tego towarzystwa... wszak mogą liczyć na niego?

— Póki mi siła i życia starczy! —

Murawiew powstał i podał Łosiewowi rękę na pożegnanie. Kiedy tenże już opuszczał gabinet, przypomniał mu jeszcze raz, co i jak ma zrobić w sprawie Ohryski.

*

We dwa tygodnie później, wszyscy, których K...wski wydał, zostali przywiezieni z Petersburga do Wilna. Jednocześnie i z Warszawy nadeszły zeznania A...dy. Murawiew się nie mylił; członek ten rządu narodowego wiedział wiele i wszystko wyspiewał.

Oto dosłowne, z rosyjskiego tłumaczone wyjątki jego zeznań.

«Do samego wyjazdu Podlewskiego*) do Petersburga, który nastąpił w początkach grudnia 1862 r. czy też w końcu listopada, centralny komitet warszawski nie miał żadnych bezpośrednich stosunków ze spiskowcami rosyjskimi, w części dla tego, że Dombrowski**) zapewniał, iż sam wszystko zrobi, co się tylko da zrobić w tym względzie, głównie zaś, jak myślę, że wtedy jeszcze, t. j. jesienią r. 1862, nie było ani rosyjskiego spisku, ani głównego komitetu. W końcu centralny komitet porucił Podlewskiemu, aby na podstawie pełnomocnictwa i rekomendacji Hercena i Bakunina wszedł w bliższe stosunki z rosyjskimi rewolucjonistami i osobiście się przekonał o rzeczywistym stanie rewolucyjnych zamiarów i zabiegów w Rosji. Pośrednikiem między Podlewskim i naczelnikami rosyjskiego spisku miał być petersburski polski komitet. Prócz tego posiadał Podlewski udzielony

*) Oficer gwardyjskiej konnej artylerji; rozstrzelany w Modlinie; do Petersburga przyjeżdżał pod imieniem hr. Matusiewicza.

**) Późniejszy generał komuny.

mu przez Iskandera adres pewnej zaufanej osoby i list do niej. Po powrocie Podlewski oświadczył, że rosyjscy rewolucjoniści utworzyli w samej rzeczy w ostatnich czasach centralny narodowy komitet, i dążą do rewolucji w Rosji, lecz że ten komitet znajduje się dopiero w samych początkach swej działalności, i organizacja jego według słów samych członków, bardzo jeszcze słaba i nieznaczna; że dalej rosyjski komitet nie naznaczył dotąd dnia rewolucji i w obecnej porze nawet przybliżenie go oznaczyć nie może. Na wszelki wypadek, powiedziały mu osoby, z którymi się stykał, otwarcie, iż rewolucja w Rosji niemożliwa przed latem r. 1863; że rosyjski komitet jak najchętniej zgadza się zostawać w ciągłych stosunkach z Warszawą i obiecuje ze swej strony wszelką pomoc naszym rewolucyjnym czynnościom; że prosi nas, abysmy przed latem roku 1863 nie powstawali, lecz zarazem obiecuje ze swej strony wszelką pomoc na wypadek, jeżeli okoliczności zmuszą nas do rańszego powstania; mianowicie zaś obiecywał, w słowach prawdą bardzo dwuznacznych i niejasnych, wywołać ruch na Uralu, gdzie rewolucyjna organizacja miała być więcej rozwiniętą i silniejszą. To samo prawie, co objawił Podlewski, było powiedziano w napisanej po francusku korespondencji centralnego rosyjskiego komitetu, którą przywiózł z sobą...»

«Podczas mej nieobecności w Warszawie, na przedstawienie wileńskiego komitetu a głównie jego pełnomocnika*) Wacława Przybylskiego, Ohrysko otrzymał od Bobrowskiego**) nominację na głównego agenta centralnego rządu narodowego w Petersburgu. Nominacja Ohryski na agenta w Petersburgu nastąpiła nie później jak w drugiej połowie lutego 1863***); bliżej nie mogę oznaczyć dnia...»

«Pamiętam, że Przybylski posyłał Ohrysce obligacje, awizacje i kwity dla zbioru podatków, ustanowionych przez rząd rewolucyjny, między Polakami mieszkającymi w Petersburgu. Pieniądzy jednak Ohrysko nigdy nie przysyłał do Warszawy. Zebrane sumy wydawał na niezbędne w Petersburgu wydatki, lub też wysyłał je do Wilna...»

«Jeszcze w marcu (1863) poruciłem był Ohrysce, aby się zapytał rosyjskiego centralnego komitetu, czy może on w ogóle udzielił pomocy powstaniu, i jaką mianowicie; dostałem potem przez Wilno odpowiedź Ohryski, że członkowie komitetu objawili otwarcie, iż nie są w stanie nam pomódz, chyba że będą się starali wpływać w naszą korzyść na opinję publiczną w Rosji.»

*) Przy rządzie warszawskim.

**) Zabity w pojedynku z Grabowskim.

*** Według zeznań Ohryski nominacja nastąpiła w końcu lutego lub połowie marca 1863.

«W końcu kwietnia lub w początkach maja 1863, poruczyłem Ohrysee, aby kupił topograficzne karty Królestwa Polskiego i zachodnich gubernji i przysłał do Warszawy kilku oficerów jeneralnego sztabu i artylerji. W skutek tego Ohrysko przysłał do Warszawy żądane karty, zdaje mi się w dwóch egzemplarzach i oficerów Gołdzwoskiego, porucznika inżynierji Sokołowskiego i innych.

«Józef Kalinowski przedstawił i wręczył narodowemu rządowi w miesiącu maju 1863 za pośrednictwem Gołdzwoskiego plany rosyjskich twierdz. Odprawiono je dla przechowania zagranicę do Władysława Czartoryskiego, któremu poruczono zarazem, aby kopje ich przedstawił p. Drouen-de-Louis, francuskiemu ministrowi spraw zewnętrznych.»

«Warszawski rząd wymagał od petersburskiego komitetu przysłania do Warszawy oficerów techników-specjalistów, żeby ci, w razie pomyślnego obrotu sprawy powstania i przyścia francuskich wojsk, mogli się zająć urządzeniem miejscowych fabryk broni, pistonów, wojennych laboratorji i fabryki prochu. Na to odpowiedziano z Petersburga, że żądani oficerzy-technicy przybędą na rozporządzenie centralnego komitetu, lecz do powstania nie pójdą, póki się rewolucyjne wojsko nie zorganizuje zupełnie, lub też póki nie przybędą Francuzi...»

«Braku oficerów nie było. Nie istniał na Litwie ani jeden oddział, w którym by znajdowało się mniej jak trzech oficerów z rosyjskiego wojska. Wytlumaczyć to można tą okolicznością, iż wielu z litewskich obywateli służyło w rosyjskiej armji, i że petersburski wojskowy komitet dostarczył wileńskiemu oddziałowi rządu wielką liczbę oficerów. Nasi wileńscy przyjaciele do tego stopnia nie wiedzieli co robić i dokąd posyłać oficerów, że na przykład posłany od nas do ich rozporządzenia Heidenreich*), który pragnął bić się na Litwie, powrócił do Warszawy po niejakim czasie i opowiadał, że nie mógł się doczekać żadnego poruczenia.»

«Bezpośrednie stosunki Ohryski z warszawskim rządem były bardzo skąpe. Na dochodzące go żądania odpowiadał zawsze za pośrednictwem wileńskiego komitetu. Cała jego działalność była prawie wyłącznie poświęcona powstaniu na Litwie, i warszawski rewolucyjny rząd pozostawił wyłącznie wileńskiemu komitetowi, aby tenże ciągnął wszelkie możliwe korzyści ze stosunków z Petersburgiem, ponieważ jemu samemu nie podobna było nieść Litwie pomocy, zaś dla innych miejscowości ułatwiała ją stosunki z Galicją, Poznaniem, z emigracją i w ogóle z zagranicą.»

«Pamiętam, że podczas pobytu mego na Litwie (sier-

*) Kruk.

pień 1863) Władysław Małachowski po wyjeździe swoim z Wilna do Petersburga użalał się w piśmie do Konstantego Kalinowskiego*) na bezczynność i bojaźliwość Ohryski i prosił komitetu wileńskiego, aby tenże zażądał od narodowego rządu oddalenia swego przedstawiciela, podając zarazem doktora przy sztafs-sekretaryacie królestwa Polskiego na rewolucyjnego agenta w Petersburgu... W tymże liście pisał także, że poznał się z rosyjskimi rewolucjonistami i że oni w samej rzeczy słabi; radził jednak wileńskiemu komitetowi, żeby im pomagał dla pożytku rewolucji i prosił o drukarnię dla nich i o kilkaset rubli pożyczki na wydatki. Kalinowski nie wysłał pieniędzy, lecz drukarnię rozkazał odesłać według adresu, który mu przysłał Małachowski. Drukarnia została wypisana z zagranicy**)...»

«Pierwszy napad, pierwszy cios wymierzony przez generała Murawiewa, który przybył do Wilna w miesiącu maju zdaje mi się, był tak silny, że rozbił prawie w puch litewską rewolucyjną administrację. Szlachcice-urzędnicy porzucali w panice wszystkie sprawy, zakopywali pieczęcie, nie zawiadomiwszy nawet o tem swoich przełożonych...»

Oto wiadomości, których p. A... da, jeden z głównych członków warszawskiego rządu, dostarczył wileńskiej śledczej komisji o petersburskim komitecie i rosyjskich rewolucjonistach. Mimo, że przytacza je Gogiel we wzmiankowanej już broszurze, autentyczność ich nie podlega wątpliwości. Psychiczny proces, jaki się odbywał w duszy tego człowieka, nim zaczął zdradzać, nie wiadomy nam; nie znamy także środków, jakich używano w cytadeli warszawskiej dla skłaniania go do tej zdrady. To tylko pewna, że wyśpiewał moskalom wszystko, co wiedział tak o warszawskim, jak o litewskim i petersburskim rządzie. Trapiła go prawdziwa jakaś gorączka poznajomienia swoich inkwizytorów, że wszelkimi tajemnicami narodowej organizacji; opowiadał im nawet, co głowy teje rozmawiali z sobą podczas herbatek wspólnie spijanych... Trzymano go długo, bardzo długo w cytadeli, uciekając się do niego przy każdej sposobności po nowe objaśnienia, których nigdy nie odmawiał. Większa część kolegów jego została powieszona... jego wysłano do Wiatki na mieszkanie, wycisnąwszy jak cytrynę...

Nam się zdaje, że między przyczynami upadku powstania prawdopodobny historyk będzie musiał pomieścić także słaby charakter i tchórzostwo kilku z jego kierowników, którzy umożliwili moskalom wykrycie tego, co dla nich na zawsze tajemnicą powinno było zostać...

*) Dyktator litewski. Aresztowany w styczniu powieszony 22 marca 1864 r. w Wilnie.

**) Przytrzymano ją w Wilnie na dworcu kolei żelaznej przy odsyłce.

Przy pomocy zeznań K...wskiego i A...dy sprawa nie przedstawiała najmniejszych trudności. Reszta aresztowanych nie mogła wytrzymać naporu podobnych świadectw i dowodów i widząc zupełną bezowocność zapierania się, poprzynawała się do winy. Łosiew czynił sobie z nich po prostu zabawkę, igrając jak kot myszą. Oto próbka tego postępowania.

Do sali posiedzeń komisji przyprowadzają jednego z obwinionych.

Łosiew. Jesteś pan oskarżony o posiadanie kwitów rządu narodowego, upoważniających do zbierania podatku.

Więzień. Nigdy żadnych kwitów nie posiadałem, pułkowniku. Kto przed komisją to mówił na mnie, skłamał nikczemnie.

Łosiew (z flegmą). Pokazywałeś je pan na wieczorze takim a takim osobom.

Więzień (stanowczo). Nic o tem nie wiem... z osób wymienionych nie znam nawet wszystkich.

Łosiew (zawsze z flegmą). Robiłeś pan z nich użytek przy takiej a takiej sposobności.

Więzień. Daję słowo honoru, że to wierutne, nikczemne kłamstwa. Nikt mi ich w oczy nie powtórzy pułkowniku!

Łosiew (uśmiechając się i nie tracąc flegmy). Nie dawaj pan słowa honoru... te ściany mogłyby mu powiedzieć, ile tu świętych przysięg okazało się płonnymi. Przyznaj się pan lepiej... uporem nic nie wskórasz. Jeżeli pana pytam, czynię to tylko dla tego, że mi go żal... chcę mu podać sposobność wydobyć się z przepaści, ujścia niechybnej zguby... Pytam, opierając się na pewnych danych, posiadam dowody. Lecz jeżeli mnie pan zmusisz do ich użycia, wtedy o jakimś miłosierdziu i pobłażaniu rządu dla pana mowy być nie może. Wyrok będzie wymierzony wedle winy. Wiesz pan zapewne o tem, co tych czeka, którzy należeli do składu tajemnej rewolucyjnej organizacji. Tylko szczerem wyznaniem prawdy i skrucą serdeczną będziesz mógł uniknąć skutków takiego przestępstwa. Zostawiam mu dwa dni czasu do namysłu i powtarzam raz jeszcze radę, abyś wyjawiał wszystką prawdę. Szczycę się odrobiną zaufania jego ekscelencji naczelnika kraju. Usłuchaj pan mojej rady, a jeżeli mi złożysz dowody szczerego żalu i prawdomówności, użyję mego stanowiska na korzyść pańską, poproszę naczelnika, aby raczył być litościwym dla niego... Na ten raz dosyć... możesz pan odejść... —

Więźnia odprowadzają do celi. Dwa dni nosi się biedak z szubienicą przed oczyma. Sergiej zaś szpieguje tymczasem przez szczelinę we drzwiach wszystkie jego ruchy, śledzi krok

w krok ten okropny proces, który się w duszy odbywa a na twarzy maluje, i donosi o wszystkim swojemu naczelnikowi.

Mija termin dwóchdniowy, lecz do komisji więźnia nie wołają. Niepewność zaczyna go dręczyć, wyobraźnia przedstawia mu niedaleką okropną przyszłość. Już widzi księdza, wchodzącego do celi, aby go wypowiadać przed śmiercią... słyszy bębny oddziału żołnierzy, którzy go mają zaprowadzić na plac stracenia... Ojciec, matka, rodzeństwo, kochanka przychodzą mu na myśl... do życia ciągną... Innym razem przewiduje tortury: śledzie solone bez wody, różgi, kajdany... Biega po celi, ręce łamie, nie wie co robić z sobą, płacze, rozpacza...

W takiej chwili zjawia się nagle Gogiel lub Juhan, których specjalnością było w komisji udawać współczujących, szlachetnych, pocziwych, i na tę wędkę łowić więźniów. Na twarzy u niego wyraz politowania, oczy przemawiają wymownie współczuciem, w głosie dobroć, łaskawość, przebaczenie. Zaczyna się nawracanie.

Juhan (podając więźniowi rękę). Przepraszam za na-tręctwo... może przeszkadzam?...

Więzień. Przeciwnie, poruczniku! bardzo mi przyjemnie.

Juhan (ogłędając się). Ach... nie ma tu nawet na czym usiąść... siadajmy na łóżku.

Więzień (smętno się uśmiechając). Niestety... brak mi najpotrzebniejszych rzeczy... wybacź poruczniku, nie jestem u siebie...

Juhan (biorąc więźnia za rękę). I cóż, drogi panie, namyśliłeś się?

Więzień. Względem czego, poruczniku?

Juhan. Ach, względem tych nieszczęśliwych kwitów.

Więzień. Poruczniku, na matkę się klnę, nie miałem ich.

Juhan. Cóż to pomoże zapierać się, kiedy inni zeznali?... Czyż sądzisz pan, żeśmy to sobie z palca wyszali?... Znasz pan K...wskich, Michała, Władysława... Pantilejewa?

Więzień. Znam ich... Pantilejewa zresztą bardzo mało, raczej z widzenia tylko... ale między nami podobnego rodzaju stosunki nie istniały.

Juhan. Nie sądź pan, że czychamy na jego zgubę... mój Boże, cóż nam z tego przyjdzie... wszakże i my mamy serca... nikogo gubić byśmy nie chcieli. My wiemy wszystko, wierz mi pan, wszystko... pytamy pana tylko, aby mu dać sposobność zeznaniem winy i żalem zaskarbić sobie miłosierdzie naczelnika kraju... Żle, dalibóg źle panowie o nas sądzicie... nie ludożercyśmy, jak nas przedstawiają... Nie

odtrącaj-że pan ręki, co mu chce położyć most przez przepaść, nad którą stoisz, i do której gwałtem wlecieć pragniesz. Wszak wiesz, co go czeka... Usłuchaj-że mej rady przyjacielskiej... nie upieraj się, wyznaj, żałuj. Tego jedynie wymagamy... czyż nie dość już padło ofiar? Przez wyznanie i żal zmniejszysz swoją winę, powiększysz zaś ją o wiele, jeżeli nas zmusisz do dowodzenia mu jej.

Więzień. Poruczniku, cóż mam zeznawać, kiedy nie nie wiem.

Juhan. Żal mi pana... prawdziwie żal mi go... Samochcę gotujesz sobie zgubę... to nierozsądnie!

Więzień. Łatwo mówić i zmyślić cokolwiek na kogo, lecz czy powtórzą mi to w oczy?

Juhan. Powtórzą, powtórzą! na to daję panu najświętsze słowo honoru... a co większa powtórzą ci, po których byś się tego najmniej spodziewał... Dla czegoż się opierać dłużej?

Więzień. Ależ panie, jakże mam zeznać, kiedy tego nie było?

Juhan. Cóż mam robić z panem?... chyba go tylko serdecznie żałować. (Wstaje) A żal mi pana szczerze, wierzę mi!... Następstwa sam sobie będziesz musiał przypisać... Uczyniłem, co mi ludzkość i jakieś współczucie dla pana nakazywały... dla nikogo jeszcze nie byłem tak usposobiony, jak dla niego... odtrącasz mnie... co robić... Żegnaj pana; zabiegłem bez wiedzy pułkownika, muszę więc odejść. Pomyśl pan, zastanów się głębiej nad swoim położeniem... szkoda ginąć tak młodo... —

I znowu mijają kilka dni katusz, cierpień okropnych. Na trzeci, czwarty dzień wieczorem wołają więźnia do komisji.

Łosiew. Zamiast dwóch dni, dałem panu sześć do namysłu. Czy powiesz nam dziś prawdę względem kwitów rządu warszawskiego?

Więzień. Nie miałem żadnych, pułkowniku!

Łosiew. Nie posadzajże nas pan, że go gubić chcemy... sam tego pragniesz, nań widać. (Do Juhana) Poruczniku! proszę poszukać w aktach zeznania, świadczące przeciw temu panu, i odczytać mu takowe. —

Juhan udaje się do drugiego pokoju. Chwila długiego, dla więźnia ciężkiego milczenia, podczas którego wszyscy członkowie z ciekawością nań spoglądają. Stoi ze spuszczoną na piersi głową, jakby czekał strasznego wyroku. Juhan wraca z papierami w rękę.

Łosiew. Wzywam pana jeszcze raz do dobrowolnego wyjawienia prawdy! —

Więzień milczy.

Łosiew do Juhana. Proszę czytać!

Juhan odczytuje to miejsce z zeznań K...wskiego, które się tyczy więźnia. Ten często robi przeczące znaki głową.

Łosiew. Cóż pan na to?

Więzień. Tak nie było pułkownik!... wszystko to zmyślane... w oczy nikomu nie powtórzy tych bajek.

Łosiew do Gogiela. Każ pan przywołać Władysława K...wskiego; myślimy za mało wiarygodni ludzie w oczach tego pana... może uwierzy dawniejszemu swemu towarzyszowi. —

Więzień uszom swoim nie ufa. Władysław K...wski miałby być autorem zeznań, które mu przed chwilą odczytano?... Na cóż w takim razie przyda się upór? Z pomocą K...wskiego przekonają go łatwo... Kazać mu sobie to wszystko do ócz powtórzyć?... paść się widokiem, jak się będzie rumienił i wstydił haniebnej zdrady? powiedzieć mu słowa prawdy, nazwać tchórzem, podłym, niekczemnym? Na cóż to się przyda? Bóg z nim...

Więzień. Niech pułkownik nie każe wołać tu K...owskiego, ja się przyznam... Tak jest... miałem kwit rządu narodowego dla zbioru podatków, lecz jeden tylko... kłnę się Bogiem, matką moją, pułkowniku, jeden tylko. —

Członkowie komisji promieniają radością, nie dla tego, żeby to zeznanie koniecznie im było potrzebnem, lub ważną jaką wiadomość zawierało, lecz że więzień nie wytrwał w uporze i złożył niejako hołd ich umiejętności prowadzenia śledztwa... dał dowód, że przed nimi ostać się trudno.

Łosiew. Otóż tak dawno już trzeba było zrobić, mój panie... Ale ja nie wątpię, że pan szlachetny człowiek i w końcu nam prawdę powiesz... wiesz, że mu, możesz być teraz o swój los spokojnym.

Gogiel. W rzeczy samej rozmawialiśmy o panu, nim go tu przyprowadzono... byliśmy wszyscy tego przekonania, że postąpisz szlachetnie... Ale usiądź pan, proszę... odpocznij...

Juhan. Pozwól pan sobie służyć cygaretką.

Teodorow. Oto ogień. —

I podsuwa mu gorejącą świecę.

Łosiew. Powiedz mi pan, czy dobrą masz celę?

Więzień. Haniebną, panie pułkowniku, ze ścian się leje... przytem nocne naczynie ciągle w niej stoi... na przechadzkę mnie nigdy nie wyprowadzają, książek także nie mam... słowem życie się czasem przykrzy. Już mnie nawet i piersi boleć zaczynają...

Łosiew. A... a... a!... nie wiedziałem nic a nic o tem wszystkim... Przebacz pan, tyle mamy zajęcia, że mi nawet do głowy nie przyszło zapytać dozorcę, gdzie też

pana umieścić. No, to się zmieni... zmieni. Dam dziś dozorcy rozkaz, aby panu ulżył, ile można. —

Więźniowi podają wszyscy członkowie rękę i żegnają się z nim po przyjacielsku, serdecznie prawie. Wraca do celi wesół, zmieniony nie do poznania. Z piersi mu spadł ogromny ciężar. Czyż nie okupił sobie łaski pułkownika zeznaniem tego, co ten i tak wiedział? Nie zdradził nikogo, powiedział trochę o swojej osobie, czego ukryć nie podobna było i jest uratowany! Łosiew dalibóg nie tak zły człowiek, jak go przedstawiają... moskal, bez wątpienia, lecz zdaje się mieć serce... ma je nawet, ma niezawodnie! Wszakżeż dla tego tylko doprowadził go do dobrowolnego zeznania, że go chciał od kary zbawić...

Nazajutrz prosi o książki, domaga się wyniesienia z celi nieznosnego naczynia, żąda, by go wyprowadzono na przechadzkę. Dozorca mu odpowiada, że jeszcze od pułkownika nie otrzymał żadnego w tej mierze zlecenia. Dziwi to trochę więźnia, jednak czeka pełen ufności i nadziei. Wieczorem wzywają go znowu do komisji.

Łosiew. Dobry wieczór panu... jak zdrowie?

Więzień. Dziękuję pułkownikowi... ujdzie...

Łosiew. Siadaj pan... proszę!... Wczoraj zeznałeś pan, żeś posiadał kwity, upoważniające go do zbioru podatków...

Więzień. Jeden, pułkownikowi, jeden tylko...

Łosiew. No... jeden, dwa, czy więcej nie stanowi różnicy... dość że pan miałeś.

Więzień. Tak... miałem...

Łosiew. Obecnie racz-że nam powiedzieć, od kogo je miałeś. —

Więzień sędzi z początku, że nie dosłyszał dobrze... pytającym wzrokiem spogląda na pułkownika. Ten powtarza pytanie z flegmą, grzecznie się uśmiechając. Więźniowi teraz dopiero jasno się robi w głowie. Dotąd ani pomyślał, że mu zadadza to przecież tak logiczne pytanie. Zrywa się oburzoną i woła:

— Tego panowie się odemnie nie dowiecie! —

Łosiew. Nie dowiemy?... Ooo!

Więzień. A nie, pułkownikowi, nie dowiecie się. Zeznałem swoją winę, lecz innych gubić nie myślę!

Łosiew. Nie myślisz pan?... a!... bardzo dobrze... nam tego wcale nie potrzeba... wiemy to skąd inąd. Pan sam zeznałeś, żeś posiadał kwity od rządu, należałeś więc do organizacji. Tego dosyć, aby za trzy dni zostać powieszonym... A teraz mam zaszczyt pożegnać pana... możesz wrócić do celi.

Więzień. Ależ pułkownikowi! dałeś słowo honoru, że

skoro się przyznam do winy, będziesz za mną przemawiał... przyznałem się przecież.

Łosiew. Słowa mego ja nie cofam, lecz zeznanie pańskie nie jest zeznaniem. My wymagamy skruczy i szczerej spowiedzi od tego, któremu mamy przebaczyć... żartów my tu nie pojmujemy, mój panie! Jeżeli pragniesz pozyskać względy, jeżeli mu chodzi o umniejszenie winy, musisz wszystko powiedzieć, co wiesz. —

Reszty domyslić się łatwo...

Sam Ohrysko po długim oporze widział się zmuszonym do wyznania winy. Zostawał co innego w obec zeznań A...dy i K...wskiego i w obec tej okoliczności, że i reszta towarzyszków już się była przyznała? Kiedy po odwołaniu Murawiewa z Litwy oddano sprawę polowemu sądowi wojennemu do rozstrzygnięcia, cofnął wprawdzie, co zeznał przed śledczą komisją i nowego się domagał śledztwa, podając za przyczynę, że zeznania dobywano z niego podstępem, niedawaniem jedzenia, i t. p., co prawu się sprzeciwia. Oczywiście, sąd wojenny tych żądań nie uwzględnił. Wyrok jego zapadł w końcu jesieni 1865. Ohryskę i K...wskiego skazano na śmierć, resztę do robót w kopalniach i fabrykach sybirskich. Audytorjat złagodził karę śmierci na 20 letnią «katorgi». Kaufman zatwierdził według tej sentencji, wyrok tylko K...wskiego zmienił zupełnie. «Za pomoc udzieloną rządowi przy wysledzeniu petersburskich rewolucjonistów i dla serdecznej skruczy» wysłać go kazał tylko na posiedzenie do Syberji...

Według zwyczaju wyroki i konfirmacja naczelnika kraju odczytywane były w sali posiedzeń sądu wojennego wszystkimi więźniami razem, którzy do jednej i tej samej sprawy należeli. K...wskiego uwolniono od obowiązku być obecnym przy tem czytaniu; nie chciano go narazić na wgardliwe wzroki i wyrzuty dawniejszych towarzyszków i przyjaciół, których osądzono według całej praw srogości. Jako szczególną łaskę przyzwolono także, że powyżej przytoczona pobudka tak łagodnego w porównaniu z innymi wyrokami, nie została wydrukowaną w dziennikach... Odczytano ją tylko w sali sądu wojennego.

Wszyscy towarzysze K...wskiego wyprawni zostali z Wilna w Styczniu 1866 r. Ohryskę wysłano osobno w kibitce pocztowej z żandarmami na Smoleńsk i Moskwę, aby nie przejeżdżał przez Petersburg. Dowiedziano się bowiem z pochwyconej korespondencji, którą Ohryscę udało się z więzienia zawiązać, iż tam robią się starania dla unieważnienia wyroku i rozpoczęcia śledztwa na nowo, a to dla tej przyczyny, że Murawiew, który śledztwo za pomocą Łosiewa

prowadził, był osobistym Ohryski wrogiem z powodu, że tenże zmusił go do zdania rachunków z administracji dóbr państwowych, w której wiele się okazało nadużyć. O tym ostatnim wypadku wspomina także Gogiel w swojej broszurze. K...wski został we Wilnie aż do lata 1866, i z nim to spotkamy się jeszcze w dalszym ciągu niniejszych opowieści.

II.

* * *

Wilno u Bosacek: koniec Września 1865.

I tak oto dopiąłem celu... sami przywieźli mnie na odwiedzinę do kraju, za którym takem się był stęsknił na Syberji. Niech żyje głupota Moskali!

Jesień... nasza piękna, rokoszna, polska jesień! Nie lubowałem się nią przez całe cztery lata. Dziś choć z za kraty mogę patrzeć na nasze jabłonie, grusze, śliwy, na grządki z kapustą, na krzaki agrestu i porzeczki, któremi wysadzone dróżki rozległego ogrodu klasztornego. Tu i owdzie w zapuszczonym wirydarzu uchowała się jeszcze sierotka-astara; na dawnym klombie z pośród wybujałych chwastów wysunął kilka pstrych główek krzak georginji... Wszystko to widzę z okna mojej celi; mogę je nawet otwierać i nasycać się czystem, wonnem, słodkiem rodzinnem powietrzem. Dla czegoż ono tak zupełnie innem mi się wydaje, jak w Syberji? Dla czego w piersiach po każdym odetchnięciu czuję takie ciepło i tak mi dobrze, jakbym w domu ojcowskim spoczywał na łonie kochanej matki? Panowie chemicy, co wiecie doskonale, że powietrze na całej kuli ziemskiej z jednakowych składa się pierwiastków, rozwiążcie, proszę, tę zagadkę!

Ciekawa też rzecz, co oni z nami robią... Widzę z wszystkiego, że w Niemalym są kłopoty. Przybyliśmy cztery tygodnie temu do Wilna po szybkiej, jak piorun podróży pocztą, parowym statkiem, koleją. W żywej mi pamięci jeszcze chwile, kiedy mnie z Warszawy wywożono na Sybir. Z każdą przejechaną wiorstą, z każdą przebytą stacją, za każdym niemal powrotem koła kurjerki naprzd po zamrzniętym gościńcu taki ból przeszywał serce, jakby je kto przemocą odrywał od kochanej ziemi, do której było przyrośniętem. Zdawało mi się, że stopniowo utracam coś z swego jestestwa. Z powrotem do Polski wszystko to od-

najdywało się znowu, co niegdyś po drodze na Sybir gubiłem częściami. Weselałem z każdą wiorstą, pełniej, swobodniej oddychałem z każdą stacją, w każdym mieście życia mi przybawało. A przecież wiedziałem, że nas wiozą do więzienia... Ojczyzno, ty jesteś, jak zdrowie!

Zandarmi zawieźli nas z dworca kolei żelaznej do rezydencji naczelnika kraju, którą po Murawiewie zajął był już Kaufman. Dobre pół godziny minęło, nim do sieni, gdzie nam czekać kazano, wyszedł młodziuchny jakiś oficer i ciekawie nas od stóp do głów oglądał, nie rzekłszy przytem ani słowa. Ciekawość jego była zresztą usprawiedliwioną, dziwnieśmy bowiem wyglądali. Od Permy, gdzieśmy siedli na parowy statek, nie nocowaliśmy nigdzie; o porządnym więc obmyciu się i uczesaniu mowy być nie mogło. Mieliliśmy przytem na sobie szerokie, długie więzienne płaszcze, zszyte. Bóg wie po jakiemu z sukna z żółtej wielbłądziej sierści, ogromne brodnie sybirskie na nogach, i czapki do jakichś fantastycznych turbanów podobne. Było więc na co patrzeć. W ślad za tym wyszedł inny jakiś oficer, wręczył żandarmowi kartkę i kazał nas odwieść do Bosaczek. Miało się już ku wieczorowi, kiedy nas tam przywieziono. Dozorca nie wiedział, jak ma z nami postąpić, na kartce bowiem było tylko napisano, aby nas zatrzymał do dalszego rozporządzenia. Wahał się więc, czy razem nas posadzić, czy osobno. Kiedy mu jednak żandarm powiedział, żeśmy całą podróż z Tolszki odbyli razem, zdecydował się zamknąć nas w jednej i tej samej celi, co nam oczywiście nie małą sprawiło radość. Teraz każda chwila, którą nam pozwalano przepędzić wspólnie, wydawała nam się darowaną, albowiem przygotowaliśmy się byli na to, że nas natychmiast po przyjeździe do Wilna na długo rozłączą. O wytrwałości Olesia nie a nie nie wątpiłem, on również o mojej. Długie wspólne cierpienia tak nas były zjednoczyły duchowo, żeśmy byli niejako jedną duszą w dwóch ciałach, więcej coś, rzekłbym, jak przyjaciele, towarzysze bowiem wspólnej niedoli. Stąd najmniejsze nawet powątpiewanie nie zakradało się do naszych myśli i nie, nie nie było w stanie choćby w najmniejszym stopniu osłabić jak najzupełniejszego naszego wzajemnego zaufania.

Wszakże Oleś mnie był przyzwyczaił do zajmowania względem niego stanowiska mentora. Na Sybirze ono było zupełnie usprawiedliwionem, i żyłem się z niem tak, że i tu, gdzie nie miało już racji bytu, zajmować go nie przestałem. Mimo więc, że spoczynek był potrzebny i pożądanym, wielką część nocy spędziłem na powtarzaniu przestróg, których w ciągu podróży dziesięć razy najmniej jużem mu był udzielił. Cęła nie była wielka, łóżka stały blisko, mogliśmy więc leżąc rozmawiać półgłosem.

— Olesiu drogi — mówiłem — czekają nas ciężkie, może straszne próby. Jutro, najdalej pojutrze rozłączą nas niezawodnie, i kto wie jak długo nie będziemy się widzieć... Jeżeli się nie mylę, do ciebie się oni najprzód wezmą; grasz rolę jednodworca; powierzchowność twoja jej zupełnie odpowiada; będą myśleli, że mają z prostym, niewykształconym i niedoświadczonym człowiekiem do czynienia; powezmą więc nadzieję, że się od ciebie daleko prędzej prawdy dobija, jak odemnie. O tem zaś, że od razu naszym zeznaniem nie uwierzą, obydwa wiemy doskonale. Zmusić ich możemy do tego tylko wytrwaniem i ciągłym obstawaniem przy naszych pierwszych zeznaniach. Dowieść nam, że kłamiemy, nie mogą w żaden sposób. Nie mają danych. Przedstawiliśmy się sierotami, bez rodziców, bez rodzeństwa; znajomi, których nazwaliśmy, są na Sybirze... nie masz więc obawy, aby nas powieźli do miejsca naszego urodzenia na konfrontację. Jedynem staraniem ich będzie wyludzić podstępnie zeznanie. A na to, drogi Olku, tysiące mają sposobów. Tyś nie był pod śledztwem, co się zowie, więc ich nie znasz; ja dwa razy już w życiu stykałem się z pierwszorzędnymi inkwizytorami moskiewskimi, znam ich z własnego na sobie i na drugich doświadczenia. Zaś o tem, że dostaniemy się w szpony takich właśnie pierwszorzędných inkwizytorów, ani jednej chwili nam wątpić nie wolno. Będą najprzód grozić; zamazają ci okna wapnem, kilka dni może obiadu nie dadzą; są to jednak głupstwa, które, wiem, że przetrwasz bez trudu. Potem imą się innych środków, i wtedy oto najwięcej ci być wypada ostrożnym. Powiedzą ci może, żeś ja się już przyznał; odczytają może zeznanie jakoby przezemnie uczynione — nie wier! domagaj się konfrontacji, nawet wtedy, gdyby ci się wydało, że zeznania rzeczywiście odemnie mogą pochodzić... Być może, że cię posadzą z kimkolwiek; w takim razie trzymaj się zasady, że się w więzieniu nikomu, nawet rodzonemu bratu nie spowiada z tego, czego śledcza komisja nie powinna wiedzieć. Bądź z towarzyszem, którego ci dadzą, otwartym na pozór, szczerym, ufaj mu niby, radź się; jeżeli człowiek zacny, nie na tem nie stracisz; jeżeli szpieg, zyskasz ogromnie wiele. Być może także, że znają sekret rozmowy za pomocą pukania; więc i z sąsiadami bądź ostrożnym; zdarzało się bowiem, że sadzali w sąsiedniej celi szpiega, który się podszywał pod nazwisko znajomego, lub też towarzysza i takim sposobem wyciągał na słowa tego więźnia, którego chcieli wy badać. Jednem słowem, przejmij się tem, co mówisz w komisji, tak, żebyś poniekąd sam w to wierzył... Oczywiście, długo nas tu trzymać będą... rok najmniej. Po pięciu, sześciu miesiącach jednak złagodnieją znacznie i odstąpią wreszcie zupełnie, skoro się przekonają,

że nic zrobić nie mogą. Wtedy oddadzą nas pod sąd wojenny, który jużci inaczej nas nie będzie mógł osądzić, jak na posiedzenie. Dla takiej nagrody, Olku, nam, których by w innym razie czekała katorga z utratą praw politycznych przestępców, pocierpieć trochę warto! —

Pocziwy Olek słuchał jak zawsze cierpliwie i nie przerywając, choć myślę, że wszystkie te przestrogi znał już na pamięć.

Nazajutrz około południa, jak przewidywałem, rozłączono nas. Już rano objawił nam dozorca, że nas przeprowadzą do innego więzienia. Byliśmy przekonani, że do bardziej ostrego, jak to, w którym znajdowaliśmy się. Tym razem przeczcucia nasze nie ziściły się. Nowa nasza rezydencja nie nosiła żadnych cech ostrego więzienia. Owszem, wszystko w niej się kazalo domyslać, że tu więźni podrzędnych przestępców. Na korytarzach nie było straży. Przy przyjęciu nie rewidowano nas wcale. Dozorca pozwolił mi palić papierosy, bez najmniejszej trudności; dał zaraz na wstępie książkę do czytania. Posługacze wdawali się w rozmowy. Okna były wprawdzie wysoko od podłogi umieszczone, lecz można było stawać na krzeselko i wyglądać na podwórze, po którym przechadzał się zawsze któryś z więźniów. Nakoniec pierwszego już dnia wypuszczono nas na przechadzkę i ja Olesia, Oleś mnie widział z okna. Stąd prosty wniosek: jakie więzienie, taka i śledcza komisja...

Nie chciało mi się w głowie pomieścić, żeby tak gładko rzeczy poszły; trudno się było jednak oprzeć oczywistości. Wstrzymywałem się przeciw z ostatecznym orzeczeniem aż do tego czasu, kiedy zobaczę komisję. Dzień po dniu mijał, lecz nie wzywano mnie. Nareszcie dziesiątego dnia widzę przez okno, że Olesia wyprowadzają gdzieś z zawiniątkiem za bramę. A więc znowu do innego więzienia, mówię sobie. Uderzyło mnie także to, że go aż czterech stróżowało żołnierzy, widąc pośrodku. Niebawem i mnie zawezwano i wyprowadzono z dwoma tylko żołnierzami napowrót do Bosaczek. Więzienie któreśmy opuścili, nazywało się «Czternastówką» i służyło, jak wiem teraz, rzeczywiście dla mniejszych przestępców. Lecz dla czego przydano Olesiovi czterech, widząc tylko dwóch żołnierzy? Przypadkiem to się pewnie nie stało. Przypominam sobie, że w Czternastówce kilka razy pod moje drzwi podchodził jakiś wyższy oficer, którego widziałem wchodzącego do więzienia. Dość długo przyglądał mi się przez mały otwór we drzwiach, potem zaś słyszałem go udającego się po korytarzu w stronę, gdzie była cela Olesia. Najprawdopodobniej więc przyjęło go za nowicjusza i chciano od razu zastraszyć temi czterema żołnierzami, którzy mieli w nim wzbudzić przekonanie, że go w ko-

misji uważają za ważnego przestępcę. Oleś, wiem, w duszy śmiał się, i skorzysta niezawodnie z tego. Będzie się starał utrzymywać w nich przekonanie, że jest rzeczywiście nowicjuszem; a to sprawi, że widząc, iż wytrwale trzyma się jednego, uwierzą mu w końcu.

Takie przeprowadzanie z więzienia do więzienia było dla mnie jasnym dowodem, że oni właściwie nie wiedzą, jak się wziąć do nas. Bawiło mnie to... Ale z drugiej strony nabrałem pewności, że sprawa nie pójdzie tak gładko, jak to byłem już skłonny przypuścić w Czternastówce. Przez kilka dni myślałem tam, że po tak okrutnej represji powstania, dla której musieli byli rozwinąć ogromną energję, nastąpił u nich obecnie stan pewnego przesycenia, jakaś chęć odpoczynku po wysiłkach. Czuli się zupełnie bezpiecznie, mogli więc nowe polityczne sprawy z mniejszą jak dawniej ścisłością śledzić. Widać, że tak nie jest. Będziemy musieli rzeczywiście wytrzymać przewidywane próby. Dobrze przy najmniej, że nas nie znajdują nieprzygotowanymi.

U Bosaczek zupełnie inny porządek, jak w Czternastówce; widać tu i czuć pewny system, czego tam nie było. Na korytarzach żandarmi i straż; posługacze więcej udiscyplinowani; dozorca codziennie prawie odwiedza więźniów; często ktoś podpatruje i podsłuchuje we drzwiach. Zawsze jednak nie to, co w dziesiątym pawilonie w warszawskiej cytadeli. Okna pojedyncze, nie zamazane wapnem; można je otwierać; palić pozwalają... słowem daleko kłótniej tu, jak sobie wyobrażałem. Temci lepiej... Nocne, blaszane, ogromne naczynie stoi wprawdzie w celi, na przechadzkę nie wyprowadzają mnie, lecz to z czasem zmieni się... Nie pilno mi, poczekam. W sąsiednich celach jakiś cicho, nie słyszę też nikogo przy oknie... widać sam jestem w tej części korytarza. Gdzie Olka umieszczono, żadnego dotąd nie mam wyobrażenia; z żadnym posługaczem nie udało mi się jeszcze zabrać przyjaźni. W żaden też sposób nie mogę sobie ujaśnić planu budynku. Prowadzono mnie tu długimi, krętymi i ciemnymi korytarzami, wzdłuż których po obu stronach ciągnęły się cele, lecz gdyby mi teraz kazano samemu wrócić do furty, zablądziłbym z pewnością. Klasztor widać nie odrazu był budowany. Przyczepiano w ciągu wieków budynki i budyneczki i łączono je chodnikami. Stąd chaos, że niepodobna zorientować się. Z okna widzę tylko ogród obszerny, wysokim murem obwiedziony, z po za którego wyglądają dachy pobliskich kamienic. Na prawo do korpusu, w którym się moja cela znajduje, przyczepiony cały nieregularny wielokąt oficyn, otaczających niezawodnie podwórze. Dochodzą mnie stamtąd nie raz głosy więźniów, rozmawiających, jak się zdaje, z okna do okna. Zrozumieć dotąd nic nie

mogłem. Raz z jeszcze większego oddalenia doleciał mnie choralny śpiew; po nucie poznałem pieśń powstańczą: «Znikły dla nas nadziei promienie...» Daremnie silibym się opisać uczucia, jakimi mnie napoiła ta melodia... Tak chciwie, tak chciwie jej słuchałem! Dalibóg, lepsze więzienie w ojczyźnie, jak rzekoma wolność na wygnaniu... zwłaszcza gdy w pierwszym względnie tak wielkiej używa się swobody, że i śpiewać nie zabraniają i przez okna można rozmawiać. Wszystko to budzi we mnie nadzieję, że pobyt tu będzie znośnym.

W ogrodzie jest długa aleja z drzew owocowych. Widzę codziennie przechadzających się po niej więźniów. Chodzą po jednemu, po dwóch, a nawet dwie grupy, jedna z ośmiu, druga z pięciu osób złożona. Jest także kilka kobiet, dwie z nich siedzą w osobnych celach, trzy w jednej i tej samej zapewne, bo się razem przechadzają. Nie mogłem dopatrzeć, czy młode, czy stare, oddalenie alei za wielkie. Wszystkich więźniów, których wypuszczają na przechadzkę naliczyłem dotąd do pięćdziesięciu; oczywiście musi być i takich kilka-naście, których, jak mnie, nie wypuszczają do ogrodu. Z tego wszystkiego powziąłem niejaki wyobrażenie o zwyczajach tutejszej komisji. Z początku trzyma więźnia krótko, nie dając mu najmniejszej folgi. Później pozwala mu wychodzić na przechadzkę. Dalej dodaje mu towarzysza. W końcu nareszcie kilku razem w jednym numerze umieszcza. Ci ostatni zajmują zapewne dawny refektarz i chór... Zrobiłem sobie także gwoździem małą dziureczkę we drzwiach, przez którą mogę patrzeć na korytarz. Widuję więźniów chodzących do odchódka, zawsze w takim razie żołnierz im towarzyszy.

Piszę te szczegóły i śmieję się w duchu sam nad sobą. Ileż to z tych, co je kiedyś czytać będą i o życiu więziennem nie mają wyobrażenia, znajdą je nudnymi, dziecinnymi! Ach, oni nie wiedzą, jak wielką rozrywkę, ulgę, ba roszkosz sprawia więźniowi takie śledzenie i odgadywanie świata, który go otacza, a którego wszelkie objawy jak najusilniej starają się przed nim ukryć, aby go tem łatwiej w niepewności i w trwodze utrzymać... Nie przyjemniejszego dlań, jak gdy może w niwecz obrócić te starania!

Połowa Października 1865.

Tytoniem, chlebem i koszulą z pstrego perkalu, którą z Sybiru przywożem udało mi się wreszcie zjednać posługacza. Oleś siedzi na tym samym korytarzu co ja. Do komisji go jeszcze ani razu nie wzywali. Radbym też wiedzieć dla czego nas tak długo w jak najzupełniejszym zostawiają

pokoju... Chcą nas zapewne znicić, niecierpliwie, niepewność i trwogę zwiększyć, zdenerwować, aby tem łatwiej mogli zwyciężyć... A może też posłali zapytanie do mniemanego miejsca naszego urodzenia... Bądź co bądź, wytrwamy... nie spieszo nam, poczekamy! Ja prawdziwie taki wesół zawsze, jak dawno już nie byłem. Jakikolwiek bowiem obrót weźmie sprawa, źle się dla nas skończyć nie może, a im dłużej nas będą trzymać, tem łagodniejszy będzie wyrok. Kto wie, może i amnestja jaka zapadnie. Otóż to by była pociecha, gdyby nas pewnego pięknego poranku na wolność wypuścili!... No, tego nie będzie, lecz łatwo stać się może, że nas, zamiast na Sybir, wysłają tylko do Rosji na mieszkanię... Mnie to nie siedzieć i czekać, ale Olkowi!... Kilka-naście mil stąd mieszka jego żona, po której tak mocno zawsze tęsknił... i wyrzeka się widzieć ją właściwie tylko dla tego, aby mnie uratować. Jemu bowiem za pierwszą ucieczkę nie wiele by zrobili, co najwyżej lat kilka by mu dodali... Zaczny, szlachetny, poczciwy Olek!

Od pięciu tygodni prócz posługacza nikt się do mojej celi nie pokazał. Codziennie widzę dozorcę mimo przechodzącego do innych cel; do mojej tylko przez okienko w drzwi zagląda i mija. Bardzo dobrze... ja ich pewnie o nic prosić nie będę, ani pytać... znudzą się w końcu, zawołają sami... Tytoniu zapas mam jeszcze na kilka tygodni, papierosowego papieru w arkuszach huk, ołówek... czego mi więcej potrzeba? Zresztą kilka rubli leży w depozycie u dozorczy, można więc będzie kupić, kiedy mi czego zabraknie. Nieprzyjemnie to wprawdzie trochę być w zupełniej nieświadomości, jak stoi sprawa, lecz co robić... przewidywałem przecież, że tak będzie... wszak trzeci raz chwala Bogu jestem we więzieniu, wiem, że taki ich zwyczaj, i jeżeli mnie rachuby nie mylą, długo już tak nie potrw... Szkoda tylko, że tak samotny jestem. Tam na przyległym podwórzu zawsze głośnie roshowory, śmiechy, śpiewy... A! żeby też mnie tam przeprowadzili, mogliby potem dalibóg jeszcze kilka tygodni zostawić w pokoju... aż do zimy, kiedy dubeltowe okna powstawiają, których nie będzie można otwierać...

Koniec Października 1865.

Nakoniec uznali ci panowie za stosowne dać znać o sobie. Z trzaskiem, pukiem, hałasem otworzono trzy dni temu moją celę i zjawił się malutki, młodziutki jakiś oficer, porucznik jeżeli się nie mylę żandarmów, w pełnym mundurze, ze sznurkami, gwiazdkami, przy pałaszu, w rękawiczkach i ostrogach. Kaszkiet zdjął przed progiem, płaszcz, który zarzucony

miał na plecach, w celi i złożył go na łóżku. Ukłonił się bardzo grzecznie, mile się uśmiechając, na co równie wyszukany ukłonem mu odpowiedziałem.

— Pańską sprawę Jego Ekscelencja naczelnik kraju, generał adjutant von Kaufman — rzekł szczebiotliwym głosem — raczył oddać dla zbadania drugiej osobnej śledczej w politycznych sprawach komisji. Prezydent też pułkownik Łosiew porucił mi zobaczyć pana i powiedzieć mu, że zeznania jego są bardzo niedostateczne. Trzeba, abyś je pan uzupełnił.

— Z największą chęcią uczynię zadość życzeniu pułkownika — odrzekłem — byłem tylko wiedział w czym mianowicie życzy sobie uzupełnień... W Tobolsku napisałem dość obszernie całą moją niedługą zresztą i niezawilą historję... zeznanie to znajduje się prawdopodobnie przy papierach, które z nami przysłano.

— Tak, tak... czytałem je... lecz widzi pan, my tu trochę skrupulatniej bierzemy rzeczy... nie możemy się zadowolnić tem, co w Tobolsku oczywiście musiało się wydać dostatecznem.

— Jestem na pańskie rozkazy... proszę mnie pytać, na wszystko odpowiem jak najzgodniej z prawdą, której taić obecnie, proszę wierzyć, nie mam najmniejszej przyczyny.

Mój inkwirent bystro mi spojrzał w oczy. Nie spuściłem ich.

— Pytać, bardzo długa procedura... nieprzyjemna ani dla pana samego, ani dla nas... Wolałbym, radziłbym nawet panu, abyś sam opowiedział nam cały przebieg swego życia, tak żebyśmy mogli wszystko sprawdzić... Powiadasz pan np. w zeznaniach tobolskich, byłem w tej a tej bitwie... to mało... trzeba ją opisać, miejscowość bliżej określić, powiedzieć kto dowodził, jakie były siły z obydwóch, jeżeli można, stron i t. p. Inaczej, widzisz pan, niepodobna orzec, czy prawdę mówisz, czy nie. A zdaje mi się, że i panu na tem zależeć musi, abyśmy się przekonali, że pierwsze ma miejsce.

— Bez wątpienia! — pospieszyłem dorzucić.

— Więc każe panu przynieść co potrzeba do pisania. Tu, w spokoju, przypomniałszy sobie wszystko, będziesz pan mógł, nie spiesząc się, jak najzupełniej zadowolić naszą ciekawość...

— Bardzo chętnie to uczynię... na ile oczywiście pamięć mi pozwoli.

— Rozumi się, rozumi się... niemożliwych rzeczy nie żądamy od pana... Kiedy pan skończysz, bądź łaskaw oddać żandarmowi... Nie masz pan jakiego życzenia, które bym

mógł zakomunikować pułkownikowi? — dodał zabierając się do wyjścia.

— Nie, panie! jestem zupełnie zadowolony... jedzenie dobre, na obchodzenie się ze mną skarżyć się nie mogę... nie mam prawa żądać więcej w tem położeniu...

— Więc do miłego widzenia się — rzekł porucznik i sięgnął rękę po płaszcz. Pospieszyłem podać mu go i pomódz zarzucić na plecy. Podziękował mi, podawszy rękę i wyszedł.

Kilka chwil potem przyniósł żandarm potrzeby do pisania. Arkusze papieru były numerowane. Wziąłem się zaraz do roboty, a pod wieczór już byłem z nią gotów. Oczywiście trzymałem się jednego, dopełniając tylko wedle wskazówek porucznika. Opisów bitew łatwo mi było dostarczyć, ponieważ nasłuchałem się od powstańców podczas drogi etapowej dość najbardziej szczegółowych opowiadań o nich. Nazajutrz rano odesłałem to wszystko do komisji, a dziś przed południem wezwano mnie do niej.

Prócz porucznika, którego imię jest Starow — tak go przynajmniej nazywano przy mnie — zastałem pułkownika Łosiewa i jeszcze jakiegoś wojskowego. Ten ostatni kazał mi zbliżyć się do krzesła prezydjalnego, które zajmował Łosiew.

— Jestem trochę niezdrowszy — rzekł do mnie ten ostatni, ukazując białą chustkę, którą miał uszy podwiązane — proszę więc pana odpowiadać głośno i wyraźnie... —

Skloniłem się.

— Pańskie zeznania czytałem — mówił dalej — wszystko, co w nich jest będzie sprawdzane. Zdaje mi się jednak, że pan nas oszukujesz...

— Nie mam najmniejszej do tego przyczyny, pułkowniku!

— Zdaje mi się, że ją pan masz, i ważną... Otwarcie panu powiem, że mi się nie chce wierzyć, abyś w powstaniu zajmował tak podrzędne stanowisko, jak mówisz... Coś to tam musiało być innego, kiedyś pan aż na Sybir uciekł, aby uniknąć więzienia...

— Pułkownikowi wiadomo, że na Syberję dostałem się przypadkiem, zmuszony niejako... Pierwotny nasz zamiar był przebrać się do Turcji przez Krym, lub Odesę... Za granicę zaś wielu prostych powstańców uciekało od więzienia i wygnania. —

Pułkownik pokiwał głową niedowierzająco.

— Ha, jeżeli komisja wykryje, że byłem czemś więcej, jak powiadam — rzekłem głos podnosząc — wtedy bez szemrania najsroższy przyjmę wyrok... nawet wyrok śmierci!

— Bez szemrania czy z szemraniem, na to wcale zważać

nie będziemy. Powiesimy go, jeżeli tylko okaże się, żeś na to zasłużył... — rzekł pułkownik powolnie.

— Bardzo rad jestem z dodatku: jeżeli się okaże... — odpowiedziałem.

— Pan żartujesz sobie ze mnie, jak widzę! — przerwał Łosiew ostro. — Wiesz pan, przed kim masz zaszczyt znajdować się?...

— Nie miałem najmniejszego zamiaru ubliżyć pułkownikowi... chciałem tylko powiedzieć, że mnie cieszy jego łaskawe zapewnienie, ponieważ w takim razie jestem pewny, iż nie będę powieszony... Komisja nad to, co powiedziałem, niczego nie odkryje, bo nie nie udało mi się przed nią.

— Zobaczymy, zobaczymy! — odparł Łosiew.

Na tem się skończył pierwszy atak komisji. Łagodniejszy był, niżem mniemał. Szczególnie rad jestem z tego, że dobrowolna nasza podróż na Sybir nie zdaje im się nieprawdopodobną. Nie przypuszczają nawet, abyśmy już byli sądzeni i uciekli; w przeciwnym razie bowiem niezawodnie byli by dali mi to poznać... Mniejsza o to, że mi wierzyć nie chcą, iż byłem prostym powstańcem, i chcieliby koniecznie dopatrzeć kogoś większego we mnie. Będą zmuszeni uwierzyć w końcu, kiedy nic innego mi dowieść nie będą mogli. Fatalne jednak głupstwo popełniłem. Tak byłem w duszy uradowany z takiego obrotu sprawy, że wróciwszy do celi radośnie zacząłem ręce zacierać, skoro tylko żandarm drzwi zamknął. A zdaje mi się, że patrzył na mnie wtedy przez okienko. Jeżeli tak, źle, bardzo źle się stało... doniesie niezawodnie pułkownikowi, a ten już ci nie weźmie tego inaczej, jak tylko, że się cieszyłem, iż się dał oszukać... Djabli nadali... tak rozsądne rady umiałem dawać Olkowi w tej samej materji, sam zaś do nich zastósować się nie mogłem... A wiem przecież, że więzień który zostaje pod śledztwem, tak się powinien zachować co do objawu swoich wewnętrznych uczuć, jakby był w szklanej celi otoczonej żandarmami, którzy z niego oka nie spuszczać... Głupi mój wybryk, jeżeli został dostrzeżony, może niezmiernie sprawę przedłużyć... popsuć nawet.

Listopad 1865.

Otóż i spełnione moje tajemne życzenia... z dawniejszej samotnej celi przeniesiono mnie do innej, mającej okno na podwórze, o którym zawsze marzyłem. Większą radość mogliby mi byli chyba tem sprawić, gdyby mnie na wolność wypuścili. W marzeniach wiele sobie rozrywki na tem podwórzu obiecywałem; rzeczywistość znacznie je prześcigła... Rzecz tak się ma, jak się domyślałem z dolatujących mnie

wtedy rozmów. Podwórze otoczone jest zabudowaniami i przedstawia nieregularny wielokąt do trójkąta podobny. Podstawę jego stanowi korpus, w którym prócz mojej jeszcze trzy cele się znajdują. Na dole — moja cela bowiem na piętrze — także cztery cele. Bok prawy trójkątu tworzy wysokie zabudowanie, które na dole tylko ma dwa okna, reszta mur. Na mojej stronie siedm cel zamieszkaných, jedna pusta. Okna prawego boku zawsze zamknięte, nikogo nie widać. Lewy bok tworzy kryty korytarz, którym więźniów wyprowadzają na przechadzkę, drzwi jego bowiem wychodzą do ogrodu. U szczytu trójkąta stoi niziutki domeczek o trzech celach, z których jedna zamieszкана przez więźnia w kajdanach... Po za nim, w dość głębokiej niszy, jest jakaś wysoka ściana, przytykająca do prawego boku trójkąta i mająca jedno szerokie okno. Należy ono do celi, w której siedzą trzy kobiety...

Co za rokosz, co za rokosz! w żadnym salonie pewnie żywszej i przyjemniejszej nie prowadzą rozmowy, jak my tu czasem. Kobiety, z których jedna jest sędziwa już matrona, dwie zdają mi się być pannami, rzadko się do niej mieszają, lecz przysłuchują zawsze. Dobrze mi ich twarzy nie podobna rozglądać; okno ich celi trochę na ukos od mego, i zasłania je drzewo, które stoi przed niszą. Podwórze jak widać, było kiedyś kwiatowym ogródkiem, dziś oczywiście wszystko zapuszczone i wydeptane przez żołnierza, który tu stoi ciągle na straży i kręci się w kółko około latarni, znajdującej się na środku. Z lewej strony mam sąsiada Antoniego Borzęckiego z Wilejki, z prawej jakąś sąsiadkę, kobietę średniego ile mi się zdaje stanu. Więzień w kajdanach, na przeciwko mnie siedzący, uciekł z drogi na Sybir i wrócił do domu, gdzie go poznano i napowrót aresztowano. Okuto go w kajdany, ponieważ miał wyrok do robót w kopalniach. Od pewnego czasu nie rozmawia z nikim, choć go często widuję w oknie. Mówił mi Borzęcki, że dostał niedawno pomieszczenia zmysłów; dał mi także do zrozumienia, że mu się zdaje, iż tym sposobem chciałby się uwolnić od powtórnej na Sybir podróży... A na wstępie przeraził mnie okropnie. Skoro mnie bowiem przeniesiło do nowej celi, pierwszą rzeczą było, że otworzyłem okno i zorientować się starałem. Wszystko było cicho; kajdaniarz stał w oknie; pozdrowiłem go kiwnięciem głowy, lecz mi nie odpowiedział. Po chwili zawołał jak mógł silnym głosem:

— Antoni! Antoni! —

Nikt mu żadnej nie dał odpowiedzi.

— Drugi! drugi! — wołał jeszcze głośniej.

Żołnierz-strażnik kazał mu być cicho, grożąc, że zawoła żandarma.

— Hej panowie! koledzy! słuchajcie, co wam powiem — zakrzyczał więzień jak mógł głośno, na całe gardło prawie.
— Otruli mnie, otruli... hohoho otruli!... Zlitujcie się na demną, ratujcie... otruli mnie; lotry, psy, zbójcy, szelmy... otru... u... uli! —

Głos jego był przerażającym, okropnym... jak człowieka w ostatnim niebezpieczeństwie znajdującego się. Rzucił się przytem, kajdanami brzęczał, chwycił rękoma kraty i potrząsał niemi. Włosy na głowie miał wzburzone, twarz istnie warjata. Widok ten niespodziewany poruszył mnie do głębi, bo wziąłem go na serio. Co ten nieszczęśliwy przeżyć musiał, pomyślałem, nim doszedł do takiego stanu. Żołnierz jeszcze raz groźbę swoją powtórzył.

— Hej panowie szlachta, mieszczanie, obywatele! — krzyczał biedny, jakby pragnął, żeby go całe Wilno usłyszało — na miłość Boga spieszcie się z ratunkiem... Spieszcie ludzie poczywi, nie dajcie mnie zamordować... Hohoho, otruli mnie, otruli... Patrzcie oto, przekonajcie się sami... tym kawałkiem mięsa mnie otruli... ratujcie kto w Boga wierzy! —

Przy ostatnich słowach podniósł kawałek mięsa do góry i wyrzucił go za kratę. Żołnierz zaniepokojony pośpieszył do tego kąta podwórza, gdzie się drzwi znajdowały, prawdopodobnie aby dać znać o tem, co zaszło.

— Ratujcie — wołał więzień — przedzej, na miłość wszechmocnego Boga... bo będzie zapóźno! —

Na podwórzu pojawił się żandarm i zbliżył do okna kajdaniarza.

— Czego pan tak krzyczysz? — zapytał go.

— Otruliście mnie lotry! — odpowiedział więzień — oto wodą tą otruliście mnie! — tu ukazał kubek blaszany, który stał na oknie.

— To woda czysta... lecz każę świeżej przynieść, jeżeli pan chcesz. —

Potem wziął z po za kraty kubek i podał go żołnierzowi, który poszedł do wnętrza budynku, aby go napełnić. Kiedy wrócił napowrót z świeżą wodą, żandarm podał ją więźniowi.

— Ja nie chcę tej wody! to woda zatruta — rzekł tenże i wylał ją za kratę. — Daj mi stamtąd wody, od tego pana, co siedzi na przeciw! —

Żandarm uczynił zadość temu żądaniu, nalawszy wody z flaszki, którą mu podał z po za kraty więzień, co siedział na dole pod Borzęckim. Kajdaniarz napił się jej i uciął. Zamknął nawet okno, poczem i żandarm oddalił się. Długie po tej scenie panowało milczenie na podwórzu, smutnych ona bowiem każdego nabawiła myśli.

Po dobrej chwili więzień, który siedział podemną, za wołał półgłosem.

— Drugi! drugi!

— Czego chcesz? — odpowiedział mój sąsiad z lewa.

— Nie mógłbyś teraz spuścić pajaka?

— Mam ponoć nowego sąsiada, nie wiem czy się zgodzi... —

Jużci nie rozumiałem nic a nic, o co rzecz chodzi, domyślałem się jednak, że tu w czemś mojej potrzeba pomocy. Rozumi się samo przez się, że nie widziałem rozmawiających, ponieważ głowy za okno wysuwać nie było można; krata stała na przeszkodzie. Również i oni mnie widzieć nie mogli. Pośpieszyłem więc wtrącić:

— Jeżeli o mnie mówicie panowie, jestem na usługi. Musicie mnie jednak objaśnić, czego odemnie żądacie, bo nie nie rozumiem.

— Dawnoś tu przybył? — zapytał sąsiad z lewej strony.

— Dwa miesiące temu.

— Gdzieś przedtem siedział?

— Na tym samym korytarzu i na tej samej stronie, ale pięć numerów, czy nawet więcej dalej. Okno moje wychodziło na ogród...

— Wystaw jak możesz daleko rękę za kratę.

— Wystawiłem! — rzekłem uczyniwszy, co mi kazano.

— Przytrzymaj sznurek, który ci rzucę. —

Rzeczywiście po tych słowach upadł mi na wyciągniętą po za kratę rękę szpagat rzucony zręcznie przez mego sąsiada. Pochwyciłem go i wciągnąłem do celi.

— Teraz zaczekaj, póki żołnierz nie obróci się do nas tyłem...

Przestałem ciągnąć, żołnierz bowiem powrócił się był właśnie do nas twarzą. Kiedy nas widzieć nie mógł, wciągnąłem szpagat zupełnie do celi. Miał na końcu zawiniętego coś w papierze.

— Spuść to nadół teraz... — rzekł mi sąsiad.

Uczyniłem i poczułem jak więzień, co siedział na dole, oderwał pakiecik.

— Dziękuję serdecznie! weź szpagat do siebie! — rzekł mi potem.

— Czy to nazywacie panowie pajakiem? — zapytałem.

— Tak! — odparł sąsiad — Szpagat ukryj dobrze u siebie, mnie on nie potrzebny... Wolno wiedzieć skądś? — zapytał potem.

— Z Syberji! — odpowiedziałem.

— Skąd, skąd? — zapytano z dołu.

— Z Syberji! — powtórzyłem głośniej.

— A cóż tam robił?

— Po powstaniu nie mogłem się nigdzie ukryć, a wiedząc że mnie tam wysła, jeśli uwiężą, sam pojechałem, chcąc im i sobie kłopotu oszczędzić... Nie przyjęli mnie tam jednak juchy, lecz tu odesłali. —

Zaśmieli się wszyscy.

— Dalekoś dojechał? — zapytał sąsiad.

— Dostyc... do Jenisejska.

— Koledzy! — ozwano się z dołu — wnoszę, aby naszego nowego towarzysza ochrzcić imieniem: Pierwszy!

— Zgoda! — odpowiedziano.

— Odtąd więc kolego Sybiraku, będziesz odpowiadał na zawołanie: Pierwszy. My tu numerami się nazywamy.

— Dobrze...

— Pst! woda! — zawołano z dołu, a natychmiast potem ukazało się na podwórzu kilku żołnierzy dla zmiany straży. Dotychczasowy żołnierz zatrzymał się; przybyli stanęli ku niemu frontem, jeden z nich postąpił naprzód i zrównał się z nim.

— Po coście przyszli? — zapytał go tenże.

— Was ze straży zmienić. Co macie mi do poruczenia?

— Poruczam wam jedenaście okien, jedno drzwi bez zamka, drugie z zamkiem, latarnię, i cobyście baczność dawali, aby w tym małym domku przestępcy nie rozmawiali między sobą — w tym wielkim mogą rozmawiać. Nie wolno wam spać, ani drzemać, panom oficerom i naczelnikom winniście część oddawać. Hasło... — tu szepnął mu coś do ucha i na komendę podoficera opuścił stanowisko, które zajął świeży żołnierz. Po odejściu oddziału ten ostatni zaczął liczyć okna, palcem zdala tykając na każde, obszedł do koła latarnię, przystąpił do drzwi, które wiodły na kryty korytarz, popróbował zamka, czy nie zepsuty i zaczął się przechadzać, częste spójrzenia rzucając na próżne okna małego domku, w którym siedział kajdaniarz.

— I niechże kto powie teraz, że w carstwie moskiewskim nie ma postępu! — rzekłem po chwili milczenia.

— A w czymżeś go dopatrzył? — zapytał sąsiad z lewa — czy nie w tem przypadku, że oddają straży drzwi, okna, zamki i latarnie do strzeżenia?

— Ach nie! — wtrącono z dołu — pewnie w tem, że przypominają, aby nie spać, nie drzemać i panom oficerom część oddawać.

— Nie zgadliście żaden!... Przed dwoma laty stary żołnierz pytał nowego: po coś przyszedł? a ten mu odpowiadał: ciebie ze straży zmienić. Dziś zaś mówią już: po coście przyszli? Was ze straży zmienić... Czy to nie jasny dowód cywilizacyjnego postępu? Można mieć nadzieję, że się

doczekamy, iż będą mówić: po coś pan przyszedł? Pana ze traż y zmienić...

— Lecz jeżeli na tę ostatnią zmianę równie długo czekać mamy, jak na pierwszą, to wiele jeszcze wody upłynie — odparł śmiejąc się mój sąsiad.

— Powiedźcież mi łaskawie — ciągnąłem dalej — skąd taka łaska dla was, że wam wolno rozmawiać... coś mi to nie w porządku się zdaje.

— Łaski tu nie ma żadnej... przemysłem własnym zdobyliśmy to sobie... przekonał się jednego strażnika, że tak a nie inaczej ma posterunek zdawać następcy, i odtąd poszło... Czasem żandarm da inną naukę żołnierzowi, i wtedy milezimy, dokąd się nie uda innego żołnierza podmówić, aby zdał posterunek, jak nam potrzeba. —

Oceń przyjemność takiej urwanej, ukradkowej rozmowy, prowadzonej z osobami, których się nie widzi, nie zna i o których się nie wie, czy się z nimi później kiedykolwiek spotka, lecz z którymi się łączy ścisły węzeł wspólnej niedoli i wspólnych dla jednej i tej samej sprawy cierpień, może tylko ten, co przesiedawszy pewien czasu przeciąg w samotnej celi więziennej, odgradzony zupełnie od świata i ludzi, nagle mimo wiedzy i woli strażników ujrzy się w możności wymiany myśli z tymi właśnie, z którymi oni by najchętniej chcieli, abyś rozmawiał. Używałem też przyjemności tej do późnej nocy pierwszego dnia, w którym mnie na nowe miejsce przeniesiono, a daleko za północ przeciągnęła się jeszcze rozmowa za pomocą więziennego telegrafu z moim sąsiadem z lewa, Antonim Borzęckim.

Dowiedziałem się także od posługacza, że Olka przeniesiono na dół. Przed kilkoma dniami wzywano go do komisji.

Koniec Listopada 1865.

Mój sąsiad daleko dłużej odemnie tu siedzi. W dziwną, trudną do uwierzenia sprawę on zamieszany. Z początkiem lata ogromne na całej Litwie wydarzały się pożary. Moskiewscy urzędnicy, oczywiście murawiewskie kreatury, umieli obwinąć o to Polaków, t. j. te resztki, które ocalały od niedawnej katastrofy... Uwięziono kilkunastu obywateli, ludzi co najbardziej poważanych, i zarzucono im, jakoby namawiali do podpalania wsi i miasteczek, aby się moskałom zrujnowany kraj dostał w ręce... Potwarz zanadto widoczna, za bezczelna, aby przypuścić, że cokolwiek w niej choćby jest prawdy; a jednak wzięto sprawę na serio i wytoczono śledztwo, sprowadziwszy biedne ofiary z Oszmiany i Wilejki do Wilna... Zamiar widoczny: wynarodowić, zmoskwiczyć Litwę, wywiózłszy z niej ile się da Polaków; każdy środek

im dobry do tego... Prócz więźniów ze sprawy pożarowej siedzą tu jeszcze członkowie komitetu petersburskiego, który wykryto w ostatnich czasach panowania Murawiewa. Nazwisk mój sąsiad nie umiał mi powiedzieć; wie tylko, że jest tu Józafat Ohrysko, wydawca «Voluminorum legum» i były redaktor wychodzącego dawniej w Petersburgu polskiego pisma. Jeden z członków komitetu, jakiś oficer, siedzi na naszem podwórzu, na dole, pod moją sąsiadką. Dowiedziałem się także, że «Bosaczki» to dawniejsze «Dominikany», które musiano opuścić dla jakichś restauracji. Śledcza komisja ta sama, która się zajmowała najważniejszymi politycznymi sprawami za czasów Murawiewa, i przygotowała 27 ofiar na szubienicę. Prezydent jej, Łosiew, prawa ręka Murawiewa ma być człowiekiem nadzwyczaj zręcznym... chwali się, że nie miał jeszcze sprawy, którejby nie wykrył do gruntu... W piękne więc ręce dostaliśmy się z Olkiem... lecz żeby pan Łosiew dziesiętkroć był przebieglejszym i zręczniejszym jak jest, z nami obydwoma nic nie dokaże... ucieczki nam nie dowiedzie...

Moje przewidywania ziściły się zupełnie; najprzód do Olesia wzięto się ostro, mnie w jak najzupełniejszym zostawiając pokoju. Kilkakrotnie już wzywano go do komisji; kazano mu potem okna celi wapnem zamazać i od trzech dni jest na chlebie i wodzie... celę ma okropnie wilgotną, chodzi podwiązany z powodu fluksji i bólu zębów... Posłałem mu przez służącego kawał chleba i około dwóch funtów wędzonki, którą mnie obdarzył pocziwy Borzęcki, dostawszy jej z domu. Służący nieproszony opowiadał mi o tych szczegółach, przywiązałem go bowiem do siebie, dając, co mogę. Przyrzekł solennie, że zanieśie wręczone mu dla Olka rzeczy... Biedny Olek... oczywiście, kiedy z niego nic nie dobędą, wezmą się do mnie.

Z Borzęckim na dobre zaprzyjaźniliśmy się. Głównym do tego powodem było następujące zdarzenie. Pewnego dnia żywa na naszem podwórku toczyła się rozmowa... wypytywano mnie o Sybir, o drogę etapową i t. p. Opowiadalem ze szczegółami, chcąc aby drudzy z moich doświadczeń skorzystali. Rozumi się samo przez się, iż podawałem je nie jako swoje, lecz jako opowiadania tobolskich więźniów, z którymi, jak utrzymywałem, pewien czas razem przepędziłem, kiedy mnie uwięziono.

— Sam Sybir — mówiłem — nie tak straszny, jak go sobie tu zwykliśmy przedstawiać, osobliwie dla tych, którzy tam jadą na posiedlenie lub na mieszkanie tylko. Katorżanie nawet, jeżeli mają trochę pieniędzy, mogą sobie dość znośnie urządzić życie. Ale droga etapami dla wszystkich trudna i niebezpieczna... Przebiegnąć się można bardzo łatwo...

ogromny też procent naszych choruje w drodze, a w szpitalach pomocy żadnej, częściej daleko pogorsza się w nich słabym. W szpitalach małomiasteczkowych wiatkiej i permskiej gubernji nie radziłbym nawet nikomu zostawać, tam bowiem nigdy się nie jest pewnym życia, zwłaszcza kiedy się ma trochę od innych pełniejszy tłumak i jaki taki zasób pieniędzy.

— A cóż to ma do rzeczy? — zapytał ktoś z dołu — zdaje mi się, że to może tylko pomódz do wyzdrowienia...

— Tymczasem przeciwnie się dzieje — odparłem. — Takie szpitale oddane są zwykle pod wyłączną opiekę felczerów, ludzi bez wyjątku prawie do wszystkiego zdolnych. Skoro więc tylko spotrzegą, że chory posiada zasoby i nie ma nikogo z towarzyszy, któryby się troszczył o niego, dają mu w lekarstwie truciznę, opium lub arsenik, i pomagają do przeniesienia się na tamten świat... Mienie jego zostaje się oczywiście w ich ręku... Kontroli żadnej nie ma... w rejestrze znaczy się, że umarł na taką a taką słabość, zbrodnia więc zawsze pozostaje nie wykrytą. Zresztą kto ma zanośić skargę na felczera? więźniowi wiary nie dadzą... A jednak rzecz ta najmniejszej wątpliwości nie podlega i w Kamyszwowie np. w Permskiej gubernji, w Małmyżu, kazańskiej, w Tiumeniu wreszcie, nazywają nasł po imieniu tych, co w taki sposób zesłali ze świata... Nie byli bowiem nawet słabi, kiedy tak tylko, dla odpoczynku, lub też, aby poczekać na znajomych, którzy szli w późniejszej partji, zatrzymali się w szpitalu, w którym w kilka dni później umarli.

— Piękną przyszłość malujesz nam, pierwszy!

— Ostrzegam tylko, jak mnie ostrzegano... Przecież i ta niesumiennosc felczerów...

— Dobryś... niesumiennosc!... powiedz lepiej zbrodnia, i to będzie mało! — przerwał Borzęcki.

— Zgoda... a więc i ta zbrodnia ma swoją dobrą stronę... dla wielu przynajmniej, co z niej korzystać umieli, stała się zbawieniem. I tak np. umiera w takim szpitalu naturalną śmiercią posiedlenie lub wygnanie, idący na mieszkanie bez pozbawienia praw. Przypadkiem znajduje się tu także katorżnik, mający wyrok na lat 20. Felczer, wzięwszy od tego ostatniego 10, 20 rubli łapowego, pisze w rejestrze, że katorżnik umarł, i tym sposobem ulaskawia go daleko prędzej i łatwiej, jakby to po długich staraniach mógł uczynić wpływowi jaki generał... Rozumiecie teraz panowie tę dobrą stronę niesumiennosci felczerskiej?...

— To coś jak opowiadanie z tajemnic Paryża Vi-douque'a...

— A jakżeż wyżsi urzędnicy obchodzą się z naszymi?

— W ogóle rzeczy biorąc, daleko lepiej jak podrzędni... i to im dalej od Petersburga i Moskwy tem bardziej ta różnica czuć się daje. Mnóstwo mógłbym przytoczyć przykładów, oto jeden. Niedawno temu szła na Sybir Litwinka z synkiem, którego zawsze ubierała po polsku. Przecudne to było dziecko... ulubienie wszystkich więźniów, którzy szli w tej partji. Nawet żołnierze-strażnicy je pieścili, czego matka, jak najmniej dozwalała. Żupanik miało cielisty, kontusik granatowy, spodenki białe, buciki czerwone, konfederatkę amarantową z białym barankiem, karabelkę blaszaną, pasik... i wszystko to umiało nosić tak jakoś dziarsko, po polsku, że się serce radowało... istny poseł na sejm elekcyjny w miniaturze. Po przybyciu do Permy zatrzymano ją w więzieniu, skąd miano wysłać do jednego z powiatów. Naznaczono jej najgorszy, jaki był. Zdarzyło się więc, że w tym czasie zwiedzał więzienie tamtejszy policmejster, człowiek używający sławy zacnego męża. Zachwycił się młodym polonusem. — Czy pani masz jeszcze więcej dzieci? — zapytał Litwinki. — Miałam wszystkiego czterech synów — odrzekła. — Jeden zginął w bitwie z moskalami, drugiego powieszono, trzeci idzie do katorgi, a tego oto wychowuję, aby umarł pod knutami! Policmejster nie nie odpowiadał, uściśkał tylko chłopaka, który przypadkiem nie broił się, choć to zawsze przywykł był czynić, kiedy go moskał jaki chciał pieścić. Tego samego dnia Litwince objawiono, że nie pojedzie do powiatu onego i proszono ją, aby wskazała, które z permskich miasteczek wybiera sobie na mieszkanie. Rozumi się korzystała z tego pozwolenia...

— Jakże tam moskiewki? — zapytał jakiś więzień z dołu.

— O, te bez wyjątku prawie są za nami... sprzyjają nam, jak mogą... romansów bez liku... — odparłem.

— Do kroćset, pierwszy, nie rób że nam oskomy! — zawołał śmiejąc się Borzęcki — Gotowiśmy się jeszcze sami prosić, aby nas tam wysłali.

— Nie lękaj się... pójdziesz i bez prośby! — odpowiedziano mu z dołu.

— Latem przeszłego roku — ciągnąłem dalej — przybyła do Ekaterynenburga, w permskiej gubernji, na Urału, jedna z tych wielkich partji, złożonych z 800 do 1000 ludzi, jakie wówczas co tydzień tamtędy przechodziły. Część tylko z więźniów można było umieścić w turmie, trzy części zajmowały dwa ogromne domy w mieście, które na ten cel urządzono. Straży prawie żadnej nie było; wiara chodziła kędy się jej podobało. Właśnie przypadał wtedy jakiś festyn ludowy, a jak mówiono, improwizowano go umyślnie, aby się zabawić z „polaczkami"... Młodzież nasza, zuch nad zuchą, gładka, dziarska, ognista, nie dała się oczywiście długo pro-

sić i przybyła licznie na miejsce festynu. Obrano je w gaju za miastem, przy jakimś jezioru. Tańce, ognie sztuczne, lampiony, kolacja przedłużyły się do późna... Cuda mi opowiadano o tym wieczorze... Pulehniutkie Uralanki — a trzeba wam wiedzieć, że są bardzo piękne — miały być bardzo, bardzo zadowolone. Jedna upodobała sobie do tego stopnia pewnego powstańca, że wszczął się romans na dobre. Powstaniec został w szpitalu i miało już przyjść do ślubu... rodzice pono sprzeciwili się, choć córka upewniała ich, że z lubym pójdzie nie tylko do Nerczyńska, lecz choćby do Ochotska i jeszcze dalej... Odłożono rzecz na później, i widziałem tego wygnańca w Tobolsku zostającego w ciągłej z narzeczoną korespondencji. Zasiłała go pieniędzmi i obiecywała przyjechać. Nie wiem na czem się to skończyło...

— Więc z tego wszystkiego wypływa, że nie taki diabeł czarny, jak go malują... —

— Jak widzicie... są ludzie i w Syberji... Najgorzej wychodzą ci tylko, co to w komisjach nie umieli trzymać języków za zębami... Jeżeli kto z takich indywiduów skompromitował kilku, lepiej dla niego, żeby wcale na Sybir nie szedł, lecz w więzieniu sam się powiesił, za przykładem swego protoplasty Judasza... O, dla tych panów tam nie ma liścieści... Zwykle nie wysyłają ich razem ze zdrazczońcami ofarami; lecz im to mało pomaga. Na każdym etapie, w każdym więzieniu, przez które muszą przechodzić, znajdują wypisane swoje imiona i nazwiska z dodatkiem przynależnych im epitetów. I wtedy biada im... Są oni w partji, z którą idą, przez całą drogę coś naksztalt parszywych owiec... nikt z nimi mówić nie chce; każdy pomiata, gardzi... hańba towarzyszy im wszędzie naksztalt kuli galernika... Jeżeli zostają się gdziekolwiek w szpitalu, aby ująć męczarni, następną partja tym lub owym sposobem dowiaduje się o nich i podobny, co poprzednia los im gotuje... Czasem zdradzeni, których zwyczajnie naprzód wysyłają, czekają w jakimkolwiek szpitalu na swoich oskarżycieli i spotkawszy się z nimi, porządna przy pierwszej lepszej sposobności sprawiają im łaźnię. Skargi na nic się nie zdadzą... cała partja świadczy w takim wypadku w razie śledztwa, że twierdzenia tych jegomości są bezpodstawne... Na Syberji dzieje się najczęściej tak, że ich wysyłają, jak można daleko na północ, do Berezowa, Narymu i t. p. aby ich snąć zabespścić od zemsty... A zdarza się i to, że otrzymują zasłużoną karę, t. j. sznurek około szyi, zwłaszcza jeżeli wiele zawinili... Powtarzam, takim indywiduum lepiej nie iść na Syberję; tam ich czeka los wyciśniętej i wyrzuconej na śmieci cytryny...

Kiedy skończyłem, więzień który siedział pod Borzęckim dał mi głośnie brawo, klaszcząc w dłonie, zaś z celi sąsiadki

mojej doszedł nas donośny płacz, któremu towarzyszyły jakieś mało zrozumiałe narzekania. Borzęcki silnie, jakby pod wpływem jakiegoś wzruszenia zapukał do ściany. Odskokczyłem co rychłej od okna, będąc przekonany, że mnie ostrzega o nadchodzącym żandarmie lub czemś podobnem. Pukanie jednak powtórzyło się, co było znakiem, że chce telegrafować. Odpowiedziałem.

— Bodaj ci Bóg zdrowia dał! — wypukał.

— Za co? — zapytałem tymże sposobem.

W tej samej chwili jednak z okna mojej sąsiadki odezwał się głos:

— Antoni, Antoni! —

Borzęcki widocznie odeszedł od ściany, lecz się nie odzywał.

— Drugi, drugi! — zawołała głośniejszą sąsiadka.

— Czego? — odpowiedział Borzęcki.

— Czy teraz zastanę kogo w komisji?

— Nie wiem... żandarma zapytaj. —

Po chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi w celi kobiety. Żołnierz podeszedł jak zwykle do okienka. Słychać było po korytarzu spieszne jego kroki, ponieważ pukanie było nad miarę silne.

— Żandarma mi zawołaj! — rzekła sąsiadka wielce wzburzoną jakoś i podniesionym głosem.

— Nie krzyczcie tak... nie wolno... żandarma teraz nie ma na korytarzu! — była odpowiedź strażnika.

— Żandarma mi zawołaj natychmiast, albo drzwi wywalę! — zakrzyczała gniewnie kobieta i czynem groźbę popierając, zaczęła bić w drzwi nogami i rękami. Na długim, pustym korytarzu odgłos uderzeń bardziej się jeszcze wzmocnił.

— Cicho! cicho! — błagał przestraszony żołnierz — zawołał... natychmiast — i oddalił się spiesźnie.

Nic a nic tej sceny nie pojmowałem, a pytać nie można było z obawy, aby żandarm, który miał nadejść, nie podpatrzył lub nie podsłuchał. Przystąpiłem tedy do drzwi, przez które wszystko można było słyszeć, cokolwiek na korytarzu głośniejszą trochę mówiono, i czekałem z ciekawością, czem się to wszystko skończy. Niebawem nadbiegł żandarm, jak to z brzczenia ostróg można było wnioskować, a otworzywszy drzwi celi mojej sąsiadki, ostro zawołał.

— Co za krzyki tu wyrabiacie?... czego chcecie?...

— Prowadź mnie do komisji... natychmiast... mam ważny interes! — odparła sąsiadka stanowczym i jak dawniej podniesionym głosem.

— W komisji nie ma teraz nikogo... wszyscy się rozjechali... musicie czekać do jutra — mówił żandarm ła-

godniej jak przedtem. — Jutro rano was zaprowadzę... bądźcie tylko cicho!

— No to pamiętajcie, cobyście jutro powiedzieli pułkownikowi, albo kapitanowi, że chcę się widzieć z nimi... mam coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Dobrze, dobrze, tylko uciszcie się... wiecie przecie, że krzyków tu nie wolno robić. —

Drzwi celi znowu się zamknęły i żandarm odeszedł.

Po chwili sąsiadka znowu przyzwała Borzęckiego do okna.

— Dalibóg... przysięgam panu Bogu... jak matkę najświętszą ostrobramską kocham, co jutro wszystko naprawię... zaraz, jak tylko komisja się zjedzie... — rzekła przerywanym od płaczu głosem.

— Daj Boże, żebyś naprawił... biedny Bronisław zupełnie wycieńczony... ledwie chodzi... i tobie i jemu lepiej by było — odparł Borzęcki.

— Na tym i na tamym świecie! — dodałem, pojawiając się teraz, o co rzecz idzie.

— Przysięgam jeszcze raz z podniesionymi do nieba palcami, tak mi Matka najświętsza ostrobramska dopomóż, że jutro wszystko naprawię... To, ten pies, sprawnik wilejski winien całej tej biedzie... lecz jutro wszystko, wszystko o nim opowiem pułkownikowi... albo lepiej jeszcze kapitanowi Siemionowowi, bo to człowiek z nich najpoczeiwszy. —

Chwilę jeszcze trwało łkanie w celi sąsiadki, po czem szłyszeliśmy ją głośnie modlącą się. Nie myśląc nawet o tem, przyczyniłem się widocznie do nawrócenia grzesznicy, i to nie małej, ponieważ ona, jak mi mówił Borzęcki, najnieśluszniej w świecie oskarżyła jego i jeszcze jednego obywatela, mającego żonę i dzieci, i dotąd przy swoich zeznaniach trwała. Szczegółów tej sprawy nie znam... Rozumi się samo przez się, że mi to ogromną radość sprawiło... bałem się tylko, aby baba do jutra nie zmieniła zdania. Długo więc tego dnia opowiadałem rozmaite historie, które wszystkie zmierzały do podtrzymania i wzmocnienia u sąsiadki pocziwego porywu. Z zadowoleniem i pewną dumą dziś piszę, że mi się to zupełnie udało. Nazajutrz babę rzeczywiście zawołano do komisji. Była tam ze dwie godziny. Wróciwszy, dała znać Borzęckiemu, że uczyniła jak wczoraj przyrzekła.

— Przed kim? — zapytał jej tenże.

— Przed kapitanem Semionowem... wszystko, com mówiła, zapisał; potem mi przeczytał, a kiedyś potwierdziła, że tak, kazał mi odejść i być spokojną, bom strasznie płakała.

— Daj Boże, żeby to nie było za późno!

— Nie za późno, nie! kapitan mówił, że w sam czas... Jeżeli możesz, daj znać Bronisławowi. —

Ta nowina Borzęckiego bardzo widać wzruszyła. Przez

Antoni czy
Borzęcki?

2 ✓ cały dzień chodził po celi i mało rozmawiał z nami... Pojmuję; błysła mu nadzieja oswobodzenia; zaś jak głęboko ona wzrusza więźnia, więzien tylko zrozumieć może...

Naszego warjata, który brzękiem swych kajdan napełniał całe podwórze, a krzykiem do głębi nas czasem przejmował, wyprowadzono gdzieś temi dniami; zapewne do szpitala na próbę. Jeżeli, jak tu mniemamy, rzeczywiście udaje, dał mu Boże siły do wytrwania... po roku wypuszczono by go pewnie do domu, bo cóż z nim robić będą?... Ale rok udawania warjata! co za okropna męczarnia!... Iście, ojczyzna musi być miłą, kiedy chęć pozostania w niej do podobnych pobudza pomysłów...

Jeszcze Listopad 1865.

Po wyprowadzeniu kajdaniarza domek nie długo został próżnym. Dziś rano ujrzeliśmy w oknie jakąś nową postać, młodzieńca mogącego mieć lat 20 najwięcej. Od razu poznałem, że to nowicjusz, z ciekawością bowiem przypatrywał się wszystkiemu, jakby nic podobnego nie widział.

— Dawno tu? — zapytano go z dołu.

— Dziś rano przyszedłem — odparł.

— Wiemy o tem... lecz tu w więzieniu?

— Właśnie też, tu do więzienia dziś rano mnie wprowadzono.

— Skąd?

— Z policyjnego aresztu, w którym dwa dni przebyłem.

— Czyś z Wilna?

— Tak. —

O imię i rodzaj przestępstwa nie było w zwyczaju pytać; wszakże to przyaresztowanie niedawne Wileńczyka wprawiło nas w ciekawość, dowodziło bowiem, że zaszło coś nowego.

— Cóż tam słyhać we Wilnie? — zapytał Borzęcki.

— Wszystko po staremu... bieda... na ulicy rozmawiać po polsku nie wolno... Trzy dni temu odsłaniano pomnik dla poległych w powstaniu z nadzwyczajną uroczystością... o dwadzieścia kroków musiał każdy czapkę zdejmować.

— Dla jakichże to poległych?... nie dla naszych przecie? — zapytał.

— Jużci nie!.. dla moskiewskich żołnierzy... Ja przechodząc mimo czapki nie zdjąłem, i za to się tu dostałem.

— No... możesz być dobrej myśli... nie długo tu posiedzisz... za to cię przecie nie może spotkać nic gorszego, nad tydzień lub dwa aresztu — rzekł mu, śmiejąc się Borzęcki.

— Daj Boże! — odparł, jakby powątpiewając młodzieniec.

— Zależy to od tego, jak się tłumaczył — wtrąciłem. — Widziałem czternastoletnie pacholę, wysłane przez Murawiewa na Amur za to, że w rozmowie z pewnym żołnierzem powiedział, iż car nie jest świętym, bo ma żonę, święci zaś żon nie mają. —

Śmiechem ogólnym przyjęto te słowa.

— Nie śmiecie się... fakt! — ciągnąłem dalej. — Wyrok opiewał, że w tych słowach zdradzał się buntowniczy duch, który, gdyby malca pozostawiono w kraju, mógłby wzrósć do niebezpiecznych rozmiarów i zrobić z niego istnego powstańca...

— I mnie grożono Sybirem, za to jakoby, że sobie pozwolił z nich kpić przy tłumaczeniu się z mego postępku... A przecież kpini nie było w tem, co mówiłem... Jestem żydem; my jak wiadomo podczas modlitwy, w obec Boga, czapki nie zdejmujemy, więc zatrzymując ją na głowie przed pomnikiem, nie tylko że go nie lekceważyłem, lecz owszem najwięcej, jaką mogłem cześć mu oddałem. Proszę mi powiedzieć, gdzie tu kpiny... ta odpowiedź jednak ogromnie oburzyła tych panów.

— Brawo, brawo! zuch jesteś kolego!.. przyjmujemy cię do naszego grona... czy palisz?

— Zabrali mi wszystek tytoń. —

Więzień, który siedzi pod Borzęckim, przyzwał żołnierza-strażnika do okna, pomówił z nim słów kilka, i wyrzucił potem, jak mógł daleko za kratę, zawinięty w papier tytoń. Żołnierz, poczciwiec widać jakiś, podjął go z ziemi i rzucił do okna celi nowicjusza, dokąd mu zbliżyć się nie wypadało, aby go snąć kto z korytarza nie spostrzegł. Blisko do onego domku bowiem straż nigdy nie podchodziła.

W ogóle bardzo poczciwych mamy tu strażników; po większej części rekrutów, których zyskujemy chlebem, tytoniem, mięsem i t. p. Biedactwo to bardzo źle jest karmione przez swoich komendantów, a służbą trapią je noc i dzień, otóż wdzięczne, kiedy mu się da czem posilić...

29 Listopada 1865.

Dziś wieczorem byliśmy jakoś wszyscy smutni, rozmowa nie kleiła się. Wspomnienia roku 1830 naprowadziły myśli na obecne nieszczęście ojczyzny, wzdychaliśmy, dumali... Zanuciłem piosnkę, i ta jakoś nie szła.

— Pierwszy! opowiedz no coś, rozruchaj! — rzekł do mnie Borzęcki.

Proszę jego poparto z dołu.

— Nie do opowiadania mi koledzy... — odparłem — ciężko na duszy... Jestem jak człowiek, co chciałby znaleźć około siebie z półkopy piorunów, aby je mógł cisnąć na kogoś, którego strasznie nienawidzi!

— Więc zadeklamuj cokolwiek!

— Tak, tak! zadeklamuj pierwszy! — zachęcał Borzęcki.
— Pora ku temu wymienita... na dworze zmrok... ciemne chmury na niebie... kraty, mury więzienne w około... jest się od czego poruszyć wenie poetyckiej.

— Pytałeś mnie wczoraj wieczorem: co robię? — odparłem — zadeklamuję więc odpowiedź na to pytanie.

— Zgoda! słuchamy odpowiedzi! —

Po chwili zaczęłam, odehrząknąwszy.

Pytasz mnie co robię?... marzę!
Probuje nastroić lutni mej struny —
Którę z cierpieniami dostałem w darze —
Do jakiejś harmonii, śpiewu czy dźwięku...
Lecz czy to własność tej przeklętej truny,
Gdziem za życia jak upiór pogrzebany,
Czy lutnia zepsuta, czy struny porwane,
Dość że nie, nie nie dobywam — prócz jęku...

Szał jakiś w umyśle, a pusto mi w duszy,
Serce jakby lodem coś ścina i ziębi,
I tak mi tu duszno, jak wśród grobu głuszy,
Jak tam, w wnętrzu ziemi, w min altajskich głębi...

Chciałbym rozsadzić te przeklęte ściany,
Zerwać, pokruszyć te rdzawe okowy,
I jak myśl wolny, niczem nie wstrzymany
Sępem się spuścić na tyranów głowy,
I wpić głęboko me szpony w ich cielsko,
I szarpać żywce ich piersi zbrodnicze,
Wydrzeć im serca piekłu hołdownicze,
I doń je rzucić ręką mściwską

Na pastwę szatanom!
Chciałbym mieć siłę w piekle hartowaną,
Stać się sam szatanem!
Gdzie ta moc? gdzie jest czart — kiedy Bóg nie słucha,
Ja mu oddam wszystko, oddam nawet ducha,
Niech siły da tylko do walki z tyranem!

Pukałeś, że pożar był w którymś tam mieście,
Że domów zgorzało coś ze sto czy dwieście...
O, niechaj gore, niechaj gorą światy!
Jest dzika rokosz w ogólnym niszczeniu,
Jak cierpka słodycz w piekielnym cierpieniu —
Może w tym ogniu zgorą nasze katy...

Wierz mi, gdybym wiedział, że w światów pożarze
Runą carskie domy razem z mieszkańcami,
Jako drugi Nero z rokoszą na twarzy
Wpijałbym się w płomień żądnymi oczami,
I nad płaczów, jęków i konania echem,
Jak szatan piekielnym górowałbym śmiechem!

Gdzie, gdzie iskra taka, której by tanom
Nie mogły się oprzeć i lody Sybiru,
A cisnę ją w świat, niech wśród pożarów wiru
Wali się wszystko na głowy tyranom!...

Niezwykłe tego wieczora byłem duchem podniesiony; sprawiły to po większej części rocznica wywołane rozmyślaniami. Zresztą i ponura, klasztorna cisza, która zawsze, a wieczorem najczęściej panowała na naszym podwórzu, przekonanie, że mnie wszyscy z uwagą słuchają, całe otoczenie nakoniec wpływały tak na umysł, że z nadzwyczajnym jakimś ogniem i głębokiem przejęciem się deklamowałem, przyczem modulacja głosu zastępowała wyraz twarzy i gesta, których słuchacze widzieć nie mogli. Siła dykcji rozlegającej się z po za kraty na ciemnem podwórzu, które zakopconą latarnia bardzo słabo oświecała, poruszyła nawet żołnierza-strażnika. Stanął, broń do nogi spuścił, twarzą do mego okna się obrócił i słuchał, jak by mnie był rozumiał; a kiedym skończył zawołał: «kac eto charaszo!» Z cel także rzesiste posypały się oklaski, najdłużej zaś trwały te, które pochodziły z zakątka podwórza, gdzie siedziały kobiety... O, dzisiejszy wieczór dostarczył mi przyjemności, jakich dawno nie doznałem... Niestety, długo nie możemy już okien zostawiać otwartych, zima chce się widać na dobre ustalić, okazawszy się dotąd nadzwyczaj miłosierną. Najdłużej rozmawiamy już teraz po obiedzie tylko.

W godzinę po deklamacji wszedł do mojej celi sierżant, sprawujący urząd ekonoma więziennego, t. j. zajmujący się kupnem rozmaitych sprawunków, bielizną i t. d. Dotąd go jeszcze u siebie nie widziałem, z miasta bowiem nie sobie dotąd nie kazałem przynosić, i nie wiem nawet, czy zezwolono by na to, a bielizny swojej nie mam, ponieważ ostatnią koszulę oddałem słuzącemu. Noszę skarbową, z grubego płótna, których mi co tydzień dostarczają. Zjawienie się więc sierżanta trochę mnie zdziwiło.

— Przynoszę panu herbaty i cukru — rzekł, podając mi dwa napełnione woreczki papierowe.

— Od kogo? — zapytałem.

— Z ósmego numeru...

— Od pań?

— Tak!... kazały prosić, abyś pan napisał to, coś mówił dziś wieczór; ja im zaniosę... oto zresztą karteczka...

— Jutro popołudniu będzie odpowiedź gotowa — odpowiedziałem.

Sierżant skłonił mi się przyjaźnie i wyszedł. Oczywiście pierwszą moją myślą było, że to podstęp, zwłaszcza że karteczka, którą mi wręczył, zawierała tylko w kilku słowach zapewnienie, że mu ufać mogę. Jednak niesprawiedliwie go

posadzałem. Borzęcki, któremu całą historją opowiedziałem pukaniem, zapewnił mnie, że bez obawy mogę mu wręczyć odpis deklamacji. On sam za jego pośrednictwem korespondował ze Świdzińskim, Sierżant za tego rodzaju usługi wielki miał dochód, zwłaszcza że ułatwiał więźniom nawet komunikację z miastem. Dla wielu, którym komisja nie pozwalała się widywać z krewnymi, było to wielkiem dobrodziejstwem.

Początek Grudnia 1865.

Zima na dobre się wzięła do nas; śnieg nie schodzi z podwórza. Trochę nudno, że nie można tak wiele rozmawiać, jak przedtem... Aby się rozerwać, pisuję wiele. Temi dniami wykończyłem opowiadanie z bytu włóczęgów sybirskich, o które mnie kilkakrotnie proszono. Odczytałem je w głos i musiałem znowu odpis sporządzić dla ósmego numeru, który mnie stale herbatą i cukrem zasila. Oto szkic ten.

*

Nic smutniejszego nad zimowy krajobraz sybirski. Równy, nieprzerwany step, pokryty jak oko sięga jednostajnym białym całunem śniegu. Tu i owdzie rozrzucone gaje brzoźowe z rosnącymi rzadko drzewami, których nagie, śniegiem przysypane konary sterczą w powietrze, jak wyciągnięte ku niebu w rozpaczliwej prośbie ramiona. Nigdzie gór ani pagórków. Wzrok nie ma gdzie spocząć, myśl gdzie się zatrzymać. Tułają się też oboje po tem bezmiernym morzu tęskne i znużone, szukając daremnie miejsca dla chwilowego choćby wytchnienia. Rzekłbyś dusze latające w koło po zamglonem przedpieklu Danta... Zresztą pusto i głucho do koła: wszystko życie wymroziło zda się zimno, o jakim mieszkańcy krain cieplejszych i pojęcia nie mają. Ptastwo nawet przed niem chroni się w śniegu, z pod którego głodem dręczone od czasu do czasu tylko wlatuje po żer na drzewa lub stojące wśród stepu sterty zboża, zwane «owinami.» Niekiedy mignie się także na białym całunie czarny ogonek gronostaja, przelatującego błyskawicą z norki do norki, a rzadziej jeszcze furknie przed tobą stadko śnieżnych kuropatw, co żerowało na samotnej i jedynej na całym obszarze drodze i któregoś ty o pięć kroków nie dopatrzył, tak podobnem było do grudek śniegowych.

Gdyby nie dwa trzy razy na dobę wichrem po wybojach drogi, jak po fal grzbietach, przelatująca kibitka pocztowa, nie donośne nawoływania woźnicy na parskające w cwałowym

biegu konie, i nie tęskny odgłos dzwonka, rozsyłającego z pod «dugi» daleko po stepie jęk swój rozpaczliwy, co brzmiałby, niby wezwanie do modlitwy za konającym — mniemałbyś, że kraj to niezamieszkały. Wsi bowiem rzadkich, o kilka co najmniej mil od siebie oddalonych, nie dostrzegasz z po za ostępów brzeziny, aż ci oznajmi ich bliskość przerzynające drogę ogrodzenie — tak zwana poskotina — co każdą wioskę w wiorstowej, a często i większej odległości otacza.

Nadto jakiś tajemniczy, mglisty półmrok cięży zawsze nad zimowym krajobrazem sybirskim.

W dnie pogodne mróz bywa tak silny, że samo powietrze zdaje się marznąć i krzepnąć. Widzisz w przestworze jakoby unoszące się pylinki, a przez utworzoną w ten sposób mglistą, gazową a gęstą zasłonę przebija się zaledwie blade-niebieskie północnego nieba sklepienie. Ukośne promienie słońca, co krąży u samych gdzieś krańców widnokręgu, toną w tej ingie zakrzepłej i nie udzielają ni światła ni ciepła należytego. Wszakże dnie podobne, częstsze w Syberji, jak gdzieindziej w zimie, posiadają jeszcze jaki taki urok. W takich to dniach zapewne zrodziły się owe pieśni ludowe o tęsknych, zawodzących, jednostajnych melodjach które nie mają, zda się, ni końca ni początku i w których kraj cały ze wszystkim, co jego cechę stanowi, tak dziwnie wiernie się odbija. Na nieszczęście i zimno wtedy bywa tak wielkie, że o lubowaniu się przyrodą i mowy być nie może. Opowiadania o ślinie, spadającej z ust lodem na ziemię, o zmarzniętych podczas lotu ptakach, nie są czeźmi tylko wymysłami.

Mają jeszcze swoją poezję także «uragan» i «wjuga», po naszymu burza i zamięć — co napelniają powietrze to z chmur zrywany, to z ziemi podnoszonym piaskiem śniegowym, że o dwa kroki przed sobą niczego nie dostrzegasz — lecz poezja to grożącego ci na każdym kroku niebezpieczeństwa, że zboczysz z drogi ubitej i zagrążniesz w sześć i więcej stóp głębokim śniegu, gdzie wnet nad tobą kurhan się wzniesie grobowy...

Najnieznośniejszymi są dnie pochmurne. Szara, jednostajna, jakby tuż nad głową rospostarta chmur powłoka cięży nakształt owianego sklepienia i zlewa się o kilkaset kroków z białym całunem ziemi w jakiś wątpliwy i nieprzejrzysty pomrok, który nawet dla złudzeń miejsca nie zostawia. Każdy przedmiot, przysypany grubą warstwą śniegu, co bezustannie spada grubemi płatami, wygląda jak owe nieforemne balwany, które dzieci w zimie toczą śród drogi. Zdajesz się pojmować znaczenie nicości, patrząc na ten świat pełen jakiegoś, nie dającego się określić półmroku; senny jakiś smutek

cię napada, i od czasu do czasu sam siebie z niedowierzaniem zapytujesz, ażali to prawda, żeś jeszcze nie przekroczył drzwi grobowych.

W południe jednego z takich dni, w grudniu r. 1859, szedł drogą, z Tomska do Barnaui wiodącą, mężczyzna, którego odzienie nie zdawało się odpowiadać surowej porze roku. Miał na wierzchu niekryte futerko z kirgiskich baranów, które mu zaledwie do kolan sięgało; szare spodnie z grubego sukna gubiły się w obszernych «brodniach», t. j. chodakach z czarnej skóry, o żółtych, pod kolana sięgających cholewach. Wszak obydwie te części odzienia w oplakany znajdowały się stanie — lata, jak to mówią, siedziała na łacie. «Małachaj» czyli kapuza futrzana, spadająca klapą na szyję i podwiązana pod brodą, okrywała mu głowę i część twarzy tak, że nos tylko i oczy było widać. Na wąsach jednak i brwiach tyle od oddechu namarzło lodu, tyle potem na soplach przylepiło się śniegu, że i niepokryta czapką część twarzy znikała pod niemi, jak pod przyłbicą. Chód prędki i lekki mimo napelnionego czemsiś wora, który dźwigał na plecach, zdradzał mężczyznę w sile wieku. Ogromne rękawice z psiej skóry, szerścią na zewnątrz obrócone, chroniły ręce od zimna. W jednej z nich trzymał sękaty kostur, którym szukał ubitej drogi, ilekroć dla świeżo wypadłego śniegu odróżnić jej nie było można od reszty stepu. Sterczały mu jeszcze po nad bary, niby skrzydła jakie, przywiązane do wora dwie łyżwy, jakich sybiryacy używają do drogi po stepach i lasach, by się utrzymać na powierzchni śniegu. Robią je z cienkich, długich a wąskich, na końcu jak koturn zagiętych i niewyprawioną skórą łosiową miasto podeszwy wyłożonych deszczulek brzoźowych.

Im dalej się podróżny naprzód posuwał, tem częściej zwracał twarz ku prawej stronie, jakby czegoś na stepie szukał. Wreszcie zatrzymał się, przystąpił do samego brzegu gościńca, pochylił się do ziemi i pilnie się przypatrywał śniegowej płaszczynie. Udał się kilka kroków naprzód, wrócił potem, aż znalazł czego szukał. Były to dwa wąskie, obok siebie idące, zaledwie znaczne ślady łyżw, które z drogi na step prowadziły. Śnieg je przysypał prawie całkiem, i trzeba było wprawne mieć oko, by je odkryć w dwóch bardzo słabo zarysowanych wydrążeniach, co o kilka kroków dalej zaciepiał się już dla wzroku.

Dopiąwszy celu swoich poszukiwań podróżny odwiązał łyżwy z za worka, przymocował je do brodni, na ich miejsce zaczął niepotrzebny już kostur i puścił się stepem ku najbliższej leżącemu gajowi brzoźowemu, nie odstając i pędzi od wyżłobionego w śniegu szlaku. Slizgając się po powierzchni,

pomysł daleko prędzej, jak po drodze ubitej. Znikł też niebawem między drzewami gaju.

O jakie siedm wiorst od gościńca wznosił się w głębi stepu, tuż niedaleko jednego z gajów brzoźowych, spory pagórek ze śniegu, który z razu nie zwracał uwagi na siebie. Znikał on niemal wśród białej płaszczyny. Zbliża dopiero rozeznąć go było można głównie po zbrudzonym, jakby okopconym szczycie; i wtedy to przedstawiał się on tem, czem był rzeczywiście, t. j. zaspą śniegową. Snać znajdował się po za nim jakiś przedmiot większej objętości, o który śnieg, wichrami pędzony mógł się oprzeć. Ku jego to stronie nasz podróżny skierował bieg swój, skoro się wy dostał z gaju na czyste pole. W pół godziny niespełna przebiegł przestrzeń, leżącą między dwoma ostępami brzoźowymi, okrążył zaspę i stanął na ścieżce, która prowadziła do jej wnętrza.

Od stepu nikt by się nie był domyślił, co się kryło za tą zaspą. W kształcie ściany dość wysokiej otaczała ona z trzech stron prawie małą chatkę z nieciosanych bławien wzniesioną, która nie miała ni okien ni dachu. Gruba warstwa ziemi, pokryta korą brzoźową i śniegiem zastępowała miejsce ostatniego. Między ścianami zasy a chatki był przechód, nieregularny, tu owdzie ściśniony, lecz wydeptany stopami ludzkiemi. Prowadził on do składu drobno porąbanego drzewa, które ułożono wzdłuż całej północnej strony szałas. Niskie, wąskie, okopcone drzwi wychodziły na ścieżkę, co przez otwartą w tem miejscu zaspę prowadziła do równej jak stół i dosć obszernej płaszczyny. Latwo się było domyślić w niej zmarzniętego jeziora. W rzeczy samej kończyła się ścieżka u przerebli, ogrodzonej gałęziami, które ją strzedz miały od zawiania.

Dobrze było chatce i jej mieszkańcom — bo że takowych miała, wszystko do koła świadczyło — za ścianami owej zasy. Lepiej one ją chroniły od zimna i uraganów, jak gaik, na którego brzegu się wznosiła.

Chatek podobnych pełno po stepach sybirskich. Pola, daleko zwykle ode wsi położone, zmuszają tamtejszych rolników do budowy takowych. Z rozpoczęciem robót polnych wyjeżdżają oni ze wsi z całemi niekiedy rodzinami i przemieszkują w nich po kilka i więcej tygodni — a peregrynacja ta odbywa się dwa razy do roku: na wiosnę i w jesieni, t. j. w czasie zasiewów i sprzętu. Rzadziej dla omlotów wyjeżdżają sybiryacy i w zimie na stepy.

Rozróżniają w onym kraju trzy główne rodzaje takich chatek. «Bałaganami» zwą schronienia, pobudowane z ziemi i chrustu i zazwyczaj blisko wiosek położone. Są to szałasowe właściwie tego słowa znaczeniu. «Izbuszki» miano nosi

chatka, którą powyżej opisaliśmy. Nie stawiają ich sybiracy blisko mieszkań swoich, bo wznoszą je zwykle na polach, które zanađto są oddalone ode wsi, by codzień na nocleg można było powracać do domu. «Zaimka» wreszcie jest domczek porządniej i obszerniej od izbuszki zbudowany; z izbą mieszkalną, piecem, kominem i oknami, często z szopą dla bydła; ogrodzony nierzadko płotem. Tuż obok mieszczą się zwykle także owiny zboża. Futor ukraiński podobnym jest nieco do takich «zaimek».

Bałagany, izbuszki i zaimki, zamieszkałe przez właścicieli tylko w lecie, są dla włóczęgów, czyli zbiegów, prawdziwym zbawieniem w zimie. Dostarczają im bowiem bezpiecznych przytulisk, gdy dla zasypanych śniegiem drożyn, które zwykle przez stepy prowadzą, jako też i dla mrozów nigdzie ruszyć się nie mogą.

Była może druga godzina z południa, kiedy nasz podróżny dopadł ścieżki, z chatki do przerębli prowadzącej. O tej porze w Syberji zmrok już zaczyna zapadać — poprzednik długiej jak wieczność nocy. Odwiązał z nóg łyżwy, zdjął worek z plec i trzymając go obiema rękami przed sobą, zbliżył się do drzwi, z po za których wraz z dymem donośnie na zewnątrz dobywały się głosy.

— Otwórzcie! — zawołał, stuknąwszy nogą o zbite deski, zamykające nie bardzo szczelnie wejście do chatki.

— To ty Wasylu? — odezwało się z wnętrza.

— Ja... otwieraj! — rzekł przybysz.

Drzwi się rozwarły. Przez mały otwór buchnęło ciepło parą na zewnątrz. Wasyl musiał się zgiąć we dwoje prawie, by wejść do środka; wciągnął potem worek i drzwi zamknął za sobą.

— Wątpiłem był już — rzekł odetchnawszy głęboko — czy się dostanę przed nocą do was. Śniegu tyle wypadło i tak miękkie, że i łyżwy nie wiele pomagały.

— A my się tu o ciebie wcale nie obawiali — odpowiedziano mu. — Noc, czy dzień na stepie, tobie wszystko jedno. Znasz go przecież lepiej nawet od Jefrema, co już szósty raz tędy przechodzi.

— Znam, to znam... bez wątpienia! — mówił Wasyl, zdejmując z głowy małachaj. — I jakżeż go nie znać zresztą, gdy lat już z górą piętnaście kręci się po nim. Lecz zbłądzić tu nie trudno i temu, co od dzieciństwa wzrósł na nim. Odróżnij że przy takiej pogodzie, jak dzisiaj, jeden gaj od drugiego... A po gajach jedynie kierunek możebny. —

I rzuciwszy rękawice, zaczął ostrożnie oswobadzać brwi i wasy z namarżłych sopli.

Wnętrze izbuszki wcale nie ponętny przedstawiało widok. Światło dzienne nie miało tu przystępu, ponieważ otwory,

które latem za okna służyły, założono szczelnie mchem i zabito deskami. Oświecało je za to jaskrawo ognisko, gorejące w głębi na małym z ziemi podwyższeniu. Mocny, biały płomień buchał z świeżo jak widać dorzuconych dREW brzozywych do połowy ściany, do której podwyższenie przypierało, i która grubo w tem miejscu była gliną wylepioną — i oblewał jasnym światłem zakopcony zrab chatki. Dym unosił się gęstym obłokiem pod całym, jak ściany czarnym i z takichże belek złożonym pułapem, bo nie mógł się od razu weisnąć w otwór, który tuż nad ogniskiem był umieszczony. Ciepło było też od ogniska we wnętrzu izbuszki, jak w łaźni.

Po obu stronach drzwi znajdowały się jeszcze dwa podwyższenia z ziemi, służące za łoża, jak o tem świadczyło nagromadzone tam siano.

Izbuszka miała zaledwie pięć kroków szerokości i tyleż długości; wysokość jej wynosiła najwięcej sześć do siedmiu stóp, z których dwie najmniej zajmowała zawsze warstwa dymu. Człowiek wyższy, jak średniego wzrostu nie mógł tu stać prosto, jeśli chciał oddychać swobodnie. Mimo tak ograniczonej przestrzeni mieściło się tu przecież aż pięciu ludzi.

Jeden z nich był nowoprzybyły Wasyl, mężczyzna wysokiego wzrostu, zawsze nieco naprzed pochylony, jakby wiecznie jakiś ciężar dźwigał. A nie był to widocznie ciężar wieku, bo Wasyl liczył zaledwie lat czterdzieści kilka. Przygnębienie, jakie cała jego powierzchowność zdradzała, musiało w czem innem mieć swoją przyczynę. Najbardziej uwydatniało się ono, gdy mówił. Głos był bezdźwięczny, rozbity, grobowy, jakby z trudem z głębi pustych piersi się dobywający. Włosy nosił krótko strzyżone, po żołniersku na bok zaczesane. Twarz miał bladą, wychudłą — mięte i bez życia oczy, głęboko w dołkach ukryte. Po dokładniejszym przypatrzeniu się łatwo było rozoznać na środku wysokiego czoła i na obu policzkach, jakieś okragłe, od reszty skóry daleko bielsze, na powierzchni pofałdowane blizny. W obecnej chwili poczerwieniały one od zimna i występowały na bladym licu, jak trzy krwią nabiegłe plamy, co przy marsowatej minie strasznie nieco czyniło wejrzenie tego człowieka. Blizny takie często można widzieć na twarzach zbiegów sybirskich. Są to resztki ran, które sami sobie robią na twarzy, aby zniszczyć piętna, wyciśnione ręką kata.

Drugi izbuszki mieszkaniec spoczywał na łożu w chwili, kiedy Wasyl się pojawił. Był to człowiek w podeszłym już wieku, czerstwego jeszcze oblicza, wysoki i barczysty, jak atleta. Długa, gęsta, siwa broda spadała mu na pierś szeroką, a bujne, choć białe jak mleko włosy, rozdzielone starannie na samej połowie czaszki, spływały po obu skroniach aż po-

niżej uszu, które zakrywały zupełnie. Jedwabny sznureczek wątpliwej barwy, obwiązany w koło głowy, przytrzymywał je, by nie spadały na szerokie, jak łysina gładkie i lśniące czoło. Potężne, nie posiwiałe jeszcze, a w żółty kolor wpadające brwi sklepiły się, stykając prawie u połowy czoła, nad małemi, żywemi oczyma, których spojrzenie łagodnem było i przenikliwem zarazem. Leżał na sianie w koszuli tylko z barwnego perkalu, spuszczonej rosyjskim zwyczajem na płóciennie spodnie i przepasanej cienką, niebieską tasiemką, do której przyczepiony był z boku prosty grzebień rogowy. U szyi koszula nie była zapięta. Rosperek, krajowym zwyczajem u prawego boku umieszczony, był odwinięty i pozwał widzieć zawieszony na obrosłych, jak u niedźwiedzia piersiach miedziany krzyżek z taką łyżeczką do czyszczenia uszu. Widok starca przyjemne sprawiał wrażenie. Był to jeden z owych poważnych, uszanowanie i cześć samą postawą nakazujących patriarchów, jakich w Rosji i na Wschodzie tylko spotkać można. Mimowolnie uchyliłbyś głowy przed tym posagowym spokojem, który malował się na jego obliczu, przed tą pogodą spojrzenia i powagi pełną postawą, którą się odznaczał. A przecież i pierś tę, tak równo obecnie oddychającą, podnosić musiały niegdyś silne namiętności, i nad tem jasnem teraz czołem nie jedna w życiu przeszumieć musiała burza. Starzec ten bowiem był zbiegiem z 'kopań, lecz nim się do nich dostał, niejednego pewnie krwawego dramatu naocznym był świadkiem, w niejednym z nich najniezawodniej czynny brał udział...

Reszta mieszkańców izbuszki siedziała na rozłożonym pośrodku podłogi worku, zajęta grą w karty. Wcale od mienne od starca były to postacie. O ile tamten budził pewną sympatię, o tyle ci odtrącał od siebie powierzchownością, która bynajmniej zaufania nie wznicała.

Najmłodszy z nich wstał był z «majdanu» — tak zowią miejsce, na którym odbywa się gra w karty — aby otworzyć towarzyszowi drzwi izbuszki. Liczył on 20 lat najwięcej. Rozczochrane, krótkie włosy jasnej barwy jeżyły się na głowie, jak strzecha od wiatru wzburzona. Podobieństwo to uderzało tem bardziej, ile że tu owdzie wystawały żdźbła zabranej z legowiska słomy. Osmolonej i oddawna nie mytej twarzy nie opuszył był jeszcze zarost młodzieńczy. Jakiś przebiegły na wpół ironiczny, na wpół przymilający się uśmiech igrał mu wiecznie na ustach, po nad któremi mały, pękaty nosik wystawał impertynencko. Ten to nosik sam jeden nadawał twarzy ów wyraz typowej bezczelności, którą się odznaczała powierzchowność młodzieńca. Żywe, szare oczy biegały na wszystkie strony, jakby zawsze czegoś szukały; występowały one z dółków swoich, jak dwie gałki, na wierzch tylko wtedy,

gdy właściciel z ciekawością się czemuś przysłuchiwał lub przypatrywał. Zresztą człowiek ten nie był w stanie, nawet podczas rozmowy, spoglądać przez dłuższy czas przeciąg na jeden i ten sam przedmiot. Złośliwa mina, co zda się do lic mu ruchomych przyrosła na zawsze, owo ironiczne, namiętne ust zacięcie, wzrok ów, jakby niespokojnie wypatrujący, w czyją najłatwiej długimi palcami możnaby się zakraść kieszeń, niskie pofałdowane czoło, i nosik bezczelny, co podobny był do wystawionej światu po licznych psotach figi, nadawały młodzieńcowi powierzchowność głęboko moralnie zepsutego człowieka i budziły silną ku niemu antypatię. Kto był w Petersburgu, ten nierzadko spotykał się z podobnymi osobnikami. Policji tamtejszej znani oni są dobrze pod zbiorową nazwą «mazuryków», po naszemu rzemieślników.

Męczyzna, co na majdanie naprzeciw niego miejsce zajmował, mógł mieć lat około 40. Niski był, krępy, kościsty, wiecznie zadumany, wiecznie ponuro przed siebie spoglądający. W oczach piwnych, łzawych gorzał tajemniczy jakiś i złowrogi ogień. Ten to jedynie pokrewnił go niejako z współmieszkańcami izbuszki, bo we wszystkim innem różnił się od nich całkowicie. Włosy miał czarne, krótko strzyżone; twarz wyrazistą, starannie ogoloną. Wąs podcięty na równi z wierchnią wargą jeżył się marsowato pod rzymskim nosem, każdy ruch zresztą wydatniał mocno indywidualność. W odzieniu nawet zachodziła natychmiast w oczy wpadająca różnica. Koszula posiadała wykładany kołnierz i rosperek na środku piersi, a nie była wypuszczoną po wierchu, lecz kryła się w spodniach odmiennego od innych kroju. Po akcencie łatwo można było odgadnąć, że to mieszkaniec południowej Rosji — «chachol», jak ich Rosjanie nazywają pogardliwie. Przy wejściu Wasyla do izbuszki nie podniósł on nawet głowy; całą uwagę jego zwracały na siebie karty, które trzymał w ręku. Był na zadaniu i kombinował z jakiej wyjąć maści.

Plecyma do ogniska, a twarzą ku drzwiom zwrócony, siedział ze skrzyżowanymi nogami piąty izbuszki mieszkaniec, w którym po ogolonej głowie, po jarmulce srebrnym szychem wyszytej, po rzadkich wąsach i rzadszej jeszcze brodzie, po kosych wreszcie i małych oczkach, jakoteż wystających mocno na suchej twarzy kościach policzkowych — przez co lice zbliżało się formą do czworokąta — na pierwszy rzut oka było można poznać tatara.

Młodzieniec uprzątnął był worek, który Wasyl wniósł do izbuszki, do jednego z niezajętych jej kątów.

— Jakież to ciężkie! — rzekł, opierając go o ścianę. — Miałeś co dźwigać Wasylu! Przyszłym razem na mnie przy-

pada kolej iść do wsi. Musi mi jednak tatar towarzyszyć, sam nie użebrałbym tyle...

— Piękny z ciebie włóczęga, kiedy nie umiesz prosić jałmużny... — odparł starzec z przekąsem.

— Wyprosić nie wielka sztuka, Jefremie! sybiracki lubią młodych, jak ja włóczęgów... żadna mi pewnie jałmużny nie odmówi. Lecz przydzwigać tutaj woru nie potrafiłbym!

— Poczekaj, przywykniesz nosić worki z żywnością, gdy się przejdiesz po Sybirze z jakie pięć sześć razy i zdarzy ci się zimować częściej na stepie.

— Pięć sześć razy?... niech mnie Bóg broni! tego jednego mam dosyć. Niech-no ja tylko dostanę się napowrót do Petersburga, potrafię ja się ustrzedz tej drogi.

— Do Petersburga? — odparł szyderczo Jefrem — ty do Petersburga? Podziękujesz Bogu, jeśli Tiumeń miniesz... Tobie przejść do Rosji!... nie tacy próbowali, a sparzyli się na permskiej gubernji. Wprzód nie raz jeszcze posiedzisz sobie w więzieniu i nie raz zrobisz znajomość z katem...

— Nie doczekanie jego!.. wolę umrzeć...

— I to ci się wydarzyć może... pod pletnią na szafocie! — zakończył starzec.

Nastąpiła chwila milczenia; młodzieniec zadumał się trochę. Twarz przybrała poważniejszy wyraz, oczy utknęły na chwilę w coraz żywiej płonącym ognisku, na którym Tatar poprawiał opalone brewna.

— Niech kaci porwą taką pogodę! — przemówił wreszcie Wasyl, oswobodziwszy twarz z lodowej przyłbicy. — Wolałbym mróz trzaskający... Śnieg wali, że światu nie widać, ledwie odszukałem drogi... Saszo! — dodał, zwracając się do młodzieńca — przystaw-no rychlej kociołek z wodą do ognia... herbata rozgrzeje mi trochę serce. —

Wezwwanie to obudziło młodzieńca z zadumy.

— E, co tam! — zawołał — będzie dosyć czasu myśleć o pletniach, kiedy się dostanę do turmy. —

I przybrawszy dawniejszą minę, wdział na bosc nogi chodaki, zarzucił na plecy chałat, zdjął z pulki, u węgła umieszczonej, wielkie do czajnika podobne naczynie z lanego żelaza i blaszany kociołek i wyszedł na dwór. Pełnił on widać w tem gospodarstwie urząd kuchty.

Wasyl usiadł na łozu, aby zdjąć obuwie, co nie było rzeczą zbyt pojedynczą do skutecznienia, tak z powodu sznurówki dość skomplikowanej u cholew, jakoteż i dla zadziwiającej ilości onuczek wełnianych i płóciennych, którymi nogi były obwiniete.

— Nie słyszałeś co nowego? zapytał Jefrem.

— Bieda naszym okrutna w Jałutorowskim okręgu — odrzekł Wasyl.

— W Jałutorowskim?... toż tam Aleksy Konradowicz gorodniczym — przeznacny człowiek i litościwy!

— Ale nowego isprawnika przysłano, a ten widać nie żartuje... Wrócił zawczora Kuźmicz, woźnica, z Tiumenia... ze skórąmi tam jeździł... opowiadał że w jesieni nasi napadli byli dwie mniszki, co z Rosji po kweście tu zjechały. Obrali naturalnie ze wszystkiego i zabili, lecz trupy jakoś tak niezgrabnie uprzatnęli, że je w tydzień potem znalaziono przypadkiem. Nowy isprawnik nakazał powszechną po stepach obławę. Nabrano ze dwustu naszych... całe więzienie pełne... no i nie żartuje... na każdą egzekucję sam przyjeżdża, i kat musi spełniać wyrok, jak się patrzy, inaczej prowadzą go zaraz do policji i samego różgami ćwiczą!

— O!... to bieda, kiedy tak... trzeba będzie teraz Jałutorowsk omijać... z Iszymu zaraz na lewo pod Petropawłowski, i na Kurgan... A już to nasi bracia muszą zawsze gdzieś nabroić, nie tu, to tam... i potem innym przechodu nie ma... Rozumiem, że napadli i ograbili... przy takich zakonnicach zwykle dobrze się można pożywić... ależ trzeba było i końce dobrze utopić. Przecież nie łatwiejszego, jak spalić zabitych... i śladu byłoby nie zostało...

— Musieli to być jacyś nowicjusze! — przebąknął chachoł, który złożywszy karty, uważnie się przysłuchiwał opowiadaniu Wasyla.

— Nie inaczej! — dorzucił starzec.

Rozmowa urwała się na tem, a po chwili wrócił Sasza z wodą i zajął się przygotowaniem herbaty.

Tatar nie mięszał się do pogawędki. Był on zajęty czem innem do tego stopnia, że wątpliwe należało, aby zwracał na nią jakąkolwiek uwagę. Po przybyciu Wasyla wstał z majdanu i przysunął się był do ognia. Zakasał prawy rękaw od koszuli i obnażył rękę po łokieć. O kilka cali poniżej zgięcia była ona owinięta bandażami, jakby miała ranę na onem miejscu. Po zdjęciu takowych widzieć można było wielką miedzianą sztukę dziesięciokopijkową, leżącą na gołym ciele. Do koła skóra była zaczerwieniona. Tatar podjął ostrożnie monetę, odłożył ją na bok, i pocisnął kilkakrotnie palcem lewej ręki szary, jakimś proszkiem przysypany krąg, który widzieć można było dopiero po zdjęciu dwudziestogroszówki; snać chciał się dowiedzieć, czy ciało pod nim już zmiękło. Próba widać nie zadowolila go. Skrzywił się, jak człowiek zniecierpliwiony, mruknął pod nosem jakieś przekleństwo i starł dłonią ów szary krąg z proszku. Na zaczerwienionej skórze ujrzyć można było teraz wypiętnowaną

rosyjską głoskę B — którą znaczone niegdyś w Rosji tak-zwanych brodiagów, czyli włóczęgów.

Długo i uważnie przypatrywał się jej Tatar. W chwili zaś, gdy nastało milczenie w izbuszce, przystąpił do Jefrema i wskazał milcząc na zaczerwienione miejsce.

— I czemużes odwiązywał? — rzekł mu tenże, obejrzawszy rękę — Trzeba było nie zdejmując monety, napuścić tylko pod nią trochę letniej wody, jak ci to pokazywałem.

— Robiłem tak dwa razy już dzisiaj... — odpowiedział Tatar dziwnie koszlwiąc wyrazy.

— Ależ jednego dnia nie dosyć, głupi łbie golony! Mówiłem ci, że po trzech, czterech dniach dopiero zrobi się rana dość głęboka.

— Kiedy piecze bardzo...

— To przecierp! Piekłoby cię gorzej, gdyby cię złapali z niewytrawionem piętmem i wypalili z jakich 40 pletni... patrz, jak się już skóra pięknie zaczerwieniła!... Jutro do wieczora miałbyś już być rane! Idź-że i nasyp znowu miałkiego popiołu, przykryj go monetą, napuść letniej wody i obwiąż mocno. Jutro rano i wieczór powtórzysz to samo, nie zdejmując bandaży. Pozajutro zobaczymy. —

Tatar odeszedł od łóża Jefremowego, skrobiąc się w głowę. Usiadł potem znowu na dawnym miejscu i jał wypełniać przepis nie bez krzywienia się z bólu. Sasza podał mu w kubku wody z czajnika, który od kilku minut stał już przy ognisku.

— Kiedyż ty się tam z wodą uporasz? — przemówił Rusin, zwracając się do młodzieńca.

— A co takiego? — zapytał tenże.

— Trzebaż gry dokończyć!

— Spieszno ci zostać durniem? — odrzekł Sasza, pomagając tatarowi przy zawiązywaniu.

— Pokaże się, kto nim zostanie.

— Jużci ty! urodziłeś się nim przecież, jak każdy chachol. —

Tatar skrzywił twarz do szerokiego uśmiechu. Oczy Rusina zaświeciły chwilową błyskawicą; powstrzymał się jednak, zacisnął usta i zmilczał.

— Dajcie-no pokój kartom na teraz! — wtrcił Wasyl, wieszając zdjęte z nóg obuwie wysoko pod pułapem. — Mamy dziś dosyć do pomówienia. Nadarza się robota zyskowna...

Przy słowie «robota» wszyscy głowy podnieśli. Jefrem przysiadł na łóżu.

— Robota?! — powtórzył. — Gdzie?

— Na wielkim gościńcu! — odrzekł Wasyl, kładąc się na legowisko.

— Tu, na barnaulskim?

— Nie, na tomskim... wiorst pięćdziesiąt stąd.

— Do spółki?

— Jużci... z Jegorem Tymofiejowiczem... on da konia i «koszowę»*).

Jefrem skrzywił się trochę.

— Z Jegorem Tymofiejowiczem? — precedził — Znam go... na niego nie można się spuścić ze wszystkim... człowiek to nie szczery! Chodzą o nim wieści, że spalił kilka lat temu jednego z naszych, napoiwszy go wódką i zamknąwszy w izbuszce, w której mu robił fałszywe pieniądze... I jakaż to tam robota?

— Herbata! — odrzekł Wasyl.

— No... herbata ujdzie jeszcze... a co daje za «tiuk»?

— Różowy bilet.

— Różowy! ho, ho... warto się pokusić... Dwa lata temu pod Krasnojarskiem dostaliśmy tylko po siwym. Ledwie «czoldon»**) psiawiara zgodził się dodać po funcie herbaty od tiuka.

— Jegor Tymofiejowicz da nam po dwa! —

Na ogniu zaszczało, woda silnie wrzeć zaczęła.

— Cożes się tak zagapił? — rzekł Rusin do Saszy, który z natężoną uwagą przysłuchiwał się był rozmowie. — Woda ci ze wszystkim wykipi, nim naskrobiesz herbaty...

— Patrz-no ty swego nosa, a nie troszcz się o innych! obejść się bez twoich nauk... — odparł z przekąsem młodzieniec. — Abdule! — dodał, zwracając się do tatarza — przygotuj czarki! —

Potem odstawił czajnik od ognia, zdjął z pułki inny mniejszy wraz z małym zawiniątkiem płóciennym. Z tego ostatniego wyjął spory kawałek czarnej, jak kamień twardej masy. Był to tak zwany czaj kirpiczny, rodzaj herbaty uprasowanej w cegielki, której na Sybirze powszechnie używają. Naskrobał jej trochę nożykiem do małego czajnika i zalał kipiátkiem. Tatar zniósł tymczasem pięć małych drewnianych czarek, lakierowanych na czerwono i w złociste esy floresy zdobnych. Znane one są we wschodniej Rosji i na Sybirze pod nazwą kazańskich. Dobył także z worka, który Wasyl przyniósł, kilka kawałków białego chleba, a raczej ulationów z potężnych obwarzanków z pszennej mąki, jakie tam zwykle miasto bochenków pieką i ustawił wszystko na majdanie, gdzie Rusin ciągle jeszcze siedział. Dopiero przygotowania te zmusiły go do zmiany miejsca. Powrócił się tak, że twarz dotąd w cieniu ukrytą oblało ogniska światło. Na czole i policzkach wystąpiły teraz jasno wypiętnowane

*) Rodzaj sani o szerokich płozach, formy do otwartej trumny podobnej.

**) Przezwisko, nadane Sybirakom przez Rosjan.

głoski K A T, jako początkowa zgłoska rosyjskiego wyrazu «katorżnyj» — zwykle piętno zbrodniarzy. Twarz jego i tak ponura, większej jeszcze przez to nabrała dzikości. Zmarszczki na czole zdawały się ukrywać wieczną, nieugaszoną dla całego świata nienawiść, którą usprawiedliwiał niejako ponury ogień oczu, co tłał nieokreślonym jakimś wyrzutem — jakby za doznane niesłusznie cierpienia. I litość budził ten człowiek i strach wzniewał zarazem.

Siedli wszyscy do herbaty, którą Sasza porozlewał do czar.

— Mleka już nie ma, Wasylu! ostatnie wypiliśmy dziś w południe — rzekł on podnosząc czarę do ust.

— A bodaj to... zapomniałem ci powiedzieć... we worse jest spory «tujas» zmarniętego. Wyjmij czempredzej, by nie rostopniało.

Sasza poskoczył i dobył z pod znacznej ilości kawałków chleba, uzbieranego we wsi przez Wasylą, naczynie z brzo-zowej kory, wysokie, szczelnie nakrywką drewnianą zamknięte. Potrząsł je, otworzył i wysypał zeń kilka kawałków białego lodu do blaszanego rądelka, który przystawił do ognia. Wy-niósł potem «tujas» na dwór, by zawartego w nim w stanie zamrożenia mleka nie wystawiać na działanie ciepła we wnętrzu izbuszki i uchronić je od zepsucia.

Jutro będzie pogoda — rzekł, wróciwszy — śnieg ustał i gwiazdy tu owdzie majaczą przez mgłę... — I przy-niósł rądelek, w którym mleko już się było rozgrzało.

— Będzie pogoda? to dobrze! — dorzucił po chwili Wasyl. — Przed południem przybędzie Tymofiejowicz.

— Jakto, jutro już? — zapytał Jefrem.

— A czegoż czekać? im prędzej, tem lepiej. Wódki nie piliśmy już od dwóch tygodni, bo nie ma pieniędzy... po robocie pohlamy.

— Byle się tylko udało! — zauważył Rusin. — Woźnicy ostrożniejsi teraz, jak dawniej, bez gwintówek nie jeżdżą; na noc zaś biorą chłopów ze wsi dla strzeżenia obozu.

— Jeżeli burzliwa i pochmurna — dorzucił Wasyl — lecz w księżycową i pogodną «konwoju» nie mają. Zresztą koń Tymofiejowicza, to ogień, istny uragan... widziałem go; dwieście wiorst nim jeździ bez popasu. A ty przecież mistrz w powożeniu.

— Więc ja pojedę? — zapytał Rusin.

— Ty z Jefremem; nikt tu z nas przecież do tej roboty nie jest zdolniejszym od was.

— A daż nam sybirak zadatek? Bez tego ja się nie ruszę! — mówił Jefrem.

— Obiecał przywieść dziesięć rubli i dwa sztofy wódki.

— Czy wie, że obóz jaki jest w drodze?

— Wysłał dziś rano chłopaka na tomski gościniec. Objasni wam jutro, gdzie najlepiej napaść i kędy zwrócić z drogi.

— Niech tylko powie, na której stacji będzie obóz nocą przechodzić, resztę ja wiem bez niego; gościniec tomski znam, jak drogę z mej wsi rodzinnej do powiatowego miasta.

— Może i jabym się przydał wam na co? — rzekł Sasza. — Chciałbym się trochę przewietrzyć... uwędziłem się w tym dymie, jak szynka...

— Ty? — odparł szyderczo Rusin — a kiej diabli nam po tobie? My tam nikomu kieszeni nie będziemy wypróżniać, i chustek do nosa, ani zegarków Sybiracy nie noszą. Musisz wprzód wrócić do Petersburga, nim się przydasz na co...

— Nie bój się, potrafiłbym lepiej może od ciebie i tiuk oderznąć ze sani. Wielka mi sztuka... szast nożem po sznurach, i koniec! —

Rusin pogardliwie się uśmiechnął.

— I cóż ty mądrego udajesz, nieboże? — ciągnął dalej Sasza — Nie przecie wielkiego w życiu nie zrobiłeś... za-biłeś ekonoma, który ci batem skórę osmagał, za to żeś ochwacił pańskiego konia? każdy osioł to potrafi... Za to też nosisz znaki na ryle i zgniejsz na Sybirze! —

Tego było za dużo rusinowi.

— Milcz psi potomku — krzyknął — bo ci mordę ukropem oparzę! — I porwał czarę pełną herbaty, jakby chciał spełnić groźbę.

— Saszo! wtrącił Wasyl, który w tem gronie widocznie jako herszt był poważany — dość tych docinków. Cały wieczór ujadasz się z Zacharem, jakby ci język świerzbiał... on nasz towarzysz i katorżnik, wara ci do niego! Z leż zimowych wypędzają takich, jak ty... jak nie, opatrzysz się na stepie. —

Sasza zamilkł, nie bez tego, żeby nie rzucił kilku złośliwych spojrzeń na Rusina.

— Przewietrzysz się zresztą i ty — mówił Wasyl dalej. — Jeżeli, jak się spodziewam, wyprawa po herbatę odbędzie się pozajutro w nocy, ja, ty i tatar ruszymy skoro świt do Tomka na niebezpieczną, ale sto razy zyskowniejszą robotę.

— Do Tomka? — zapytał zdziwiony Jefrem.

Wszyscy z ciekawością czekali odpowiedzi Wasylą, po-stawiwszy czarki z herbatą na ziemi. Ten nie przerywał sobie w picu i po wypróżnieniu dopiero swojej czarki tak się odezwał.

— Trzy lata temu siedziałem w tomskim więzieniu przez całe półtora roku. W tym czasie sprawnik tamtejszy, o którym wszyscy musieliście nie raz słyszeć, pletniami na

śmierć zasiekł nie mniej, jak piętnastu naszych; reszta, cośmy także musieli przechodzić przez jego ręce, wyszliśmy kalekami na całe życie... Mnie jeszcze najmniej ze wszystkich się dostało... Bóg uchował... choć po egzekucji leżałem w szpitalu trzy miesiące... Od tego czasu naszych umarło w Tomsku pod pletniami ze trzydziestu... sprawnik przysiągł, że w swoim przynajmniej powiecie wykorzeni nas do szczerbą. I dokazała psia wiara częstymi obławami tego, że nikt z nas nie śmie się zatrzymywać około Tomsku na zimę, a latem omijać go musimy o jakie sześćdziesiąt wiorst... Wszystko to dobrze wam wiadome. —

Włóczęgi potwierdzili kiwnięciem głowy.

— On nam często swoją przysięgę powtarzał, kiedy przechodził do turny — ciągnął Wasyl dalej — otóż czterech z nas poprzysięgło sobie także, że tego tyrana, skoro tylko zdarzy się sposobność, sprzątniemy z tego świata. Dziś jeden tylko z tych czterech jest przy życiu... ja!... reszta umarła... dwóch w skutek otrzymanych w Tomsku pletni, trzeci podczas ucieczki, z ręki sybiraka. Na mnie więc jednym cięży obowiązek dotrzymania przysięgi... a wy chłopcy w tem mi dopomożecie.

— Co ty... co ty, Wasylu?... sprawnika tomskiego?... całą gubernję podjąłbyś na nogi! — zawołał Jefrem z przestachem w głosie.

— Pies ogonem by nie kiwnął! — wtrącił Sasza, któremu oczy niezwykle blaskiem gorzały, odkąd się dowiedział, że będzie towarzyszył Wasylowi w wyprawie.

— Co ty rozumiesz?... siedziałbyś oto cicho i nie wtrącał nosa, kiedy ludzie mówią — odparł Jefrem pogardliwie, a zwracając się do Wasyla, dodał: — Biedę, dalibóg, naprowadziłbyś na wszystkich; na całym szlaku urządzonoby obławy, i nie tylko w tomskiej, lecz może nawet i w sąsiednich gubernjach. To sprawnik, nie zapominaj! Ileżby to naszych dostało się do więzienia! Nie, nie Wasylu, to nie uchodzi, gdyby nawet Bóg wie jakie bogactwa można było przy tem zdobyć. Na drugi, trzeci dzień dostalibyśmy się z niemi do turny... bo gdzież zimą się skryjesz?

— Ze starością, Jefremie, przybyło ci także tchórzostwa trochę — odparł Wasyl, nalewając sobie świeżej herbaty. — Wysłuchaj naprzód wszystko, a potem dopiero sądź. W całym tomskim powiecie ani jednego z naszych nie ma na swobodzie, nikt tam oddawna już nie odważa się zimować, wszyscy zostają albo w krasnojarskiej gubernji, albo też spieszą pod Barnaul i Omsk. Myśmy pewnie ze wszystkich najbliżsi Tomsku. Niepotrzebnie więc troszczysz się o naszych, im żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Nas zaś Tymofiejowicz będzie musiał ukryć w razie potrzeby...

— Któż go do tego przymusi?

— Jużci my!... posłuchaj!... Pozajutro o zmroku pojedziecie na tomski gościniec; skończycie tam robotę dobrze przed północą... Tymofiejowicz wam powie w której izbuście herbatę zwalić. Zamiast tam zostać do białego dnia i czekać na Tymofiejowicza, pojedziecie pod Tomsk. O pierwszej po północy możecie tam z pewnością przybyć... czterdzieści kilka wiorst tylko... My tam już będziemy. Sprawnik mieszka na samym kraju miasta... nocą żywej duszy nie ma w tej dzielnicy... dom stoi osobno. Saszę przesadzimy przez parkan, otworzy nam wrota... reszty dokonamy bez najmniejszego szumu i wrócimy ze sporą zdobyczą przededniem jeszcze do izbuszki... Samej gotówki znajdziemy u sprawnika najmniej ze cztery, pięć tysięcy rubli, nie rachując, futer, odzienia, bielizny...

— Przecież sprawnik ma żonę, dzieci, sługi — zauważał Jefrem.

— Żonę, troje dzieci, kucharkę i furmana... Dla nas pięciu cóż to znaczy?... wszyscy będą spali... dom znam doskonale; dobierzemy się naprzód do sług, potem do państwa... z tymi ucieszymy się trochę, tak jak sprawnik cieszył się nieraz z naszymi... z dziećmi ułatwimy się naprzód, potem z nią, na ostatek zaś z nim... związany będzie musiał patrzeć na wszystko. —

Wasyl wyluszczał powyższy plan wyrafinowanej zemsty, jakby o najpowszedniejszej opowiadał rzeczy. Towarzysze słuchali go z zimną krwią, godną skończonych zbrodniarzy. Twarz i oczy Saszy tylko niezwykle zdradzały zajęcie; nie spuszczał wzroku z Wasyla; a kiedy tenże określał bliżej zdobycz, oblicze dziwnie mu jakoś zadrgało i złożyło się do wyrazu uosobionej pożądlivosti, chciwości i szelmstwa. Przebijająca się także na niem radość i niecierpliwość ucznia, który nie może się doczekać chwili, kiedy mu wolno będzie pokazać, co umie. Jefrem zamyślił się na pół przekonany.

— Dobrze ja to wszystko obmyślałem — ciągnął Wasyl dalej. — Nie powiem, żeby najmniejszego w tem nie było niebezpieczeństwa, ale narażać się nań dalibóg warto. Rusin będzie wrót i konia pilnował... tatar zaprzęgnie tymczasem sprawnikowego konia do sanek... robota nie potrwa godziny w środku domu... ja, ty Jefremie i Sasza wykonamy ją łatwo. Wrócimy na dwóch saniach. Tymofiejowiczowi nie pozostanie nic innego, jak uchować nas przed obławą. Trudno mu to nie będzie, boć przecież jest dziesiętnikiem, a kiedy mu nadto damy konia z uprzężą, sanie i część odzienia, z ochotą na to przystanie. Naprzód, rozumie, się nic mu o tem nie powiemy. Kiedy się dowie potem, żeśmy odbyli wyprawę na jego koniu, będzie się obawiał, abyśmy go nie

wydali, jeżeliby nas wzięli i rad nie rad ukryć nas będzie musiał. —

Jefrem nie znalazł argumentów dla przeciwstawienia temu rozumowaniu. Prawdopodobna zdobycz, a więcej jeszcze pewność ujęcia przed prześladowaniami władz policyjnych zwyciężyły wszystkie jego skrupuły, których zresztą nie wywołał bynajmniej wstręt tak okropnej zbrodni, lecz tylko obawa niemożności ukrycia się przed jej następstwami. Zgodzono się we wszystkim na projekt Wasyla, omówiwszy jak najdokładniej wszystkie szczegóły.

Przez noc niebo wypogodziło się rzeczywiście, jak to Sasza był przepowiedział. Ale i mróz doszedł do niesłychanych rozmiarów. Gdzieś jakby u kraju ziemi, posuwając się wzdłuż niego tylko, jaśniał jak z po za mglistej osłony krąg słońca, daleko mniejszy od tego, który mieszkańcy umiarkowanych i południowych stron u siebie widzieć przywykli. Ani światło jego nie było tak silne jak u nas, ani ciepło. Ostatniego wcale nawet nie czuleś; pierwsze podnosiła wprawdzie niezmierna płaszczyzna śniegu, potęgująca je odbiciem do tego stopnia, że się stawało rażącym; ale nie dawała mu ani tej mocy, ani przyjemności, któremi promienie słoneczne u nas władają. Step ze wszystkim, co na nim było, t. j. z jednakowemi, jak małe wyspy w białym morzu rozrzuconemi gajami brzeziny, nieruchomy był i martwy, jakby skrzeplł zupełnie od zimna; uroczysta zaś cisza, która panowała na okolo, czyniła go wielce podobnym do olbrzymiego jakiegoś smętarzyska.

Okolo godziny dziewiętej od strony, skąd Wasyl wczoraj wrócił ze wsi, widział Sasza, który wyszedł był po wodę dla herbaty, dwie postacie szybko ku izbuszce się zbliżające i czempredzej pośpieszył dać znać o tem towarzyszom.

— Tymofiejowicz z synem — rzekł Wasyl, podnosząc się na posłaniu.

— Pewnie oni — odparł Sasza — jeden wielki, drugi o wiele mniejszy. Obydwaj z gwintówkami zdaje mi się.

— Niezawodnie z gwintówkami; bez gwintówki żaden Sybirak na step nosa nie pokaże — dorzucił Jefrem.

Niezadługo śnieg zaskrzypiał przed drzwiami, i do izbuszki weszły dwie postacie stosownie do mrozu ubrane. Twarzy z pod futrzanych kapuz i namarzniętych sopli niepodobna było rozeznąć.

— Jak się macie, chłopcy? — przemówił wyższy, odwijając malachaj.

— Witajcie Tymofiejowiczu... prosimy... rozgościecie się przy ogniu! Musieliście do dnia ze wsi wyruszyć, kiedy tak rano tu przybywacie — rzekł Wasyl, powstając z łoża i zarzucając na siebie futerko.

— Już dobrze switało... kum Wasylewicz nas podwiózł trochę... reszty drogi dobiegliśmy na łyżwach, jak nic... — odparł Sybirak, kapużę i rękawice wieszając na jednym z niezajętych kółków. — Petia, rozbierz się! — dodał, zwracając się do swego towarzysza.

— Rozgościecie się Piotrze Jegorowiczu, rozgościecie! — zapraszał Wasyl — oto tam przy ojcu jest jeszcze miejsce u ognia. Musieliście dobrze przeziębnać...

— Nie bardzo! — rzekł chłopiec obojętnie, zdejmując rękawice i kładąc je na ojcowskich. Rozwiązał także kapużę i odsłonił twarz kwitnącego młodzieńca, mogącego liczyć najwyżej lat siedmnaście. Usiadłszy potem przy ojcu, zaczął z wielką ciekawością przypatrywać się włóczęgom i ich gospodarstwu, jakby po raz pierwszy w życiu miał przed sobą takie widowisko.

Starszy Sybirak był w sile wieku. Wysoki, barczysty, z twarzą żółtawej nieco cery, przypominającą zaschły i pomarszczony owoc, z charakteryzującym Sybiraków rzadkim porostem na brodzie i wąsach, z przenikliwemi, przebiegłemi oczyma, przedstawiał typ, który w Syberji na każdym kroku spotykasz. Moskiewski wyraz «plut» określał, jakby był dla niej stworzonym, tę postać. Coś, czego niepodobna bliżej oznaczyć, a co dawało się w niej spostrzegać i uderzało, że tak powiem, na pierwszy rzut oka, koniecznie kazało się domyślać człowieka, który w ciągłej a tajemnej niezgodzie żyje z prawami, lecz umie unikać otwartej z nimi wojny. Ubranie jego jak i syna znamionowało dostatek. «Armiak» rodzaj wierzchniej sukni, którą Sybiracy na kozuch wdziewają, u obydwoch był sporządzony z białej, wielbłądziej materji, która nierównie jest droższą od zwykłej, żółtej. Na rogach pół, na krajach i na kołnierzu, czarny aksamit, suto czerwoną, zieloną i niebieską włóczką wyszyty, tworzył szlak szeroki; na piersiach zaś, gdzie się armiak nie schodził, widne były obfite wyszywania zgrabnego a ciepłego kazańskiego futerka. Tak poly armiaka jak i kożuszką czyli «półszubka» gubiły się w szerokich, z baraniej, na żółto farbowanej skóry sporządzonych spodniach, które dla ułatwienia chodu i tem lepszego zabezpieczenia się od zimna, Sybiracy zwykłe na wierzch wciągają. Zwą je «czambarami». Pstry, wełniany pas, którego końce gubiły się także w czambarach, opasywał obydwom biodra.

— Dobrzeście się widać na zimę, opatrzyli — rzekł starszy Sybirak, oglądając się po wnętrzu izbuszki — ciepło macie jak w izbie.

— Z łaski waszej Tymofiejowiczu! — przemówił Jefrem, który także przystąpił był do komina i usiadł przy Wasylu. — Twoja izbuszka... twoje drzewo...

— Co robić?... nie można pozwolić, aby chrzczeni ludzie ginęli na stepie... choć zasiedateli jak najsrożej zakazał przyjmować was, nie podobna go usłuchać... Ale pamiętajcie, skoro mrozy popuszczą, musicie narąbać drzewa, ile go było przed zimą.

— Znajdziesz go dwa razy tyle narąbanego i ułożonego, Tymofiejowiczu... znamy naszą powinność! — odparł Wasyl.

— Latem ja wszystkiego nie spalę... zostanie się dla innych «nieszczęśliwych», co tedy będą przechodzić.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Sasza z tatarzy-nem robili przygotowania do śniadania. Rusin, nie biorąc żadnego udziału w tem, co się działo koło niego, siedział na pościeli i naprawiał jakąś część odzienia.

— Nie nudzi się wam tak cały boży dzień bez roboty? — zapytał Sybirak.

— Cóż robić, Tymofiejowiczu?... ludziesmy niewolni... Nie byłibyśmy od tego, żeby popracować i na chleb powszedni zarobić... ale któż nas zechce bez paszportu? I tak oto zmuszeni, przepędzać musimy całą zimę na bezrobociu.

— Rozumi się... rozumi się... — potakiwał Sybirak. — A cóż chłopcy, wódki pewnie nie piliście dawno? — zapytał po chwili namysłu protektorskim tonem.

— Gdzie nam biednym myśleć o wódce, Jegorze Tymofiejowiczu! — odparł melancholicznie Jefrem. — Radzimy, kiedy dzięki miłosiernym ludziom głodu nie cierpim... Latem, kiedy Bóg częściej zsyła jaki taki zarobek, to tam się nieraz i o wódce nie zapomina...

— Ja tu jej trochę z sobą przyniosłem, aby was pocieszyć — prawil Sybirak i skinał na syna. Ten dobył z głębokiej kieszeni swego armiaka zapieczętowanej flaszki i podał ją ojcu.

— Wszak nie pogardzicie Tymofiejowiczu, naszą herbatą? — rzekł Wasyl — gotowa już oto... przy niej i wódka łacniej się przyleka... choć ona, maticzka, zawsze gładko przez gardziel przesmyka...

— Cóżbyśmy mieli gardzić bożym darem... wypijemy czarke... — odparł Sybirak.

Włóczęgi siedli do herbaty na zwykłym miejscu, zasławszy je workami. Obaj Sybiracy nie ruszyli się z swego siedzenia, w ich wyobrażeniu bowiem nie przystało im do tego stopnia poufać się z «nieszczęsnymi», iżby mieli z nimi razem pić i jeść. Podnieśli się tylko obydwa dla przeżegnania się, przyczem zwrócili twarze do jednego z węglów izbuszki. Wasyl odkorkowawszy flaszkę, podniósł im pierwszą czarke, który to zaszczyt bez wymawiania się, zwykłego podczas częstowania się z równymi, przyjęli, jakby się im z natury rzeczy należał. Im pierwszym także nalano herbaty,

a Jefrem najlepsze dla nich z worka wybrał kołacz. Wszyscy już wiedzieli, w jakim celu Sybirak przybył do izbuszki. Nie było tajem i jemu, że go w niej oczekiwano dla umówienia się względem wiadomego napadu. Wszakże dotąd nikt ani słówka nie przemówił, któreby się odnosiło do tej sprawy. Włóczęgi czekali, póki Sybirak nie zacznie, uważając to za rzecz wygodniejszą dla siebie. W tego zaś charakterze leżało w najprostszych rzeczach krzywymi drogami zbliżyć się do celu i od razu nigdy całej swej myśli nie wypowiadać. Zdawała mu się reszta wymagać tego i godność, którą pragnął zachować wobec włóczęgów, nie zważając na to, że przybył tu w zamiarze zawarcia z nimi zbrodniczej spółki.

— A trzeba by wam chłopcy w rzeczy samej dać jaką robotę — rzekł w końcu, kiedy czaraka z wódką obeszła już dwa razy w koło. — Grzech daremnie czas marnotrawić.

— Wiecznie byśmy się za was do Boga modlili! — odparł skwapliwie Jefrem, który w skutek częstych i długich doświadczeń najlepiej umiał Sybiraka podtrzymywać w roli protektora.

— Jutro w nocy, dwadzieścia wiorst po tamtej stronie Kolywania, będzie przejeżdżał tabor z herbatą, złożony z sześćdziesięciu kilku sań. Droga tam przechodzi, jak może wiecie, przez głęboki parów. We dwóch moglibyście podjechać w lekkiej «koszowie» i zerznąć kilka tiuków. O jaką wiorstę z drogi na lewo leży zaimka mego kuma Wasylewicza, tam moglibyście zajechać i poczekać na nas do pozajutra.

— W parowie, Tymofiejowiczu, robota niebezpieczna — odparł Jefrem — tam już nie raz zrzynano tiuki... furmani są bardzo ostrożni, kiedy przejeżdżają tamtędy. Pięć wiorst wyżej od tego parowu znam ja miejsce, które daleko jest dogodniejszem. Trzy wiorsty na prawo pośród brzeźniaków jest zaimka...

— Andrzeja Jakowlewicza Pietrowa... znam! dwa dni temu przejeżdżałem tamtędy... pusta... — przerwał Sybirak. — Tak, tak! tam daleko lepiej... nie tak blisko drogi — dodał po chwili.

— I co główna, że furmani będą na tem miejscu zupełnie bezpiecni — mówił Jefrem dalej — Jest także wiele zaimek w tamtej stronie... więc gdyby furmani chcieli puścić się w pogoń...

— Nie ma najmniejszej obawy tego... możecie bezpiecznie w zaimce Pietrowa przenocować aż do naszego przyjazdu. My z Wasylewiczem przyjedziemy około południa. Konia i koszowę ja wam dam... koń jak ogień, nie ma sobie równego w okolicy... śnieg, czy bita droga, wszystko mu jedno. Jutro o zmierzchu czekałbym was na tem miejscu, na którym z drogi skręca się do tej izbuszki...

— Daj wam Boże zdrowia, Tymofiejowiczu, żeście o nas pomyśleli — mówił Jefrem po chwili milczenia. — Ja do tych rzeczy wprawny; nie raz już odbywałem podobne wyprawy; a mamy też woźnicę, który zrosł przy koniach i podola choćby najbardziej narowitemu. Możecie więc być pewni, że się uda wszystko jak najlepiej.

— A cóżbyście żądali od tiuka? — zapytał Sybirak.

— Jak dla was Jegorze Tymofiejowiczu... po znajomości... piętnaście rubli i trzy funty herbaty.

— Piętnaście rubli i trzy funty za tiuk?... kto słyszał?

— Co ty, przyjacielu? — zawołał Sybirak powstając z siedzenia.

— Łońskiego roku w krasnojarskiej gubernji brałem dwadzieścia, dalibóg Tymofiejowiczu!

— Ja tego dać nie mogę... mam wspólnika kuma... cóżby się mnie zostało? porachuj...

— Tiuk w Tomsku przedacie najmniej za sześćdziesiąt.

— Ho, ho... przedaj no go za sześćdziesiąt, a nie będę się targować ani chwili... Z takim towarem można tylko iść do pewnych kupców; ich w Tomsku nie wiele, musisz brać co dadzą; a przewóz, a kłopoty, a strach, żeby nie spotkać się z biedą... nie, nie, przyjacielu! ty trochę... tego... za nadto przesolił.

— Żądanie do kieszeni nie lezie, Tymofiejowiczu... ja jeszcze od was nic nie słyszałem.

— Co robić? dam połowę, choć i to dalibóg, za wiele... ledwie dziesięć rubli mnie z tiuka przypadnie.

— Nikt wam za to nie pojedzie, wierzcie mi! wszak to nie żarty, Tymofiejowiczu, tam głowy nadstawiasz, furmani i koły okute wiozą z sobą i gwintówki...

— Dla was dorzucę rubla... ani kopiejki więcej!

— A moje ostatnie słowo: różowy bilet i dwa funty... teraz jak chcecie Tymofiejowiczu. —

Sybirak usiadł na powrót na swoim miejscu, zaczął coś w myślach rachować, kilka razy w głowę się poskrobał i rzekł w końcu:

— Trzeba widać przystać, choć dalibóg z moją krzywdą... co mam robić z wami?... byleście się tylko dobrze spisali i najmniej ze cztery tiuki ściągali.

— Zrobimy co będzie można; im więcej tem i dla nas lepiej... Teraz jeszcze tylko zadatek Tymofiejowiczu na jeden tiuk i zapijemy ugodę!

— Zapijmy ją bez zadatku, przyjacielu! — rzekł Sybirak, dobywając drugiej flachy ze swojej kieszeni — Wódka czy szczona, jakiej dawnoście nie pili...

— Bez zadatku ja ust w niej nie umoczę, choćby z wino-

gron była pędzoną i z za morza przywiezioną — odparł Jefrem stanowczo.

— Ej, jakżeż ty uparty, mój bracie!... zrób naprzód robotę, a pieniądze dostaniesz... nie uciekną!

— Przecież nie pierwszy raz zawieracie takie umowy, Tymofiejowiczu, wiecie, że taki zwyczaj... po cóż się targować?

— No, no... więc dam już siny bilet... ty więcej nie żądaj! —

Tu rozwiązał czambarzy, rospasał się, podjął poły armiaką i kozucha i rękę głęboko gdzieś w jakąś kieszeń spodni zapuścił.

— Daremnie nie trudzić się... bez różowego nie pojadę... taki zwyczaj! — mówił Jefrem.

— Gdybym był wiedział, żeś taki twardy, dalibóg byłbym tu nie przyszedł... teraz mi się już nie chce daremnie odchodzić... Bóg z tobą... masz oto dwa sine! —

I położył przed Jefremem dwa bilety po pięć rubli, które wyjął ze zwitka szmatek. Włóczęga oglądał je uważnie, porównał między sobą, do światła popatrzył, zatrzymał jeden, a drugi zwrócił Sybirakowi.

— Co takiego? — zapytał tenże skwapliwie — nie dobry?

— Falszywy!.. — odparł Jefrem. — My, Tymofiejowiczu na tych rzeczach się znamy... sami bywali w młodości majstrami... nas oszukać trudno.

— A!... to psawiara Fedko w kabaku mi ją wsunął... idąc tu, mieniałem tam różowy bilet... Przysięgam na kazańską Matkę Boską, że nie wiedziałem, iż fałszywy. Drugiego, patrz, nie mam nawet przy sobie. —

Tu rozwinął szmatkę zupełnie, a jej wnętrze okazało się rzeczywiście próżnem.

Jefrem oczywiście ani słowa temu nie wierzył, udał jednak, jakby był przekonany.

— Nic nie szkodzi, Tymofiejowiczu — rzekł — przywieziecie jutro... nie zapomnijcie tylko zaraz po powrocie Fedka dobrze przycisnąć do ściany, inaczej gotów się zaprzeczyć.

— A a a... co za szelma!.. mnie, kumę swego, tak chcieć oszukać! — białł Sybirak. — Szczęściem mam świadka; syn był przy mnie... Ty przyjacielu oddaj już i drugi, a to bestja gotów powiedzieć żem mu podmienił... ja tu ponoś mam jeszcze różowy, osobno zawinięty. —

To mówiąc dobył z innej kieszeni taki sam zwitek, jak poprzedni i trzymając go w zębach, zaczął przy świetle ogniska porównywać otrzymane napowrót od Jefrema banknoty.

— Żadną miarą bym nie rozeznał — mówił — jeden jak drugi!... Ha no, ty lepiej się znasz na tem widać — dodał, zawijając je w szmatki na powrót i chowając do kieszeni.

Różowy banknot okazał się prawdziwym i ugodę zapito,

poczem syn i ojciec wynieśli się z izbuszki. Wasyl i Jefrem wyprowadzili ich z wieloma niskimi ukłonami na dwór, stali tu, póki oba łyżw sobie do nóg nie przywiązali, podali im gwintówki, które były oparte o ścianę i pożegnali nakonieć jeszcze jednym niskim ukłonem. Sybiracy z wielką bystrością pomykali po stepie w kierunku głównej drogi, oglądając się z początku często po za siebie, jakby w obawie, żeby ich kto nie prześladował. Ostrożność ta jednak wypływała więcej z wrodzonej jakiejś podejrzliwości i przyzwyczajenia, jak z rzeczywistej w tym wypadku potrzeby.

— No... kuty twój Tymofiejowicz na wszystkie cztery, Wasylu — mówił Jefrem, wróciwszy do izbuszki. — Miałem z wieloma do czynienia; tak przebiegłych nie wielu spotykałem. Mnie, mnie starego włóczęgę chciał na banknocie oszukać... — zaśmiał się — a jak zręcznie się psia wiara znalazł potem; nie jeden pomyślałby, że prawdę mówił.

— Jak też wam Jefremie przyszło do głowy rozpatrywać banknoty? — zapytał nieśmiało Sasza, który podczas całej sceny z Sybirakiem, równie jak tatar i rusin, ani słowa nie przemówił, jakby wszyscy uznawali swoją wobec Jefrema i Wasyla niższość.

— Żal mi tylko, że się tak prędko zgodził... byłby dał pewnie rubli ze dwanaście od tiuka — mówił Jefrem, nie zważając na pochlebstwo Saszy, który jak mógł starał się przypodobać towarzyszom, odkąd postanowionem zostało, że i on weźmie udział w wyprawie. Rusinowi nawet, nad którym się ciągle znęcał, przestał docinać.

— Mnie się to tylko nie podoba, że on po herbatę z kummem swoim przyjedzie — wtrącił Wasyl — nie śmiałem sprzeciwiać się temu, aby się nie domyślił czego, ale bardzo mi się jakoś nie chce wtajemniczać tego Wasylewicza do naszych spraw.

— I ty mu wierzysz, że on ma wspólnika do herbaty? — zapytał Jefrem — ani słówka nie masz prawdy w tem, co o nim mówił... plółł oto, aby co wytargować... On by się związał ze spółnikiem, aby potem nie być pewnym siebie i obawiać się, aby go nie wydał!... tak głupim on nie jest. Możesz być zupełnie spokojnym; po herbatę przyjedzie tylko z synem, którego, widzisz, za młodu już uczy swego rzemiosła...

— Ja byłbym zdania — dorzucił rusin — aby o tomskiej wyprawie i jemu nic nie opowiadać... na co to się zdało?..

— Bez tego się nie obejdzie — odparł Wasyl — my się koniecznie musimy zabezpieczyć przed obławami, a bez niego nic w tej mierze nie zrobimy. Zresztą cóżbyśmy z koniem i sankami sprawnika zrobili, które nam koniecznie trzeba będzie zabrać?... gdzie ich ukryć?

— Jabym i po herbatę nie jeździł, lecz wprost do Tomska, a potem na obydwóch koniach do krasnojarskiej gubernji; tam ukrylibyśmy i siebie, i wszystko.

— No bratku! mało znasz Sybiraków — odparł Jefrem. Tymofiejowicz wywahał by nasz ślad, jak nie... pod ziemią by nas znalazł... dopędził by nawet, zanimbyśmy do Aczyńska dojechali, bo przecież dniem ze znakami na twarzy, ani ja, ani ty, ani Wasyl nie moglibyśmy się pokazywać na wielkiej drodze, musieliśmy jechać nocą... Droga jedna tylko; od furmanów łatwo by się dowiedział w którą stronę pojechaliśmy, a tych nie wyminiesz i nocą jadąc... Lepiej i bezpieczniejsze tak zrobić jak Wasyl radzi.

— Jak chcecie! — zakończył rusin.

Przy resztkach wódki rozmawiano jeszcze dość długo o przyszłej wyprawie, a popołudniu Wasyl, Sasza i tatar spać się położyli, aby sił nabrać do przebycia więcej jak stu wiorst, które ich dzieliły w prostej linii od Tomska. Podróż miała się odbyć oczywiście przez stepy na łyżwach.

Na trzeci dzień po opisanych wyżej zdarzeniach, o jakie siedemdziesiąt wiorst od znanej nam izbuszki, na stepie, kilka wiorst w stronie od głównego gościńca, który prowadził do Tomska, wszyscy pięciu włóczęgów byli zebrani w zaimce Pietrowa, o której Jefrem i Sybirak wspominali. Było to coś nakształt futora, z dachem i kominem nadeń wyprawczonym, słowem domek mieszkalny, co się zowie. W koło otaczał go opłotek, w którego jednym węgle znajdowała się kryta szopa. Opodal stało kilka stert zboża. Wnętrze składało się z jedynej, nie wiele co od izbuszki obszerniejszej izby, której piec na pół rozwalony czwartą prawie część zajmował. Włóczęgi uprzątnęli byli trochę rumowiska, ustawili na środku stół, który znaleźli gdzieś w szopie i spore w kominie rozłożyli ognisko. Trudno w nich było teraz poznać niedawnych oberwusów, co nagie członki zaledwie łachmanami brudnymi okrywali.

Najprzyzwoiciej wyglądali Wasyl i Jefrem. Obaj siedzieli za stołem po pańsku ubrani; pierwszy w pięknych szopach, ciemnem suknem krytych, drugi w nowym prawie kożusku kazańskim, jakie zwykli nosić zimową porą urzędnicy i kupcy. Na głowach mieli czapki z gwiazdkami, co Jefremowi przy brodzie i długich włosach trochę dziwną nadawało postawę. Na szerokim zapiecku siedział rosparty tatar w kobiecej futro zawinięty; ręce grzał w zarękawku z wywiórek; głowę miał szalem kobiecym jak turbanem okrytą. Rusin był ubrany po mieszczańsku, w futerku pośredniem daleko od Jefremowego, lecz tego samego kroju; w szerokich aksamitnych spodniach, spływających na wysokie cholewy tak zwanych «kongurskich» juchtowych butów; w czerwonej, nowiusienkiej

koszuli i czapce, jakie noszą miejscy stangreci, co służą w dostatnich domach. Najkomiczniej wyglądał Sasza. Nowy «wicemundur» ze świecącymi guzikami, który miał na sobie, widocznie był za wielki i za szeroki na jego wzrost, ten sam niedostatek przedstawiały spodnie i kamizelka, w której kieszonce gubił się złoty łańcuszek od zegarka. Na głowie miał kaszkiet dobrze podszarpany i zatłuszczony z poczerniałą, ale widną jeszcze gwiazdką. U białej koszuli świeciła złota, kamykami wysadzana szpinka.

Jeden rzut oka na tę kompanią przekonywał, że wszyscy jej członkowie byli podochoceni. Rozmawiali głośno, wesoło; wybuchali często śmiechem, popijając ciągle herbatę z pięknych porcelanowych filiżanek, które, skoro się wypróżniały, Sasza napełniał z wielkiego do filiżanek podobnego czajnika, co stał na wielkim «tulskim» samowarze, umieszczonym w kącie izby na ławce. Nie zapominał on także tatara, który ciągle szeroko i głupowato był uśmiechnięty, i wielkie zielonawo-żółte zęby, których wierzchnie na dolne zachodziły, wyszczerzał, ilekroć reszta kompanji śmiała się z jakiego dowcipu na całe gardło. Na stole, obok srebrnej cukiernicy z takimiż szczypcami stała ogromna butla, około wiadra mieszcząca, w trzech trzecich częściach napełniona słodką, różową wódką, którą włóczęgi nie mniej często się raczyli, jak herbatą. Urząd podczasgo sprawował rusin, który także siedział za stołem i najrozumniej jeszcze ze wszystkich się zachował. Pił on też nierównie mniej od innych.

Sasza był w swoim żywiole. Twarz cała jaśniała mu niezwykłą jakąś radością oczy, co wystąpiły z dołków; jak gały, pełnem świeciły zadowoleniem; zawsze miał coś do czynienia, chwilki na miejscu nie usiedział, to za boczną kieszeń surduta się macał, to na zegarek, złoty cylinder, spoglądał i czapkę ciągle z jednego ucha na drugie przesuwiał. Często także zaglądał do miedzianego rądła na kominie, gdzie potężny kawał mięsiwa się smażył; świstał przytem i podskakiwał, klaszcząc palcami.

W swobodnym kącie izby stali jeden na drugim cztery tiuki herbaty, jakie zwykle przez Syberję do Rosji z Kiachty przywożą: owoc wyprawy nocnej Jefrema i Rusina. Koło nich leżały dwa tłumaki napchane bielizną, odzieniem, w największym jak widać nieładzie ułożonem. Stał tam także na ławce mały kuferek blachą obity i pstremi kwiatami obmalowany, jakich zwykle używają w Syberji, pełny srebrnych naczyń, jako to: lichtarzy, łyżek, tac, widelców i t. p. Były to obfite lupy z domu sprawnika tomskiego, jak i wszystko zresztą co włóczęgi mieli na sobie.

— Panowie! pieczeń gotowa... każecie podać?... już

pięć minut po dziewiątej... pora śniadania! — zawołał Sasza, patrząc na zegarek i przewracając mięso w rądłu.

— Podawaj!... ale nakryj wprzód do stołu... srebrne łyżki, noże i widelce! niech też i my raz w życiu po pańsku się pożywimy... — odpowiedział Wasyl zrzucając płaszcz z ramion.

— Słucham wielmożny panie! — rzekł Sasza, rękę do kaszkieta podnosząc i poskoczył do stojącego otworem kufierka, z którego wyjął, co potrzeba było i przed każdym na stół położył. Na srebrną tacę wyłożył potem pieczeń z rądła, podlał ją masłem obficie, z jednego z tłumoków dobył bochenka chleba i ukończywszy przygotowania w śmiesznych podskokach zbliżył się do zapieka.

— Wielmożna pani raczy zapewne także z nami się przysiąść do stołu... proszę... odprowadzę — rzekł do tatara, nisko mu się kłaniając. Na tego bardziej jak na innych trunek podzialał. Szerokie usta do śmiechu ułożył, nogi, ubrane w damskie futrzane trzewiki z pod siebie wyciągnął i komiczną utrzymując powagę dał się Saszy znieść z zapieka i potem do stołu odprowadzić. Na dziwaczne jego koperczaki i ukłony odpowiadał ciągle kiwaniem głowy i głupowatym uśmiechem, które miało naśladować mizdrzenie się kobiet.

Powodzenie z tych ludzi zrobiło istnych warjatów, przewróciło im w głowie zupełnie. Nawet stary, wytrawny Jefrem nie oparł się temu, lecz z innymi wespół blaźnował. Rusin tylko, jak już wspomnieliśmy, utrzymał się przy zwykłej swej powadze i ponurego czoła jakoś nie rozpogadzał. Czasem, kiedy wybuchy dobrego humoru jego towarzyszy stawały się zbyt warjackie i głupie i o zupełnym braku wszelkiego zdrowego rozsądku i zastanowienia świadczyły, rusin ścisnął ramionami i litościwie się jakoś uśmiechał.

Całe śniadanie przeszło śród najdziwniejszych blaźnów i wybrków najniesmaczniejszych, do jakich zdolni są tylko ludzie, co oswobodziwszy się z ciasnych pęt moralnej i fizycznej niewoli, popuszczają wodze wszystkim roskiełzanym złym nalogom, jakby w chwilowym ich rozpamięciu się szukali ulgi i zapomnienia długiego i ciężkiego ucisku, któremu podlegali; jakby ta chwila wyuzdanej swawoli i godność ludzką pod zwierzęce dostojeństwo uniżających praktyk, wynagrodzić ich miała nietylko za gorzką przeszłość, lecz także za smutną przyszłość, o której wiedzieli, że ich minąć nie może. Wasyl uduławał urzędnika z tytułem «wasze przewoschoditeľstwo», Jefrem innego z tytułem «wasze wysokorodie»; tatar przedstawiał żonę to jednego, to drugiego; Sasza był sekretarzem, kwartalnym nadziratелеm, zaszatielem i t. d.; Zachara robiono zawsze stangretem. Sasza zapro-

ponował był nawet przejazdkę po stepie z pieśniami, aby jak mówił, można było słusznie powiedzieć, że «gulali wo wsju Iwanowskiju» (wyraz moskiewski dla podobnego rodzaju orgji), i cała kompanja już się na to zgodziła; lecz Zachar sprzeciwił się wykonaniu tego zamiaru, odmawiając swego współudziału i zwracając uwagę towarzyszków na mocące z tego wyniknąć złe następstwa. Jefrem najpierw się zreflektował i zamiar nie przyszedł do wykonania. Zbyt uczciwa dodawać, że podczas uczty zaglądano często do butli i tylko słabości «nalewki», napoju dla kobiet właściwie sporządzonego, zawdzięczać należało, że się nie upili, jak moskale mówią, «do czertików» t. j. zupełnie zmysłów nie stracili. Były to zresztą głowy do mocnych trunków przyzwyczajone.

Zachar miał wiele tego dnia do zniesienia od Saszy, którego bezustannych docinków, kpin i podrzeźniań nie karcił już ani Jefrem ani Wasyl, owszem często sami z nich się śmiali, co młodemu urwiszowi jeszcze więcej animuszu dodawało. Nie zważał dziś jednak rusin na niego, puszczał wszystko mimo uszu i rozwagi, ani krwi zimnej nie tracił. Często gdy hałas w izbie stawał się wielkim, napominał towarzyszym gdzie się znajdują i wychodził na dwór dla przekonania się, czy czasem nie ma kogo blisko na stepie. Oba- wy jego jednak były zbyt słabe. Zaimka za daleko leżała od wioski, aby do niej ktokolwiek w tak srogi mróz zaglądał. Dla omłotu zaś zboża, które się znajdowało przy niej w stertach, jeszcze pora nie była nadeszła. Zachar odwiedzał także konie, które stały za domkiem w szopie i znosił im obficie niemłóconego owsa, wyciągając snopy z «owinu».

— No, bracia! dosyć na dzisiaj szaleństw... — przemówił Wasyl po śniadaniu, które przedłużało się z półtorej godziny. — Tymofiejowicza tylko co nie widać... z niektórymi rzeczami, mianowicie ze srebrem, trzeba się uprzątnąć, aby go nie kłuło w oczy... jeden, dwa kawałki trzeba mu dać, np. lichtarze... resztę w szopie ukryjemy... zabierzemy je z sobą do tamtej izbuszki... Potem podzielimy się pieniędzmi, których ja nie liczył jeszcze, ale których, jak miar- kuję, jest sporo.

— Po co nosić do szopy — zauważył Jefrem — Sybirak pewnie by je tam wyniuchał. Tu je ukryjmy w piwniczce; wehód do niej zarzucić można rumowiskami. —

Rada ta, pokazała się rozsądną, przystąpiono też natychmiast do jej wykonania. Przed kominem znajdował się otwór, zakryty deską, który prowadził do zwykłego w domach sybirskich schowku, «podpoljem» zwanego. Gospodyni latem nabiła tam chowaję i «kwas», który służy za napój, miasto wody. Kiedy po ustawieniu w niem kuferka otwór napowrót deską zasłonięto i tę ostatnią rumowiskiem z lekka

przysypano, można było być pewnym, że obce oko nie do- patrzy nie podejrzanego.

Po ukończeniu tej operacji i po przekonaniu się, że Tymofiejowicza nie widać jeszcze na stepie, usiedli wszyscy na- powrót do stołu, od którego Abdul wcale był nie wstawał. Znajdował się on w tem błogiem usposobieniu, dla którego oznaczenia Niemcy utworzyli doskonały wyraz «weinselig». Oczy mu się śmiały, twarz uśmiechu nie pozuchała, uśmiechem też na wszystkie odpowiadał pytania. Kolysał się przytem wierzechnią częścią ciała, jak gdyby ululać się chciał przy- jemnymi marzeniami, pod których nieustannym wpływem widocznie zostawał. Wasyl wyjął z kieszeni gruby pulares i rozłożywszy go zaczął z jego licznych kieszonek wyjmować banknoty.

— Same tęczowe, szare i z słupkami... nawet różowych nie ma... — rzekł, złożywszy na kupę sporą ilość sto, pięć- dziesięcio i dwudziestupięcio - rublowych assygnat. — Szelma sprawnik nagrabił dość przez lat sześć... bo już ci z pensji tego nie złożył. —

Saszy mało oczy nie wylaży na wierzch, z taką pożądl- wością patrzył na banknoty.

— Mam i ja tu mały pulares, który znalazłem w surducie sprawnika — mówił Jefrem, kładąc portmonetkę na stole — w nim zdaje się nie ma wiele.

Roztworzył, wyjął kilka pięcio i trzy-rublowych bankno- tów i położył je do pierwszych.

— A ty co tam masz? — zapytał Wasyl Saszę.

— Ja? ja pieniędzy nie znalazłem — odrzekł tenże — z toalety zabrałem tylko te oto pierścionki. —

Tu wyjął z kieszeni kamizelki kilka złotych obrączek i na stół je położył.

— No i szpilkę i zegarek — dodał potem nieco nie- pewnym głosem, widząc, że go Wasyl groźnie mierzy oczyma.

— Pieniądzy nie znalazłeś? — zapytał go tenże, powstrzy- mując widocznie wybuch gniewu.

— Dalibóg nie, Wasylu!... powiedziałbym przecie. —

Wasyla oczy zaiskrzyły się, mięśnie na twarzy zadrgały, krwią mu nabiegły lica i białki, skoczył, że mało stołu nie wywrócił, chwycił Saszę za garło i tak go ścisnął, że mu oczy zupełnie na wierzch wylażyły, a twarz naprzd czerwona się stała jak burak, a potem posiniała. Zaczął charczec i rzucać się... Wasyl popuścił trochę...

— Gadaj gdzie są imperjały, coś zabrał z toalety? — krzyknął piorunującym głosem i drugą ręką w twarz go tak uderzył, że mu krew z nosa i ust pociekła.

— Dam... dam... tylko puście Wasylu, na miłość Boga...

Tu drugi nastąpił policzek.

— Karau!... zabije mnie... — wrzeszczał Sasza, ręką skrwawioną usta obcierając.

— Zabiję... psia ci mać!... zabiję!... zaduszę! — wołał Wasyl bijąc w głowę kulakiem. —

Sasza już jęczał tylko.

— Wasylu!... dość będzie... puść go... on jeszcze nie uczony... ma dość na ten raz! — mitygował Jefrem, chwytając rękę Wasyla.

— Dawaj! — rzekł tenże do Saszy.

Z bocznej kieszeni surduta Sasza wyciągnął pekaty paciorkowy woreczek, przez którego dziurki przeglądało złoto i położył go na stół. Wasyl wypuścił go z swoich rąk.

— To ty, psia wiaro, puścił się na oszukaństwo towarzyszków?... — mówił do niego — to ty chciałeś sobie zatrzymać pieniądze, dobyte na wspólnej wyprawie... a wiesz ty, psia ci mać, że za to śmiercią karzą u nas? . Czyż my nie tak się narażali, jak ty?

— Przebaczenie Wasylu, przez miłość Boga... Jefremie, przemówcie za mną... — błagał Sasza, rękawem krew ocierając — ja myślałem że nie z tamtych pieniędzy nie dostanę...

— Teraz ci ani kopiejki nie dam, psi potomku, lecz byłbyś dostał swoją część, jak każdy. —

Sasza rzucił się do nóg Wasylowi, obejmował i Jefremowe kolana, ku rusinowi wzrok błagalny wznosił, modlił, płakał, zaklinał się, że naukę tę całe życie będzie pamiętał i wymógł wreszcie, że mu przebaczone. Obmył się potem i wrócił do stołu pokorny i skruszony. Wasyl tymczasem zły humor zapijał nalewką i rozśmiał się nawet w głos, spostrzegłszy wystraszone oblicze tatara, który nie mógł jeszcze przysiąc do siebie i skurczył się, jakby to on, nie Sasza był ciegą odebrał.

— No, dziękuj Bogu, Sasza, że się na tem skończyło — mówił Jefrem, podając młodemu towarzyszkowi szklankę nalewki — powinienś być życiem przepłacić twoje szelmstwo. Na Sybirze nie to, co w Petersburgu... tu bratku z towarzyszami trzeba być rzetelnym... nas ludzie biją, przesładują, zabijają, co będzie, jeżeli wzajemnie jeszcze zdradzać się będziemy? Wiesz ty, że ja już kilkanaście lat włóczę się tędy i mnóstwo miałem towarzyszków, z którymi nie jedną wyprawę robiliśmy, a ciebie drugiego dopiero widzę takiego szelmę?... ale popamiętasz, zdaje się, dzień dzisiejszy... pysk ci spuchł jak dynia! —

Sasza milczał oczy na dół spuściwszy.

— Jest wszystkiego dwanaście tysięcy trzysta sześćdziesiąt trzy ruble i sto dwadzieścia półimperjałów... trzy razy

tyle, jakem myślał... — rzekł Wasyl, który pieniądze rachował, podezas gdy Jefrem mówił.

— Od przybytku głowa nie boli — wtrącił Zachar.

— Jest nas trzech katorżników i dwóch posiedleńców... katorżnikom w dwoje tyle przypada, co posiedleńcom, więc Saszy i Abdulowi po 1540 rubli i 15 półimperjałów, nam trzem po 3080 rubli i 30 półimperjałów... Liczcie... —

I przysunął każdemu należącą mu się wedle tego obrahunku sumę.

— A zegarek i pierścionki? — odważył się wtrącić Sasza.

— To już dla ciebie zostawimy za dzisiejsze cięgi... Srebro pójdzie do podziału, kiedy go sprzedamy... —

Urwisz skoczył z siedzenia i każdemu z osobna do nog się pokłonił — nawet rusinowi, który to z gogardliwą przyjął powagę.

Wszyscy pochowali pieniądze, jak daleko mogli, a Zachar wyszedł na dwór popatrzeć, czy nie zbliża się Sybirak. Widać go jeszcze nie było.

W izbie tymczasem wesoły humor wracał stopniowo; Sasza coraz bardziej nabierał otuchy, zwłaszcza że i towarzysze zdawali się nie pamiętać mu winy; Abdul zaś chrapał na przypiecku.

— A co, gdybyśmy tak nastraszyli Sybiraka i za urzędników koływańskich mu się przedstawili — rzekł Sasza, spoglądając na zegarek. — Już dwunasta blisko... nadejdzie niebawem... nacieszylibyśmy się...

— W rzeczy samej... wartoby... nie szkodzi się uśmieć trochę z niego — odparł Wasyl. — Czapki na oczy, kołnierze futer do góry... nie pozna bestja... struchleje. —

W tem koń zarżał w szopie.

— Aha, Tymofiejowicz blisko! — zawołał Zachar — koń jego poczuł go...

— Dalej więc!... prędzej... bierz paletot na siebie Sasza... ty Zacharze siadź na przypiecku i zakryj Abdula — mówił Wasyl, zawijając się w futro.

Jefrem szalem szyję podwijał i czapkę na oczy ściągnął. Sasza paletot zapiał i kołnierz do góry postawił... twarze ich mało co było widać. Zachar wybiegł co rychlej na dwór, a przekonawszy się, że się nie mylił, wrócił i zajął wskazane przez Wasyla miejsce na przypiecku tak, że wchodzący twarz jego z boku mógł tylko widzieć.

— Jefrem prawdę mówił — rzekł potem — Tymofiejowicz syna ma tylko przy sobie.

— Ho, ho! znam ja ich nieboże — odparł starzec — spółki Sybirak nie zawiera tak łatwo z równym sobie...

chyba, że sprawa bardzo niebezpieczna i w spółnikach spodziewa się mieć pomoc i podporę w razie potrzeby. —

Sybirak zbliżał się do futoru nie drogą, która doń z gościnka wiodła, lecz stepem. O kilkadziesiąt kroków jednak wypadło mu skierować się na tę ostatnią. Zamiast jednego, jak się spodziewał, ujrzał na niej kilka śladów sanek. Staął, rospatrywał bliżej.

— Coś tu nie tak... — rzekł do syna — widzę jeden ślad nie od naszych sanek... koń kuty... a jednak słyszałem rżenie naszego bułanka... muszą więc być tutaj... Zajdź-no Petia z tyłu do szopy i zobacz. —

Syn uczynił wedle roskazu i wrócił niebawem z wieścią, że stoją w szopie dwa konie i dwoje sań, jedno z nich miejskie, pańskie. Sybirak zadumał się.

— Lecz słyszałem także śmiechy w izbie! — dodał młodzieniec.

— Widać, coś oni więcej jeszcze musieli uchwycić, jak herbatę... Ha, no, pójdźmy... zabierzemy. —

I skierował się ku wrotkom ogrodzenia futoru. Obaj zdjęli z nóg łyżwy, gwintówki oparli o ścianę koło drzwi i weszli do wnętrza. Na widok urzędników Sybirak osłupiał z razu, rękę którą był podjął do przeżegnania się, na dół opuścił i po chwili, opamiętawszy się, chciał się nazad cofnąć.

— Zaczekajże trochę Jegorze Tymofiejowiczu! — przemówił Wasyl zmienionym głosem — zagrzej się przecież... a zresztą i kulów cztery herbaty czeka tu oto na ciebie — tu wskazał na nie — trzebaż je zabrać...

— A ty młodzieńcze, czegoż się tak ukrywasz za ojcem?... pójdź-no, pójdź bliżej... pozwól na siebie lepiej popatrzeć!... — mówił Sasza, przyskoczywszy w podrygach do młodego Sybiraka i za rękę go na środek izby przestraszonego ciągnąc.

— Co wy, co wy, wielmożny panie? — odparł Sybirak zupełnie już spokojny i uśmiechając się do Wasyla — jaka herbata?... Wyszliśmy z synem na polowanie, a zobaczywszy ślady na drożynie, gdzie ich o tej porze być nie zwykło, ciekawsi byli zobaczyć, co to jest. —

Złudzenie sybiraka było zupełne. Ubiór włóczęgów tak zmienił, że znający ich dobrze nawet przedtem nie byłby ich mógł poznać. A Tymofiejowicz widział ich tylko raz w ciemnej izbuszce osmolonych i obdartych. Z Wasylem zaś mówił we wsi, gdy tenże na zebranie tam był przyszedł, krótko i dorywczo.

— A... a... a! ciekawście byli poznać, co to jest... — prawil dalej Wasyl szyderczym tonem — o zerżnięciu więc dzisiejszej nocy czterech kuli herbaty ty nic nie wiesz?

— Ja, wielmożny panie?... my chwala Bogu mamy z czego żyć... i ludzie nas poważają, dziesiętnikiem nas oto ogół wybrał... wolne żarty wielmożny panie! my takimi sprawami nie zajmujemy się.

— Jakimże sposobem dwóch włóczęgów zastaliśmy tu z twoim koniem i twojemi saniami? — zapytał Jefrem.

— I odzianych w twoje «dachy» — dorzucił Wasyl.

Dacha, czyli jaga nazywa się futro jelenie lub psie, które sybiracy zimą narzucają jak płaszcz na resztę odzieży i które ma tę własność, że grzeje tak doskonale, iż w największy mróz odziany weń bezpiecznie może spać na dworze. Noszą oni je szerścią na wierzch.

— Mój koń, wielmożny panie? — odparł Sybirak nie zbity z tropu — to być nie może... jam go dwa dni temu przemienił z jakimś przejeżdżającym i mam na to świadka... a dachy ja nawet nigdy nie miałem... wielmożnych panów obelgano...

— Co ty psi synu nam tu będziesz gadał: obelgano! — krzyknął Sasza przystępując z pięściami do sybiraka, który cofnął się trochę. — Dwóch włóczęgów zeznało wszystko... dałeś im dziesięć rubli zadatku... resztę miałeś z sobą przynieść... zrewidujemy cię, zobaczymy... zresztą powiedzą ci to dzisiaj w Koływanii do ocz... tobie i twemu synal-kowi...

— Dwóch włóczęgów?... a!... teraz rozumiem... to zemsta wielmożny panie. Trzy dni temu wypędziłem ich z izbuszki mojej, gdzie się na zimę byli usadowili... dwóch poszło natychmiast, a trzech wyprosiło się jeszcze na dni kilka, póki mróz nie przejdzie... Mogę wielmożnych panów tam zaprowadzić; są tam jeszcze...

— Widzisz Tymofiejowiczu, jaki z ciebie podły człowiek! — rzekł z głośnym śmiechem Wasyl, odkrywając się — nic-byś sobie z tego nie robił, gdybyś wydał ludzi, co dla ciebie pracowali... aj podły... podły! —

Reszta włóczęgów wybuchała także głośnym śmiechem, dając się poznać sybirakom. Ci ze zdumieniem na nich patrzyli. Stary tylko przez chwilę; zaczął on bowiem wnet sam wtórować śmiechowi i siadając u stołu rzekł:

— No, z samego początku nastraszyłem się trochę... lecz po głosie was zaraz poznałem... tylko nie chciało mi się psuć wam uciechy... Ho ho ho! — dodał, oglądając po kolei włóczęgów, kule herbaty, tłumak, samowar i inne sprzęty, które stały jeszcze na stole — zuchy z was!... i konia, i sanki... skądże to, skądże taka zdobycz?

— Najprzód Tymofiejowiczu płacie za robotę — odparł Jefrem — wyłóście umówione trzydziści rubli... potem na-

pijemy się... butla jak widziacie spora... będzie czas do gawędy.

— Petia! — rzekł Sybirak do syna, który usiadł był koło niego i z nieminiejszą jak ojciec ciekawością wszystkiemu się przyglądał — dawaj pieniądze! tobie je dał Wasylewicz... sam przyjść nie mógł — dodał, zwracając się do włóczęgów.

— Ja... ja, ojcie — odparł tenże, jakając się — ja pokłknął je, kiedy ten oto — tu wskazał na Saszę — groził że nas będzie rewidować...

— Ach ty jakunia wania!... bodajże cię... otóż i żarty! — zawołał Sybirak.

Włóczęgi spojrzeli po sobie.

— Ty bratku dawaj pieniądze! — zawołał głos podnosząc Jefrem — inaczej herbaty i konia nie zobaczysz... i jeszcze co gorszego ci się może przytrafić.

Sybirak ponuro spojrział na starca; namarszczył czoło, brwi zeszyły mu się nad oczyma, twarz złowrogi przybrała wyraz. Wszystko to jednak trwało tylko sekund kilka.

— Otóż to tak! — rzekł śmiejąc się — wam z nami wolno żartować, nam nie!... no, niech was tam Bóg ma w swojej opiece... macie oto waszą zapłatę.

I wyłożył na stół, dobywszy z po za czambarów, trzy dziesięciorublowe banknoty.

— A wypadałoby, żebyście choć jedną różową odstąpili, kiedyście się przy tej sposobności sami tak pożywili — dodał, kiedy Jefrem chował pieniądze.

— Zapłata zapłata, Tymofiejowiczu — odparł tenże — umowa, wiecie, rzecz święta... a co do naszej zdobyczy, to wy z niej i tak największą część weźmiecie... konia, sanki tłumak ten oto z rzeczami...

— I patrzcie! to dwa srebrne lichtarze, które same warte są po sto rubli jeden — mówił Sasza, wyciągając wspomniane przedmioty z tłumaka.

Sybirak z chciwością wyciągnął po nie ręce. Ważył je, oglądał, wahał nawet, dźwięk dobywał nożykiem kieszonkowym, a oczy mu się iskrzyły z radości. Syn wszystkim jego ruchom natężonym towarzyszył wzrokiem i odzwierciedlał niejako na swej twarzy radość ojca.

— A nie będzie biedy za to? — zapytał Tymofiejowicz, nasyćwszy się widokiem srebra.

— Będą poszukiwania... oblawy... wielkie, Tymofiejowiczu! — odparł Wasyl — lecz wszystko zrobione tak, że końce w wodzie... śladu żadnego... nikt mówić nie będzie!

— A gdzieżeście to wszystko zdobyli?

— W Tomsku... u sprawnika.

Sybirak na równe podskoczył nogi.

— U sprawnika! — zawołał — tóż on całą gubernję poruszy... z pod ziemi dobędzie!

— On już nie nie zrobi... — odparł Jefrem.

— Ani on, ani jego żona, ani dzieci, ani kucharka ni stangret nawet — dorzucił Wasyl.

Sybirak zamyślił się.

— Będzie bieda... wielka bieda, chłopcy... — rzekł po chwili — dalibóg boję się tknąć tych rzeczy...

— Nie ma rady Tymofiejowiczu!... musicie bądź co bądź trzymać z nami... jeżeli nas wezmą, to i was bieda nie minie... a ukryć możecie i musicie. Zresztą zdobycz warta tego...

— Tak, tak... widzę, że nie ma co robić innego... wsadziliście mnie w błoto...

— Jakie tam błoto! a rozum od czego?

— A pieniędzyż dużo nabraliście?... z parę tysięcy pewnie... — pytał Tymofiejowicz dalej.

— Wszystkiego siedm dziesiąt rubli — odparł Jefrem — bestja wszystko, jak widać, w banku trzymał... Saszo! na-staw-no samowar; toć po robocie ucieszyć się trochę trzeba... — dodał, zwracając na inny przedmiot rozmowę.

Sybirak umilkł, i gdyby włóczęgi byli wówczas w stanie byli śledzić wyraz jego twarzy, byłiby niezawodnie poznali, że najmniejszej wiary nie przywiązywał do ostatniego twierdzenia Jefrema. Ale powodzenie i nalewka upoiły ich tak, że na takie drobnostki nie zwracali żadnej uwagi. Zachar tylko nie spuszczał wzroku z Sybiraka, i głową kręcił i mruczał coś do siebie, ile razy dostrzegł, że on z dziwną jakąś, nie dobrego nie wróżącą ciekawością włóczęgom się przygląda i potem się zamyśla.

Herbata i nalewka usunęły, jak się zdawało wszelkie kwasy między pojedynczymi członkami tej kompanji. Zapanaowały wesoly humor, serdeczność pewnego rodzaju, otwartość nawet. Sybirak kazał sobie opowiedzieć przygody ubiegłej nocy, na co włóczęgi chętnie się zgodzili. Jefrem miał opisać napad na obóz z herbatą, Wasyl morderstwo i rabunek w domu sprawnika.

Pierwszy tak zaczął.

— Na jakie trzy godziny przed północą przybyliśmy do jaru, w którym według twojej rady Tymofiejowiczu, mieliśmy napasać na obóz. Miejsce to znam dobrze z dawniejszych czasów. Nie ma lepszego do takiej roboty na całej przestrzeni od Aczyńska do Omska. Las... góra z jednej, góra z drugiej strony... na dwadzieścia wiorst w koło żadnej wioski... przytem zawsze wyboje na drodze, tak że męczarnią jest ten jar dla furmanów i koni. To też, ile ja tylko pamiętam, zrzynano tam z jakie dwadzieścia razy tiuki i stąd

boją się tego miejsca woźnice i mają się pilnie na baczności. Nie zatrzymaliśmy się więc tam długo... koniowi tylko odetchnąć dali i wódką się trochę pokrzepili. Potem wjechaliśmy na górę i stępą posuwaliśmy się dalej po płaszczynie. Niebawem doszedł nas z daleka brzęk dzwonek; przyspieszyliśmy więc biegu i o jakie sześć wiorst od jaru na gołym stepie spotkalimy przodowe sanie obozu. Długi był, że przejrzeć go nie mogliśmy. Księżyc świecił, i widać było daleko na okolo. Woźnice więc byli bezpieczni, spali po większej części na saniach zawinięci w «dachy». Ten co leżał na «przodowych», nie dostrzegł nas nawet i przepuścił, nie dawszy zwykłego okrzyku, którym oni nawoływać się zwykli, kiedy w nocy kogo spotkają na drodze. Koń twój, Tymofiejowiczu, złoto dla takiej wyprawy... musieliśmy, jak wiesz, zjechać z ubitej drogi, na której nie byłoby miejsca dla dwóch sań razem... rwał się tak prędko przez śnieg, że nie zapadał w nim nawet głęboko. Tak przepuściliśmy z trzydzieści sań, nie zwróciwszy żadnej na siebie uwagi. Tu zaczęto sobie podawać znaki hopkaniem, lecz że to było na gołym stepie i jasno prawie jak w dzień, to woźnice nie zlaźli z sań, a tak, leżąc i głowy nawet nie podnosząc, hopkali jeden do drugiego... mieli nas za ludzi wcale nieszkodliwych. Upatrzywszy chwilę, Zachar, który prawil koniem, przerznął sznury na jednych saniach, ja zaś zwałilem z nich dwa tiuki do naszej koszowy tak, że nikt tego nie dostrzegł. Przepuściwszy jeszcze kilkanaście sań, kiedy koniec obozu już widzieliśmy, Zachar znowu przerznął sznury. Tym razem jednak dostrzegł tego woźnica, który szedł przy ostatnich saniach, narobił krzyku i poskoczył czempredzej do swego siedzenia, gdzie była wetknięta pałka z żelazną, na łańcuszku wiszącą kulą. Nim ją jednak wyjął, nim drogę nam zastąpił, już drugie dwa tiuki ściągnąłem. Zachar cmoknął na konia. Ten kilkoma susami dotarł do końca obozu, dopadł bitej drogi i jak wiatr popędził po niej. Krzyki rozległy się na całej przestrzeni, któryś z woźniców wystrzelił nawet; nasz konik rwał jednak tak z kopyta, że niezadługo nic z obozu nie widzieliśmy ani słyszeli. Woźnice nawet nie próbowali nas doganiać wierzchem, jak to czasem w podobnych wypadkach robią, wypręglszy najlepsze konie i zatrzymawszy obóz w pochodzie. W godzinę potem byliśmy już tutaj, o północy zaś popasły konia, pojechaliśmy do Tomsku, i przybyli tam około drugiej godziny... Mówię ci, Tymofiejowiczu, koń twój wart złota... żaden inny nie byłby tyle wytrzymał, co on ubiegłej nocy...

— Ja nim zawsze dwieście wiorst bez popasu robię... — rzekł z niejaką dumą sybirak — pół roku temu dawano mi dwieście rubli za gołego, bez uprzęży... nie wziąłem!

— A w siodle nosi, jak w kołysec — dorzucił Petia, który przez cały ciąg opowiadania Jefremowego z tak natężoną słuchał uwagą, jakby każde słowo na wieki chciał sobie wpoić w pamięć. — Żaden koń z wioski naszej nigdy mu jeszcze nie dorównał, kiedy latem na pastwisku wyprowadzaliśmy gonitwy. —

Po Jefremie zaczął Wasyl swoje opowiadanie. Było ono straszne, okropne, jak zbrodnia, która mu służyła za przedmiot, i którą podówczas przeraził się był cały Sybir, do podobnych wypadków jednak przyzwyczajony. Wszystko, co mogła wymyślić najdziksza zemsta ku pastwieniu się nad swoją ofiarą, włóczęgi uczynili w domu sprawnika, który od kilku lat był dla nich postrachem. Wyciągnawszy z łóżka, związałi jego samego i żonę i zmusili do przypatrywania się męczarniom i kaźni dzieci, które za nogi przywieszali do pułapu, zatkawszy im usta, aby krzyczeć nie mogły. Sprawnikową, kobietę młodą, najsromotniejszym w obliczu męża poddali znieważeniom i na pół martwą na drzwiach sypialni powiesili. Nad sprawnikiem najdłużej się pastwili... O wszystkim opowiadał Wasyl z cynizmem, właściwym tego rodzaju, co on, zbrodniarzom, lubując się niejako w tych krwawych i brudnych wspomnieniach i często gardło nalewką odświeżając. Jefrem i Sasza, którzy mu w robocie pomagali, dodatkami niemniej cynicznymi, jak samo opowiadanie, uzupełniali jego powieść, której obaj Sybiracy słuchali z nadzwyczajną ciekawością. Rusin do rozmowy wcale się nie mieszał, obaj z Tatarzynem bowiem w krwawych scenach bezpośredniego nie brali udziału. Pilnowali oni wrót sprawnikowego domu, podczas gdy towarzysze ich krwawy sąd we wnętrzu jego odprowadzali...

Na dworze już dawno ściemniało. Języki rozmawiających coraz bardziej się płątały. Nalewka, choć słaba, spożyta w tak ogromnej ilości, nie zaniechała wywrzeć swego wpływu. Sybirak, który pił nie wiele, podniósł się z siedzenia i objawił zamiar odjazdu. Jefrem, zataczając się, powstał także i kazał Zacharowi sanie ładować.

— Dokąd-to, dokąd chcecie teraz jechać? — zapytał sybirak.

— Przecież nie zechcesz, Tymofiejowiczu, abyśmy tu zostali... i jutro do turmy się dostali — odparł Jefrem. — Jużci, pojedziem z tobą, do naszej izbuszki.

— To być nie może!.. tam się już pokazywać w żaden sposób nie możecie... Jutro skoro świt mój sąsiad jedzie tam zboże młócić... ujrzałby was niezawodnie, i konia z saniami sprawnika by zobaczył. Nocujcie tu; jutro do dnia przyjadę po was i odwiezę do innej dalszej izbuszki, gdzie zupełnie bezpiecznie będziecie mogli zimę przepędzić. Leży

ona w stepie, o pięćdziesiąt wiorst od naszej wioski... żywność wam będę co tydzień sam dowozić. Choćby i obławę nakazano zrobić, nikt by was tam nie szukał.

— Nocujmy tu, Jefremie! — wtrącił Wasyl — bezpieczniejsze... wygodniej...

— Lecz jeżeli nie przyjedziesz, Tymofiejowiczu, to... — rzekł Jefrem i pogroził sybirakowi palcem.

— Jakżeż nie mam przyjechać? — odrzekł tenże — przecież tu o mnie tyleż chodzi, co o was. Jeżeli wy bezpiecznie ukryci będziecie i mnie się nic nie stanie.

— Nie inaczej... pamiętaj o tem Tymofiejowiczu! — dorzucił Wasyl.

Wysłano Zachara zaprzadź konia, a Sybirak z synem wytaczali tymczasem kule herbaty z izby na dwór. Wynieśli także tłumak, który był dla nich przeznaczony. Sasza nałożył drew do komina i kiedy Sybirak wyjeżdżał, wszyscy prócz Zachara już na dobre chrapali.

Ten ostatni widocznie nie był zadowolony z postępowania swoich towarzyszy; pijaństwo, hulanka, swawola, do których ci po spełnieniu zbrodni wielki pociąg mieli i żadnej nie przedstawiali rękoma, że to później ustanie, wcale nie przypadały mu do gustu, zwłaszcza że bardzo łatwo wszystkich swobodę mogły na szwank narazić. Przytem i spółka z Sybirakiem, od której zawsze odradzał, nie dobrego wróżyć mu się nie zdawała. Wróciwszy więc do izby, usiadł przy ogniu i głęboko się zadumał. Ze dwie godziny już upłynęły od odjazdu sybiraków, on jeszcze siedział, ponuro w ogień patrząc i od czasu do czasu dorzucanemi drwami go sycąc.

W tem śród ciszy nocnej gdzieś daleko z nad stepu doszło uszu jego jakby rżenie konia, na co koń w szopie stojący głośnem odpowiedział fyrkaniem. Zachar, jakby w tem znalazł potwierdzenie jakichś swoich domysłów, skończył co rychłej na przypiecku, gdzie chrapał Tatar, zwinął czempredziej leżące tam zbyteczne części odzienia tak, żeby przedstawiały leżącego człowieka, okrył to wszystko kilimkiem, który z rzeczy sprawnika włóczęgi dla siebie byli zostawili i wybiegł co rychłej do szopy. Przeczucie go nie myliło. O kilkaset kroków na oświeconym bladem księżycy światłem stepie dostrzegł posuwających się powoli po głębokim śniegu sanek, w których poznał koszową Tymofiejowicza. Przy nich na łyżwach posuwały się dwie postacie, niezawodnie Tymofiejowicz z synem. Wracali oni nie tą, którą byli odjechali drogą. Że mieli jakiś przestępny zamiar, Zachar ani chwili nie wątpił. Kilka minut stał, oparłszy się na konia, jakby rozmyślał co robić.

— A co mi tam do nich! — rzekł potem sam do siebie, machnąwszy ręką — ja im nie kazałem upijać się do nie-

pamięci... choćbym ich zbudził, nie potrafili by się obrocić... niech się dzieje wola boża nad nimi... nie mieli oni miłosierdzia dla dzieci sprawnika... dla niewiniątek. —

To rzekłszy, chyłkiem wzdłuż opłotku powrócił znowu do izby i z gorączkową skwapliwością powyciągał wszystkim śpiącym towarzyszom pieniądze, których nie byli jeszcze poukrywali, jak to włóczęgi zwykle czynić umieją. Także ostrożnie jak przyszedł, wrócił potem do szopy i tam w słomie się ukrył.

Po chwili sanie zbliżyły się do futuru i zatrzymały na drożynie do wjazdu. Tymofiejowicz i Petia, oni to bowiem byli, zdjawszy łyżwy, wyjęli z koszowy gwintówki i milcząc je opatrzyli. Stary sybirak dobył nadto z pod siedzenia dwóch toporów i jeden z nich wręczył synowi.

— Zbliż się do okna, jak możesz ostrożnie — rzekł mu przytem — zobacz czy śpią... ogień widać dogorywa, więc żaden z nich nie czuwa... ale upewnij się nie szkodzi... Dasz mi znać cichem sykniciem. —

Petia pospieszył wykonać rozkaz ojca. Szyby były zamrożone, więc widzieć nic nie mógł. Odrzucił jedną z nich własnym oddechem, a kiedy się przekonał, że wszyscy włóczęgi w głębokim śnie pogrążeni, podał ojcu umówiony znak. Obaj potem ostrożnie, drzwi otworzywszy, weszli do wnętrza.

Zachar, który tego tylko czekał, z ukrycia co rychłej dopadł koszowy i zarzuciwszy na siebie jedną z leżących w niej dach, chwycił za lejce, cmoknął na konia, krzyknął na całe gardło: Ej, ej, gołubczyk! i popędził jak wiatr drożyną w kierunku wielkiego gościnea. Z izbuszki z krwawemi toporami wybiegli na dwór obaj sybiracy, wnet jednak przekonali się, że wszelkie prześladowanie byłoby daremne. Koszowa, koń i Zachar znikli im z oczu w kilka minut.

— Jakżeż ty psi synu patrzył, żeś nie dostrzegł, iż jednego brakuje? — zawołał gniewnie, głos tłumiąc, Tymofiejowicz.

— Nie łaj ojczel! pięciu ich jest i teraz w izbie... kto mógł wiedzieć, że mieli jeszcze jednego towarzysza? — odparł krnąbrnie Petia. — Chodźmy lepiej do chaty i skończmy z tymi, co na piecu... gotów się z nich który obudzić. Tego, który uciekł nie złowimy. —

Ojciec milcząc udał się za synem. Minęło z półgodziny nim obaj znowu na dwór wyszli z całym tłumokiem rzeczy, które zabrali włóczęgom, wśród sna pozabijanym. Wszystko to naładowali na sanie sprawnika, do których Petia zaprzęgał konia. Tymofiejowicz widocznie niezadowolony w ponurem milczeniu pomagał synowi. Gdy, wszystko już było gotowe wszedł jeszcze raz do izby, wyniósł stamtąd gorejące polano i pod dach je położył. Suche tarcice wnet się zajęły i pło-

mień zaczął się imać zębów, nie mogąc dla topniejącego śniegu rozszerzyć się po dachu.

W tem Petia, jakby coś przypominając, skoczył przez objęte już w części płomieniem drzwi do wnętrza. Ojciec, nie wiedząc czemu przypisać ten nierozsądny postępek syna, rzucił się był zrazu za nim; widząc jednak, że mu we wnętrzu chatki żadne nie grozi niebezpieczeństwo, zawołał tylko:

— Czego tam chcesz jeszcze, Petia?

— Do piwniczki zaglądnąć zapomnieliśmy! — odparł syn, odkrywając wniście do niej.

— Oni tam pewnie nie ukryli...

— Patrz ojcie! skrzyneczka... pełna srebra! — wołał syn, dobywając z pod podłogi kilku sprzętów srebrnych a potem i całej skrzyneczki.

Wybiegł ze wszystkim na dwór.

— Najmniej pud tego będzie! — zawołał, a oczy mu z radości świeciły. — Nie daremnie przynajmniej cztery dusze zgubiliśmy... opłaci się koń, koszowa i dachy!... Patrzno ojcie! —

Tymofiejowicz ochał i cmokał, każdy sprzęt oglądając i ważąc w rękę.

— Puda nie będzie — mówił — ale trzydzieści funtów niezawodnie... Psia wiara chachol nie zdołał tego z sobą zabrać, jak zabrał pewnie pieniądze. —

Chatka tymczasem gorzała; płomień coraz więcej ją obejmował i coraz wyżej śród dymu w powietrze się unosił. Smolny budulec obfitego mu dostarczał pożywienia. Zajął się wreszcie i dach, z którego śnieg po części się zsunął, po części zaś stopniał. Sybiryacy odprowadziwszy konia o kilkadziesiąt kroków i uwiązawszy go tam do brzozy, wrócili i grzali się w milczeniu przy ogniu. Wreszcie powała runęła na ciała ubitych, i czarny dym osobliwego zapachu słupem w powietrze dobywać się począł. Ojciec i syn powalili opalone ściany chatki na jedną kupę, przez co pożar stał się silniejszym. Odeszli dopiero z miejsca zbrodni, kiedy już tylko dogorywały głównie. Niebawem step stał się głuchym jak przed pożarem; księżyc skrył się za chmury, co z zachodu się zbliżały; śnieg zaczął padać; wiatr się podniósł, a z pojawieniem się dnia miejsce, gdzie stał futor, biały całun pokrywał, jak resztę stepu, tak, że niepodobna go było rozróżnić... Oczywiście, wszelkie poszukiwania za sprawcami napadu na dom sprawnika były daremnymi. Rusin dotarł szczęśliwie do kuźnieckiego okręgu na południe Syberji i tam, jak wielu zbiegów, znalazł przytulisko u tuziemców, którzy go chętnie udzielają tym, co się nie boją pracy...

*

Grudzień 1865.

Na tem miejscu w pierwotnym dzienniczku znajdowała się kilka stroniczek obejmująca opowieść o kazańskim epizodzie r. 1863, którą więzień odczytał w słuch swoim towarzyszom. Ponieważ jednak o tej sprawie uprzednio już uczynioną była pobieżna wzmianka, lepiej będzie podać w tłumaczeniu jej szczegółowy opis, sporządzony przez studenta kazańskiej wszechnicy Michała Elpidina, który w niej czynny brał udział i z górą dwa lata za to wymęczyl się pod śledztwem w więzieniu. Ogłosił on go był po ucieczce z kazańskiej turmy najprzód w «Kołokole» Hercena przy końcu r. 1865, później zaś w periodycznym piśmie: «Podpolnoje Słowo», które 1866 r. w Genewie wydawał. Może to posłużyć jako materiał do dziejów r. 1863.

*

Kazań w stanie oblężenia 1863—1865.*)

Na wiosnę 1863 r. rozeszła się po Kazaniu wieść, że w spaskim powiecie kazańskiej gubernji uwięziono kapitana Iwanickiego**). Drugiego dnia potem pochwycono studenta Zemanowa, a równocześnie z nim znikł student Glasson. W ślad za tem zaczęto w mieście opowiadać, że Kazań ogłoszony w stanie oblężenia. Były gubernator Koźłaninow rozkazał natychmiast uprzątnąć ławki w Woskresieńskiej ulicy, które się tam znajdowały dla przechodniów przy domach i sklepach. Pojawiły się także na scenie zielone, zardzewiałe działa, które dotąd stały schowane gdzieś pod gubernatorskim mieszkaniem. W ślusarniach zaczęto ostrzyć oficerskie pałasze, a ze wszystkich pobliskich miast ściągnięto żołnierzy do Kazania i kazano im spać w koszarach w pełnej zbroi. O dziewiątej godzinie wieczorem nie można było wychodzić z domu, jeżeli się nie chciał dostać w ręce patroli. Koźłaninow postawił koło swego pałacu na straży całą sotnię kozaków. Najrozmaitsze domysły z ust do ust krążyły: jedni mówili, że Polacy chcą w perzynę obrócić miasto; drudzy, że z Petersburga zamierza przybyć coś około trzydziestu zręcznych partyzantów i szturmem wziąć Kazań; trzeci nakoniec, że studenci usiłują podburzyć Tatarów, aby wraz z nimi wyróżnić miejskie władze, począwszy od gubernatora a kończąc na kwartalnym.***)

*) Forma i ton przeczący tego opowiadania tłumaczą się tem, że w porę, kiedy było ogłoszone, wielu jeszcze więźniów czekało wyroku w kazańskiej turmie.

**) Polak.

***) W każdym większym mieście Rosji znajduje się główny zarząd po-

Jednocześnie policja zaczęła tropić studentów Iwana Orłowa i Michała Elpidina.

— Więc potwierdził się wieść o Tatarach i studentach — mówili próżniacy.

W nocy z 1. na 2. maja mieszkanie urzędnika Pieńkowskiego*) zajęte zostało przez policję, złożoną z «prystawa» części, kwartalnego dozorca i policjantów.

— Wielu was tu mieszka? — było pierwsze pytanie.

— Trzech! — odpowiedziano.

— Czy wszyscyście bracia?

— Tak!

— A gdzie Elpidin?

— Któż go tam wie...

— Jakto? wszakże wczoraj ja sam go tu widziałem — rzekł kwartalny ze złe ukrytem niezadowoleniem.

— Tak, wczoraj był tu... dziś go nie ma...

— Czemużes pan wczoraj powiedział mi inne nazwisko?

— Osoba, nosząca je, była także u mnie, i ja myślał, że jej to nazwiska panu potrzeba. —

Odbyla się rewizja we wszystkich kątach i kufrach, a zabrawszy papiery i familijne listy, kazano starszemu Pieńkowskiemu iść za sobą.

— Na cóż ja wam potrzebny? — zapytał tenże.

— Pan ukrywasz Elpidina — odpowiedziała policja.

Najpociesniejszym to, że mieszkanie Pieńkowskiego otoczono dwunastoma żołnierzami, z których każdy miał spora wiązkę sznurów.

— Na co te sznury? — zapytał ktoś z widzów.

— Na wszelki wypadek... jakżeż z resztą obejść się bez nich? — odpowiedziano mu.

Policmejster oświadczył Pieńkowskiemu, że dotąd go nie wypuści, dokąd nie odszuka Elpidina. Następnego dnia po tych zdarzeniach mówią Elpidinowi, że nieszlachetnie dawać siedzieć w turmie Eug. Pieńkowskiemu, który do żadnych politycznych spraw się nie mieszał — po drugie szukają się być może dla jakichś wcale nieważnych rzeczy. Elpidin wysłuchawszy tego zdania udał się sam do policmejstra. Dodać tu należy, że dawniej już był on wysłany na wieś na czas nieograniczony, skąd niewolno mu było nigdzie wyjeżdżać. Prócz tego gubernator zakazał miejscowym władzom dopuszczać go do zajęć pedagogicznych i pozwalać mu zajmować jakiegokolwiek miejsce przy włościańskim urzędzie.

Zobaczwszy Elpidina, policmejster zganił wielce śmiałość,

licji, któremu przewodniczył policmejster. Miasto podzielone na części, każdej przewodniczył przystaw; w części znajdują się kwartaly, z których każdego dogląda kwartalny dozorca.

*) Moskal, syn protopopa.

z którą bez pozwolenia władzy przybył do Kazania. Zganiiony zauważył, że inaczej musiałby chyba z głodu umrzeć na wsi, gdzie mu nie wolno było zajmować się czemkolwiek.

— Pan chcesz umrzeć — przerwał policmejster — nie głodną śmiercią... a... a... — i pokazał na swoją szyję, nie dokończywszy zdania.

Trzeciego dnia potem tak Elpidina, jak E. Pieńkowskiego odwieziono do więzienia w Laiszewie na śledztwo, zaś trzy tygodnie po uwięzieniu starszego Pieńkowskiego zabrano i młodszego, studenta, w którego papierach znaleziono rękopis, zawierający coś w rodzaju odezwy do narodu, a jego ręką pisany.

Powód do uwięzienia Iwanickiego i Żemanowa podał Glasson. Poznajomili on się był jakoś z Iwanickim, przedstawił mu się jako człowiek liberalny i skarżył, że mu nikt nie dowierza, choć on na wszystko był gotów. Iwanicki nie chcąc obrazić młodzieńca, dał mu podejrzanym jakiś liścik z poleceniem, aby go wręczył Żemanowowi. Zamiast rąk Żemanowa, Glasson oddał list policji, która nauczyla go podać do gazet objawienie o zgubie pularesu z pieniędźmi, gdzie także znajdował się list wzmiankowany. W aktach urzędowych powiedziano, iż pulares Glassona znalazła na ulicy sama policja, z 50 rublami nawet. Dla pozorów uwięziono Glassona i wysłano natychmiast do Spaska pułkownika żandarmów Łarionowa, aby aresztował Iwanickiego. Miejscowe władze wiedziały, że tenże dla bezpieczeństwa brał zawsze z sobą do łóżka parę rewolwerów; lekając się więc katastrofy, posłały do jego mieszkania dowódcę bataljonu, którego Iwanicki bardzo poważał, aby tem łatwiej zwabić go z mieszkania na dwór, gdzie stał cały oddział żołnierzy. Iwanicki, usłyszawszy o trzeciej godzinie po północy, że się ktoś do drzwi dobija, chwycił zrazu za rewolwery, położył je wszakże natychmiast na bok, skoro poznał po głosie zanegego swego dowódcę. Ubrał się na prędce, wyszedł na dwór i został uwięziony. W jego papierach znaleziono jeden egzemplarz podrobionego manifestu*) i dwie drukowane broszury, noszące tytuł: «Swoboda i Niezawisłość». Odwieziono go do Petersburga, gdzie go równie jak i Żemanowa pytano, czy nie wiedzą oni czegokolwiek o istnieniu spisku w Kazaniu. Obaj odpowiedzieli, że o niczem podobnem nie słyszeli. Do ócz nie stawiano im nikogo z powodu wzmiankowanego pisma, lecz pytano o jego znaczenie. Iwanicki odpowiedział, że niejasna treść tego listu jest niczem innym, jak chęcią

*) Na podobieństwo manifestu z 19. lutego 1861. oswobodzającego włościan: rozumie się rewolucyjnej treści, t. j. pobudzającej wieśniaków do niezadowolenia, każąc im wierzyć, że car co innego rozkazał, urzędnicy zaś i panowie co innego wypełniają.

zmistifikowania uparcie narzucającego się Glassona. Potrzymawszy ich trzy tygodnie w petropawłowskiej twierdzy, odesłali do Kazania, rząd bowiem tymczasem pewniejsze już zebrał był dane.

Mieszkał w Wiatce, jako zesłany, moskiewskiej wszech-nicy student, Smoleński*), który, jak w aktach zapisano znajomy był z tamtejszym bibliotekarzem Krassowskim*). Pod ten czas roznieśli się była w mieście głupia jakaś plotka, w skutek której wiatcka policja poczuła się do obowiązku zrobienia rewizji u Krassowskiego. Znalaziono pakiet z broszurami, napis zaś na pakiecie był podobnym do pisma Smoleńskiego. Prócz tego znaleziono w papierach list kazańskiego studenta I. Krasnoperowa, adresowany do Krassowskiego, w którym zawartą była wiadomość, że niebawem do Wiatki ma przybyć «apostoł» Iwan Jakóbowicz, któremu trzeba przyjść ile możności w pomoc. Krasnoperowa uwięzili i odesłali do Wiatki, uwięziono także Krassowskiego i Smoleńskiego. Wiatckie władze doniosły do Kazania o treści listu Krasnoperowa, żądając, aby się starano dowiedzieć, czy nie wyjechał do Wiatki jaki Iwan Jakóbowicz i kto on taki. Równocześnie zaczęto polować na podejrzane osoby, szukając «apostola».

Zamiast tego ostatniego napotymano po wsiach gromadki wieśniaków, czytających odezwy. Aresztowali więc czytających i pytali, skąd mają taką zarzę. Wszędzie odpowiadano, że jakiś przejezdny wręczył im to pisemko, i że jako ludzie niepiśmienni zbrali się, aby je razem przeczytać i dowiedzieć się, co zawiera. Poszukiwania w wiatckiej i permskiej gubernji do niczego nie doprowadziły. W permskiej gubernji w jednej tylko wsi włościanie opisali, jak przejezdny wyglądał, lecz nie powiedzieli, iż on osobiście im dał odezwy; znaleźli oni je raczej w swoich domach pod obrazami. Tamże jeden isprawnik**) taką okazał gorliwość w poszukiwaniach, że na swój koszt najmował szpiegów, nie żądając od gubernatora zwrotu wydatków.

W Ochańsku, permskiej gubernji, mieszkał zesłany już dawniej seminarzysta Ponomarew, u którego Iwan Orłow, nazwany «apostolem» był i któremu wręczył kilka odezwy. Ponomarew udał się z niemi do mniemanego swego przyjaciela gorodniczego***), chcąc się go poradzić, jak je najlepiej rozprześcić. Ten wzięwszy odezwy, obiecał rzecz urządzić tak, że sami nie narażą się na żadne niebezpieczeństwo: nie umiejący czytać policjanci mieli zakazane pismo

*) Moskale.

**) Naczelnik powiatowej, wiejskiej policji.

***) Naczelnik powiatowego miasta.

roznieść po mieście. Ponomarew, pozbywszy się niebezpiecznego towaru, był spokojny. Gorodniczy jednak doniósł gubernatorowi, że dołączone odezwy swoją gorliwością zebrał w miasteczku, na którego ulicach jakoby miały być rozrzucone. Przed tem, nim doniósł gubernatorowi, radził się jeszcze isprawnika, który wprost nastawał na to, aby Ponomarewa aresztować: on jeden tu pod nadzorem policji i nikt inny, prócz niego nie mógł odezwy rozrzucać. Doniósł więc także isprawnik gubernatorowi. Wkrótce po tem ostatniem doniesieniu przysłano żandarmerji oficera, aby uwięzić Ponomarewa i wy badać. W policji przybywa do uwięzionego gorodniczy, mniemany przyjaciel, i uniewinnia się jak może za swój pośpiech z broszurami, zarazem zapytuje go, czy nie zostały w jego mieszkaniu jakie ważne papiery. Ponomarew zapewnił, że wszystkie spalone i dodał, że jeżeli sprawa weźmie kiepski obrot, on zwali winę na gorodniczego. Ten uczynił, jakby nie dosłyszał groźby i począł rozmawiać z Ponomarewem na sposób inkwizytorski. Uwięziony nie spostrzegł tych sidła i ciągnął dalej rozmowę w przekonaniu, iż świadków nie ma, gorodniczemu zaś w danym razie będzie można zaprzeczyć w oczy. W rozmowie wspominał także o Iwanie Jakóbowiczu Orłowie «apostole». Pół godziny później wołają Ponomarewa do śledztwa i pokazują mu protokół, sporządzony według niedawnego jego z gorodniczym rozmowy i podpisany przez isprawnika, oficera żandarmerji i jednego z członków miejskiego zarządu. Więzień był zdziwiony; ukazują mu więc drzwi przyległego pokoju, w którym ukryto świadków jego poufnej z gorodniczym konferencji. Takim to sposobem Permiacy dowiedzieli się o nazwisku «apostola» i byli odtąd przekonani, że nikt inny prócz I. Orłowa nie rozwoził odezwy. Dali też natychmiast znać o wszystkim do Kazania.

Polując w permskiej gubernji na I. Orłowa, spotkano się w miasteczku Ossie z podróżnymi: Stanisławem Krupskim, byłym studentem krakowskiej wszech-nicy, a r. 1861, czasu manifestacji, wysłanym z Warszawy na Sybir, skąd właśnie uciekał i Bałakszynem, studentem kazańskiej wszech-nicy, wysłanym także w r. 1861 z powodu uniwersyteckich nieporządków. Obydwoh przywieziono do Kazania w celu dowiedzenia się, czy nie mają jakichkolwiek stosunków z kazańcami. Po przeprowadzeniu śledztwa przekonano się, że stosunku żadnego nie mają, odesłano więc obydwóch na powrót: Krupskiego do katorgi — Bałakszyna niewiadomo dokąd.

W podobny sposób uwięzieni zostali w wiatckiej gubernji Mikołaj Orłow i seminarzysta Dernow. W przejeździe do Wiatki zatrzymali się byli w pewnej wiosce i dali tam

komuś jeden egzemplarz broszury. Prawdopodobnie dla tego, że nie było, takoby go mógł przeczytać, egzemplarz dostał się do rąk pisarza, nie zwykłego jednak, lecz isprawnikowego. Tak więc szukając I. Orłowa, uwięzili rzeczywiście Orłowa, ale nie tego. Jak Ponomarewa, tak M. Orłowa i Dernowa odwieźli do Wiatki.

Nakoniec oddawna szukanego Iwana Orłowa zatrzymali we wiosce leżącej o 20 wiorst od Kazania. Znaleźli przy nim nabity rewolwer i odesłali go do Wiatki. Wieśniak, u którego I. Orłow przebywał, nie małej doznał szkody przy rewizji w jego domu. «Prystaw» części i oficer żandarmerji bez ceremonji zburzyli mu dach i podłogę, szukając zakazanych broszur; oderwali nawet «ryzę»*) od prawosławnego obrazu, spodziewając się znaleźć tam tatarski pispek.

Student Biriukow, jadąc do domu, zajechał na noc do znajomego sobie popa, który z gościem zaczął spór jakiś teologiczny. Gdy jednak Biriukow okazał się silniejszym w teologii od popa, ten użył kulaków zamiast naukowych dowodów. Na nieszczęście i temi prawosławnymi argumentami został zwyciężony. Pozostawał jeden sposób wyjścia: donieść cokolwiek na Biriukowa, co też pop uczynił, dając znać władzy, jakoby Biriukow w domu jego bluźnił Bogu i czytał podburzające odezwy równie jemu samemu jak i wieśniakom. Biriukow został uwięziony; nie podejrzanego nie znaleziono przy nim. Permski gubernator, zamiast sądu — oddawać więźnia pod sąd nie było za co — zawyrokował na swoją rękę oddać Biriukowa w rekruty. Wszystko już było gotowem do wykonania tego wyroku, gdy nadeszła z Wiatki wiadomość o potrzebie wysłania więźnia tamże. Zamiast do żołnierskiej służby więc, odwieziono Biriukowa do Wiatki.

W tej samej gubernji jeden djakon do tego stopnia był przekonany o potrzebie propagandy między ludem, że sam pisał broszury i własne te utwory rozdawał włościanom. Uwięziono go wraz z innymi za rosprzestrzenianie swoich rękopisów, w których objaśniał, że rząd i księża lud oszukują i obdzierają, posadzono do turmy, długo trzymano w ciemnej celi, potem przeniesiono do smrodliwej piwnicy. Nie wytrzymał djakon barbarzyńskiego postępowania — zgasił przed rukiem w suchotach.

Porucznik Mroczek**), towarzysz Iwanickiego, przejeżdżając przez Niżni-Nowogród na wiosnę r. 1863 odwiedził oficera strzelców Michajłowa. Rozmawiając z nim o polskim powstaniu, powiedział mu, że ono i tu możebne i pytał go, czy wzięłby on w danym razie udział w takowem. Michajłow

*) Prawosławne obrazy świętych mają na sobie zwykle sukienkę z blachy złotej, srebrnej lub miedzianej. Ona to nazywa się «ryzą».
**) Polak.

odpowiedział, że może tylko bić się jako oficer z Turkami i wszelkim innym nieprzyjacielem, któryby Rosji objawił wojnę. W Moskwie Mroczek coś podobnego mówił pewnemu oficerowi głównego sztabu, którego uważał za swego towarzysza i przyjaciela. Ten poprosił Mroczkę, aby poczekał w mieszkaniu, udał się do policji. Mroczka odwieźli do III oddziału, a potrzebniejszy go tam około trzech tygodni, odesłali do Kazania.

We Wiatce tymczasem utworzono tak zwany oddział dla politycznych spraw. Śledczymi sędziami byli policmejster, «prystaw» części, oficer żandarmerji przysłany z Wilna i urzędnik gubernatorski. Więzieni w połowie maja 1863 r. byli następujący: student Krasnoperow, bibliotekarz Krasowski, Smoleński, Mikołaj Orłow i Dernow, Ponomarew, Iwan Orłow i Biriukow. Zaczęto badać. Z wyznań Krasnoperowa śledcza komisja niczego się nie dowiedziała, prócz entuzjastycznych wykrzykników w rodzaju, że on zawsze gotów stanąć po stronie uciśnionego ludu, że lud męczy się i cierpi z przyczyny nieobuzdanego despotyzmu. Jedno z zeznań zakończył nawet słowami: niech żyje demokratycznosocjalna republika rossyjska! O innych osobach zupełnie milczał. Według starego zwyczaju prowadzili go do łaźni, dawali jeść wieprzowiny, a wody odmawiali. Z zeznań Krasowskiego i Smoleńskiego także nie wiele się dowiedziano, chyba to, że jeden od drugiego mieli broszury. Mikołaj Orłow powiedział, iż odezwy otrzymał od Iw. Orłowa. Tego ostatniego zaczęto bić, targać w komisji i najrozmaitsze z nim robiono doświadczenia. Grożono szubienicą i rozstrzelaniem. Zrazu Iwan Orłow był stały. Potem pozwolili mu palić, częstowali podczas badań herbatą i wódką. Policmejster zawiózł go nawet raz do miejskiej łaźni, i tam mu zaproponował publiczną kobietę. Czy to pod wpływem moralnej, czy fizycznej pytki, Iwan Orłow nie wytrwał. Zeznał najprzód, że dawał Krasnoperowowi odezwy, a potem, i to najważniejsza, wskazał na 16-letniego młodzieńca Mittermana*) od którego jakoby sam je dostał. Oczywiście młodzieńca uwięzili i zawieźli do Wiatki. Wiktor Mitterman powiedział, że niczego nie pojmuje i o niczem nie wie. Tedy Orłow przyznał, że się omylił, wskazawszy młodszego zamiast starszego brata Rudolfa. Młodszego wypuszczono więc i przywieziono starszego Mittermana. Ten zapiera się z początku, jak może. Komisja namawia, grozi śmiercią za upor, obiecuje wolność jako niepełnoletniemu. Rudolf Mitterman zeznaje więc, że odezwy Orłowowi nie dawał, lecz że mu wręczył paczkę mani-

*) Niemiec z matki Polki.

festów i opisuje w dodatku następnie spisek, o którym rząd marzył i którego się u wszystkich dopytywał:

W mieszkaniach Sergiejewa i Polinowskiego*) odbywały się polityczne zebrania, na których projektowano powstanie w Kazaniu. Wojskowym działem miał zarządzać sztabkapitan Iwanicki; towarzyszyć jego Mroczek wziął na siebie obowiązek zyskiwania potrzebnych ludzi w innych miastach. Rudolf Mitterman powiedział także, że na ostatniem posiedzeniu byli obecni: Żemanow, Szerbakow, Polinowski, Sergiejew, Aliejew, Ławrski*) Biriukow i Iwan Orłow.

Tych z wymienionych, którzy jeszcze nie byli uwięzionymi, uwięziono i zaczęto badać, stawiając świadka do ócz. Mitterman dowiódł Orłowowi, że mu odezw nie dawał, na co tenże zgodził się, dodając, że manifesty spalił, zaś odezw dostał od jakiegoś Siatkowskiego, którego widywał w kawiarni. Sergiejew i Polinowski oświadczyli, że wspomniane przez Mittermana zebrania niczem innem nie były, jak towarzyskimi odwiedzinami. Więcej nad to śledcza komisja niczego się nie mogła dowiedzieć; pytania jej obracały się odtąd około gołosłownych zeznań. O nich jednakże dano znać do Petersburga, skąd nie zaniechano wysłać do Kazania najwyższej zatwierdzonej głównej śledczej dla politycznych spraw komisji. W ślad zaś za tem wszystkich uwięzionych w rozmaitych miejscach zwięziono do rezydencji tej komisji.

Areszty jeszcze się nie były skończyły. Fligel-adjutant pułkownik Naryszkin został wysłany do nadwołżańskich prowincji w celu pochwycenia na gorącym uczynku petersburskich studentów: Nowickiego, Majewskiego, Gościewicza i Olechnowca**). Jeden z isprawników samarskiej gubernji przystąpił do Nowickiego z piśtukami, domagając się paszportu. Nowicki, powiedziawszy swoje nazwisko, objaśnił że jest szlachcicem i że paszportu nie ma; dodał także, iż mogą sprawdzić jego twierdzenie i sądzić go według praw, lecz nie częstować go kulakami. Isprawnik, wskazując na stojącego obok Naryszkina, rzekł, że on nie sam tu, i tejże chwili kilkakrotnie uderzył go po twarzy. Całej tej piśtukowej rozprawie Naryszkin przypatrywał się, pokręcając wężem. Uwięzionych posadzili na aresztancką djętę, przetrzymawszy ich dwie doby bez wszelakiej strawy. Nowicki, mając 200 rubli przekonał dozorcę więzienia, że może mu dawać jeść po ludzku. Zaczęto mu więc przynosić rosół i mleko, a po miesiącu dozorca kazał sobie za ten obiad zapłacić 100 rubli. Więzień skarżył się potem na tak niezwykłą drożyznę przed najwyższą zatwierdzoną komisją, lecz daremnie. Nowicki, Ma-

jewski i Gościewicz zeznali w Penzie, dokąd ich zwieziono, iż dostali manifesty od nieznanego im Francuza, jakiegoś Hieronyma, z którym spotykali się w Moskwie. Po pierwotnych badaniach odesłano ich do Kazania; Naryszkina zaś, prawdopodobnie za odwagę, awansowano na generała i oddano mu zarząd kazańskiej gubernji w miejsce Koźłanina...

Takim sposobem stał się Kazań centralną turmą dla całej przywółzkiej krainy. Nie było w tem mieście wyższej władzy nad najwyższą zatwierdzoną komisję i Timaszewa. Skład komisji zaś był następujący: Główny inkwizytor, rzeczywisty tajny radca Żdanow, z gwiazdą ale bez zębów*); Anneński, niskiego wzrostu, siwy, z beczelnym wyrazem twarzy; pułkownik kozaków Słucki, zagorzały sławianofil, ustawicznie naperfumowany i udający współczucie dla więźniów; radca Prewłocki, człowiek bez chytrłości, lecz gotów każdego wylajac; Afanasieńko, urzędnik z ministerstwa sprawiedliwości, tłuszcutki i kraglutki, wreszcie pułkownik żandarmerji Łarionow, podobny bardziej do prostaka feldwebela, jak do pułkownika. Członkowie komisji postarali się nasamprzód o rozkoszne dla siebie mieszkanie, w którym odbywały się także badania. Wszystkie więzienia w Kazaniu były pełne: wojskowa turma, zwana hauptwachta, cywilna turma, policja, wszystkie pięć części; wszakże i tego było jeszcze mało dla pomieszczenia politycznych przestępców, wzięto więc cały jeden oddział w wojskowym szpitalu za miastem...

Zaczęto badania od Iwanickiego. Z początku ten zeznał, jak w III. oddziale w Petersburgu, że nie wie o żadnych projektach powstania. Mroczek postąpił zupełnie inaczej — przyczynił się on do większej liczby uwięzień. W jego to zeznaniach zjawiają się nazwiska Stankiewicza i Czerniaka**). Stankiewicz dowiedziawszy się o kazańskich aresztach, wyjechał z miasta w celu dostania się za granicę, zaś o Czerniaku rospuszczono wieść, że poległ. W skutek

*) Jegomości tego los późniejszy nie był do pozazdroszczenia. Wyślano go w r. 1865, zdaje nam się, do Symbirskiej dla zbadania sprawy pożarów, o które pomawiano Polaków, jak to już w niniejszych kartach wzmiankowaliśmy. Podpalaczy-polaków on nie wykrył, lecz wpadł na ślad organizacji urzędników policyjnych i gubernjalnych, którzy w spółce z podpalaczami moskalskimi pogorzelców mienie, roskradane podczas pożarów, sobie przywłaszczali. Nie mogąc na miejscu dla stawianych mu rozmaitych przeszkód dotrzeć do kłębka, postanowił śledztwo przenieść do Petersburga. Wystał więc więźniów do stolicy i sam z nimi z papierami pośpieszył. W Niżnym Nowogrodzie dognal go symbirski urzędnik, przywożąc z sobą jakiś, jakoby przez Żdanowa zapomniany ważny papier. Zjedli razem kolację — na drugi zaś dzień rano znaleziono tajnego radcę martwym w łóżku... Papierów, które wiozł z sobą, ani śladu — znikł też na zawsze i urzędnik symbirski...

**) Pierwszy Polak, drugi prawosławny z matki Polki. O nich w tomie I. już była wzmianka.

*) Moskale.

**) Polacy.

zeczna Mrocza uwięziono porucznika Michajłowa, rotnego dowódcę strzelców, który stał załogą w Niżnym-Nowogrodzie, i nauczyciela tantejszego gimnazjum p. Kapiczenko. Michajłow, kiedy mu postawiono Mrocza do ocz, powodując się zbyteczną ufnością, przyznał, że ten ostatni był u niego i rozprawiał o możliwości powstania, lecz że wszystko to on przyjął za żart, po czym też Mroczek go opuścił. Komisja bardzo się gniewała na Michajłowa, że on, jak prawemu oficerowi należało, nie doniósł natychmiast o tem. Więzień jednak odpowiedział, że pełniąc służbę rotnego dowódcy w czynnej armii, nie był obowiązany donosić, na to rząd posiada III oddział ze szpiegami.

— Moim obowiązkiem zaś — dodał — szabla! —

Kapiczenko zupełnie wyparł się rozmowy z Mroczkiem w mieszkaniu Michajłowa, co zresztą objaśniało się tem, że był krótkowidzącym i zapewne Mrocza nie dostrzegł. Komisja powiadała mu, że jako jurysta on bardzo dobrze wiedzieć powinien, na co się naraża, upierając na swoim.

— Dla tego to — odparł Kapiczenko — ja zeznaję, jak potrzeba, że prawo znam doskonale. —

Iwanicki nie długo wytrwał w milczeniu. Postawiono mu do ocz Mrocza, aby go przekonał. Lecz gdy Iwanicki nie przestawał świadkowi kłamu zadawać, komisja dostrzegłszy rozdrażnienia jego, zaczęła go obrażać dwuznacznymi napomknieniami o tchórzostwie. Tego było za wiele Iwanickiemu.

— Tak, tak! wszystko prawda, co na mnie powiedziano — zawołał z zapalczywością — jeżeli chcecie podpisać! śmierci ja się nie lękam!.. dusicie mnie... lecz proszę was, przędź... nie męczcie! —

Komisji tego tylko było potrzeba. Czempredziej podsunęto mu wszystkie papiery i zeznania Mrocza, które też podpisał. Potem poznał on swój błąd i chciał go naprawić cofnięciem podpisu, lecz że dla komisji to nie było wygodnem, więc nie dopuściła żadnych zmian w zeznaniach.

Na początku jesieni 1863 r. przywieziono do Kazania francuskiego obywatela (Kiniewicza*), zajmującego w Rosji posadę inżyniera przy kolei żelaznej, a że na imię mu było Zerom, więc komisja wzięła go za tego samego Hieronyma, który petersburskim studentom Nowickiemu i innym miał dawać manifesty. Nowicki i jego koledzy wcale nie poznali w Kiniewiczu swego Hieronyma; rozdający manifesty francuz miał według ich twierdzeń gęste włosy, a więzień, którego im do ocz postawiono, był łysy. Również i Kiniewicz utrzymywał, iż ani Nowickiego, ni innych nigdy w oczy nie

*) Syn polskiego wychodźcy z r. 1831.

widział i dla tego też im żadnych dawać nie mógł poleceń. Komisja dowiedziawszy się, że Kiniewicz posiada w Moskwie pomieszkanie i żonę, wysłała Anneńskowa dla zrobienia rewizji. Z tej wyprawy Anneński sam opowiadał następujący epizod:

— Pukam do drzwi, we wnętrzu pytają po francusku: jakiego diabła potrzebujecie tak późno? Ja wymówiłem się swoim obowiązkiem, a skoro otworzono drzwi, ktoś rzucił coś na mnie z szumem. Pokazało się potem, że francuska cisnęła na mnie swoją spodnicę, i to tak zręcznie, że gdym się chciał oswobodzić od pocisku, cały zaplątałem się w spodnicę... —

U żony Kiniewicza nie znaleziono nic podejrzanego, i komisja nie posiadała najmniejszych przeciw Kiniewiczowi dowodów.

Na tem skończyły się badania komisji; wina każdego z więzionych uwydatniła się bowiem dość jasno, mianowicie w następujący sposób:

Iwanicki mówił w gronie znajomych, że życzyłby sobie powstania.

Mroczek pragnął powstania i mówił o tem Michajłowowi.

Francuz Kiniewicz winien, że mu na imię Hieronym.

Stankiewicz mówił o powstaniu i uciekł z Kazania.

Polinowski, że w mieszkaniu jego Iwanicki i inni mówili o powstaniu.

Mitterman słyszał rozmowy o powstaniu i później doniósł o nich komisji.

Ławrski i Szerbakow rozmawiali o możliwości powstania.

Aliejew znajdował się tam, gdzie mówiono o powstaniu.

Biriukow rozmawiał z osobami, które mówiły o powstaniu i spierał się z popem o religję.

Sergiejew, że w jego mieszkaniu mówiono o powstaniu, i on, jako gospodarz domu z grzeczności milczeć nie mógł.

Zemanow był znajomy z Iwanickim.

Ponomarew winien, że odezwy oddał ochańskiemu go-rodnicznemu.

Iwan Orłow spalił podrobione manifesty, rozwoził odezwy i mówił o powstaniu.

Mik. Orłow i Dernow dali jeden egzemplarz odezwy komuś we wsi.

I. Krasnoperow rozmawiał z Iwanickim o powstaniu i napisał list o «apostole».

E. Krasnoperow dostał od I. Orłowa jeden egzemplarz odezwy, którą odczytał swoim towarzyszom jako rzecz ciekawą.

Nowicki rozprzestrzeniał manifesty w celu spotkania się ze śmiercią, ponieważ kochał jakąś pannę bez nadziei.

Majewski i Gościewicz rozdawali manifesty.

Olechnowicz nie rozprzestrzeniał manifestów, lecz miał je zaszyte w odzieniu.

Michajłow, wysłuchawszy propozycję Mrocza o powstaniu, powiedział mu, że mówi głupstwa.

Kapiczenko winien, że nie widział Mrocza u Michajłowa i nie mówił o powstaniu.

Elpidin był w Biednie po rozruchu w 1861 r. i rozdawał odezwy w 1863 r.

Eug. Pieńkowski winien, że mieszkał razem z Elpidinem.

Jan Pieńkowski miał rękopis rewolucyjnej treści jego ręką pisany.

S. Bułgakow rozdawał odezwy.

W. Bułgakow pokazywał swemu przyjacielowi w traktorni jeden egzemplarz odezwy.

Krassowski otrzymał list od I. Krasnoperowa.

Smoleński miał u siebie broszurę.

Z uwięzionych tu nie wszyscy wymienieni, ponieważ wielu było aresztowanych na krótko z przyczyny listów, w których znajdowały się ustępy, nie podobające się «ojcowskiemu» rządowi. Tak np. Kalinowski*) zesłany do Astrachanu, pisał do swoich znajomych w Petersburgu, że chociaż na wygnaniu, nie przestaje jednak robić swego. Za to uwięziono go, przywleczono do Kazania i stąd bez sądu odesłano do tobolskiej gubernji. Inny więzień jeszcze w r. 1862 pisał list, w którym wyrażał współczucie dla programu «Młodej Rosji» i za to aresztowali go w Lipcu 1863 r.

Wszystkie te wiadomości zebrała komisja jeszcze przed Październikiem 1863 r. a przesiadywała w Kazaniu do Stycznia 1864. Cóż ona robiła? zapytają ci, co nie mają pojęcia o śledztwach. Wieczorami chodziła grać w karty i równocześnie uspokajała publiczność, mówiąc, że przebywa w mieście nie w zamiarze wieszania obywateli, lecz wybawienia ich od rewolucyjnej zarazy. Żdanow zapewniał, że wydrze rewolucję z korzeniem, wyobrażając sobie, iż państwowe rany podobne do rądzki. Dniami przechadzała się po murach i zatrzuwała każdemu więźniowi byt swoją pieczołowitością...

Jeszcze we Wrześniu 1863 r. poufnie powiedziała pewna oficjalna osoba, że następca tronu niebawem się ożeni i będzie z tego powodu amnestja. Optymiści między więźniami zaczęli marzyć różowo o swobodzie, czystym powietrzu, mieszkaniu bez straży i o rzetelnej pracy. Nie dosnuli jeszcze tych mrzonek, gdy przez szczeliny drzwi turemnych doszedł

*) Polak.

ich słuch o tem, że komisja podzieliła wszystkich więźniów na cztery kategorie. Pierwszą miał sędzić sąd polowy, drugą wojenno-kryminalny, trzecią cywilno-kryminalny, z czwartą nakoniec miano postąpić administracyjnym czyli policyjnym sposobem. Większość więźniów nie wierzyła tej wieści, ponieważ wówczas badania nawet jeszcze nie były skończone zupełnie. Przyszłość jednak dowiodła, że była prawdziwą. Komisja naznaczywszy jeszcze przed końcem śledztwa, jak i dokąd kogo sprzątnąć, starała się uspakajać więźniów, mówiąc jednym na ucho: «nie wam nie będzie więcej, prócz wygnania» — drugim: «was wypuszczają na świeże powietrze».

Nakoniec niektórych wypuszczono z więzienia za poręką krewnych, jak obydwóch Pieńkowskich i Krassowskiego. Gdy jeden z Pieńkowskich zapytał, czy rychło go uwolnią, Zdanow odpowiedział:

— O, tak nagle nie można... najprzód przeprowadzimy pana do policji, potem do części, i tak powoli dopiero na swobodę... —

Tak też uczyniono.

W końcu Grudnia 1863 komisja kazała fotografować wszystkich więźniów — na pamiątkę — jak się wyraził Slucki. W Styczniu wreszcie oddała sprawę Timaszewowi i opuściła Kazan. Po jej wyjeździe więźniowie swobodniej odetchnęli, uwolnieni bowiem zostali od jej serdecznego udziału i nie słyszeli już więcej szeptów pod drzwiami. W tydzień potem pułkownik żandarmerji Łarionow powiedział Michajłowowi, że za trzy tygodnie odeszłą go na powrót do pułku i na tem się sprawa skończy. Michajłow temu wierzył. Kapiczenka wysłał na wygnanie do miasta Orłowa, wiatkiej gubernji, zaś W. Bułgakowa wypuścili za poręką.

Wkrótce potem przywieziono do Kazania Stankiewicza. Został on przypadkiem uwięziony na granicy Polski, jak podejrzana osobistość. Mianował się tamtejszym mieszczaninem, że jednak podobnego nie było w miejscu, posadzono go do turmy. Przesiedziawszy we więzieniu więcej jak pół roku i nie mając żadnych wiadomości o sprawie kazańskiej, przysnał się do swego imienia, poczem natychmiast został przewieziony do Kazania.

Timaszew naznaczył sąd wojenny. Zaczęły się na nowo badania, lecz już tylko dla formy. Dowiadywać się nie było czego, ponieważ najwyżej zatwierdzona komisja wszystko przygotowała, nawet na kategorie więźniów podzieliła, naznaczywszy kogo zabić, kogo wysłać do katorgi. Z sądu wojennego jeden tylko wypadek zwraca na siebie uwagę. Majewski zeznał przed sądem, że francuz, który mu wręczył manifesty z rewolwerem, radził ostrożnie obchodzić się

z orężem, ponieważ on sam ucierpiał za lekkomyślne obchodzenie się; na dowód tego pokazał Majewskiemu wielki szram na rękę, pochodzący od nieprzewidzianego wystrzału. Sąd wojenny natychmiast wyznaczył lekarzy-specjalistów dla sprawdzenia faktu. Oględziny mówiły na korzyść Kiniewicza, ponieważ lekarze blizny nie znaleźli. Wtedy to audytor zapewnił go, że za miesiąc najdalej będzie wolnym i roszą mu wydalic się za granicę. Kiniewicz, opierając się na oględzinach lekarskich, napisał list do swego konsula z prośbą, aby tenże zaprotestował przeciw nieuzasadnionemu uwięzieniu go. Timaszew rozdarł prośbę.

Jakżeż to z nami postąpi Timaszew? pytali się wzajemnie więźniowie. Jedni mniemali, że skazanych na śmierć wyszłą na 20 lat do katorgi; drudzy, że po ślubie carskiego syna wyjdzie manifest, przebaczący winy. I w samej rzeczy, jakżeż zabijać po wszystkich tych męczarniach i obelgach, które więźniowie przecierpieli w pobocznych komisjach i w głównej? Trzynastcie i pół miesiąca samotnego więzienia bez odwiedzin znajomych — wszystko to bez wątpienia będzie uważane jako łagodząca okoliczność. 14. Grudnia 1825 r. żadną miarą nie można porównać z naszą sprawą. Wtedy sprzysiężeni wystąpili na plac i bili się, a jednak Mikołaj tylko pięciu zamordował. Nie, Aleksander II. nie jest na tyle bezsumiennym, aby dusić jedynie za rozmowy... Tak rozumowali otumanieni więzieniem życiem mieszkańców więziennych cel sekretnych...

W tem roznieśła się wieść, że Jana Pieńkowskiego znowu uwięziono. Przyczyna powtórnego aresztu była następująca: senat, rospatrując sprawę Pieńkowskiego, zażądał z Kazania papierów, dotyczących Elpidina. Rozglądnawszy obie sprawy uznał, że niesłusznie jest oddawać obu więźniów pod cywilno-kryminalny sąd; według jego zdania wypadało ich sądzić wojennym sądem. Wybrał jednak środkową drogę: nie oddając Elpidina pod sąd wojenny, skazał Pieńkowskiego na zamknięcie do twierdzy na dwa lata i miesięcy ośm; dla tego też rozkazał ostatniego powtórnie uwięzić.

Okoliczność ta otrzeźwiła więźniów; zaczęli czekać gorszych rzeczy. Długo nikt z władców miejscowych nie odwiedzał turm. W tem ni stąd ni zowąd wołają francuza do pułkownika żandarmerji, który przyszedł do więziennego bióra. Nie zdziwiło by to było nikogo; dziwnem jednak wydało się to, że gdy bióro znajdowało się o dziesięć kroków od celi Kiniewicza, i te dziesięć kroków wypadało iść podwórzem więziennem, gdzie stała straż, towarzyszyło mu pięciu żołnierzy z bronią. Ta okoliczność — sądzili więźniowie — nie dobrego nie wróży. Łarionow przywiózł od Timaszewa pozwolenie napisania listu do krewnych we Francji, aby ci

czempredzej przysłali pieniędzy. A trzeba wiedzieć, że Kiniewicz cały miesiąc prosił tego pozwolenia, i że mu go zawsze pod rozmaitemi pozorami odmawiano. Odtąd nikt z urzędników nie przestępował progu więziennego.

W piątek przed Zielonemi świątkami*) o siódmej godzinie zrana ciasną więzienną ulicę napelnili żołnierze. Dowódca Czemerzin, oddawszy cichą komendę: do nogi broń! rozkazał opatrzyć kurki i pistony. Postawiwszy żołnierzy w półkole, udał się z dozorcą więzienia do cel. Nowicki, Olechnowiec, Majewski, Gościewicz i Iwan Orłow wyprowadzeni zostali z więzienia do środka półkole, poczem takowe zwarło się i cały oddział wolnym krokiem udał się do wojennej komisji, która odbywała posiedzenia tuż w twierdzy. Tam odczytano im wyrok wojennego sądu, skazujący ich na śmierć przez rozstrzelanie... mała pauza... Timaszew jednak zamienia śmierć na piętnastoletnią katorgę wszystkim, prócz Olechnowca, któremu naznacza lat dziesięć. Pięć trójków z żandarmami już czekało skazanych. Odziano ich w szare płaszcze z tuzami na plecach, Majewskiego okuto w kajdany i wyprawiono wszystkich w drogę, otoczywszy każdy ekwipaż przez miasto pięciu kozakami.

Tegoż samego dnia o godzinie czwartej z południa przybyło do turmy ośmiu żandarmów. Przed wieczorem Iwanickiego, Mrocza, Stankiewicza i Kiniewicza przeprowadzono do innej części więzienia, bliższej wychodowej bramy. Odebrano im wszystkie rzeczy, prócz materaców. Na noc posadzono z każdym po dwóch żandarmów. Noc była cicha i jasna; Timaszew lubował się muzyką; do świtu przed jego domem grała kapela.

Tej samej nocy w cywilnem więzieniu innego rodzaju były kłopoty. Dozorca, odwiedzając wszystkie kamery, zapytywał więźniów, którzy z nich żyćzy sobie zostać katem na pięć godzin; w nagrodę obiecywał trzy ruble i czerwoną koszulę. Wszyscy odwracali się od niego, domyślając, o co rzecz chodzi. Nakoniec po długich poszukiwaniach nadzorcy udało się znaleźć dwóch między włóczęgami.

W sobotę rano zjawił się ksiądz. Sprowadzono go z Samary; kazańskiemu bowiem, jako znajomemu Iwanickiego, nie chciano powierzyć ostatniej spowiedzi. Więzienie zostało otoczone wszelakiego rodzaju oddziałami trzebiącego ludu; byli tu i konni kozacy i żołnierze i żandarmi i srebrne i złote epolety. Wszyscy wystrojeni jak na paradę, ponieważ zebrano ich na carską uroczę. Tłumów nie wolno było wpuszczać do twierdzy, te przecież, rzekłbyś, z góry się zwaliły. Wszyscy czekali pojawienia się nieznajomych publi-

*) Maj 1864 starego stylu, 5. Czerwca według naszego kalendarza.

czności osób. Grobowe panowało milczenie. Na schodach więzienia dał się słyszeć sztuk i brzęk pałaszy żandarmów. Iwanicki, Mroczek, Stankiewicz i francuz Kiniewicz pokazali się na plac-formie. Szczególny karabiny... był to ostatni zaszczyt oddany oficerstwu. Kilka białych chustek powiało nad głowami tłumu w powietrzu. Iwanicki, Mroczek, Stankiewicz i francuz pocałowali się wzajemnie i siedli do karet, które komendant miał w pogotowiu; przy każdym dwóch żandarmów. Troje z tych silnych natur, stojąc w karetach rozmawiali i żartowali ze znajomymi, których dopatrzyć mogli w tłumie, co pochodowi towarzyszył. Kiniewicz nie mógł się lubować światem bożym nawet w ostatnich życia chwilach. Zamknięto go na glucho w ciemnej, żelazem obitej karcie. Jakżeż w rzeczy samej pokazać francuza jadącego pod pał, kiedy mu żadnych przeciw rosyjskiemu rządowi nie dowiedziono przestępstw?

Cała procesja, postępując wolnym krokiem, dobiegła na koniec Podłużnej Słobody, gdzie na ogromnej równinie można było dostrzedz czterech pałów i czterech jam. Skazanych wprowadzono do środka ustrojonego carré, aby po przykazaniu cara przeczytać im tam wolę Timaszewa.

— Za co wy mnie zabijacie? — zapytał francuz, wysłuchawszy wyroku, i dodał — wy podli nikczemnicy!

— Milczcie! — zawołał pułkownik Gral i natychmiast roszkał trębaczom grać żałobny marsz.

Iwanicki, Stankiewicz i Mroczek śmiejąc się, pobiegli na wyścigi wybierać pale. Kaci ręce im do nich przywiązywali. Iwanicki podczas tej roboty witał się zdala z przyjaciółmi.

— Mocniej ściągać! — zakomenderował zarządca rzezi Gral, wskazując na francuza.

Oddział żołnierzy już był gotów; Gral machnął białą chustką, potem feldwebel czerwoną, nastąpiła salwa... i głowy zabitych spuściły się na piersi, a ślad czerwony został na trawniku. W tłumie dało się słyszeć szlochanie...

O tej samej porze Timaszew u siebie w pałacu robił swoje... męczył piątą osobę. Cwierć godziny przed ruszeniem procesji przemocą zabrał z mieszkania narzeczoną Iwanickiego, pannę Tufajew i zamknął ją u siebie do pustej komnaty. Po zamordowaniu przyszedłszy do niej, rzekł:

— Bardzo rad jestem, żeś pani oswobodzona od tego podłego Iwanickiego... daj mi teraz swoją rączkę!

— Pańskie ręce we krwi! — ledwie zrozumiałym głosem odrzekła panna Tufajew i odwróciła się od kata.

Timaszew, jak skończony artysta, po krwawej uczcie dał bal, a kazańscy panowie z zadowoleniem tańczyli na nim i lubowali się muzyką.

Czwartego dnia po dokonaniu zabójstwa porucznikowi

Michajłowowi na tem samem podwórzu więziennem przeczytano wyrok, skazujący go na lat dziesięć do katorgi, za to « że nie doniósł na Mrocza ».

W Lipcu 1865 r., właśnie po upływie dwóch lat i dwóch miesięcy od dnia uwięzienia, Elpidinowi i Bułgakowowi*) przeczytano wyrok senatu, skazujący ich do katorgi, pierwszego za rozprzestrzenianie podburzających odezw i inne okoliczności, drugiego za samo rozprzestrzenianie.

Po upływie kilku miesięcy, na tem samem miejscu, gdzie zakopano czterech, rozstrzelany został Czerniak. Ponieważ wzięto go w Polsce, więc, jak mówią, między Murawiem i Siemiakinem, naczelnikiem kazańskiego wojennego okręgu zawiązał się gorący spór o prawo zabicia Czerniaka. Murawiew zasadzał swoje prawo na tem, że Czerniak wzięty w okręgu, w którym on gospodarzem; Siemiakin zaś wskazywał na bezpośredni związek Czerniaka z czterema zabitymi w jego okręgu. Siemiakin wziął górę w tym sporze i Czerniaka przywieziono do Kazania dla konfirmacji...

*

3. Grudnia, 1865.

Wczoraj popołudniu przeniesiono mnie do innej celi. Nikt nie uwierzy, jak wielce czasem można się przywiązać do więziennego swego pokoiku. Łzy mi do ocz nabiegły, kiedy mi żandarm oświadczył, że mam się udać za nim do innego numeru i kazał mi wszystko, co miałem, złożyć na łóżku, które w razie takiego przesiedlenia także wynoszą za więźniem. Żał mi było sąsiadów, żał podwórka, żał szczególnie rokosznych chwil, spędzanych na rozmowie z sąsiadami, których, chociaż z oblicza się nie znało, duszą i sercem jednak pokochało. Żandarm — nie był to antypatyczny Sergiej, zauszniak Łosiewa, lecz pocziwy, sympatyczny Filatów, tak łagodnej i znacznej powierzchowności, że skłonniejszym byleś uważać go za pocieszyciela, jak za strażnika — zauważał mój smutek i pocieszył mnie wiadomością, że numer na tym samym leży korytarzu i okno ma na to same podwórze wychodzące.

W rzeczy samej nowa moja cela jest ostatnią w tym rzędzie, w którym się dawniejsza znajduje, i rozumi się samo przez się, jak dwie krople wody do niej podobna. Okno celi kobiet widać z niej daleko lepiej, jak z tamtej, co mnie poniekąd wynagradza za stratę sąsiada, z którym mogłem wie-

*) Mieszczanin Łaiszewski. Będąc na Sybirze pisał prośby wieśniakom do wyższych władz, w których ci się skarżyli na bezprawia i t. p. Za to powtórnie wzięty do więzienia, skazany na 50 razów pletni czyli knuta i dalej gdzieś wysłany...

czorami rozmawiać przez pukanie. Tu pozbawionym będę, zdaje się, tej przyjemności, bo przyległa z lewej strony cela zajęta przez babę.

Na moje miejsce nikogo nie przeniesiono. Dla jakiejże przyczyny mnie stamtąd wytransportowano? Nieraz już w więzieniu zadawałem sobie to pytanie, i dalebóg odpowiedzi nań znaleźć nie mogłem. Wszak im to zupełnie wszystko jedno, w jakiej celi więzień siedzi — byle siedział... Czemu nigdy, zwłaszcza w początkach śledztwa, nie zostawiają go długo na jednym miejscu, lecz co dwa, trzy tygodnie przerzucają jak piłkę, jak mebel przemieszczają? Mieliby wiedzieć, jak dalece to drażni, rozstraja, niepokoiu nabawia więźnia, i miewa to jedynie dla tego czynić, że takie częste drażnienie i wypływające zeń skutki są im na rękę? Innego powodu niepodobna znaleźć, zwłaszcza kiedy nie idzie im o to, aby dać więźniowi zimny, wilgotny numer.

Olesia od niejakiego czasu zostawiają w pokoju; przeniesli go do lepszej celi, jak mnie zapewniał służący. Prawdopodobnie więc do mnie się teraz wezmą i pragną przygotować mnie sobie, zmiękczyć tem wstępem wprawieniem w niepokój... Przerachują się djabełnie...

Oczywiście, pierwszym mojem zajęciem było przypatrzeć się bliżej kobietom. Oddalenie za wielkie, abym je mógł rozglądać, jak należy. Dwie z nich, młode, zdają mi się być piękne... trzecia w podeszłym już wieku. A szczególnie też zrobiłem odkrycie. Dawniej już spostrzegłem, że jedna z młodych zawsze prawie siedzi przy oknie, nie mogłem jednak nigdy podpatrzeć, co robi, bo drzewo mi widok w dawniejszej celi zasłaniało. Dziś po dłuższej nieco obserwacji zdało mi się jakby komuś z przeciwka znaki dawała. Zrazu wziąłem to do siebie i odpowiedziałem kilkakrotnem skinieniem głowy, które jednak widocznie nawet zauważaniem nie było. Ergo, powiedziałem sobie, musi być inny jakiś sześcieliwiec, który doznaje tych względów. Któżby to takim był? Podemną jest komnata dla oficerów straży, okien jej nigdy nie otwierają. Koło mnie siedzi baba, która w żaden sposób z tą panienką w zażyłości być nie może. Zostaje więc tylko więzień-oficer, członek petersburskiej agencji rządu narodowego, który zajmuje celę pod babą; dla więźniów w dalszych celach bowiem okno kobiet zasłonięte drzewem i domkiem... Niebawem moja panna zaczęła waleczkiem od siatki uderzać po kracie w taki sposób, iż nie było dla mnie najmniejszego wątplenia, że prowadzi rozmowę telefoniczną. Niepodobna mi było oprzeć się pokusie podpatrzenia tej rozmowy, zwłaszcza że alfabet zdawał mi się być opartym na tych samych podstawach, których ja do pukania używałem. Usiadłem więc przy oknie i zacząłem pod-

patrywać. Spostrzeżono to i zaprzestano rozmowy... Czuję się trochę zawstydzony, ale ciekawość raz pobudzona natęczywie domagała się zaspokojenia. Umieściłem się więc przy oknie w taki sposób, aby widzieć nie będąc widzianym. Natychmiast też rozpoczęto znowu przerwana rozmowę. Dobre półgodziny upłynęło, nim pojąłem alfabet; był on nieco odmienny od mego. Oto, co tego dnia spisać mi się udało.

— Czy wiesz pewnie?

Tu nastąpił przestanek; prawdopodobnie zapytany dał odpowiedź, której ja widzieć nie mogłem.

— Daj Boże! zresztą ja na wszystko gotowa, choćby nawet do Nerczyńska... — telegrafowano dalej.

— Zdaje mi się, że ty im za nadto ufasz... oni obiecują wiele, lecz rzadko kiedy dotrzymują...

— Powtórz jeszcze raz ostatnie zdanie, nie zrozumiałam. Poglądnełam na okno sybiraka, bo mi się zdawało, że ten pędziwiatr znowu mnie szpieguje...

— Otóż piękny komplement dla mnie — pomyślałem. — Poczekajże mościa panno, na złość ci się do duszyczki zakradnę... do jego sprawy ty nie należysz, więc politycznych tajemnic z nim nie masz... a romansowe konszachciki wolno mi podpatrywać.

— Władziu mój, drogi mój Władziu! czemu o to pytasz? czyż mnie masz za dziecko? rzecz skończona... jam wiecznie twoja! możesz być tego pewnym.

— Nikt w świecie mi nie może przeszkodzić pojechać za tobą choćby na koniec świata... jestem pełnoletnią, a paszport na Sybir z pewnością mi dadzą; o tem wątpić nawet nie można.

— Nie wiem z pewnością; myślę jednak że dłużej jak do nowego roku to się nie pociągnie. Braci wyszłą zapewne... do Rosji, jak audytor obiecał... mnie puszcza na wolność... mam pewność; dziś otrzymałam tę wiadomość... kosztowało to grubo, coś do tysiąca rubli.

— Nie! nikt mi tego za złe nie weźmie... a ja też i małobym o to dbała. Jeżeli ci jednak tak bardzo o to idzie, możemy ślub wziąć przed wyjazdem... tego zabronić nie mogą.

— Bądź-że więc, proszę cię, spokojnym... we mnie ani w moich nie natrafisz trudności, jak cię kocham nie natrafisz; wieczną twą troską mnie i sobie tylko niepotrzebnych zgryzot przysparzasz... Ja nie mogę być wesołą i zadowoloną, widząc cię ustawicznie smutnym.

— Dobrze, Władziu, dobrze! bądź spokojny! —

Na tem się skończyła rozmowa. Więcej też ja wiedzieć nie potrzebowałem, aby uczynić wniosek, że się między dwoma oknami więziennymi prowadzi romans w całym tego słowa

znaczeniu, który najprawdopodobniej ślubem się skończy... Dotąd myślałem, że to tylko mnie się zdarzyło zakochać w więzieniu w dziewczynce, z którą przedtem nigdy w życiu nie rozmawiałem. Dziś widzę, że bywają na świecie jeszcze dziwniejsze od mego romanse. W rzeczy samej, jakiemuż powieściopisarzowi przysłoby do głowy posadzić bohatera i bohaterkę w więzieniu, w naprzeciw siebie leżących celach, z poza krat im kazać zapoznawać się, wdychać, prowadzić rozmowę na znaki, za pomocą niej uroczyste «kocham» wypowiadać, zapewnienia wiecznej miłości przysyłać i rzecz całą aż do ślubu doprowadzić? Nienaturalnego w tem nie masz wprawdzie; więzienie nie odejmuje młodemu człowiekowi usposobienia do zakochania się, owszem potęguje takowe. Jednak jeżeliby kto przedstawił coś podobnego w powieści, mianoby go za ekscentryka...

Miłość dalibóg zaraźliwa. O Marji dotąd bardzo mało myślałem, dziś cały dzień pełna nią dusza... Nawet pewność, że w Polsce, w domu, nie umniejsza tęsknoty za nią... O, ja zobaczę ją jeszcze raz w życiu! Inaczej mnie przecież nie mogą osądzić jak na posiedlenie; będzie to najsroższy wyrok, jaki mogą wydać za to, co wiedzą z moich przestępstw. A w Tobolsku łatwo mi będzie postarać się, aby mnie do Kurganu przeznaczono. Cóż wtedy szczęściu memu stanie na przeszkodzie?

Co stanie na przeszkodzie?... Ach biednym ja, biedny marzyciel!... nie dla mnie łatwiejszego, jak różowe przyszości tworzyć obrazy, które, niestety, tylekroć już w życiu mydłanami okazały się bańkami...

I smutek jakiś dziwny, niewytłumaczony mnie objął po tej uwadze; poczułem chętkę do pisania wierszów, a oto ulotny utwór, który wtedy z serca na papier popłynął.

Na móż bezbrzeżnych zdradliwe fale
I niezgłębioną odmetów toń,
Wypłynął majtek i ster zuchwale
Pochwycił w butną młodzieńczą dłoń.
Promiennym wzrokiem po niebie wodzi,
A niebo czyste, jak krystal fali,
Więc sprawi żagiel, więc pomknie łodzi
Odważnie, lotnie w nieznana dal...

«O tylko chylże, o prędzej tylko
«Łódeczko moja pomykaj stąd!
«Użyjmy życia — to życie chwilką,
«Przedłuż wrażeń je bystry prąd —
«Co znaczą wichry i straszne burze,
«Co w chmurach czarnych drzemiący grzmot?
«Nadziei słońce nam lśni tam w górze,
«I któż się waży nasz wstrzymać lot?»

I płasza łódka po wód głębiny,
Łagodny wietrzyk w jej żagiel dmie,
Ład w mglistej dali już nikt nie ginie,
A sternik marzy w rokosznym śnie...

Za długo marzył fal lekkim szmerem
Kołysan do snu na głębi móż:
Grzmot ryknął nagle... chce zwrócić sterem —
Zapóźno majtku, zapóźno już!

I ty daremnie gwiazdeczko mała
Z za czarnych błyskasz ku niemu chmur,
Ster prysnął w dłoń, łódź popekała —
Już mu rodzimych nie ujrzyć gór...
Patrz! wały kipią, mkną w zwartym tłumie,
Z nich każdy niesie dla majtka zgon,
A w grzmotów ryku, w wód dzikim szumie
Drży jego mrzonek pogrzebu dzwon...

5. Grudnia, 1865.

On Władysław, ona Karolcia... Bracia jej siedzą w ogólnym numerze, przerobionym z dawniejszego chóru, gdzie się kilkunastu więźniów mieści. Dziś przed południem jeden z nich rozmawiał z nią przez okno, które znajduje się za mojem, po nad murem, co z moją całą kąt tworzy i podwórze zamyka. Głos słyszałem z prawej strony, jakby nad sobą, i w rzeczy samej chór trochę wyżej leży od reszty cel. Nie było jej w oknie, kiedy ją wołał po imieniu. Po chwili pokazała się zapłakana.

— Czy dostałaś karteczki? — zapytał brat.

— Dostałam! — odpowiedziała, chustkę do ócz podnosząc.

— Nie płacz, nie płacz, Karolciu... tego się można było spodziewać... myśmy obaj radzi, że się to już raz skończyło... przy konfirmacji może co zbawia. —

Ona nic nie odpowiedziała.

— Nie stój tak długo przy oknie, żeby cię będą boleć, Karolciu! — zawołał inny głos z tego samego okna, poczem słyhać było, jak je zamykano.

Prozaiczna ta przestroga, która pochodziła od drugiego brata, wywołała uśmiech na moje usta i zdaje się, że panna Karolina to spostrzegła, bo z wyrzutem na mnie spojrziała i okno z niechęcią widoczną przytknęła. Wiedziałem, że jeżeli nie usunę się w głąb celi, nie doczekam się komentarza do niedawnej rozmowy, której nie rozumiałem, a którą wyrozumieć byłem ciekawy. Wreszcie też okno znowu odemknęto i panna Karolina, przekonawszy się, że nie podpatruje, zaczęła rozmawiać z swoim narzeczonym.

— Dziś obydwom moim braciom czytano wyrok sądu wojennego — telegrafowała — skazano ich na posiedlenie do Syberji z pozbawieniem wszystkich praw.

— Many nadzieję, że zbawia w audytorjacie, jak ci już mówiłam. Po konfirmacji wyroku i mnie wypuszczą. Pierwszem mojem staraniem będzie otrzymać pozwolenie od-

wiedzenia cię. Czy myślisz, że nie przeciw temu nie będą mieli?

— Temci lepiej!.. rozmówimy się... uradzimy, co i jak robić... potem pojedę do rodziców, objawię im nasze postanowienia i będę czekać spokojnie końca waszej sprawy.

— Ależ, na Boga, Władziu, miejże trochę więcej wiary we mnie... Tylekrotnie już cię błagałam, abys porzucił te wątpliwości, któremi siebie i mnie dręczysz, zawsze do nich wracasz... na co to?

— Nie lękaj się! jam nie płocha; raz coś postanowiwszy, odwieść się nie dam żadnymi przedstawieniami, ani radami.

— Jak chcesz... jeżeli sądzisz, że ten projekt na żadne trudności ze strony komisji nie natrafi, zgadzam się nań zupełnie. Wolę nawet towarzyszyć ci na Sybir, jako żona... zresztą najlepiej to ułożymy przy widzeniu się. —

Okno moje było zamknięte, ale furtka otwarta. Jakiejś dziwnej wesołości mnie ten projekt ślubu w więzieniu nabawił. Ząspiewałem krakowiaka w okamgnieniu skomponowanego tak, że go wszyscy więźniowie, którzy byli przy oknach, a zatem i panna Karolina słyszeć musiały.

U Bosaczek, u okienka
Siedział panicz młody,
Siedziała też tam panienska
Przedziwnej urody.

Oj siedzieli i wzdychali,
Rozmawiając wiele,
Aż się wreszcie pokochali,
I będzie wesele!

Ktoś, zdaje mi się że Borzęcki, parsknął śmiechem, i zaklaskał w dłonie. Panna Karolina uciekła w głąb swojej celi, okno zatrzęsawszy i już jej dzisiaj ani razu przy mnie nie widziałem. Cięży mi trochę na sumieniu ta psota... bo jakież prawo miałem do splaszania dwóch gruchających gołąbków?

24. Grudnia.

Długo nie zaglądałem do dzienniczka... nie do tego mi było... bo też w nielada w ciągu tego czasu znajdowałem się opalach, i zdaje się, że to potrwa jeszcze jakie kilka tygodni. Muszę wyznać, że w komisji zasiadają gracze, co się zowie. Na sławę, której używają, dalibóg zasłużyli. Ten, co dla słabości lub nieumiejętności ujadania się z nimi, wygada się z czego, o czem milczeć byłby powinien, nie tyle godzien, zaprawdę, wzgardy, jak ten podziwiania, co nie zważając na piekielne, szatańskie ich sposoby dobywania z więźniów tajemnic, utrzyma język za zębami. Brawo, brawo, panie Ło-

siew! nienawidzę cię z całej duszy, lecz muszę ci oddać sprawiedliwość, żeś śledczy sędzia, jakich mało... Ze mnie jednak nie wysledzisz niczego!

Na drugi dzień po owym niefortunnym krakowiaku, rano około godziny dziewiątej, zjawił się w mojej celi żandarm i kazał mi się ubrać. Był to Sergiej; nie chciałem mu zrobić przyjemności zbycia mnie niejasną odpowiedzią i nie pytałem, dokąd mnie zamierza zaprowadzić. Byłem zresztą przekonany, że mnie zaprowadzi do komisji. Milcząc zarzuciłem płaszcz mój sybirski na plecy i posunąłem się do drzwi.

— Niech pan weźmie czapkę i buty... pójdziemy do miasta! — rzekł, powstrzymując mnie.

— Butów innych, prócz tych podartych chodaków nie mam... za czapkę służy mi ta oto kapuza — odparłem.

Sergiej obejrzał chodaki, z których słoma i onuczki wylażyły, rzucił okiem na sybirski aresztancki małachaj, pokręcił głową i wyszedł drzwi zamknawszy.

— Do miasta? .. a tam po co? — zapytałem się zdziwiony. Niepokój mnie owładnął. — Czy przypadkiem nie sprowadzili oni kogo z okolicy, z której się być powiadam, aby mi do ócz postawić?... Tego dalibóg wcale bym sobie nie życzył... Ha, jeśli tak, będę stał przy swoim, i kwita... może też natrafie na pocziwego człowieka, który pojawiwszy, o co rzecz chodzi, przyzna mnie za znajomego... Ale po cóż do miasta?... w takim razie konfrontacja odbyłaby się w komisji... Nie nie rozumiem z tego... Gdyby mnie miano przeprowadzać do innego więzienia, kazano by mi zabrać manatki...

Nadeszedł znowu Sergiej.

— Proszę za mną! — rzekł mi.

— Czy mam zabrać z sobą rzeczy moje? — zapytałem.

— Nie potrzeba! wróćmy niezadługo — odpowiedział.

Poprowadził mnie krętymi korytarzami do furty, przed którą czekała doróżka. Siadł ze mną i kazał jechać woźnicy na jakąś ulicę i do jakiegoś domu, którego numer mu powiedział. Moje zdziwienie rosło; rozmaite przypuszczenia, jedno od drugiego dziwniejsze, snuły mi się po głowie, lecz udając jak najobojętniejszego, słowa nie przemówiłem do żandarma. Wjechaliśmy na ulicę, na której końcu ujrzałem kościół i przy nim bramę z galerją. Domyśliłem się, że to Ostra Brama i zdala już uchyliłem czapki. Kiedysmy podjechali bliżej, przeżegnałem się, nie przyglądając się jednak otoczeniu, choć wielką do tego czułem ochotę. Nie chciałem dać poznać po sobie, że mi miasto nieznajome.

— Czy pan znasz Wilnę? — zapytał Sergiej.

— Wilny nie znam, ale Wilno mi dobrze znajome — odparłem z przecinkiem.

— Ono się teraz nazywa Wilna!

— Dla nas Polaków zostanie zawsze Wilnem, choćbyście je stokroć przechrzcili. —

Sergiej ramionami ruszył. Powóz się zatrzymał przed domem, na którym przeczytałem napis po rosyjsku: Fotograf. — A... a! portretu im mego potrzeba! — pomyślałem — widocznie mają mnie za jakąś ważną figurę i sądzą, że rozesławszy fotografie, dobiorą się do mego prawdziwego nazwiska. Bardzo dobrze!... na im fałszywszej drodze się znajdują, tem lepiej dla mnie... —

Sergiej zaprowadził mnie w rzeczy samej do pracowni fotografa, który, jak widać, był już przygotowany na tę wizytę. Polak to był, czy moskal, nie wiem, bo ani jednym słowem się do mnie nie odezwał. Z kilku wyrazów przemówionych do Sergieja po moskiewsku nic w tej mierze wnioskować nie mogłem, nazwiska zaś na szyldzie nie było, albo ja też je przeoczyłem. Odfotografował mnie stojącego, co nie zabrało dziesięciu minut czasu; poczem wróciliśmy do więzienia.

Przypomniałszy sobie dawniejszy nie do przebaczenia błąd, w skutek którego udało się Siergiejowi wyszpiegować wrażenie, jakie na mnie wywarła rozmowa z Łosiewem, postanowiłem ile możliwości naprawić go przy tak dogodnej sposobności. Udałem więc przy powrocie do więzienia pewne zakłopotanie, a wróciwszy do celi, kiedy Sergiej drzwi za mną zamknął i według zwyczaju przez okienko mi się przypatrywał, ułożyłem twarz do wielkiego smutku, prawie do rozpacz, oczy rękami zakryłem i rzuciłem się na łóżce, oblicze w poduszce kryjąc.

— Niechaj się ucieszą, że są na dobrej drodze! — myślałem w duchu, puszczając cugle niemej radości.

Po obiedzie tegoż dnia zjawił się w mojej celi żandarm Filatow, towarzysz Sergieja, we wszystkim jak najzupełniejsze jego przeciwieństwo. O ile ten ostatni dla więźniów nieużyty, złośliwy, srogi, o tyle Filatow łaskawy, współczujący, dobry. Wprawdzie obowiązki swoje pełni on z akuratesnością człowieka, przywykłego od dawna do ślepego posłuszeństwa i niezdolny żadnego czynu, któryby się sprzeciwiał w czemkolwiek otrzymanym od zwierzchników instrukcją. Jednak sposób, w jaki wykonuje polecenia, dla więźniów często bardzo nieprzyjemne, sprawia, że mu ci tego żadną miarą za złe brać nie mogą. Słowa zdradzającego współczucie, on nigdy nie powie; wykroczyliby bowiem przeciw wyraźnym Łosiewa rozkazom; lecz z ócz mu łagodnych i pocziwych tyle go tryska, wyraz twarzy tak przytem dobry, ludzki, smutny, ubolewający, iż zdaje się, że jeśli serdecznie nie przeprosza tego, któremu zmuszony wyrządzić przykrość,

to tylko dla tego że mu nie wolno. Przeciwnie, kiedy mu się zdarzy przyjść do celi z jaką dla więźnia przyjemną nowiną, oblicze taką mu jaśnieje radością, jak gdyby mu się samemu coś wielce pomyślnego wydarzyło. Zresztą istna to chodząca prostota, szczerłość, pocziwość; prawdziwy fenomen wśród ludzi, z których się składa korpus moskiewskich żandarmów. Wielu z nich widziałem; podobnego Filatowowi żadnego. Ogólnie go też lubią i cenią u Bosacek.

Ze smutnej miny, z którą wszedł do mnie, poznałem nim jeszcze słowo przemówił, iż z niedobrą przychodzi wieścią. W rzeczy samej miał mnie do innej przeprowadzić celi, gdzie już nie miałem doznać ani jednej z tych przyjemności, których do onego czasu używałem i do których przywykłem niejako. Opuszczając mnie po przeprowadzeniu, rzekł: «Niech Bóg pana ma w swej opiece!» z tak stroskanym wyrazem na twarzy i z takim ubolewaniem w głosie, jakby mocno mnie żałował.

Cela istotnie była jedna z najsmutniejszych. Okno jej okratowane i w dubeltowe ramy opatrzone, a do tego szczególnie zamknięte, wychodziło na małe podwórko, które otaczał mur bardzo wysoki. Za nim, jak ze wszystkiego wypadło wnioskować, ciągnęła się jakaś głucha uliczka, prowadząca prawdopodobnie do innego jakiegoś klasztoru, którego wieżę kościelną widać było w dali. I na tem podwórzu stał strażnik; a prowadziły nań prócz tego drzwi z kuchni więziennej, z której wylewano pomyje i wszelkie nieczystości do znajdującego się niedaleko ścieku. Przerażający, nieznośny smród dobywał się z tego ostatniego ciagle, i zalatywał do celi każdym razem, kiedy otworzyłem furtkę dla odświeżenia powietrza. I światła też bardzo mało wpadało przez okno, z powodu wysokości blisko znajdującego się zewnętrznego muru. Taka tęsknica po dawniejszym moim pokoiku napadła mnie, kiedy rospatrzyłem się we wszystkich tych szczegółach nowego otoczenia, za musiałem twarz ukryć w poduszce, aby przypadkiem Sergiej nie dostrzegł łez moich. Płakałem, jak po stracie czegoś drogiego, choć w duszy złościłem się serdecznie i przykre sobie wymówki robiłem za to habskie, nerwowe usposobienie. I dziwna, mimo wszelkie usiłowania pozbycia się smutku, ten trwał przez całe pięć dni, podczas których w najzupełniejszym mnie zostawiono pokoju.

Słowa Filatowa: niech Bóg pana ma w swojej opiece, brzmiały mi ciągle w uszach ponuro jakoś, złowieszczo, grobowo. Okoliczność, że mnie przeprowadził z jednej celi do drugiej, nie mogła mu ich podyktować — mówiłem sobie. Najpewniej świadom był, że komisja zamierza ze mną coś niedobrego... Samotność, smutek, tęsknica sprawiły, że czekałem czegoś okropnego. Przy każdym większym ruchu

na korytarzu, przy każdym zbliżaniu się kroków do mojej celi, przy każdym jej drzwi otwieraniu krew mi z lica uciekała nazad do serca, które biło się wtedy, jak najęte. Próbowałem śmiać się z siebie; perswadowałem sobie, jakbym miał kogo innego przed sobą; dowodziłem, że takie usposobienie umysłu szkodę mi tylko przynieść może — nie nie pomagało. Zdaje mi się przecież, że siłą woli dokazałem przynajmniej tego, iż ani przed Sergiejem, ani dozorcą, który raz jedyny do mnie niespodziewanie zaglądnął, nie zdradziłem wewnętrznego swego stanu.

Spokój, w którym mnie zostawiono, trwał jak powiedziałem pięć dni. Była to cisza przed burzą. Piątego dnia pod wieczór, o zmroku, który w mojej celi większym był, jak gdzie indziej, przyszedł wreszcie do mnie jakiś oficer w płaszczu i kepi, którego nie zdjął z głowy i nie pozdrowiwszy ani słowem ni gestem, zapytał:

— Pan jesteś...? — tu nazwał moje przybrane nazwisko.

— Tak jest! — odpowiedziałem, podnosząc się z pościeli.

Nie wiem, gdzie się podziało moje niedawne trwożne usposobienie. Uczulem się po gburowatem i twardem przemówieniu gościa w posiadaniu całej mej siły, wszystkiej energii i odwagi. W piersiach rozlała się nagle niezwykła jakaś ochota do walki; serce biło się równo, spokojnie; myśl była jasna, swobodna; odzyskałem naraz zupełne i niepodzielne nad sobą panowanie. Chęć jakiegoś porażenia mnie, zaimponowania mi, która widocznie przebijiała się z postawy, miny i słów oficera, była krzysiwem, uderzającym o krzemień — i dobyła iskry. A może działo się ze mną to samo, co z żołnierzem pierwszy raz prowadzonym do boju, który mimowolnie drży i truchleje przed rozpoczęciem ognia, a nabiera odwagi i ożywia się po pierwszym działowym wystrzale.

— Przysłany tu jestem od komisji — mówił oficer dalej — dla sprawdzenia niektórych pańskich zeznań. Służę w czynnej armji i brałem udział w rozmaitych bitwach z buntownikami...

— Z powstańcami, chcesz pan powiedzieć! — przerwiałem.

Oficer spojrzał na mnie bystro, nie jednak nie odpowiedział na tę uwagę.

— Między innemi — ciągnął dalej — byłem także w bitwie z bandą Kozieli...

— Z oddziałem Kozieli — poprawiłem znowu.

— Miarkuj się pan! — zawołał surowo — masz zaszczyt stać przed oficerem wojsk cesarskich! używam nazw, jakie przystoją buntownikom!

— A ja panu powiem, że jeżeli nie przestaniesz obrażać mnie, który także miałem zaszczyt być w szeregach powstań-

ców, walczących za wolność, to więcej słowa jednego nie dobiedziesz ze mnie, choćbyś stał do jutra!

— Pan śmiałybyś?...

— Wszak pan nie jesteś członkiem komisji i pytanie jeszcze, czy masz prawo mnie badać...

— Jestem przez nią delegowany!

— Więc proszę się obchodzić ze mną, jak wszyscy jej członkowie. Dotąd mam dla nich tylko pochwały.

— Czy pan nie byłeś przypadkiem oficerem wojsk rosyjskich? — zapytał z nienacka.

— Nie panie, ani wojsk rosyjskich, ani polskich oficerem nie byłem. Służyłem jako szeregowiec, jak to w zeznaniach podałem — odparłem spokojnie, prosto mu patrząc w oczy, których ze mnie nie spuszczał.

— Więc proszę pana opisać mi w najdrobniejszych szczegółach ową bitwę, w której Koziello poległ.

— Najchętniej... opis jednak zajmie trochę czasu... zmęczysz się pan, stojąc... jeśli pozwolisz, usiądź mi na łóżku.

Oficer nie przyjął wprawdzie mego zaproszenia, zdjął jednak kepi, oparł się o stół, który stał przy oknie, i czekał, póki nie zaczęło opowiadania. Ja usiadłem sobie na łóżku, jak najwygodniej mogłem i jałem opisywać bitwę z najdrobniejszymi szczegółami. W drodze z Kazania na Syberję zdarzyło mi się mieć za towarzyszyów podróży kilkunastu powstańców, których w tejże bitwie wzięto do niewoli. Opowiadania ich utkwily mi doskonale w pamięci; nie obawiałem się więc tego egzaminu, wiedząc, że na moją wypadnie korzyść.

Oficer słuchał, nie przerywając. Uderzyło mnie, że uwaga jego nie była, jak człowieka, który w umyśle porównywał słowa opowiadacza z własnymi wspomnieniami. Taka praca maluje się zwykle na obliczu; zaś na jego twarzy wcale jej nie dostrzegałem. Ani potakiwał, ani przeczył, ni pytał żadnych nie dawał co do szczegółów, które najniezawodniej w świecie musiałyby się były nam odmiennie przedstawić, gdybyśmy obaj byli brali udział w opowiadaniem przeze mnie zdarzeniu. Okoliczność ta wzbudziła we mnie silne podejrzenie, że się tu musi ukrywać jakiś «kruczyk» moskiewski. A kiedy nadto na myśl mi przyszło, że pierwszego lepszego oficera z czynnej armji nie puszczono by samego do celi dla badania więźnia, lecz dano by mu za towarzysza, jeżeli nie członka komisji to przynajmniej dozorcę, lub też kazano by mu egzaminować mnie w sali posiedzeń przy całej komisji, ustala wszelka wątpliwość, że chciano mnie tylko wystawić na próbę, czy nie przelegnę się czasem tej kontroli i nie odstąpię od pierwotnych zeznań. Aby się zupełnie przekonać o tem, wtrąciłem do opowiadania parę szczegółów, które

wcale miejsca nie miały, a których nieprawdziwości on by musiał dostrzedz, gdyby był w bitwie czynny brał udział. Żadnej mi jednak nie zrobił uwagi; zaprzeczył tylko liczbie poległych moskali, o co się zresztą z nim wcale nie sprzeczałem. Zadał mi także, kiedy skończyłem, kilka pytań, dotyczących topografii miejscowości, liczby powstańców w oddziale, ilości poległych i ranionych po naszej stronie i opuścił celę, nie dawszy poznać po sobie, jakie wyniósł wrażenie z tych odwiedzin. Na mnie one jak najlepiej oddziaływały. Odżyłem. Spokój, w którym mnie tak długo zostawiano, trapić mnie zaczynał; pewność, że chwila stanowczej walki bliska, wróciła mi dawniejszą umysłu wesołość i sprężystość.

Przez trzy dni znowu komisja znaku o sobie nie dawała. Nic sobie jednak z tego nie robiłem, będąc pewnym swego. Na trzeci dzień, także pod wieczór, przysłano mi innego oficera, tym razem artylerzystę, wymuskanego, wyczesanego, franta, co się zowie — i co główna, wyszukanie grzecznego. Ten z innej już beczki zaczął. Mówił o serdecznym ubolewaniu; zapewniał o współczuciu; kazał mi patrzeć na wyłogi munduru, które miały dowodzić, że nie jest żandarmem; prosił mnie, abym mu ufał, jak wielu innych więźniów, którzy mu teraz są wdzięczni; oznajmił, że komisja domyśla się we mnie znacznego przestępstwa, i kłął się, iż jeśli tak jest, wszelkie moje wybiegi na nie się nie zdadzą; prosił, abym miał litość nad sobą, i nie odrzucał deski, którą mi kładzie przez przepaść, nad którą stoję, i wiele tym podobnych rzeczy przymilającym się szczebiotał głosem, wszystko to siedząc ze mną na łóżku, za rękę mnie trzymając i w oczy mi czule spoglądając. Oczywiście trzymałem się jak należało, co mi zresztą najmniej nie kosztowało wysileni, widząc na jak fałszywy się znajdują drodze. Okoliczność, że komisja ani przypuszcza, iżbym mógł uciec z Sybiru, dodała mi nawet tyle animuszu, że z prawdziwą werwą i wymową starałem się z mojej strony wpoić oficerowi przekonanie, iż zeznania, które kilkakrotnie spisałem jak najszczerszą są prawdą.

— Na dowód, że tak jest, jak mówię — powiedziałem mu — rozważ pan następującą okoliczność. Mój towarzysz jest człowiekiem prostym, na wybiegach mało się znajdującym, otwartym; gdyby się inaczej rzecz miała, jak podaliśmy, tak światłym i umiejętnym inkwizytorom, jak panowie, udałooby się było pewnie wszystką prawdę z niego wyciągnąć. Skoro to nie nastąpiło...

— A skądże pan wiesz, że to nie nastąpiło? — przerwał mi szybko.

— Panowie sami nie zaniechalibyście byli dać mi znać o tem — odparłem, uśmiechając się.

— Przyznam się panu, że nawet nie wiem, czy towarzysza jego badano — odpowiedział oficer po chwili namysłu.

— Jeżeli jeszcze nie, powinniście panowie to uczynić... Zapewniam, że się przekonacie, iż podejrzenia wasze co do mojej osoby są bezpodstawne. Prócz tego macie także fotografie; cóż łatwiejszego, jak rozesłać je po powiatach. Nie może być, aby mnie w którymkolwiek z nich nie poznano, gdybym znaczniejszą jaką odgrywał rolę.

— Jeżeliś pan był adjutantem przy którymkolwiek z dowódców, organizatorem, lub czymś podobnym, nie tak łatwo będzie pana poznać...

— Mogę panu na to dać tylko najuroczystsze zapewnienie, jak to już zresztą dziś kilkakroć uczynilem, że przypuszczenia takie są mylne.

Tu oficer zaczął mi recytować całą litanję nazwisk, należących, jak z kilku mogłem wnioskować, do ludzi, którzy uniknąć zdołali prześladowań moskiewskich, i pytał mnie przy każdym, czy je znam, pilnie mi przy tem w oczy patrząc. Nie potrzebuję dodawać, że i tę próbę wytrzymałem jak najlepiej. — Nie znam... słyszałem o nim, że był tym, a tym... czytałem w gazetach, że uciekł za granicę — były moje odpowiedzi, wygłaszane z jak największą otwartością, tak, żeby jak najmniej wątpliwości zostawało, że były prawdziwe, co jak mniemam tem lepiej mi się udało, ile że w rzeczy samej kłamać nie potrzebowałem.

Oficer opuścił mnie niezbyt zadowolony; wymógł jednak na mnie przyrzeczenie, że napiszę jeszcze raz ile można obszerne i dokładne, najdrobniejsze szczegóły zawierające zeznanie, z którego komisja mogłaby powziąć przekonanie o mojej prawdomówności. Z dawniejszych bowiem, jakoby dla tego że były kuse i chude, nabrać go nie mogła. Przypuszczałem, że chodzi im o to, czy też w tylu pisemnych opowiadaniach nie złapią mnie na jakiej sprzeczności, i dla tego to zgodziłem się bez wymówki na żądanie.

W kilka minut po odejściu inkwizytora, gdy leżałem na łóżku, radując się w duszy, że tak dobrze ślady ucieczki zatrzeć nam się udało, rozległ się w celi, jakby nademną, głos, który do grobowego zdawał mi się być podobnym:

— Winszuję ci! dzielnie się trzymałeś... brawo, brawo kolego! —

Skoczyłem na równe nogi, przeleknięty, zdumiony. Słyszałem słowa, jakby w celi pod powałą gdzieś były wyrzuczone. Przyszły mi na myśl duchy... lecz w tejsze chwili za nadto śmieszne mi się to wydało, abym mógł długo doń przywiązywać wagę.

— Hallucynacja! — rzekłem sobie, oglądając się w kolo — niezawodnie zdrzemnąłem mi się i przysniło mi się!

— Kolego! — dał się słyszeć tenże sam głos, ale ciszej, jak przedtem.

— Kto tu? — zawolałem, nie mogąc sobie zdać sprawy, skądby pochodził.

Nad piecem, który sięgał prawie do powały i dwie cele wraz ogrzewał, usłyszałem lekkie pukanie. Był to więc głos mego sąsiada. Przystawiłem coprędzej stół do tego miejsca i stanawszy na nim, ujrzałem znaczną dziurę w ścianie, która nad piecem była daleko cieńszą, jak gdzieindziej. Gzysm kaflowego pieca, dość wysoki, zasłaniał ją zupełnie, i dla tego to z początku nie mogłem sobie zdać sprawy, skąd głos pochodził.

— Słyszałem cały twój egzamin tak onegdajszy jak dzisiejszy — mówił sąsiad, kiedy mu pukaniem znać dałem, że się znajduję blisko niego — winszuję ci stałości i wytrwania. Obaż inkwizytorowie słyną za najbieglejszych w komisji. A widać podejrzują cię o coś wielkiego.

— Czy i onegdajszy inkwizytor jest członkiem komisji? — zapytałem.

— Jużci... nazywa się Juhan... dzisiejszy był Gogiel. Dzielnie, pięknie się trzymałeś!.. serce mi się radowało, słysząc twoje odpowiedzie... i mnie przybyło ducha i odwagi.

— Wierzaj mi, że tu zasługi z mej strony mało... mówiłem szczerą prawdę... łatwo się bronić, jeżeli cię o coś posadzają, co nie jest. —

Szmer na korytarzu zmusił nas do opuszczenia naszych stanowisk. Z początku podejrzewałem sąsiada o niedobre względem mnie zamiary; przypuszczałem, że go posadzono koło mnie, aby mnie zręcznie wybałał. Postanowiłem mieć się na ostrożności. Z dalszej z nim rozmowy przekonałem się przecież, że podejrzenie niesłuszne. Był on zamieszany do sprawy podpalaczy, lecz należał do innej grupy, jak Borzęcki i Świdziński. Sprawa jednak jego i towarzyszy była podobną jak dwie krople wody do sprawy tych ostatnich. Dwóch oczajduszów, jakiś wypędzony z miejsca organista i syn pocziwej i znacznej wdowy-obywatelki, utracjusz i urwisz ostatniego rządu, dali się namówić sprawnikowi oszmiańskiego powiatu do nędznej denuncjacji, w skutek której uwięziono około dwudziestu co najzacniejszych osób, co były pozostały jeszcze w powiecie po murawiewowskich razziach. Winy oczywiście ani śladu nie było, żaden się też nie przyznał; że zaś dwaj denuncjanci utrzymywali ciągle swoje i oskarżenia im w oczy powtarzali, uwięziono ich coś dziesiąty już miesiąc. Sprawa nawet miała pójść pod sąd wojenny. Nie ulegało wątpleniu, że intrygę osnuto w celu, aby wywieść i tę resztę uczciwych obywateli, którzy cudem jakimś od ogólnej ocalały katastrofy.

Wieczorem wyrzuciłem sobie nieuzasadnioną moją podejrliwość względem sąsiada, pocziwego jakiegoś młodzieńca, jak widać było z wszystkiego; lecz nieufność moja zbyt była zrozumiałą, aby mi długo i mocno mogła ciężać na sumieniu. Jak tu być otwartym w obec tak podłego i nikczemnego systemu badania więźniów, który kwitł w wileńskiej, a i we wszystkich moskiewskich komisjach śledczych? Więzień pragnący siebie i drugich uchwycić, był zagniony do udawania, kłamstwa, krętarstwa i t. p. nie tylko względem komisji, lecz względem całego otoczenia. Mochnacki w liście do referendarza stanu Hubego doskonale powiedział: «Nieprzyjaciela albo mocą wniwecz obrócić, albo jeżeli to niepodobna, podejść w każdym czasie i miejscu zdrowa polityka doradza». A Konrad Wallenrod, niemoralny w gruncie, w oczach ugniecionych nie może być czem innem, jak bohaterem.

Po napisaniu przyrzeczonych zeznań, które powiększyłem znacznie opisami rozmaitych szczegółów, powieziono mnie powtórnie do fotografa. Pierwszy portret nie udało się ponoć, jak tego pragnęła komisja. Tym razem towarzyszył mi dozorca, i zdjęto fotografią z twarzy i z profilu. Najlepsza dla mnie to, że gwoli tej przejażdżki kazano mi, na rachunek skarbu rozumi się, zrobić nowe, doskonałe buty. Nicbym dalibóg nie miał przeciw temu, gdyby dla otrzymania trzeciej, jeszcze doskonalszej fotografii ubrano mnie kosztem cara od stóp do głów przyzwoicie, po europejsku.

Kilka dni była znowu cichość. Pozawczoraj popołudniu przyszedł Sergiej po mnie, aby zaprowadzić do komisji. Prowadził mnie zupełnie inną drogą, jak dotąd. Przechodziliśmy przez długie, ciemne korytarze pierwszego piętra i dołu. Widocznie w przestankach byli ustawieni żołnierze lub żandarmi, którzy, skoro mimo przeszedłem, wołali na mnie rozmaitemi nazwiskami, ażali też na które z nich nie obrócić się. Byłbym to niezawodnie uczynił przy pierwszym, choć wcale nie było mojem, jedynie dla zadość uczynienia ciekawości, w jaką niezwykle to wołanie wprawić by mnie było musiało. Tym razem Sergiej jednak spudłował. Przechodząc mimo pierwszego żołnierza, dał mu znak ręką i oczyma, który zwrócił moją uwagę na siebie. Podstęp stał się dla mnie jasnym, skoro natychmiast potem usłyszałem wymówione po za sobą jedno z tych nazwisk, których litanję recytował mi był Gogiel. Sergiej nie spuszczał oka ze mnie, ja zaś szedłem, jakbym nie słyszał był zupełnie wołania. Nimeśmy przybyli do przedpokoju sali komisyjnej powtórzyła się ta komedia cztery razy, zawsze z jednakowym skutkiem.

W sali znajdowali się tylko Gogiel i ten członek, który mnie pierwszy był odwiedził, i któremu, jak mi wtedy mówił, była moja sprawa poruczoną. Gogiel wyszedł natychmiast

do żandarma, pozostali oficer zaś, przywitawszy mnie grzecznie, prosił siedzieć.

— Zeznania pańskie najświętsze czytaliśmy — rzekł mi — są one obszerniejsze od poprzednich, lecz dzielą z niemi dawniejszy niedostatek, t. j. przekonać nas nie mogą...

— Panie! — odparłem — w tem prawdziwie nie moja wina. Pisać je, niczego tak nie pragnąłem, jak przekonać świetną komisję... leży to przecież w moim interesie. —

Wrócił z przedpokoju Gogiel i zapewne za plecami moimi zrobił jakiś znak swemu koledze, bo tenże długo nań patrzył. Zachowałem się oczywiście, jakbym tego wcale nie widział.

— Tak tak... niezawodnie... w pańskim interesie, i tenby mógł bardzo dobrze stanąć, gdybyś pan chciał być więcej otwartym — prawil mój inkwizytor dalej.

— Czyż można być więcej otwartym odemnie? Wzięto mnie, nie wiedząc najmniejszej rzeczy o mojej przeszłości. Mógłbym być wcale przemilczeć o moim udziale w powstaniu. Nie uczyniłem tego przecież, lecz szczerze i otwarcie przyznałem się do winy; nie starałem się jej nawet umniejszyć wymówką, że mnie zmuszono wstąpić do szeregów...

— Wszystko to prawda — wtrącił Gogiel, który był usiadł po drugiej stronie mego krzesła — lecz w wyznaniach pańskich nie widać ani odrobiny żalu za popełnione występstwa.

— Panie! nie zawsze ten żałuje szczerze, co wiele i pięknie o tem pisze. Ja myślę, że komisja o moim żalu ani chwili wątpić nie powinna, skoro przedstawi sobie przed oczy położenie moje obecne i to co mnie czeka... Możnaż nie żałować przyczyn, skoro skutki tak fatalne? Zresztą cóżby mi pomogło rozpisywać się o mej skrusze... winy przeszłej w obec komisji i cesarskiego rządu tem nie zmażę.

— Przepraszam... przepraszam... doskonała skrusza mazała tu już daleko większe winy, jak pańskie.

— Jeżeli o to chodzi, mogę panów zaręczyć, że jestem jak najdoskonalej skruszony tem, co się stało.

— Ale dowodów tego pan nie dajesz!

— Jakichże dowodów, prócz uroczystych zapewnień, mogę dostarczyć panom w więzieniu? Wypuście mnie zeń, a przekonacie się, iż będę najlojalniejszym poddanym jego imperatorskiej mości! —

Obaj uśmiechnęli się.

— Na gołe słowa, przynasz pan sam, uwagi nam zwracać niepodobna śród dzisiejszych okoliczności — mówił mój inkwizytor. — Pan nadto jesteś rozsądny, abys mógł od nas tego żądać. My potrzebujemy jasnych, dotykalnych dowodów. Bez nich nie uwierzemy, nie możemy uwierzyć.

Ja milczałem.

— Niech się pan sam postawi na nasze stanowisko — zaczął znów Gogiel. — Opowiadasz nam rozmaite zdarzenia, opisujesz bitwy, pochody, ukrywania się w lasach, po dworach i t. p. lecz ani jednego nazwiska nie wymieniasz. Wszakże do obozu dostarczano żywności, odzienia, amunicji... może być, abys pan nie wiedział kto? może być, abys nie zapamiętał choć kilku obywateli, czy leśników, którzy jemu i towarzyszą dawali przytułek? Gdybyś pan szczerze i serdecznie żałował, nie tałbyś nikogo...

— Moi panowie! — odrzekłem z uśmiechem — widać wy w wielkim błędzie się znajdujecie co do stopnia znajomości prostego powstańca wszystkich sprężyn i środków, któremi się podtrzymywało powstanie. Przyjeżdżały do obozu nieraz rozmaite osoby, ale mogę wam zaręczyć, że prócz wodza i wyższych oficerów nikt z powstańców nie wiedział skąd i co zacz oni... Co do noclegów i przytułków, to tylko powiem, że przy najlepszej chęci ani jednego nie mógłbym wskazać bliżej. Przyczyna tego bardzo prosta. Byłem zupełnie obcy w tych stronach, nikogo nie znałem, a jeżeli obilo się o moje uszy jakie nazwisko, to śród tylu codziennych kłopotów, marszów i kontrmarszów, ucieczek, bied, głodu, pragnienia, zapominało się o niem już na drugi dzień. —

Gogiel spojrzał na zegarek i wstał z siedzenia, ani słowa nie powiedziawszy. Uczynił to samo i kolega jego i zawał żandarma. Powrót do celi odbył się najkrótszą drogą, t. j. jednym tylko korytarzem. Krótkie to posiedzenie komisji było widocznie manewrem do zamaskowania podstępów, którego niezręcznym nazwać nie można. Byłbym się ja wprawdzie obrócił na pierwsze zaraz nazwisko, choć nie było mojem, i komisja byłaby może przez czas jakiś przekonana, że jestem osobą, do której ono należało; atoli i temu zaprzeczć trudno, że w tak niespodziany sposób zawołany po własnem nazwisku, byłbym się najprawdopodobniej zdradził tak, iż o ratunku myśleć by nie było podobna. Z wszystkiego tego zrobiłem wniosek, że postanowiono wszelkie przedsięwzięć środki, aby wykryć, kto jestem. Przeczuałem nie jeden jeszcze atak, podobny pozawczorajszemu. Wypadało się mieć podwójnie na ostrożności, a mianowicie starać się utrzymać komisję na fałszywej drodze, na której się znajdowała. Przeczucie burz, niespokój myśli, żywość obaw wprawiły mnie w dziwny jakiś stan nerwowy. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczałem. Więcej jak przez pół godziny z rzędu biło się serce tak mocno, że odgłos uderzeń jego o klatkę piersiową dochodził uszu moich, kiedy się w stojącej znajdowałem postawie. Leżąc, słyszałem go, jak

kucie dzięcioła o drzewo. Szum przytem w uszach, mętno przed oczyma, mimowolne członków drganie i zębów dzwonięcie. Ledwie po półgodzinnych usilnych staraniach odzyskałem trochę spokoju.

Dziś nie mieliśmy obiadu o zwykłej porze. Sąsiad mój, który na stosunki z ogólnym numerem, zostającym w ciągłej korespondencji z miastem, objaśnił mnie, że jakieś wileńskie panie otrzymały pozwolenie przysłania wszystkim więźniom wilji. Wieczorem wniesiono rzeczywiście do mojej celi piękne, niewieźienne nakrycie i kilka naczyń, w których znajdowała się wyborna polska wilja: zupa migdałowa, ryby, ryż i t. p. Na talerzu był opłatek z miodem, którym podzieliłem się z moim sąsiadem przez dziurę w ścianie. Ach, jakżeż błogosławiłem nasze zacne kobiety za tę przyjemność, której od lat kilku nie miałem sposobności używać. Gawędziliśmy z sąsiadem późno w noc, poczem zasiadłem do pisania. O dwunastej usłyszałem dzwony, wzywające na mszę pasterską. Możnaż opisać uczucie, z jakim przysłuchiwałem się ich czarującym dźwiękom wśród głębokiej nocnej ciszy, stojąc u otwartej furtki mego okna?

27 Grudnia.

Co za lotry! co za szatany! co za piekielni dręczyciele! Jeszcze teraz przyjść nie mogę do siebie po szatanijskiej zasadce, którą mi zrobili ubiegłej nocy. Cudem jakimś uszedłem jej, nie wpadłszy... Położyłem się wcześniej i zasnąłem zdaje mi się mocno. Śród nocy przebudzam się nagle, szarpnięty przez kogoś za ramię i słyszę tuż nad uchem dziwny jakiś głos, zapytujący jakby w pośpiechu, po polsku:

— Jak się pan nazywa?

Nie wiem, co byłbym odpowiedział w stanie odurzenia, który przedziela zwykle sen od zupełnego przebudzenia się, gdyby nie okoliczność, że niespodziewany ten napad po nocy, śród snu głębokiego i ciemności nabawił mnie okropnego bicia serca, tak że tchu nie mogłem zachwycić, a tem mniej słowa wypowiedzieć. Machinalnie chwyciłem ręką za lewy bok i w usiłowaniach pochwycenia piersiami powietrza rozbudziłem się zupełnie.

— Jak się pan nazywa? — powtórzył głos natarczywie jeszcze, jak poprzednio.

Poznałem Sergieja; zasadzka i cel jego żywo mi stanęły przed umysłem.

— Walerjan P. . . . — odrzekłem, przeciągając się na łóżku, jak w półsennej stanie i oczy rękami przecierając. — A co tam? . . . czy moskale blisko? . . . jeszcze trochę, jeszcze trochę dajcie odpocząć! — i obróciłem się na drugą stronę.

Sergiej na palcach opuścił celę i zamknął jej drzwi bez najmniejszego szmeru. Zacząłem w najlepsze chrapać, choć Bóg jeden wie, ile mnie to wysilenia kosztowało. Serce kuło w piersiach jak młotem; przyciskałem je dłonią, ile sił stało, mniemając że je tym sposobem uciszę. Stan mój był pożałowania godny; chwilami sądziłem, że umieram; leżałem przecież jak można spokojniej, i chrapałem jak najrówniej, aby nie zostawić Sergiejowi i cienia wątpliwości, że zasadzkę wykonał należycie. A stał on długo pod drzwiami, których, jak o tem później się przekonałem, wcale nie przymknął. Po z górą dziesięciu minutach dopiero usłyszałem skrzyp zasówki i oddalające się po korytarzu od mojej celi kroki. Nie wstawałem, aż na pobliskiej wieży usłyszałem pierwszą, i dobrze się przekonałem, że na korytarzu zupełnie cicho. Wtedy dopiero podniosłem się, powlokłem do okna, z trudem nań wygramoliłem się i otworzywszy furtkę świeżem trochę zdyszane piersi ożywiłem powietrzem... Możesz być na ziemi — mówiłem sobie — wierniejszy obraz piekła, i dokładniejsze jego naśladownictwo, jak moskiewskie polityczne więzienie? I niechże tu wytrwa niedoświadczony nowicjusz, nie wykrztusiwszy prawdy, jak powiada Mochacki, kiedy mnie, starego wróbla, trzeci raz w życiu już się z nimi ujadającego omal w djabelskie swoje sidła nie złowili. Czuję to doskonale, przekonany jestem w głębi mej duszy, że w bitwie nie zadrżałbym przed śmiercią, dreszcz mnie jednak przenika, kiedy pomyślę, że na tem, co dotąd ze mną robili, może jeszcze nie koniec...

Dopiero o świcie mogłem trochę zasnąć... Sen jednak był raczej męczarnią, jak pokrzepieniem. Zrywałem się co chwila od jakiegoś nagłego i bolesnego drgania członków, zupełnie tak, jakbym od czasu otrzymywał uderzenia silnego prądu elektrycznego.

2. Stycznia 1866.

Nie źle zacząłem nowy rok. Okna mi zabili gwoździami, szyby wapnem zamazali, furtki nie mogę już otwierać, oddycham powietrzem, które dalebóg nie lepsze od powietrza w odchódku... Nadto dwa dni byłem na chlebie i wodzie... ale rozmawiałem z Olesiem!

Dawniejszy mój przyjaciel służący, który nie służy w tej części korytarza, gdzie obecnie moja cela, zaglądnął kilka dni temu do mnie i doniósł, że Olka dopiero co przeniesiono do jednej z sąsiednich cel. Byliśmy więc przedzieleni jednym tylko oknem. Jużci nie pilniejszego nie miałem, jak zacząć z nim rozmowę przez furtkę okienną. Usłyszał zaraz moje świstanie, którem niegdyś nawoływaaliśmy

się na stepach sybirskich i podał znak dawno między nami umówiony. Wozili i jego do fotografa, lecz od miesiąca już w najzupełniejszym go zostawiają pokoju. Poczciwy chłopak nie bardzo się skarżył na komisję, choć mu dokuczała nie mało; wierzył, że mu się udało ją przekonać. Trudno od nich wymagać — mówił — żeby się nie potargowali. Dał mi także do poznania, że mu więzienie wcale nie cięży, że był na gorsze obejście się przygotowany. Było to dla mnie wielką pociechą, boć on przecież wszystko to znosił dla mnie tylko. Żołnierz, który stał na czatach w podwórzu, rozmawiać nam nie przeszkadzał, lecz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa doniósł o tem. Sergiej udał się na zwiady do kuchni, skąd mu łatwo było nie tylko słyszeć rozmowę, lecz także widzieć kto z kim ją prowadzi. Jużci podsłuchać nie mógł niczego dla naszej sprawy szkodliwego, ponieważ rozmawialiśmy jak przy obcych świadkach i tak, że tylko my dwaj mogliśmy się rozumieć. Kiedy pod wieczór w najlepsze byliśmy zajęci gawędką, wyszedł z kuchni na podwórze, zgromił strażnika, że nam nie wzbronil, kazał nam zamknąć okna i oddalił się szybkim krokiem. W kilka minut potem wpadł do mojej celi dozorca.

— Pan, jak słyszałem, zachowujesz się bardzo nieprzekładnie... rozmawiasz! — rzekł mi ostro.

— Jakżeż nie korzystać z tego, że towarzyszka i przyjaciela umieszczono w sąsiedztwie? — odparłem z uśmiechem. — Pan byś sam pewnie w podobnem położeniu inaczej nie zrobił.

— Zabroniono, jak najsrożej zabroniono! jutro doniosę komisji, i będziesz pan za to ukaranym...

— Wątpię, żeby komisja wynalazła sposób zamknięcia mi gęby.

— Tymczasem każe zabić panu furtkę gwoździami! —

Nie na to nie odpowiadałem, a dozorca wyszedł z celi. Niebawem zjawił się Sergiej z młotkiem i gwoździami i uskutecznił groźbę jego. Łażałem na łóżku i poświstywałem, podczas gdy żandarm nie tylko furtkę, lecz i ramę okna zabijał na glucho.

— Nie wolno świsnąć! — rzekł mi z gniewem.

— Nie wolno ci ze mną rozmawiać! — odparłem — możesz sobie donieść komisji, że świszczę, ale sam mi nie masz nie do rozkazu. —

Sergiej wyszedł, rzuciwszy na mnie wzrok szakala.

Nazajutrz objawił mi dozorca, że mi okna zamażą wapnem i przez dwa dni objadu nie dadzą, a jeżeli i potem nie przestanę być krnąbrnym, do zupełnie ciemnej posadzą celi. Kiwnąłem obojętnie głową w odpowiedź. Jakkolwiek wszystko to było głupstwem, o którym i wspominać nie warto, roz-

strojony mój system nerwowy odczuł to głęboko. Musiałem się nawet do łóżka położyć. Sąsiad mój, z którym leżałem, mogłem bez wszelkiej trudności rozmawiać, radził mi, abym żądał lekarza. Chwalił on go bardzo, i zapewniał, że niezawodnie mi ulży tak w słabości, jak i w położeniu. Co najmniej — mówił — przechadzkę po ogrodzie ci wyjedna. Postąpiłem wedle rady; dotąd jeszcze żądaniu memu nie uczyniono zadość. Jutro powtórzę prośbę natęczywiej.

15 Stycznia.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Gdybym nie dostał był bicia serca, które mi przeszkodziło tak na czasie odpowiedzieć Sergiejowi, kiedy mnie ze snu obudziwszy, pytał o imię, komisja posiadałaby już dziś prawdopodobnie wszystkie o mnie wiadomości. Gdyby mi nie byli zamazali okna wapnem i nie zabili go na glucho, nie byłoby mi na myśl przyszło wołać lekarza i Bóg wie jak długo siedziałbym był jeszcze jako inkwizyt z blaszanym bębniem w celi i bez możności przechadzania się w ogrodzie. Dziś nastąpił już zupełny przewrót w mojem położeniu... polepszyło się o wiele.

Sąsiad mój powiedział mi, że doktor jest Kurlandczykiem. Kiedy więc na powtórne moje żądanie przybył z Sergiejem i na twarzy jego mogłem odgadnąć wielkie niezadowolone z zatęchłego powietrza, które celę napelniało, poprosiłem go, aby ze mną rozmawiał po niemiecku, ponieważ lepiej tym językiem władam, jak moskiewskim. Nie chciałem, aby Sergiej rozumiał, co będę mówił i doniósł o wszystkim komisji. Opowiedziawszy mu wszystkie moje fizyczne dolegliwości, wzmiankowałem także o moralnych cierpieniach, za których pobudkę podał obchodzenie się ze mną komisji. Prosiłem, aby, jeżeli może, ulgę mi jaką wyjednał; mianowicie, żeby mnie kazał puszczać na przechodzkę, jeżeli nie codziennie, to przynajmniej co drugi dzień. Słuchał mnie z uwagą, z współczuciem prawie; twarz ludzkość i dobroć wyrażała. Oglądał, wypytał mnie jak należy; obiecał, że uczyni, czego żądam, uprzedził jednak, iż nie jest pewnym, czy będzie mógł zadość mi uczynić we wszystkim.

— W każdym razie postaram się, abyś pan mógł odświeżać powietrze i żeby naczynie nocne nie stało w celi. Przedewszystkiem zalecam gimnastykę pokojową. Przyszłę panu traktacik o niej; jeżeli się zastosujesz do tego co tam zalecone, po kilku dniach już doznasz widocznej ulgi. Zapisz także krople. —

Potem wyszedł, podawszy mi rękę. W godzinę po jego wyjściu Sergiej przyniósł mi lekarstwo, książeczkę o gimna-

stycie pokojowej i odbił furtkę, zaleciwszy, abym przez nią nie rozmawiał. Kazał wynieść także blaszane naczynie i poczył, że mam zapukać do drzwi, ilekroć będę potrzebował wyjść do odchódka. Musiałem się w duszy śmiać sam z siebie, doznając przy wyjściu z celi na korytarz uczucia, jakbym w połowie już był na swobodzie. Okoliczność ta epokę stanowiła w mojem życiu więziennem, a choć była nic nieznaczającą ulgą, daleko znośniejszą mi się przedstawiała reszta mego położenia. Prawie pogodziłem się z nią.

A brzydki to strasznie rys charakteru ludzkiego. Jemu to głównie zawdzięczać mają tyrani i despoci, że się tak długo utrzymują na swoich stanowiskach, mimo że w teorii szkodliwość ich dawno wykazana. Kiedy cierpliwość gniewionych dochodzi kresu i grozi ustaniem, rzucają im ulgę, w rodzaju tej, którą ja osiągnąłem, i uspakajają ich na długie lata... Wieleż to jeszcze lat upłynąć musi, zanim im rzucić będą zmuszeni ostatnie ustępstwo, t. j. oswobodzić ich od siebie?

W kilka dni potem zmyto mi także wapno z okna, a przedwczoraj pierwszy raz wypuszczono na przechadzkę do ogrodu. Co za roskosz po tylu miesiącach ścisłego więzienia! Upiłem się świeżem powietrzem... nogi mi się płątały, jak po wychyleniu kilku kieliszków starego wina. A kiedy usłyszałem poważny odgłos organów, dochodzący z pobliskiego kościoła, od leż wstrzymać się nie mogłem; choć prawdziwie pobożnością wcale pochwalić się nie mogę i od pocziwego Olesia nieraz gorzkich za to musiałem się nasłuchiwać wyrzutów... Udało mi się też wniknąć trochę w plan budowy klasztoru...! Budynków, budyneczków, przybudowań, najdziwniej z sobą połączonych, i rozmaite podwórza i podwórka tworzących, co niemiara. Widać każda przełożona coś dostawiała, aż z czasem utworzył się istny dedalowy labirynt, z którego obcemu bez nitki Arjadny do głównych wrót niepodobna by się było dostać.

...tanta est fallacia tecti!

W lutym 1866.

Zdaje się, że zwyciężyłem wileńską śledczą komisję... Nie mogąc się dobić niczego, postanowiła mi dać pokój i złożyć ad acta. Nic dla mnie przyjemniejszego uczynić nie mogła. Od sześciu tygodni nikt z jej członków do mnie nosa nie pokazał, nikt o nic nie pytał, nikt wyjaśnień ani dopełnień nie żądał. Pochodzili, powąchali, pogrozili i odeszli jak lis od wysoko wiszącego grona. Śnać dobrze rachowałem... Inaczej tego milczenia sobie tłumaczyć nie mogę. Wiadomości, których żądano o mnie i o Olesiu z miejsc na-

szych rzekomo rodzinnych, niezawodnie już nadeszły... w przeciągu takiego czasu odpowiedziano by z Ameryki. Gdyby zawierały coś niepomysłnego dla nas, jużby nam to dawno objawiono. Fotografie, które rozesłali, także im pewnie nie pomogły. Radzi nie radzi będą się musieli zadowolić tem, cośmy zeznali. Oddadzą pod sąd, sprawa się trochę pociągnie i wyszlą potem, jak powstańców, na posiedlenie... Można było lepszy rezultat osiągnąć, skoro się uciec nie udało?

Omal żem i ja tu nie miał miłosnej awantury, z tą różnicą tylko, że się zaczęła była nie z okna do okna, jak na podwórku owem, lecz przez ścianę, a zatem żem przyszłego anioła swego nawet widzieć nie mógł. Za to go bliżej miałem przy sobie i często słyszałem. Gimnastyka, którą codziennie wedle przepisu doktora robię, niezmiennie polepszyła stan mego zdrowia. Bicie serca i słabość nerwów ustały; humor z każdym dniem weselał. Zacząłem więc wieczorami nucić sobie rozmaite piosenki. Pewnego razu, przy świetle księżycza nuciłem dość długo przy oknie, aż tu z sąsiedniej celi, z prawej strony, dolatuje mnie, także z okna, przyjemny i miły głosik kobiecy:

— Czy pan z Ukrainy? —

Nuciłem bowiem tym razem kilka dumek małosurskich.

— Nie, pani — odrzekłem — jestem z Grodzieńskiego.

— A jak też pan prześlicznie nuczisz kozackie dumki! prawdziwie, nasłuchać się nie mogę!

— Znam wielu, którzy daleko lepiej je odemnie śpiewają... niemniej jednak rączki całuję za łaskawe względy.

— Nie rozmawiać! — zawołał z dołu żołnierz.

Musiałem oczywiście urwać na tem gawędkę, choć mi się strasznie chciało ją przedłużać. Głosik tak mi się jakoś wydał zakradającym do serca, iż nie mogłem inaczej sądzić, jak tylko, że pochodzi z korałowych usteczek ośmnasto lub dziewiętnastoletniej panienki. Jakieś dziwne ciepło przebiegåło mi po piersiach i nie do opowiedzenia miło zrobiło się na duszy. Panienka młoda, niezawodnie piękna jak anioł, jak marzenie wiotka, tuż przy mnie, przez ścianę tylko! Czemuż to piec nie łączy naszych cel i przebita nad nim ściana nie znajduje się między jej a moim numerem! Moglibyśmy po całych dniach, wieczorach i nocach bez przeszkody gawędzić... nawet rączki jej całować mógłbym... co za miły, słodki głosik! jam tak spragniony takiego głosiku... Djabli nadali, że ten piec właśnie z tamtej a nie z tej strony postawili...

Nie pozostawało nic, jak popróbować rozmowy przez ścianę za pomocą pukania. Łóżko moje stało przy ścianie, która dzieliła nasze cele. Położywszy się, zacząłem więc

pukać. Odpukała wprawdzie, lecz poznałem natychmiast, iż nie ma żadnego pojęcia o więziennym telegrafie. Jałem tedy pukać alfabet; zamiast słuchać, ona niewolniczo naśladowała moje pukanie. Uderzyłem w ścianę, aby przestała — ona także uderzyła. Niedomyślna, pomyślałem sobie, dziecko jeszcze naiwne, niedoświadczone... anioleczek w całym tego słowa znaczeniu! Jutro przy zdarzonej sposobności przez okno jej powiem, co ma znaczyć pukanie i wyuczę jej alfabetu...

Leżąc i rozmyślając nad najkrótszym i najzrozumialszym objaśnieniem, usłyszałem za ścianą, jakby szmer ocierających się o nią sukien. Powtórzył się on raz i drugi, tak, że najmniejszej nie zostawało wątpliwości, iż jej łóżko znajduje się tuż przy mojem... murem przedzielone... Zapukałem, i teje chwili mi odpowiedziano... Nie inaczej... leży przy mnie... za ścianą... A, dalibóg, taka pewność nie liczy się do najprzyjemniejszych. Doświadczyłem, co znaczy spoglądać przez kratę na aniołka w sukience, którego się kocha. Straszno, okropnie! Lecz, na Boga klęę się, nierównie straszniej, nierównie okropniej i tysiąc razy bardziej męcząco, wiedzieć się tak bliźniechno młodej panienki, pięknej do tego, jak byłem głęboko przekonany i zarazem tak daleko... O uśnięciu mowy być nie mogło... obracałem się z jednej strony na drugą, i nigdy jeszcze łoże więzienne nie wydało mi się tak twardem i kłującym, noc tak wiecznie, nieskończenie długą. Od czasu do czasu pukałem; żadnym razem sąsiadka moja nie została mi dłużną odpowiedzi. Śnać i jej się nie spało... Daremnie besztalem sam siebie, żem zmysłowy, zepsuty, niepowściągliwy człowiek; wyobrażenia tak się rozhułała, iż nie pomagały żadne wędzidła. Nie moge tylko tego pojąć, czemu mi nawet na myśl nie przyszło, że sąsiadka może być starą i brzydką kobietą — okoliczność, któraby mnie była natychmiast rozsądek wróciła. Słyszałem dwunastą, pierwszą, drugą... sen jakby uciekał odemnie. Zacząłem wreszcie klepać pacierze, przez co zmusilem mózgowię do bezczynności, i wtedy dopiero usnąłem.

Na drugi dzień pierwszą rzeczą było, że oddałem sąsiadce dzień dobry pukaniem, lecz żadnej nie odobrałem odpowiedzi. Stałem u otwartej furtki okna, kaszlałem, świstałem, śpiewem znak podawałem; także nic nie skutkowało. Po dobrej godzinie dopiero odpowiedziano mi.

— Gdzie pani była? — zapytałem — od godziny już chciałem powiedzieć dzień dobry.

— Na przechadzce w ogrodzie! — odpowiedziała tymże pieszczośliwym i lubym głosiikiem — Czy pan wychodzisz z celi?

— Wychodzę.

— Kiedy dam znak w ścianę, niech pan wyjdzie do od-

chódka. Na oknie, pod kamieniem, w kącie znajdziesz coś odemnie.

— Uczynię... serdecznie dziękuję! — A w duchu pomyślałem: mój aniołek widać nie tak niedoświadczony, jak myślałem. Mnie ten sposób korespondowania na myśl nie przyszedł, a przecież tak prosty...

Uderzenie w ścianę nie dało na siebie długo czekać. Zapukałem do drzwi, wypuszczono mnie; na umówionem miejscu znalazłem rzeczywiście mały pakiecik w papier zawinięty. Schowawszy go, wróciłem corychlej do celi. Obym był nie chodził i nie brał tego pakietu! złudzenie, choć męczące, ale mile, byłoby jaki dzień dłużej potrwało... nie byłbym tak prędko złany został zimną wodą od głowy do stóp.

W papierze zawinięta była mała, cierniową przedstawiać mająca korona, dość misternie z agrestu upleciona. Między gałąskami wił się gruby kosmyk czarnych włosów. Do tego dołączoną była karteczka z następującemi wierszami:

Śpiewaj więźniu młody,
Teshnij do swobody —
A ja będę słuchała,
I lzy gorzkie wylewała!!!

— To już więcej, jak naiwnie — rzekłem sobie, rzucając pakiet na piec — to głupio... trywialnie... Niezawodnie jakaś rozromantyzowana więzieniem mieszcza, albo szlachcianka, którą przyjąłem za anioła! Co za myśl, dawać mi we wianku kosmyk włosów, z których bym powróz mógł ukreślić... I włosy te dalibóg nie panienki, lecz mężatki lub wdowy... założyłbym się, że tak... panięskie inaczej wyglądają. W każdym razie sąsiadka moja podobna do mego wczorajszego marzenia, jak pieśń do nosa... A wiersze; wiersze... Słuchała... wylewała! No! ... szkoda mi tylko wczorajszej nocy, po której teraz jeszcze głowa mnie boli.

Zapukano do ściany; nie odpowiedziałem. Chrząkano przy oknie, nie poszedłem do furtki. Złość mnie brała, żem się tak prędko musiał rozczarować. Odsunąłem łóżko nawet na drugą stronę i postanowiłem nie śpiewać, jak długo tu będę. Opowiedziałem też całą awanturę sąsiadowi, który mnie objaśnił, co to za ziółko, ten mój marzony anioł. Zna ją dobrze. Kobieta lat za trzydzieści, brzydka, mężatka i nieszczęśliwego prowadzenia się. O wykształceniu jakimś mowy nie ma. Wplątała w pożarową sprawę męża i pewnego młodego człowieka, który cholewki do niej smalił, i takie brudy na siebie zeznała w komisji, że dalej nie idzie. Tak oto głupio zakończył się mój romans, od którego tyle sobie obiecywałem. Oczywiście, noc następną jak najspokojniej przepędziłem. Sąsiadka po jakimś czasie także mnie pukaniem niepokoić przestała, widząc, że znaku życia nie podaje.

Dano mi towarzysza!... dowód to jasny, że śledeca komisja moją sprawę uważa za ukończoną... I kogóż?... starego Swidzińskiego, który wiedząc, że jego oskarżycielka przeze mnie właściwie pobudzona denuncjację odwołała, nacieszy się mną i nadziękować mi nie może. Odwołanie poskutkowało, jak widać. Podczas gdy innych więźniów, do tej samej sprawy należących, a oskarżonych przez dwóch urwiszów, o których już wspominałem, jak równie i samą babę, oskarżycielkę Swidzińskiego i Borzęckiego, pod sąd wojenny oddano, tych dwóch ostatnich tak zostawiono. Swidziński szczegółowo mi całą sprawę opowiedział; od Borzęckiego i późniejszego mego sąsiada wiedziałem tylko piątą przez dziesiątą. Cóż za okropna, piekielna, szatańska, nikczemna intryga! Wątpię, czy podobna zdarzyła się już kiedykolwiek w dziejach prześladowania i gnębienia Polski przez Moskwę. A przecież też ostatniej nie brakło w tem dziele podłości... Istotnie wierzyć trudno... i nie uwierzyłbym temu grubemu, nawet osłoną przykryć się nie usiłującemu cynizmowi podłej kabaly, gdybym nie miał przed oczyma jednej z jego ofiar i nie rozmawiał z nią po całych dniach o nim. Zasługuje jednak ten ustęp męczeństwa bohaterkiej Litwy na osobny opis, jako dzieło najwyuzdańszej swawoli tyranów, nie zadających sobie nawet trudu, aby osłonić choćby dla świata płaszczykiem słuszności cel krwawej zemsty swojej na tych, co śmieli usiłować zrzucić z karków ohydne ich jarzmo.

Jak też małemi i nie nieznaczącemi wydają mi się dziś moje cierpienia więzienne, w porównaniu z temi, które przenosić musiał biedny Swidziński przez przeciąg dziesięciu miesięcy! Starzec blisko sześćdziesięcioletni, ojciec rodziny, obywatel, szanowany, ba, liczący nawet coś nad dwadzieścia lat służby rządowej, sądownie za powstanie nie przesładowany — i w więzieniu, pod strasznym zarzutem podpalacza, za co według dzisiaj obowiązującego prawa czeka kara śmierci! Czego też z nim nie wyrabiano, aby wyludzić przyznanie się do winy, która jest zbyt bezmyślną, aby choć cięń prawdopodobieństwa miała! Od łez biedaczysko powstrzymać się nie może, kiedy mi opowiada o postępowaniu z nim komisji, a szczególnie Łosiewa. Przez jakiś czas codziennie mu jakąś dotkliwą przykrość wyrządzano. Pomijając już niewypuszczanie go bardzo długo na przechadzkę, co dla przywykłego do ruchu i czynnego życia było okropnem, pomijając, że nie pozwolano mu się z nikim widzieć, ani listów od żony odbierać, że go zmuszano do poprzedstawiania na wikcie

więziennym, od którego chorował — znieważano go jeszcze i besztano ostatnimi wyrazami podczas badań; grożono mu uwięzieniem żony i dzieci; ludzono, że Borzęcki się przyznał do wszystkiego i stwierdził jego udział w sprawie; zapewniano, że go los okropny czeka... Raz przeprowadzono go z dołu w towarzystwie czterech zbrojnych żołnierzy na drugie piętro budynku, gdzie dwie tylko cele na poddaszu się znajdują. Służący, który mu nosił jedzenie, udawał wielkie współczucie dla niego i przy zdarzonej sposobności szepnął mu, że dla tego bez łez na niego patrzeć nie może, bo z tej celi tylko na szubienicę prowadzą... Swidziński nie poznał się zrazu na podstęp i za dobrą monetę przyjął wiadomość, która ten skutek miała, że posiwił, zgarbił się, do cienia stał się podobnym.

— Nie szubienica mnie trwożyła — mówił drżącym głosem — ale to straszne piętno podpalacza, które imieniu polskiemu, żonie i dzieciom miałem w puścizmie przekazać...

— Jakimże sposobem — zapytałem — pan, który znasz prawo, mogłeś się nie domyślić, że to podstęp tylko, swojego rodzaju inkwizycyjny kruczyk?

— Cóż mi w tem mogła pomódz znajomość prawa? Wszak od przyjazdu Murawiewa do Wilna niem się wcale nie rządono. Czyż nie napatrzyłem się krzyczących o pomstę do nieba besprawców podczas powstania? A zresztą i moje uwięzienie było jak najniesłuszniejszym w świecie... nie pozostawiało ono najmniejszej wątpliwości, że nie tylko nas zdusić i wynarodowić, lecz i shańbić przed światem postanowili... cóż mogło być dla mnie rękojmnią, że się cofną przed szubienicą? Do tego i służący i żandarmi i dozorca tak jakoś dziwnie zawsze na mnie patrzyli, tak odmiennie ze mną się obchodzili, że było kilka tygodni, podczas których pewny byłem, iż służący mówił prawdę... i w ciągu nich to posiwiłem... dzieci, żona poznać mnie nie mogły, kiedy po niejakiem czasie dano im pozwolenie odwiedzenia mnie. Zdrow byłem i silny, nim tu przyszedłem; kilka dni z rzędu polować, nie dla mnie nie znaczyło; w czasie orki, siejby lub żniw po całych dniach z konia nie zlażilem; dziś, patrz pan, zgrzybiały jestem starzec... jedną nogą w grobie... nie powiesili wprawdzie, lecz swego dopięli... złamali jak najzupełniej...

Oczywiście, wszelkich sposobów używałem, aby biednego rozruszać, rozweselić, pokrzepić nadzieją, życiem zarazić. Trochę mi się to udało, bo od czasu, kiedy wyszedłem tak tanim kosztem z pod opieki komisji, w złotym nieustannie jestem humorze. Śpiewam w duszy hymn zwycięstwa, i chciałbym, żeby go wszystko w koło mnie śpiewało...

Okno naszej celi wychodzi na to same podwórko, gdzie w początkach mego tu pobytu tak przyjemnie czas spędzałem.

Cela znajduje się na dole pod numerem Borzęckiego, który zawsze jeszcze na dawniejszym miejscu. Zbyt uczęszczana dodawać, żeśmy w ciągłej z nim korespondencji, która się odbywa za pomocą «pajaka». Obok nas siedzi oficer, narzeczony panny Karoliny, która złotej już używa wolności... Z drugiej strony korytarz, którym nas wyprowadzają na przechadzkę.

Swidziński powątpiewa jeszcze, czy sprawa jego pomyślnie się skończy, choć wie, że nie jest pod sąd oddany, i choć mu żona, która go regularnie co tydzień odwiedza, tem otuchy dodaje, że ją zapewniał audytor Jermiłow, iż będzie na wolność puszczone. Biedzi się nieborak tem nieustannie, że go ciągle trzymają w więzieniu, choć nie znaleźli dostatecznej winy, aby oddać pod sąd. Daremnie mu perswaduję, iż trzymając się ściśle formy, jak to we wszystkim robią, muszą czekać końca całej sprawy. Forma jest w ich oczach sprawiedliwością...

— Jeżeli w samej rzeczy mają zamiar wypuszczenia mnie — odpowiadał — to przedłużają więzienie chyba dla tego, aby tem zupełnie zrujnować mnie na zdrowiu i na majątku. Cóż się ze mną robi, jeżeli więzienie przedłuży się jeszcze kilka miesięcy... wydaje chyba żeń, aby w ciągu krótkiego czasu dokonać w domu żywota. Leczyć się nawet nie będę miał za co, ponieważ ostatki gotowego grosza zabiorą za utrzymanie więzienne.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony — wszak koszt utrzymania skarb opłaca.

— Tak, jeżeli więzień okaże się winnym i wyrok otrzyma. Wychodzący zaś na wolność musi wszystko zwrócić, co skarb nań wydał... Murawiew wydał takie rozporządzenie, w tem przekonaniu, że wszyscy Polacy bez wyjątku są wrogami rządu; jedni więc muszą opłacać się swobodą, drudzy pieniędźmi. Młódź pędzą na sybirskie stepy, pozostałym starcom i kalekom wydzierają mienie. —

Zaproponowałem mu, aby dla przeświadczenia się, jak też sprawa stoi, prosił dozorcę o przydanie nam jako trzeciego towarzysza Borzęckiego. Skoro komisja na to się zgodzi, będzie to znak oczywisty, że sprawa na dobrej drodze. Uczynił, jak radziłem i z niecierpliwością oczekujemy rezultatu próby.

17 Lutego.

Jesteśmy we trzech. Prośba Swidzińskiego nie natrafiła w komisji najmniejszych trudności. Z łóżkiem, z rzeczami Borzęckiego zniesiono do naszej celi. Staruszek z radości się nie posiadał... ściskaliśmy się, całowali, jakby nam padło w udziale Bóg wie jakie szczęście. Tego dnia lat zdaje się

dwadzieścia ubył Swidzińskiemu. Biegał i rzeźwił się w ogrodzie na przechadzce, jak młodzieniec; śpiewał z nami, śmiał się i śmieszył nas anegdotami w celi. Gramy w karty, zajmujemy się robótkami z chleba, czytamy — słowem, jak na więzienie, jedwabne prowadzimy życie.

Poznałem się też z sąsiadem oficerem; wiele z nim rozmawiam przez ścianę. Nazywa się Władysław K. a że wyrok już pono zapadł dla niego na Syberję, pilnie się stosunków tamtejszych dopytuje. Muszę mu opisywać drogę z żandarmami i po etapach; tryb życia na posiedzeniu i w robotach i t. p. Odwdzięcza mi się, jak może; wyborny mi przesyła tytoń, w którym się lubuję, jak Turek; książek nam udziela, a wczoraj przysłał mi niemieckiego Fausta, kupionego umyślnie dla mnie w księgarni, do którego oddawna już wzdychałem. Ile z rozmów sądzić mogę, bardzo to musi być wykształcony człowiek, a zapewniał mnie Swidziński i Borzęcki, że po Ohryzce jedno z pierwszych miejsc zajmował w petersburskiej agenturze rządu narodowego. Oczywiście, niezbyt z nim jestem ostrożnym; opowiadał mi o syberyjskich stosunkach, jakby sam na sobie doświadczał, z czego łatwo może wnosić, że byłem już na Sybir wysłany. Zresztą o moją sprawę on nigdy mnie nie pyta i chodzi mu widocznie tylko o poznanie trudności podróży, aby im mógł, ile to się da, zapobiedz.

Zawiązaliśmy także żywe stosunki z ogólnym numerem, który się mieści na pierwszym piętrze na chórze. Z odchódka wychodzi okno na małe podwórze, na które wychodzą także okna tego numeru. Że zaś żołnierz, towarzyszący każdemu z nas, zostaje na korytarzu, od którego odchodek oddzielony jest przedsionkiem, to możemy rozmawiać jak długo nam się podoba, tem bardziej, że podwórka nikt nie strzeże. Korespondujemy także listownie, kładąc pisma na umówionem, w oko nie zbyt wpadającym miejscu. Jeden z nas, lub jeden z nich zabiera je potem. Dzięki Swidzińskiemu, mam teraz porządne odzienie. Poczuwając z domu kazał przywieść jeden kompletny ubiór po jakimś swoim krewnym, którego pono na Sybir wysłano; leży na mnie, jakby był dla mnie zrobiony. Nie wiem, co się dzieje z Olesiem, lecz po obchodzeniu się ze mną sędzę, że i jemu nie musi być źle.

3 Marca.

I otóż znowu mi wypada zapisać świeże zdarzenie w moim życiu więziennem, które bądź co bądź nie jest tak pozabawionem wszelkich odmian, a zatem i interesu, jakby to sądzić można. Po niespełna czterech tygodniowym pobycie z Borzęckim i Swidzińskim przeniesiono mnie do Władysława

K., z którym tyle przez ścianę nagadaliśmy się. Żał mi było z początku towarzyszków, lecz i nowy mój współwięzień zdaje mi się zasługiwać na wszelką sympatię. Od kilku dni już razem jesteśmy, zaprzyjaźniliśmy się na dobre. W sprawie jego ja tylko coś nie jasno widzę. Wszyscy jego towarzysze wywiezieni zostali z początkiem Stycznia; on, który także na Sybir skazany, wyjednał sobie pozwolenie zostania jeszcze do czasu, kiedy największe mrozy przejdą. Czeką także na pozwolenie wzięcia ślubu z panną Karoliną B., która go odwiedza od czasu do czasu. Jakiś generał wpływowy, dawny jego znajomy, ma mu to wszystko ułatwiać. Oczywiście, nie okazuję żadnej ciekawości dowiedzenia się szczegółów tej sprawy, zadowolniając się tem, co mi sam powie... Trochę za wiele ubolewać mi się zdaje nad straconą karierą i nie z takim mawia o powstaniu uszanowaniem, jakby się tego po nim, jednym z przewodników, spodziewać wypadało. Wiele rzeczy lekceważy, o wielu ludziach, zasłużonych i dobrego imienia używających, nie bardzo dobrze się odzywa. Wszystkie te niedostatki jednak prawdopodobnie ma zawdzięczać wpływowi więzienia, w którym, jak widać ze zmęczonej twarzy, wiele przecierpieć musiał i trochę stetryczał. Na drugi dzień po mojem do niego przesiedleniu się przybyła pod wieczór do naszej celi jakaś, jak mogłem sądzić z oddawanych jej przez żołnierzy i żandarmów honorów, wysoka wojskowa figura: człowieczek lat dobrze za pięćdziesiąt, suchy, mały, zmarszczony, wcale nieстарannie ubrany, do profesora niemieckiego jak dwie krople wody podobny. K. ujrzawszy go, zrobił w pierwszej chwili kwaśną minę, jakby nie rad był tej wizycie. Poskoczył jednak z łóżka z wielką skwapliwością naprzeciw i dość przyjaźnie go powitał.

— A! pan masz kolegę, jak widzę — rzekł wojskowy cieniutkim głosem, podając K... mu rękę.

— Od wczoraj, jenerale! — odparł tenże — trochę mi nudno było samemu... poprosiłem o towarzysza.

— Czy nie będziesz więc łaskaw odwiedzić mnie jutro po południu?... Juhan lub Gogiel przywiozłby pana do mnie.

— Z największą przyjemnością, jenerale.

— Zostawiam panu ten oto zeszyt rękopisu, zechciej go odczytać, i powiesz mi, co o tem sądzisz. Jest to ustęp, o którym już rozmawialiśmy — dodał, wręczając K... mu zwitek arkuszy.

K... uklonił się nisko.

— Więć do jutra po południu, kochany kapitanie! —

I pożegnał K... uściskaniem ręki.

Po jego wyjściu K... musiał zauważać moje zadziwienie, sam bowiem, bez pytania, zaczął mi objaśniać odwiedziny.

— Jest to generał Ratsch — mówił — mój protektor, o którym już panu mówiłem.

— Członek komisji? — zapytałem.

— Ach nie... ze śledztwem, ani ze śledczą komisją nie ma on nic do czynienia... do tego on zupełnie nie zdolny... za łagodny, za dobry. Jest generałem artylerji i służy przy głównym sztabie. Jeden z moich dawniejszych przełożonych w Petersburgu, który mnie bardzo lubił, dowiedziawszy się o mojem uwięzieniu, polecił mnie jemu, jako swemu dobremu przyjacielowi. Gdyby nie to, nie byłbym uszedł katorgi. Kaufmann za jego usilnem wstawieniem się tylko zmienił mi wyrok audytorjatu... Zajęty on jest obecnie pisaniem historii ostatniego powstania i prosił mnie, abym przejrzał niektóre ustępy i poczynił mu uwagi co do faktów, które mi są dobrze znajome.

— A!... — zawolałem.

— Oczywiście, odmówić mi było niepodobna, zwłaszcza, że to jest właściwie tylko pretekst, pod którym wyjednał dla mnie pozwolenie zostania się tu do wiosny... inaczej musiałbym być jechać z innymi.

— Toż panu przykro być musi czytać historję powstania w takim duchu napisaną, w jakim on ją napisać może, a jeszcze przykrzej, robić nad nią uwagi swoje.

— Bez wątpienia... wstrętne mi to... i on to dobrze pojmuje; nie żąda też odemnie niczego, prócz faktycznych sprostowań. Ja zaś staram się ten stan rzeczy na naszą korzyść wyzyskać. —

Tłumaczenie K... wydało mi się dość naturalnem, zwłaszcza, że wiedziałem, iż wszyscy należący do sprawy Ohryski, zajmowali widne w Petersburgu miejsca i wiele tam między moskalami wpływowych mieli przyjaciół. Zresztą mogę podejrzawać go o jakieś nieszlachetne i patriotyzmowi ubliżające konszachty z rządowymi osobami? Mimo to — taka jest nieszczęсна podejrzliwość więźnia — chwilami wyrzucam sobie, że mu za wiele o sobie i Olesiu powiedział. Natychmiast jednak odsuwam te myśli od siebie, i w duchu przeproszam K. za nie, bo jużci do roli szpiega więziennego nie zniżyłby się przecież członek komitetu petersburskiego...

K... czytał mi niektóre ustępy rękopisu, który mu Ratsch zostawił. «Intryga polska» na każdej stronicy z dzie sięć razy figuruje. Na miejscu K... nie chciałbym z tem nie mieć do czynienia. Lecz jeżeli, jak powiada, stara się wyzyskać położenie, którego sam nie stworzył, na «naszą» korzyść, w takim razie ma może rację... Wątpię tylko, aby zdołał co zrobić. Cóż nam zresztą zaszkodzić może książka przez moskala niekorzystnie dla nas napisana? Im więcej w niej będzie nienawiści, tem mniej jej będą wierzyć lu-

dzie... Jest tu coś, co mi nie jest jasnym. Ale cóż mi tam do tego? Ja się przecież od K... nie mam czego obawiać. Tem, co wie o mnie, mógłby mi wprawdzie wielce zaszkodzić, lecz czyż to podobna przypuszczać?

Nazajutrz po południu, kiedy K... czekał już pojawienia się członka komisji, który go miał odwiedzić do Ratscha, powiedziałem mu, że rad byłbym, gdyby Juhan przybył.

— A, cóżby panu z tego przyszło? — zapytał mnie.

— Powinśzowałbym mu przeniesienia z czynnej armii, do śledczej komisji.

Tu opowiedziałem K... mu, jak to Juhan udawał przedemną oficera czynnej armii.

— W takim razie niezawodnie Gogiel przybędzie. Oni wiedzą przecież, że pan ze mną siedzisz, i Juhan nie zechce się narażać na to, abyś go pan poznał, jako kłamcę.

— Alboż onby sobie robił co z tego, myślisz pan?

— Niezawodnie!... zależy im wiele na zachowaniu dekorum.

— Do czasu, póki nie wyduszą z więźnia tego, czego im trzeba.

— Z pana przecież nie wydusili jeszcze.

— I nie wyduszą spodziewam się... Tylko proszę pana, jeżeliby ten, który z panem teraz pojedzie, zwrócił podczas drogi rozmowę na mnie... bo ci lotrzy ze wszystkiego lubią korzystać... niech też pan nie zapomni zbyć go, jak należy.

K... dziwnie na mnie popatrzył.

— Nie miejże mnie pan za dziecko, lub za rostrzezańca — odparł z wyrzutem. — Zresztą cóż ja wiem o panu? domyślać się tylko mogę z tego, coś mi pan niepytany opowiadał.

— Ach, źle mnie pan pojmujesz, panie K..., chciałem go tylko ostrzedz, byś się nie dał podejść... Pan wiesz że tym psom gońcym dość najmniejszego śladu. Mimowolnie mógłbyś go im podać.

— Bądź pan spokojny!... bądź co bądź mają oni za wiele taktu, aby się do mnie z podobnymi podstępami zwrócili... wiedzą, że należytą otrzymaliby odprawę. —

K... nie mylił się; nie Juhan, lecz Gogiel wyświeżony, wyczesany, opięty jak zawsze, przybył po niego. Mnie, jak dawnemu znajomemu, kiwnął głową przyjaźnie; dla K... miał nadzwyczajną uwagę, która, prawdę mówiąc, wcale mi się nie podobała. Taki sam szacunek okazywał mu jednak i dozorca; policzyłem więc to wszystko na karb jeneralskiej protekcji i tych względów, które moskale okazywać byli zwykli dla upadłych powstania kolumn. Czcia im oddawaną sami siebie przecież czcili, jako sprawców tego upadku; była to niejako wdzięczność za sławę, która z powalenia tych kolumn na nich płynęła.

K... pod wieczór dopiero wrócił, bardzo wesoły i zadowolony. Przy herbacie zwrócił rozmowę na swoją wizytę.

— Mówilem panu — rzekł mi — że oni nie są ludzie bez taktu. Gogiel ani słówkiem nie wspomniał o panu; pytał mnie tylko, czy mi teraz weselej, na co oczywiście twierdzącą dałem mu odpowiedź.

— Pan to nazywasz taktem — odpowiedziałem — ja zaś nieczem innem, jak wyrachowaniem. Wiedzą, żebyś im pan nie powiedział, coby moją sprawę pogorszyć mogło, więc nie chcą się przed nim daremnie kompromitować. Niechby pana mieli za człowieka zdolnego zdradzić cudze zaufanie, zobaczyłbyś, czyby ich takt odwiódł od pytań.

— Takt... wyrachowanie... w tym wypadku na jedno wychodzi. Kwestji nie ulega tylko to, że są rozumni.

— O tem w rzeczy samej wątpię nie można po tak znakomitych śledztwach, jakich tu dokonali... Ale pan, widać, zadowolony jesteś z swoich odwiedzin u jenerała — dodałem, na co innego zwracając rozmowę.

— Tak... bardzo nawet... dowiedziałem się nowiny, która i dla pana może obojętną nie będzie. Namieśnik się żeni...

— A, panie, dla mnie to jak najzupełniej obojętnem — odrzekłem, śmiejąc się — jestem pewny, że mnie na wesele nie zaprosi.

— Ani mnie! — dodał K..., śmiejąc się także — lecz z powodu jego zaślubin, czekają «manifestu» i głośno mówią o łaskach dla nas; jedną zaś z najpierwszych byłoby zaniechanie śledztwa w sprawach politycznych, które są w toku. W takim razie dostałbyś się pan z towarzyszem swoim na wolność.

— Za piękna to, mój panie, mrzonka, aby się zbyć miała! — odrzekłem nie bez wewnętrznego poruszenia. W duszy bowiem musiałem wyznać, że nadzieja podsuwana mi przez K... nie była pozbawioną wszelkiej podstawy.

— Dla czegoż?... bardzo to jest prawdopodobnem, zwłaszcza kiedy o tem mówią tak wysokie rządowe figury, jak Ratsch. Czy wiesz pan, że ten poczcziwiec zachęcał mnie do zostania tu do lata, w którym to czasie ślub ma nastąpić, aby się doczekać na miejscu ułaskawienia, t. j. zmniejszenia kary. Na większą łaskę oczywiście nie robi mi nadziei.

— O cóż więc chodzi? zostań pan!

— Gdybyż to odemnie zależało!... Ratsch obiecał wyjednać mi pozwolenie, zawsze pod pozorem rozumu się, żem mu potrzebny do historii... nie wiem, czy mu się uda. Kaufman krzywił się już przy dawaniu pierwszego.

— E, kiedy Ratsch obiecał, to nie masz wątpliania, że dotrzyma. Inaczej nie mówiłby panu tego. —

Tego dnia oba zasnąłszy ukołysani rokoszną pieśnią złotych nadziei. Wyznać jednak muszę, że wyrzuciłem w duchu K...mu, iż tak żądnym być zdaje się łask moskiewskich... Wolałbym, aby on, członek rządu narodowego, więcej pod tym względem okazać był mógł godności i na większą się zdobyć dumę. Co innego prosty powstaniec, lub figura nieznacząca, jak ja... Na przywódcach jednak cięży daleko większy obowiązek podtrzymania do końca powagi swego urzędu, nawet i dziś, gdy wszystko stracono. Inaczej taki Ratsch, nazywając powstanie «kabałą» będzie miał słusność... Nie, nie! coś mi tu nie jasno...

5 Marca.

Okropny wieczór dziś przepędziłem. Po południu K...go zawołano, jak mówił, na widzenie się z narzeczoną. Podczas jego nieobecności zacząłem rozmawiać przez ścianę z Swidzińskim. Sam był biedak znowu. Zabrano mu dziś rano Borzęckiego dla jakiej przyczyny nie wie, ani się domyśla; oczywiście, najgorzej sobie to tłumaczy. Spodziewał się właśnie, że przyjdą go wezwać na widzenie się z żoną, która była we Wilnie, i ogromnie się obawiał, aby mu i tej ulgi nie odjęto, zwłaszcza, że czas, w którym go zwykle do pokoju odwiedzin wyprowadzano już był minął. Objąłem mu, że K... teraz rozmawia w tym pokoju z narzeczoną, i że go wezwą prawdopodobnie, kiedy on powróci. Tu mi dał znak, że ktoś wchodzi do jego celi. Pobiegnę do dziurki w drzwiach i widziałem, że go żandarm poprowadził kurytarzem w stronę, gdzie się znajduje pokój dla odwiedzin. Spodziewałem się więc, że K... wróci niebawem. Upłynęło jednak więcej jak trzy kwadransy, nim to nastąpiło. Był roztargniony, czemś poruszony, jakby przełknięty; widząc jednak, że stara się to przedemną ukryć, o nic go się nie pytałem. Nie pamiętam już o czym rozmawialiśmy, kiedy wbiegł z pospiechem dozorca do naszej celi.

— Zabiorę panu na noc towarzysza — rzekł, zwracając się do K...go.

Ten na tę wiadomość tak kwaśną i niezadowoloną minę zrobił, że nie uszło to uwagi dozorca.

— Nie mam innej rady — mówił tenże dalej, jakby się uniewinniał — staruszek tak nagle zasnął, i tak gorąco się domagał pana... — tu nazwał mnie — że mu nie podobna odmówić. Jutro rano P... wróci znowu; byle tylko noc przeżyć...

— Ha, jeżeli inaczej być nie może... — odparł K...

— O cóż tu chodzi, jeżeli wolno wiedzieć — wtrąciłem — kto zasnął?

— Swidziński... — odrzekł dozorca — przy widzeniu się z żoną dostał jakiegoś dziwnego ataku; zemdlął; mówił od rzeczy, tak że go wynieść z pokoju musiano. Odzyskał trochę przytomność w celi i pana wzywał, potem znowu mu się pogorszyło...

— A więc śpieszmy! — zawołałem, gotując się do wyjścia.

— Pan się nie gniewa na mnie?... tylko do jutra rana... lękam się zostawić go samego w nocy — mówił dozorca do K... podając mu rękę.

Mnie i dziwnem się wydało i złościło razem to uniewinnianie się dozorca przed K... Ja widocznie niczem tu nie byłem, choć o mnie głównie chodziło... Mną można było posuwać, jak pionkiem po szachownicy, nie zapytując nawet, czy nie mam co przeciw temu do powiedzenia... Jutro rano przyrzekano mnie wrócić K...mu, właśnie tak, jakbym był jego własnością, dla zabawki mu służącą. Wszakże pragnienie stania się pomocnym biednemu staruszkowi było silniejszym od wszelkich protestów dumy upokorzonej i obrażonej miłości własnej, i wyszedłem na korytarz, zgłuszyszyszy cisnące się na usta cierpkie uwagi, które zwrócić chciałem głównie do K...go.

W celi Swidzińskiego przerażający mi się przedstawił widok. Na łóżku leżał staruszek tak, jak się był ubrał na odwiedzin, wyciągnięty jak struna, z rękami konwulsyjnie na piersiach zaszniętymi, z oczami w ślup, czerwony na twarzy, jak burak. Grube krople potu perliły mu się na czole. Twarz wyrażała, jakby w marmurze wykute przerażenie, usta posiniały i na wpół były otwarte; nos mu się przeciągnął. Oddech był przerywany; od czasu do czasu pierś się wysoko podnosiła pod ciężkimi głębokimi westchnieniami. Gdyby nie to, można by go było przyjąć za rażonego piorunem, lub umarłego od apopleksji. Rozumi się samo przez się, że nikogo w tym stanie nie poznawał, ani miał pojęcie, co się koło niego działo.

Przysiąłem do łóżka, zawołałem go kilka razy po imieniu, wziąwszy za rękę; nie mi nie odpowiedział.

— Czy posłał pan po doktora? — zapytałem dozorca.

— Żona sama pojechała... zapewne niebawem go przywiezie...

— Czyż nie lepiej by było żonie pozwolić czuwać przy nim?

— Tego uczynić w żaden sposób nie mogę... instrukcja mi zabrania.

— Zapewne musiał się dowiedzieć czegoś niepomyślnego od żony...

— Bynajmniej... nie wiem, czy się z nią dobrze przywitał, kiedy atak nastąpił... byłem przy tem obecny. —

Przybył lekarz, a że przez Swidzińską był uprzedzony o stanie więźnia, przyniósł z sobą odpowiednie lekarstwo. Była to mocna jakaś medycyna, którą mu niuchać dawał. Po kilkunastu minutach zabiegów Swidziński przyszedł do siebie i zdziwionemi oczyma potoczył około siebie. Stałem tuż u głów jego. Wyciągnął do mnie rękę i wzrokiem mi kazał usiąść przy sobie. Uczyniłem zadość jego żądaniu, przyjąwszy od lekarza flaszeczkę, by ją słabemu od czasu do czasu móżdż wachać podawać.

— Gdzie ja? — zapytał mnie słabym głosem.

— W swojej celi... ja jestem przy panu i przez całą noc tu zostanę...

— Miałem się widzieć z żoną... czy zabroniono?

— Chowaj Boże!... poprowadzono pana do żony, lecz wszedłszy do pokoju, dostałeś dziwnego jakiegoś ataku, w skutek którego musiano cię odnieść do celi... żona pańska sama po doktora jeździła i jest prawdopodobnie w więzieniu jeszcze... czeka niezawodnie wiadomości o pańskim stanie. —

Swidziński znacząco jakoś spojrział na mnie i za rękę mnie ścisnął. Zażądał potem wody i podniósł się, kiedy mu ją przyniosłem. Lekarz puls mu opatrzył i oświadczył, że niebezpieczeństwa nie masz żadnego w tej chwili. Dał mi krople, które na cukrze miałem słabemu podawać, zostawił flaszeczkę z eterem, na wypadek, gdyby się atak powtórzył i oddalił się z żandarmem, który mu był towarzyszył.

— Pan będziesz tak łaskaw, uspokoić żonę? — zapytałem, kiedy już był we drzwiach. —

Kiwnął mi głową zamiast odpowiedzi.

— Uspokoję i ja panią Swidzińską — dodał dozorca. — Pan będziesz czuwał, nieprawda? w razie jakiego wypadku proszę do drzwi zapukać; dano straży odpowiednie polecenie. —

I wyszedł z celi po otrzymaniu odemnie przyrzeczenia, że będę miał pieczę o słabego.

— Czy pan wiesz pewnie, że żona moja jest tutaj? — zapytał mnie Swidziński po wyjściu dozorey.

— To żadnej nie podlega wątpliwości... wszakżeś pan sam ją widział... — rzekłem, poduszke mu pod plecy podsuwając.

— Nie przypominam sobie... żandarm przyszedł wprowadzić po mnie, aby mnie zaprowadzić, jak mówił, do niej, lecz na korytarzu oddał mnie służącemu, sam mając coś innego do roboty. Ten zamiast do pokoju odwiedzin, zaprowadził mnie do naprzeciw leżącej sali posiedzeń komisji... Robiłem mu uwagę, że się myli; odpowiedział, że mu tak żandarm rozkazał. Pamiętam tylko, że po otworzeniu drzwi

ujrzałem Łosiewa, Gogiela, Juhana, Siemionowa i... i Władysława K..., siedzącego między nimi i palącego cygaretkę...

— K...go pan widziałeś? — zawołałem — K...go, tego, z którym ja obecnie siedzę?

— Tak... jego... przypominam sobie teraz doskonale... palił cygaretkę i ujrawszy mnie we drzwiach, bardzo zdawał się być zdziwionym...

— K... w komisji?... to dziwna!... cóż on tam robił?

— Musiał mieć pewnie jakiś interes, co do swego wyjazdu i ożenienia... Na mnie widok komisji okropnie podziałał... byłem przekonany, że nowe śledztwo w mej sprawie naznaczono... Łosiew, Juhan, Gogiel przypomnieli mi wszystkie cierpienia, jakie z ich przyczyny tu poniosłem... zachwiałem się na nogach, czarno mi się zrobiło przed oczyma... przypominam sobie jeszcze szmer odsuwanych prędko krzesełek i... co się potem ze mną działo, nie już nie pamiętam...

— Czy nie mylisz się panie Bronisławie co do osoby K...go? może to był inny jaki oficer...

— Nie, nie... nie myślę się... twarz błada z ciemnym zarostem... w oficerskim szynelu... tak, to on był...

— Dziwna; mnie mówił, że idzie na widzenie się z narzeczoną.

— Musiał się widzieć z nią przedtem... O żonie mej jednak nic nie pamiętam, ani o córce, która, jak mi żandarm mówił, jej towarzyszyła.

— Dozorca mnie zapewniał, żeś pan wszedł do pokoju odwiedzin i zasląbił, nim się przywitać zdołałeś. Prawdopodobnie służący się pomylił, nie zrozumiawszy dobrze żandarma, i z komisji, poznawszy pomyłkę, zaprowadził pana do żony.

— Coś, coś, jak przez sen sobie przypominam... lecz bardzo nie jasno... a musi tak być, jak pan mówisz, bo cóżbym ja teraz jeszcze miał robić w komisji?... Możesz pan powziąć wyobrażenie o tem, co od niej wycierpiałem, kiedy jej widok jedynie tak okropnie mnie poraził... wszak to był rodzaj apopleksji...

— Nie inaczej... chwala Bogu, że gorszych za sobą następstw nie pociągnął... — odrzekłem, myślami gdzie indziej zupełnie przebywając. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że K... był w komisji i tego mi wcale nie powiedział... Dla czegoż ukrywał?... Chwilowo stawiałem się pastwą najokropniejszych przypuszczeń, lecz je stale od siebie odrzucałem, lękając się nawet w myślach ubliżyć charakterowi K...go, który przecież dla sprawy narodowej tak wielkie położył zasługi. Swidzińskiemu oczywiście ani słowa nie powiedziałem o tych strasznych obawach, których i grzyskiem,

mimo wszelkie z mej strony usiłowania, aby tego nie dopuścić, stała się pierś moja. Widząc go wzmocnionego trochę, pomogłem mu wstać i kilka razy po celi przeprowadziłem; starałem się rozmaitemi rozumowaniami rozwiązać jego obawy i przypuszczenia, których się także nie mógł zupełnie pozbyć. Na szczęście zjawił się Filatów z butelką węgryzna i kilkoma przedmiotami, które Swidziński był porucił żonie przywieść ze wsi. Nie miała ona czasu wręczyć mu takowe i teraz przysłała. Filatów potwierdził jak najzupełniej moje domysły o pomyśle służącego i przyczynił się przez to do kompletnego uspokojenia staruszka. Noc też przepędził on jak najspokojniej, i rano żadnych śladów nie czuł z wczorajszego przypadku. Dozorca objawił mi, że będę znowu musiał przejść do celi K...go, i zapewnił zarazem Swidzińskiego, że skoro tylko komisja przybędzie, wyjedna pozwolenie przeniesienia go do obszerniejszej celi, do której sprowadzi także Borzęckiego. Jakkolwiek żał mi było opuszczać staruszka, który mnie żegnał ze łzami w oczach, gorzałem pragnieniem powrotu do K... i przekonania się, ile słusznymi były moje obawy.

— Jakżeż zdrowie Swidzińskiego? — zapytał mnie, skoro dozorca nas opuścił.

— Bardzo dobrze... atak, apoplektyczny prawdopodobnie, przeszedł szczęściem bez śladu — odpowiedziałem.

— Okropnie on nas wczoraj przeraził; wyobraź sobie pan, służący wprowadził go przez omyłkę do komisji zamiast do pokoju odwiedzin, gdzie go córka i żona czekały. Ja, po widzeniu się z narzeczoną musiałem pojsć do Łosiewa, który właśnie był w więzieniu, aby przezeń podać prośbę do audytora o pozwolenie ślubu i napisać list do ojca. Skoro się drzwi otworzyły, Swidziński zacisnął pięście, wyciągnął je ku członkom komisji, krzyknął coś niezrozumiałe, zachwiał się i jak długi na podłogę runął. Poskoczyliśmy, podnieśli go, ocucili trochę w przedpokoju i odprowadzili do żony...

— Opowiadał mi biedak o tem wszystkiem — rzekłem, wyrzucając sobie gorzko dawniejsze moje podejrzenia. — Nie jednak nie wspominał o pięściach zacisniętych; a żeście go panowie podnieśli i odprowadzili, nie pamięta wcale...

— W okropnym był stanie... mówię panu, Łosiewa nawet przeraził.

— Atak też głównie z powodu tego ostatniego nastąpił... Łosiew tyle sadła zalał za skórę Swidzińskiemu, że dosyć było widoku jego, aby nieszczęsną ofiarę do omdlenia doprowadzić... A nie wiedziałem, żeś pan był także temu obecnym...

— Idąc na widzenie się, nie przewidywałem, że mi to wypadnie uczynić. Narzeczoną objawiła mi jednak, że z jej

strony wszystkie trudności usunięte, więc chciałem rzecz co rychłej skończyć. —

Wszystko to było tak naturalnie przez K...go opowiedzianem, że rozwiązało wszelkie obawy. Postanowiłem, odtąd nie poddawać się im tak łatwo. A choć niejasnem mi było, dla czego K... o przypadku Swidzińskiego dziś mi dopiero opowiedział, nie zaś wczoraj jeszcze, po swoim powrocie i przed przybyciem dozorczy, wołałem to przypisać roztargnieniu i zbyt niemu zajęciu się swojemi sercowemi sprawami, jak chęci ukrycia przedemną, że był w komisji.

7 Marca.

Jeżeli ja wyjdę z tego więzienia ze zdrowem sercem i kiedyś nie będę go musiał przepłacić uciążliwymi chronicznymi chorobami, a może i śmiercią przedwczesną, to już chyba żadne moralne cierpienia, żadne gwałtowne, bolesne wzruszenia i okropne doświadczenia fizycznie mnie złamać nie będą w stanie. Cała moja sprawa, istny hazard, w którym wszystko, co miałem obecnie, na kartę postawiłem. Przez kilka miesięcy, jak gracz zapalony, z trwożnym i do głębi wzruszającym niepokojem miałem uwagę wyłącznie na to zwróconą, aby przewidzieć, obrachować, na czyją stronę padnie karta. Wszystkie szanse zdawały się mnie sprzyjać; w myślach już lubowałem się w zwycięstwie, które tem pewniej sobie wróżyć mogłem, im bardziej dopięcie go jedynie odemnie zdawało się zależeć. Dziś, niestety, postać rzeczy się zmieniła... los mój nie w moich już rękach... zawisł on od człowieka, któremu nie ufać byłbym sobie uważał za brak patriotyzmu, a który na to zaufanie wcale nie zasłużył... W piersiach mych znowu gotuje się, jak w kotle; tysiące obaw wyprawiają w niej powtórnie swoje męczące igrzyska, a przyszłość, niedawno tak jasna, czarnymi znowu pokryta chmurami. I obawy te nie są niestety przypuszczeniami; chmury, tym razem nie stworzonej wyobraźni przywidzenia...

Wczoraj po południu K...go dokądsiś zawołano. Mówił, że do nadzorczy, dla obrachunku z leżących u niego pieniędzy; lecz ja mu już nic nie wierzę... W jego nieobecności wyszedłem do odchódka. W oknie ogólnego numeru stał przypadkiem ksiądz Miniął, który od dwóch lat pono już tu siedzi i przed upływem trzeciego, końca swej sprawy się nie spodziewa. Pozdrowiłem go.

— Z kim teraz siedzisz? — zapytał mnie.

— Z Władysławem K... — odparłem.

— Miejsze się bracie na baczności!... z niczego mu się nie zwierza! —

Gdyby mi kto był nóż po rękojeść w piersi wetknął, nie tak straszno byłbym może doznał uczucia, jak po tych słowach. Wszystkie niejasne podejrzenia, wzbudzone rozmaitemi okolicznościami, a przezemnie w głąb gdzieś piersi stale odpychane, wypłynęły teraz na wierzch, i wspólnie strasznym głosem zawołały okropne: «a widzisz?! dobrze ci tak!»

— Albo co? — wykrztusiłem z trudem, mając dech przez chwilę zaparty.

— Zdrajca!... podły, nikczemny zdrajca! — brzmiała zabijająca odpowiedź, znizonym wygłoszona głosem. — Ohryskę zgubił... własnego brata wydał... wiele, wiele złego nabroił... napiszę ci obszerniej; w godzinę znajdziesz relację na dawniejszym miejscu; przeczytaj ją w odchódka i zniszcz!

— Dziękuję wam serdecznie! — wyjąknąłem. Chciałem dodać: «za późno!» lecz powstrzymałem się.

Wróciłem do celi jak pijany. K... nie wiedział mego nazwiska; nie pytał mnie on nigdy, szanując niby moją tajemnicę; lecz wiedział niestety ile razy i gdzie byłem sądzony, wiedział także, skąd pochodzę. Gdyby to wykrył komisji, aż nadto by jej dał punktów oparcia do wydobywania i bezemnie całej prawdy. Nie wiem, jak wyglądałem wróciwszy do numeru, ale czułem, że nie byłem w stanie ułożenia twarzy tak, aby z jej wyrazu nie można było dopatrzeć, co się we wnętrzu mem działo. Gdyby był K... wrócił w owej chwili, byłby się niezawodnie czegoś domyślał; a nawet i ja nie mógłbym się być oprzeć żądzy upewnienia się, jak dalece jestem zgubiony, i niezawodnie byłbym go się o coś zapytał, coby go musiało być doprowadzić na myśl, że go podejrzewam. W pierwszych minutach po tej strasznej nowinie, nie mogłem wcale chłodno rozważać. Byłem jak człowiek, któremu z pod stóp, nad przepaścią, usuwa się nagle ziemia, i który nie ma gdzie się rzucić, ani w tył, ani w stronę, aby się uchronić runięcia. Byłem jak gracz, który na kartę postawił wszystko złoto i musi patrzeć, jak je z zimną krwią zgartuje bankier. Zniweczone złote nadzieje, omylone rachuby, udaremnione trudy i zabiegi, wywrócona, zgruchotana jednym zamachem drabina, której dźwignięcie tyle mozołu kosztowało, a po której miałem się wydostać z toni — powszechna zresztą ruina wszystkich mrzonek, do których już byłem przywykł, jak do rzeczywistości — oto przedmioty, co się oczom ducha mego przedstawiały i żalem nie do opisanego biedne me serce ścisnęły. Dodajcie do tego drogę w kajdanach i z gołą głową w gronie zbrodniarzy na Sybir, długie więzienie tamże, i pletnie w perspektywie; dodajcie gorzkie wyrzuty, że wszystkiemu temu ja sam winien, a będziecie mieli przybliżone wyobrażenie tych katusz, które kolejno pierś moją

szarpały. Były one za wielkie, aby bez rozerwania serca czas dłuższy trwać mogły. Złotolica jednak nadzieja, jak często już w burzliwym mojem życiu, tak i teraz mi przyszła na pomoc. Na cóż się męczyć i dręczyć — mówiłem sobie — przed dokładnem przekonaniem się, o ile sprawiedliwymi są przypuszczenia i uzasadnionemi obawy. Wprawdzie nie zdaje się podlegać wątpliwości, że K... zdradził Ohryskę i innych. Nie miałby powodu utrzymywać to ksiądz Minią, gdyby tego nie był pewnym. Zresztą i względy komisji, protekcja Ratscha, ulżenia i tyle innych okoliczności przemawiają za tem. Lecz Bóg wie, jakimi podstępami i moralnemi katuszami wyłudzone od niego zeznanie. Wynikaż stąd, że i mnie zdradzi, co zresztą po zapadnięciu wyroku najmniejszej by mu nie mogło przynieść korzyści? Możnaż go posądzać, że się zniżył do roli najpodlejszego narzędzia oprawców, do roli szpiega — gdy co najwięcej ma się dowody tylko jego słabości, i to słabości, dającej się tłumaczyć okolicznościami? Czyż godzi się to przypuszczać o człowieku — który jako główny członek petersburskiej agentury polskiego rządu narodowego tak znakomite oddał usługi sprawie naszej — chociaż potem upadł, a raczej zbiegiem okoliczności wywróconym został? Nazwa zdrajcy zda mi się być za ostrą dla tego, kto w tutejszej komisji nie trzymał, jak należy, języka za zębami...

Te i tym podobne rozmyślenia uśmierzyły nieco gorączkę rozpacz; widokrąg nie rozchmurzył się wprawdzie, lecz grzmoty i błyskawice, które mnie niedawno przedtem głużyły i ślepiły, przestały po nim huczeć i migać. K... nie wracał, a kiedy mi się zdawało, że naznaczona mi godzina upłynęła, poszedłem powtórnie do odchódka. Ksiądz Minią stał na straży przy oknie i zawiadomił mnie, że list jest na miejscu. Przebiegłem go. Między innemi zawierał on wiadomość, że w wyroku K...go, a raczej w ułaskawiającej go z robót na posiedlenie konfirmacji Kaufmana, było wyraźnie powiedzianem, iż łaska ta spotyka go jedynie przez wzgląd na pomoc, której udzielił rządowi przy wykrywaniu petersburskich rewolucjonistów. «Wiemy to — stało w liście — od jego towarzyszy, którym konfirmacja ta razem z ich własną była czytana na dwa dni przed wywiezieniem ich na Sybir.» Opuściłem znowu głowę po odczytaniu tego ustępu; świadczył on bowiem, że K... upadł głębiej, jak ludzom, niższego nawet stanowiska, jak on, i w wyjątkowych tylko razach podać było wolno... Zdarłem papier w oczach księdza, podziękowałem i wróciłem ze ścieśnionem, lecz więcej jak przed tem zrezygnowanem sercem do celi.

Zaledwie ułożyłem sobie plan postępowania, który wedle mej rachuby powinien mnie być doprowadzić do jasnego

poznanie, czego się mam spodziewać, K... powrócił w towarzystwie Juhana. Jak błyskawica mignęło mi w głowie przypomnienie rozmowy, którą o tym członku komisji miałem z K... w chwili, kiedy się wybierał do Ratscha. Czyżby już w komisji «zachowanie decorum» uważali za zbyt uczynne? — zapytałem sam siebie...

— Pan tutaj teraz? — zagadnął mnie Juhan tonem, jak mi się zdawało, szyderczym.

— Awansowałem z samotności do towarzystwa, podobnie jak pan, zdaje mi się, z czynnej armii do śledczej komisji...

— odparłem, uśmiechając się ironicznie.

— A więc wiesz panu awansu!

— Pan się nie obrazisz pewnie, gdy i ja mu tego powinszuję. —

Oczy Juhana błysnęły jakoś złowrogo. Moja szpilka ukłuła; uczył, że go nazwał podłym... Przelknął to jednak w milczeniu, pożegnał K... rękę mu podawszy, i wyszedł.

— Trochę za dużo pan sobie z nimi pozwalasz — rzekł mi K... z widocznym niezadowolaniem w głosie.

— Jakież niegrzeczności pan w tem dopatrujesz? powinszował mi; en galant homme musiałem także to uczynić...

— Jeżeli Juhan nie zechce panu pamiętać tej poniekąd impertynencji...

— Hola, hola, panie K...! impertynentem można być tylko względem ludzi uczciwych; względem łotrów; jak Juhan, nigdy się nie jest dość niegrzecznym. I wierzę panu, że bardziej by mu było do twarzy śmiać się z podobnych wycieczek, a nawet zachęcać do nich, jak za nie karcił. —

Drżący głos, z którym ostatnie zwłaszcza słowa wygłosiłem, ostrzegł K...go, że się znajduję w stanie, w którym krew człowiekowi uderza do głowy i rozsądek jego zaćmiewa, a często nawet zatapia. Popatrzył na mnie zdziwiony, jakby się starał przeniknąć, co właściwie kryje się pod tem, co słyszał odemnie, lecz spotkawszy się z wzrokiem moim, który zapewne więcej być musiał błyszczącym, jak tego pragnąłem, złagodził wyraz twarzy i rzekł zupełnie przyjaźnie.

— Klęę się panu, w pańskim tylko interesie uczyniłem ten wyrzut.

— A cóż tu ma do czynienia mój interes? — zapytałem.

— Juhan obrażony do żywego, mógłby się mścić...

— Jak? czem? w sądzie on zasiadać nie będzie... ten zaś musi wydać wyrok wedle zeznań...

— Lecz będzie się mścił, nim jeszcze sprawa odejdzie do sądu.

— A toć z komisją ja nie mam już nic do czynienia...

— Jeszcześ pan nie wyszedł z pod śledztwa.

— Skądże ta wiadomość? miałabyś pan więcej wiedzieć o mojej sprawie, jak przypuszczam? —

K... znowu mi w oczy zaglądał. Tym razem wyczytał tam tylko to, co ja chciałem mu dać do wyczytania, t. j. ciekawość bez ukrytej myśli. Jam już zupełnie nad sobą panował.

— Wiem to, coś mi pan sam o niej opowiadał... wszak do sądu jeszcze go nie wolano... Lecz dajmy temu pokój, panie Walerjanie! dodał, podając mi rękę — mielibyśmy sobie zatruwać spokój z powodu człowieka, jak Juhan?

— Jestem zupełnie pańskiego zdania... nie wart on tego. —

Milczenie chwilowe, które po tej małej utarczce nastąpiło, przerwaliśmy później rozmową o zupełnie obojętnych rzeczach. Plan mój polegał na tem, żeby K... mu nie dać bezpośrednio do poznania, że go podejrzewam o konszach z komisją, mojej osoby dotyczące. Najprzód nie miałem najmniejszych danych dla tego, i uważałem za okrucieństwo wypowiadać wręcz zarzut, który go mógł okropnie zabość, a być niesprawiedliwym; potem obcesowe, brutalne zapytanie nie było by mi bez wątpienia dostarczyło takiej pewności, jaką osiągnąć mi było koniecznie potrzeba. Chciałem tedy po pierwsze przy danej sposobności przekonać się z jego własnych opowiadań, jak się rzecz ma z zarzucaną mu zdradą Ohryski i innych; a dalej, przy innej sposobności, zapytać o zdanie i radę w mojej sprawie, i z tego, co mi powie, odpowiednie poczynić wnioski. Sam K... znakomicie mi w tem wszystkim pomógł.

Wieczorem przed herbatą służący przyniósł tytoń i jakieś mięsne specjały, które K... kazał być sobie kupić w mieście.

— Co to kosztuje? — zapytałem go, ukazując kawał włoskiej kielbasy.

— Prawdziwie nie umiem panu powiedzieć — odrzekł — dozorca to wszystko płaci z moich pieniędzy, które leżą u niego, i od czasu do czasu podaje mi rachunek, który dla formy tylko przeglądam i podpisuję.

— A ja myślałem, że Bóg wie jak ściśle się pan z nim rachujesz, gdy go tak długo dziś nie widział wracającego od niego.

— Dziś zaledwie dziesięć czy piętnaście minut byłem u dozorczy... zapomniałem zupełnie panu powiedzieć, że bardzo dobrą odebrałem wiadomość... wyszło mi to jakoś z pamięci po zajęciu pańskim z Juhanem...

— Cóż takiego? — zapytałem — czy nadeszło pozwolenie ślubu?

— Nie... Juhan od dozorczy zabrał mnie do Ratscha i ten mi objawił, że Kaufman zgodził się na to, abym tu zo-

stał do lata... Mam więc pewność, że się doczekam manifestu we Wilnie, a gdyby nawet on żadnej ulgi dla nas nie przyniósł, udam się w podróż w porę, o której pan mi powiedziałeś, że jest najdogodniejszą.

— A tak, najdogodniejszą... zwłaszcza gdy pan pojedziesz, jak zamierzasz, swoim kosztem z żandarmami...

— Prawda, że to ze strony Ratscha bardzo pięknie? — zapytał mnie.

— Wolalbym, panie K... gdybyś pan nie pragnął poznać mego zdania w tej sprawie...

Takiej odpowiedzi K... widocznie nie spodziewał się odemnie. Zmieszał się, zamilkł. Mnie, przyznam się, trochę przykro się zrobiło. Mimo niekorzystnej dla niego nowiny, której się dziś dowiedziałem, gardzić jakoś nim nie mogłem... ubolewałem tylko nad nim. Więć mi żal było, że mu przykrość wyrządził, dotknąwszy niezabliźnionej pewnie jeszcze rany. Potrzeba mi było jednak działać według powziętego planu, więc dodałem:

— Pan mogłeś się już przekonać, że ja człowiek otwarty; nie utaję i tym razem przed panem, że się dziś dowiedziałem niektórych szczegółów o sprawie Ohryski; pana przedstawiono w niebardzo dobrym świetle...

— Od kogo? od kogo? — zapytał z nerwowym pośpiechem, błędnie przytem, jak chusta.

— Tego się pan nie dowiesz odemnie — odparłem — zresztą, gdybym chciał nawet nazwać tego, który mi to powiedział, a raczej zatelegrafował, nie umiałbym. Nie znam go!

— To pewnie ktoś z ogólnego numeru... oni mnie od dawna przesładują... braci mojej narzeczonej namawiali, aby ci siostrę terroryzmem od związku ze mną odciągnęli... rodziców jej nawet do odmówienia błogosławieństwa podjudzali... wiem, wiem to wszystko... głową tych intryg był ks. Miniati...

— Pierwszy raz o tem od pana słyszę — odparłem, udając zdziwienie. — Mogę go tylko zapewnić, że nie z ogólnego numeru posiadam tę wiadomość. —

Nastąpiło głucho milczenie. K... pośpiesznym krokiem przechadzał się po celi; ja na łóżko się położyłem, czekając póki on pierwszy nie przemówi. Spodziewałem się oczywiście objaśnień. Te jednakże nie nastąpiły natychmiast. K... rzucił się także na łóżko i utopiwszy głowę w miękkiej swej poduszce, zaszlochał nerwowo, starając się jednak, ile mógł, tłumić wybuchy płaczu. Przyniesiono samowar; on się nie ruszył. Dałem znak żołnierzowi, aby się cicho zachował, chcąc mu tym sposobem objaśnić nieruchomość towarzysza, która go w zdziwienie wprawiać się zdawała. Sam potem przygotowałem wszystko do herbaty, a kiedy była

gotowa, wezwałem K...go. Na razie nic mi nie odpowiedział. Po chwili znowu go zawołałem; milczał jeszcze.

— Pan niesłusznie się na mnie gniewasz — rzekłem mu wtedy — ja sobie postąpił, jak mi sumienie nakazywało. Bylbym nawet może nie wspomniął o tem, gdyby to z toku rozmowy nie było wypadło... Lecz jeżeli pana przez to nie-nawistnym sobie uczyniłem, toż łatwo temu zaradzić... Możemy jutro poprosić, aby nas rozsadzili...

— Ach panie Walerjanie! nie wiesz, jak głębokiej, jak bolesnej rany dotknąłeś! — odparł, zwracając ku mnie mokre od łez oblicze. — Straszny, okropny to dramat; aby móż sędzić jego aktorów, trzeba wiedzieć więcej szczegółów, jak wiesz...

— Bóg mi świadkiem — odparłem — nie wydawałem dotąd sądu żadnego; wiem jak łatwo tu wydać mylny... ale...

— Tak, tak! pozory są przeciw mnie... ani słowa! — przerwał mi, wstając z łóżka. — Po herbacie ja panu opowiem wszystko — dodał siadając do stolika — ujrzyysz, czy mogłem inaczej postąpić. —

Patrząc na zapłakane jego oczy, na żalony wyraz zmęczonej twarzy, na zgarbioną jakby pod ciężarem jakimś postać, szczerze żał mi się zrobiło, że ja to stał się przyczyną tej goryczy. Jeżeli zbłądził, mówiłem sobie, to zbłądził jako człowiek; złej woli, rozmyślnej zdrady tu nie było... mogę być więc spokojnym, co do mojej tajemnicy... Otucha wstąpiła we mnie; sprowadziłem rozmowę na sybirskie stosunki, o których się nigdy nie mógł dość nasłuchać, i trochę zatarłem w nim przykre tego wieczoru wrażenia.

Kiedy żołnierz sprzątnął ze stołu, zapaliliśmy papierosy, położyli się na łóżkach i K... zaczął swoją spowiedź, która daleko za północ się przeciągnęła. Było coś uroczystego w tem opowiadaniu, przerywanem bardzo często westchnieniami, niekiedy łzami. Melancholja, żal, boleść, czasem gorycz w cichym głosie opowiadacza; nocna więzienna cisza, przerywana od czasu do czasu ponuremi echami kroków, zmieniającej się na długich korytarzach straży; półmrok w celi, której stearynowa świeca nie mogła dostatecznie oświecić, przytem tęsknotę nawołujący poświst wiatru po dachach klasztornych zabudowań — wszystko to wielce oddziaływało na moją wyobraźnię i wryło mi w umyśle pamięć tej chwili tak, że nie jej już ponoś do końca życia tam nie zatrze... *)

Słuchałem wszystkiego z natężoną uwagą, nie przery-

*) Na tle tej spowiedzi, której szczegóły niektóre mieliśmy potem sposobność słyszeć z innych ust i w innym świetle, osnuty obrazek, umieszczony na początku niniejszego tomu. —

wając. Opowieść o tyle mi się wydała prawdziwą, o ile i przez gestą zaslone łatwych do wytłumaczenia zresztą opuszczeń, ubarwień, przedstawień rzeczy i zdarzeń niektórych w innym, dla opowiadacza korzystnym świetle, licznych uniewinniań i t. p. łatwo dostrzedz było, że K... zeznaniami głównie pomógł komisji do wysledzenia całej sprawy. Opisy różnych podstępów komisji i sposobu postępowania jej były istotnie prawdziwe; ich K... nie potrzebował wcale przesadzać, bo tak jak były, mogły mu służyć za okoliczność wielce łagodzącą.

— Tak, panie Walerjanie, są to ludzie, którzyby ponoś z umarłego prawdy dobyli... — kończył swoją rzecz, głęboko wzdychając. — Co mogłem, skryłem... jest jeszcze wielu na wolności, którzy byliby dziś na Sybirze, gdybym był wszystko, co wiem, wygadał... tego ci, co mi słabość zarzucają, nie biorą pod rozwagę... a wiem, że na mojem miejscu, gdyby się tak o nich był oparł cały pierwszy napad komisji, jak o mnie, więcej by jeszcze wygadali, jak ja... Toż Łosiew mi otwarcie powiedział, że ma zaszczyt być prezesem komisji, która każdą sprawę do gruntu wysledziła i że nie ma tego więźnia, któryby go zdołał zmusić do przeniesienia uszczerbku dobrej sławie instytucji, której jest głową...

— No... trochę mi to na przechwałkę zakrawa! — wtrąciłem.

— Nie panie! istna to prawda... ja znam trochę dzieje tej komisji...

— Żeby też znowu więźnia być nie miało, z którego by prawdy nie dobył, temu mi się wierzyć nie chce...

— Bo uwierzyć temu niewygodnie dla pana...

— A choćby też i ja... ze mnie, jak pan wiesz prawdy nie dobył...

— Lecz ja wątpię, szczerze panu powiem, żeby on się wyrzekł tego tak zupełnie, jak mniemasz...

— I cóż robi?

— Tego nie wiem... nawet wyobrażenia o tem nie mam... lecz o tem jestem przekonany, że oni tysiące, tysiące sposobów mają... Pan ich nie znasz jeszcze dokładnie, choć nie raz, jak mi mówiłeś, miałeś z podobnymi im do czynienia. To zupełnie odrębny rodzaj inkwizytorów... w nichem prawie do innych niepodobny...

— Wielkiej różnicy, przynajmniej się, ani z tego, co sam doświadczyłem, ani też z pańskich opowiadań, wysnuć nie mogę... wszystko to rzeczy bywałe, znajome... plagiaty mniej więcej zresztą zastosoane...

— Nie przeczę... lecz ta niezrównana, szatańska zręczność właśnie sprawia, że i stare wróble dają się tu łowić...

Rozmowa wydała mi się do tego punktu doprowadzona, że mogłem się odważyć na wykonanie drugiej części planu bez wzniecenia najmniejszych w K...go podejrzeń.

— Nie zbyt miły zawiera się dla mnie horoskop w słowach pańskich... — rzekłem, zapalając świeży papieros.

— Przynajmniej o szczerości moich zapatrywań wątpić pan nie możesz... są one niestety wpływem okropnych na własnej personie doświadczeń...

— Jeszcze jedno pytanie, panie K..., nim się spać położym...

— Proszę pana...

— Powiedz mi pan, szczerze i otwarcie, jak mniemasz należałoby mi postąpić w mojej sprawie, którą znasz mniej więcej?

— Tu, panie Walerjanie, dalibóg trudna rada... nie śmiałybym prawdziwie udzielać jej panu...

— Toć ja rozumię się zostawiam sobie zupełną wolność działania, i pan na żadną odpowiedzialność się nie narazisz, wyjawiając mi swoje zdanie. Pan tyle miałeś doświadczeń z tą komisją, że usłyszyć jego radę nie jest dla mnie rzeczą obojętną... może też znajdę ją rozsądniejszą od tego, co dotąd sam zrobiłem...

— Ha, kiedy pan tego pragniesz... ja na miejscu pana... przyznałbym się! —

— Nic na to nie odpowiadałem, lecz tem więcej w duchu sobie pomyślałem. Straszna pewność jednak, że zdradzony mniej mi była przykra, jak całodzienne dzisiejsze katusze zabijających domysłów i zgadywań.

— Jest to rzeczą niepodobną, żeby oni panu wierzyli — ciągnął K... dalej ożywionym głosem, jakby mu na tem zależało, aby mnie przekonał — dowodzi tego zresztą całe ich postępowanie z panem... zdjęcie fotografii... podstępne pytania... namawiania... Skoro zaś nie mają moralnego przekonania, będą męczyć, dręczyć, trzymać choćby całe lata... władzę do tego posiadają nieograniczoną... i co do mnie nie wątpię, że w końcu wykryją...

— Wiesz pan, że po obrazach, jakie kreślisz, obawiam się, czy już nie wykryli... — rzekłem, ciągnąc słowa jak w pół śnie.

— Być bardzo łatwo może... — odparł, nie domyślając się, że piję do niego. — Przynajmniej Juhan dziś tak się jakoś dwuznacznie wyraził o panu, że można by sądzić, iż wpadli na trop.

— A... Juhan... na trop.

— Czy pan spis już?

— Nie, nie! słucham... opowiadaj pan...

— Pytał mnie, czy mi wesoło z panem. Potwierdziłem.

Odrzekł mi; o tak, on wesół być musi, bo sądzi, że nas oszukać potrafił... ale myli się. Nadeszły wiadomości, którymi go zdemaskujemy, zdaje się...

— Zręczna mistyfikacja... nie ma co mówić!

— Co, co? o jakiej mistyfikacji pan mówisz? — zapytał K..., podnosząc się na pościeli.

— Słucham... słucham... lotry szatańsko zręcznie pana podeszli...

— E... pan już drzemiesz! —

Ziewnałem.

— Ach dalibóg — rzekłem — oczy mi się już kleją... dobranoc panu! jutro dokończymy. —

I obróciłem się do ściany. Dziwna rzecz! zasnąłem, jakbym nie nabył pewności, żem zgubiony...

Przebudziwszy się dzisiaj, zachowałem się, jakbym końca wczorajszej naszej gawędki wcale nie pamiętał. K... także o niej milczał zupełnie. Rozmawialiśmy o tem, o owem, jakby wczorajszy dzień przeminał był bez najmniejszych wydarzeń. Po południu K... wezwano na odwiedzinę. Czasu jego dość długiej nieobecności użyłem do zanotowania w swoim dzienniczku pamiętnego dla mnie na całe życie ponoś wieczoru.

18 Marca.

Plaudite! finita comoedia... Dziś, t. j. 18 marca według starego, a 30 według nowego stylu pobłogosławiony został wedle orządku rz. kat. kościoła związek małżeński między szlachetnie urodzonym Władysławem K... im, więźniem stanu u Bosaczek i niemniej szlachetnie urodzoną panną Karoliną Br... ówną, córką obywatela z.... go powiatu wileńskiego województwa. Plaudite manibus! Ślub dawał przewielebny Ojciec ks. Nemeksza, między innemi urzędami, które mu rząd rosyjski za jego dla cara wierność powierzył, także urząd spowiednika politycznych więźniów sprawujący. Świadkami byli członkowie śledczej komisji Juhan i Gogiel, jeżeli prawdą jest, co mi z ogólnego numeru donoszą — obrząd zaś odbył się w sali posiedzeń komisji, gdzie nowożeńcy przepędzić mają także pierwszą noc po ślubie... roskosznie oczywiście i mile, ponieważ uszy ich zatkałe bawelną podłóści na jęki tych ofiar, które na szubienicę i do min nerczyńskich wysłali mężowie, co w tej sali odbywają swoje posiedzenia... A dziwna to będzie kapela weselna, gdy namiętne westchnienia roskoszy, dobywające się z rozpalonych ust nowożeńców, rozbudzą echa tej sali, do której ścian przyrosło tyle łaján moskiewskich, którymi Łosiew hojnie zwykł obdarzać więźniów, tyle bluźnierstw na świętą Polską sprawę, którymi przy

każdej sposobności z pewną chępliwością sypać lubią jego młodszy podwładni, tyle cichych westchnień, dobywających się ze scieżnionej piersi każdego, co tam przed owym krzywoprysiężnym trybunałem stawać musiał i tyle przekleństw, które półgłosem miotał na oprawców każdy dręczony tam przez nich więzień. Jeśli pod rozpaczliwy dźwięk tej okropnej muzyki niedoli nowożeńcy będą mogli zasnąć spokojnie, to zdaje się, nie ustraszają się już niczego w życiu i z odwagą kiedyś po ukończeniu go do piekieł na wieczne będą mogli zstąpić męczarnie...

A niewdzięczni względem mnie okazali się państwo K...scy; nawet kawałeczka torta nie przysłali mi ze swego wesela, na które ja przecież najmocniej dzwonić byłem zmuszony — mimo woli i wiedzy... Ślub ten bowiem niczem innym nie jest, jak ceną za podstępne i zdradliwie wybadanie mnie przez pana młodego. — «Manus lavat manum — powiedziano mu w komisji, kiedy prosił pozwolenia zaślubienia panny Karoliny B... w więzieniu — my panu wyprawim wesele; pan nam wybadaj śmiałka, który się odważył na uczynienie zamachu na naszą sławę, zyskaną zręcznością w wy-dostawianiu prawdy z więźniów...» Układ stanął; K... warunek wypełnił; więc finita comoedia, plaudite...

Ne expectetis, dum exeant huc: intus despondebitur...
Intus transigetur, si quid est, quod restet...

jak Terencjusz mówi...

Co we mnie się dzieje w obec tego wszystkiego? nie pytajcie czeigodni widzowie... W chwili, kiedy to piszę — jest blisko północ — zdrajca spożywa nagrodę swej zbrodni w objęciach dziewiętnastoletniej brunetki... przewala się w roskoszy z jednej strony na drugą, jak... jak bezroga w błocie... pije plugawemi usty z czary, której jego wargi nigdy tknąćby się nie powinny... A!.. chwilami wściekłość mnie porywa, że nie mogę w zastępstwie wiecznej sprawiedliwości, o której nam zawsze bają, że istnieje, a której ja w tej godzinie przynajmniej dalibóg dopatrzeć nie mogę, jak mściwie widmo stanąć u wezłowania łoża roskoszujących za cenę nikczemnej zdrady, przerwać im zajęcia pieścive i po rękojeści wepchnąć pugnał w grzbiet jednego, tak żeby wyszedł grzbietem drugiego... Zdaje mi się, że krwi ich widokiem upiłbym się, jak szampanem i przepomniał na zawsze przebytych męczarni i katusz, które mi ich szczęście mi kupić kazano... Ku swojej pochwałę powiedzieć jednak muszę, że te krwawe obrazy nie długo zajmują moję wyobraźnię. Częściej puszczam wodze sarkazmowi, kłajającemu, do szpiku kości przenikającemu, który dziwnym sposobem ulgę mi przynosi... Dalibóg, wartoby mnie rozłożyć na kobiercu i wys-

pać nahajów oblewanych ze trzydziści, że się nie poznałem na podstępie... Ileż to razy do znudzenia powtarzałem Olkowi: bracie! rodzonemu ojcu nie wierz we więzieniu; siostrze, bratu nie zwierzać się w turemnej celi ze swoich tajemnic; ścianom nie wierz, bo i te uszy tam mają... A sam, sam ja stary osioł, w teź siłła uwikłać się dałem, przed którym tak wymownie umiałem innych ostrzegać! Jakżeż łatwo, gdy teraz wszystko rozważam, mogłem je poznać, ująć ich i co więcej, na swoją je wyzyskać korzyść! Czyż nie uderzyło mnie pierwszego dnia zaraz te wyjątkowo grzeczne obchodzenie się dozorczy z K...im? czyż nie zdziwiły przywileje, których używa we więzieniu? Jakiż djabeł zaślepił mi rozum, że z tego nie poczynił wniosków, które w tym wypadku jedynie były możliwe, t. j. że to wszystko daremnie mu się nie dostało? Gdzie była moja przezorność, gdzie przenikliwość, z których tak dumny jestem, kiedy na drugi dzień po przybyciu wypytywał mnie, czy znam tego i tego, czy byłem tu i tu, czy miałem stosunki z tym i tym? Ach i tyś, tyś, tyś innych okoliczności powinno mnie było ostrzedz, z kim mam do czynienia. Jakiż pocziwy Polak zgodził by się np. dostarczać Ratschowi materiałów do jego historii powstania?... No, istotnie, zasłużyłem na teście baty za to, że mam dogodnej sposobności nie wyzyskać dla mojej sprawy!

Jedna, jedna moja pociecha zawiera się w tem, że użyć musiano do wydostania ze mnie prawdy aż członka polskiego centralnego komitetu w Petersburgu... Wszystko stracone, prócz honoru!... cha, cha, cha!... Zaprzeczyc nie mogę, zresztą sobie juchy ze mną postąpili. Ujrzawszy, że zwykłymi sposobami nie skruszą mnie, przyczaili się, udali, że odstąpili odemnie, i cugle mi zupełnie puscili. Najprzód zaczęli wypuszczać na przechadzkę, potem z współwięźniami mnie posadzili i wszelkich pytań zaprzestali, wreszcie niczego nie zaniechali, aby mnie przekonać, że dają mi za wygrane. Ja, głupi zachowaniem się swoim, dobrym humorem i t. p. pokazałem że wierzę temu. Wtedy przenieśli mnie do K...go. Jakżeż mi mogło przyjść do głowy, że człowiek, który w narodowej organizacji zajmował takie stanowisko, odda się im za tak niskie narzędzie? Nie ma co mówić... zresztą sobie ze mną postąpili... trafiła kosa na kamień.

Lecz trzebaż mi jeszcze dopowiedzieć, jak się to wszystko skończyło.

Po owej wieczornej rozmowie z K...im nie przostało mi najmniejszej wątpliwości, że komisja wie wszystko, cokolwiek niebacznie wypaplałem przed nim. Pewność ta, zamiast w rozpacz mnie wtrącić, uspokoiła raczej. Jestem widać tak usposobiony, że męczarnie mi sprawia tylko oczekiwanie nieszczęścia, ono zaś samo energję we mnie wzbudza

i jakiś nieprzeparty pociąg do czynności skierowanej ku zneutralizowaniu jego następstw. Czekalem z jakimś apatycznym spokojem wezwania do komisji, o którym nie wątpilem, że lada chwila nastąpi. Planu działania nie układałem; spuściłem się być zupełnie na natchnienia chwili stanowczej, które mi dotąd w rozmaitych okolicznościach zawsze dobrze usługiwały.

Trzeciego dnia po rozmowie zjawił się rzeczywiście około południa Sergiej i zwracając się do mnie z uśmiechem, wielce podobnym do szczerzenia zębów dzikiej bestji, rzekł zwykle w takich razach:

— Pożałujcie-s w kamisyju! —

K... popatrzył na mnie, jakby ciekaw był ujrzeć, jaki wpływ wywrą te słowa. Udałem jak najzupełniejszą obojętność. Zgasilem cygarete, płaszcz sybirski wzięłem na siebie, czapkę, i poszedłem ku drzwiom, w których czekając stał Sergiej, także pilnie mnie obserwujący.

— Do widzenia, panie Walerjanie! — rzekł K..., podnosząc się z łóżka i rękę mi podając.

Tyle cynizmu oburzyło mnie. Upuściłem czapkę na podłogę, aby podejmując ją, nie być zmuszonym podać ręki i nie co drżącym odrzekłem głosem:

— O tak, tak... do widzenia!... jeżeli nie tu, w Wilnie, to pewnie tam w Syberji, panie K... wszak trzeba nam jeszcze dokończyć zaczętej przedwczoraj a snem moim przerwanej gawędki... do widzenia więc! —

I wyszedłem za Sergiejem nie troszcząc się, co za mnie po tych słowach zrobił mój towarzysz.

Komisja była in pleno... Łosiew, Juhan, Gogiel, Starow, Siemionow, i pisarz Feodorow. Ten ostatni, jak zwykle, śleczął nad przepisywaniem papierów, językiem wypełniając to tę to ową stronę zapadłych swoich policzków. Spojrzałem na ten areopag śmiało, odważnie, czując się być zupełnie panem siebie. Wszyscy mieli wyraz twarzy szyderezy, wszyscy złośliwy wzrok we mnie utkwili — wszyscy, prócz Siemionowa, który twarzy swej nie zdołał ubrać w taki chłód, iżby z pod niego, nawet mimowoli, nie przebijalo się ożywcze ciepło ludzkie... O, przy tem ciepło, nie jeden więzień się ogrzał... Mimo to Siemionow był szczerym moskalem, obowiązki swe pełnił wiernie, ale umiał być przy tem i człowiekiem...

— I jakżeż tam panie Walerjanie P... tak się pono nazwyczajasz obecnie, nieprawda?... jakżeż ci się powodzi? — zapytał mnie Łosiew tak ironicznym tonem, że gdyby nawet była mi mogła zostać jeszcze jaka wątpliwość o postępku K...go, ton ów byłby ją musiał rozwiać do szczętu.

— Niczego... zdrów jestem... dziękuję pułkownikowi! — odrzekłem.

— Ho, ho! widzę, przebrałeś się pan u nas nawet po europejsku... buty, surducik, krawat...

— Biała koszula, spodnie i czapka — ciągnąłem dalej — rękawiczek tylko nie mam pułkowniku! —

Członkowie spojrzeli po sobie; Łosiew kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: zaczekaj-no ptaszku, zaczekaj! wnet ty inaczej nam zaśpiewasz!

— A jakże tam co do pańskich zeznań — rzekł potem — czy nie namyśliłeś się zmienić ich?

— Niczego sobie pułkowniku nie przypominam, cobym miał dodać — odpowiedziałem.

— Hm!... więc masz nas za tak naiwnych, że sądzisz, iż wierzymy bajkom, które mu się podobało nam opowiedzieć?

— Nigdy w myślach nawet nie śmiał ubliżyć powadze świetnej komisji, cóż dopiero naigrawać się nad nią!

— A przecież wszystko, co nam pan o sobie powiedziałeś, jest od a do z zmyślonem... wiemy np. z pewnością, żeś w powstaniu nie brał żadnego udziału, boś był wtedy we więzieniu kazańskim i jałutorowskim...

— Cóż robić, pułkowniku! wybrałem system obrony, o którym myślałem, że jest najlepszy... nie udał się, tem gorzej dla mnie... ale stąd nie wynika, żebym nie poważał komisji, lub żartować sobie z niej pragnął. Teraz np. widząc, że dalsze wybiegi byłyby zbyt szkodliwe w obec przenikliwości pułkownika, gotów jestem zeznać wszystko. —

Głośny śmiech członków towarzyszył tym słowom.

— Wierzę, wierzę panu! teraz zeznasz, kiedy wszystko wiemy... — rzekł Łosiew. — Nie, nie, kochanku! odeszliśmy was obojdwóch, skądście uciekli, i tam z wami już wedle praw postąpią.

— W takim razie, co do mojej osoby przynajmniej, komisja całej prawdy nie odkryje... wszystkiego bowiem pułkownik nie wie i wiedzieć nie może... tu w więzieniu nikomu o tem nie mówiłem.

— Znamy się mój panie na tem... nowe jakieś wykrety...

— Pułkownik na tem nic nie stracisz, jeżeli je wysłuchasz, zwłaszcza że wcale taić nie myślę, iż uciekłem z Sybiru i nazywam się... — tu wymieniał prawdziwe swoje nazwisko.

— A towarzysz pański? —

Nazwałem i Olesia.

— Więc dobrze! słuchamy pana! — rzekł po krótkim namyśle Łosiew.

— Opowiadać długą historję, pułkowniku! wolę wszystko napisać...

— Zgoda i na to... z warunkiem jednak, abys się pan nie wdawał w literaturę, lecz gołe tylko podaś fakta.

— Napiszę jak najzwięźlej i proszę, aby mnie w osobnej umieszczono celi, ponieważ w samotności łatwiej minione sobie przypominać dzieje.

— Nie chcesz pan już wracać do K...go? — zapytał szyderczo Juhan.

— Wszystko mi jedno kapitanie... jeżeli to jednak od mojej woli zależy, tedy wolałbym wprost stąd udać się do osobnej celi. —

Łosiew na znak przyzwolenia kiwnął głową, a Starow, wyprowadziwszy mnie do przedpokoju, dał Sergiejowi stosowne zlecenie.

Trzeba mi bądź co bądź zyskać na czasie. Mam rozmaite i ważne ku temu powody. Najgłówniejszy ten, że jadąc o tej porze na Sybir o ucieczce myśleć nie podobna... wiosna blisko, drogi nie do przebycia. Latem rzecz nie równie łatwiejsza; można wszędzie nocować pod gołym niebem. Po drugie chciałbym zaczekać na manifest; potrzebie spotkać się w drodze z K... kim, aby się z nim porachować, co nie byłoby możebnem, gdyby mnie wyprawili na tyle mieście przed nim; po czwarte na koniec pragnąłbym dostawić biednemu Olkowi sposobności widzenia się z żoną, po której tyle tęsknił, a która mieszka w Mińsku. Oczywiście dałem mu znać o wszystkim, co zaszło, tego samego dnia przez okno, mej celi, która jak na szczęście znajdowała się znowu niedaleko od niego. Bolał pocziwieć tylko nademną; zaś co do swojej osoby rad był, że się tak skończyło; rad szczególnie z nadziei zobaczenia żony. Przeniesiono go już na inny jakiś korytarz... Siedzę więc trzeci dzień nad nowymi zeznaniami, które staram się tak urządzić, aby uznano za stosowne je sprawdzić, i żeby to sprawdzenie najmniej pięć, sześć tygodni czasu zajęło... Czy uda się?

Koniec tomu drugiego.



Drukarnia A. Brockhaus w Łodzi.
Białymstok

509759

521

kol. z biblioteki
RiW Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517791